

*„Złożona i wciągająca mieszanka intrygi,  
publicystycznego komentarza  
i humoru okraszonego szczyptą złośliwości”.*  
*The Washington Times*

# SILNY WSTRZĄS JONATHAN FRANZEN



WYDAWNICTWO  
SONIA DRACA

# SILNY WSTRZĄS JONATHAN FRANZEN

Z języka angielskiego przełożył  
Witold Kurylak



WYDAWNICTWO  
SOWA DRUK

*Dla Valerie*

Pragnę wyrazić wdzięczność za wsparcie Fundacji pani Giles Whiting, społeczności artystycznej Corporation of Yaddo, Svenowi-Erikowi i Marianne Ekströmom oraz Dieterowi i Inge Rahtzom. Składam również podziękowania Lorrie Furrer i Robertowi Franzenowi, a zwłaszcza Göranowi Ekströmowi za porady i sejsmogramy. Fragmenty rozdziału 13. są w dużej mierze oparte na książce Williama Cronona *Changes in the Land* (wyd. Hill & Wang, 1983).

*Z wody wystawała skała, poszarpana i ostra, pokryta mchem – pozostałość po epoce lodowcowej i lodowcu, który niegdyś wyźłobił w ziemi ten basen. Przetrzymała deszcze, śniegi, mróz, upał. Nikogo się nie obawiała. Nie potrzebowała odkupienia, już była odkupiona.*

I. B. SINGER

**I**

**Płeć domyślna**

## 1.

Czasami Eileen Holland musiała się przez moment zastanowić, kiedy pytano ją, czy ma siostrę lub brata.

W szkole podstawowej, gdy na przerwach grała z koleżankami w kwadraty, a na drugim krańcu szkolnego dziedzińca dochodziło do bójek, zazwyczaj się okazywało, że jeśli ktoś rozbijał twarz na asfaltowej powierzchni, to tym kimś był jej młodszy brat, Louis. W takich sytuacjach ona i jej koleżanki dalej odbijały piłkę z jednego kwadratu do drugiego. Tamtego dnia, kiedy Louis bił się z jakimś chłopakiem na najwyższym szczeblu starych, rojących się od pałeczek tęczca drabinek, a potem na każdej z rurek, w które uderzał, spadając i uszkadzając sobie kolejne części ciała – wybijając sobie przednie zęby na poziomie trzecim, obijając zębra na poziomie drugim, doznając wstrząśnienia mózgu oraz urazu kręgosłupa szyjnego na poziomie pierwszym i już na asfalcie doprowadzając do porażenia przepony – właśnie skakały przez skakankę. Koleżanki Eileen pobiegły przyjrzeć się najprawdopodobniej nieżywemu chłopcu. Pozostała sama ze skakanką w ręku, czując się, jakby to ona spadła i nikt nie zamierzał jej pomóc.

Eileen, z tymi jej pełnymi zdumienia oczami i cienkimi jak ołówek brwiami, wysokim czołem, wydatnymi policzkami i prostymi czarnymi włosami, stanowiła wierną i piękną kopię matki. Jej kończyny

przypominały gałązki wierzby i czasami kołysała się nawet z zamkniętymi oczami jak to drzewo, kiedy była tak szczęśliwa w towarzystwie koleżanek, że zapominała o ich obecności.

Louis, podobnie jak ich ojciec, wyglądał mniej efektownie. Odkąd ukończył dziesięć lat, chodził w okularach, jakie noszą piloci, których metalowe oprawki z grubsza pasowały do jego włosów, kręconych, w kolorze starych mosiężnych śrub, i jeszcze zanim skończył liceum, zaczął chudnąć. Po ojcu odziedziczył również wydatny tors. Zarówno w gimnazjum, jak i w liceum nowe koleżanki Eileen na pytanie, czy Louis Holland jest jej bratem, spodziewały się odpowiedzi: „Nie, to żaden krewny”. Te pytania szczypały Eileen jak szczepionka. Słowa koleżanek, że brat w n i c z y m jej nie przypomina, były zaś dla niej jak przykładany w miejsce ukłucia kojący gazik z alkoholem.

– Tak – zgadzała się – bardzo się różnimy.

Młodzi Hollandowie dorastali w Evanston, w stanie Illinois, w cieniu Uniwersytetu Northwestern, gdzie ich ojciec był zatrudniony na stanowisku profesora historii. Od czasu do czasu Eileen widywała popołudniami Louisa w McDonalddie, w otoczeniu palantów, z którymi spędzał czas: żalosne menu, papierosy, ziemiste twarze i wojskowe ubrania. Bijąca z boksu negatywna aura sprawiała, że Eileen czuła się tak, jakby sama nie była w stanie odpowiednio mocno rozpychać się łokciami



wśród rówieśników. Wmawiała sobie, że bardzo się różni od Louisa. Ale nigdy nie była przed nim w pełni chroniona. Nawet kiedy siedziała na środku zapchanej i roześmianej tylnej kanapy w samochodzie, zawsze musiała zerknąć przez okno, by zobaczyć brata maszerującego zaśmieconym poboczem jakiejś sześciopasmowej podmiejskiej arterii, w szarej od potu białej koszuli i okularach białych od oślepiających światła na drodze. Zawsze miała wrażenie, że był tam tylko po to, by go spostrzegła, zjawa z tego równoległego prywatnego świata, który opuściła, kiedy zaczęła mieć koleżanki, a w którym Louis wciąż najwyraźniej żył – świata, gdzie było się samemu.

Pewnego letniego dnia przed wstąpieniem do college'u musiała nagle skorzystać z rodzinnego samochodu, żeby udać się na spotkanie ze swoim chłopakiem Juddem, mieszkającym kawałek dalej nad brzegiem jeziora Michigan w Lake Forest. Kiedy Louis zwrócił jej uwagę, że już tydzień wcześniej zarezerwował samochód, wściekła się na niego, jak człowiek wściekający się na martwy przedmiot, który stale upuszcza i z którym nieostrożnie się obchodzi. W końcu przekonała matkę, a ta poprosiła syna, żeby przynajmniej ten jeden raz zachował się bezinteresownie, pozwalając Eileen skorzystać z wozu i odwiedzić chłopaka. Kiedy dojechała do domu Judda, wciąż była jeszcze tak wściekła, że zostawiła kluczyki w stacyjce. Samochód

natychmiast skradziono.

Policja w Lake Forest nie była wobec niej zbyt miła. Jeszcze mniej miła była dla niej matka w czasie rozmowy przez telefon. Kiedy w końcu dotarła do domu, Louis zszedł po schodach ubrany w maskę pletwonurka.

– Eileen – powiedziała matka. – Kochanie. Pozwoliłaś, żeby auto stoczyło się do jeziora. Nikt nie ukradł samochodu. Właśnie dzwoniła do mnie pani Wolstetter. Nie zaciągnęłaś hamulca ręcznego i nie przestawiłaś dźwigni biegów na pozycję postojową. Przetoczył się przez trawnik Wolstetterów prosto do jeziora.

– Pozycja postojowa, Eileen? – Głos Louisa był zaszklony i nosowy. – Takie małe P na końcu po lewej? N to pozycja neutralna i oznacza luz, tak? A P to postój, tak?

– Louisie – odezwała się matka.

– Chyba że N oznacza „nie”, a P... „posuwać”? A D to „dać sobie spokój”?

Po tym koszmarze Eileen nie była już w stanie zapamiętać, gdzie Louis jest czy też czym się zajmuje. Wiedziała, że poszedł do szkoły w Houston i chyba specjalizował się w czymś związanym z elektrotechniką, ale kiedy matka wspomniała o nim w rozmowie telefonicznej, być może chcąc powiedzieć, że zmienił specjalizację, w pokoju, z którego Eileen dzwoniła, nagle zrobiło się głośno. Nie mogła sobie przypomnieć, co matka przed chwilą powiedziała. Musiała zapytać: „No to jaki jest teraz... jego przedmiot kierunkowy?”. A w pokoju

znowu zrobiło się głośno! Nie potrafiła zapamiętać słów matki już w chwili, kiedy je wypowiadała! I dlatego też nigdy nie potrafiła pojąć, w czym Louis się specjalizował. Kiedy spotkała się z bratem podczas ferii świątecznych na drugim roku studiów magisterskich – robiła MBA na Harvardzie – musiała na chybił trafił zgadywać, co robił po ukończeniu Uniwersytetu Rice’a.

– Mama mówiła, że zajmujesz się czymś w rodzaju projektowania mikroukładów?

Utkwił w niej wzrok.

Pokręciła głową: nie, nie, nie, nie, cofnij to.

– Powiedz, co robisz – poprosiła pokornie.

– Patrzę na ciebie ze zdumieniem.

Dopiero później matka powiedziała jej, że Louis pracuje w stacji radiowej w Houston.

Eileen mieszkała w Cambridge, w pobliżu Central Square. Jej mieszkanie znajdowało się na ósmym piętrze nowoczesnego wieżowca, betonowej wieży górującej nad otaczającymi ją ceglami i sidingiem, jak coś, co nie uległo zniszczeniu, z umieszczonymi w podziemiach sklepami i restauracją rybną. Pewnego wieczoru pod koniec marca – była właśnie w domu i robiła ciastka czekoladowe z karmelem – Louis, którego ostatnio widziała w Evanston czytającego jakiś kryminał pod choinką, zadzwonił do niej i oświadczył, że przeprowadził się z Houston do niedrogiej miejscowości Somerville, na północ od Cambridge. Zapytała, co go tam ściągnęło.

– Mikroukłady – oświadczył.

Kilka dni później, w zimny i mokry wieczór kończącej się zimy, do jej mieszkania rzeczywiście wszedł ktoś obcy. W wieku dwudziestu trzech lat Louis wyłysiał na czubku głowy, a z jego loków pozostało akurat tyle, by mógł się na nich zebrać deszcz ze śniegiem. Jego toporne czarne oksfordy pisały na linoleum, kiedy z wolna odbijając się od blatów, przemierzał kuchnię Eileen po ścieżce w kształcie gwiazdy. Policzki i nos miał czerwone, a okulary białe od mgły.

– Jest bardzo nowoczesne – stwierdził, mając na myśli mieszkanie.

Eileen przycisnęła łokcie do boków i skrzyżowała ręce na piersiach. Wszystkie cztery palniki w kuchence buzowały pełnym ogniem, a na jednym z nich coś gotowało się w garnku.

– Nie da się tu odpowiednio n a g r z a ć – oświadczyła. Miała na sobie obszerny sweter, mechate kapcie i minispódniczkę. – Mam wrażenie, że piec wyłączają pierwszego kwietnia.

Odezwał się dzwonek domofonu. Nacisnęła przycisk.

– To Peter – powiedziała.

– Peter.

– Mój chłopak.

Po chwili usłyszeli pukanie do drzwi i wprowadziła do kuchni swojego chłopaka, Petera Stoorhuysa. Miał sine z zimna wargi, a jego opalona skóra była ziemisto

szara. Podskakiwał w miejscu, trzymając ręce w kieszeniach spodni z diagonalu, podczas gdy Eileen dokonywała prezentacji, choć Peter najwyraźniej zbyt przemarzył, żeby zwracać na to uwagę.

– Cholera – odezwał się, kucając przy kuchence. – Zimno.

Z jego twarzy biło zmęczenie, jakiego nie skryłaby żadna opalenizna. Miał jedną z tych miejskich twarzy, które były tak wiele razy stwarzane, że ukazywały już tylko niewyraźny obraz, jak raz po raz plamione i wycierane kartki. Zza fasady jego aktualnego wizerunku nowego mieszkańca Los Angeles wyzierały ślady japiszona, punka, ucznia prywatnej szkoły i przywódcy. Wielokrotne zmiany fryzury, jak zbyt częste czesanie, osłabiły mu włosy. Dla ochrony przed pogodą założył marynarkę w kurzą stopkę i koszulę bez kołnierzyka.

– W zeszłym miesiącu byliśmy z Peterem w St. Kitts – wyjaśniła Eileen Louisowi. – Wciąż jeszcze nie dostosowaliśmy się z powrotem do tutejszych warunków.

Peter wyciągnął dłonie z pobielającymi kłykciami nad dwoma palnikami i przypiekał je, przydając tej czynności tak wielkiego znaczenia, że Eileen i Louis mogli jedynie na niego patrzeć.

– W czapkach wygląda jak zupełny czubek – odezwała się Eileen.

– Z tego względu uważam, że k u r t k i są przydatne – odparł Louis, rzucając w ką kurtkę z syntetycznego

włókna. Ubrany był w swój uniform, który nosił bez przerwy od ośmiu lat, białą koszulę i czarne dżinsy.

– Bo widzisz, w tym właśnie rzecz – stwierdziła Eileen. – Jego ulubiona kurtka jest w czyszczeniu. Czy to nie głupie, że akurat teraz tam jest?

Minęło jeszcze pięć minut, zanim Peter na tyle odtajał, żeby wszyscy mogli przejść do salonu. Eileen zwinęła się na sofie, naciągnęła sweter na gołe kolana i wyciągnęła rękę na oparciu sofy właśnie wtedy, gdy Peter podawał jej szklaneczkę whisky. Louis krążył po pokoju, zatrzymując się co chwilę i jak to krótkowidze mają w zwyczaju, przybliżając twarz do książek i innych przedmiotów. Całe umeblowanie było nowe i w większości stanowiło połączenie białych płaszczyzn, czarnych walców i wiśniowych plastikowych sprzętów domowych.

– W takim razie, Louisie – odezwał się Peter, dołączając z whisky do Eileen na sofie – powiedz nam coś o sobie.

Louis przyglądał się pilotowi od magnetowidu. Na wielkich zaporowanych oknach odległe światła Harvard Square tworzyły aureole w perłowym kolorze.

– Pracujesz w łączności – podsunął Peter.

– Pracuję w stacji radiowej – odpowiedział Louis bardzo powoli i bardzo spokojnie. – Słyszeliście o WSNE? O *Wiadomościach z komentarzem*?

– Jasne – odrzekł Peter. – Znam tę stację. Nie żebym

jej kiedyś słuchał, ale kilka razy miałem z nią do czynienia. Prawdę mówiąc, z tego, co wiem, pod względem finansowym tkwią w niezłym bagnie. Co prawda, nie chcę przez to powiedzieć, że to rzadkość w przypadku stacji o małym zasięgu. Sugeruję, żebyś starał się odbierać wypłatę na koniec każdego tygodnia, a już na pewno nie daj im się wciągnąć w żadną współwłasność...

– Och, nie dam się – odparł Louis tak żarliwie, że ktoś postronny mógłby stać się podejrzliwy.

– No wiesz, możesz robić, co chcesz – ciągnął Peter. – Ale to... taka przestroga.

– Peter sprzedaje przestrzeń reklamową dla magazynu „Boston” – odezwała się Eileen.

– Między innymi – dodał Peter.

– Zastanawia się, czy jesienią nie starać się o przyjęcie do szkoły handlowej. Choć wcale tego nie potrzebuje. On tyle wie. Sto razy więcej ode mnie.

– Czy wiesz, jak słuchać? – nieoczekiwanie zapytał Louis.

Oczy Petera zwęziły się.

– Co masz na myśli?

– Czy wiesz, jak należy słuchać, kiedy zadajesz komuś dotyczące go pytanie?

Peter zwrócił się w stronę Eileen, jakby chciał zasięgnąć jej rady. Wydawało się, że nie jest pewien, o co chodzi w tej uwadze. Zerwała się na równe nogi.

– Chciał ci tylko coś poradzić, Louisie. Wszyscy mamy dużo czasu, żeby się nawzajem wysłuchać. Wszyscy jesteśmy bardzo zainteresowani... sobą nawzajem! Idę po pałeczki chlebowe.

Gdy tylko wyszła z pokoju, Louis usiadł na sofie i położył rękę na ramieniu Petera, po czym przysunął rumianą twarz do jego ucha.

– Posłuchaj, kolego – odezwał się. – Ja też mam dla ciebie pewną radę.

Peter patrzył wprost przed siebie, nieco rozszerzonymi oczami, jakby wskutek przetykanego uśmiechu. Louis nachylił się jeszcze mocniej.

– Nie chcesz posłuchać mojej rady?

– Masz jakieś problemy – zauważył Peter.

– Noś kurtki!

– Louis? – Eileen zawołała z kuchni. – Czyżbyś zachowywał się wobec Petera niestosownie?

Louis klepnął Petera w kolano i obszedł sofę od tyłu. Na podłodze na rozłożonej gazecie stała klatka z myszokoczką. Zwierzę biegło w kołowrotku jakby z wahaniem, zatrzymywało się, żeby postukać mikroskopijnym pazurkiem w poprzeczkę, po czym galopowało dalej z wysoko uniesionym łebkiem i głową zwróconą w bok. Trudno byłoby powiedzieć, żeby sprawiało mu to frajdę.

– Ty głuptasku. – Eileen wróciła z kuchni z wielokątnym kuflem wypełnionym pałeczkami



chlebowymi. Podała je Peterowi. – Opowiadam Peterowi o wszystkich naszych rodzinnych dziwactwach. Od kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, ostrzegałam go, żeby nie brał tego do siebie. – Nieoczekiwanie opadła na kolana z oszałamiającym wdziękiem, po czym otworzywszy drzwiczki klatki, wyciągnęła myszoscoczka za ogon. Uniosła go nad głowę i badawczo przyjrzała się drżącemu noskowi zwierzęcia. Jego przednie łapki bezskutecznie drapały powietrze. – Prawda, Miltonie Friedmanie? – Otworzyła usta niczym wilk, jakby zamierzała odgryźć myszoscoczce łebek. Następnie położyła go na zwróconej ku górze dłoni, a zwierzak wbiegł jej po rękawie na ramię. Eileen ponownie go złapała i zamknęła w złożonych dłoniach, tak że wystawała stamtąd tylko szpiczasta mordka z wąsikami. – Przywitasz się z moim bratem? – Gwałtownym ruchem podsunęła Louisowi pyszczek myszoscoczka pod nos. Mordka zwierzątka wyglądała jak puszysty penis z oczami.

– Cześć, gryzoniu – odezwał się Louis.

– Proszę? – Przysunęła myszoscoczka do ucha i uważnie słuchała. – Mówi: „Cześć, człowieku. Cześć, wujku Louisie”.

Wcisnęła zwierzątko na powrót do klatki i zamknęła drzwiczki. Nadal zantropomorfizowane, ale już wolne, sprawiało wrażenie imbecyla lub gbura, kiedy pobiegło do rurki poidelka i zaczęło skubać kropelkę wody. Eileen

jeszcze przez chwilę nie podnosiła się z kolan, z dłońmi przyciśniętymi do ud i przekrzywioną na bok głową, jakby miała wodę w uchu. Następnie szybkim i płynnym ruchem, wyraźnie zdumiewając tym Louisa, dołączyła do Petera na sofie.

– Peter i Milton Friedman – powiedziała – nie są obecnie w najlepszych stosunkach. Milton Friedman zrobił siusiu na popelinowe spodnie, do których Peter był bardzo przywiązany.

– Bardzo zabawne – stwierdził Louis. – Niesamowicie, wręcz niesamowicie zabawne.

– Chyba będę spadał – odezwał się Peter.

– Och, daj spokój, trochę cierpliwości – odparła Eileen. – Louis po prostu zazdrośnie mnie strzeże. Jesteś moim chłopakiem, ale on jest moim bratem. Będziecie musieli się dogadać i tyle. Wsadzę was do jednej klatki. Ty, Louisie, dostaniesz kołowrotek do dreptania, a dla mojego zmoczonego małego głuptaska naleję do poidelka trochę chivasa. Ha, ha, ha! – Eileen się roześmiała. – A Miltonowi Friedmanowi załatwimy spodnie z popeliny!

Peter opróżnił szklankę i wstał.

– Czas na mnie.

– Dobra, może jestem trochę irytująca – powiedziała Eileen zupełnie innym głosem. – Ale przestanę. Wyluzujmy. Zachowujmy się jak dorośli.

– Ty zachowuj się jak dorosła – odparł Peter. – Ja muszę zająć się pracą.

Nie oglądając się za siebie, wyszedł z pokoju, a potem z mieszkania.

– No to świetnie – stwierdziła Eileen. – Dzięki. – Odchyliła głowę na oparcie sofy i spojrzała na Louisa, wywracając oczami. Jej wąskie brwi wyglądały jak wargi, które nie oddychają, a ogołoczone z brwi oczy nad nimi nabrały wyrazu, na który nie ma określenia w ludzkiej mowie, jakiejś proroczej obcości. – Co mu powiedziałaś?

– Powiedziałem, że powinien nosić kurtki.

– Naprawdę urocze, Louisie. – Wstała i założyła pierwsze z brzegu buty. – Co się z tobą dzieje? – Rzuciła się pędem przez przedpokój i wybiegła za drzwi.

Louis obserwował, jak wychodzi, nie wykazując specjalnego zainteresowania. Zrobił kółko na zaparowanej szybie i spojrzał w dół na padający na Massachusetts Avenue śnieg z deszczem, podświetlony na różowo przez tylne światła samochodów. Zadzwoił telefon.

Podszedł do zajmującego osobny stoliczek aparatu telefonicznego i przesunął po nim wzrokiem, jakby stał przed barem, w którym nic mu się nie podoba. Kiedy dzwonek odezwał się po raz piąty, a sekretarka się nie włączała, w końcu podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Peter? – usłyszał drżący głos jakiejś starszej kobiety.

– Peter, tyle razy próbowałam...

– Nie jestem Peter.

Usłyszał zaniepokojony szmer. Szepcząc słowa przeprosin, kobieta zapytała o Eileen. Louis zaproponował, że przekaze jej wiadomość.

– A kto mówi? – zapytała kobieta.

– Brat Eileen. Louis.

– L o u i s? No proszę, na miłość boską. Mówi babcia. Przez długą chwilę wpatrywał się w okno.

– Kto? – zapytał.

– Rita Kernaghan. B a b c i a.

– Och. Cześć, babciu. Cześć.

– Chyba więcej niż raz to się nie widzieliśmy.

Poniewczasie Louisowi przyszedł do głowy jakiś obraz, widok brzuchatej kobiety z twarzą pomalowaną tak, by przypominała domowego kotka, która siedziała przy stole w Berghoff, w Chicago, kiedy pewnego śnieżnego wieczoru weszli do restauracji całą grupką, on i rodzice oraz Eileen. Było to jakieś siedem lat temu, chyba rok po tym, jak matka poleciała do Bostonu na pogrzeb swojego ojca. Z tego obiadu w Berghoff zapamiętał jedynie talerz z duszonym królikiem i plackami ziemniaczanymi. I Ritę Kernaghan dotykającą włosów Eileen i mówiącą do niej „laleczko”. Choć może był to jakiś inny obiad i jakaś inna stara kobieta. A może to mu się tylko przyśniło?

Nie do końca babcia – druga żona dziadka.

– Tak – powiedział. – Pamiętam. Mieszkasz gdzieś niedaleko.

– Tak, zaraz obok Ipswich. Odwiedzasz siostrę?

– Nie, pracuję tu. W stacji radiowej.

Ta informacja chyba ją zaciekawiła. Zaczęła wypytywać Louisa o szczegóły. Czy jest spikerem? Czy zna dyrektora programowego? Zaproponowała, żeby poszli razem na drinka.

– Poznamy się trochę. Może w piątek po pracy? Będę wieczorem w mieście.

– Dobrze – odparł Louis.

Ledwo zdążyli ustalić porę i miejsce, a Rita Kernaghan mruknęła „do widzenia” i połączenie zostało przerwane. Chwilę później Eileen, mokra i zła, wróciła do mieszkania i zniknęła w kuchni.

– Dopóki mnie nie przeprosisz, nie będzie kolacji! – oświadczyła.

Louis zmarszczył brwi w zamyśleniu, pogryzając paluszki.

– Zachowałeś się jak jakiś gówniarz i łobuz – stwierdziła Eileen. – Powinieneś mnie przeprosić.

– Nie przeproszę. Nawet nie podał mi ręki.

– Był p r z e m a r z n i ę t y!

Szczerłość siostry sprawiła, że aż przewrócił oczami.

– Dobrze – powiedział. – Przykro mi, że popsulem wam kolację.

– W każdym razie nie rób tego więcej. Tak się składa, że bardzo lubię Petera.

– Kochasz go?

Eileen wyszła z kuchni z zakłopotanym wyrazem twarzy. Louis nigdy nie zadał jej pytania, które byłoby choć trochę osobiste. Usiadła obok niego na kanapie i sięgnęła do palców u nóg, w takiej pozycji, jakby zamierzała ogolić łydki, z czubkiem nosa delikatnie wspartym na jednym kolanie.

– Czasami wydaje mi się, że tak – stwierdziła. – Chociaż tak naprawdę nie jestem romantyczna. Milton Friedman jest bardziej w moim stylu. W każdym razie dziwne, że o to pytasz.

– Pytanie jest chyba oczywiste?

Nadal pochylona, zamknęła jedno oko i przyjrzała się bratu.

– Wyglądasz inaczej – powiedziała.

– Inaczej niż...?

Pokręciła głową, nie chcąc przyznać, że nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że jej młodszy brat w wieku dwudziestu trzech lat będzie cokolwiek wiedział o miłości. Zaczęła ze szczególną uwagą przyglądać się swoim kostkom, przesuwając palcami po wystających, okrągłych kościach, szczypała sobie ścięgna i lekko się kołysała. Zaczęła tracić urodę. Czas, słońce i szkoła handlowa powodowały, że jej skóra jakby wyblakła, spod warstwy świeżej farby, niczym stare tapety, zaczęła nagle przezierać Eileen w średnim wieku. Spojrzała na Louisa niepewnie.

– To miłe, że znowu mieszkamy w tym samym

mieście.

– Tak.

Stała się jeszcze bardziej nieśmiała.

– Lubisz swoją pracę?

– Jeszcze za wcześnie, żeby coś o tym powiedzieć.

– Czy możesz dać Peterowi szansę, Louisie? Może wydawać się nieco arogancki, ale tak naprawdę jest bardzo wrażliwy.

– A właśnie, coś mi się przypomniało – stwierdził Louis. – Ktoś do niego dzwonił, kiedy byłaś na dworze. Zapytałem, kto dzwoni. Babcia? Jaka babcia?

– Och, to Rita. Mnie też próbowała przekonać, żebym zwracała się do niej „babciu”.

– Zupełnie wyleciało mi z głowy, że istnieje.

– To dlatego, że ona i mama są w takich stosunkach... Grrrrrr. – Eileen chwyciła się obiema rękami za szyję. – Słyszałeś coś na ten temat?

– Wiesz, kiedy ostatni raz tak naprawdę rozmawiałem z mamą? W czasach, gdy Ferguson Jenkins grał w Chicago Cubs.

– No tak. Ale wygląda na to, że dziadek w pewnym momencie zarobił mnóstwo pieniędzy, a kiedy umarł, nic nie zostawił mamie czy cioci Heidi, bo ożenił się z Ritą. I to ona dostała wszystko.

– Z pewnością nie jest to sposób, żeby zdobyć serce mamy.

– Ale Peter mówi, że Rita w rzeczywistości też nic nie

dostała. Wszystko jest w funduszu powierniczym.

– Skąd Peter o tym wie?

– Pracował dla Rity jako specjalista od reklamy. Tak go właśnie poznałam. – Eileen podskoczyła i podeszła do półki. – Po śmierci dziadka Rita zainteresowała się ruchem New Age. Postawiła piramidę na dachu domu. Wino trzyma w stodole, bo uważa, że nie dojrzeje pod piramidą. To jej nowa książka. – Podała Louisowi cienki jaskraworóżowy tomik. – Drukuje je jakiś rzekomy wydawca w Worcester i wszystkie przychodzą w jednej przesyłce, w tych ogromnych skrzyniach. Kiedy ostatni raz byłam u niej w domu, wszystkie egzemplarze trzymała w stodole, razem z winem. Taka ogromna ściana książek. Właśnie po to jej specjalista od reklamy. No i potrzebuje go także do swoich prelekcji. Ale powiedz mi, chcesz tortellini z sosem pomidorowym czy linguine z białym sosem z małży?

– To, co łatwiej przyrządzić.

– Obojętnie, i jedno, i drugie jest z torebki.

– Tortellini – stwierdził Louis. Jaskraworóżowa książka nosiła tytuł *Księżniczka Itaray: Wyjątkowa historia Atlantów*. Na stronie tytułowej autorka napisała: „Dla Eileen, mojej laleczki, z wyrazami miłości od babci”. Louis przekartkował książkę podzieloną na rozdziały, podrozdziały i podpodrozdziały ponumerowanymi, wydrukowanymi wytłuszczoną czcionką nagłówkami:

#### **4.1.8. Skutki zniknięcia wyrostka dimezyjskiego:**



## **czy można powrócić do Edenu?**

Spojrzał na skrzydełko okładki. „W swoim pełnym fantazji, ale zarazem erudycyjnym opracowaniu dr Kernaghan wysuwa hipotezę, wedle której fundamentem funkcjonowania społeczeństwa Atlantydy było powszechne zaspokajanie popędu płciowego, i sugeruje, że wyrostek robaczkowy człowieka, będący obecnie jedynie organem szczątkowym, u Atlantów pełnił niezależną i niezwykle istotną funkcję. W oparciu o regresję hipnotyczną czternastoletniej uczennicy, Mary M. z Beverly, w stanie Massachusetts, dr Kernaghan podejmuje frapujące badania głębokiej psychologii Atlantów, historycznej genezy tłumionej seksualności oraz drzemających we współczesnym świecie możliwości powrotu do złotego wieku...”

– Napisała jeszcze dwie inne książki – powiedziała Eileen.

– Jest doktorem?

– To jakiś tytuł honorowy. Milton Friedman uważa, że o niczym głępszym w życiu nie słyszał. Prawda, Miltonie Friedmianie? Peter bardzo jej pomógł, dzięki niemu kilka razy wystąpiła w radiu i telewizji. Ma mnóstwo kontaktów, a zajmuje się tym tylko dorywczo. W końcu musiał jej jednak powiedzieć, żeby znalazła sobie kogoś innego. Po pierwsze, ona bardzo dużo pije. A do tego mówi o dziadku tak, jakby ciągle żył i przez cały czas z nią rozmawiał. Nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać.

Louis nie wspomniał, że umówił się z Ritą na drinka.

– W każdym razie w ten sposób poznałam Petera. Ona ma piękną posiadłość, pewnie jej nie pamiętasz. Jak byliśmy mali, spędziliśmy tam mniej więcej tydzień. Przypominasz sobie?

Louis pokręcił głową.

– Prawdę mówiąc, ja też nie. W tym czasie Rita nie wkroczyła jeszcze na scenę. To znaczy, nadal była sekretarką dziadka. Czasami się zastanawiam, co byśmy o nim myśleli, gdyby nadal żył.

Przez resztę wieczoru Louis raz po raz zmieniał krzesła, a Eileen krążyła wokół niego. Najwyraźniej nie czuła się szczególnie odpowiedzialna za talerz z jedzeniem; to odchodziła od stołu, to wracała, jedzenie zdane było na jej łaskę i niełaskę. Kiedy Louis wkładał płaszcz, zbierając się do wyjścia, niezdarnie poklepała brata po ramieniu i jeszcze bardziej niezdarnie go objęła.

– Uważaj na siebie, dobra?

Wyrwał się jej.

– Co masz na myśli? Myślisz, że gdzie się wybieram? Mam do przejścia tylko cztery kilometry.

Trzymała rękę na jego ramieniu, dopóki nie znalazł się za drzwiami. Chwilę później, kiedy włączyła telewizyjne wiadomości, ktoś zapukał. W korytarzu stał Louis, wyglądał, jakby miał jakąś sprawę, patrzył gdzieś w bok spod zmarszczonych brwi.

– Właśnie coś sobie przypomniałem – oświadczył. –

Przypomniałem sobie tamto miejsce w Ipswich, dom ojca naszej mamy. Rzucaliśmy kamieniami...

– Aha! – Twarz Eileen pojaśniała. – W konie.

– Rzucaliśmy kamieniami w konie...

– Żeby je uratować!

– Żeby je uratować przed śmiercią. Czyli ty też to pamiętasz. Myśleliśmy, że umrą, jeśli nie będą się ruszać.

– Tak.

– To tyle. – Louis się odwrócił. – Na razie.

W liceum Louis nigdy nie zraził się na tyle, żeby musiał przeproszać za swoją miłość do radia. Radio było czymś w rodzaju okaleczonego zwierzęcia lub opóźnionego w rozwoju rodzeństwa, dla którego zawsze znajdował czas, a jeśli ludzie się z tego śmiali, nigdy na to nie zważał, a nawet tego nie zauważał. Kiedy Eileen widywała go gdzieś na peryferiach, zazwyczaj szedł do lub wracał z klimatyzowanego i pustego sklepu z elektroniką, usytuowanego na jakimś zachwaszczonym placu, gdzie poza tym przybytkiem działała co najwyżej jakaś chińska restauracja wiodąca swoje ostatnie, dziewiąte życie, ewentualnie opustoszały sklep zoologiczny. Z regałów z paczkowanymi układami scalonymi i złączami RF, potencjometrami montażowymi, krokodylkami, zworkami i przeróżnymi kondensatorami wybierał pozycje figurujące na samej górze swojej listy życzeń, po czym sumował ceny w głowie, z grubsza szacował podatek od sprzedaży

i wręczał towar smutnemu wąsatemu mężczyźnie, który wolałby sprzedawać wieże stereo, a następnie płacił drobnymi banknotami, jakie otrzymywał od sąsiadów za prace odpowiednie dla niższych warstw społecznych: mycie ścian, przycinanie krzaków, opiekę nad psami. Miał dziesięć lat, kiedy dostał odbiornik na diodach krystalicznych, dwanaście, gdy zbudował własną krótkofalówkę z zestawu do samodzielnego składania HeathKit, czternaście, kiedy uzyskał sygnał wywoławczy WC9HDD, a szesnaście, kiedy dostał licencję kategorii 5. Radio było dla niego czymś własnym, jego prawdziwym hobby. Dziecko potrafi czerpać satysfakcję – porównywalną z seksualnym zaspokojeniem, choć obie przyjemności może i łączą się gdzieś w mrocznych zaułkach jego psychiki – kiedy składa razem kilka prostych metalowych i ceramicznych przedmiotów, przedmiotów, o których wie, że są proste, bo na drodze eksperymentów wiele z nich już zniszczyło za pomocą śrubokrętu i kleszczy, i podłącza je do baterii, po czym słyszy w swoim pokoju płynące z daleka głosy. Na narzucie jego łóżka wały się zagubione rezystory; ich oznaczenie kolorów znał na pamięć dobry rok przed tym popołudniem, kiedy stracił dziewictwo i dowiedział się o istnieniu plemników oraz komórek jajowych. „Ojej, co to jest?” (A był to 220-omowy metalizowany rezystor ze złotym paskiem tolerancji). Louis był też jednym z nielicznych radioamatorów w obszarze

metropolitalnym Chicago gotowym mówić lub kodować w języku francuskim, więc gdy plamy na słońcu były wyjątkowo duże, potrafił przez pół nocy zajmować się wymianą odczytów temperaturowych i danych autobiograficznych z radioamatorami ze wszystkich zasypanych śniegiem zakątków Quebecu. Nie czyniło go to jednak szczególnie rozmownym na lekcjach francuskiego; był wtedy raczej znudzony, gdyż zawsze skrywał przed innymi wszystko, co robił naprawdę dobrze.

Wstąpił na Uniwersytet Rice'a jako potencjalny student elektrotechniki, a ukończył uczelnię z dyplomem z języka francuskiego, w tym czasie przez trzy semestry kierując studencką stacją KTRU. Tydzień po ukończeniu studiów podjął pracę w lokalnej stacji C & W. Miał tam stosunkowo atrakcyjne obowiązki, ale pożegnał się z rozgłośnią po zaledwie ośmiu miesiącach, tłumacząc się z tego faktu przed Eileen jedynie prostym pytaniem:

– A dlaczego ludzie rzucają pracę?

Studia stacji WSNE, jego nowego pracodawcy, znajdowały się w zachodniej dzielnicy Waltham, w budynku biurowym z widokiem na róg szesnastohektarowego terenu przeznaczonego na skrzyżowanie drogi numer 128 (ze znakami Region Technologii Ameryki) z drogą zwaną Mass Pike. Louis oficjalnie pracował na stanowisku operatora konsoli. Było to zajęcie dla wyrobnika: miał obsługiwać

magnetofon kasetowy, włączać w odpowiednim momencie płyty i precyzyjnie planować program przed emisją wiadomości sieci Associated Press, ale robił to tylko od szóstej do dziesiątej rano, bo jedynie Dana Drexela, spikera pracującego w porannych godzinach szczytu, uważano za na tyle niezastąpionego, żeby przydzielić mu operatora. Louis zrozumiał, że pozostałą część dnia pracy, który kończył się o trzeciej po południu, miał spędzać na tak ciekawych zajęciach, jak wstukiwanie na klawiaturze danych o ruchu ulicznym, przenoszenie reklam agencji ze szpuli na kasety, pisanie ogłoszeń społecznych i klasyfikacja zgłoszeń konkursowych, dzięki którym stale zmniejszająca się liczba słuchaczy stacji próbowała wygrać różne bezwartościowe prezenty. Zdawał sobie też sprawę, że za swoją pracę będzie otrzymywał pensję równą minimalnej stawce federalnej.

Jednym z powodów, dla których stanowisko to nie cieszyło się wielkim wzięciem, było powszechne oczekiwanie, że czerwcową akceptacja wniosku WSNE o przedłużenie licencji nie będzie tylko formalnością. Czeki z wypłatą wydawano z dokładnymi instrukcjami, kiedy można, a kiedy nie można ich realizować. Nienasycona lista płac wkroczyła do głównego studia produkcyjnego i wyrwała sprzęt dźwiękowy, panele akustyczne oraz wszystkie inne posiadające jakąkolwiek wartość przedmioty, pozostawiając poszarpane puste

prostokąty z odsłoniętą płytą wiórową w pokrytych plastikowym laminatem stołach mikerskich i wyglądające jak karmel plamy po kleju na ścianach. Nowo powstała stacja studencka kupiła całą kolekcję płyt stacji WSNE, z wyjątkiem części dla dzieciaków (cały zestaw płyt z tematami z *Troskliwych Misiów*, *Muppety*, oryginalna ścieżka dźwiękowa do disnejowskiego *Kubusia Puchatka*, Flintstonowie przerabiający tabliczkę mnożenia) i nagrań satyrycznych. Rowki w tych ostatnich szybko wytarły się na gładko podczas porannych programów *Wiadomości z komentarzem*, w których aktualności i relacje przeplatano „najzabawniejszymi numerami wszech czasów”.

Właścicielem stacji WSNE i jej dyrektorem był niejaki Alec Bressler, rosyjski emigrant pochodzenia niemieckiego, który w połowie lat sześćdziesiątych rzekomo przewiosłował w gumowym pontonie z Kaliningradu do Szwecji. Jedynym oficjalnym obowiązkiem, jaki sam sobie przydzielił, było nagrywanie na taśmę codziennej audycji redakcyjnej, ale i tak przez cały dzień kręcił się po studiach, z ogromną satysfakcją obserwując, że energia elektryczna płynie przez wszystkie niezbędne obwody, że stanowiąca jego własność stacja faktycznie funkcjonuje i transmituje wybrane przez niego programy. Był umiarkowanie brzuchatym pięćdziesięciolatkiem, jego włosy, jakoś zdewaluowane i opornie rosnące, wskazywały, że

pochodzi z bloku wschodniego, a skórę miał poszarzałą od nałogowo palonych papierosów, którym potrafił opierać się tylko o tyle, że uzależnił się od nikotynowych pastylek. Nosił cienkie swetry i wyblakłe, obciste na udach, zbyt krótkie spodnie, a każda para wyglądała tak staro, że mogła wraz z nim przybyć w legendarnym pontonie.

Louis szybko się zorientował, że oczekiwano od niego pełnienia również innej funkcji, miał mianowicie służyć za osobistą publiczność Aleca Bresslera.

– Lubisz wyrażać swoje zdanie? – zapytał go właściciel stacji już drugiego dnia pracy, kiedy Louis zajmował się drukowaniem dokumentów notarialnych dla sponsorów. – Właśnie udało mi się wyrazić bardzo ciekawą opinię. Skomentowałem aktualne wydarzenie. Zgadniesz, o co chodzi?

Na twarzy Louisa pojawiła się powściągliwość, choć w każdej chwili gotów był dać wyraz swemu rozbawieniu.

– Powiedz mi – odparł.

Alec zawisł jakby w powietrzu i sięgnął ręką za plecy, żeby przyciągnąć sobie krzesło.

– Chodzi o tę straszną katastrofę lotniczą w weekend. Zapomniałem, w którym to było stanie, gdzieś na środkowym zachodzie, jego nazwa zaczyna się na „I”. Dwieście dziewiętnaście ofiar, nikt nie przeżył. Kompletna dez-in-tegracja kadłuba. Zakwestionowałem



wartość tego typu wiedzomości. Z całym szacunkiem dla rodzin zmarłych, dlaczego musimy oglądać to w telewizji? Widzieliśmy to w zeszłym miesiącu, dlaczego mamy znowu na to patrzeć? Jeśli ludzie chcą oglądać katastrofy, dlaczego nie oglądamy pocisków marynarki i samolotów sił powietrznych, które rozbijają się za każdym razem, gdy je testujemy? Jeśli ludzie chcą oglądać śmierć, zabierzmy kamery do szpitali, co? Zobaczmy, jak umiera większość ludzi. Powiedziałem, co możemy oglądać zamiast takich wiedzomości, które powinny być bojkotowane. Jest *M\*A\*S\*H*, a w tym samym czasie także seriale komediowe *Zdrówko* i *Family Ties* czy kryminalny *Matt Houston*. Nawet reklamy są lepsze. Oglądajmy te programy. Albo czytajmy książki, choć akurat tego nie podkreśliłem. Zbyt często mówię, żebyśmy czytali książki.

– Czy to przypadkiem nie przegrana sprawa? – zapytał Louis.

Alec nacisnął na podłokietniki krzesła i wcisnął weń głębiej tyłek, żeby bardziej się nachylić i zawładnąć tymi resztkami uwagi Louisa, których jeszcze w pełni nie posiadał.

– Kupiłem tę stację osiem lat temu – powiedział. – Było w niej dużo lokalnych wiedzomości, muzyki popularnej, także meczów Bruinsów. Od ośmiu lat staram się u s u n ą ć p o l i t y k ę z WSNE. To mój „amerykański sen”: stacja, w której ludzie przez cały

dzień mówią (bez muzyki, to oszust-two!) i nie pada ani SŁOWO o polityce. To mój amerykański sen. Radio, w którym przez cały dzień się rozmawia i nie ma żadnej ideologii. Porozmawiajmy o sztuce, filozofii, humorze, życiu. Porozmawiajmy o tym, co znaczy być człowiekiem. A im bliżej jestem do mojego celu, można przedstawić to na wykresie, Louisie, im bliżej jestem tego celu, tym mniej ludzi mnie słucha! Teraz mamy wszystkiego jedną godzinę aktualnych wydarzeń rano, a ludzie słuchają dla tej jednej godziny wiadomości. Wszyscy wiemy, że Jack Benny jest zdecydowanie zabawniejszy od rozmów rozbrojeniowych w Genewie. Ale wystarczy zabrać Genewę, a oni przestaną słuchać Jacka Benny'ego. Tacy są ludzie. Wiem o tym. Zrobiłem wykres.

Złożył palce razem i wyskubał papierosa z paczki Benson & Hedges.

– Co to za dziewczyna? – zapytał, nachylając się w stronę zdjęcia w półotwartej szufladzie. Młoda kobieta na fotografii miała ciemne obwódki wokół oczu i ogoloną głowę.

– Ktoś, kogo znałem w Houston – odpowiedział Louis.

Alec się schylił, po czym zrobił to raz jeszcze, jakby chciał powiedzieć: „Chyba wystarczy”. Po chwili schylił się po raz kolejny, bardzo zdecydowanie, i bez słowa wyszedł z gabinetu.

W piątek po pracy Louis wsiadł do sześćioletniej hondy civic i ulicą Mass Pike pojechał do Bostonu, gdzie wjechał na najwyższy poziom parkingu o kształcie i wymiarach lotniskowca. Wiatr od wschodu nadawał aury ostatecznego pożegnania procedurze opuszczania samochodu; składało się na nią zerkanie przez okno po stronie kierowcy, uderzenie po kluczach w kieszeni spodni, szarpnięcie za klamkę zamkniętych drzwi po stronie kierowcy, powolne okrążenie pojazdu i sprawdzanie drzwi po stronie pasażera, ponowne uderzenie w klucze i rzucenie ostatniego surowego i zmartwionego spojrzenia na pojazd. Za dwie godziny miał się spotkać w hotelu Ritz-Carlton z Ritą Kernaghan.

Front ciepłego powietrza zaczął ścinać jasny błękit nieba. W dzielnicy North End smukły neonowy but o nazwie ITALIA kopał potworny neonowy głaz o nazwie SYCYLIA. Nie dało się nie zauważyć napisu RYNEK MIĘSNY. Można było odnieść wrażenie, że mieszkający tu Włosi – stare kobiety w rozchylonych pod szyją wzorzystych sukienkach, które zastygły na chodnikach jak robiące sobie irracjonalną przerwę owady, młodzi właściciele samochodów noszący fryzury przypominające sobolowe futra – są nękani przez wiatr, jakiego turyści i majątni intruzi zupełnie nie odczuwają, socjologiczny wiatr niosący wilgotny pył remontu, wiar chłodny jak zainteresowanie społeczeństwa ciężkimi czerwonymi sosami z oregano i Frankiem Sinatra, żywy

jak zapotrzebowanie w Bostonie na nieruchomości w cenionych dzielnicach, w których żyją biali. RYNEK MIĘSNY. RYNEK MIĘSNY. Turyści ze Środkowego Zachodu wspinali się na wzgórze. Para japońskich młodziaków, z palcami wetkniętymi w zielone przewodniki Michelina, przemknęła obok Louisa, kiedy zbliżał się do Old North Church, którego rzeczywiste położenie wśród ciasnej zabudowy szybko i niezauważenie przesłonił bardziej zalesiony obraz, jaki stworzył sobie w głowie, zanim ujrzał to miejsce. Okrążył wiekowy cmentarz, myśląc o Houston, gdzie już przybyło lato, gdzie ulice śródmieścia pachniały bagnami cyprysów, a żywe dęby zrzucały zielone liście, i przypominając sobie rozmowę z pewnej wilgotnej nocy w tamtym mieście. „Następnym razem ci się powiedzie. Przysięgam, że ci się uda”. Widział białe wnętrza budynków naprzeciw cmentarza, sprzęt audiowizualny tak rażący, jak urządzenia na OIOM-ie, duże zabawki w podstawowych kolorach pośrodku nagich pomieszczeń.

Na Commercial Street tysiąc okien, smętnych i kwadratowych, nieozdobionych okien, wznoszących się tak wysoko, jak tylko sięgał wzrok. Jasnozielone, nieprzejryste, nawet przez moment niemrugające do obserwatora i go wykluczające. Na ziemi nie było śmieci, którymi wiatr mógłby poruszać, niczego, na czym mogłoby spocząć oko, jedynie nowe ściany z cegły, nowy betonowy chodnik i nowe okna. Wydawało się, że

jedynym spoiwem, który powstrzymuje te mury i ulice przed zawaleniem, jedyną siłą zachowującą te czyste, nieprzeniknione i sztapowe powierzchnie są akty własności i czynsze.

Z Faneuil Hall, oazy sensu i celu dla strudzonych turystów, docierał zapach tłuszczu: hamburgerów i smażonych owoców morza, świeżych rogalików, gorącej pizzy, ciasteczek z czekoladą, frytek i gorącego krabiego mięsa pokrytego roztopionym serem, pieczonej fasoli, nadziewanej papryki, quiche i chrupiących smażonych orientalnych nuggetsów z sosem sojowym tamari. Louis zanurzył się w podcienia i się z nich wynurzył, żeby po drodze przywłaszczyć sobie serwetkę i wytrzeć nos. Przez ten spacer i zimne powietrze zdrętwiał tak bardzo, że całe ciemniejące miasto wydawało mu się tylko surową projekcją ludzkiej samotności, samotności tak głębokiej, że tłumiała dźwięki – okrzyki sekretarek, hałas silników samochodów ciężarowych, nawet ciężko pracujących niskotonowych głośników przed sklepami z urządzeniami gospodarstwa domowego – do tego stopnia, że prawie ich nie słyszał.

Na Tremont Street, pod spojrzeniem okien, tutaj już na tyle przejrzystych, żeby odsłonić niezaludnione pokoje wypełnione technologią bogactwa i umeblowaniem bogactwa, stanął naprzeciw wielkiego potoku sprzeciwiających się aborcji demonstrantów. Wylewali się z chodnika na ulicę, kierując się w stronę siedziby

zgromadzenia. Wszyscy wyglądali, jakby zaraz mieli zalać się łzami gniewu. Kobiety, ubrane jak stewardesy lub nauczycielki wychowania fizycznego, trzymały pionowo wzniesione trzonki transparentów, jakby chcąc zawstydzić innych uczestników demonstracji, że niosą swoje hasła z taką dezynwolturą. Nieliczni mężczyźni w tłumie szurali nogami, idąc z pustymi rękami i patrząc przed siebie pustym wzrokiem, nawet ich włosy były zdeorientowane przez wiatr. Już po samym sposobie, w jaki mężczyźni i kobiety tłoczyli się, maszerując i z ponurymi minami mijając innych przechodniów, widać było, że przyszli do parku Common, spodziewając się czynnego prześladowania, czegoś na kształt współczesnego odpowiednika głodnych lwów i zblazowanego tłumu pogańskich widzów. Co ciekawe, ta dolina cienia okolona była restauracjami, luksusowymi hotelami, sklepami z walizkami, mroźnymi oknami.

Louis wyłonił się z ostatnich szeregów pochodu z założonym już krawatem. Zawiązał go, kiedy uchylał się przed transparentem z napisem STOP RZEZI.

Dopiero po ponad godzinie, spędzonej przy często potrącanym stoliku w mrocznym barze Ritza, uświadomił sobie, że Rita Kernaghan wystawiła go do wiatru. Gin z tonikiem, jaki sobie zamówił, automatycznie nadał jego twarzy czerwony kolor świateł stopu, a jedna rozmowa, która stale wypływała na powierzchnię w morzu rywalizujących ze sobą głosów,

dotyczyła eunuchów. Szybko się zorientował, że chodziło o słowo e-book, ale ciągle słyszał eunuch, coś wspaniałego o eunuchu, z eunuchem możesz zrobić, nie cierpię eunucha, sprzeciwiam się eunuchom, rozwijający się świat eunuchów.

– Bardzo źle się czuję – mamrotał do siebie na głos co kilka minut. – Czuję się bardzo źle. – W końcu zapłacił i wyszedł przez hol poszukać telefonu. Musiał obejść łukiem trzech biznesmenów, którzy wyglądali jak trojaczki. Ich usta poruszały się jak usta gumowych lalek:

– Czujesz to?

– Nie moglibyśmy, tutaj.

– Twierdzisz, że kłamię?

Była dziewiętnasta dziesiąta. Louis zadzwonił do informacji i na pytanie o miasto, do którego chciał zatelefonować, powiedział: Ipswich. Używany przez niego aparat był lepki od wody kolońskiej, na którą Louis chyba był uczulony, tak bardzo denaturowała mu słuzówkę. Odczekał osiem sygnałów i kiedy już miał się rozłączyć, odebrał jakiś mężczyzna, który apatycznym, niskim, oficjalnym głosem rzekł:

– Agent Dobbs, słucham.

Louis odpowiedział, że chciałby rozmawiać z panią Kernaghan.

Eunuchy, woda kolońska, płód. Dobbs.

– Kto mówi?

– Jej wnuk.

Usłyszał, że ktoś zasłania dłonią słuchawkę, i jakiś głos w tle, następnie zaległa zaś cisza. W końcu odezwał się inny mężczyzna, niejaki sierżant Akins.

– Chcielibyśmy z panem porozmawiać – powiedział. – Jak zapewne się pan orientuje, miało tu miejsce trzęsienie ziemi. A pan nie będzie mógł porozmawiać z panią Kernaghan, bo kilka godzin temu znaleziono ją martwą.

W tym momencie automatyczna centrala telefoniczna zaczęła domagać się kolejnych monet, a Louis zaczął grzebać po kieszeniach.



## 2.

Podobnie jak Rzym, Somerville zbudowano na siedmiu wzgórzach. Mieszkanie, w którym Louis znalazł pokój do wynajęcia, znajdowało się na Clarendon Hill, położonym najbardziej na zachód i – z braku lepszego kandydata – najzieleńszym z tych siedmiu wzgórz. W pozostałej części miasta drzewa zazwyczaj kryły się za domami bądź tkwiły w kwadratowych dziurach w chodniku, gdzie dzieci obrywały im gałęzie.

Na początku stulecia Somerville było najgęściej zaludnionym miastem w kraju; ten demograficzny wyczyn możliwy był dzięki gęstej siatce ulic i rezygnacji z parków i trawników przed domami. Miasto pełne było trzykondygnacyjnych domów, do których pomalowania użyto różnych kolorów, na przykład niebieskiego i żółtego, białego i zielonego czy brązowego i brązowego, domów z drewnianymi elewacjami, z wielokątnymi wykuszami lub umieszczonymi trójkami jedna nad drugą chybotliwymi werandami.

Po ulicach Somerville ciągnęły nieprzerwane sznury aut, które bardziej przypominały niedopasowane buty niż rzeczywiste samochody. Mozolnie wlewały się do pracy rankami lub dreptały tam i z powrotem po jezdni, przeganiane odbywającym się dwa razy w miesiącu zamiataniem ulic. Nawet na początku lat osiemdziesiątych, kiedy gospodarka Massachusetts

doświadczala cudu, dzięki miliardom dolarów płynących z Pentagonu do byłych ośrodków przemysłu włókienniczego stanu Massachusetts, Somerville zamieszkiwali głównie członkowie najniższego szczebla hierarchii obuwniczej. Widać było miękkie zamszowe buty ze śladami soli i zdarte z wierzchu czółenka w dwóch nieszczęśliwych kolorach, zaparkowane przed drzwiami domów irlandzkich i włoskich przedstawicieli klasy średniej, znoszone adidas na podjazdach samotnych kobiet, glany i okazje z Armii Zbawienia w pobliżu lokali tych, którzy uważali miejscowość za przewrotnie szykowną, ustawione na ceglach tenisówki Keds bez sznurówek w ogródkach za domami zanikającej kontrkultury, wskazujące na domy pośredników w handlu nieruchomościami i emerytów szerokie na całej długości sportowe buty z miękkim pomarszczonym wierzchem i podeszwami z gumowej pianki, wysłużone studenckie mokasyny Wallabees pod daszkami zniszczonych akademików, kilka mokasynów Gucci z frędzelkami na parkingu ratusza miejskiego, lśniące botki z ćwiekami i lekkie pantofelki do tańca oraz sportowe obuwie inspirowane komiksem *Flash Gordon* na podjazdach domów rodziców, z którymi wciąż mieszkaly osiemnasto- lub dwudziestolatki.

Pod koniec lat osiemdziesiątych, tuż przed spowolnieniem rozbudowy narodowego arsenału, kiedy banki w Massachusetts zaczęły podupadać, a cud okazał

się nie tyle cudem, co raczej ironią i oszustwem, Somerville najechały samochody nowego rodzaju. Nowy typ wyglądał na formowany wtrąceniowo. Podobnie jak Reebok i jego naśladowcy w końcu doprowadzili do tego, że prawdziwa skóra wyglądała zupełnie jak sztuczna, tak Detroit i jego zagranicznym odpowiednikom udało się spowodować, że tworzywa sztucznego nie dało się odróżnić od prawdziwego metalu i szkła. Najbardziej jednak interesująca w tym nowym typie była jego nowość. W mieście, w którym od dziesięcioleci samochód po raz pierwszy zajeżdżający pod dom miał najczęściej na przedniej szybie cenę wypisaną żółtą kredą, nagle zaczęto widywać resztki nalepki na lewej tylnej szybie. Lokalni właściciele nieruchomości, ludzie z głową na karku, zaczęli podwajać wysokość czynszu w kolejnych umowach najmu, a Somerville, położone zbyt blisko Bostonu i Cambridge, by na zawsze pozostać rajem dla najemców, weszło w wiek dojrzały.

Louis zajmował pokój w składającym się z dwóch sypialni mieszkaniu przy Belknap Street, wynajmowanym przez słuchacza studiów magisterskich z psychologii na Uniwersytecie Tufts. Ów student, Toby, już na wstępie obiecał Louisowi: „Nasze ścieżki nigdy się nie skrzyżują”. Drzwi pokoju Toby’ego były otwarte, kiedy Louis wracał z pracy, pozostawały otwarte, kiedy kładł się spać, i okazywały się zamknięte, kiedy wychodził w ciemnościach przedświt. Półki w lodówce Toby’ego

były podzielone pionowo za pomocą sosnowych listewek. Również mata łazienkowa była sosnowa, doskonale nadająca się do unikania problemów z grzybami i uderzania w nią palcami u nóg. W salonie stały dwa rozłożyste fotele i jedna sofa, wszystko w beżowych obiciach, a do tego beżowy regał, niemal pusty, jeśli nie liczyć książek telefonicznych, scrabli, błyszczącego beżowego flakonu WYKONANEGO Z AUTENTYCZNEGO POPIOŁU WULKANICZNEGO Z MOUNT ST. HELENS w plastikowym uchwycie oraz wynoszących tysiąc siedemset pięćdziesiąt osiem dolarów osiemdziesiąt osiem centów rachunków za regał i meble.

Louis rzadko wychodził ze swojego pokoju. Zajmująca mieszkanie naprzeciw jego okna para trzydziestolatków posiadała pianino i często śpiewała arpeggia, kiedy jadł wieczorny posiłek składający się z kanapek, marchewek, jabłek, ciasteczek i mleka. Później arpeggia cichły, a on skrupulatnie, od deski do deski czytał „Boston Globe” lub „The Atlantic”, niczego nie opuszczając, bądź siadał ze skrzyżowanymi nogami przed telewizorem i z miną tak marsową, jakby oglądał relację z wojny, bacznie obserwował mecze baseballu, a nawet reklamy piwa. Albo też stawał w ostrym świetle wiszącej nad głową lampy i badawczo, z każdej możliwej strony, przyglądał się beżowym ścianom, wyłożonemu płytkami sufitowi i drewnianej podłodze pokoju. Lub robił to samo w pokoju Toby’ego.

W piątkowy wieczór, kiedy przestał już rozmawiać przez telefon z policjantami z Ipswich i wrócił samochodem do Somerville, zadzwonił do Eileen.

– Nie uwierzysz, co właśnie widziałam w wiadomościach – powiedziała. Realizowana ręczną kamerą relacja na żywo pokazywała karetkę z ciałem drugiej żony ich dziadka. Eileen się wydawało, że poczuła, że ziemia się zatrzęsała, ale ponieważ się uczyła, nie zwróciła na to uwagi. Sądziła, że to przez ciężarówkę. Powiedziała, że to było drugie niewielkie trzęsienie ziemi, jakie przeżyła w Bostonie w ciągu dwóch lat.

Louis stwierdził, że nie poczuł zupełnie nic.

Eileen oznajmiła, że ze względu na śmierć Rity rodzice przylatują w niedzielę do miasta i że zatrzymają się w hotelu.

Louis odpowiedział pytaniem:

– Będą wydawać pieniądze na hotel?

Rano poszedł po gazetę do sklepu na rogu. Przez całą noc padało i w chmurach wciąż kryła się zapowiedź deszczu, niebo pojaśniało jednak na chwilę i światło na dworze miało taki sam kolor i intensywność, co blask świetlówek w sklepie. Na okładce sobotniego wydania „Heralda” widniał nagłówek:

**TRZĘSIENIE ZIEMI!**  
**ZNISZCZENIA I ŚMIERĆ W IPSWICH**  
**Ofiarą guru ruchu New Age**

Trzęsienie ziemi znalazło się też na pierwszej stronie dziennika „Globe” (WSTRZĄS NA CAPE ANN, JEDNA OFIARA ŚMIERTELNA), który Louis czytał po drodze do domu. Pochłonięty lekturą, zbyt późno zauważył wysokiego starszego mężczyznę w rozpinanym swetrze i w gumowcach z rozpiętą klamrą, który rękami do rąk wycierał czterodrzwiowy półbut brogue amerykańskiej produkcji. Widząc Louisa, zrobił krok w tył i zablokował chodnik.

– Czytamy gazetkę, co?

Louis nie zaprzeczył.

– Jestem John. – Starszy mężczyzna wybałuszył oczy.

– John Mullins. Mieszkasz tu obok, prawda? Widziałem, jak się wprowadzałeś. Ja mieszkam zaraz tutaj, na parterze, i to od dwudziestu trzech lat. Urodziłem się w Somerville. Nazywam się John. John Mullins.

– Louis Holland.

– Louis? Lou? Mogę mówić do ciebie Lou? Czytasz o trzęsieniu ziemi? – Starszy mężczyzna zrobił nagle minę jak potępiony, jakby ugryzł cytrynę lub zgniłe jajko.

– T o k r o p n e, co się stało z tą staruszką.

O k r o p n e. Wiesz, ja to poczułem. Byłem w Foodmaster, wiesz, tutaj za rogiem, to dobry sklep. Robisz tam zakupy? Dobry sklep, ale co to ja, co to ja... Mówiłem, że to poczułem. Myślałem, że to ja sam. No wiesz, myślałem, że to moje nerwy. Ale oglądałem wiadomości i mówię ci, to było drżenie skorupy

ziemskiej. Tak na to mówią, wiesz, drżenie skorupy ziemskiej. Dzięki Bogu, że nie było mocniejsze. Dzięki Bogu. A kim ty jesteś, studentem?

– Nie – odpowiedział powoli Louis. – Jestem z radia. Pracuję w stacji radiowej.

– Tu w okolicy mieszka mnóstwo studentów. Większość studiuje na Tuff. To na tej ulicy. To nie są złe dzieciaki. Co na ten temat sądzisz? Podoba ci się tu? Podoba ci się Somerville? Myślę, że ci się podoba. Mówiłem ci, że poczułem to trzęsienie? – John Mullins uderzył się dłonią w czoło. – Jasne, że mówiłem. J a s n e, że mówiłem. – Najwyraźniej spotkanie zaczynało go przerastać. – W porządku, Lou. – Ścisnął Louisowi ramię i potykając się, ruszył w stronę samochodu.

Gdy tylko Louis wszedł do domu, usłyszał, że sopranistka z sąsiedztwa rozpoczęła swoje arpeggia, główne składowe harmoniczne wygrywane były na pianinie we wznoszącej się skali chromatycznej. Usiadł na gołej podłodze pokoju i rozłożył gazety.

– A niech to – usłyszał wyraźnie Johna Mullinsa mówiącego do jakiegoś innego sąsiada. – Mówili, że już nie będzie padać.

Ani „Globe”, ani „Herald” nawet nie starały się ukryć radości, że jest ofiara śmiertelna – Rita Kernaghan – bo usprawiedliwiało to wielkie nagłówki poświęcone niewielkiemu lokalnemu drżeniu skorupy ziemskiej. Wstrząs o sile 4,7 stopnia i epicentrum na południowy

wschód od Ipswich miał miejsce o 16:48 i trwał mniej niż dziesięć sekund. Zniszczenia w mieniu były tak nieznaczne, że fotografia mieszkańca Ipswich dotykającego palcem pęknięcia w ścianie pokoju śniadaniowego doczekała się efektownego powiększenia w obu gazetach. „Globe”, bardziej elitarny z tych dwóch periodyków, opublikował również umieszczone w ramkach artykuły na temat historii trzęsień ziemi w Bostonie, historii trzęsień ziemi oraz historii Bostonu, wraz ze specjalną grafiką prezentującą między innymi, że dwa ostatnie znaczące trzęsienia, które nawiedziły miasto, zbiegły się z końcem drugiej (1944) i trzeciej (1953) kadencji Henry’ego Cabota Lodge’a Juniora na stanowisku senatora USA.

Kolejna ramka na stronie szesnastej zawierała najnowsze informacje o poczynaniach protestanckiego pastora, niejakiego Philipa Stitesa, który według „Globe’a” sześć miesięcy wcześniej przeniósł swój Kościół Działań w Chrystusie z Fayetteville, w Północnej Karolinie, do Bostonu, z jasno określonym zamiarem „wylimitowania aborcji z całego stanu”. Zwolennicy Stitesa walczyli z zabijaniem płodów, wystając pod drzwiami klinik. W piątkowy wieczór ludzie sumienia z trzydziestu jeden stanów i posiadłości przemaszerowali w trzecim z serii wieców protestacyjnych w centrum Bostonu; w przeprowadzonym następnie wywiadzie telewizyjnym Stites powiedział, że trzęsienie ziemi



o mało co nie uderzyło w „epicentrum rzezi”, mając na myśli siedzibę zgromadzenia stanu Massachusetts. Bóg (jak dał do zrozumienia pastor) był rozgniewany na stan. Podobnie jak Kościół Działań w Chrystusie. Sam Stites twierdził, że nie spocznie, dopóki rzeź nienarodzonych dzieci nie ustanie.

– Możecie spodziewać się mnie wszędzie – oświadczył.

– Byłem w Foodmaster – głos Johna Mullinsa przebił się przez deszcz i arpeggia. – Myślałem, że to te moje stare nerwy.

#### **Pisarka ofiarą**

Rita Damiano Kernaghan, jedyna osoba, o której śmierci doniesiono po wczorajszym trzęsieniu ziemi w Ipswich, była popularną prelegentką w lokalnym kręgu New Age i autorką trzech książek z kategorii inspirujących. Miała 68 lat.

Kernaghan najbardziej znana była chyba z batalii, którą od 1986 roku prowadziła z miastem Ipswich w sprawie stożkowatej konstrukcji wzniesionej przez nią na dachu domu, wiejskiej rezydencji zbudowanej w granicach miasta Ipswich w 1765 roku i rozbudowanej w 1823 roku pod nadzorem George’a Stonemarsha, czołowego architekta ery porewolucyjnej.

W 1987 roku zgromadzenie mieszkańców miasta Ipswich uznało, że wydanie zezwolenia na budowę piramidy spowodowane było błędem urzędnika, podjęło działania, żeby wstecznie wprowadzić w życie lokalne przepisy o ochronie charakterystycznych obiektów, i nakazało usunięcie piramidy. Kernaghan pozwała miasto do sądu w 1988 roku, a następnie odrzuciła propozycję ugody pozasądowej, zgodnie z którą miasto

miało pokryć koszty usunięcia piramidy i przywrócenia domu do pierwotnego stanu, zgodnego z projektem z 1823 roku.

Kernaghan utrzymywała, że prawo do postawienia piramidy – geometrycznej formy, zdaniem niektórych wpływającej uzdrawiająco i konserwująco na otoczenie – daje jej pierwsza poprawka do konstytucji, oparta na zasadzie rozdziału Kościoła od państwa. Ten wciąż nierozstrzygnięty spór stał się głośny wśród zamieszkującej północną dzielnicę podmiejską społeczności New Age.

Kernaghan, która opublikowała takie prace, jak *Zaczynamy życie po sześćdziesiątce*, *Gwiazdne dzieci* oraz ostatnio wydaną *Włoską księżniczkę*, była wdową po bostońskim adwokacie Johnie Alfredzie Kernaghanie. Pozostawiła pasierbicę, mieszkającą w Cleveland Melanie Holland.

Składowe harmoniczne soprano wspinały się coraz wyżej w powolnie wznoszącej się spirali hysterii. Louis zmarszczył brwi, małym palcem podpierając mostek okularów, czubki palców opierając na linii włosów, a kciuk na szczęce. Nie mógł oderwać wzroku od nazwiska matki. I to nie dlatego, że „Globe” przeprowadził ją do Cleveland, ale z powodu tej wydrukowanej na papierze czysto osobistej i trwałej obecności. *M e l a n i e H o l l a n d* – to była jego matka, osobliwie pomniejszona przez dwa słowa w bostońskiej gazecie.

Nadal z marsową miną, a do tego zaczynając dygotać, jakby chłód uderzających w szyby kropli deszczu przenikał na drugą stronę okna, ponownie spojrzął na

umieszczony w ramce artykuł o pastorze Philipie Stitiesie. „Przez Tremont Street i przez park Boston Common na schody siedziby zgromadzenia”. Fakty zgadzały się z tym, co Louis sam zaobserwował – zgadzały się dokładnie, ponieważ artykuł, podobnie jak pamięć, jak sny, redukował gdzieś w ciemnościach jego głowy samo wydarzenie do jakiejś idei, oświetlonej nie blaskiem zmierzchu i latarniami ulicznymi, ale własnym światłem: widział to, ponieważ wiedział, że tak to się właśnie odbyło, tak właśnie przebiegało. I dlatego wydawało mu się, że dzisiejszego ranka mogło już tylko padać. Musiał zacinać deszcz, żeby ten dzień stał się inny, żeby wykluczyć jakikolwiek powrót do wczorajszego popołudnia i tych szczególnych warunków atmosferycznych i oświetleniowych, w jakich maszerowali ci maszerujący, błękitnej północnej przejrzystości światła w obszarze metropolitalnym Bostonu, kiedy zatrzęsała się ziemia. Deszcz powodował, że poranek stał się rzeczywisty, tak niewzruszenie obecny, że aż trudno było uwierzyć, że w ogóle doszło do trzęsienia ziemi, że mogło dojść do czegokolwiek gdziekolwiek indziej niż tylko na papierze.

Pod jedną ze ścian pokoju stały poukładane w stosy kartony ze sprzętem radiowym, które sumiennie wysyłał z Evanston do Houston i z Houston do Bostonu, ale ani razu nie rozpakował. Wsunął paznokiec pod zamykającą karton u góry taśmę izolacyjną. Zabrakło mu sił.

Słaniając się na nogach, ruszył w stronę materaca, ale poślizgnął się na otwartym „Globie”, więc upadł ciężko i leżał nieruchomo na brzuchu jeszcze długo po tym, jak umilkły arpeggia.

W sobotni wieczór wraz z rodziną jadł kolację w portowej rybnej restauracji. Zaskoczyło go, kiedy usłyszał, że mama i Eileen uważają za oczywistość, że Rita Kernaghan upadła i zabiła się nie na skutek trzęsienia ziemi, ale dlatego, że była wówczas pijana jak bela. Z drugiej jednak strony, one ją znały, a on wcale. Podobno spadła ze stołka barowego, co może brzmiało jak kiepski żart, ale najwyraźniej było prawdą. Jej ciało skremowano w środę rano w prywatnym krematorium, prochy rozrzucono z mola w Rockport, a następnego dnia miało się odbyć poświęcone jej nabożeństwo żałobne, od Louisa oczekiwano natomiast, że weźmie wolne w pracy, żeby w nim uczestniczyć. Jego matka, wyraźnie zniecierpliwiona tym całym procesem usuwania zmarłych, nazywała nabożeństwo „tym czymś w czwartek”.

Rodziców zobaczył ponownie dopiero na krótko przed „tym czymś”. Do dziesiątej rano pracował dla Dana Drexela przy konsolce, po czym, chyba nieco urażony, że matka nie planowała już żadnych spotkań ani też nie okazała żadnego zainteresowania tym, gdzie mieszka i pracuje jej syn (choć słowo „urażony” niekoniecznie odpowiadało jego uczuciom wobec rodziny, której

członków rzadko stać było na to, żeby rzeczywiście lub przynajmniej pozornie zainteresować się osobiście życiem kogokolwiek poza nimi samymi; „żal” czy „gorycz” albo „ogólny smutek” pewnie byłyby bardziej odpowiednie), pojechał prosto do ich hotelu w Cambridge, prawie nowego, średniej wysokości budynku nad rzeką, tuż obok Harvard Square. Później miało wyjść na jaw, że matka nakłoniła ojca do dwóch popołudniowych wizyt w Bibliotece Widenera, dzięki czemu mogli odpisać jego część od kosztów wyjazdu. Znalazłszy się pod drzwiami pokoju rodziców, na końcu pogrążonego w ciszy korytarza, Louis uniósł dłoń, ale nie zapukał. Opuścił rękę.

– Eileen, nie o to chodzi.

– O co w takim razie chodzi?

– Chodzi o to, żeby okazać szacunek dla moich uczuć i spróbować popatrzeć na sytuację z mojej perspektywy. To był krańcowo denerwujący – Tak! Tak! – krańcowo denerwujący tydzień! Mogłabyś więc przynajmniej pomyśleć, żeby zaczekać...

– C i e s z y s z s i ę, że zmarła! C i e s z y s z s i ę!

– To takie fajne dla każdego: dręczyć, dręczyć, dręczyć, tak dręczyć własną matkę. To bardzo nie po chrześcijańsku.

– T o p r a w d a.

– Muszę się zaraz ubrać.

– T o p r a w d a. C i e s z y s z s i ę!

– Muszę się ubrać. Chociaż i tak ciągle mnie to zastanawia... Tak, dręczyć, dręczyć, dręczyć młodego mężczyznę, który namówił swoją przygodną dziewczynę...

– C o swoją?! – wysoki głos Eileen stał się dwa razy wyższy.

– Swoją przygodną dziewczynę do...

– Swoją...? O czym ty mówisz? To nie ma nic wspólnego z Peterem. A dla twojej informacji...

– Och, Eileen.

– Dla twojej informacji...

W tym momencie w geście pełnym obrzydzenia Louis uderzył kilka razy pięścią w drzwi. Do pokoju wpuściła go Eileen. Łzy rozmazały jej tusz wokół oczu.

– Kto to? – odezwała się matka zza drzwi łazienki.

– Louis – ponuro odpowiedziała Eileen.

– Cześć, Louis. Ubieram się.

Eileen wycofała się w kierunku okna wychodzącego na rzekę i znajdującą się za nią szkołę handlową, do której chodziła siostra Louisa. Miała na sobie ten sam workowaty sweter, w którym widział ją ostatnim razem. Dzisiaj wyglądał, jakby w nim spała.

– A gdzie tato? – spytał Louis.

– Na basenie. Dlaczego jesteś tak wcześnie?

Louis zastanowił się przez moment.

– A dlaczego ty jesteś tak wcześnie?

Obdarzyła go okropną miną nastolatki, pokazując mu

język i odsłaniając dziąsła, po czym odwróciła się do okna. Louis w zamyśleniu podrapał się w ucho. Następnie, jakby dla odmiany, zaczął chodzić tam i z powrotem, wężąc po pokoju. Na miejscu do przechowywania bagażu, jakich wiele w hotelowych pokojach, pośród kluczyków do samochodu i otwartych paczek gumy do żucia Trident, znalazł dwa wyglądające na oficjalne dokumenty: raport policji i sprawozdanie lekarza sądowego. Leżały jak niezamówione przesyłki reklamowe, a matka używała ich tylnych stron do notowania nazwisk i numerów telefonów. Przyglądał się dokumentom, podczas gdy Eileen starannie masowała skórę wokół oczu. Ciszę w łazience przerywały odgłosy ubierania się i szykowania przez matkę. Na raport policyjny składało się głównie zeznanie pochodzącej z Haiti stałej służącej Rity Kernaghan, Thérèse Mougère.

Szóstego kwietnia o 15:45 Mougère zakończyła popołudniowe prace i włożyła do swojej ściąganej na tasiemkę torebki trzy pomarańcze i kobiecą powieść po francusku. O 17:00 miała odwiedzić denatkę do śródmieścia Bostonu. Oświadczyła, że książkę wzięła do czytania na parkingu. Ponieważ Mougère miała prawo każdego popołudnia oglądać telewizję między 16:00 i 17:00, o 15:50 oddaliła się do swojego pokoju, znajdującego się w krótkim korytarzu za kuchnią. Denatka rozmawiała przez telefon, kiedy Mougère po raz ostatni widziała ją żywą. Krótko przed końcem programu (ustalono, że był to serial *Star Trek*, który zakończył się o 16:58) dom zaczął się trząść. Okna w pokoju Mougère zabrzęczały, a w jednym z nich pękła szyba. Mougère usłyszała „grzmienie”. Światła zamigotały, a telewizor na

moment zgasł. Mougère poszła do kuchni. Wazony pospadały ze stołu, a drzwi szafek były otwarte. Z kredensu w jadalni wypadł talerz i wazy. Mougère przeszła do salonu. Ze stołów pospadały drobne przedmioty, a zza baru docierał zapach whisky. Mougère poszła na piętro, wołając denatkę po imieniu. Ponieważ nie usłyszała odpowiedzi, zaniepokoiła się i przeszukała wszystkie pokoje na piętrze. Ponownie przeszukała salon i za barem natrafiła na ciało denatki. Zauważyła krew, rozbite szkło i dużo whisky. Stołek barowy leżał przewrócony na bok. Mougère wezwała policję. Dobbs i Akins przybyli o 17:35. Ustalono, że Mougère nie ruszała ciała. Kiedy domyślono się, że denatka spadła ze stołka barowego, ściągając butelkę z półki, Mougère zapewniła, że zazwyczaj stawiała ulubione gatunki whisky denatki na wysokiej półce, chcąc zniechęcić ją do spożywania alkoholu. Mougère zasugerowała, że posiadłość zamieszkuje złośliwy domowy skrzat o imieniu Jack, który spowodował śmierć i zniszczenia. Zarówno ta, jak i inne nadprzyrodzone teorie zostały odrzucone. Wygląda na to, że śmierć miała charakter przypadkowy, najprawdopodobniej została spowodowana umiarkowanym trzęsieniem ziemi o 16:48. Kwestie związane z nielegalnym pobytem Mougère i sposobem, w jaki uzyskała ważne prawo jazdy w stanie Massachusetts, zostały przekazane urzędowi imigracyjnemu. Urząd imigracyjny został poinformowany, że koroner nie wymaga obecności Mougère na terenie stanu.

Spiesząc się, ponieważ dźwięki wydawane przez matkę w łazience zapowiadały jej rychłe wyjście (zatrzaskiwanie puzderek, energiczne odkręcanie i zakręcanie kranu), Louis przeczytał sprawozdanie lekarza sądowego powiatu Essex, który za przyczynę



śmierci uznał „rozległe obrażenia z przemieszczeniem mózgu”, a sam uraz przypisał wypadkowi, kiedy to denatka, metr pięćdziesiąt siedem wzrostu, spadła ze stołka barowego wysokości dziewięćdziesięciu sześciu centymetrów, co w sumie spowodowało upadek z całkowitej wysokości dwóch i pół metra, wysokość dostateczna, jeśli dodać do tego marmurową posadzkę, żeby zmiażdżyć lewą przednią część czaszki i sprawić, że mózg z miejsca przestał funkcjonować. Utrata krwi z rany szarpanej spowodowanej rozbitym szkłem została wykluczona jako potencjalna przyczyna śmierci. Zawartość alkoholu we krwi denatki wynosiła 0,06 procent, co odpowiada stanowi „średniego” upojenia alkoholowego.

Louis przykrył dokument książką w miękkiej oprawie i odwrócił się. Z łazienki właśnie wyłaniała się matka.

Od razu widać było, że nie żałowała pieniędzy. Nie żałowała pieniędzy i (jak wydawało się Louisowi) dużo spała, bo wyglądała jakies piętnaście lat młodziej niż przy sobotniej kolacji. Skóra jej twarzy była złocista i zarumieniona, a do tego mocno napięta na podbródku, przez co można było odnieść wrażenie, że jej ciemne oczy są jeszcze większe. Miała krótką fryzurę na pazia – a może też zafarbowała włosy? Coś, co Louis pamiętał jako równomierną ciemną siwiznę, stało się czernią i srebrem. Ubrana była w bladożółtą lnianą sukienkę z lamówką z czarnego aksamitu, kończącą się mniej

więcej dwa centymetry nad kolanami. Wysoki kołnierzyk połączony był broszką z perłą wielkości pięciocentówki. Stojąc przed lustrem, całkowicie skupiona, z rozszerzonymi nozdrzami, dotykała niewidocznych i prawdopodobnie nieistniejących włosów wokół skroni. Następnie podeszła do szafy wnękowej i z dokładnie tą samą płynnością, jaką odziedziczyła po niej Eileen, uklękła i z plastikowej torby ze sklepu Ferragamo wyjęła pudełko z butami.

– Ładnie wyglądasz, mamó.

– Dziękuję, Louisie. Tato jeszcze nie wrócił?

Uniósłszy brwi, obserwował, jak odpakuje parę butów z wyściełającej pudełko szkarłatnej bibułki. Odwrócił się do Eileen, ciekaw, czy ona też uniesie brwi na ten wywołany nagłym wzrostem siły nabywczej spektakl przemiany matki. Ale Eileen zmieniła się nie mniej. Oczami zaróżowionymi od urazy i nienawiści, z zamarłą twarzą obserwowała matkę, która wsuwała drobne stopy w lśniące jak jaguary buty. Louis absolutnie nie był w stanie zwrócić na siebie jej uwagi. Życzyła sobie, żeby to matka, a nie on, zauważyła jej smutek. Kiedy więc Eileen cierpiała przy oknie (a zimny deszcz padał między nią a szkołą handlową), a ich matka z pełnym samozadowoleniem dopasowywała parę białych róż do czarnej wstążki białego kapelusza z opadającym rondem, on sam usiadł na łóżku i otworzył dział sportowy leżącego pod ręką „Globe’a”. W zasadzie

równie dobrze to on, a nie siostra, mógłby cierpieć przy oknie; ale co sobie myśli zaprzęgowy pies, co się dzieje za tymi jego żółtymi ślepiami, kiedy widzi, jak polarnik zabiera jednego z jego towarzyszy na bok, żeby podciąć mu gardło i zrobić kolację dla jego braci?

– Ojciec będzie miał mniej więcej trzy minuty, żeby wziąć prysznic i się ubrać – stwierdziła matka. – Może jedno z was mogłoby...

– Nie – odpowiedziała Eileen.

– Nie – odpowiedział Louis. Ojciec pływał w zatyczkach do uszu i okularach, więc trzeba go było szturchnąć, żeby wyszedł z basenu.

– Dobrze. – Matka wstała z założonym na głowę kapeluszem, wygładziła sukienkę na biodrach i obróciła się na palcach. – Jak wyglądam?

Nastąpiła cisza, Eileen nawet na nią nie spojrzała.

– Po prostu bosko – odezwał się Louis.

– Ha, ha, ha! – Eileen zakrakała niewesoło.

Matka z obojętnym wyrazem twarzy zaczęła przepakowywać czarną kopertówkę, najprawdopodobniej nową.

– Louisie – powiedziała. – Chcę z tobą porozmawiać.

– Tak, dobra, ja już to słyszałam – stwierdziła Eileen, ciężkim krokiem przemierzając pokój. – W takim razie do zobaczenia na nabożeństwie.

Zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy z wieszaka, otworzyła drzwi i zatoczyła się do tyłu na widok ojca,

który z rękami na biodrach i z okularami pływackimi spoczywającymi na mokrych szarych kłaczkach pod szyją kroczył przed siebie jak zaciekawiony homar, zwracając się córki:

– No proszę, czyż to nie infantka Helena! Ciemna gwiazda Aragonii! Strażniczka szmaragdowego berła! – Odskoczyła w tył między wieszaki z ubraniami, podnosząc do uszu rozcapierzone palce, a tymczasem homar objął ją w talii mocnymi kleszczami. Wiła się i cofała.

– Przestań! Przestań! Przestań! Och, jesteś jeszcze mokry! – Jej twarz nabierała na powrót kolorów. Ojciec pocałował ją w policzek i puścił, rzucił Louisowi pozdrowienie przez pokój i zniknął w łazience. Matka niczego nie zauważyła.

Piętnaście minut później cała czwórka Hollandów siedziała w wynajętym przez rodziców dwudrzwiowym fordzie mercury, Melanie za kierownicą, dzieciaki z tyłu. Auta dzieci zostały na hotelowym parkingu, ponieważ Bob Holland uważał samochody za coś obrzydliwego i zagroził, że pójdzie piechotą, jeśli wezmą więcej niż jeden. Poskładany jak stolik do kart Louis czuł pierwsze objawy choroby lokomocyjnej, nieosłoniętą głową dotykał zimnej, zaparowanej szyby, czując w gardle smak silnego deszczu i spalin z diesla. Na goleniach trzymał kapelusz matki. Ktoś, na pewno nie Louis i prawdopodobnie nie Eileen, bez przerwy puszczał bąki. Bob, który

w trzydziestoletnim garniturze sprawiał wrażenie mniejszego niż w rzeczywistości, rzucał przez okno gniewne spojrzenia na kierowców, wyprzedzających ich mimo wzmoczonego ruchu panującego późnym porankiem na Memorial Drive. Jego zdaniem prowadzenie samochodu było po prostu niemoralne.

Louis uchylił tylną szybkę i przyłożył nos oraz usta do tafli docierającego z zewnątrz chłodniejszego powietrza. Zaczynał doszukiwać się związków między chorobą lokomocyjną a stwierdzeniem „zmiażdżyć lewą przednią część czaszki i sprawić, że mózg z miejsca przestał funkcjonować”, wyobrażenie śmierci naszło go potajemnie i samoistnie, dopiero teraz wnikając w jego świadomość. Udało mu się wziąć przez okno pokrzepiający haust powietrza.

– Czy waszym zdaniem wiedziała, że to trzęsienie ziemi?

Eileen spojrzała na niego koso i zamknęła się w sobie.

– Kto? – zapytała Melanie.

– Wiecie. Rita. Czy waszym zdaniem wiedziała, że wstrząsy to było trzęsienie ziemi?

– Z tego, co wiem – odparła Melanie – była zanadto wstawiona, żeby zbyt dużo myśleć o czymkolwiek.

– To dosyć smutne – stwierdził Louis. – Nie sądzicie?

– Bywają gorsze sposoby zejścia z tego świata. Lepsze to niż marskość wątroby w szpitalu.

– Zostawiła ci te wszystkie pieniądze. Nie sądzisz, że

to dosyć smutne?

– Nie zostawiła mi żadnych pieniędzy. Nie zostawiła mi nic poza ćwierć milionem dolarów nielegalnie zaciągniętych długów, jeśli chcesz znać prawdę.

– Och, daj spokój, Mel.

– Ale tak zrobiła, Bob. Zaciągnęła kredyt hipoteczny na dom, który do niej nie należał. Bank w Ipswich nie wiedział o tym drobnym fakcie, który...

– Ojciec twojej matki – odezwał się Bob – wszystko, co miał, pozostawił w funduszu...

– Bob, to nie interesuje Louisa.

– Oczywiście, że interesuje – wtrącił Louis.

– A do tego to raczej nie jego sprawa.

– Och, dobrze.

– Ale podstawową kwestią – ciągnęła Melanie – jest to, że kiedy mój ojciec umierał, doskonale wiedział, jaką kobietą jest jego druga żona, i chociaż czuł się w obowiązku ją zabezpieczyć, jednocześnie nie chciał, żeby roztrwoniła majątek, który zgodnie z jego życzeniem ostatecznie miał trafić do jego dzieci...

Bob aż krzyknął w zachwycie:

– Co znaczy, że nie zostawił twojej matce ani centa! I twojej ciotce Heidi też! Spisał dokładnie taki złośliwy, bezczelny testament prawnika prawników, jakiego można się było po nim spodziewać. Prawdziwa zemsta z za grobu. Wszyscy puszczeni z torbami, wszyscy rozgoryczeni, a dwa razy do roku spotyka się komisja

trzech prawników z Bank of Boston, żeby wypisać sobie czek na fundusz.

– Podoba mi się szacunek, z jakim odnosisz się do zmarłych.

– Moglibyście uchylić okno?

– A Mel zajmie się teraz naprawianiem różnych krzywd, prawda? Bo wiesz, Lou, po śmierci Heidi wszystko przeszło na twoją matkę. Spadek miały otrzymać żyjące córki. Twoja matka jest w dokładnie takiej samej sytuacji, jak dziadek dziesięć lat temu. Tylko bogaci się wzbogacają, nieprawdaż? Twoja matka jest teraz w stanie budować szkoły i kliniki, może przekazać salę gimnastyczną Wellesley. Albo pomóc bezdomnym, co, Mel?

Melanie odchyliła głowę, wycofując się z rozmowy. Eileen uśmiechała się gorzko. Louis ponownie poprosił o otwarcie okna.

Nabożeństwo żałobne, które w słoneczną pogodę miało się odbyć na łące w powiecie Essex, zostało przeniesione do sali balowej w Royal Sonesta, luksusowym hotelu wychodzącym na ujście rzeki Charles w najbardziej na północny wschód wysuniętym zakątku Cambridge. Przez moment, kiedy podążając za rodzicami, mijał drzwi, Louis pomyślał, że pomylili sale; w smutnych gromadkach kłębili się ci sami, jak mu się wydawało, ludzie, których tydzień wcześniej widział na Tremont Street podczas demonstracji przeciw aborcji –

te same nieustępliwe twarze kobiet w średnim wieku, taka sama niewielka liczba patrzących nieobecnym wzrokiem mężczyzn, te same ubrania w kolorze zasłon i praktyczne buty. Ale już po chwili, zaalarmowany zachowaniem Eileen, która ruszyła prosto przed siebie, zobaczył Petera Stoorhuysa.

Peter stał w pewnym oddaleniu od trzech wyglądających na speszonych mężczyzn w eleganckich garniturach, niewątpliwie pracowników szczebla kierowniczego lub wysokiej klasy ekspertów. Na szeroko rozstawionych nogach, z cofniętymi ramionami i dłońmi wsuniętymi częściowo do kieszeni wyglądał na osobę, która może łaskawie otworzyć się na świat, jeśli rzeczywiście będzie taka konieczność. Eileen wpadła na niego i przycisnęła ucho do klapy jego marynarki w kurzą stopkę, jedną rękę kładąc mu na brzuchu, a drugą na ramieniu.

Louis zatrzymał się w miejscu i wsparłszy rękę na biodrach, patrzył, jak się przytulają. Następnie, zmieniawszy trajektorię, jakby wokół Eileen pojawiło się pole odpychające, dogonił Boba i we dwóch powlekli się za Melanie, na której widok trzech dżentelmenów w garniturach uśmiechnęło się z ulgą. Musnęła policzkiem twarz dwóch z nich, a trzeciemu podała rękę. Peter uwolnił się od Eileen i z wyciągniętą dłonią podszedł do Melanie, ta jednak nieoczekiwanie trzymała rękę przy sobie. Uśmiechnęła się lodowato.



– Witaj, Peter. – Bob Holland, niczym wdzięczny zawodnik rezerwowy, ochotco sięgnął po dłoń, której nie uścisnęła jego żona, i potrząsnął nią energicznie. Ale afront, jakiego dopuściła się Melanie, nie uszedł uwagi Eileen. Spojrzała spode łba na Louisa, a ten w odpowiedzi uśmiechnął się miło. Z zainteresowaniem zauważył, że w trakcie tego tygodnia jego rodzice zdążyli już poznać Petera.

– To nasz syn, Louis – odezwała się Melanie. – Louisie, to panowie Aldren, Tabscott i Stoorhuys...

Pan kto, pan kto, pan...?

– Miło cię poznać, Louisie – odpowiedzieli chórem, ściskając mu dłoń. Te same uprzejmości wymieniono następnie z Eileen.

– Ojciec Petera – dodał pan Stoorhuys, zwracając się do Louisa i machając dłonią do syna; łączyło ich podobieństwo, które nie pozostawiało żadnych wątpliwości i było raczej mało korzystne dla starszego z nich. Z bliska pan Stoorhuys niezbyt pasował do swoich dwóch towarzyszy. Pan Aldren i pan Tabscott wyglądali na prawdziwych mężczyzn, takich z mięsistymi twarzami i nozdrzami jak u rozjuszonego byka, mężczyzn często jedzących wołowinę, mężczyzn, którzy zdecydowanie nie byli „młodzieńczy”, a tym bardziej „kobięcy”. Na węzłach krawatów mieli złote łańcuszki, a w oczach twardą, czerwoną przebiegłość.

Pan Stoorhuys był zdecydowanie bardziej spięty

i chudy. Na obu nadgarstkach z rękawów marynarki wystawało mu osiem centymetrów mankietu koszuli. Włosy rosły mu w sześciu różnych kierunkach i w sześciu odcieniach szarości; na pokrytych łupieżem brwiach spoczywał długi lok w stylu lat siedemdziesiątych. Miał zapadnięte, dziobate policzki, zęby tak wielkie, że wyglądało to tak, jakby nie był w stanie zamknąć ust, a do tego inteligentne jasne oczy; stale spoglądał przez ramię, nawet kiedy stał twarzą w twarz z Louistem, uniesioną dłonią powstrzymując go od rozmowy.

– Louisie – odezwała się Melanie. Odwrócił się i zobaczył, że matka stoi na jednej nodze i nachyla się przez ciała otaczających ją osób. – Zechciałbyś może przynieść mi filiżankę kawy?

– Prawdę mówiąc... – Pan Tabscott uszczypnął mankieta marynarki Louisa. – Wydaje mi się... hm... że za moment zaczniesz się nabożeństwo.

– Tak – dodał pan Aldren. – Siądziemy z twoją matką, jeśli można.

– Miło cię było poznać, synu.

– Miło cię poznać... hm... Louisie.

Pan Stoorhuys poszedł za ich przykładem, kończąc kulejącą od początku rozmowę z Louistem w najłatwiejszy sposób, po prostu się oddaliwszy.

Szary tłum ruszył w kierunku rzędów krzeseł, poustawianych na tę uroczystość przed mównicą i fortepianem, na którym jakiś Japończyk z końskim

ogonem zaczął bardzo ekspresyjnie grać *Kanon* Pachelbela. Darzący mównicę akademickim szacunkiem ojciec Louisa zdążył już zająć miejsce. Eileen stała, wtulona w pierś Petera. A niezapomniana scenka przedstawiała się w sposób następujący: pan Aldren prowadził Melanie, wzięwszy ją pod ramię, a ona, choć wcale nie trzeba było jej prowadzić, szła jednak u jego boku w sposób tak naturalny, jakby byli kochankami na deptaku; podążający za nimi i uczepiony jej drugiego ramienia pan Stoorhuys uśmiechał się tym swoim uśmiechem, który wcale nie przypominał uśmiechu, chwilami pozostając nieco z tyłu, żeby spojrzeć za siebie przez nierówno przycięte włosy, które przesłaniały mu oczy; i do tego pan Tabscott, jako straż tylna, ustawiony plecami do tej trójki, jednoznacznie odstraszał wszystkich nierozsądnych, którzy śmieliby za nimi ruszyć. Białe kapelusze i żółta lniana sukienka – kobieta wyglądałaby na drobną, gdyby przynajmniej dwóch z tych mężczyzn było kobietami – odgradzona ciemnymi wąskimi prążkami.

Wpatrzony w nich Louis czubkiem palca poprawił sobie okulary na nosie.

Muzyka zrobiła się ogłuszająca. Melanie usiadła między panem Aldrenem a panem Tabscottem, pan Stoorhuys natomiast wpychał się od strony pana Aldrena; wyciągnął swe cienkie ręce tak bardzo, że mógł objąć całą trójkę, a mankiety białej koszuli wysunęły mu się już na

kilkanaście centymetrów. Louis zmierzwił ciężkim butem tkany na szerokim krośnie pastelowy dywan. Nie mógł tak po prostu zapytać Eileen, kim i czym są ci mężczyźni – to nie wchodziło w rachubę; z policzkiem wtulonym w krawat Petera macała ręką gdzieś z tyłu pod jego marynarką, jakby w poszukiwaniu kluczyka, którym można by go nakręcić. Poruszali wargami – rozmawiali bezgłośnie. Ze wszystkich żałobników tylko oni i Louis nie zajęli jeszcze miejsc. Jakaś ubrana w kaftan kobieta o ziemistej cerze stanęła za mównicą i oparła się o nią łokciami, z powagą obserwując pianistę. Ten zaś wyraźnie zmagał się z *Kanonem*, starając się grać *ritardando*, jednocześnie przyspieszając namaszczone akordy w poszukiwaniu przyzwoitego momentu, by zakończyć utwór. Ale *Kanon* się opierał i wyraźnie nie zamierzał poddawać.

Louis podszedł do pogrążonych w niewidzialnej sferze zapomnienia młodych kochanków i zatrzymał się, jakby stanął przed drzwiami ich mieszkania.

– Cześć, Peter – odezwał się.

Peter miał chyba pewien problem z refleksem. Dopiero po trzech czy czterech sekundach odwrócił się i powiedział:

– Cześć, jak leci?

– W porządku, dzięki. Chciałbym przez chwilę porozmawiać z siostrą, jeśli można.

Eileen oderwała się od Petera i zajęła poprawianiem

włosów. Spojrzała Louisowi w oczy, niemal wprost, choć niezupełnie, dzięki czemu udało jej się przybrać wygląd osoby zupełnie nieobecnej.

- Nic ci nie zrobiłem – powiedział Louis.
- Nic takiego nie powiedziałam.
- Masz jakieś problemy z mamą czy coś podobnego.
- Po prostu o tym nie rozmawiamy.
- W porządku. Dobrze.
- Siądę z Peterem, dobra?

Zostawiła go pośrodku sali balowej, dziesięć kroków za ostatnim rzędem krzeseł. Był jaśniej oświetlony niż ktokolwiek z mniej więcej pięćdziesięciu żałobników, nawet jaśniej niż prowadząca uroczystość kobieta o ziemistej cerze, która wyraziwszy ukłonem podziękowanie spoconemu i zwycięskiemu pianiście, spojrzała prosto na Louisa i powiedziała:

- Możemy usiąść.

Louis nie ruszył się z miejsca, nadal stojąc z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Kobieta uniosła brwi i zamknęła oczy. Po chwili założyła zwisające jej z szyi okulary na łańcuszku.

– Zebraliśmy się tu dzisiaj – zaczęła czytać – żeby uczcić pamięć Rity Damiano Kernaghan, dla wielu z nas mentorki, a dla wszystkich przyjaciółki. Czy słyhać mnie w tylnym rzędzie?

Siedzący tam samotnie Bob Holland zsalutował w stronę kobiety jak kapitan.

– Nazywam się Geraldine Briggs. Byłam przyjaciółką Rity Kernaghan. Dobrze ją znałam. Byłyśmy dla siebie jak siostry. Razem się śmiałyśmy, razem płakałyśmy. Czasami zachowywałyśmy się jak małe dziewczynki.

Błdzi żałobnicy słuchali jak urzeczeni, wszystkie głowy, niczym igły kompasu, skierowane były na mównicę. Towarzyszący Melanie mężczyźni, łącznie z panem Stoorhuyssem, siedzieli z palcami przyciśniętymi do czoła.

– Kiedy po raz pierwszy spotkałam Ritę w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku w Centrum Wzmacniania w Danvers, właśnie napisała książkę *Zaczynamy życie po sześćdziesiątce*. Z pewnością wielu z was ją czytało. Rzeczywiście, Rita wyglądała jak idealne wcielenie opisanych przez siebie zasad. Dowiedziała się, że dusza jest wieczna i młoda, radosna i wesoła, wypełniona dobrą muzyką. Wiek nie stanowi dla duszy żadnej przeszkody. Powiem tak: sama śmierć nie jest przeszkodą. Rita była prostą dziewczyną ze wsi, w czasach napoleońskich zbierała kwiaty i pachnące zioła. Dlaczego więc nie mogłaby tworzyć dobrej muzyki nawet teraz, kiedy jako umęczona wdowa nie miała w życiu do zrobienia nic niż, że tak powiem, zacząć je od nowa? Dlaczegoż my wszyscy nie mielibyśmy zrobić tego samego? Na warsztatach wsłuchiwałyśmy się w jej przekaz. Uczyliśmy się. Dorastaliśmy. Śmialiśmy. Na powrót stawaliśmy się młodzi. Byliśmy uzdrowieni, nie

na sposób, w jaki mógłby uzdrowić nas współczesny świat, ale duchowo. Powiem tak: dzięki niej otworzył się przed nami nowy świat.

Stojąc nieruchomo jak głaz, Louis obserwował pana Tabscotta, który chował twarz w dłoniach. Jego zegarek z kamieniami zamigotał.

– Ale powiem tak: czy jest coś nowszego niż to, co najbardziej starożytne? I co jeszcze? Czym jest śmierć, jeśli nie początkiem nowego życia? Kolejnym obrotem w wiecznym cyklu? Narodzinami nowego dziecka? Dlatego opowiadajmy dziś wesołe historie. Wstańmy wszyscy i uczcijmy, każdy tak, jak tego pragnie, radosnymi historiami wieczne życie Rity Damiano Kernaghan i, że tak powiem, nas wszystkich!

W tym miejscu Geraldine Briggs urwała, na co kobieta w pierwszym rzędzie natychmiast zerwała się z krzesła. Równie szybko na powrót usiadła, zgaszona spojrzeniem przemawiającej.

– Widzę wśród was – zaczęła ponownie czytać Geraldine Briggs – przyjaciół Rity. Rodzinę Rity. Znajomych z czasów, kiedy pracowała jako sekretarka. Przyjaciół i ukochane osoby, które pojawiły się na ścieżkach jej życia. A zatem, przyjaciele, zgodnie z wyraźnym życzeniem Rity proszę, żeby zamiast kwiatów przekazywać w jej imieniu datki na Centrum Wzmocnienia, którym mam zaszczyt kierować. Fundusz nazywa się Funduszem Rity Damiano Kernaghan. Jego

numer to jedenaście czterdzieści pięć. Przy termosie z kawą można jeszcze pobrać koperty na datki. Ale powiem tak, powiem tak, czas, żebyśmy już przeszli dalej. Przejdźmy do radosnych opowieści!

Pierwszą radosną historię opowiedział pan Aldren, który uniósł się do połowy z zajmowanego miejsca i odezwał się powściągliwym, monotonnym głosem:

– Rita Kernaghan pracowała z nami w Sweeting-Aldren Industries przez jakieś dwadzieścia cztery lata i była... hm... była żoną naczelnego architekta czegoś, co znane jest jako jeden z największych sukcesów w naszym stanie pod względem technologii high-tech i wielkich finansów ostatnich... hm... kilku dziesięcioleci, więc i ja, i kilku moich kolegów z zarządu jesteśmy tu, żeby... hm... wyrazić nasz szacunek. Była wspaniałą... wspaniałą kobietą.

Pan Aldren opadł z powrotem na krzesło, a Geraldine Briggs, z zamkniętymi oczami, powoli skinęła głową. W tym momencie niecierpliwa kobieta z pierwszego rzędu zerwała się z miejsca i odwróciła do zebranych. Pewnego razu, powiedziała, w Centrum Wzmocnienia Rita Kernaghan wręczyła jej brązowy amulet na szyję. Dzięki niemu wyleczyła wielką torbiel łojową w piersi. Z wdzięczności kobieta zamówiła w firmie wysyłkowej Harry and David skrzynkę gruszek dla Rity. Po sześciu miesiącach, podczas organizowanego w posiadłości Rity święta równonocy wiosennej, kobietę zaprowadzono do



salonu Rity. Skrzynka gruszek przesłana przez firmę Harry and David była przechowywana przez sześć miesięcy w pobliżu ogniska mocy, to znaczy piramidy na domu Rity. Rita wraz z tą kobietą podważyły zszywki – a zszywki były miedziane i wytrzymałe – podważyły zszywki ze skrzynki. Gruszki nie zgniły. Kobieta i Rita wspólnie zjadły jedną gruszkę, gryząc ją na zmianę. Gruszka była dobra. Kobieta usiadła.

Geraldine Briggs uśmiechnęła się z zażenowaniem i krótko zakasłała.

Jakiś mężczyzna ze sztuczną szczęką przypominającą zęby karpia podniósł się i rozłożył wycinek prasowy. Był to artykuł wstępny z wydawanego w Ipswich „Chronicle”. Wstępniak był rodzajem dziękczynienia, odwoływał się wprost do judeochrześcijańskiego Boga i dziękował Mu za niewielką skalę zniszczeń w mieniu podczas ostatniego trzęsienia ziemi. W artykule zwracano też uwagę, że słynna piramida Rity, w ostatnich latach tak często pojawiająca się w wiadomościach, nie ochroniła jej, kiedy przyszło co do czego; zniszczenia w posiadłości pani Kernaghan (choć niewielkie) należały do najpoważniejszych. Mężczyzna poskładał wycinek prasowy. Oświadczył, że uczestniczył w dwóch prowadzonych przez Ritę warsztatach. Powiedział, że Rita nigdy nie utrzymywała, że piramida zapewnia nieśmiertelność w doczesnym życiu. Nie na tym polegała jej istota. Zdaniem mężczyzny piramida w rzeczywistości

służyła do s k u p i a n i a sił Ziemi w sąsiedztwie...

– Tak – przerwała Geraldine Briggs. – Tak, być może. Mamy jakieś inne historie?

Wstała jakaś kobieta, żeby opowiedzieć o tym, jak to Rita płakała, usłyszawszy o śmierci pewnej młodej osoby.

Podniosła się inna kobieta i opowiedziała o tym, jak to Rita odmówiła przyjęcia pieniędzy od człowieka, którego nie było stać na opłacenie warsztatów.

Zgłosiła się jeszcze inna kobieta i opowiedziała o swojej przyjaźni z Ritą w czasach dynastii Ming.

Trudno powiedzieć, jakiego rodzaju opowieści, oprócz przedstawionej przez pana Aldrena, mogłyby się spodobać Geraldine Briggs; zdecydowanie niewiele z nich spełniało jej oczekiwania. Skoro jednak raz uchyliła drzwi, nie mogła ich już zamknąć. Płynęły kolejne anegdoty, od sentymentalnych począwszy, na krańcowo szalonych skończywszy, a ich narastający ciężar powoli obezwładniał Louisa, który opuścił ręce, skulił ramiona i w końcu poszedł usiąść obok ojca. Ten najwyraźniej świetnie się bawił, w zachwycie odrzuciwszy głowę, racząc się nieszczęsnymi wyznaniem, jakby były prażoną kukurydzą. Posunął się nawet do tego, że rzucił Geraldine Briggs gniewne spojrzenie, kiedy powiedziała po raz trzeci:

– Cóż, jeśli nie ma już... – Urwała. Wyglądało na to, że w końcu rzeczywiście nikt nie miał już nic do powiedzenia. – Jeśli nikt nie ma już nic do dodania,

myślę, że przejdziemy... – Ale jeszcze raz musiała przerwać, ponieważ Melanie zerwała się na równe nogi.

Melanie uśmiechnęła się uroczo, kręcąc głową na wszystkie strony, żeby ściągnąć spojrzenia jak największej liczby osób, i odchylając się, żeby jeszcze zwiększyć efekt. Unikała jedynie wzroku członków swojej rodziny.

– Ja też znałam Ritę Kernaghan – odezwała się. – I chciałam wam wszystkim powiedzieć, że g ł ę b o k o w i e r z ę, że już się odrodziła! Wierzę, że teraz jest papużką aleksandrettą! Czyż to nie cudowne? – Splotła przed sobą dłonie i zakołysała nimi jak uszczęśliwiona dziewczynka. – Chciałam powiedzieć wam wszystkim, jakie to moim zdaniem cudowne, że stała się papużką aleksandrettą, jakież po prostu cudowne. Tyle chciałam powiedzieć.

Dosyć niestosownie kręcąc pupą i jedną ręką przytrzymując kapelusz, z powrotem opadła między swoich opiekunów, pana Aldrena i pana Tabscotta. Mężczyźni wymienili znaczące uśmieшки. Szary tłum, w którym zawrzało, odwrócił się w stronę Geraldine Briggs w poszukiwaniu pomocy, ale ona zachowywała się, jakby nagle musiała powiedzieć pianiście coś pilnego. Eileen i Peter szeptali między sobą i kiwali głowami, udając, jak na dorosłe osoby przystało, że nie zwrócili specjalnej uwagi na słowa Melanie. W tłumie rozległy się szepty: „A gdzie szacunek dla zmarłych? A gdzie

szacunek dla zmarłych?”

Louis obserwował ojca, który z kolei patrzył na swoją żonę. Kiedy zaskoczenie minęło, na twarzy Boba nie pozostał nawet ślad rozbawienia albo serdeczności czy nawet gniewu. Malowała się na niej tylko czysta i pełna rozczarowania dezaprobata. A za taką minę mogła być odpowiedzialna tylko miłość. Wyglądałby dokładnie tak samo, gdyby Melanie powiedziała: „Byłam niewierna. To wszystko, co mam do powiedzenia”.

Pianista zaczął grać muzykę w stylu New Age, kosmiczną i szemrzącą.

– LUDZIE! – krzyknęła Geraldine Briggs. – Ludzie, ludzie, ludzie! Wysłuchaliśmy już OBU stron, radosnej i nieoświeconej. Ruszajmy więc dalej w świat z ROZRADOWANYMI SERCAMI I TRZEŹWYMI UMYŚLAMI. PAMIĘTAJCIE O KOPERTACH. AMEN!

Szarzy mężczyźni i szare kobiety wstali z miejsc. Kierując się w stronę poczęstunku, zwalniali i obchodzili Melanie łukiem, jak posępne, zbite psy. Ona uśmiechała się i kiwała im wszystkim głową, gawędząc jednocześnie z panami Tabscottem, Aldrenem i Stoorhuyssem, jej ulubionymi ogarami, które tłoczyły się wokół niej. Wkrótce siedzieli tylko Louis i jego ojciec.

– Sweeting-Aldren? – odezwał się Louis.

– Wspomagają naturę. Herbicydy, pigmenty, tekstylia.

– Mama ma z nimi coś wspólnego?

- Można tak powiedzieć.
- Była taka niegrzeczna.
- Nie osądzaj jej, Lou. Nie masz powodu, żeby mi wierzyć, ale proszę, nie osądzaj jej. Możesz to dla mnie zrobić?

Tylko słowem „kokieterjnie” można było określić sposób, w jaki Melanie przyjmowała normalną filiżankę kawy od pana Stoorhuysa, udając, że daje mu się skusić wbrew własnej woli.

– Już myślałam, że zacznę k r z y c z e ć – ciągnęła, zwracając się do pana Aldrena. Przez jedną krótką chwilę w niewzruszenie intensywnym uśmiechu, jakim obdarzył ją pan Aldren, z za uśmiechniętego psa wyjrzał uśmiechnięty wilk, okrutne i wygłodniałe zwierzę, czekające tylko na właściwy moment.

– Mam nadzieję, że wybierzemy się na wspólny lunch – odezwał się do niej.

– Chyba znajdę dla ciebie trochę czasu – odpowiedziała Melanie.

– Spójrz na nią – powiedział Bob. – Widziałeś ją kiedyś tak szczęśliwą? Nawet nie wiesz, jak długo na to czekała. Nie żałuj jej kilku szczęśliwych godzin.

– Tak, chociaż...

Bob patrzył prosto przed siebie na pustą mównicę.

– Nie osądzaj jej, proszę.

### 3.

Po nabożeństwie żałobnym Louis zabrał ojca do samochodu i pojechali na hamburgery do taniej restauracji na Harvard Square – w lokalu panował klimat samokrytycyzmu – i właśnie tam, w boksie obok drzwi, zaznajomił się z kwotą, która odebrała mu resztki apetytu. Ojciec podał mu ją, trzymając na dłoni jak kalkulator górną połówkę bułki hamburgera i rozsmarowując na niej musztardę. Dwadzieścia dwa miliony dolarów. Tyle mniej więcej netto była warta obecnie matka Louisa.

W miarę jak kończyła się pora lunchu, a restauracja pustoszała, kolejne szaliki i rękawy płaszczy ocierały mu się o głowę. Przez ciągle zamykane i otwierane drzwi do środka wciskało się zimne powietrze. Zapytał, co matka zamierza zrobić z tak dużą sumą.

Kiedy ojciec garbił się nad hamburgerem w tym swoim wiekowym garniturze, z wąskimi klapami, które zachodziły jedna na drugą, trochę przypominał menela.

– Nie wiem – odparł.

Louis zapytał, czy zamierzają pozostać w domu w Evanston.

– A gdzie indziej mielibyśmy się przenieść? – stwierdził ojciec.

Czy myślał o przejściu na emeryturę?

– Gdy skończę sześćdziesiąt pięć lat – odrzekł ojciec.

Nie czując się na siłach zadawać kolejne pytania, Louis w milczeniu patrzył, jak ojciec sprząta ich talerze i płaci rachunek dziesięciodolarowym banknotem, zostawiając napiwek w formie dziesięciocentówek i ćwierćdolarówek.

Do stacji WSNE wrócił późnym popołudniem. Chmury jeszcze bardziej pociemniały i zgęstniały, gromadząc się na poważną nocną nawałnicę, a w studiach wyglądało to tak, jakby była już północ. Wszystkie światła się paliły, układy krążenia budynku wyraźnie buczały, telefony w dziale reklam jak zawsze milczały. Przez okno w Studiu A Louis widział prezentera popołudniowego programu, radiowego weterana, niejakiego Buda Evansa. Z kilkoma pajęczynkami włosów pedantycznie poukładanymi na spierzchniętej i łysej głowie wyglądał na alkoholika. Prezenter nerwowo wpatrywał się nad umieszczonym na żurawiu mikrofonem w swojego gościa, dżentelmena z sięgającymi ramion złotymi lokami i w hawajskiej koszuli. Przez pięć czy sześć sekund nikt się nie odzywał. Wyglądało to jak chwila zadumy w czasie rozmowy, tyle że byli na antenie i cisza szła w eter. Wciąż odczuwając skutki choroby lokomocyjnej, Louis poszedł do toalety, nachylił się nad pisuarem i przycisnął głowę do kafelków. Mocz rozbił smolistą grudkę tytoniu. Usiadł jak skacowany przy terminalu w swoim boksie i zaczął wprowadzać rejestry handlowe. Zajmował się tym trzy

godziny, co przy zarabianej przez niego stawce dało mu netto niecałe dwanaście dolarów, przy założeniu, że w końcu mu zapłacą. Kiedy wyszedł z Waltham, z nieba w kolorze poświaty ekranu telewizyjnego kapął deszcz. Na Clarendon Hill udał się prosto do ubikacji i tam zwymiotował do beżowej toalety czystym płynem z lepкими niteczkami.

W wieku dwudziestu trzech lat Louis nie był bynajmniej całkowicie beztroski. Szczegółnej udreki przysparzały mu relacje z pieniędzmi. Kiedy jednak zaczęło do niego w pełni docierać znaczenie tej kwoty, uzmysłowił sobie, że do tamtej chwili, w której siedział z ojcem w lokaliku serwującym fast food, był właściwie zadowolony z życia i warunków, w jakich żył. W końcu człowiek przyzwyczaja się do tego, kim jest, i jeśli ma trochę szczęścia, uczy się darzyć nieco mniejszym szacunkiem wszystkie inne drogi życiowe, dzięki czemu nie musi przez cały czas zazdrościć innym. Louis zaczął cenić sobie wolność, jaką zyskuje człowiek rezygnujący z pieniędzy, i współczuć bogatym albo nawet wprost nimi pogardzać – tą klasą reprezentowaną w jego głowie, słusznie lub nie, przez różnych opalonych, wąskonosych chłopaków, z jakimi przez lata paradowała Eileen, wliczywszy w to Petera Stoorhuysa. Ale teraz to właśnie Louisowi zrobiło się głupio, bo był synem kobiety wartej dwadzieścia dwa miliony dolarów.

Tej nocy miał wyraźny i nieprzyjemny sen. Wszystko



działo się w wyłożonej panelami sali posiedzeń czy też sali klubowej umeblowanej fotelami z czerwonej skóry. Jego matka siedziała wygodnie rozparta w jednym z nich i unosząc rąbek żółtej sukienki, pozwalała stojącemu między jej nogami i w pełni ubranemu panu Aldrenowi pompować w siebie nasienie, a wszystkiemu przypatrywali się panowie Tabscott i Stoorhuys. Kiedy pan Aldren skończył, zaczął ją pokrywać pan Stoorhuys, tyle że pan Stoorhuys stał się seterem irlandzkim i musiał naprężyć się i podskakiwać na tylnych łapach, żeby zachować odpowiednią pozycję do spółkowania. Pan Aldren i pan Tabscott stali i patrzyli, kiedy ona sięgała ręką, żeby przytrzymać podnieconego psa między nogami.

W sobotę Louis zostawił Eileen dwie wiadomości na automatycznej sekretarce. Siostra się nie odezwała, więc zatelefonował do hotelu rodziców i dowiedział się, że nazajutrz wybierają się samochodem do posiadłości Kernaghan, gdzie matka miała zatrzymać się na jakiś tydzień, a ojciec tylko na jeden dzień, ponieważ w poniedziałek ponownie zaczynały się zajęcia na Uniwersytecie Northwestern.

– Będę bardzo zajęta – powiedziała matka. – Ale jeśli chcesz coś dla mnie zrobić, mógłbyś odwiedzić ojca na lotnisko. Ma lot o siódmej.

Puściwszy mimo uszu tę aluzję, w niedzielny ranek o dziesiątej wyjechał do Ipswich. Somerville spowiła

wilgoć i stagnacja. W nocy przestał w końcu padać deszcz, ale na okapach, zderzakach i pączkujących drzewach wciąż było pełno wody, jako że powietrze pozostawało nieruchome. Tam, gdzie tylko było coś widać, wzdłuż ulic czy przez wąskie graniastostupy przestrzeni między domami, wilgoć dodawała dali bladeści, rozmazywała krawędzie, wpływając nawet na dźwięk odległego kościelnego dzwonu, którego pojedyncze uderzenia niemal ginęły w rozbrzmiewających między nimi echach. Louis objechał niezgrabnie kilka radiowozów policji z Somerville, które ustawiły się na środku skrzyżowania, okno od strony kierowcy przy oknie od strony kierowcy, jakby były owadami i przypilone nagłą potrzebą kopulowały ze sobą w ten sposób. Przez portal pustego, rozświetlonego kościoła dostrzegł pęki wielkanocnych lili.

Autostrady były puste. Jadąc przez Chelsea, Revere i Saugus, z wyżej położonych odcinków drogi spoglądał w dół na ściśniętą mozaikę dzielnic, w której dominowały ulice i podjazdy przed domami. Wiele było zalanych do połowy wodą, a zaparkowane krzywo na obrzeżach samochody wyglądały, jakby zostały tam wyrzucone przez powódź.

Inna powódź, cofająca się powódź dolarów, zostawiła po sobie własnemu losowi niezliczone nowe bloki mieszkalne na mieliźnie pól, błotnistych, jałowych

i zrytych koleinami po gąsienicach. Osiedla domów jednorodzinnych w zabudowie szeregowej różniły się tylko lokalizacją: wszystkie bez wyjątku obłożone były pastelowym sidingiem, a linie ich dachów przerywały postmodernistyczne półkola i trójkąty. Z kolei wysokośćowce występowały w dwóch odmianach: jedne ze sklejką w oknach, a drugie ze zwisającymi z dachu reklamami wyjątkowych okazji na mieszkania z jedną lub dwiema sypialniami.

Na północ od Danvers płaską, wymęczoną ziemię porastały cierniste krzewy i skarłowaciałe drzewa. Przed Ipswich, w pobliżu lokalnego dilerka Forda, Louis zahamował we mgle, żeby przepuścić na drugą stronę drogi 1A zataczającego się najwyżej trzydziestoletniego, kudłatego pijaka. Z miasta pojechał przez Argilla Road, mijając szeroko rozrzucone domy, przed którymi stały bmw, volvo i olbrzymie dęby. Wkrótce dotarł do kamiennej bramy z napisem KERNAGHAN. Ograniczony świerkami podjazd wił się w górę wzgórza przez pofałdowane pastwiska z nieskoszoną trawą. Na szczycie wzgórza stał okazały biały dom z symetrycznymi skrzydłami, nakrytym kopułą portykiem i jakby siedzącą w kucki między mansardowymi oknami piramidą wykonaną z sidingu z białego aluminium. Lekko licząc, miała ze cztery i pół metra. Całość wyglądała jak elegancko ubrana kobieta z plastikowym kubłem na głowie.

Przez chwilę stał na ozdobionej czarnymi znakami yin i yang konopnej wycieracze i zaglądał do wnętrza przez wąskie okno przy frontowych drzwiach. Ujrzał wyłożony kaflami hol i salon, który ciągnął się w głąb domu. W związku z tym, że posiadłość należała obecnie do jego matki, przynajmniej teoretycznie był to też jego drugi dom. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Stół w jadalni, po jego lewej, pokryty był teczkami i aktówkami. Jakiś barczysty mężczyzna w białej koszuli siedział tyłem do przedpokoju, a miejsce u szczytu mebla zajmowała Melanie – czytała jakiś zszyty dokument.

– Cześć, mamó, jak się masz? – odezwał się Louis.

Podniosła na niego surowy wzrok. Nosila okulary połówkowe, które trzymały się tylko na białym czubku jej długiego nosa, szkarłatną jedwabną sukienkę i kolczyki z wielkimi czarnymi kamieniami, a usta pomalowała szkarłatną szminką. Ciemne włosy mocno ściągnęła za uszy.

– Cześć, Louisie – powiedziała, wracając wzrokiem do dokumentu. – Wesołych Świąt.

Jej towarzysz chwycił oparcie krzesła i odwrócił się, ukazując poczerwieniałą i życzliwą twarz z kredowo niebieskimi oczami oraz gęstymi rudawymi wąsami. Kołnierzyk koszuli miał rozpięty, a krawat poluzowany. Sprawiał wrażenie tak zachwyconego widokiem Louisa, że ten natychmiast uścisnął mu dłoń.

– Henry Rudman – przedstawił się mężczyzna.

Zabrzmiało to niemal, jakby powiedział „Henry Łudman”.  
– Musisz być tym synem mieszkającym w Sumvull. Twoja matka powiedziała chyba, że na Belknap Street?

– Zgadza się.

Henry Rudman skinął energicznie głową.

– Pytam dlatego, że sam dorastałem w Sumvull. Znasz może Vinal Avenue?

– Przykro mi, ale nie – odparł Louis. Nachylił się nad ramieniem matki. – Co tam czytasz, mammo?

Melanie odwróciła kartkę w jednoznacznym milczeniu.

– To stare akta – odpowiedział Łudman, rozpierając się na krześle. Wymachiwał piórem jak pałeczką do gry na perkusji. – Mamy tu na górze pewien element dekoracyjny, który nieco już nadużył gościnności. Kilka lat temu miasto Ipswich zgodziło się zapłacić za jego usunięcie. A teraz wygląda na to, że nie chcą się z tego wywiązać.

– To prawdziwa ozdoba – stwierdził Louis.

– E tam, co kto lubi. Ale wiem, co masz na myśli. Rozumiem, że przeniosłeś się tu z Teksasu. Jak ci się podoba pogoda?

– Śmierdzi!

– Tak, poczekaj, aż zobaczysz, co się będzie działo w czerwcu. Powiedz, kibicujesz już drużynie Sox?

– Jeszcze nie – odrzekł Louis. Doceniał okazywaną mu uwagę. – Kibicuję Chicago Cubs.

Prawnik zamachnął się wielką łapą, jakby chciał odbić słowa Louisa.

– Co za różnica. Jeśli lubisz Cubsów, masz wszelkie podstawy, żeby zostać kibicem Sox. Bo zastanów się, na przykład, przez kogo przegraliśmy mistrzostwo w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym? Przez Billa Bucknera. A kto wyświadczył nam przysługę i sprzedał nam Billa Bucknera? Chicago Cubs. Jakby to był jakiś spisek. Które dwie drużyny grały najdłużej, nie zdobywając najważniejszego trofeum? Wiesz, o czym mówię: Sox i Cubs. Posłuchaj, chcesz iść na mecz? Wyślę ci kilka biletów, od dziewiętnastu lat jestem subskrybentem. Raczej nie ma szans, żebyś dostał takie bilety normalnymi kanałami.

Louis cofnął głowę w zdumieniu, już całkowicie rozbrojony.

– Byłoby wspaniale.

Melanie odchrząknęła jak rozrusznik.

– Hej, nie ma o czym mówić – stwierdził Rudman. – Zawsze deprawuję młodych. Musisz mi jednak wybaczyć, zaglądamy teraz w gniazdo żmij.

Louis odwrócił się do matki.

– Gdzie tato?

– Na dworze. Może sprawdź w ogródku. Jak już mówiłam ci przez telefon, mamy tu z panem Rudmanem wiele do omówienia na osobności.

– Nie pozwól... żeby ci przeszkadzał – odezwał się

do niej swoim głosem brzmiącym jak po barbituranach.

W kuchni znalazł ciasto kawowe, bufetowy termos do kawy, a na długim blacie inne wyroby piekarnicze, w białych pudełkach z wypisanym niebieską kredką nazwiskiem „Holland”. Kiedy uchylił drzwi lodówki, otworzył szeroko oczy. Były tam pasztety i sałatki z owoców morza w przezroczystych plastikowych pudełkach, ogromne owoce w ozdobnych bibułkach, puszka rosyjskiego kawioru, pół wędzonej szynki, całe zagraniczne sery, wysokiej jakości jogurt w nietypowych smakach, świeże karczochy i szparagi, koszerne ogórki konserwowe, intrygujący stos zapakowanych delikatesów, niemieckie i holenderskie piwa, firmowe napoje bezalkoholowe, soki w szklanych butelkach i szampan w cenie trzydziestu dolarów za butelkę...

– Louisie – dobiegł go z salonu głos matki.

– Tak, mammo?

– Co tam robisz?

– Oglądam jedzenie.

Cisza.

– Nie ma mowy, żebyś to ty była za to odpowiedzialna – powiedział Henry Rudman. – Jeśli jakiś gość porysuje jaguara na ulicy, a ktoś inny przychodzi i bierze pod zastaw tego samochodu pożyczkę, nie ma mowy, żeby ten pierwszy ponosił odpowiedzialność. To czyste oszustwo, w żaden sposób nie da się cię w to mieszać. W rzeczywistości trudno też obwiniać bank. Ona

mieszka w tym domu i pokazuje im akt własności, który jest doskonałą podróbką, tak dobrą, że można się zastanawiać, czy sama to zrobiła. Założę się, że nie. To sprytna sztuczka. Dostaje dwieście tysięcy pożyczki na podstawie wartości rzekomo posiadanej nieruchomości, siedemdziesiąt dwa wydaje na tę piramidę, którą po prostu musi mieć, wprost nie może bez niej żyć, a różnicę umieszcza w innym banku. W ten sposób będzie miała na pokrycie płatności przez następnych dziesięć, piętnaście lat, a do tego od czasu do czasu może jeszcze z tych pieniędzy organizować przyjęcia. Sprytna sztuczka. Ona umiera, a bank zostaje na lodzie. To znaczy, zakładając, że zarząd funduszu powierniczego wciąż ma autentyczny akt własności. Twój tatko musiał wiedzieć, co robi. Cztery tysiące miesięcznie wolne od podatku, a do tego za darmo dom z opłaconym ogrodnikiem. A ona i tak nie potrafi związać końca z końcem, nie płaci nawet haitańskiej niewolnicy. Nie powiem, żeby mi się podobał ten zarządzany z za grobu biznes, rozumiesz, to tylko zawodowa opinia, ale gdybym był mężem takiej kobiety, na krok nie dopuściłbym jej do kapitału. Ani się obejrzysz, jak zaczniemy szukać wulkanu Fudzi za domem.

- Louisie.
- Tak, mamó.
- Czy mógłbyś wyjść z kuchni?
- Tak, zaraz.



Na końcu ciemnego, zimnego korytarza na tyłach kuchni znajdowało się troje drzwi, jedne prowadziły na zewnątrz, a kolejne do łazienki i sypialni. Louis usiadł na łóżku i siorbał kawę, zagryzając ciastem. W szafie wnękowej wszystkie wieszaki były puste. Dopiero po chwili zauważył, że w oknie brakuje szyby. Było to jedyne zniszczenie po trzęsieniu ziemi, jakie widział przez cały ranek.

Za domem nie znalazł śladu ojca, chociaż wydawało się, że osoba, która przejdzie przez nieruchome i gęste powietrze, musi zostawiać w nim jakieś tropy. Przeszedł przez patio i spróbował otworzyć drzwi balkonowe z tyłu salonu. Natychmiast się poddały.

Salon był tak wielki, że mieściły się w nim cztery osobne zestawy mebli. Nad kominkiem wisiał ogromny obraz olejny przedstawiający dziadka Louisa, oficjalny portret namalowany w 1976 roku, kiedy John Kernaghan miał około siedemdziesięciu pięciu lat. Z wciąż ciemnymi brwiami, niemal idealną łysiną, jędrną skórą i elegancką, niewielką czaszką sprawiał wrażenie wiecznie młodego. Louis zdał sobie sprawę, że to ten mężczyzna odpowiadał za to, że i on tracił włosy. Namalowany mężczyzna wiódł dalsze życie dzięki córce, która siedziała w jadalni po drugiej stronie korytarza i czytała dokumenty iskrzącymi się, nieprzystępnymi, ciemnymi oczami swojego ojca.

– Kiedy spotkają się trzydziestego – cicho powiedział Henry Rudman – muszą rozdzielić cały kapitał. To

bezsporne, nie mają wyboru. Cały proces może zająć kolejne cztery do sześciu tygodni, ale tak czy owak, musi się zakończyć najpóźniej piętnastego czerwca.

Salon jeszcze niezupełnie należał do Melanie i wyraźnie widać to było po leżących na niskich stoliczkach książkach w stylu New Age, po brzydkich fantasmagorycznych akrylach na ścianach i po wypełniających jedyny regał egzemplarzach *Włoskiej księżniczki*, *Zaczynamy życie po sześćdziesiątce* i *Gwiezdnych dzieci*. Nie wspominając już o docierającym z barku zapachu rozlanego alkoholu i woni pachnącego jak guma balonowa środka dezynfekującego. Barek wystawał ze ściany przy wewnętrznym tylnym narożniku pomieszczenia, a wykonany był z tego samego jasnego drewna co dwa stojące przed nim smukłe stołki barowe. Sięgające niemal sufitu półki zajmowała ekspozycja kilkuset różnych butelek – likiery i digestify z nalepkami, na których znajdowały się napisy w obcych alfabetach, a w kilku przypadkach ilustracje niezwykłych warzyw. Louis przyklęknął obok szarej marmurowej podłogi za barem. Było tam dużo miejsca, gdzie mogłaby leżeć mała kobieta z rozbitą głową. Nietrudno było zauważyć niewyraźne ślady brunatnych palców i linie nakreślone rozpryskanym na ścianie alkoholem. A także krew. Dało się ją dostrzec na niemal chirurgicznych szwach łączących kwadraty marmuru, jeszcze nie zbrązowiałą; czerwień lakieru do paznokci szczególnie rzucała się

w oczy w miejscach, w których krawędzie kwadratów były wyszczerbione. Kto to wszystko posprzątał? Ta służąca, zanim ją deportowali? Czubkami palców nacisnął zimny, nieustępliwy marmur, napierając całym swoim ciężarem, słysząc wyraźnie „prask!” rozbijanej czaszki.

– Louisie, na Boga, co ty wyprawiasz?

Zerwał się na nogi. Matka zbliżała się do baru.

– Upadła mi moneta – odrzekł.

– Masz jakieś makabryczne zainteresowania?

– Nie, nie. Po prostu przypadkowo wszedłem od tej strony.

– Tędy...? – Melanie pokręciła głową, patrząc w stronę drzwi balkonowych, jakby bardzo ją rozczarowały. – W tym domu – powiedziała – nie ma żadnych zabezpieczeń. Pewnie się spodziewała, że piramida ochroni ją też przed włamywaczami. To bardzo logiczne i racjonalne, nie sądzisz? I do przewidzenia.

Louis usłyszał delikatne dzwonienie dochodzące z toalety za ścianą.

– No tak. To już wiesz, gdzie zmarła. – Matka skrzyżowała ramiona i z jakąś satysfakcją wpatrywała się w butelki z alkoholem. – Szczerze mówiąc, trudno mi wyobrazić sobie coś bardziej w złym guście niż wstawienie do salonu takiego dużego baru. Choć może się z tym nie zgadzasz. Może uważasz, że wszyscy powinni mieć knajpę w salonie. I beczkę piwa.

Patrzyła na Louisa, jakby rzeczywiście oczekiwała od niego odpowiedzi.

– A jakby tego było mało – ciągnęła – najprawdopodobniej zamontowała to za pieniądze, które wcale do niej nie należały. Pewnie słyszałeś, co mówił pan Rudman. Że sfalszowała akt własności domu, żeby móc pod jego zastaw pożyczyć pieniądze. Co o tym sądzisz, Louisie? Uważasz, że tak można? Uważasz, że to w porządku?

Palcem w pięknym buciku uniosła krawędź chińskiego dywanika, przekrzywiła głowę, żeby odczytać metkę, i opuściła brzeg z powrotem na ziemię. Uśmiechnęła się szyderczo, spoglądając na niski stolik.

– Życie w harmonii. Fenickie boginie. Orgon odrodzony. – Wykrzywiła lekceważąco twarz, jakby się krztusiła. – Co o tym wszystkim myślisz, Louisie?

– Myślę, że zacznę krzycheć, jeśli zadasz mi jeszcze jedno takie pytanie.

– Niedobrze mi się robi na widok wszystkich tych rzeczy tutaj. N i e d o b r z e. – Powiedziała to w stronę portretu nad kominkiem.

– Ale teraz to wszystko jest twoje, tak?

– Praktycznie tak.

– Co zamierzasz z tym zrobić?

– Nie mam pojęcia. Przyszłam ci powiedzieć, że bardzo nas z panem Rudmanem peszy, że się tu tak kręcisz. Nie znalazłeś ojca?

– Nie.

– W każdym razie, jeśli chcesz tu zostać, idź do pokoju na tyłach domu, jest tam telewizor, może znajdziesz jakiś mecz. W lodówce jest mnóstwo jedzenia, częstuj się. Albo pozamiataj patio, mam też kilka innych drobnych zadań, które ktoś mógłby wykonać, ale nie chcę, żebyś się tak kręcił. To nie twój dom, wiesz o tym.

Louis patrzył na nią w obojętnym wyczekiwaniu, jakby wykonała ruch podczas partii szachów, a on chciał się upewnić, że nie zmieni zdania. Następnie, kiedy upłynął już czas, który arbitralnie jej przyznał, powiedział:

– Udał ci się obiad w czwartek?

– To był obiad służbowy. Wydaje mi się, że już ci to wytłumaczyłam.

– Co jadłaś?

– Nie pamiętam, Louisie.

– Nie pamiętasz? To było trzy dni temu! Rybę? Kanapkę z wołowiną i serem?

Słyszeli, jak pan Rudman przekłada naczynia w kuchni, pogwizdując melodyjkę z jakiegoś programu.

– O co ci chodzi? – spokojnie zapytała Melanie.

– Chcę się dowiedzieć, co jadłaś w czwartek na obiad.

Odetchnęła głęboko, starając się pohamować irytację.

– Nie pamiętam.

Skrzywił się.

– Mówisz poważnie?

– Louisie... – Machnęła ręką, starając się zasugerować, że jadła jakieś bliżej nieokreślone danie główne, nic wartego wspomnienia. – Nie pamiętam, chyba rybę. Tak. Filet z soli. Jestem bardzo zajęta.

– Filet z s o l i. Filet z s o l i. – Kiwnął teatralnie głową, niemal jakby się kłaniał. Następnie znieruchomiał, nie wypuszczając powietrza z płuc. – Pieczony? Gotowany?

– Wracam teraz do jadalni – oświadczyła Melanie, nie ruszając się ze środka chińskiego dywanika, jakby nogi wrosły jej w ziemię. – Mam za sobą bardzo nieprzyjemny tydzień... – Urwała, czekając, aż Louis to zakwestionuje. – Bardzo nieprzyjemny. Jestem pewna, że to rozumiesz i możesz też okazać mi nieco zrozumienia.

– Tak, jasne, każde z nas na swój sposób rozpacza, to oczywiste. Chodzi tylko o to, że dotarła do moich uszu kretyńska plotka, że odziedziczyłaś dwadzieścia dwa miliony dolarów. – Próbował zajrzeć jej w oczy, ale się odwróciła, miażdżąc kciuki w zaciśniętych dłoniach. – Kretyńska, co nie? Ale wracając do obiadu, niech pomyślę, pan Aldren i ten, jak mu tam, Tweedledum, jedli stek, prawda? A pan Stoorhuys... – Pstryknął palcami. – Królika. Połówkę królika, z grilla. Albo... jak to się nazywa? Duszonego.

– Wracam do jadalni.

– Powiedz mi tylko, proszę, czy właśnie to jadł? Czy jadł królika?

– Nie wiem. Nie zauważyłam...

– Nie zauważyłaś k r ó l i k a? Takiego rozciągniętego na talerzu? Może z odrobiną sosu żurawinowego? Albo czerwonej kapustki? Plackami ziemniaczanymi? Co to była za restauracja? Chciałbym ją sobie wyobrazić, pomóż mi, mamó. Czy naprawdę była b a r d z o d r o g a?

Melanie po raz kolejny głęboko westchnęła.

– Byliśmy w restauracji La Côte Américaine. Jadłam filet z soli, a panowie Aldren, Tabscott i Stoorhuys jedli zupę i steki z grilla lub kotlety, naprawdę nie potrafię sobie dokładnie przypomnieć, co...

– Ale nie królika. Przypomniałabyś sobie.

– Zgadza się, nie królika, Louisie. Wcale nie jesteś taki dowcipny, jak ci się wydaje.

Louis zmrużył oczy.

– Dobra – stwierdził. – W takim razie wróćmy do tych dwudziestu dwóch milionów dolarów. Co zamierzasz z nimi zrobić?

– Nie mam pojęcia.

– A co sądzisz o jachcie? To może być miły prezent.

– To wcale nie jest zabawne.

– Czyli to prawda?

Melanie pokręciła głową.

– To nieprawda.

– Ach, to nieprawda. A więc to kłamstwo. Czyli co, dwadzieścia jeden i dziewięć dziesiątych? Dwadzieścia

dwa i jedna dziesiąta?

– Chcę powiedzieć, że to nie twoja sprawa.

– Aha, rozumiem, to nie moja sprawa. Dajmy sobie zatem spokój, nie mówmy o tym. W końcu ludzie codziennie dziedziczą dwadzieścia dwa miliony dolarów. Co tam dzisiaj u ciebie w pracy? Ach, odziedziczyłem dwadzieścia dwa miliony dolarów, możesz podać mi masło?

– Proszę, przestań powtarzać tę kwotę.

– Dwadzieścia dwa miliony dolarów? Chcesz, żebym przestał mówić dwadzieścia dwa miliony dolarów? Dobra. Przestaną mówić dwadzieścia dwa miliony dolarów. Mówmy na to alfa. – Zaczął krążyć wzdłuż krawędzi dywanika. – Alfa jest równe dwudziestu dwóm milionom dolarów, dwadzieścia dwa miliony dolarów równa się alfa, a alfa nie jest ani większe od dwudziestu dwóch milionów dolarów, ani mniejsze od dwudziestu dwóch milionów dolarów. – Zatrzymał się. – Jak twój tato doszedł do takiego bogactwa?

– Louisie, błagam cię. Prosiłam, żebyś przestał wymieniać tę kwotę, i mówiłam poważnie. Sprawiasz mi wielką przykrość.

– Tak, rozumiem. Dlatego zaproponowałem, żebyśmy mówili na tę kwotę alfa, chociaż obawiam się, że słowo alfa nie oddaje w pełni jej wagi. Ależ to przykre odziedziczyć tyle pieniędzy. Wiesz, tato mówi, że nie zamierza nawet przestać wykładać.



– A dlaczego miałby przestać wykładać?

– Tylko mi nie mów, że potrzebujecie jego pensji, mając dwadzieścia dwa... Oj, przepraszam.

– Byłabym ci wdzięczna, gdybyś nie starał się mówić mi, czego potrzebuję, a czego nie potrzebuję.

– Byłabyś wdzięczna, gdybym po prostu sobie stąd poszedł i nigdy więcej o tym nie mówił.

Twarz Melanie się rozjaśniła, jakby był jej uczniem, który nieoczekiwanie udzielił prawidłowej odpowiedzi.

– Tak, rzeczywiście, dokładnie tak. Tego n a j b a r d z i e j bym od ciebie chciała.

Oczy Louisa zwężyły się jeszcze bardziej. Powiedział:

– Dwadzieścia dwa miliony dolarów, dwadzieścia dwa miliony dolarów, dwadzieścia dwa miliony dolarów.

– Mówił to coraz szybciej, aż zaczął mu się plątać język i z jego ust padało tylko: „dwamrów, dwamrów”. – Ależ to ogromna fura pieniędzy. To znaczy, że jesteś b a r d z o, b a r d z o, b a r d z o bogata.

Matka odwróciła się przodem do kominka i zakryła uszy dłońmi, przyciskając je do głowy z tak wielką siłą, że aż drżały jej ramiona. Byli tak blisko prawdziwego starcia, jak jeszcze nigdy wcześniej; choć w rzeczywistości nie było to starcie. Przypominało raczej zachowanie dwóch magnesów prętowych, kiedy próbuje się je zetknąć północnymi biegunami. Zawsze tak było. Nawet gdy miał trzy czy cztery lata, a ona chciała przyglądać mu włosy lub wytrzeć jedzenie z ust,

wykręcał głowę na tym swoim mocnym, hardym karku. Kiedy leżał chory w łóżku, a ona kładła mu na czole zimną dłoń, starał się wcisnąć w poduszkę i materac, jakby działała na niego trzykrotnie większa grawitacja. Instynktownie i stanowczo przeciwstawiał się jej dotykowi, jak magnes, który nigdy nie zazna ulgi rozerwania czy rozładowania niezmiennego i niewidzialnego pola sił. Uniosła głowę, przyłożyła białe palce płasko do policzków, wsparła się łokciem o kominek i spojrzała w górę na swojego ojca. Z głębi domu docierały dźwięki telewizora, wzmocnione odgłosy dudnienia i zderzeń – to musiały być kręgle.

– Louisie, płacę panu Rudmanowi za jego czas.

– Jasne. Ile bierze taki prawnik, kilkaset dolców za godzinę? Powiedzmy, dwieście dwadzieścia za godzinę w stosunku do dwudziestu dwóch milionów, och, przepraszam, znowu się zapomniałem, czyli dziesięć do drugiej do dziesięć do siódmej, to się równa sto tysięcy godzin, a jeśli założyć dziesięć godzin dziennie, przez dwieście pięćdziesiąt dni w roku... Mój Boże, masz rację. To tylko czterdzieści lat. Postaram się streszczać.

– Czego chcesz?

– Cóż, zastanówmy się: mam pracę, tanie mieszkanie i samochód, który spłacam, nie jestem żonaty, nie mam kosztownych nałogów, a do tego, gdybyś tego nie zauważyła, odkąd skończyłem szesnaście lat, nigdy nie prosiłem o nic ani ciebie, ani taty, więc prawdopodobnie

nie chcę p i e n i ę d z y, zgadza się, mamó?

– Bardzo to wszystko doceniam.

– Nie ma o czym mówić.

– Jest o czym. Nigdy ci nie mówiłam, jak jestem dumna z twojej niezależności.

– Powiedziałem: d a j s p o k ó j.

Odwróciła się do niego.

– Mam pewien pomysł – stwierdziła. – Wspomniałam o czymś takim Eileen i ona chyba uważa to za niezłą myśl. Mam nadzieję, że ojciec również się na to zgodzi. Uważam, że wszyscy powinniśmy zachowywać się tak, jakby to się nigdy nie wydarzyło.

– Te dwadzieścia dwa miliony dolarów?

– Proszę. Proszę, bardzo p r o s z ę. Uważam, że wszyscy powinniśmy dalej wieść takie życie, jakby nic się nie zmieniło. To znaczy, nie wykluczam, że z biegiem czasu kilka rzeczy może się zmienić, w małym, a może też i w dużym stopniu. Prawdopodobnie będę mogła, na przykład, bardzo ci pomóc w powrocie na uczelnię, jeśli zdecydujesz, że tego chcesz. I niczego nie obiecuję, ale możliwe, że jeśli ty lub Eileen będziecie kiedyś chcieli wpłacić zaliczkę na dom, również w tym zakresie mogłabym się wam przydać. Ale to wszystko kwestia przyszłości i uważam, że dla naszej czwórki najlepiej będzie, jeśli postaramy się o tym nie myśleć.

Louis podrapał się w szyję.

– Mówisz, że zdaniem Eileen to dobry pomysł?

– Och, tak.

– To dlaczego płakała w czwartek?

– Bo ona... – Przez chwilę matka patrzyła nieobecny wzrokiem, po czym zaszklily jej się oczy, lzy zdawały się tworzyć bezpośrednio na jej ciemnobrązowych tęczęwkach, tak jak samoistnie wilgotnieje cukierkowy sopelek. – Bo ona, Louisie, przyszła poprosić mnie o pieniądze.

Wybuchnął śmiechem. To była ta sama Eileen, która potrafiła wpakować samochód do jeziora.

– I co? Wypisać jej czek? A może nie wypisać?

– Och! – Matka ponownie uniosła ręce do twarzy, z całych sił zaginając palce. – Och! Nie wolno ci tak do mnie mówić!

– Niby jak?

– Nie będę dłużej na ten temat z tobą rozmawiać. Musimy przestać o tym myśleć. Chcę, żebyś zaraz wyjechał. Rozumiesz? Prosiłam cię, i to niejedną raz, żebyś z tego nie żartował, a ty nie chcesz mnie słuchać. Jesteś g o r s z y od ojca, a wiem, że uważasz go za bardzo śmiesznego. Ale to w najmniejszym stopniu nie jest zabawne, lecz po prostu niegrzeczne...

I p r z e s t a ń w y w r a c a ć o c z a m i! NIE WYWRACAJ OCZAMI! Rozumiesz? Chcę, żebyś natychmiast opuścił ten dom.

– W porządku, w porządku. – Louis ruszył do przedpokoju. – Tylko wyślij nam pocztówkę z Monako,

dobrze?

Melanie szła za nim. Dźwięki płynące z telewizora taktownie stały się głośniejsze.

– Odwołaj to!

– Dobra. Nie wysyłaj nam kartki z Monako.

– Naprawdę nie rozumiesz, jak bardzo jesteś niegrzeczny? Naprawdę?

Kiedy Louis wpadał w szal – w przeciwieństwie do sytuacji, kiedy był tylko przekonany, że postępuje słusznie – wypinał pierś, podnosił brodę i patrzył na wszystko z góry, jak marynarz lub jakiś łobuz szukający zwady. Robił to zupełnie nieświadomie; jego twarz wyglądała wtedy śmiertelnie poważnie. I kiedy teraz stanął oko w oko z matką, która raczej nie zamierzała go popchnąć czy walnąć na odlew, wyglądał tak niesamowicie wojowniczo, że mina jej złagodniała.

– Uderzysz mnie, Louisie?

Opuścił brodę, jeszcze bardziej rozzłoszczony, kiedy zauważył, że tylko ją rozbawił.

– Przytul mnie – poprosiła matka. Położyła mu dłoń na ramieniu i mocno je ścisnęła, kiedy próbował się wyrwać. Powiedziała: – Nie jestem egoistką. Rozumiesz?

– Jasne. – Jego ręka spoczęła na gałce u drzwi. – Jesteś tylko zdenerwowana.

– Zgadza się. I minie trochę czasu, zanim w ogóle zobaczę te pieniądze.

– Jasne.

– A kiedy to zrobię, nie wiem, ile tego będzie. Wspomniana przez ciebie suma, którą pewnie podał ci ojciec, może się bardzo zmienić. To bardzo skomplikowana i niefortunna sytuacja. Bardzo... bardzo niefortunna.

– Jasne.

– Ale niezależnie od tego, co się stanie, i tak będziemy mogli zrobić coś miłego.

– Jasne.

Jej irytacja eksplodowała.

– Przestań to powtarzać!

Na kręgielni kula uderzyła w kręgle. Tłum wiwatował.

– Jasne – odrzekł Louis.

Puściła jego ramię. Wyszedł i zamknął cicho drzwi, nawet na nią nie spojrzawszy. Ze wzrokiem wbitym przed siebie pomaszerował na sztywnych nogach obok samochodu i dalej po podjeździe, pozwalając działać sile grawitacji; czuł się równie przybity, jak osiem dni wcześniej, gdy przeczytał o trzęsieniu ziemi. Jego przygnębienie było jak izotop gniewu: powolniejsze i mniej gwałtowne, jeśli chodzi o siłę niszczenia, ale identyczne pod względem chemicznym. Ledwo zauważył ojca, który wyrósł przed nim na zakręcie, blisko miejsca, gdzie kończył się podjazd.

– Jak się masz, Lou. – Głowa Boba promieniała w gnieździe z goreteksu i podszewki w szkocką kratę. Unosił się wokół niego zapach palonej marihuany.

– Cześć – odparł Louis, nie zatrzymując się. Bob się uśmiechnął, popatrzył na oddalającego się syna i natychmiast zapomniał, że go spotkał.

Na wschód od posiadłości Kernaghan teren jeszcze bardziej przypominał park, ogródki ustępowały tu miejsca majątkom ziemskim, widać było barierki na pastwiskach i stojące na podjazdach przyczepy do przewozu koni. Obok Louisa przemknął smukły japoński but narciarski. Mignęła mu przyklejona do szyby twarz dziewczynki ubranej w różową odświętną sukienkę. But przyhamował, skręcił i w miarę jak wspinał się na wzgórze, zaczął powoli ginać w białym powietrzu. Dziewczynka biegiem wyskoczyła przez rozsuwane drzwi; miała coś w ręce, chyba jakąś książkę, Biblię.

Również Louis między szóstym a piętnastym rokiem życia mniej więcej trzysta pięćdziesiąt razy wracał z kościoła w niedzielne poranki. Wyłaniał się z tylnego siedzenia lekko oszołomiony i z poczuciem, że stracił cały poranek zabawy, że zmarnował go w podziemnych pomieszczeniach szkółki niedzielnej, gdzie stały w nieładzie meble i panował wilgotny zapach, charakterystyczny dla miejsc, w których bywali tylko przejezdni. Oczywiście, gdy był mały, starannie ukrywano przed nim oszustwo. Słoiki z klejem i pordezwiąłe nożyczki, odbite na powielaczu kartki z malowanek i brązowe kredki do kolorowania osiołka, na którym siedział Jezus (te kredki stanowiły jeden

z pierwszych powodów, dlaczego zaczęło rodzić się w nim poczucie bezmiaru przeszłości i osobliwości historii; ich nieznany wygląd oraz zabrudzone i wyschłe papierowe opaski sugerowały, że cały ten interes z kolorowaniem osiołków trwał zdecydowanie dłużej niż jego dotychczasowe życie, dłużej niż wszystko, co działo się w prawdziwej szkole, gdzie materiały i przybory zawsze były nowe). Towarzyszyła temu też muzyka – zwłaszcza jedna piosenka o tym, jak Jezus kocha małe dzieci, dzieci w kolorach kredek: czerwone i żółte, czarne i białe. Zajmowano się tam chałupnictwem, produkcją styropianowych wieńców adwentowych, palm z kolorowego kartonu, ceramicznych przedmiotów na Dzień Matki i (pewnego ranka, kiedy Louis usunął przedni ząb chłopcykowi, który korzystał z jego niebieskiej tempery, i jakimś cudem nie został za to ukarany) gipsowych figurek ze stajenki. Ale nie pozwolił się zwieść tym pozorom zabawy bardziej, niż dawał się nabierać na słodycz pasty do polerowania zębów u dentysty. A gdy przeszedł do siódmej klasy, z pozorów nie zostało dokumentnie nic. Otrzymał Biblię oprawioną w czerwoną sztuczną skórę, z wypisanym z przodu wielkimi złotymi literami jego imieniem i nazwiskiem LOUIS FRANCIS HOLLAND, i spędził godzinę niedzielnego poranka w innym skrzydle kościoła, w jeszcze mniejszym i bardziej ogołoconym z mebli pomieszczeniu; w trakcie przenosin liczebność klasy z jakichś powodów bardzo



zmaląa, odeszli z niej wszyscy jego koledzy, tak że mogli spędzać poranki na oglądaniu niedzielnych kreskówek, do których on sam bardzo się przyzwyczał w okresie letnim, w związku z czym zajmował przez nikogo niekwestionowane miejsce na szarym końcu w zdecydowanej większości żeńskiej klasy, gdzie, ponieważ nie istniała hierarchia oparta na stopniach, swoją pozycję mógł określić na podstawie tego, że w przeciwieństwie do wszystkich innych Biblii jego egzemplarz natychmiast i bez żadnego świadomie popełnionego przez niego błędu szerniał, do tego obtarł się grzbiet, a na rogu tylnej okładki pojawiło się rozdarcie, nie wspominając już o tym, że trzy razy częściej niż innych proszono go o czytanie na głos z Biblii, i zawsze pouczano, nazbyt delikatnym głosem rodzica, niejakiego pana Hope'a, żeby się nie wstydził i mówił trochę bardziej donośnym głosem. Pewnego razu klasa miała opisać Jezusa jako człowieka i jedna z dziewczynek odpowiedziała, że prawdopodobnie był słabowity i delikatny – ale pan Hope nie zgodził się z tą charakterystyką, dowodząc, że syn cieśli z pewnością był silny, skoro mógł przewrócić stoły bankierów w świątyni; Louis pomyślał, że przynajmniej raz ten słabowity i delikatny pan Hope miał rację.

Mimo że ich ojciec niedzielne poranki spędzał raczej na pływaniu niż na praktykach religijnych, dzieciom Hollandów nigdy nie przyszło do głowy, że szkółka

niedzielną może nie być obowiązkowa. Przez dziewięć miesięcy w roku Melanie stawiała je przed sobą, na szczycie prowadzących do kościoła od strony parkingu tylnych schodów, żeby w końcu pchnąć je w stronę klasy, a samej podążyć do świątyni, gdzie zajmowała ławkę w pobliżu ambony, bynajmniej nie dlatego, że taka bliskość robiła z niej lepszą chrześcijankę (o tym zdecydował już Bóg), ale ponieważ lubiła, kiedy inni zwracali uwagę na jej stroje. Nie przestała chodzić do kościoła, nawet kiedy jej dzieci miały już piętnaście lat i okazały się niebierzmowalne – Eileen, ponieważ prowadzące życie towarzyskie dziewczyny muszą w niedzielę dłużej pospać, a Louis ze względu na niezgodność charakteru z każdym bez wyjątku w kościele. Mimo dziesięciu lat uczęszczania do szkoły niedzielnej okazało się, że ucieczka na stałe od wszelkiej dalszej odpowiedzialności wymagała od niego tylko jednego – stwierdzenia: nie, nie dam się na to nabrać. Był to ostateczny dowód na to, że autorytetu Kościoła nie dało się porównać z autorytetem, jakim cieszyła się szkoła.

Zostawiwszy w tyle gospodarstwa, gdzie hodowano konie, szedł teraz między podmokłymi polami i gęstymi krzakami czarnych jeżyn. Pośród martwego sitowia stała porzucona, zupełnie zardzewiała prasa zwijająca, sprawiając srogie i prorocze wrażenie. Dwie siedzące na niej mewy wzbily się w powietrze, jakby właśnie

wydziały resztki mięsa ze szkieletu maszyny. Louis patrzył za nimi, dopóki ich skrzydła nie zniknęły w otaczającej je bieli, a ciała ptaków nie zmniejszyły się do rozmiarów drobnych mętów w oku.

Droga na plażę wyglądała, jakby się wznosiła i wyparowywała. Ciągnęła się tak daleko i prosto, że przyspieszył kroku, aż zaczął truchtać, żeby rozruszać zeszywniałe nogi. Wkrótce, słysząc swój coraz cięższy oddech i obserwując skrywające się i wynurzające w rytm jego podskoków porastające bagna spartyny grzebieniaste i morszczyzny, odniósł wrażenie, że ogląda scenę z filmu, w której psychopata goni dziewczynę w bieliźnie, a pokazywany z perspektywy mordercy obraz, wzbogacany dźwiękiem ciężkiego, oskrzelowego charkotu, nakręcono za pomocą ręcznej kamery. Z czasem to wrażenie stało się tak silne i niepokojące, a sapanie do tego stopnia wypełniło mu uszy, że zaczął na głos podśpiewywać, żeby oprzytomnieć: „Ho! Ho! Hej! Ja! Tutaj! Hej!”. Trochę pomogło, ale najwyraźniej działało się też coś innego, kiedy bowiem minął strażnicę i nagle zwolnił, przechodząc do marszu, poczuł, jakby wybiegł nie tylko z bagien, ale też zupełnie z niedzieli, trafiając na wydmy jakiegoś ósmego, bezimiennego dnia tygodnia, o którym tylko on jeden wiedział.

W głowie była mu jakaś syrena. Niebo (jeśli niebo było odpowiednim określeniem na to, co się bezpośrednio przed nim otwierało) było wciąż tak samo

jednolicie białe, ale obecnie wydawało się, jakby słońce unosiło się tuż za progiem widzialności, odległe o rzut kamieniem i wielkości porcji dla jednej osoby; odniósł też wrażenie, że jak tylko mgła się rozwieje, ukążą mu się granice jakiegoś miniaturowego świata, niegroźna pustka niczym strumyk płynący za nim tam, skąd przybył, w kierunku niedzieli, matki i jej bogactwa.

Wszedł na parking, którego granic strzegł oddział zielonych kubłów, gdzie za pomocą szablonu wypisane było jedno słowo: PROSZĘ. Od strony morza w powietrzu unosiły się kępy trawy, podpierane przez niewidoczne teraz wydmy. Miał wrażenie, że przez stopy wyczuwa uderzenie fal, jakieś delikatne drżenie. Syrena przestała wyc mu w głowie i uruchomiła się w samotnym, przypominającym chodak chryslerze leBaron, który stał na samym końcu parkingu. W samochodzie brzęczał alarm. Po chwili hałas ustał, ale zdążył włączyć w głowie Louisa jakieś przypominające mięsień urządzenie, które dudniło dalej, mimo że źródło dźwięku zamilkło.

Kiedy wciąż jeszcze próbował się domyślić, gdzie właściwie jest, zza kubła na śmieci wyskoczyło w jego stronę czarne zwierzę. To był retriever, dorosła suka. Ślizgając się na łapach, przejechała obok niego i zatrzymała się, gotowa do zabawy, z głową opuszczoną niżej niż ogon. Następnie skoczyła na niego. Starał się zrzucić jej łapy z piersi, ale przypominało to grę gumową piłką – łapy odbijały mu się od rąk i wracały, gdy tylko

wylądowały na ziemi. Na obroży miała numer 508 i imię JACKIE. W pobliżu nie było widać właściciela psa. Suka poszła za Louisem, dotrzymując mu towarzysztwa, po drewnianym pomoście aż na piasek, gdzie zajęła się obwąchiwaniem jego śladów.

Plaża była nasiąknięta deszczem i bezludna. Brunatne fale zatrzymywały się w biegu, a każda z nich kończyła jak nieudana szarża quarterbacka, przeciwstawne siły zwierały się i załamywały bez żadnego efektu. Kawalek dalej, na południe od parkingu, w miejscu, gdzie plaża się rozszerzała, a strumień przynosił spoza wydm bogate w żelazo błoto, suka nagle rzuciła się do biegu. Odwróciła zdecydowanie łeb, jakby chciała popatrzeć za siebie na Louisa, ale też nie chciała zwalniać, a potem, jakby zapominając o żalu, pobiegła szybciej, daleko, daleko w górę plaży, i zniknęła.

W tym momencie poczuł ukłucie prawdziwej samotności. Usiadł na kamieniu i wsparł brodę na rękę. Morze wciągało powietrze jak chory człowiek; czas ciągnął się w nieskończoność między uderzeniem jednej fali a otuchą niesioną przez następną. Grzywacze były ciemne i mętne od zawiesiny piasku i części organicznych. Tam, gdzie pobiegł pies, Louis widział tylko piasek, wodę, mgłę.

Chociaż wzbudziło to jego śmiech, w rzeczywistości wcale go nie zaskoczyło, kiedy usłyszał, że Eileen już próbowała sięgnąć po nowe fundusze matki. Nawet

w dzieciństwie umiała wyciągać pieniądze od Melanie, a potem żyć ze spokojnym sumieniem. Kiedy dorastali, Louis często mijał ją na schodach i widział siostrę zwijającą jedną lub kilka dwudziestodolarówek, a potem odkrywał w jadalni kolejne dowody transakcji, portmonetkę matki leżącą w innym miejscu na stole, a jej właścicielkę wyraźnie starającą się zapanować nad wyrazem twarzy, ze skierowanym do niego jasnym komunikatem w oczach: portmonetka wróciła na swoje miejsce, więc nawet mnie nie proś. To akurat było dosyć ciekawe, bo w rzeczywistości nigdy tego nie robił, nawet wówczas, gdy potrzebował pieniędzy na rzeczy ważniejsze niż Eileen, która chciała kolejnej pierdoły od Benettona czy bilet na koncert. Nigdy nie prosił, bo jakoś zawsze wyglądało to tak, jakby Eileen go ubiegła. I nie była to kwestia odpowiedniego momentu, ponieważ gdy tylko przychodziło mu na myśl, żeby poprosić o pieniądze, za każdym razem czuł, że powinien jeszcze chwilę się wstrzymać, bo przecież Eileen niedawno to zrobiła, a kiedy on się powstrzymywał, ona znowu prosiła i znowu dostawała, co chciała. Było oczywiste, że jeśli rzeczywiście ubiegła go w staraniach o pieniądze matki, zrobiła to dawno temu, raz a dobrze.

Musiał nastąpić wreszcie dzień, gdy nie miną się na schodach w milczeniu. Nadszedł tego samego lata, kiedy to Eileen zaparkowała samochód w jeziorze. Louis wrócił z koszenia trawy i w korytarzu na piętrze spotkał ją

z tradycyjnymi dwudziestodolarówkami w dłoni; złożyła je na cztery i trzymała z nonszalancją zwycięskiego psa, który wraca z bójką, trzymając w zębach sporny skrawek duszonej wołowiny. Długo narastająca uraza i brzydota tych ściskających dwudziestodolarówki palców skłoniły Louisa do zadania pytania: „Ile tam masz?”. Odparła: „Gdzie ile mam?”. Powiedział: „W ręku. Może dałabyś mi jedną dwudziestkę?”. Patrzyła na niego, jakby zaproponował, żeby zdjęła koszulę. „Zapomnij! Idź i sam poproś. Ja poprosiłam dla siebie”. Na co on powiedział: „Tak, jasne, ty właśnie poprosiłaś, więc co ja mam zrobić?”. Stwierdziła: „Poprosiłam dla siebie. Możesz iść i sam też poprosić”. A Louis odpowiedział: „Nie mam zamiaru o nic prosić. Ja chcę z a r o b i ć swoje pieniądze”.

Eileen zareagowała tak, jakby przez całe życie wiedziała, że ten moment nadejdzie. Wściekła się i rzuciła mu pod nogi zatrute pieniądze, po czym zatrzasnęła za sobą drzwi do pokoju. Później, siedząc w swoim pokoju, Louis słyszał, jak matka mówi: „Eileen? Eileen, kochanie, zgubiłaś pieniądze”.

W istocie, Melanie może nawet chciałaby być bardziej obiektywna, zwłaszcza gdyby nie wiązało się to z większymi wydatkami. Z pewnością prośby Eileen były dla niej okazją, by skarcić córkę za egoizm i postawić jej za przykład Louisa i jego niezależność. Ale gdy jedno z jej dzieci nie stawiało żadnych żądań, nie tylko finansowo

dogodniej, ale i osobiście łatwiej było po prostu dawać drugiemu wszystko, czego zapragnie. Eileen umiała być nieziemsko milcząca i podła, kiedy czegoś jej odmawiano. Potrafiła siedzieć przy stole w jadalni i wpatrywać się w ubrania i biżuterię Melanie tak długo i tak uporczywie, że zaczynała zatruwać jadem najprostsze przyjemności matki. Zachowywała się tak, dopóki nie ofiarowano jej pieniędzy lub ich odpowiednika w formie dóbr materialnych. Choć zmowa matki i córki sprawiała ponure wrażenie, to jednak się sprawdzała. Trzeba było tylko chronić pieniądze przed zatruciem, a żeby to osiągnąć, wystarczyło obchodzić Louisa na paluszkach, bo jego ojciec miał niewiele osobistych potrzeb i zaspokajał je, podejmując gotówkę bezpośrednio z konta, cała reszta była zaś w gestii Melanie. Tylko Louis – ten dziwny, zręczliwy Louis – dysponował mocą zatruwania pieniędzy. Dobre samopoczucie innych zależało od jego powściągliwości. Zachowywał ją i rozmyślnie pozwalał psuć Eileen, i tylko raz, kiedy stanął z siostrą twarzą w twarz w korytarzu na piętrze, wyszła na jaw odrobina tego całego jadu, który w nim wzbierał.

Eileen wstąpiła do college'u Bennington. Była to najlepsza uczelnia spośród tych, na które została przyjęta, tę samą uczelnię wybrał też Judd, jej chłopak z rejonu North Shore. Była to też najdroższa licencjacka instytucja w kraju. Ona i Judd zerwali ze sobą, zanim



jeszcze wyjechali na kurs wstępny dla studentów pierwszego roku.

Dwa lata później Louis wyjechał na Uniwersytet Rice'a. Uczelnia była niedroga i zaoferowała mu przyzwoity pakiet pomocowy. Przez siedemnaście godzin tygodniowo pracował za biurkiem wypożyczalni biblioteczej, co przyniosło osobliwy skutek, dzięki temu bowiem zaczęto rozpoznawać go na kampusie. Do tego namiętnie grał w pokera i zapisywał wszystko skrzętnie w notesie; pod koniec przedostatniego roku jego średnie tygodniowe zarobki z trzech lat sięgnęły bardzo okazałej kwoty 0,384 dolara. Wciąż jednak się zadłużał, więc gdy na ostatnim roku pojawiła się okazja, żeby drastycznie zredukować wydatki, od razu z niej skorzystał, a dopiero później, kiedy zaczęły się już problemy, zakwestionował sensowność podjętej decyzji.

Ojciec skontaktował go ze swoim dawnym kolegą ze szkoły średniej, niejakim Jerryem Bowlesem, który wykładał na Uniwersytecie Rice'a i wraz z żoną mieszkał w domu położonym kilka przecznic na zachód od kampusu, przy Dryden Street, na południe od Szekspira i na północ od Swifta. Pan Bowles zachorował na serce i poszukiwał studenta, który w zamian za pokój i wyżywienie mógłby w okresie wiosennym i jesiennym wykonywać ciężkie prace w ogródku. Wyglądało na to, że Louis wręcz idealnie się nadaje do tego zajęcia. Kiedy pod koniec sierpnia wrócił do Houston, państwo Bowlesowie

odebrali go z lotniska.

Kiedy rozmawiali z nim minionej wiosny, byli bardzo energiczni i rzeczowi, ale teraz, kiedy Louis do nich przyjechał, niczym wybrana z katalogu zabawka, zachowywali się jak dzieci, które się przepychają, żeby rozpakować przesyłkę i sprawdzić, czy działa zgodnie z ich oczekiwaniami. Mieli zabawkę własnej produkcji, córkę, jedynaczkę, ale uczyła się gdzieś daleko i najwyraźniej zabawa z nią nie była już atrakcyjna. Louis stał się ich nową namiętnością. Pierwszego wieczoru przy kolacji bez przerwy poprawiali się nawzajem:

– MaryAnn jest przeszczęśliwa, że będzie gotować ci obiady...

– Jerry, w ogóle nie ma kwestii, że mogłabym nie gotować, przecież zaproponowaliśmy mu pełne...

– Macie państwo jakieś plastikowe pojemniki, w których można by...

– Louis, ja z a w s z e jestem w domu, z a w s z e, więc to bez różnicy, niezależnie od tego, kiedy będziesz wracał do domu...

– Możemy być odrobinę bardziej wymagający, jeśli chodzi o kolację...

– Jerry, dlaczego, Jerry, d l a c z e g o ty...

Siedzący między nimi przy stole Louis jadł kotlet wieprzowy i starał się pilnować swoich spraw, tak jak to zrobił w kolejce nadziemnej w Chicago, kiedy jakiś maniak zaczął wygłaszać przemówienie. Popęłnił błąd,

już zdążył to zauważyć. Wsiadł do nieodpowiedniego pociągu. Ale nie jechał dla przyjemności, jechał po to, żeby zaoszczędzić pieniądze.

Pan Bowles miał schludnie przyciętą siwą brodę i fajkę, którą często tylko trzymał w ustach i gryzł, choć czasami też palił. Kiedy nie prowadził zajęć z językoznawstwa, obchodził dom w poszukiwaniu chwastów, suchych gałęzi, krzywych kamiennych płyt chodnikowych, kapiących kranów, skrzypiących desek podłogowych, lepkich drzwi, porwanych moskitier i brudnych okien. Jego młotki, piły i sekatory wisiały na tablicy, na której czarnym markerem narysowano kontur każdego narzędzia. Wyglądało na to, że nie ma żadnych znajomych ani hobby. Lubił tłumaczyć Louisowi, co i jak się robi w jego domu. Szczegółowo wyjaśniał każdy aspekt kuchni żony, opowiadając, jak to się stało, że zaczęła gotować warzywa na parze, a nie w wodzie, co zrobić, żeby purée ziemniaczane miało konsystencję kremu, i jak, po latach, nie bez jego udziału, zrezygnowała z podawania mięsa częściej niż dwa razy dziennie. Przedstawił w skrócie ergonomiczne sposoby układania naczyń w stosy i czytania gazety. Stale też powracał do urządzenia do zmiękczenia wody i jego rozlicznych zalet. Louis słuchał tych wykładów ze współczuciem graniczącym z przerażeniem.

– Spójrz, jak on na ciebie patrzy – powiedziała MaryAnn. – Jerry, spójrz, jak Louis na ciebie patrzy.

– Czy coś się stało? – zapytał potencjalnie urażony pan Bowles.

– Może już dość się nasłuchał o miękkiej wodzie – odparła MaryAnn.

– Przepraszam – odezwał się Louis, kręcąc głową, jakby chciał uwolnić ją z pajęczyny. – Myślałem o... o czymś innym.

MaryAnn mrugnęła.

– Może o jagodowym placku z lodami?

MaryAnn była młodsza od męża. Nosiła chusty i sandały oraz kwieciste sukienki z tkaniny drukowanej, wydekoltowane, żeby podkreślić jej pokryty niebieskimi żyłkami wielki biust. Często można ją było spotkać, cichutką, milczącą, w kącie lśniącej czystością pralni, gdzie prasowała koszule, powłoczki na poduszki i slipy. W domu było mnóstwo miejsc, w których siadywała i odpoczywała. Wszędzie tam trzymała książki i czasami można było ją zobaczyć, jak jedną z nich odkłada (Sigrid Undset, Edith Wharton, D. H. Lawrence), ale zakładki jakoś zawsze tkwiły w tych samych miejscach. Przygotowywane przez nią dla Louisa lunchy były tak niesamowite, że aż serce się krajało: kanapki z chlebem z pszennej mąki mielonej na żarnach, pokrojone w słupki marchewki, marynowane arbuzy, gruszki odmiany Bonkreta Williama, kawałki domowej babki. Kiedy sam robił sobie lunchy w Evanston, z reguły składały się z mortadeli bolońskiej na białym chlebie, banana,

ciasteczek Twinkie, jeśli akurat je miał, i paczki czipsów Del-Mark. Przez całe życie czipsy Del-Mark widział tylko w kuchni matki.

Starając się postępować taktownie, dopiero po całych czterech dniach powiedział MaryAnn, że nie będzie jadał kolacji na Dryden Street. Stwierdził, że najlepiej byłoby, gdyby mógł pakować lunch i kolację do torby i zabierać ją na kampus.

MaryAnn musiała się tego spodziewać.

– Spakuję ci je – odpowiedziała ze smutkiem. – Chociaż nie jestem w stanie dobrze cię odżywiać z papierowej torebki.

Problem nie polegał na tym, jak powiedział Louis, że nie lubił jadać kolacji w domu. Ale na ostatnim roku musiał pisać pracę, a do tego zajmować się swoimi obowiązkami kierownika stacji w KTRU.

– Dobrze – stwierdziła MaryAnn. – Może będziesz jadał z nami kolację w niedzielę? Albo w jakiś dowolny inny dzień, który będzie ci odpowiadał.

Nie po raz ostatni musiał zrewidować logikę swojego postępowania: (1) musiał być grzeczny, bo (2) był to dla niego dobry układ i (3) w związku z tym unikał długów.

– W niedzielę oczywiście – powiedział. – Jak najbardziej.

Już od piętnastu lat nikt nie robił mu regularnie śniadań, a on nigdy nie widział niczego przypominającego śniadania przygotowywane przez

MaryAnn. Dostawał świeże ciasteczka, świeże babeczki z owsianych otrębów, świeże babeczki z kukurydzy, kawałki bekonu. Dostawał naleśniki z jagodami, kiełbasy z cielęciny i kopru włoskiego, grzanki francuskie i suflety z serem, jajka sadzone na steku. Dostawał jajecznicę ze szczypiorkiem i śmietaną, jajka sadzone na grzance z szynką, pełnoziarniste gorące płatki ze śmietanką i brązowym cukrem, pieczone grejpfruty, wypiekany w domu chleb z cynamonem i rodzynkami, zimowe gruszki pokryte lodami waniliowymi, ćwiartki melona z powtykanymi w nie truskawkami. Po podaniu jedzenia MaryAnn siadała i cichutko popijała kawę, prezentując mu swój profil, swoje sterczące piersi. Za każdym razem, gdy zbliżał się do stołu, wyjątkowo jaskrawo rysował się przed nim moralny dylemat. L e p i e j b y ł o b y n i e p r z y j m o w a ć t e g o j e d z e n i a. A l e b y ł g ł o d n y, a j e d z e n i e w y g ł a d a ł o t a k s m a k o w i c i e. Nadal jadał śniadania, nawet kiedy w miejsce litości wobec MaryAnn zaczęło się pojawiać coś bliższego przerażeniu. Było dostatecznie źle, kiedy odkrył, że ceruje mu skarpetki. Jeszcze gorszy moment nadszedł, gdy didżej w KTRU otworzył torebkę z kolacją Louisa i znalazł w środku plastikowy pojemnik z kawałkami placka, ten pojemnik, którego Louis już tyle razy nie chciał ze sobą zabierać, i karteczkę od MaryAnn ze słowami: „Może byś dokupił sobie lody do placka?”.

Pewnego styczniowego wieczoru wrócił do domu

o północy z głową ciężką od tequili i zastał MaryAnn na kolanach w jadalni, wyjmującą z kredensu kolekcję filiżanek i spodeczków Wedgwood.

– Jak się ma mój akolita? – zapytała. Była zdania, że w wiecznie białej koszuli i czarnych spodniach właśnie tak wyglądał. Powiedziała, żeby usiadł. Zrobił to, odruchowo pochylając się w stronę, w którą chciał się udać – ku schodom. Wyjmowała jedno po drugim porcelanowe naczynia, mruczając, że powinna się tego wszystkiego pozbyć, sprzedać, co za głupie mnóstwo filiżanek, nie miała pojęcia, że tyle ich jest. Na koniec klęczała pośród całej kolekcji, a frędzle jej chusty rozsypały się wokół niej wachlarzem.

– Weź sobie kilka – powiedziała ze złością, kładąc filiżankę ze spodeczkiem na kolana Louisa. – Weź kilka, weź cztery. Kto by, do licha, coś takiego chciał? Ty ich nie chcesz.

– Oczywiście, że chcę. – Louis był blady i spocony. – Są bardzo eleganckie.

– Wiesz – powiedziała – kiedyś byłam zakochana w Anglii. W całym kraju. Myślałam sobie, że będą mnie tam uważali za piękną albo że piękność nie będzie miała znaczenia. Jakby to była jakaś cudowna, stara, podrzędna liga, w której będę mogła błyszczeć.

– Pani jest piękna – odezwała się w nim tequila.

MaryAnn pokręciła głową.

– Kiedy zrobiłam dyplom z filologii angielskiej,

mieszkałam w Nowym Jorku. Zaczęłam pracę w Duncan McGriff Agency, wielkiej agencji literackiej. Podejrzewam, że mieliśmy jakichś sławnych klientów, ale tak naprawdę pieniądze zarabialiśmy na opłatach za czytanie rękopisów. Ja ich nie czytałam. Byłam osobą, która brała raporty od osoby czytającej rękopisy i przerabiała je w listy od samego Duncana. Miałam arkusz z rozpisanyymi mniej więcej dwudziestoma różnymi sposobami nadawania im osobistego charakteru, żeby przekonująco wyrazić, jak czytał rękopis, siedząc przy domowym basenie, w którym pluskała się trójka jego ukochanych dzieci. Albo jak czytał rękopis na szczycie góry, obserwując cudowny zachód słońca. Musiałam pisać dosłownie takie rzeczy. Ale najsmutniejsze było to, że niezależnie od tego, jak marny był rękopis, zawsze musiałam napisać, że dzieło jest bardzo obiecujące, ale jeszcze nie nabrało kształtu, w którym można byłoby je opublikować. Stosowaliśmy różne stopnie oceny, ponieważ byli tacy ludzie, niewinni ludzie gdzieś w Nebrasce, którzy wielokrotnie nadsyłali swoje rękopisy i za każdym razem wnosili pełną opłatę, a my nigdy nie mogliśmy p o w i e d z i e ć t a k a n i p o w i e d z i e ć n i e. W taki sam sposób Duncan obchodził się zresztą i ze mną, ale to już inna historia. Pracowałam tam przez pięć lat. I tego dnia, kiedy przyszli ludzie z departamentu sprawiedliwości i zamknęli agencję za jakąś jeszcze inną, bardziej karygodną



działalność, wciąż tam siedziałam na moim małym krzeselku przy moim małym biurku. A pamiętaj, Louisie, że miałam wówczas dwadzieścia osiem lat. Poczułam się, jakby ktoś wbił mi nóż w plecy! To zabawne, dwadzieścia osiem lat wciąż wydaje mi się wiekiem zaawansowanym, jakbym nigdy nie była starsza niż tamtego roku. Nie mogłam w to uwierzyć, to znaczy, nie mogę uwierzyć, co się stało z tymi wszystkimi latami. W każdym razie wyszłam za Jerry'ego i właśnie wtedy zaczęłam naprawdę panikować, ponieważ to uczucie mnie nie opuściło: wrażenie, że przegapiłam szansę na to, żeby wieść życie, jakie chciałam. Nadal wszystko mi się wymykało, tyle że teraz było gorzej, bo wyszłam już za męża. I nie chodziło o to, że Jerry... No wiesz, sam go znasz. To nie była jego wina. Wiedziałam, jaki jest, i za niego wyszłam. To ja ponosiłam za to winę. A jak już raz zaczniesz o czymś myśleć, jak wbijesz sobie do głowy, że cierpisz na bezsenność, to tym trudniej jest ci zasnąć. Wiesz o tym?

Louis powolnym piruetem opadał w głąb pustej filiżanki. MaryAnn obdarzyła go spojrzeniem pełnym urazy i troski, jakby to jego, a nie siebie samej żałowała.

– W każdym razie – powiedziała cichszym głosem – kiedy zobaczyłam, że po wyjściu za męża nic się nie zmienia, wbiłam sobie do głowy, że tak już zostanie. Doprowadziłam do tego, że Jerry mnie znienawidził, i wtedy powiedziałam sobie: Mam męża, który mnie nienawidzi. Rozumiesz? Istnieje taka forma samotności,

którą można złapać jak chorobę i już się jej nie pozbyć. Coś nieodpowiedniego w człowieku, tak nieodpowiedniego, że nigdy nie da się tego naprawić. I tak samo było, gdy adoptowaliśmy Lauren. Jak zawsze, to był mój pomysł. Chciałam powstrzymać proces staczania się, a wiedziałam, że jeszcze nigdy nie spotkałam kobiety, która nie kochałaby swojego dziecka. Ale Louisie... – Łzy napłynęły jej do oczu i pojawiły się w jej głosie, ale po chwili jakby się cofnęły. – Brakowało mi wiary! Brakowało mi wiary! Przez cały czas, gdy pertraktowaliśmy z agencją, czułam się w środku zimna i martwa. Próbowałam to usprawiedliwiać. Powiedziałam sobie, że wszystko się zmieni, gdy tylko wezmę ją albo jego, bo tego nie wiedzieliśmy, w ramiona. Ale w głębi serca, w głębi s e r c a, myślałam tylko: A może to też nie zadziała? Może jestem kobietą, której nie zmieni nawet macierzyństwo? To właśnie c z u ł a m w głębi s e r c a, a jednak nie zrezygnowałam. Chociaż mdliło mnie za każdym razem, gdy kontaktowaliśmy się z agencją. Mdliło mnie przez tydzień, od poczucia winy i ze stresu wywołanego udawaniem, że czuję coś, czego nie czułam. I kiedy ona się pojawiła... jakby to powiedzieć... z miejsca poczułam rozczarowanie, bo miała osiem miesięcy. Bo wiesz, oczywiście, to j a jestem kobietą, która jak już ma dziecko, to od razu ośmiomiesięczne.

Przycisnęła skrzyżowane ramiona do piersi i lekko się

zakołysała. Louis się zastanawiał, co złego jest w ośmiomiesięcznym dziecku, ale...

– Ale wyboru nie było, albo to, albo żadne inne, a przecież wiesz, Jerry i ja nigdy niczego nie omawiamy, my po prostu nawzajem się potem tylko obwiniamy. Ale nie to było najgorsze. Najgorsze, że Lauren wiedziała. Nawet gdy była malutka, wyczuwała, że w sobie wątpię. Czula, że w rzeczywistości nie wierzę, że jestem jej matką. Niezależnie od tego, jak bardzo się starałam, nie potrafiłam spowodować, żebyśmy we mnie uwierzyły. Jak mogłabym zatem obwiniać ją o wszystko, co mi zrobiła? Za to, że mnie gryzła jak zwierzę? Za rysztkowy język? Za te wszystkie zmartwienia i strach, kiedy nie wracała do domu? Jakże mogę czuć cokolwiek poza samą winą? Poczucie winy, Louisie, było najgorsze. Bo to było nasze życie, nasze jedyne życie. A co ja z nim zrobiłam? Nie było już dla mnie drugiej szansy. Rozumiesz?

Podniosła na niego błagalny wzrok, pochylając się, jakby chciała wylać swoje piersi u jego stóp. Musiała zapomnieć, do kogo mówi. Musiała chyba pomyśleć, że kiedy spojrzy na niego w górę, weźmie ją w ramiona i uratuje. Ale widziała tylko pijanego studenta z trudem tłumiącego ziewnięcie.

– O Boże! – Odwróciła się, wściekła na siebie. – Dlaczego, dlaczego, dlaczego w ogóle się odzywam!

Po tej nocy wszystko zrobiło się między nimi bardziej

normalne, bardziej realistyczne, trochę jak między Louisem i jego matką. MaryAnn już mu się nie przyglądała, kiedy jadł śniadanie; wytłumaczywszy się przed nim, mogła pozwolić sobie na obecność w każdym innym miejscu domu. Stał się teraz częścią rodziny – a rodzina oznaczała działanie na odległość, niewidzialne pola przenikające ściany. Zaczął odliczać tygodnie do chwili, kiedy uwolni się od Dryden Street.

Podczas ferii wielkanocnych państwo Bowlesowie namówili go do przyprowadzenia na kolację kogoś, kto pomógłby im dokończyć łopatkę arktycznego karibu, którego kolega z pracy pana Bowlesa przywiózł im z wyspy Ellesmere'a. Louis zaprosił zaprzyjaźnioną dziewczynę, didżejkę ze stacji KTRU, dzięki której poznawał Wagnera oraz Richarda Straussa i z którą, na zasadzie wzajemnego oportunisty, spędzał czasami popołudnia w łóżku w akademiku. MaryAnn wyczuła to chyba intuicyjnie. Przy duszonym karibu przez cały czas traktowała jego koleżankę w sposób protekcyjny, nieustannie mówiąc głównie o jej pięknych włosach, jakby było oczywiste, że biorąc pod uwagę urodę dziewczyny, jedynym elementem wartym wspomnienia były właśnie one. Kiedy po kolacji odprowadzał koleżankę do domu, stwierdziła, że jej zdaniem pani Bowles nie jest specjalnie miła.

– To wariatka – odpowiedział Louis. – Oboje są wariatami. – W głowie zrodziła mu się jednak myśl, że

może jednak koleżanka nie jest go warta, i wkrótce sam zaczął traktować ją protekcjonalnie, a później zupełnie jej unikał.

Nazajutrz obudził się bardzo późno, czując nudności, które skojarzył z nieco podejrzanym smakiem karibu. Wyszedł na korytarz w spodenkach gimnastycznych i szarej koszulce i dopiero po chwili zauważył dziewczynę stojącą pod ścianą wnęki za klatką schodową. Poczul się jak człowiek, który nagle sobie uświadamia, że w jego domu znajduje się ptak, co prawda nieruchomy, ale lada moment mogący zaatakować jego twarz. Miejsce we wnęcie, gdzie stała dziewczyna, było dokładnie takim przypadkowym, nic nieznaczącym miejscem, w jakim ląduje dezorientowany ptak i w jakim sam Louis często znajdował się w Evanston. Dziewczyna ubrana była w obcisłą czarną koszulkę na ramiączkach i szaro-białą minispódniczkę w szkocką kratę; miała postrzępioną chmurę ciemnoblonde włosów, jak jakaś lalunia, długie gołe nogi, zielone skarpetki do kostki i lśniące buty. Zacisnęła pięści i wysunęła zdecydowanie szczękę. Pierś unosiła się jej, jakby dziewczyna dostała napadu szału. Obrzuciła Louisa dzikim spojrzeniem, a jego serce zabiło tak gwałtownie, jak gdyby nagle skrzydła zaczęły uderzać o ściany, a szpony i dziób mignęły mu gwałtownie przed oczami.

Uciekł do łazienki. Umył włosy pod prysznicem, ale zapomniał o całej reszcie. Nagi, przez kilka minut gapił

się w irygator do zębów państwa Bowlesów, po czym automatycznie zaczął brać kolejny prysznic. Ponownie umył głowę i ponownie zapomniał o innych częściach ciała. Czuł się tak, jakby nagle znalazł się na krawędzi głębokiego, bardzo głębokiego basenu z napisem LAUREN i stwierdziwszy „A niech tam”, rzucił się do wody.

Godzinę później u dołu schodów wymienił pozdrowienia z kolejną nową osobą, teksańskim młodzieńcem o otwartym, szczerym obliczu i wojskowej fryzurze, czytającym gazetę w salonie.

– Twój lunch czeka na stole, Louisie – powiedziała cicho MaryAnn w kuchni.

Louis wbił w nią wzrok. Jak ktoś tak nieistotny mógł w ogóle żyć? Gdzie jest Lauren? Czy będzie musiał jeść z nią lunch? Odruchowo wyciągnął rękę na wschód.

– Muszę dostać się na stację – stwierdził.

– Zapakować ci jedzenie? Właśnie mieliśmy siadać do stołu.

Między łopatkami poczuł dotknięcie czyjejś dłoni; to pan Bowles popychał go w kierunku stołu.

– Masz dziesięć minut, usiądź na chwilę i naładuj akumulatory.

– W tym tygodniu nie jesteś chyba na antenie, prawda? – spytała MaryAnn.

Na talerzu czekała na niego przecięta ukośnie na pół kanapka z karibu. Państwo Bowlesowie wgrzali się w swoje jedzenie z wyjątkowym apetytem, ignorując

dochodzące z salonu głosy i ciężkie kroki na schodach, gryząc z pochylonymi głowami jak wygłodniałe i zalęknione zwierzęta, zagonione do kąta domu przez córkę, która swobodnym krokiem i bez żadnego widocznego zażenowania weszła do kuchni dokładnie w tym momencie, kiedy potężny kawałek skruszałego mięsa spadł na ziemię niczyją między kanapką Louisa a jego ustami.

– Lauren, to Louis. Louisie, nasza córka Lauren.

– Mm – odparł Louis.

– Cześć, miło cię poznać – odezwała się Lauren beznamiętnym głosem. Jej wygląd nie sugerował kłopotów i przerażenia, jakich mógł oczekiwać po słowach MaryAnn. Jej całoroczna opalenizna, turkusowe kolczyki, zegarek z Myszka Miki i leniwy sposób kołysania jednym biodrem wskazywały, że jest typową zblazowaną teksańską studentką. Miała gładką skórę, szerokie usta, a pod oczami siniaki w kolorze jodyny, wyglądające na nieusuwalne. Na grzbiecie dłoni miała jakiś napis. Powiedziała rodzicom, że razem z Emmettem na całe popołudnie wybierają się samochodem na plażę w Galveston. Przed wyjściem zatrzymała się, żeby przyjrzeć się Louisowi: jego oprawkom pilota, rzednącym lokom, wypatroszonej kanapce, piekącym rumieńcom. Jej twarz straciła jakikolwiek wyraz.

– Jesteśmy z Lauren w bardzo swobodnych

stosunkach – wyjaśnił pan Bowles, kiedy wyszła.

– Emmett to jej narzeczony – dodał pan Bowles.

– Nie sądziliśmy, że tu zejdzie – wyjaśnił pan Bowles.

– Lauren to taki niespokojny duch – stwierdził pan Bowles.

– Boże! Jest pełna energii! Pełna życia! – uznał pan Bowles po chwili zastanowienia.

MaryAnn zatopiła zęby w ostatnim kawałku kanapki.

– Mam nadzieję, że Emmett nie da jej prowadzić – zakończył pan Bowles.

Kiedy Louis wrócił wieczorem do domu, trójka Bowlesów oraz Emmett jedli lody w jadalni. MaryAnn w milczeniu udała się do kuchni, żeby przynieść mu kolację.

– Już jadłem – powiedział, stojąc na schodach. Zatrzymał się u ich szczytu dostatecznie długo, żeby usłyszeć słowa Lauren:

– Podejrzewam, że cały czas się uczył, co?

– Jest bardzo pracowity – potwierdził pan Bowles.

– Kurczę, to ekstra – powiedziała Lauren.

Nie usłyszał nic więcej. Z szeroko otwartymi ustami i wzrokiem wbitym przed siebie zamknął drzwi pokoju, rzucił się na podłogę i wyciągnął na niej. Przez dłuższy czas nie znudził się tą pozycją. W tym swoim rozgorączkowaniu słyszał, jak Lauren i Emmett wychodzą do kina i wracają o dwunastej. Słyszał, jak rozkładano Emmettowi sofę w gabinecie pana Bowlesa,



potem zaś ogarnęła go maligna głośów chyba z tuzina ludzi, a do tego dźwięki muzyki, kroków i otwierania oraz zamykania drzwi, a wszystko to zdawało się trwać całą noc.

Kiedy nazajutrz odwiedzał oddział Soundwaves przy Main i na potrzeby stacji grzebał w longplayach Theloniousa Monka, nagle sobie uświadomił, że w alejce obok stoi Lauren Bowles. Była odwrócona do niego plecami. Ubrana w męską koszulę, lekko kiwała głową w rytm perkusji elektronicznej optymistycznego brytyjskiego popu płynącego ze sklepowego systemu nagłaśniającego. Wrzuciła kilka płyt kompaktowych w długich pudełkach do sekcji ARTYŚCI JAZZOWI –B– i zaczęła przerzucać płyty Colemana, Coltrane’a, Corei. Po chwili ponownie nachyliła się nad literą B. Dwukrotnie gwałtownie, szybko poruszyła ramieniem, jakby potajemnie skręcała karki małym zwierzętom, a potem ruszyła do wyjścia, rzucając jeszcze okiem na stojący obok kas koszyk z nowościami.

Na dworze Louis zobaczył, jak dziewczyna przykłęka i zawiązuje sznurowadło tenisówki między zaparkowanymi samochodami. Rzadko się zdarza, żeby ścigana zwierzyna pozwoliła myśliwemu zbliżyć się tak bardzo, jak jemu się to udało. Był sześć metrów za nią, kiedy rozpięła najniższy guzik koszuli i powiła parę skradzionych płyt kompaktowych, które zgrabnie wpadły jej do torebki. Jednym ruchem zamknęła nad nimi klapę

torebki i przeszła przez ulicę, lawirując między pojazdami.

Była sobota przed Wielkanocą. Na Uniwersytecie Rice'a wszystko było pozamykane. Louis wrócił z zakupami na Dryden Street, gdzie zastał MaryAnn gotującą toffi; wypełniony słodką masą wielki garnek na zupę nasycił cały dom żującym zapachem masła i cukru. Znalazłszy się w swoim pokoju na górze, rozłożył na biurku drugi tom *Listów zebranych* Flauberta. Nie zdążył jeszcze przeczytać z nich ani słowa, kiedy jakieś piętnaście minut później drzwi za nim otworzyły się i zamknęły.

Lauren zatrzymała się z jedną ręką wciąż spoczywającą na gałce u drzwi. Nadal miała odpięty najniższy guzik koszuli, a jej oczy mierzyły pokój w zamyśleniu, jakby coś planowała. Po chwili usiadła na biurku Louisa i zaczęła się poprawiać, aż w końcu opadła na Flauberta. Rozległ się dźwięk pękającego grzbietu książki.

– To lista pana Deana – odezwała się. – Tak się nazywasz, prawda? – Przez moment uważnie obserwowała Louisa, czekając na reakcję.

– Gdzie jest Emmett? – spytał.

Odchyliła się z wyciągniętą do tyłu ręką i przewróciła słoik z długopisami.

– Pojechał do Bay City odwiedzić dziadka. Nawet pytał mnie, czy chcę się z nim zabrać, a to naprawdę

ekscytująca wycieczka, zwłaszcza kiedy cały czas rozmawiają o tym, że jego dziadek jest żółty jak marchewka. Choruje na coś.

– Na żółtaczkę.

– No, znasz się chyba na wszystkim.

Louis przez cały czas patrzył jej w oczy, ona jednak unikała jego wzroku.

– Widziałeś mój pierścionek? – Pomachała mu przed nosem lewą dłonią. – Kosztował trzy tysiące dolarów. Z brylantem wielkości trzech czwartych karata. Podoba ci się?

– Nie.

– Nie podoba ci się? A co ci w nim nie pasuje?

– Na początek te małe, brzydkie ząbki.

– Och. – Cofnęła dłoń i niedbale popatrzyła na pierścionek pod różnymi kątami, co niewiele wyjaśniało. Miała drobne, równe przerwy między zębami. – One są, jakby to powiedzieć, jakieś takie... Jesteś bardzo spostrzegawczy, jak mi się wydaje.

Zapominając o pierścionku, obróciła się, żeby wziąć książkę z półki, unosząc kolana dla utrzymania równowagi.

– Co to za książka? – Otworzyła jakąś pracę krytyczną tak mocno, że tylna i przednia okładka się zetknęły, a spora część stron spadła Louisowi na kolana. – Ojej!

P r z e p r a s z a m. Zaraz, to po francusku! Czytasz po francusku? Powiedz coś po francusku.

– Nie.

– Proszę. – Drwina w jej głosie przeszła w beznamiętność dziewczyny, która uważa chłopaka za palanta i chce, żeby on, powiedzmy, dał spokój. Proszę?

– *Je ne veux pas parler français avec toi. Je veux commettre crimes avec toi.*

– Boże – powiedziała sarkastycznie. – D o b r y jesteś!

Od woni toffi paliło go w oczach i nosie. Dopadło go gwałtowne zmęczenie. Nie miał nic do powiedzenia. Lauren uniosła nogę i lekko zeskoczyła z biurka.

– Podoba ci się tu? – zapytała. – Lubisz moich rodziców?

– Twoim zdaniem chyba lubię, prawda?

Nie odpowiedziała. Nagle naprężyła ramiona i spojrzała w stronę drzwi – usłyszała coś na korytarzu. Dotknęła łóżka Louisa, jakby zamierzała tam usiąść, ale zmieniła zdanie i na paluszkach podbiegła do drzwi. Usiadła na wykładzinie podłogowej i nasłuchując, pochyliła się do dziurki od klucza.

– Lauren?

Głos MaryAnn dobiegał gdzieś z połowy schodów. Dziewczyna zrobiła głupią minę i bezgłośnie wymówiła własne imię.

– Lauren?

MaryAnn pokonała pozostałe schody i była coraz bliżej. Zatrzymała się pod drzwiami. W tym momencie Lauren zamknęła oczy i głośno krzyknęła. Zrobiła to

jeszcze raz: w jej krzyku słycać było przyjemne fizyczne zaskoczenie. Po chwili zaczęła sapać, nieomal jęczeć w udawanym uniesieniu i szorować piętami po wykładzinie. Ruchy jej stóp były równie gniewne, co wzrok, którym spoglądała na łóżko Louisa.

Pochylił głowę nad zniszczonym Flaubertem i roześmiał się smutno. MaryAnn zeszła z powrotem po schodach. Lauren się podniosła i z okrutnym uśmiechem spojrzała na podłogę, jakby w oczach miała promienie rentgena, dzięki czemu widziała matkę wchodzącą do jadalni i opadającą na jedno ze stojących pod ścianą krzeseł. Po chwili jej uwagę przykuło łóżko Louisa. Weszła na nie i zaczęła podskakiwać. Sprężyny natychmiast zaskrzypiały, a nieco krótsza noga mebla zaczęła stukać w podłogę.

– Iwgó-ręiw-dól, iwgó-ręiw-dól – zaczęła skandować. Słowa jej falującego śpiewu współgrały z rytmem pracujących sprężyn. – Iwte-iwe-wte, iwte-iwe-wte. Iwgó-ręiw-dól, iwgó-ręiw-dól. Iwte-iwe-wte, iwte-iwe-wte...

– Przestań – odezwał się Louis, przede wszystkim bardzo zirytowany. – Już zrozumiała.

Lauren się zatrzymała.

– Przeszkadzam ci?

– Jesteś pierdolnięta – powiedział, nie patrząc na nią.

– Jesteś nieźle pierdolnięta. I zupełnie nic o mnie nie wiesz.

– Ale podobam ci się, co nie? – zapytała go, stojąc już przy drzwiach.

– Tak, jasne. Podobasz mi się. Podobasz mi się.

Kiedy Louis zbiegł po schodach i wymknął się przez frontowe drzwi na wolne od zapachu toffi powietrze, z audiofilskiego zestawu stereo jej ojca płynęła właśnie nowa płyta Eurythmics. Wróciwszy wieczorem z długiego spaceru donikąd, jeszcze dwa razy okrążył dom, ale nie zauważył żadnych śladów młodych. W domu pan Bowles powiedział mu, że wrócili do Beaumont, żeby niedzielę Wielkanocną spędzić z rodziną Emmetta. Minął cały tydzień, zanim MaryAnn ponownie się do niego odezwała.

Retriever wrócił. Przemarznięty i zeszywniały Louis patrzył, jak zwierzę biegnie przed nim po piasku, zakreślając łuki, zwinnie mknąc po stycznych wzdłuż cofających się i napływających fal. Od strony parkingu docierały do niego jakieś głosy. Po chwili z białego powietrza wyłoniły się trzy młode lub dosyć młode osoby, które rozsypały się wachlarzem po plaży, jakby metodycznie czegoś szukały. Mężczyzna, który przeszedł tuż przed nim, był wysokim Azjatą w kurtce puchowej i luźnych białych żeglarskich spodniach. Spojrzał ponuro na Louisa, powiedział „Cześć” i powłócząc nogami, poszedł dalej, z odrazą lub w jakimś nagłym przypływie wandalizmu wydłubując kawałki darni z piasku.

Stojący najbliżej wody biały mężczyzna z brodą

i w okularach, które przytrzymała czarna elastyczna opaska, miał jakieś problemy z psem. Jackie warczała przy jego uniesionych łokciach.

– Uciekaj! Uciekaj! Zjeżdżaj! – próbował jej rozkazywać, kiedy szczekała i starała się osaczyć go między parą przełamanych fal, jak nożyczki wcinających się w piasek z dwóch stron. Ostrzegawczo kopnął brutalnie w powietrze i suka się wycofała. Tymczasem trzecia osoba, kobieta z krótkimi czarnymi włosami, wysunęła się zdecydowanie do przodu; jej wiatrówka i dzinsy wtapiały się w biel. Kiedy kilka minut później grupa powróciła w bardziej zwartej formacji, to właśnie ona powiedziała głosem nie na tyle cichym, żeby nie dotarł do uszu Louisa:

– Zapytam tego faceta.

Podeszła do niego po piasku. Miała drobną, miłą twarz z małym nosem i pięknymi piwnymi oczami, a na jej obliczu malowała się jakaś trwała, głęboka, lodowata uśmiechniętość.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odezwała się. – Długo tu jesteś?

Brodacz podeszedł i stanął za nią, a Louisowi przeszło przez myśl, że ci ludzie to policjanci po cywilnemu – wyglądali na bardzo zdeterminowanych.

– Tak – odparł. – Szukacie czegoś?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Jackie skoczyła na białego brodacza, zaczepiając pazurami o jego pasek,

i zaczęła szorować czubkami łap po piasku, kiedy mężczyzna starał się odsunąć. Odwrócił się z uniesionymi rękami i spojrzał z wyrzutem w stronę Louisa.

– To nie mój pies – stwierdził Louis.

– Szukamy anomalii w piasku – powiedziała uśmiechnięta kobieta. Wyciągnęła rękę w bok i pstryknęła palcami, po czym zrobiła to jeszcze raz, jakby od niechcienia ściągając uwagę psa i jednocześnie nie spuszczać wzroku z Louisa. Była od niego niższa o jakieś dziesięć centymetrów i przynajmniej kilka lat starsza; w jej ciemnych włosach widać było siwiznę. – Pomyśleliśmy, że jeśli byłeś tu podczas trzęsienia ziemi, to może coś zauważyłeś.

Patrzył na nią w osłupieniu.

– Jesteśmy z wydziału geofizyki na Harvardzie – wyjaśnił biały brodaczk skrzypiącym, niecierpliwym głosem. – Poczuliśmy trzęsienie ziemi i określiliśmy w przybliżeniu, gdzie do niego doszło. Było dość duże i pomyśleliśmy, że na piasku mogły pojawić się jakieś efekty powierzchniowe.

Louis zmarszczył brwi.

– O którym trzęsieniu ziemi mówimy?

Kobieta spojrzała na brodacza. Pies oblizywał jej palce.

– O trzęsieniu ziemi sprzed półtorej godziny – odpowiedziała.



– Półtorej godziny temu doszło do trzęsienia ziemi?

– Tak.

– Gdzieś tutaj?

– Tak.

– I wyście je poczuli gdzieś tam, aż w Cambridge?

– Tak! – Jej uśmiech wyrażał teraz autentyczne rozbawienie z powodu jego konsternacji.

– Cholera – Louis rozprostował nogi. – Nie zauważyłem! Zaraz, a może nie było aż takie wielkie?

Głośno westchnąwszy, biały brodacz przewrócił oczami i ponownie ruszył plażą.

– Nie było takie małe – powiedziała kobieta. – Prawdopodobnie magnituda mniej więcej na poziomie pięć i trzech dziesiątych. Miasto nie leży w gruzach, nic z tych rzeczy, ale pięć i trzy dziesiąte jest rejestrowane na całym świecie. Nasz kolega Howard – obdarzyła odrobiną swej uśmiechniętości Azjatę, który przeskakiwał kamienie między falami – jak widać bardzo się z tego powodu cieszy. To oznacza mnóstwo informacji.

Louis pomyślał o samochodzie, w którym włączył się alarm.

– A ty niczego nie poczułeś? – zapytała kobieta.

– Niczego.

– Szkoda. – Uśmiechnęła się dziwnie, patrząc mu prosto w oczy. – To nie było tak całkiem małe trzęsienie ziemi.

Rozejrzał się wokół, nadal zdezorientowany.

– Spodziewaliście się, że plaża będzie zrujnowana.

– Po prostu byliśmy ciekawi. Czasami piasek osuwa się i pęka. Może też przejść w stan ciekły i wrzeć na powierzchnię. Jakies dwieście pięćdziesiąt lat temu doszło tu do pewnego wydarzenia, które spowodowało poważne zniszczenia. Mieliśmy nadzieję, że zobaczymy coś podobnego. Ale – cmoknęła – nie zobaczyliśmy.

Nad wodą jej kolega Howard bawił się z suką, klepiąc ją za uszami na zmianę jedną i drugą ręką, a psi łeb kołysał się w przód i w tył. Louis wciąż nie mógł uwierzyć, że rzeczywiście doszło do trzęsienia ziemi.

– Czy stojący gdzieś tu w okolicy dom mógłby zostać zdewastowany?

– Zależy, co rozumieć pod określeniem zdewastowany – odparła kobieta. – Masz tu dom?

– To dom mojej matki. Dom mojej byłej babki, co akurat nie ma żadnego znaczenia, ale to ona zginęła podczas zeszłotygodniowego trzęsienia ziemi.

– Nie! Naprawdę? – Tej kobiecie bardziej do twarzy było z troską niż rozbawieniem. – Bardzo mi przykro.

– Tak? A mnie nie. Prawie jej nie znałem.

– Bardzo mi przykro.

– Dlaczego ci przykro? – zapytał ją Howard, nadchodząc od strony wody.

Kobieta wskazała na Louisa.

– To... jego babcia zginęła w trzęsieniu szóstego kwietnia.

– Co za pech – stwierdził Howard. – Zazwyczaj w takich niewielkich trzęsieniach ziemi nie ma ofiar w ludziach.

– Howard jest specjalistą od płytkiej aktywności sejsmicznej – powiedziała kobieta.

Howard popatrzył spod przymrużonych powiek na białe niebo, jakby sobie życzył, żeby to, co kobieta o nim powiedziała, nie było zgodne z prawdą. Jego fryzura wyglądała tak, jakby na głowie miał połówkę kokosa.

– A ty? – zapytał Louis kobietę.

Odwróciła wzrok i nic nie odpowiedziała. Howard poklepał psa po pysku i robiąc unik za unikiem, rzucił się do ucieczki przed goniącym go zwierzakiem. Kobieta odsunęła się od Louisa, w jej uśmiechniętości było teraz chłodne pożegnanie. Kiedy zauważyła, że Louis za nią idzie, po jej twarzy przemknął cień niepokoju i przyspieszyła kroku. Wcisnął dłonie do kieszeni i ją dogonił. Ta drobnokoścista istota wzbudziła w nim lekko drapieżne zainteresowanie, ale przede wszystkim pragnął informacji.

– Naprawdę doszło tu do trzęsienia ziemi?

– Tak, uhm. Naprawdę.

– Skąd wiecie, że to było tutaj?

– Och... odpowiednie urządzenia i wnioskowanie z posiadanych danych.

– A co wywołuje takie trzęsienia ziemi?

– Pęknięcie skał pod naprężeniem wzdłuż uskoku

znajdującego się kilka kilometrów pod nami.

– A możesz powiedzieć coś dokładniej?

Ponownie uśmiechnięta pokręciła głową.

– Nie.

– Będą kolejne?

Wzruszyła ramionami.

– Z pewnością tak, jeśli poczekaś sto lat. Prawdopodobnie tak, jeśli poczekaś dziesięć lat. Prawdopodobnie nie, jeśli w ciągu tygodnia stąd wyjedziesz.

– Wystąpienie dwóch trzęsień ziemi z rzędu, jak te tutaj, nic nie znaczy?

– Nie. Nic szczególnego. W Kalifornii mogłoby mieć to jakieś znaczenie, ale nie tu. To znaczy, oczywiście, to coś oznacza. Ale nie wiemy co.

Wypowiadała się, jakby chciała mówić dokładnie dla samej dokładności, a nie dla niego.

– Z zasady – powiedziała – jeśli czuje się trzęsienie ziemi gdzieś w tej okolicy, zdarza się to na uskoku, o którego istnieniu nikt nic nie wiedział, na jakiejś szczególnej głębokości, w warunkach lokalnych naprężeń, które można jedynie odgadywać. Tylko jakiś pastor fundamentalista mógłby coś teraz przepowiadać.

Zaczesła siwe włosy, układając je raczej na ciemnych pasemkach, niż je mieszając. Miała kremową skórę.

– Ile masz lat? – zapytał Louis.

Poczuł na sobie wzrok przestraszonych i niezbyt

ubawionych oczu.

– Trzydzieści, a ty?

– Dwadzieścia trzy – odrzekł, marszcząc brwi, jakby obliczenia przyniosły niespodziewany wynik. Zapytał ją, jak się nazywa.

– Renée – odparła ponuro. – Seitchek. A ty?

Na parkingu Howard przygniatał nogą brzuch uszczęśliwionej Jackie, a biały brodacz stał oparty o śmieszny samochód, amc matadora, wyprodukowanego pod koniec lat siedemdziesiątych sedana z niskim zawieszeniem, wyblakłym i obłazącym winylowym dachem i pofałdowanymi białymi bokami, szarymi plamami po naprawach i bez kołpaków. Biały brodacz miał pociągłą twarz i czerwone wargi. Nosił okulary, których soczewki przypominały kształtem ekrany telewizyjne, a nogawki dżinsów wcisnął w cholewki brązowych butów roboczych. Wystarczyło, że Renée stanęła obok niego, a na wpół pełna szklanka jej uroku stała się na wpół pusta.

Matador najwyraźniej był własnością Howarda.

– Podwieźć cię gdzieś? – odezwał się do Louisa.

– Pewnie, może do domu.

– Na twoim miejscu – powiedział biały brodacz – od razu bym wrócił i sprawdził, czy wszystko w porządku.

Renée wskazała na Louisa.

– Właśnie to robi, Terry. Od razu wraca.

– Dokładnie to mówię – odparł Terry. – I tylko tyle.

Renée odwróciła wzrok i się skrzywiła. Howard otworzył drzwi samochodu i Louis z Terryem usiedli z tyłu, tonąc po kostki w odzieży sportowej, kartonach po pizzy i puszkach po coli. Radio w samochodzie włączyło się wraz z silnikiem. Transmitowano mecz drużyny Red Sox.

– A gdzie pies? – zapytała Renée.

Howard wzruszył ramionami i wrzucił wsteczny bieg.

– Howardzie, zaczekaj, przejedziesz ją.

Wyglądali przez okna, każde przez swoje, starając się zlokalizować psa. Louis zdecydował się wysiąść i zajrzał za samochód, z którego rury wydechowej wydobywały się niebieskoczarne obłoki najbardziej cuchnących spalin, jakie kiedykolwiek zdarzyło mu się wąchać. Natychmiast wypełniły mu drogi oddechowe, jak jakiś trujący cukier. Louis wsiadł z powrotem do samochodu, informując, że psa nigdzie nie widać.

– Nawiasem mówiąc, to Louis – wyjaśniła siedząca na fotelu z przodu Renée Terry'emu. – Louisie, to Terry Snall i Howard Chun.

– I wszyscy jesteście sejsmologami – stwierdził Louis. Terry pokręcił głową.

– Renée i Howard są sejsmologami. Oboje są naprawdę energiczni. – W jego słowach czuło się jakąś dwuznaczność; albo Terry niezbyt wierzył, że pozostała dwójka jest naprawdę energiczna, albo sugerował, że

bycie energicznym to niekoniecznie przymiot wartościowego człowieka. – Renée mówiła mi, że twoja babcia zginęła w zeszlotygodniowym trzęsieniu ziemi – powiedział. – To okropne.

– Była stara.

– Howard i Renée uważali, że to nie było żadne trzęsienie ziemi. Mówili, że wcale nie było porządne. Woleliby, żeby było większe. Tak myślą sejsmolodzy. Moim zdaniem ta historia z twoją babcią jest straszna.

– Tak, a naszym zdaniem nie, Terry. Jesteśmy zadowoleni, że zmarła.

– Ja tego nie powiedziałem.

– Jak sądzisz, Howardzie, co o n powiedział?

Howard kręcił automatycznie kierownicą, samochód perkotał i dudnił jak prom. Louis spojrział przez tylną szybę, spodziewając się zobaczyć psa, ale strzeżony przez kubły na śmieci parking był teraz zupełnie pusty.

*Dwa błędy miotacza i dwa razy błąd pałkarza* – powiedział sprawozdawca meczu baseballowego.

– Dwa błędy miotacza i j e d e n błąd pałkarza – poprawiła go Renée.

*Dwa do dwóch...*

– Dwa do j e d n e g o – stwierdziła Renée.

*Trzeci błąd miotacza, trzy do dwóch. Roger zmusił go do błędu raz i drugi raz, a teraz jest blisko uzyskania bazy za darmo.*

– J e d e n błąd pałkarza, antenowy mózdzku. Trzy

błędy miotacza i j e d e n błąd pałkarza.

*Tablica wyników pokazuje trzy błędy miotacza i jeden błąd pałkarza.*

Bob – odezwał się towarzyszący komentatorowi były zawodnik – *chyba jest trzy do jednego.*

Renée wyłączyła radio z obrzydzeniem, a Terry, udając, że zwraca się do Louisa, zauważył:

– Dla Renée nic nigdy nie jest dość dobre.

Renée odwróciła się na przednim siedzeniu w stronę Howarda w geście absolutnego zdumienia.

– Ciekaw jestem, czy odczuli trzęsienie ziemi na stadionie baseballowym – powiedział Terry.

– Tak, to bardzo ciekawe – odparła Renée. – Zwłaszcza że grają w Minnesocie.

– Przy znaku w lewo – powiedział Louis Howardowi. Ledwo rozpoznawał drogę, którą wcześniej biegł.

– Gdzie teraz? – rzucił Howard do nikogo konkretnego. – Może Plum Island?

– Lepiej wracajmy – stwierdził Terry.

– Co za mordęga – powiedziała Renée.

– Żadnej śmierci ani zniszczeń – dorzucił Terry.

– Miałam na myśli brak piaskowych gejzerów. Chociaż to prawda – powiedziała do Louisa – że mamy mieszane uczucia wobec niszczycielskich trzęsień ziemi. Są jak zwłoki, dają nam mnóstwo informacji.

Jej elokwencja zaczęła działać Louisowi na nerwy. Wskazał kamienną bramę posiadłości Kernaghan,



a Howard prawie nie zmniejszył prędkości, wchodząc w zakręt. Następnie przyhamował i skręcił mocno w prawo, samochodem zarzuciło i niemal bokiem wrócił na drogę. Z bramy wyjechał czarny mercedes, gwałtownie skręcił, żeby ich ominąć, i pognął w stronę Ipswich. Prowadził go mężczyzna, w którym Louis rozpoznał pana Aldrena. Howard nacisnął klakson, zdecydowanie za późno.

– Ciekawe, czy uda ci się mnie zabić – powiedziała Renée, jedną ręką opierając się o przednią szybę i wsuwając się z powrotem na siedzenie, z którego ją wyrzuciło.

Louisa ogarnęło jakieś dziwne, nowe i niezupełnie niemiłe wrażenie, kiedy wspinali się na wzgórze i zobaczył, podobnie jak widzieli to ci studenci, ile warta jest posiadłość. Miał wrażenie, jakby coś zdemaskował, ale jednocześnie poczuł też satysfakcję. Pieniądze mówiły: nie jestem nikim. W samochodzie trwała pełna podziwu cisza, dopóki nie ukazał się dom ze swoją urodzinową czapeczką. Renée się roześmiała.

– O Boże.

– Powinniście wejść do środka – w Louisie odezwał się niespodziewanie bogacz. – Coś zjecie, zobaczycie zniszczenia.

Terry szybko pokręcił głową.

– Nie, dzięki.

– Naprawdę, wejdźcie – nalegał Louis. Myślał, jak

bardzo niemile widziani będą dla matki goście. – To znaczy, jeśli jesteście ciekawi.

– Och, jesteśmy bardzo ciekawi – odpowiedziała Renée. – Prawda, Howardzie? Ciekawość to część naszego zawodu.

– Mam tylko nadzieję, że nikomu nic się nie stało – stwierdził Terry.

Dopiero gdy Louis otworzył drzwi i wprowadził wszystkich do środka, uświadomił sobie, jak słabo wierzył, że doszło do trzęsienia ziemi. A gdy zatrzymał się w holu, najbardziej poruszyło go to, że ujrzał efekty działania rozgniewanej ręki. Ten pastor, który powiedział, że Bóg gniewa się na stan Massachusetts, ta Haitanka, która wierzyła, że w domu był zły duch – teraz widział, o czym mówili, bo pod jego nieobecność do domu wkroczyła jakaś siła i zaatakowała pomieszczenia, zrywając z sufitu w jadalni kawałek tynku i ciskając go na stół, a woda z rozbitego wazonu wsączyła się w ten tynk i zmieniła jego kolor na brunatny. Ta siła otworzyła drzwi kredensu i wyrzuciła wszystko, co tylko było bardziej pionowe niż poziome, rozrzucając po podłodze porcelanowe wielościany. Szarpnęła za obrazy w salonie, zdemolowała bar i porobiła szczeliny w ścianach i suficie. Pokój cuchnął jak akademik w niedzielny ranek.

– Naprawdę chcesz, żebyśmy tu zostali? – zapytała Renée Louisa.

– Oczywiście. – Musiał pomyśleć o swoich

obowiązkach gospodarza. – Pozwólcie, że pokażę wam kuchnię.

Stojąc na jednej nodze, Howard się nachylał, żeby zajrzeć do salonu; jego druga stopa, dla zachowania równowagi, wisiała w powietrzu w holu. Terry, wyraźnie skrępowany, trzymał się blisko Renée, która powiedziała cicho:

– Widzisz, co się dzieje, kiedy mieszkasz w epicentrum trzęsienia ziemi.

W kuchni zniszczenia nie były tak widoczne: kilka rozbitych słoików, trochę odprysków farby i tynku na podłodze. Stojący przy zlewie ojciec Louisa był zachwycony spotkaniem z trójką studentów. Uścisnął im dłonie i poprosił, żeby powtórzyli swoje imiona.

– Gdzie mama? – zapytał Louis.

– Nie widziałeś jej? Robi zdjęcia dla towarzystwa ubezpieczeniowego Prudential. Radziłbym niczego nie sprzątać, dopóki nie skończy. Prawdę mówiąc, Lou – dodał Bob ściszym głosem – nie wydaje mi się, żeby zdawała sobie sprawę, że to robi, ale widziałem, jak sama pomaga niektórym przedmiotom pospadać z półek w salonie. Masakra, rozumiesz.

– Oczywiście – odrzekł Louis. – Dobry pomysł.

– Ale co za dzień! – ciągnął dalej ojciec już głośniejszym głosem. – Co za dzień! Wszyscy to czuliście, tak? – zwrócił się do całej czwórki i wszyscy, z wyjątkiem Louisa, skinęli głowami. – Byłem w pokoju z tyłu domu. Myślałem, że

świat się kończy. Dwanaście sekund silnych wstrząsów, z zegarkiem w ręku. – Wskazał na zegarek. – Kiedy się zaczęło, poczułem jakieś n a p i ę c i e w całym domu, jakby on sam coś z w i e t r z y ł. – Jego dłonie unosiły się i obracały w powietrzu jak krążące gołębie. – A potem usłyszałem to dudnienie, miałem wrażenie, jakby tuż za oknem przejeżdżał pociąg towarowy. To uczucie jakiegoś c i ę ż a r u, ogromnego c i ę ż a r u. Słyszałem, jak w domu spadają przeróżne drobiazgi, a potem, kiedy tak siedziałem i patrzyłem, ośmielę się powiedzieć, że ani trochę się nie bałem, bo wiecie, to było takie naturalne, tak nieuniknione, siedziałem tam i widziałem, jak okno po prostu s i ę r o z t r z a s k u j e. I kiedy pomyślałem, że już się skończyło, nagle to stało się j e s z c z e s i l n i e j s z e, cudownie, cudownie, ten moment kulminacyjny, jakby dochodziła! Jakby cała ziemia dochodziła!

Bob Holland rozejrzał się po otaczających go ludziach. Trójka studentów słuchała go uważnie. Louis stał jak biały posąg, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Pewnie wiecie – ciągnął Bob – że z trzęsieniami ziemi w Nowej Anglii wiążą się różne historie. Słyszeliście, że zdaniem Indian powodowały epidemie? Dzisiaj wydało mi się to zupełnie logiczne, ten pomysł choroby kryjącej się w ziemi, zakłócenia jej dobrego samopoczucia. Oni byli też uczonymi, chyba wiecie. Uczonymi w bardzo głębokim i innym niż obecnie

sensie. Jeśli chcecie posłuchać o przesądach, opowiem wam o pewnej kobiecie, Elizabeth Burbage, która żyła w tym rejonie w tysiąc siedemset pięćdziesiątym piątym roku. Była córką pastora, starą panną. Bogobojni mieszkańcy Marblehead – ha, ha, mieszkańcy Marmurowej Głowy! – posądzili ją o czary i wygnali z miasta, bo trzech sąsiadów utrzymywało, że wiedziała o zbliżającym się wielkim trzęsieniu ziemi w Cambridge, do którego doszło osiemnastego listopada. Sześćdziesiąt trzy lata po procesie w Salem! W związku z siłą wyższą! Marblehead! Cudowne!

Przez kilka następnych minut Louis był zbyt zażenowany, żeby śledzić poczynania innych. Otworzył lodówkę i nakłonił Renée i Howarda do przyjęcia jabłek. Ojciec zaczął powtarzać swoją opowieść, więc chcąc go jakoś ukryć, Louis poszedł za nim do pokoju, w którym przydarzyła mu się ta przygoda. Bob zrekonstruował dwanaście sekund trzęsienia ziemi, sekunda po sekundzie, spostrzeżenie po spostrzeżeniu. Jeszcze nigdy nie był w takiej euforii. Zwłaszcza roztrzaskana szyba w oknie zdawała mu się kwintesencją tego momentu, podsumowaniem całej historii stosunków człowieka i natury.

Kiedy w końcu Louisowi udało się uciec ojcu, zorientował się, że Terry i Howard wyszli z domu; ten pierwszy usiadł na tylnym siedzeniu samochodu, a drugi na masce chrupał energicznie jabłko. Renée? Howard

wzruszył ramionami. Wciąż była w domu.

Louis znalazł ją w salonie, gdzie rozmawiała z jego matką. Obdarzyła go znajomym mu już uśmiechniętym uśmiechem, a matka, z aparatem fotograficznym na pasku, wyraziła równie znajome mu życzenie, żeby jej nie przeszkadzano.

– Możemy cię na chwilę przeprosić, Louisie?

Ostentacyjnie odwrócił się na pięcie i usiadł w połowie schodów. Matka i Renée rozmawiały jeszcze przez prawie pięć minut. Do jego uszu docierały tylko różne intonacje – długie, ściszone wypowiedzi matki, krótsze, radośniejsze i pełne powtórzeń dźwięki wydawane przez Renée. Kiedy ta ostatnia pojawiła się w końcu w holu, podniosła wzrok i spojrzała na schody. Louis siedział bez ruchu, zgarbiony, niczym pająk, który czeka, aż mucha wpadnie mu w sieć.

– Chyba już pojedziemy – stwierdziła. – Dzięki za zaproszenie.

Odwróciła się, by odejść, a Louis w mgnieniu oka znalazł się na dole schodów, gnając w stronę swojego celu, wplątanej w sieć muchy. Położył rękę na ramieniu Renée i przytrzymał dziewczynę.

– O czym rozmawiałaś z moją matką?

Wzrok Renée przesunął się z dłoni spoczywającej na jej ramieniu na osobę, do której należała ręka. Nie wyglądała na uszczęśliwioną z tego powodu.

– Ona martwi się tymi trzęsieniami ziemi – odparła. –

Powiedziałam jej, co na ten temat wiem.

– Zadzwoń do ciebie.

Niemal niezauważalnie wzruszyła ramionami.

– Dobrze.

Kiedy wszedł do domu, odprowadziwszy wcześniej wzrokiem zjeżdżający drogą dojazdową i kopący na potęgę samochód, matka właśnie obfotografowywała jadalnię. Na chwilę odsunęła aparat od twarzy i go opuściła.

– Ta cała Renée Seitchek to niesamowicie ciekawa młoda kobieta – odezwała się. Następnie skierowała obiektyw aparatu na sufit i nacisnęła przycisk, a w pokoju na moment zrobiło się białe.

## 4.

Pracę w stacji WSNE Louis dostał dzięki koleżance z Uniwersytetu Rice'a, Beryl Slidowsky, która w KTRU prowadziła popularny program, puszczając muzykę w rodzaju Dead Kennedys i Jane's Addiction. W lutym, w momencie, gdy jego akcja rozsyłania życiorysów i taśm demo do radiostacji w kilkunastu miastach na północy przyniosła mu na czysto wszystkiego dwie odpowiedzi, obie kategorycznie negatywne, Louis zadzwonił do Beryl i wypytał ją o sytuację w światku radiowym Bostonu. Pracowała w WSNE przez mniej więcej trzy miesiące i tak się złożyło, że właśnie miała zrezygnować. Właściciel, pospiesznie wyjaśniła, był wspaniały, ale dostawała wrzodów żołądka przez osobę zarządzającą stacją. Z przyjemnością jednak poleci Louisa, jeśli mu na tym zależy. W końcu był chyba, jak by to powiedzieć, ogólnie rzecz biorąc, dosyć tolerancyjny? Czyż nie wytrzymał całego roku z tymi okropnymi Bowlesami?

Przyczyną problemów żołądkowych Beryl okazała się kobieta przed czterdziestką, niejaka Libby Quinn. Libby pojawiła się w radiostacji osiemnaście lat wcześniej, jako recepcjonistka, kiedy rozgłośnia wciąż jeszcze mieściła się w Burlington, i chociaż Libby nigdy nie skończyła liceum, stała się niezastąpiona w WSNE. Zajmowała się całą ramówką i sporą częścią spraw administracyjnych, pisała i nagrywała spoty reklamowe dla lokalnych



zleceniodawców, którzy nie korzystali z agencji reklamowych, a także, wraz z Alekiem Bresslerem, układała kolejność, w jakiej goście występowali w radiowych talk shows. Miała różowe irlandzkie policzki i ciemnoblond włosy, które czesała w warkocz lub koczek. Preferowała styl angielskiej wsi – spódnice w kolorze wrzosu i rozpinane swetry, podkolanówki, sznurowane trzewiki – i rzadko można było ją spotkać bez kubka ziołowej herbaty. Louisowi wydawała się zupełnie nieszkodliwa.

Na początku drugiego tygodnia pracy Louisa Libby pojawiła się w drzwiach jego boksu i skinęła na niego palcem wskazującym.

– Możesz przyjść do mojego biura?

Poszedł za nią korytarzem. W jej pokoju znajdowało się wiele zdjęć dwóch mniej więcej osiemnastoletnich blondynek; wyglądały strasznie staro jak na jej córki, ale były ludzako podobne do Libby.

Wręczyła Louisowi stos wydruków z pozaginanymi rogami.

– Tutaj jest dziewięćdziesiąt pięć tysięcy, których nie udało nam się ściągnąć. To tylko ludzie, którzy nie prowadzą już z nami interesów. Może spróbowałbyś coś z tego odzyskać?

– Z największą przyjemnością.

– Sama bym się tym zajęła, ale to raczej praca dla mężczyzny.

– Aha.

– To łatwe. Po prostu dzwoniysz i mówisz: „Jesteście nam winni pieniądze, zapłaćcie”. Zrobisz to dla mnie?

Wziął do ręki wydruki, a Libby się uśmiechnęła.

– Dziękuję, Louisie. I jeszcze jedno, jeśli można: chciałabym, żeby to pozostało naszą tajemnicą. Tylko twoją i moją. Dobrze?

W radiu, zwłaszcza na tak trudnym rynku, jakim jest Boston, nie ma czegoś takiego jak pasjonująca i dająca satysfakcję pierwsza praca. Louis zdawał sobie sprawę, że nawet w takim miejscu jak WSNE przez kilka lat będzie musiał wykonywać denną robotę, zanim będzie mógł liczyć na otrzymanie jakiegoś znaczącego czasu na antenie, więc był wdzięczny Libby, że poprosiła go o ściąganie pieniędzy. To zajęcie było o wiele bardziej frapujące niż wszystko, co robił w Houston w stacji KILT. Pozwalało mu zachowywać się tak bezczelnie, jak tylko się odważył. Poświęcał mu każdą wolną minutę.

Kilka dni po Wielkanocy Alec Bressler zajrzał do jego boksu, kiedy Louis, korzystając z drukarki, przygotowywał listy z pogrózkami. Właściciel stacji zmarszczył brwi, przeglądając wydruk przez swoje pospolite okulary.

– Co to jest?

– Konta zaległych płatności – odrzekł Louis.

Zaciekawienie Aleca się wzmogło, przechodząc w obawę.

- Próbujesz to ściągnąć?
- Próbuję, owszem.
- Chyba nie wy-wierasz... na nich p r e s j i?
- W zasadzie tak, to właśnie robię.
- Och, nie rób tego.
- To polecenie Libby.
- Nie wolno ci tego robić.
- Próbowałem cię w to nie angażować.

W tym momencie również sama Libby znalazła się obok jego boksu. Alec ją zatrzymał.

– Louis mówi, że ściąga pieniądze, wywierając na ludziach p r e s j ę. Myślałem, że tego nie robimy.

Libby opuściła brodę ze skruczą.

– Przepraszam, Alec.

– Myślałem, że tego nie robimy. Naprawdę. I co, myliłem się?

– Nie, oczywiście, masz rację. – Mrugnęła do Louisa porozumiewawczo. – Musimy z tym skończyć.

– Jeśli mogę się wtrącić – odezwał się Louis. – Przez ostatnie dziesięć dni udało nam się w ten sposób zebrać cztery tysiące pięćset dolarów netto.

– Porozmawiajcie o tym, panowie – powiedziała Libby. – Ja za dziewięćdziesiąt sekund wchodzę na antenę.

– A to co? Gdzie jest Bud?

– Bud ma mały problem z wypłatą. Alec, wybacz mi, proszę.

– Mały problem? Co takiego? Co? – Alec wyszedł za nią na korytarz. – Jaki problem? Jaki problem? – Słysząc było, jak zamykają się drzwi do studia na końcu korytarza. Alec wsunął palce we włosy i zaczął się gorączkować. – Płacę tej kobiecie! A ona nie chce mi powiedzieć, o co chodzi!

Ciągle patrzył na pusty korytarz. Louis obserwował, jak odruchowo wyjmuje, przypala i w końcu zapala papierosa Benson & Hedges.

– W takim razie – kontynuował, wprawnymi, płytkimi wdechami wciągając zbląkane chorągiewki dymu – nie będziesz robił tego dłużej, nie będziesz wywierał nacisku. Po co palić za sobą mosty, prawda? Odlóż to. Poukladałeś zgłoszenia konkursowe? Inez ma ich setki. Pomyśl o tym, setki!

Tymczasem do Somerville przyszła wiosna. Pewnego słonecznego dnia, kiedy nikt nie patrzył, wszystkie siedem wzgórz pokryło się w pełni dojrzałą trawą, jej kudłate kępy nagle zajęły wszystkie trawniki i wysepki na ulicach. Można było odnieść wrażenie, że to jakieś jaskrawe śmieci w kolorze chlorofilu, wysypane na glebę pokrywającą miasto, góra śmieci, która mniej więcej wtedy, gdy topniał ostatni śnieg, stała się największa i najbardziej różnorodna. Jak zawsze widoczne były też czarne liście, niedopałki i psie kupy. Ale na każdym ograniczonym dwiema przecznicami odcinku pasa zieleni między chodnikiem i jezdnią nawet przypadkowy

turysta mógł dostrzec serwetki ze środkiem do zmiękczenia tkanin, rozrzucony po opadach śniegu żużel, igły i lametę z bożonarodzeniowych drzewek, pojedyncze rękawice, niebieskawe odłamki szkła ze stłuczonych szyb samochodowych, zgniecione ulotki z supermarketu Johnny's Foodmaster i centrum handlowego Assembly Square Mall, wyjątkowo duże kulki gumy do żucia, bezzwrotne butelki po napojach niskoalkoholowych i koktajlach, szare poliniowane kartki, na których ołówkiem wypisano proste zdania zawierające nabazgrane od tyłu litery P i h, przypominające twaróg zgniłe papierowe chusteczki, gumowe wycieraczki samochodowe i zapchane filtry, zużyte zapalniczki, ślady jedzenia wyciekłego z rozdartych podczas przenoszenia do śmieciarki worków na śmieci, skórki z pomarańczy, puszki po tuńczyku i leżące na ziemi przy kurczących się zaspach pokrywki z butelek keczupu, a może, jeśli turysta miał szczęście, również jakieś bardziej typowe dla Somerville okazy, takie jak wspaniały regał ścienny, który przez wiele miesięcy leżał frontem w dół na wysepce w alei Alewife Brook, czy banknoty z gry *Monopol*, żółte dziesięciodolarówki, niebieskie pięćdziesięciodolarówki, które rozprzestrzeniały się po bocznych uliczkach z miejsca swej emisji na College Avenue. Ta cała obfitość przedmiotów, przyjemna i stale się zmieniająca, była tym, co Natura, „ten największy kocmołuch”, po raz

kolejny wrzuciła do jednego śmietnika ze skarłowaciałymi zielskami, przypominającymi plastikowe kwiaty żonkilami i na koniec, w chwili gdy ludzie się tylko odwrócili, tysiącami komórek obcej tu zielonej trawy. Żadna zagraniczna siła nie potrafiłaby być tak przebiegła i zapamiętała, jak wiosna w tej swojej nocnej infiltracji miasta. Świeże rośliny wyróżniały się bezczelnością podobną do zachowania agenta, który w obliczu zagrożenia życia potrafi być bardziej autochtoniczny niż przesłuchujący go autochtoni.

Dotarłszy do domu, Louis zastał swojego sąsiada Johna Mullinsa myjącego samochód wielką brązową gąbką do kąpieli. Wydawało się, że auto nigdy nie zajechało dalej niż na koniec podjazdu, gdzie Mullins je szorował. Nigdy też nie wyglądało na brudne. Mięiste tulipany wypełniły już rabatę pod gankiem trójkondygnacyjnego domu, w którym mieszkał starszy pan; ich głęboko fioletowe i żółte główki pochylały się na boki pod różnymi przypadkowymi kątami, jakby specjalnie starały się unikać wzroku Louisa.

– Louie, witaj, synu – odezwał się Mullins, zostawiając gąbkę na przedniej szybie i zatrzymując chłopaka. – Jak leci? Podoba ci się tu? Podoba ci się Somerville? Ale pogoda, co? Moim zdaniem się nie utrzyma. Właśnie słuchałem prognozy, zawsze słucham o piątej trzydziści pięć. Powiedz mi, czuł ty to trzęsienie ziemi w niedzielę?

Louis już od kilku dni kręcił przecząco głową, słysząc

to pytanie.

– Kurczę, przestraszyłem się. Myślisz, że będą następne? Jak Boga kocham, mam nadzieję, że nie. Mam małe problemy z sercem... małe problemy z sercem. Małe problemy z sercem. – Mullins poklepał się szybko po klatce piersiowej, zwracając uwagę Louisa na zamknięty w niej organ. – Nie wolno mi się tak bać. – Roześmiał się głucho, z prawdziwym przestachem w oczach. – Próbowałem wyjść na dwór i nie uwierzysz, upadłem prosto na pupę. Nie potrafiłem się podnieść! Boże, jak ja się bałem. Ta dziewczyna na górze, ta, co śpiewa, taka miła dziewczyna, powiedziała, że nawet tego nie poczuła.

– Jak będzie następne trzęsienie ziemi – powiedział Louis – niech pan postara się stać w drzwiach.

Starszy mężczyzna się skrzywił, jakby był głuchy.

– Co proszę?

– Powiedziałem, żeby postarał się pan stać w wewnętrznych drzwiach albo wejść pod stół. Podobno to najbezpieczniejsze miejsce.

– Ach, tak, uhm. Dobrze, synu. – Mullins chwiejnym krokiem wrócił do swojej gąbki. – Dooobrze, synu.

W skrzynce na listy leżała koperta z kancelarii adwokackiej Arger, Kummer & Rudman. Zawierała dwa bilety na mecz Red Sox i wizytówkę Henry'ego Rudmana. W tylnym oknie pokoju Louisa pojawił się zakwitający biały krzew, który jarzył się olśniewająco w słońcu, po tym jak od ostatniego pojawienia się w porze obiadu

przesunęło się daleko na północ. Louis zrobił sobie kanapkę z jajkiem sadzonym i obejrzał odcinek serialu *Hogan's Heroes*. Zrobił sobie kolejną kanapkę z jajkiem sadzonym i obejrzał wiadomości krajowej stacji NBC. Mniej więcej w ich połowie NBC połączyła się z Bostonem i ku swemu zdumieniu odkryła, że na obrzeżach miasta doszło do dwóch trzęsień ziemi. Wyemitowano materiał filmowy prezentujący roztrzaskane szkło oraz alejki w supermarkecie, gdzie pojedynczy pracownicy sprząтали sok i dżem, które rozlały się z pozrzuconych butelek. Telewizyjny korespondent relacjonował fakty – w sumie zgadzały się z tym, co Louis co godzinę słyszał w WSNE: wielkanocne trzęsienie ziemi o sile 5,2 stopnia w skali Richtera, po którym wystąpiło kilka wstrząsów wtórnych, spowodowało w trzech powiatach zniszczenia o szacowanej wartości dwunastu milionów dolarów i zakończyło się czternastoma przypadkami obrażeń (prawie wszystkie, jak zauważył Louis przy wcześniejszej lekturze „Globe’a”, spowodowane były paniką; zaskakująco dużo osób poważnie się posiniaczyło czy skaleczyło podczas ucieczki ze swoich trzęsących się domów, na grobli na północ od Ipswich pewien wędkarz wbił sobie haczyk w powiekę, kiedy biegł na stały ląd, a jakiś kierowca wjechał samochodem do rowu). Następnie widzów NBC uraczono odrobiną historii („trzęsienia ziemi nie są czymś n i e s ł y c h a n y m



w Nowej Anglii”), lotniczymi zdjęciami elektrowni atomowej w Seabrook, po których nadano uspokajającą przemowę rzecznika elektrowni, gniewną wypowiedź sprzedawcy win (najwyraźniej dla niego natura w niczym nie różniła się od lokalnych mieszkańców, którzy nie potrafili docenić win z dobrego rocznika) i na koniec podnoszącą na duchu relację nastolatka z Ipswich, który zupełnie nie potrafił się wysłowić i kręcąc głową z niedowierzaniem, powiedział o trzęsieniu ziemi: „Zaczęło się powoli. I nagle bach!”. Korespondent w końcu zasłużył sobie na przedstawienie własnego nazwiska, co zrobił głosem cichym i poważnym, najpierw jednak równie cichym i poważnym głosem stwierdzając, że to trzęsienie ziemi „z pewnością nie było ostatnim”. Na chwilę pojawiło się ujęcie, ani zbyt bliskie, ani za dalekie, prowadzącego program w NBC z kpiarskim uśmiechem na ustach (płacono mu trzydzieści cztery tysiące dolarów tygodniowo, żeby nie ziewał na wizji), po czym zmieniono obraz i na ekranie ukazało się wnętrze apteki z dawnych czasów, z dobrodusznym farmaceutą za ladą. Ameryka patrzyła bezradnie na rozgrywający się promocyjny spektakl. Nie tak dawno temu w jednym z nocnych programów telewizyjnych Louis oglądał, jak naśmiewano się z takich reklam. Zatroskany klient wraca do apteki i zamiast podziękować dobrodusznemu farmaceucie za radę, przedstawia listę groteskowych chorób i zaburzeń równowagi hormonalnej wywołanych

przez zalecony środek i na koniec (było to może nieco zbyt przewidywalne) strzela do aptekarza z pistoletu. Po tej demaskatorskiej satyrze NBC wyemitowało prawdziwą reklamę, tym razem prezerwatyw.

Po wiadomościach przyszedł czas na baseball, który Louis oglądał co wieczór od dziewiątej do osiemnastej rundy. Kiedy drużyna Red Sox już na początku wyszła na prowadzenie 8:0, zaczął przerzucać strony „Globe’a” i po raz drugi w ciągu dwóch tygodni gazeta przysporzyła mu niesamowitych doznań. Miał wrażenie, jakby czytał spreparowane wydanie urodzinowe, pełne znajomych nazwisk. Najważniejsza informacja w części ekonomicznej nosiła tytuł *Akcje Sweeting-Aldren po raz kolejny gwałtownie spadają*. Niestety, jakie nagle spadły na drugiego pod względem wielkości producenta odczynników chemicznych w Nowej Anglii, okazały się tak liczne, że trzeba było zajrzeć na stronę sześćdziesiątą siódmą. Opublikowane dzisiejszego ranka sprawozdanie firmy z ostatniego kwartału ukazywało ostry spadek zysków, ponieważ przy stałym poziomie sprzedaży rosnące ceny energii i okresowe braki kilku głównych surowców podniosły koszty produkcji. W świetle tego raportu inwestorzy na Wall Street ponownie zareagowali bardzo negatywnie na wtorkowe wiadomości, z których wynikało, że zakłady Sweeting-Aldren w Peabody mogły poważnie ucierpieć w niedzielnym trzęsieniu ziemi; ceny akcji spółki już spadły o 4,875 punktu, do 64,5, notując

największy dwudniowy spadek punktowy w czterdziestoosmioletniej historii firmy i największy dwudniowy spadek procentowy od 12 sierpnia 1972 roku. Rzecznik prasowy firmy Sweeting-Aldren, Ridgely Holbine, zdecydowanie zaprzeczył, że w trzęsieniu ziemi uszkodzone zostały jakiegokolwiek linie produkcyjne, ale spekulacje po raz kolejny podsyciło odkrycie późnym poniedziałkiem dużych ilości zielonkawego ścieku w kanale biegnącym przez osiedle mieszkaniowe położone w odległości niecałych czterystu metrów od instalacji Sweeting-Aldren. Holbine oświadczył, że firma bada „niezwykle mało prawdopodobną możliwość”, że zakład ma z tym jakiś związek; według jednego z analityków taki komentarz został na Wall Street zinterpretowany jako „wirtualne bicie się w pierś”. Holbine podkreślił, że Sweeting-Aldren jest firmą znaną z tego, że „ma najprawdopodobniej najlepsze notowania w zakresie ochrony środowiska w całej branży”. Wyjaśnił, że koszty energii są wysokie w związku z zaangażowaniem firmy w recykling, a nie ze względu na składowanie toksycznych odpadów, i zauważył, że jeszcze w styczniu magazyn „Forbes” wspomniał o firmie Sweeting-Aldren i jej „ustalonej pozycji najbardziej rentownego koncernu chemicznego w Ameryce”. Mimo to w dniu wczorajszym w ciągu ostatnich trzydziestu minut notowań na giełdzie nowojorskiej cena akcji firmy spadła o ponad jeden punkt. Obawa przed dalszymi

niszczycielskimi efektami trzęsień ziemi na północ od Bostonu i, co nie mniej ważne, widmo pozwów, które pojawiło się po odkryciu ścieku, składały się na...

Louis podniósł wzrok na ekran telewizora i zobaczył piłkę baseballową szybującą na stadionie Fenway Park w stronę ławki rezerwowych gości. Prowadzenie Sox zmniejszyło się o połowę. W kuchni zadzwonił telefon.

Telefonowała Eileen. Minał prawie tydzień, odkąd Louis pozostawił cały szereg coraz bardziej sarkastycznych wiadomości na jej automatycznej sekretarce, ale siostra nawet nie próbowała przeprosić. Chciała tylko powiedzieć, że ona i Peter dwudziestego ósmego organizują w mieszkaniu Petera duże przyjęcie.

– To będzie bal przebierańców, którego motywem przewodnim jest katastrofa – dodała. – Trzeba być przebranym, żeby wejść, jasne? Trzeba. A strój musi nawiązywać do jakiejś katastrofy. Nie będzie zabawne, jeśli ludzie się nie przebiorą, więc naprawdę musisz to zrobić.

Louis spoglądał na wczorajszy numer „Globe’a”, rzucony na stos gazet do wyniesienia po wyjęciu części z komiksami. Jasny jak słońce nagłówek na pierwszej stronie głosił: *Następstwo trzęsienia ziemi: poważny wyciek chemiczny w Peabody.*

– Tylko przyjdź, dobra? – powiedziała Eileen. – Możesz wziąć ze sobą jakichś ludzi, ale też muszą być

przebrani. Zapisz sobie adres.

Zrobił to.

– Dlaczego chcesz, żebym przyszedł na tę imprezę?

– A nie chcesz?

– Och, może na pewno. Tylko nie jestem pewien, dlaczego akurat mnie zapraszasz.

– Bo będzie fajna zabawa i przychodzi dużo ludzi.

– Chcesz powiedzieć, że odpowiada ci moje towarzystwo?

– Posłuchaj, jak nie chcesz, to nie przychodź. Muszę kończyć, jasne? Widzimy się dwudziestego ósmego. Być może.

Zgodnie z informacjami podanymi w „Globe”, zielony ściek po raz pierwszy zauważyli mieszkańcy osiedla w Peabody w poniedziałek rano, osiemnaście godzin po niedzielnym trzęsieniu ziemi, do jakiego doszło dwadzieścia dwa kilometry na północny wschód. Czteroletni chłopczyk i jego dwuletnia siostra bawili się przy przylegających do osiedla mokradłach i wrócili do domu w ubraniach pobrudzonych „substancją przypominającą produkowany przez firmę Prestone płyn przeciw zamarzaniu”. Po południu właściciele domów zaobserwowali, że mokradła, nadal wypełnione wodą spływającą po niedawnej ulewie, zrobiły się zielone. Dało się też wyczuć mdłą organiczną woń, „przypominającą zapach markera”. Począwszy od środowego wieczoru, woń w znacznym stopniu się

rozwiąła. Funkcjonariuszom stanowego oddziału agencji ochrony środowiska jak dotąd nie udało się ustalić źródła ścieku, ale skoncentrowali swoje badania na ogrodzonym i porośłym lasem obszarze będącym własnością Sweeting-Aldren Industries oraz przyległych dwuhektarowych terenach podmokłych, z których woda spływa na zanieczyszczone moczary. Ridgely Holbine ze Sweeting-Aldren ponownie wydał oświadczenie, w którym podkreślił, że firma od prawie dwudziestu lat nie spuszcza poważniejszych ilości ścieków przemysłowych w Peabody. Powiedział, że na terenie, o którym mowa, znajdują się urządzenia mielące oraz liczne niewielkie zbiorniki magazynowe do „procesów pośrednich” i na żadnym z nich nie ma śladu uszkodzeń po trzęsieniu ziemi. Tymczasem jedna z mieszkańek Peabody, Doris Mulcahey, opowiedziała reporterom, że w ciągu ostatnich siedmiu lat jej mąż i najstarsza córka zmarli na białaczkę i że dopiero ostatnio się dowiedziała, że położony niecałe czterysta metrów od jej domu porośnięty lasem teren należy do Sweeting-Aldren. „Nie mówię, że to ich wina – stwierdziła Mulcahey. – Ale też, do diaska, z pewnością tego nie wykluczam”.

Dla kibiców Sox mecz zakończył się smutno.

Wczesnym rankiem następnego dnia, na chwilę przed tym, jak rozdzwonił się budzik, Louis znowu miał ten sen. Drzwi w domu Bowlesów na Dryden Street wpuściły go z powrotem do pokoju z czerwonymi

skórzanymi fotelami i zobaczył, że przez te wszystkie dni matka nigdzie się nie ruszyła. Wciąż tkwiła na fotelu w żółtej sukience uniesionej prawie do bioder. Ale teraz w pokoju był tylko jeden mężczyzna. Louis rozpoznał w nim człowieka z obrazu nad kominkiem. Kształtna łysa czaszka, pożądliwe czarne oczy. Zauważywszy Louisa, natychmiast się odwrócił i zaczął gmerać przy spodniach, poprawił coś z przodu. W tym momencie Louis zdał sobie sprawę, że cały pokój jest śliski od nasienia, zielonkawo-białego nasienia, a było go tak dużo, że tonęły w nim podeszwy butów. Obudził się z gwałtownym drżeniem. Udało mu się nie myśleć później o śnie, ale też niezupełnie go zapomniał.

Kiedy jadł płatki Cheerios, zaczęły się budzić ptaki. Podobnie jak każdego ranka, kiedy mijał należący do jego współlokatora Toby'ego beżowy zestaw mebli – wielką sofę i fotele wyłaniające się z niezaludnionej nocy, by trwać w miejscu przez kolejny dzień, być wielkimi, wiele ważyć i zajmować miejsce – opanowało go wrażenie nierealności życia.

Jazda samochodem do pracy, najpierw wzdłuż Alewife Brook Parkway i na Route 2, obok chińskiej restauracji Haiku Palace i motelu Susse Chalet, w górę ponad półtorakilometrowym podjazdem, którego każdego dnia nie były w stanie pokonać dwa lub trzy niezbyt sprawne samochody, a potem przez historyczne przedmieścia, gdzie w coraz jaśniejszym świetle dnia

reflektory jadących na wschód samochodów i ciężarówek z naczepami sprawiały coraz bardziej pogrzebowe wrażenie, zajmowała dokładnie tyle samo czasu, ile potrzebowały wypite przez niego sok i kawa, żeby zostać przefiltrowane przez nerki, spłynąć do pęcherza i z miejsca wysłać go do męskiej toalety w stacji WSNE. Alec Bressler golił się przed lustrem, jego rozlatująca się torba stała niepewnie na umywalce.

– Znowu spędziłeś tu noc – zauważył Louis, oddając mocz.

Alec obmacywał posiniałą szyję.

– Mm-hm!

Louis usiadł za konsolą w studiu z odkupionym od Dana Drexela czekoladowym racuszkiem w dłoni i przejrzał rozpiskę na okienko między szóstą a siódmą. Drexel, wciskając do ust stu pięćdziesięciostopniowy łuk racuszka, zastępował właśnie na stanowisku nocnego prezentera i czytał swój egzemplarz rozpiski. Na gęstej jak u drwala brodzie Drexela cukier puder miał pozostać aż do ósmej, kiedy to prezenter szedł do toalety. (Słuchającym prezenterów radiowych wydaje się, że niewielu z nich jest brodacami. Ale niejeden z nich ma brodę). Louis włożył do odtwarzacza Kasetę nr 1, z trzydziestosekundowym spotem reklamowym sieci Cumberland Farms, włączył ją o 5:59:30 i w odpowiednim momencie dał sygnał Drexelowi. Zaczęły się *Wiadomości z komentarzem* w porze porannego szczytu.



Byli w połowie Festiwalu Boba Newharta, artyści komediowego.

– Odtwarzamy wszystkie nagrania komediowe – przypomniał słuchaczom Drexel – zarejestrowane przez Button-Down Mind i zakupione przez WSNE. Już za chwilę usłyszymy prawdopodobnie najlepszy skecz Newharta, ale najpierw skrót wiadomości ze świata.

Louis wyszukał czwarty numer na drugiej stronie płyty *Behind the Button-Down Mind*, a tymczasem Davidson Chevrolet Geo omawiał kwestie finansowe.

– Masz cukier na brodzie – powiedział Drexelowi.

Drexel jak zawsze strzepnął nieodpowiednie miejsce. Reklama się kończyła, a on mizdrzył się do umieszczonego na stojaku mikrofonu z nieświadomym uśmiechem lubieżnego kota.

– Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci – zanucił. – Button-Down Mind właśnie zdobywa zadziwiający świat dziecięcej telewizji. – Przy ostatnim słowie wycelował palec w Louisa, a ten zdjął kciuk z talerza gramofonu i pozwolił mu się kręcić.

Cztery godziny później konsolę w studiu przejął Kim Alexander, prezenter prowadzący talk show. Na dworze świeciło późnoporanne słońce, a Louis usiadł pod wierzbą na tej części porośniętej trawą przestrzeni, dzięki której można było powiedzieć, że Crossroads Office Park to rzeczywiście park. Trawnik był jednym z tych znanych mu miejsc na peryferiach miasta, gdzie

otaczające go betonowe krawężniki nie straciły jeszcze białej warstwy wapna, unosił się przyjemnie kręcący w nosie zapach jałowców i nie było żadnych śmieci, nawet ustników po papierosach (albo tylko pojedynczy pomysłowy śmieć, w japońskim stylu), i nikt, ale to nikt, nigdy nie urządzał pikników. Louis nie był w stanie zrozumieć, dlaczego w tych miejscach nie położono sztucznej trawy i nie postawiono plastikowych drzew.

Obserwował nowego lincolna town cara z przyciemnianymi bocznymi szybami, który objechał ślepą uliczkę, zwolnił i zatrzymał się przed mieszczącym się w Budynku nr III wejściem do WSNE. Na indywidualnej tablicy rejestracyjnej widniał napis: PROLIFE 7. Libby Quinn wysiadła od strony pasażera i pospieszyła do studia. Silnik lincolna zwiększył obroty, jak potężny człowiek, który wzdycha: PROLIFE 7. Louis wzruszył ramionami i rozłożył się na ciepłej świeżej trawie, pozwalając słońcu nasycać pomarańczowością swoje nerwy wzrokowe.

Leżenie na pełnym słońcu może przyprawić człowieka o zawroty głowy. Przez kilka sekund sądził, że to dziwne uczucie wywołał jakiś poluzowany drucik w jego układzie nerwowym, jakaś niezdarna synapsa, a nie, o czym nagle powiadomił go chór alarmów samochodowych na parkingu, trzęsienie ziemi.

Stracił kilka sekund, podrywając się na nogi. Zanim się wyprostował, wszystko dobiegało końca, ziemia

poruszała się już ledwie wyczuwalnie, jak trampolina, kiedy człowiek stoi bez ruchu nad basenem na samym jej końcu.

Ruch uliczny na drodze numer 128 odbywał się bez zakłóceń. Louis spojrział wojowniczo wprost w otaczające go powietrze, jakby rzucając wyzwanie fizycznemu światu, żeby zrobił to jeszcze raz, kiedy nie jest odwrócony plecami – niech no tylko spróbuje. Ale jedyną pozostałością po wstrząsach była znikoma niestabilność jego własnego ciała, drżenie nóg, przez które krew płynęła z pozostawiającą wiele do życzenia płynnością (nawet wielcy mimowicie i pałacowi strażnicy nie są w stanie zostać posągami). Sama ziemia była nieruchoma.

Kiedy po wejściu do budynku zbliżał się do biura Aleca, usłyszał, jak właściciel kłóci się w swoim azylu z Libby. Mniej wojownicza osoba mogłaby się wycofać, ale Louis stanął na progu sekretariatu, w którym znajdował się dziesięciocalowy czarno-biały zenith oraz sofa z poskładaną pościelą i leżącymi na poręczach niewyprasowanymi koszulami.

– Nie będę dzwonił do tego człowieka – powiedział Alec. – Nie chcę go znać. A kierowniczka mojej stacji je z nim śniadanie? Kierowniczka mojej stacji, której wcześniej powiedziałem, że nie robimy interesów z tym panem? Rozumiem, że to bardzo przystojny młody człowiek. Bardzo moralny, bardzo cha-ryz-ma-tyczny.

Obiad z nim, tak, czy też koktajl albo k o l a c j a, cię kompromituje. Ale śniadanie, o, to bardzo moralny posiłek!

– On nie zniknie, jeśli zamkniesz oczy, Alec. Dopóki nie znajdziesz kilkuset tysięcy dolarów, żeby go przekupić. Już złożył protest.

– I co? Ostatnim razem odnowiliśmy...

– Ostatnim razem odnowiliśmy licencję, nikt tego nie oprotestował, a stacja nie została spustoszona.

– Nie odbiera się tak łatwo licencji.

– A do tego Philip Stites nie zapłacił wtedy firmie Ford & Rothman za zbadanie naszej słuchalności.

– Czyli... szantaż! To niezwykle moralne!

– Spójrz prawdzie w oczy. On chce przejąć stację.

– A ty będziesz pracować dla tego człowieka? Będziesz kierowniczką jego stacji?

– Skoro nie pozwalasz mi ściągać długów? Skoro stać cię tylko na nadawanie w porannych godzinach szczytu wiadomości z wojny w Somalii i Phyllis Diller?

– Ludzie uwielbiają Phyllis Diller.

– Jeden przecinek siedem dziesiątych procent o ósmej rano. To dane z marca. Chyba mówią same za siebie.

– Dobra, wprowadzimy trochę lokalnych wiedzomości. Wprowadzimy wojnę z narkotykami. I katastrofy samolotów. Dobrze, zupełnie nowa ramówka, i to od dziś. Powiemy Federalnej Komisji

Łączności: nowa ramówka, nastawiona przede wszystkim na wiedzomości...

– Alec, tutaj oprócz mnie nie ma nikogo, kto mógłby r e a l i z o w a ć wiadomości.

– Może ściągniemy z powrotem Slidowsky...

– Dobrze wiesz, co myślę o tej dziewczynie.

– Ja to mogę robić. Louis może to robić. Słuchamy innych stacji i je skopiujemy. Możemy zatrudnić studenta, mogę sprzedać...

– Co niby możesz sprzedać?

– Sprzedam samochód. Kiedy używam tego auta? Nie potrzebuję go.

– Sama nie wiem, czy się śmiać, czy płakać.

– Ale pomyszl o tym. Libby. Pomyszl o tym. Sprzedam moją stację Philipowi Stitesowi, wbrew moim zasadom. Szanujesz mnie za to?

– Szanuję ludzi, którzy robią rzeczy godne szacunku. A moim zdaniem w tej sytuacji godne szacunku jest sprzedanie stacji, kiedy jeszcze możesz wyjść na plus.

Alec mamrotał coś mętnie, coś o myśleniu.

– Chcesz coś ode mnie? – zapytała Louisa Libby, wychodząc przez sekretariat.

Louis przybrał zatroskaną minę.

– Czujesz, że ziemia się trzęsie?

Pogłaskała swój koczek i uśmiechnęła się skromnie.

– Chyba nie poczułam.

– Szesienie ziemi? – Alec miał na twarzy wyraz

metafizycznego rozbawienia wywołanego ssaniem tabletki nikotynowej. – W tej chwili?

– Tak. Czujesz to?

– Nie... Byłem zajęty. – Skinął na Louisa, żeby wszedł do jego azyłu, gdzie w przepelnionej popielniczce paliły się dwa papierosy różnej długości. Jego krótkofalówka znajdowała się przy oknie, a wzdłuż ścian stały stosy kartonów. Pomału zaczynało wyglądać na to, że te pomieszczenia były jedynym miejscem, które pozostało mu do mieszkania.

– Dwie sprawy – powiedział. – Siadaj, proszę. Po pierwsze, jeszcze raz się zastanowiłem: może to jednak niezły pomysł, żeby ściągać te pieniądze. Jeśli od razu nie zapłacą, powiedz, że zgadzamy się na połowę, jeśli zapłacą natychmiast. To musi być natychmiast. – Wybrał krótszy z palących się papierosów, zgasił go i pociągnął z dłuższego, wciąż obracając w ustach pastylkę. – Druga sprawa, potrzebuję szczerzej odpowiedzi: czy pracownicy szanują szefa, który pali?

– Jasne. Czemu nie?

– Wydają się słabi. Palacze.

– Mówisz o mnie czy o Libby?

Alec zrobił coś niesamowitego z górną wargą; za zasłoną dymu zwinął ją jak wampir, który zaraz ugryzie.

– O Libby.

– Jestem pewien, że cię szanuje. Dlaczego miałyby być inaczej?

Alec bardzo powoli skinął głową, wciąż naciągając wargę i patrząc w kąt pokoju.

– Ściągaj te pieniądze – powiedział.

Louis wrócił do swojego boksu i ponownie otworzył teczkę, najpierw jednak zadzwonił do centrali telefonicznej Harvardu. Już po jednym dzwonku rozmawiał z Howardem Chunem, który chrząknąwszy niezbyt obiecująco, poszedł szukać Renée Seitchek. Kiedy w słuchawce rozległ się jej głos, trudno było doszukiwać się w nim zaskoczenia czy zadowolenia.

– Poczujęm trzęsienie ziemi – powiedział Louis.

– Uhm, my też.

– Gdzie to było? Jak było silne?

– Koło Peabody. Słabsze niż w niedzielę. O tym przypadkowo dowiedzieliśmy się z radia.

– Dzwonię, bo chcę zapytać, czy nie wybrałabyś się na przyjęcie, które dwudziestego ósmego urządza moja siostra. Co prawda, niespecjalnie podoba mi się taki pomysł, ale ponoć ma to być impreza tematyczna, z motywem przewodnim trzęsień ziemi. Bal przebierańców. Czy będzie zabawnie, tego nie wiem. Ale z tego powodu dzwonię.

Pochylił głowę i bardzo uważnie słuchał słów płynących ze słuchawki.

– Dwudziesty ósmy?

– Tak.

– Cóż... dobra. Ale nie zamierzam się przebierać.

Wypuścił powietrze; aż dotąd wstrzymywał oddech.

– Może założyłabyś coś symbolicznego. Choćby jakieś plastry. To nie, że ja osobiście...

– Dobrze. Ubiorę się w coś takiego. Gdzie będzie to przyjęcie?

Umówił się, że przyjedzie po nią samochodem. Okazało się, że Renée też mieszka w Somerville. Dała mu numer domowego telefonu i powiedziała, że wolałaby, żeby nie dzwonił do niej do pracy. Rozłączając się, czuł niesmak w ustach, jakby został potraktowany jak intruz.

Nastał niespokojny tydzień. Po kilku udanych próbach ściągnięcia pieniędzy Louis natknął się na mur grających na zwłokę recepcjonistek, opieszających asystentów, a także na kilka zwyczajnych potworów. Miał też kłopoty ze znalezieniem funduszy na opłaty pocztowe. Kiedy już wyczerpał skryte w różnych opuszczonych biurkach niewielkie zapasy jedno-, dwu- i pięciocentowych znaczków, musiał sięgnąć do kasy podręcznej, czyli portfela szefa.

Z kolei Aleca coraz częściej można było zastać, jak gapi się w biurze na małego zenitha. W porze kolacji, obojętnie, czy był sam, czy nie, na bieżąco komentował na głos wiadomości i reklamy telewizyjne; poza tym lubił westerny i filmy wojenne.

– Wiedzomości telewizyjne i gazety z wiedzomościami – powiedział Louisowi – to nasz główny wróg. Przez osiem lat mieliśmy prezydenta



Stanów Zjednoczonych o inteligencji poniżej normy. Dzień w dzień wyrządza straszliwą krzywdę językowi, przyszłości, prawdzie. Wie o tym każda myśląca osoba w tym kraju, z wyjątkiem sieci telewizyjnych i gazet z wiedzomościami. To podejrzane, co nie? A może idioci to teraz mniejszość, o której nie można źle mówić? Idźmy na całość, wybierzmy prezydenta debila. Konferencja praczowa, a prezydent ryczy i się ślini, jego doradcy twierdzą, że ma interesujący nowy program, a CBS mówi, że dziś wieczorem prezydent się ślinił i że jest tu z nami pięciu analityków, którzy opowiedzą o jego interesującym nowym programie i może też o tym, czy mniej się teraz ślini niż ostatnio? W „New York Timesie” drukują zapis konferencji praczowej, a tam tylko ślinienie się, ślinienie się, ryk, ryk, a także jedno składne zdanie, i właśnie je drukują na pierwszej stronie! Pewnie nie chcą obrażać debili, mówiąc, że to źle mieć debila za prezydenta.

Ale dobra, w porządku, to ich prawo. Ale czyż obowiązkiem każdego myślącego człowieka w tym kraju nie jest powiedzieć sieciom telewizyjnym i gazetom z wiedzomościami: Jesteście moim wrogiem. Zdradziliście mnie. W rzeczywistości nie jesteście po mojej stronie. Jesteście po stronie pieniędzy, ale ja was przejrzałem i to jest koniec. Koniec z tym! Jesteście skończeni! Znajdę sobie dobre czasopismo i stację radiową, dźwiękuję bardzo!

Ale świat jest strasznie skorumpowany. Myszłący ludzie, artyści i intelektualiści, porządni reporterzy, muszą pisać dla „Timesa” i występować w CBS, bo w przeciwnym razie zrobią to ich wrogowie. I tak szantażem wielkie media kupują pisarzy i intelektualistów. Media, Louisie, gównu obchodzi prawda. To po prostu firmy, które muszą bez przerwy zarabiać pieniądze, nigdy nie przestają zarabiać pieniędzy, nigdy nie obrażają żadnej grupy.

A teraz ten cały pan Pro-Life chce kupić moją stację, bo wciąż słucha ich za mało ludzi. Czy jestem zły? Tak, jestem zły. Ale nie z powodów politycznych. Nie powiem: „Nie zgadzam się z polityką tych ludzi”. Bo wszyscy politycy są tacy sami. Czy z lewej, czy z prawej, tacy sami! Identyczni! Ale gazeciarze muszą mieć czytelników, a sieci telewizyjne muszą mieć widzów, a bez polityki wszyscy mogliby zobaczyć, że ten król kultury jest nagi, więc wszystko jest polityką! Skrajna prawica niczego nie uzyska, jeśli media mówią o tym, co jest piękne i co jest prawdziwe, i co jest sprawiedliwe, zamiast mówić, co jest politycznie możliwe. Skrajna prawica nie jest ani piękna, ani prawdziwa i nie jest też sprawiedliwa. Dla nich to wielkie szczęście, kiedy patrzy się na nich tylko z politycznego punktu widzenia...

Chociaż płacono mu tylko za osiem godzin, Louis rzadko opuszczał Waltham przed osiemnastą. Zdziwiło go, gdy pewnego wieczoru pod koniec tygodnia w pokoju

telewizyjnym zastał Libby Quinn; siedziała na sofie i wdychała dym po wypalonych przez Aleca papierosach. Zazwyczaj o tej porze Libby była w domu ze swoimi córkami.

– Louisie – odezwał się na powitanie Alec. – Dziś wieczorem mamy specjalny program. Portret człowieka, który...

– Ciii, ciii, ciii, ciii – szepnęła Libby.

– Właśnie miałem powiedzieć Louisowi...

Louis nie zwracał na niego uwagi. Był porażony obrazem w telewizorze. Wręcz przyciągnął go do ekranu. Podkręcił głośność.

– Mówimy tu o budynku – powiedziała doktor Renée Seitchek – który już trzy lata temu decyzją wyznaczonego przez radę miejską Chelsea administratora został przeznaczony do rozbiórki i stoi na nigdy niezagęszczonym składowisku odpadów. Trudno nawet wyobrazić sobie budynek bardziej podatny na uszkodzenia podczas trzęsienia ziemi, a dla mnie czystym szaleństwem jest zezwolenie dwustu pięćdziesięciu członkom Kościoła na zamieszkanie w nim, nawet jeśli każda z tych osób podpisała oświadczenie, że robi to na własną odpowiedzialność.

– Sądzi pani więc, że może dojść do kolejnych wstrząsów? – odezwał się prowadzący wywiad niewidoczny dziennikarz.

– Nie da się tego wykluczyć. Zwłaszcza po tym, co się

wydarzyło w piątek w Peabody.

– Doktor Axelrod z MIT powiedział mi, że jego zdaniem szanse wystąpienia w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy katastrofalnego trzęsienia ziemi w centrum Bostonu są wciąż mniejsze niż jeden do tysiąca.

– Może to być nawet jeden do miliona, a i tak w tym domu nikt nie powinien mieszkać.

– Rozumiem, że pani nie zgadza się z pastorem Stitesem w sprawie aborcji.

Kiedy doktor Renée Seitchek usiłowała odpowiedzieć na to niezwiązane z tematem pytanie, kamera zrobiła takie zbliżenie, że widać było drobne piegi wokół jej oczu. W prawym uchu nosiła trzy małe srebrne kółka, każde w innej dziurce. Nieostre liście i światło słoneczne igrały w oknie za jej plecami.

– Moim zdaniem kobieta, która przerywa ciążę, nie potrzebuje Philipa Stitesa, żeby ten jej wyjaśnił, co właśnie zrobiła.

– Grubo się mylisz – wyszeptała Libby. – Grubo się mylisz.

Doktor Renée Seitchek mrugnęła w jaskrawym świetle, jej twarz wciąż wypełniała ekran, a tymczasem dziennikarz zadał ostatnie pytanie:

– Skoro państwo nie powinno ingerować w decyzję kobiety dotyczącą aborcji, dlaczego powinno interweniować w przypadku decyzji członków Kościoła

w sprawie mieszkania w bloku przy Central Avenue?

– Bo to Philip Stites podjął tę decyzję za nich.

Wypowiedź doktor Renée Seitchek najwyraźniej ciągnęła się jeszcze dalej, ale dźwięk został wyłączony, kiedy reporter zabrał widzów z powrotem na Central Avenue w Chelsea, gdzie członkini prowadzonego przez Stitesa Kościoła Działań w Chrystusie opuszczała smętny kompleks mieszkalny z żółtej cegły, w którego oknach widać było arkusze wyblakłej od działania czynników atmosferycznych dykty.

– Mieszkam w onym domu z tego powodu – powiedziała kobieta – bo wierzę w Boga bardziej niż w naukowców i inżynierów. Tem dom nie ma ZABEZPIECZEŃ. Nienarodzone dziecko nie ma ZABEZPIECZEŃ. Ale jeśli Bóg ochroni mnie tutaj, to ja będę miała moc ochronić nienarodzonego.

– Pewien naukowiec, z którym rozmawiałem – powiedział reporter – utrzymywał, że to za namową pastora Stitesa, a nie z własnej woli, podpisaliście oświadczenia, że robicie to na własną odpowiedzialność.

Kobieta uniosła transparent z napisem DZIĘKUJĘ MAMO JA KOCHAM ŻYCIE!

– Ta wola, która mnie napędza – powiedziała do kamery – jest tą samą wolą, która napędza pastora Stitesa, a jest to wola Boga.

– Jak się pani czuje, kładąc się w nocy do łóżka i wiedząc, że nawet małe trzęsienie ziemi może

spowodować, że pospadają na was te wszystkie cegły?

– Żaden człowiek na świecie nie budzi się rano z innego powodu, jak tylko z Bożej łaski.

Telewizja odpowiedziała na to wyznanie reklamą perfum. Libby Quinn poprawiła się na sofie, rozglądając się z zażenowaniem po pokoju, jakby sądziła, że Louis i Alec oczekują, że zaczną się usprawiedliwiać. Nagle wstała.

– Jestem matką, Louisie. Wiesz, że mam dwie córki w liceum. A ta panienska z Harvardu nie rozumie, że dla wielu tych nastolatek aborcja jest jak wizyta u dentysty. I wiem też na pewno, że nie ma tam nikogo, kto powiedziałby tym dzieciakom, że wraz z wodą do zatoki bostońskiej spuszczają też dzidziusia.

– Ach, tak – powiedział Louis. – Chociaż ci obrońcy życia poczętego starają się edukować nie tylko kilka nastolatek.

– C i obrońcy życia poczętego – odpowiedziała Libby z naciskiem – uważają, że odpowiedzialność za własne życie seksualne jest ważna.

– A co ty myślisz, Louisie? – zapytał Alec. Libby była dla nich niczym kontrowersyjny film, który wspólnie oglądali. – Zgadzasz się z nią? Zastanów się! Może właśnie decyduje się twoja przyszłość w tej stacji.

– Pozwól, Louisie, że cię o coś zapytam – odezwała się Libby. – Jak sądzisz, dlaczego ludzie, którzy nienawidzą zachłanności ekonomicznej, zawsze chcą

usprawiedliwiać zachłanność seksualną? Jak sądzisz, dlaczego tak jest?

Alec odwrócił się wyczekująco w stronę Louisa, z uniesionymi brwiami ssąc tabletkę rozśmieszającą.

– Zachłanność ekonomiczna krzywdzi innych ludzi – stwierdził Louis.

Oczy Aleca podążyły za piłką na kort po stronie Libby.

– Zgadza się – odrzekła ze smutnym uśmiechem. – Seksualna zachłanność nikogo nie krzywdzi. Chyba że uzna się plód za ofiarę.

To była jej kwestia finałowa – po tych słowach opuściła pokój.

– A co Vanna White z *Koła Fortuny* ma do powiedzenia na ten temat? – zapytał Alec, zmieniając kanały. – Nie, nie, Vanna jest ponad takie troski.

Louis aż się trząśł. Nie rozumiał, dlaczego Libby zwróciła się przeciwko niemu.

Alec rozparł się wygodnie na sofie, żeby chłonąć promienie *Koła Fortuny*.

– Libby – stwierdził – to nieszczęśliwa osoba. Wybaczysz jej, prawda? Bez męża wychowała dwie córki. Ten człowiek był nic niewart. Wrócił do niej, kiedy starsza dziewczynka miała dwa lata, a potem znowu ją zostawił. Ma ciężkie życie, Louisie. Dwa razy popełniła błąd. Raz można, ale dwa razy... Trudno z tym żyć.

– Ale ona cię sprzedaje – stwierdził Louis.

Alec wzruszył ramionami.

– Jestem jej winny zaległą wypłatę, a ona jest ambitna. Powinna pójść do college’u, ale miała dzieci. Boli ją teraz, kiedy widzi, jak dziewczyny dokonują aborcji. Wybacz jej.

Louis pokręcił głową. Wyszedł na zalany światłem zmierzchu parking.

– Posłuchaj, Libby... – odezwał się. Wsiadała do samochodu. – Libby! – powtórzył, ale zamknęła drzwi. Patrzył za nią, kiedy odjeżdżała.

Być może to prawda, że zrozumieć znaczy wybaczyć, ale Louis miał dość rozumienia. Wyglądało na to, że prawie wszystkie znane mu osoby mają uzasadnione powody, żeby nie być wobec niego miłym i uprzejmym, i chociaż wiedział, dlaczego tak się dzieje, trudno było uznać to za sprawiedliwe, że to zawsze on, a nigdy inni, musiał rozumieć i wybaczać. Jakby świat był urządzony w ten sposób, że nieszczęśliwym ludziom, którzy robili rzeczy podłe – wykorzystywane dziecko, które następnie wykorzystuje inne dzieci, skrzywdzona Libby, która krzywdziła Louisa i Aleca – zawsze można wybaczyć, ponieważ nic nie mogli poradzić na to, co robią, podczas gdy ci nieszczęśliwi ludzie, którzy przez cały czas wzbraniali się przed robieniem rzeczy podłych, byli coraz bardziej krzywdzeni przez podłość tych pierwszych, aż w końcu ich krzywda była tak wielka, że również oni przestawali przejmować się tym, co robią innym ludziom – i tak koło się zamykało.



– Dlaczego nie odzywa się pani do mnie? – zapytał MaryAnn Bowles tydzień po zeszłorocznej Wielkanocy. W oparach octu marynowała buraki.

– Jestem zdumiona, że o to pytasz – odparła.

– Och, mam swoją teorię. Ale chciałem się upewnić.

Wbiła widelce w fioletowy kawałek buraka.

– Cóż, Louisie – powiedziała. – Nie chcę cię obwiniać. Ale chyba wiesz, że jestem bardzo, bardzo zraniona tym, co się stało. Jestem bardzo, bardzo, bardzo zraniona. – Gardło jej się ścisnęło, a twarz pokryła zmarszczkami na dźwięk własnych słów. – Mogę tylko powiedzieć, że to nie ma nic wspólnego z tobą. To ona starała się mnie zranić. I chyba sam widzisz – te słowa wciąż bardzo ją poruszały – że świetnie jej się to udało.

Louis gardził tą kobietą. Nie znosił jej wypudrowanej twarzy, jej ciężkich piersi, jej obnażonej boleści. A im bardziej jej nie znosił, tym bardziej ulegał wrażeniu – zwiewnemu wrażeniu, z dodatkiem kofeiny – że Lauren rzeczywiście uwiodła go na podłodze jego pokoju. Wcale nie pragnął wyjaśnić nieporozumienia. Stał się złym synem, żyjącym na kanapkach z masłem orzechowym i przekąskach na przyjęciach, wpadającym do mieszkań ludzi poza kampusem i wracającym na Dryden Street, tylko kiedy potrzebował się przespać dwanaście godzin. Bowlesowie nie protestowali – już go nie lubili.

Po egzaminach końcowych przeniósł się do dwupokojowego mieszkania w biednej murzyńskiej

dzielnicy niedaleko Holman Street i zaczął pracę w stacji KILT-FM, gdzie w godzinach szczytu siedział przy konsolce, a w pozostałym czasie uderzał w klawisze. Dzień po rozdaniu dyplomów po raz ostatni wrócił na Dryden Street, żeby zabrać swoje książki. Odkładał tę wycieczkę, licząc, że spotka Lauren, i w nagrodę zobaczył stojącego na podjeździe białego volkswagena garbusa, z literą U teksańskiej nalepki parkingowej na przedniej szybie.

Wszedł do cichego, klimatyzowanego i wypełnionego słońcem domu. Drzwi do pralni były uchylone, prawdopodobnie MaryAnn prasowała bieliznę. Na górze niemal minął pokój Lauren, tak bardzo się nie zmienił, odkąd widział go ostatnio. Ale dziś był tam dodatkowy element, kobieta w białej lekkiej sukience na ramiączkach, która siedziała po turecku na łóżku i czytała. Podniosła wzrok znad książki, mrużąc oczy przed rażącym ją słońcem. Przygotował się na wybuch drwin, ale ledwo Lauren go rozpoznała, na powrót opuściła głowę, zagryzając wargi i kierując gniewny wzrok na lekturę.

– Tak, niespodzianka – powiedział.

Na kolanach miała Biblię. Pochyliła się nad nią z determinacją i udawała, że ją czyta, wyraźnie licząc, że sobie pójdzie. Nie ruszał się jednak od drzwi.

– Myślałam, że już tu nie mieszkasz – mruknęła.

– Och, właśnie się wynoszę.

– Och, uhm. Szczęściarz.

Wyglądało to tak, jakby ktoś wyjął wtyczkę z tej naelektryzowanej kobiety, którą spotkał dwa miesiące temu. Bez makijażu i bez złośliwości jej twarz przypominała pustą kartkę. Miała włosy upięte klamerką, jak dziesięciolatka wystrojona do kościoła. Odezwała się do niego:

– Chcesz coś?

Wszedł do pokoju i zamknął drzwi.

– Mogę z tobą porozmawiać?

– Nie jesteś na mnie wściekły?

– Nie.

Jej głowa obniżyła się kilkanaście centymetrów.

– Myślałam, że będziesz. Musisz być chyba miły. – Wyciągnęła lewą rękę i rozłożyła palce, jakby je podziwiała. Wokół nadgarstka miała zawiązany kawałek cienkiego białego sznurka. – Widzisz, oddałam Emmettowi pierścionek. Emmett myślał o tobie przez cały czas. Podejrzewam, że chce cię zabić.

Louis bacznie jej się przyglądał.

– Tak naprawdę to kłamstwo – przyznała się, wciąż nie podnosząc wzroku. – Ale chyba nie miał o tobie zbyt dobrego zdania. O mnie zresztą też. A mnie się wydawało, że to wszystko było dość zabawne. Wiesz, co zrobiła MaryAnn? Stwierdziła, że potrzebuję pomocy psychologa. Powiedziałam jej tylko, że jest zazdrosna. Zachowywała się, jakby nie wiedziała, o co mi chodzi. –

Lauren wykrzywiła złośliwie usta.

– Co robisz tego lata? – spytał Louis.

– Nie wiem. Siedzę w domu. Staram się być miła.

– Możemy się spotkać?

Podniosła na niego wzrok, w którym dostrzegł coś na kształt przerażenia.

– Dlaczego chcesz się ze mną spotkać?

– A dlaczego ludzie chcą się spotykać?

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Bo powiedziałam Emmettowi, że z nikim nie będę się widywać. Pracuje u swojego taty w Beaumont.

– Czyli jesteś zaręczona, ale niezaręczona. Ciekawy układ.

Pokręciła głową.

– Chodzi o to, że byłam dla niego taka wredna. Jest naprawdę miły, wiesz, choć może nie tak inteligentny, jak ty.

– Tak, to coś innego. Skąd ci przyszło do głowy, że jestem inteligentny?

– No wiesz, spędziłam tu tylko całe ferie bożonarodzeniowe. Tylko z kilkaset razy słyszałam, jaki to jesteś inteligentny. I widzisz, jak zgrabnie nadstawiłam drugi policzek. – Urwała, jakby zastanawiała się nad własną historią. – Ale wiesz co? W tym semestrze dostałam z każdego przedmiotu przynajmniej dobry. I codziennie chodziłam pływać,

a w sobotnie wieczory się uczyłam. Przez cały drugi rok byłam warunkowo dopuszczona do udziału w zajęciach. Wyglądało to tak, że szłam do klasy i przez godzinę leżałam. Leżałam, leżałam, leżałam. – Ponownie podniosła oczy na Louisa, zauważyła jego niedowierzanie i spuściła wzrok. – No, w każdym razie próbuję czytać Biblię.

– Mam ci złożyć gratulacje?

– Nadal jestem w punkcie, w którym bardziej podoba mi się to uczucie, że siedzę tu i czytam, niż to, gdzie czytam. Przechodzę przez prawa, aż dojdę do praw płci. Karą zawsze jest śmierć przez ukamienowanie. To kara za sodomie. Sodomia jest miła! Ale dla Pana to obrzydlistwo.

Louis westchnął.

– A co to za nowy strój?

– O czym mówisz?

– Biała sukienka. To coś we włosach, jak u Shirley Temple.

– Coś nie tak?

– Coś nie tak? Nie, wszystko w porządku. To trochę... Nie obraż się, ale bierzesz jakieś leki?

Pokręciła głową i uśmiechnęła się nieprzekonywająco.

– Nie.

– Lit? Valium?

Te słowa do niej dotarły. Oczy jej pociemniały

i wyprostowała się.

– A co to za pytanie?

– Po prostu jesteś bardzo inna – odrzekł.

– Jestem taka, jaka chcę być. Może więc zostawisz mnie samą, dobra? Zjeżdżaj z mojego pokoju.

Ucieszony jej reakcją Louis już miał ją przeprosić, kiedy oberwał grzbietem Biblii. Oparł głowę o drzwi i złapał się za zranione ucho. Lauren zeskoczyła z łóżka, chwyciła obwisłą księgę za róg, jakby to był kawałek skóry, i z powrotem usiadła na łóżku.

– Nic ci się nie stało?

– Nic.

– Nie jestem dla ciebie zbyt miła, co? Chyba mam z tobą jakiś problem. Nie lubię cię czy co?

Roześmiał się smutno.

– Nie bierz tego do siebie. Na pewno miły z ciebie gość. Ale będzie lepiej, jeśli będziesz trzymał się ode mnie z dala, nie sądzisz? Żegnaj więc, dobra?

Louis poczuł się dokładnie tak, jak porzucany przygodny kochanek.

Ale później, kiedy już zawiózł książki do domu i wypił piwo, doszedł do wniosku, że jej zachowanie można było wytłumaczyć jedynie tym, że dostrzegła jego istnienie i żywiła do niego silne uczucie. Jego rozumowanie zyskało empiryczne potwierdzenie w następnym tygodniu, kiedy do niego zatelefonowała. I znowu doszło do ciekawego braku powiązania między chwilą obecną

a niedaleką przeszłością. Z miejsca zaczęła mu opowiadać, czym się właśnie zajmuje, a tym czymś było kilka zajęć semestru letniego, na jakie zapisała się na Uniwersytecie Houston. Chciała spędzić jeszcze jeden semestr w Austin, a potem uzyskać dyplom, więc wybrała zajęcia o Inkach i Majach oraz *Wprowadzenie do chemii*, to ostatnie dlatego, że z chemii w liceum miała ocenę niedostateczną i chciała teraz, w ramach pokuty, spróbować zmierzyć się z czymś naprawdę ciężkim. Nie pytała Louisa o jego życie, ale w pewnym momencie zrobiła na tyle długą przerwę, że zdążył zaproponować spotkanie. Nastąpiła cisza.

– Jasne – odpowiedziała. – Mnie to obojętne. Byle nie w moim domu.

Czekał przed budynkiem nauk fizycznych na Uniwersytecie Houston po jej pierwszym wykładzie z chemii. Na czworokątnym dziedzińcu prowadziło rozmowy tysiąc wilgowronów, a wśród wychodzących z budynku studentów pojawiła się istota z innej planety, jakiś dziwoląg. To była Lauren. Ścięła włosy i ogoliła głowę.

Piorunowała wzrokiem wszystkich studentów, którzy na nią spojrzeli. Jej głowa była mała i bardzo biała, niemal tak biała, jak jej sukienka, a sine półksiężycy pigmentu pod oczami wyglądały na jeszcze ciemniejsze. Napastliwym głosem zapytała Louisa, jak jego zdaniem wygląda.

– Jak piękna dziewczyna, która ogoliła głowę.

Odwróciła się, zniesmaczona.

– Sądzisz, że obchodzi mnie twoja opinia?

Kiedy szli razem na parking, niemal marzył, żeby jakiś mijający ich mężczyzna zachował się wobec niej niegrzecznie i żeby mógł mu przyłożyć. Wsiadli do jej garbusa, ale nie uruchomiła samochodu. Obracała głowę na wszystkie strony, jakby chciała poczuć jej nagość. Zaciśnięte na kierownicy kłykcie były białe.

– Nadal chcesz się ze mną przespać?

– Odkąd ujmujesz to w ten sposób?

– Tego chciałeś, prawda? Zrobię to, jeśli chcesz. Ale teraz.

– Chcę tego tylko pod warunkiem, że ty też tego chcesz.

– Chyba wiesz, że nigdy nie będę tego chciała, przenigdy. Więc to twoja szansa.

– W takim razie to chyba oznacza nie.

Skinęła głową, nie odrywając wzroku od przedniej szyby.

– Nie zapomnij o tym, dobrze? Miałeś swoją szansę.

W położonej na północ od Uniwersytetu Houston dzielnicy, niecałe dwa kilometry od centrum, mężczyzna w średnim wieku popijał na ganku piwo z litrowych butelek i słuchał hip-hopu, cicho grającego z dwudziestoletniego radia tranzystorowego. Pordzewiałe żółte, pomarańczowe i zielone półbuty



z dziurkowanymi noskami stały z podniesionymi maskami na podjazdach popularnych w południowych stanach wąskich, prostokątnych chałup, które przykucnęły w błotnistym piasku. Powietrze wczesnego wieczoru było nieruchome i przepełnione zapachem murzyńskich wiosek leżących na końcu żwirowych dróg głębokiej prowincji Missisipi.

W wietnamskiej restauracji, przy ulicy biegnącej od KOŚCIOŁA ŚWIĘTOŚCI pod wezwaniem Króla Chwały, Louis zamówił wieprzowinę z trawą cytrynową. Danie podano mu z lepкими, przezroczystymi naleśnikami ryżowymi, które po zawinięciu w nie mięsa, sałaty, mięty i kiełków fasoli osobliwie przypominały prezerwatywy. Lauren patrzyła na nie z ponurym rozbawieniem. Sama zamówiła kawę, której jednak nie piła. Odrywała górne części saszetek z cukrem i poruszała nimi tak, że zdawały się do niej mrugać. W końcu zapytała z pewnym ociąganiem:

– Co to jest elektron?

– Elektron? – Miał wrażenie, jakby wymieniła imię jego najlepszego przyjaciela. – Częstka elementarna atomu. To najmniejsza jednostka ujemnego ładunku elektrycznego.

– Och, dzięki. – Znowu była zniesmaczona. – Naprawdę bardzo mi pomogłeś. Słownik to ja m a m.

– Możesz też wyobrazić go sobie jako rodzaj teoretycznej struktury...

– Przepraszam, że spytałam. B a r d z o p r z e p r a s z a m. – Rozejrzała się wokół szalonym wzrokiem, jakby chciała wstać i odejść. – Co j e s t z tymi rzeczami? Wygląda to tak, jakby inteligentni ludzie nie uczyli się o nauce, tylko uczyli się, co robić, żeby mówić jak dupki.

– Czego nie rozumiesz? – cicho zapytał Louis.

– Nie rozumiem, c z y m to jest. Nie rozumiem, jak to w y g l ą d a. I p o c o to jest? – Kawa wylała się z odsuwanej filiżanki. – Nie potrafię nawet tego wytłumaczyć. Po prostu pomyślałam, że może mógłbyś mi trochę pomóc. To dla mnie bardzo trudne i wcale nie dlatego, że jestem taka głupia. Po prostu nie potrafię tak siedzieć i inteligentnie kiwać głową, jak wszyscy inni, kiedy profesor mówi o elektronach i protonach. Ja chcę to z r o z u m i e ć.

– Mogę ci pomóc to zrozumieć.

Uśmiechnęła się szyderczo.

– Nie wątpię.

– Jeśli chcesz, możemy się spotkać i o tym porozmawiać.

Opróżniła torebkę w poszukiwaniu papierosów, przez cały czas kręcąc głową.

– Po prostu miałam być sobą – powiedziała. – Miałam czytać i zamierzałam nauczyć się czegoś naprawdę dla mnie trudnego. A teraz ty chcesz się wtranzolić i opowiadać głodne kawałki.

– Tak, ale... kto do kogo zadzwonił? Kto właśnie zapytał, co to jest elektron?

– Byłam szczęśliwa. Myślałam, że ci na mnie zależy. Wpadłam na ten pomysł i chciałam komuś o tym powiedzieć. Ale ty robisz to tylko dla siebie. Pomyślisz sobie, że jestem ci coś winna. Pomyślisz, że możesz mnie objąć, a ja już przecież powiedziałam.

– Chcę się z tobą tylko spotykać. Tylko tyle.

Wypaliła jednym pociągnięciem piątą część papierosa i teraz wydawało się, że *exodus* dymu z jej nozdrzy nigdy się nie skończy.

– W porządku – powiedziała. – Jesteś miły, ciągle o tym zapominam. Ale pamiętaj, dobra? N i c z e g o nie będą ci winna.

W miarę jak dni stawały się cieplejsze, a noce dłuższe, Louis obserwował, jak włosy Lauren odrastają, sznurek na jej nadgarstku zaś szarzeje i robi się bardziej wyświecony. Nie wstydziła się prosić go o pomoc. Pewnego wieczoru spędziła prawie cztery godziny w jego kuchni, odmawiając zrozumienia, co to jest gramocząsteczka. Każde zdanie w jej podręczniku chemii było jak bęcwał, którym szczególnie gardziła, i urażało jej dumę, kiedy musiała zadawać się z nim jako prawdziwym i dokładnym odzwierciedleniem fizycznej rzeczywistości. Najbardziej jednak nienawidziła wyjaśnień Louisa. Nie chciała słyszeć o stronie sześćdziesiątej pierwszej lub stronie pięćdziesiątej

dziewiątej, jeśli jej problem znajdował się na stronie sześćdziesiątej. Twierdziła, że rozumie wszystko z wyjątkiem jednej rzeczy, której w tym momencie nie rozumiała. Chciała tylko, żeby jej o d p o w i e d z i a ł. Kiedy była najbardziej rozdrażniona, oskarżała go, że mówi jak jej ojciec. Ale na koniec zawsze dziękowała mu za pomoc, a w miarę jak lato przekwitało, uwierzył, że dostrzega, jak coraz trudniej przychodzi jej opuszczać jego mieszkanie bez dotknięcia jego dłoni czy pocałunku na pożegnanie. Musiała zagryzać wargi i brać nogi za pas.

Pewnego wieczoru pod koniec lipca spotkał się z nią pod laboratorium chemicznym, z którego docierała intensywna woń pikli, i natychmiast musiał rzucić się za nią w pogoń, chcąc dotrzymać jej kroku, gdy maszerowała do samochodu, a potem szarpnięciem otworzyła drzwi. Gdy dotarli do jego mieszkania, od razu zajęła się przetrząsaniem ogołoconych szafek w kuchni i otworzyła butelkę ginu.

– Jesteś zdenerwowana – zaryzykował, stojąc w drzwiach do kuchni.

Beknęła efektownie i wypła szklankę wody.

– Mieliśmy dzisiaj wyprodukować aspirynę.

– Pamiętam, jak się produkuje aspirynę.

– Nie wątpię. Ale Błazen wymyślił mały konkurs. – Wytarła usta. – Każdy z nas dostał pewną ilość odczynników chemicznych i wszyscy mieliśmy ważyć

uzyskane produkty, wygrywał ten, kto uzyskał największą wagę. Po prostu w y g r y w a ł, rozumiesz, cokolwiek to znaczy. Nauczyciele, Louisie, wszystko organizują tak, żeby było bardzo dobre dla takich ludzi jak ty, a bardzo syfiaste dla wszystkich innych. Najlepsza osoba w y g r y w a, ludzie pośrodku nie wygrywają, a najgorsza osoba p r z e g r y w a. A tak się składa, że Jorryn i ja zawsze i tak kończymy ostatnie. Ale staramy się robić wszystko bardzo dokładnie z instrukcją, chociaż od razu wiemy, że będziemy najgorsze, bo po to tam jesteśmy. Tymczasem wszyscy przynoszą swoje aspiryny na bibule filtracyjnej, to taka grudka, wygląda jak przeżuty ziemniak. Potem to ważą, a Błazen zapisuje na tablicy nazwiska i procenty i w sali robi się coraz głośniej. Ludzie wydzierają się, rozumiesz, chodzi o różnicę pół procent: O-HO! O-HO! – Lauren bezlitośnie drwiła ze studentów. – I nadchodzi ten moment, kiedy masz schłodzić materiał i go przefiltrować, i już masz swoją aspirynę. No i my to robimy, Louisie. Zgodnie z instrukcją. I co się dzieje? To wszystko przechodzi przez bibułę. Zupełnie nic na niej nie zostaje. A potem mamy przesłuchanie inkwizycji, czyli co tym razem zrobiłyśmy ź l e? Wszyscy się na nas gapią, stoją tam, a Błazen czyta z mojego zeszytu. I nic nie może wymyślić! Pyta, czy przestrzegaliśmy wzrostu temperatury? A my na to: „Tak! Tak!”. I czy podrapaliśmy kolbę, żeby doprowadzić do krystalizacji? A my na to:

„Tak! Tak!”. I już myślę, że on nam powie, wszystko w porządku, powie nam, żebyśmy się nie martwiły. Bo ja już czuję się dosyć źle, chociaż Jorryn stoi sobie, trzymając tę swoją rękę jakoś tak, no wiesz: facet, to nie m ó j problem. – Lauren roześmiała się na myśl o Jorryn. – Ale wiesz, co zrobił? Wkurzył się jak diabli. Powiedział, że m u s i a ł y ś m y zrobić coś źle. Bo nie da się poskładać tych trzech rzeczy razem, podgrzać je i ochłodzić, żeby n i e u z y s k a ć a s p i r y n y. Na co Jorryn i ja wyrzucamy ręce w górę i mówimy: „Tak zrobiłyśmy! Tak zrobiłyśmy! A aspiryny nie ma! Po prostu się nie udało, tym razem się nie udało”. Ale Błazen zaczyna się już złościć i mówi: „Dostaniecie ocenę niedostateczną z tego laboratorium, chyba że powtórzycie doświadczenie i pokażecie mi przynajmniej trzy gramy aspiryny”. Mówi, że laboratorium będzie otwarte nawet do północy, jeśli tyle czasu nam to zajmie. No i Jorryn zaczyna kręcić głową, jakby mówiła: pierdolić t o – i wychodzi. Ale mnie się nawet nie chciało wyjść. Po prostu tam siedziałam, podczas gdy z przodu wszyscy pisali końcowe sprawozdania, zupełnie sama siedziałam przy stole laboratoryjnym, siedziałam z u p e ł n i e s a m a, u k a r a n a, bo nie uzyskałam a s p i r y n y. A ja zrobiłam wszystko zgodnie z instrukcją. Ale tam NIC NIE BYŁO.

Wspierając się obiema rękami na stoliku ze składanymi nogami w kuchni Louisa, Lauren zaczęła

krzyczeć głośniej, niż było to w ludzkiej mocy, tak przynajmniej mu się wydawało. Nabrzmiałe pięciolinie żalu wstrząsały jej piersią i wydobywały się przez usta. Głos był jej, taki jak zawsze, zanim stanie się słowami – prysznic czerwonego dźwięku. Louis objął Lauren i przytulił jej głowę. Mieściła mu się w dłoniach. Wydawało się, że nie była już niczym więcej, tylko tą krzyczącą głową. Nie miał pojęcia, dlaczego tak bardzo ją kocha, wiedział jedynie, że pragnie dostać się do jej żalu, w środek jej uszkodzonej jaźni, tak jak tego chciał od momentu, kiedy po raz pierwszy ją zobaczył. Ucałował jej szczeciniaste włosy i pocałował za uchem. Za tę bezczelność trzepnęła go tak mocno, że zgięły mu się okulary, a plastikowa podkładka rozcięła mu nos i zraniła kość.

Stał przez chwilę w miejscu, próbując wyprostować oprawki.

– Przepraszam, że cię uderzyłam – oświadczyła, wychodząc z jego łazienki z dłonią pełną papieru toaletowego. – Ale mówiłeś, że nie będziesz tego robił. To nie fair z twojej strony.

Wytarła nos.

O północy wciąż jeszcze oglądali telewizję w kuchni. Kiedy Lauren w końcu wyłączyła telewizor, nastąpiła wspaniała chwila, gdy nie wiedział, co się teraz wydarzy. Wydarzyło się tyle, że podniosła okno i powiedziała:

– Ochłodziło się.

Wyszli na spacer. Łagodny, wilgotny wiatr znad Zatoki Meksykańskiej przegnał lato na północ, przywracając panowanie kwietnia. Można było odnieść wrażenie, że to ten wiatr, a nie późna pora, opróżnił ulice i chodniki z wszystkiego poza goniącymi nimi liśćmi. Samochody, jeśli w ogóle się pojawiały, nie tyle przypominały pojazdy, co delikatnie załamujące się fale czy porywy wiatru; wilgoć wsysała je z powrotem w siebie, gdy tylko przejechały. W Houston, mieście, które przyjęło w swoje granice przyrodę, każdy skrawek ziemi mógł pachnieć jak plaża czy teren zalewowy. Louis uwielbiał te gęste zimozielone dęby wirginijskie, w których fioletowe samczyki i jasnobrażowe samiczki wilgowronów śpiewały nieodpowiedzialne piosenki i miauczały, jęczały, chichotały. Uwielbiał wiewiórki, wyglądające jak wiewiórki z Evanston, którym założono sztuczne długie uszy – to przebranie było tak oczywiste, że aż uwłaczające.

W Parku Hermanna wspięli się z Lauren na sztuczne wzgórze i okrążyli otoczone barierką sztuczne jezioro. Usiedli na biegnących przez łąkę miniaturowych torach kolejowych. Lauren zapaliła papierosa, budząc ze snu wilgowrona, który zaraz zaczął mówić językami.

- Louisie – odezwała się. – Naprawdę mnie kochasz?
- To podchwytliwe pytanie?
- Po prostu odpowiedz.
- Tak, naprawdę.



Skinęła głową.

– Dlatego, że to zrobiłam?

– Nie. Dlatego, że taka jesteś.

– Chcesz powiedzieć: taka, jaka rzekomo jestem. Myślisz, że jestem trochę jak ty. Ale tak nie jest. Jestem głupia.

– To bzdura.

– Ty idziesz na Uniwersytet Rice’a i dostajesz najlepsze oceny, a ja do Austin i z każdego przedmiotu mam poprawki. Ale nie jestem głupia. Jestem dokładnie taka sama jak ty.

– No tak.

Pokręciła głową.

– Bo jestem też sprytniejsza od ciebie. Nigdy tak naprawdę nikogo nie kochałam, więc nie mogę przykładać tak wielkiej wagi do miłości. A co, jeśli to nie pozwala ci zobaczyć, co jest dla mnie najlepsze? Emmett też mnie kocha, to jedno, i jego zdaniem w ogóle nie powinnam się z tobą widywać. Czyli miłość niekoniecznie mówi prawdę. Nikomu poza sobą nie mogę zaufać. A rzecz w tym, że funkcjonować można na dwa sposoby.

Podniosła się.

– Próbowałam wymyślić, jak to wytłumaczyć, żebym nawet we własnych oczach nie wyszła na dupę wołową. Bardzo chcę spróbować ci to wytłumaczyć, Louisie. Powiedzmy, że masz się uczyć do egzaminu, ale

powiedziałeś sobie: zanim wezmę się za naukę, obejrzę rundę meczu drużyny Cubsów.

Uśmiechnął się. To było trafne.

– I właśnie, są dwa sposoby. Albo wyłączysz telewizor po półtorej rundy, albo oglądasz cały mecz i potem czujesz się strasznie. Ale powiedzmy, że jesteś akurat bardzo nieszczęśliwy i naprawdę uwielbiasz baseball. A to oznacza, że alternatywa wygląda tak: albo oglądasz cały mecz, albo w ogóle go nie oglądasz. Ponieważ wiesz, że jesteś tak nieszczęśliwy, że jeśli tylko zaczniesz, to obejrzysz cały mecz. A b a r d z o t r u d n o w ogóle go nie włączyć. Skoro jesteś tak nieszczęśliwy, dlaczego nie mógłbyś obejrzeć meczu? Ale chyba sam wiesz, że jeśli chociaż przez pięć minut będziesz mocno starał się tego nie oglądać, poczujesz w sobie coś dobrego? I możesz sobie wyobrazić, że czułabym się naprawdę dobrze, gdybym zawsze potrafiła powiedzieć: nie. Ale nigdy tego nie potrafisz, bo jesteś tak nieszczęśliwy, że zawsze na koniec mówisz: a niech tam. Albo: jutro przestanę oglądać baseball. A następnego dnia jest to samo. Dlaczego nie umiem tego dobrze wytłumaczyć?

Sztywnymi palcami próbowała wydrzeć powietrzu istotę rzeczy.

– Bo widzisz, rezygnowanie z czegoś wydaje się takim a ł o f a j n e. Inni tego nie robią, dlaczego więc miałabym ja? Albo robią to wyłącznie jakieś paskudy i wydaje się, że rezygnują z czegoś tylko dlatego, bo

w ogóle tego nie lubili. Można odnieść wrażenie, że wszyscy ci naprawdę ciekawi i atrakcyjni ludzie po prostu robią, co chcą. Można odnieść wrażenie, że tak działa świat. A do tego, pamiętaj, bardzo trudno jest z czegoś zrezygnować. I dlatego kręcisz się dzisiaj w miejscu i wydaje ci się, jakby w rzeczywistości nie było dwóch sposobów, a tylko jeden. Może czasami masz jakąś iskierkę przeczucia, jak to jest być dobrym człowiekiem. Ale to, CO JARZY SIĘ WIELKIM ŚWIATŁEM, po prostu nie wydaje się realną możliwością. W przeszłości zdarzało mi się robić coś dobrego, ponieważ podobało mi się, jak się wtedy czułam, ale potem pozostała część mnie po prostu chciała

w y k o r z y s t a ć to dobre samopoczucie jako przyzwolenie na to, żeby się zmarnować. Jakby uczucie czystości było tylko jeszcze jednym przydatnym wrażeniem, tak samo jak bycie pijanym czy posiadanie pieniędzy. Ale wiesz co? Wiesz, o czym pomyślałam pewnego dnia? To było przed Bożym Narodzeniem, byłam z tymi przypadkowymi chłopakami w Austin i zamiast w ogóle nie pić tego dnia, jak sobie obiecałam poprzedniego wieczoru, napiłam się do obiadu ginu Seagram's. I wtedy przyszło mi na myśl: można było tego dnia nie pić ani się nie pieprzyć czy nawet nie palić, w dosłownym znaczeniu tego słowa.

– Tak jak Nancy Reagan – odrzekł Louis. – Po prostu powiedzić nie.

Lauren pokręciła głową.

– To po prostu bzdury. I dlatego to wydaje się niby łatwe, ale nie ma trudniejszej rzeczy na świecie. Ale doszłam nie do tego, tylko do czegoś innego: musisz mieć wiarę. Nie rozumiałam tego nigdy wcześniej. Wiara to nie jakieś głupie figurki Buddy albo głupie witraże czy psalmy. Wiara jest w tobie! Jest biała i cieniutka, to c o ś, to c o ś... – Chwyła powietrze w dłoń. – Cud zrobienia czegoś tak niemożliwego... byłby tak piękny... byłby tak piękny. A nie potrafię tego wytłumaczyć, Louisie, ponieważ to jest tak cieniutkie, że tracę to z oczu. Chodzi o to, że nie potrzeba żadnej s z t u c z k i, żeby zrezygnować ze złych rzeczy. Nie ma żadnej m e t o d y. Nie można używać siły woli, bo nie wszyscy są nią obdarzeni, a to oznacza, że jeśli jej trochę masz, nie możesz przypisywać sobie zasługi, bo to tylko kwestia szczęścia. Jedynym sposobem, żeby t a k n a p r a w d ę z czegoś zrezygnować, jest poczuć, jak zupełnie jest to niemożliwe, a potem mieć nadzieję. Poczuć, jak byłoby pięknie, jak bardzo można by kochać B o g a, gdyby cud się wydarzył. Możesz więc wyobrazić sobie, jak bardzo byłam lubiana w zeszłym semestrze, bo wtedy... Hej! H e j! O cholera, Louis, nie odchodź ode mnie. O cholera...

Chodzenie polega na ciągu przerywanych upadków, ciało się pochyla, a nogi poruszają się, żeby je pochwycić. Lauren dogoniła Louisa w pogoni klapiących podszew

i ciężkich oddechów, zatrzymała się, po czym jeszcze podbiegła, bo nie stanął.

– Louisie, daj mi tylko skończyć...

– Już mniej więcej rozumiem.

– Och, i właśnie o to chodzi, o to chodzi. Ludzie nienawidzą cię, kiedy starasz się być dobry...

– Jasne, nienawiść, właśnie o to chodzi.

– Nie wiedziałam, że tak to się skończy. Myślałam, że możemy być przyjaciółmi. Louisie. Myślałam, że możemy być przyjaciółmi! I powiedziałaś, że nic nie będę ci winna! Dlaczego jestem taka głupia? Dlaczego ci to zrobiłam? Nie powinnam była do ciebie nigdy dzwonić, wszystko tylko bardzo pogorszyłam. Jestem taka g ł u p i a, taka g ł u p i a.

– Nawet w połowie nie tak głupia, jak ja.

– Ale ty też nie jesteś zbyt miły. Starasz się wzbudzić we mnie poczucie winy, żebyś zrobiła coś, czego n i e c h c ę z r o b i ć, ponieważ próbuję przestać się czuć jak szmata. Nie możemy po prostu stwierdzić, że miałeś pecha?

– Jasne, super.

– Następnym razem będziesz miał szczęście. Przysięgam, że będziesz je miał. Nikt nie jest taki popierniczony jak ja. – Płakała. – Jestem ś m i e c i e m. Nie jestem tego w a r t a.

Rzeczywiście, wydawało się niesprawiedliwe, że to właśnie Louis, który chciał jedynie z nią zostać, musiał

się zamknąć i odejść, że była w stosunku do niego tak obojętna, że musiał nawet sam się usunąć. W ramach ostatniego dobrego uczynku, wiedząc, że nigdy nie usłyszy za to słowa podziękowania, pozwolił jednak, żeby to ona miała ostatnie słowo. Pozwolił jej powiedzieć, że nie jest tego warta. Wyszli z parku i wkroczyli w lato, które przegrupowywało się równie szybko, jak dwie godziny wcześniej się wycofało, i ponownie połączyło w wilgotnej matrycy miliony odgłosów klimatyzatorów. Lauren wsiadła do samochodu i odjechała. W ciszy przedświt Louis jeszcze przez jakieś dwadzieścia sekund słyszał ćwierkanie silnika garbusa i zmieniane biegi, zanim dźwięki ucichły, ale już wtedy nie potrafił pojąć, że Lauren może funkcjonować bez niego, że zmienia biegi, wciska pedały samochodu i życia, w którym już go nie ma: że nie przestała tak po prostu istnieć, gdy odjechała i zniknęła mu z oczu.

W miarę jak dni mijały, a on chodził do pracy w studiu KILT i wracał do domu oglądać baseball, zdawał sobie sprawę, że każda upływająca mu godzina upływała też gdzieś jej; gdy dni zaczęły przechodzić w tygodnie, a on sobie uprzytomnił, jak godziny piętrzą się jedna na drugiej, coraz bardziej niewiarygodne zaczęło mu się wydawać to, że podczas tych setek godzin, milionów sekund nigdy do niego nie zadzwoniła.

Nadszedł październik, potem listopad, a on wciąż budził się rano, szukając jakiejś luki w logice swojej

powściągliwości, luki, która usprawiedliwiłaby jego telefon do Lauren. Pragnął jej straszliwie, był dla niej dobry – jak mogła go nie pragnąć? Odnosił wrażenie, jakby w materiale wszechświata pojawiło się rozdarcie, a on miał nieszczęście wypaść przez nie bez możliwości powrotu, bo gdyby nawet chciał teraz pokochać kogoś innego, nie byłby w stanie tego zrobić; jakby miłość, podobnie jak elektryczność, płynęła w stronę malejącego potencjału i zbliżenie do głębokiej obojętności Lauren sprawiło, że już na zawsze się uziemił.

Boże Narodzenie w Evanston było absurdalne. Eileen myślała, że jest informatykiem. Zaraz po powrocie do Houston nagrał taśmę demo i zaczął wysyłać listy do radiostacji. Nie przyszło mu do głowy nic innego, czym mógłby się zająć, ale właśnie wtedy, pośród poczty, która zebrała się pod jego nieobecność, znalazł zawiadomienie o ślubie. Jerome i MaryAnn Bowles oficjalnie dzielili się wiadomością, że w piątek po Święcie Dziękczynienia ich córka Lauren wyszła za Emmetta Andrew Osterlitzę z Beaumont, ponadto z tyłu karty nadawca dopisał niebieskim atramentem krótką informację: „Wesołych Świąt Bożego Narodzenia! Nie staraj się być kimś obcym. MaryAnn B.”.

Żeby dotrzeć do mieszkania Renée Seitchek, musiał przejechać ze wschodu na zachód Somerville. W słabnącym świetle minął bank wyglądający jak mauzoleum, szpital wyglądający jak bank, arsenał

wyglądający jak zamek i liceum wyglądające jak więzienie. Minął też salon kosmetyczny Panaché i ratusz w Somerville. Wśród spacerujących po chodnikach nastoletnich dziewczyn najbardziej rzucały się w oczy te z mocno kręconymi blond włosami, wysokimi czołami i czterdziestocentymetrową talią, a zaraz po nich te z nadwagą i w pastelowych lub czarnych dzianinach przypominających dziecięce pizamy. Dwa razy trąbiono z tyłu na Louisa, kiedy się zatrzymywał, żeby umożliwić zaskoczonym i podejrzliwym pieszym przejście przez ulicę.

Korzystając z ostatnich numerów „Globe’a”, zapoznał się z bieżącymi informacjami o tym, co robił i mówił pastor Philip Stites. Jego „działania” w Bostonie przyciągały setki zatroskanych obywateli z całego kraju, więc żeby zapewnić dach nad głową tym, którzy chcieli uczestniczyć w dalszych „działaniach”, pastor zakupił (za kwotę 146 001,75 dolarów) czterdziestoletni blok mieszkalny w miejscowości Chelsea, na północ od śródmieścia Bostonu, bezpośrednio po drugiej stronie rzeki, przy linii metra Wonderland. Tak się złożyło, że budynek, który Stites natychmiast ochrzcił mianem światowej siedziby swojego Kościoła Działań w Chrystusie, trzy lata wcześniej został przeznaczony do rozbiórki, więc wkrótce po tym, jak trzódka Stitesa wprowadziła się i wywiesiła z okien transparenty ABORCJA TO MORDERSTWO, policja z Chelsea złożyła tam



wizytę. Stites utrzymywał, że z miejsca nawrócił policjantów, później jednak zostało to zakwestionowane. W niejasnych okolicznościach osiągnięto kompromis, zgodnie z którym każdy wkraczający do budynku członek Kościoła musiał podpisać trzystronicowy dokument potwierdzający, że robi to na własną odpowiedzialność, by w ten sposób uchronić miasto przed pozwami sądowymi (w artykule wstępnym w „Globe” sugerowano, że burmistrz Chelsea fundamentalnie czy fundamentalistycznie popierał Stitesa). Przeznaczony do rozbiórki budynek charakteryzował się podobno niemal całkowitym brakiem stabilności poprzecznej i mógł się zawalić nawet bez pomocy trzęsienia ziemi.

– To, co stan skazuje na potępienie, Pan zbawi – powiedział Stites.

Zamieszczona w „Globe” karykatura przedstawiała kiosk z gazetami, w którym sprzedawano wyłącznie podejrzane deklaracje odstąpienia od odszkodowań.

Renée mieszkała przy wąskiej Pleasant Avenue, na położonym najdalej na wschód wzgórzu Somerville, w trzykondygnacyjny domu z elewacją z desek i mansardowym dachem krytym łupkiem. Stojące przed budynkiem ogrodzenie z siatki drucianej oplatały gałęzie rośliny wyglądającej na kapryfolium, a Louis minął już prawie furkę, gdy zobaczył Renée. Siedziała na betonowym ganku, pochylona do przodu, ze splecionymi dłońmi, i przyciskała do łydek rąbek staromodnej czarnej

sukienki. Głęboki dekolt z koronką był na wpół przykryty czarnym rozpinanym swetrem, który miała na sobie.

– Cześć – odezwał się Louis.

Przechyliła głowę na bok.

– Posłuchaj.

– Czego?

– Wiatru. Posłuchaj.

Louis nie słyszał żadnego wiatru. Nadszedł bluzgający muzyką chevrolet camaro, który uderzył go swoją dźwiękową pięścią w twarz, po czym zniknął za zakrętem. Louis spojrział w górę zastawionej zaparkowanymi samochodami ulicy, na której końcu, ponad połamanymi konarami przechylonych drzew, wciąż można było dostrzec na niebie nieco turkusowego i jasną gwiazdę, być może Wenus. Noc zapadła już w rozpościerających się przed nim ogródkach, małych i wypełnionych plastikowymi zabawkami, kolejnymi samochodami i ciemnymi stosami różnych przedmiotów. Wydawało się, że ta część Somerville znajduje się dalej od przedmieść i bliżej natury niż okolica Louisa. Drzewa były tu wyższe, domy w gorszym stanie, a spokój mniej życzliwy, bardziej natomiast nieufny i złowrogi.

– Och, dawaj – powiedziała Renée do opornego wiatru.

I nadleciał. Louis usłyszał go najpierw na samym końcu ulicy i zobaczył, jak tamtejsze gałęzie nagle mu się

opierają, a potem usłyszał, jak wiatr odbija się od pobliskich dachów i świszczę na pobliskich okapach i antenach, nadciągając jak jakiś specjalny i dyskretny posłaniec lub anioł. W końcu dotarł do niego, niewidzialna ręka postawiła Louisowi kołnierz i rozkołysała kapryfolium, zanim drzewa nie przechwyciły podmuchów i nie uniosły ich w górę, powodując, że stały się powszechne. Kiedy wiatr ucichł, pozostawił ulicę jakby bliższą niebu.

– Tak. To by było na tyle. – Renée wstała i trzepnęła ręką w siedzenie sukienki. – A gdzie twój strój?

– W kieszeni – odparł Louis. Ubrany był w krzykliwą tweedową marynarkę założoną na flanelową koszulę w kratę: od szyi w dół wyglądał jak Sycylińczyk. – A twój?

– Oto on.

– Jesteś w żałobie?

– Tak, zgadza się.

Ulicą nadciągnął ze świstem kolejny kwant wiatru i przyklepał Renée włosy, rozdzielając je ponad jej uchem. Była w niej jakaś nagość, coś, czego nie zakładała. Torebka, pomyślał Louis – ale chodziło o coś więcej. Znalazłszy się w jego samochodzie, nieco poluzowała pas bezpieczeństwa i odsunęła się od Louisa, wciskając się w zagłębienie między fotelem a szybą. Oparła dłonie na fotelu po obu stronach nóg; sprawiała wrażenie, jakby musiała bardzo się starać, żeby utrzymać ramiona wyprostowane, jakby pohamowywała chęć skulenia się

i skrzyżowania ramion na piersiach, jakby była w gabinecie lekarskim i siedziała nago na pokrytym papierowym obrusem stole, walcząc z tą przemożną chęcią. Ale teraz była oczywiście całkiem ubrana. Louis powiedział, że widział ją w telewizji.

– Naprawdę? – Uniosła powoli rękę, próbując oprzeć łokieć na wezglowiu kubelkowego fotela, ale był za wysoki. Jeszcze wolniej opuściła rękę z powrotem na siedzenie. – Okropnie było?

– Nie widziałaś?

– Nie mam telewizora.

– Dlaczego sądzisz, że było okropnie?

– Chodzi o to, że ten palant reporter zaczął mnie wypytywać, co sądzę na temat Philipa Stitesa. Rozumiem, że właśnie to umieścili w programie?

Jej głos, dziwnie pogodny na początku, przy słowach „palant” i „okropnie” stał się wręcz radosny.

– Kierownik mojego zakładu jest na urlopie w Kalifornii, a jeśli chodzi o dwóch innych sejsmologów, z którymi można porozmawiać, to jeden od lutego jest w szpitalu, a drugi to niezwykle człowiek: nigdy nie da się go złapać, chociaż mieszka na miejscu w Cambridge i cały czas pracuje. I kiedy zadzwonili z Kanału 4, żeby umówić się na *Punkt widzenia Harvardu* – powiedziała to wesołym tonem – okazało się, że będą rozmawiać ze mną. Oczywiście założyli, że rozmowa odbędzie się w konwencji nauka kontra religia, tylko że dla mnie

wówczas nie było to takie jasne. A do tego jestem kobietą, więc wrobili mnie na cacy. Nigdy wcześniej nie byłam przed kamerą. Nawet nie przeszło mi przez myśl, że nie muszę odpowiadać. Drugi sejsmolog, z którym rozmawiano, nie tylko faktycznie wiedział co nieco (w przeciwieństwie do mnie) o sejsmiczności Nowej Anglii, ale z tego, co słyszałam, był na tyle mądry, żeby nie dać się wciągnąć w rozmowę o Stitiesie.

– Ktoś musiał to powiedzieć – stwierdził Louis, wprowadzając samochód na autostradę międzystanową 93.

– To takie obrzydliwe. Ten cały pomysł Kościoła, który ma jeden jedyny cel, Kościoła Nienawidzenia Kobiet, co zazwyczaj dotyczy kobiet, które do niego wstąpiły. I oni wszyscy gnieźdzą się w tym bagnie w Chelsea, która, jak prawdopodobnie wiesz, sama jest swoistym bagnem. – Spuściła głowę i z szyderczym uśmiechem zadumy śledziła inne zmieniające pasy samochody, spoglądając na nie wrogo. Hondą zarzuciło wskutek silnego porywu wiatru i w światłach reflektorów zatańczyła linia sypanego na zimę piasku.

– Rozmawiałam jeszcze raz z twoją matką – powiedziała Renée, jakby chcąc zmienić temat.

Louis skoncentrował się na drodze. Grupa reflektorów wypełniła lusterko wsteczne i pojazdy zaczęły mijać go po prawej stronie; samochodem znowu zarzuciło na wietrze. Dopiero po chwili Renée się

zorientowała, że Louis nie zwrócił uwagi na jej słowa. Powoli, jednym palcem, wyciągnęła ciemny, szpiczasty kosmyk z włosów na skroni.

– Powiedziałam, że jeszcze raz rozmawiałam z twoją matką.

– Tak, nie mam nic do dodania.

– Och, rozumiem. – Skrzywiła się. – Zadzwoiła do mnie.

– Szukając profesjonalnej porady.

– Tak.

– Powinnaś wystawić jej rachunek. – Spojrzał przez ramię, naciskając pedał hamulca. Po prawej, poza jego polem widzenia, znajdował się samochód, samochody wyprzedzały go po lewej i zjeżdżały przed nim na jego pas, samochody tłoczyły się i jak lemingi spadały w dół zakrzywionego zjazdu z autostrady. Honda przejechała przez rondo i wjechała na Storrow Drive praktycznie bez jego udziału.

Renée zapytała, czy studiuje albo coś w tym stylu. Okazało się, że słyszała o stacji WSNE, a nawet od czasu do czasu jej słuchała. Stwierdziła, że przypomina jej radiostację studencką, która zagubiła się w paśmie AM.

– To właśnie my – potwierdził.

– Podoba ci się życie w Bostonie?

– Mam sąsiada, który ciągle mnie o to pyta. Dostyc żaloszny staruszek. Bardzo go ciekawi, czy podoba mi się Somerville. Stale mnie pyta, czy polubię to miejsce.

– I co mu mówisz?

– Mówię mu: „Pierdol się, dziadek”. Ha, ha!

– Ha, ha!

– A ty? – spytał Louis. – Tobie się podoba? Podoba ci się w Bostonie?

– Jasne. – Renée się uśmiechnęła, kontemplując ukrytą w tym ironię. – Właśnie tu zawsze chciałam mieszkać. Ogólnie na wschodnim wybrzeżu, a zwłaszcza w Bostonie.

– W czasach dzieciństwa w Waco?

– Dzieciństwa w Chicago. Dzieciństwa i wieku dojrzewania.

– A gdzie w Chicago?

– W Lake Forest.

– Aha, Lake F o r e s t. Lake F o r e s t. – Na te słowa odruchowo podniosło mu się ciśnienie. – Właśnie tam chciałem żyć, gdy w dzieciństwie mieszkałem w Evanston. Macie tam takie miejsce bezpośrednio nad jeziorem?

– Pochodzisz z Evanston?

– Pytałem, czy mieliście tam takie miejsce bezpośrednio nad jeziorem.

– Nie, nie mieliśmy.

– I to właśnie dla mnie życie jak w Madrycie. Jedno z tych miejsc bezpośrednio nad jeziorem. Miałaś jacht?

Renée skrzyżowała ramiona i nie otwierała ust. Towarzystwo Louisa wyraźnie przestało ją bawić.

– Rozmawialiśmy o Bostonie – powiedział.

Zmęczonym wzrokiem patrzyła za okno po swojej stronie. Chyba nie ze względu na towarzyskie usposobienie podjęła na nowo:

– Squantum. Mashpee. Peebiddy. Athol. Braintree. Swumpscutt. Quinzee.

– Słyszę, że masz jakiś problem z nazwami tych miejscowości.

– Wiem, to słabe. Ale jest w tym miejscu coś... jakiś chłód, jakaś brzydota. Chcę powiedzieć, że nie ma tygodnia, żeby nie doszło tu do jakiegoś niesamowicie wynaturzonego przestępstwa. I w jakiś dziwny sposób ci wszyscy ludzie, którzy uważają Boston za centrum kultury i edukacji, potrafią to ignorować. Widzą to urocze, łatwe do ogarnięcia i bezpieczne miasto, rozumiesz, które nie jest tak przerażające, jak Nowy Jork. Jest takie jak Nowy Jork, tyle że lepsze. Ale kiedy na nie patrzę, widzę jawny rasizm i zgniłą atmosferę, wysoką zachorowalność na raka, złych kierowców, port pełen ścieków, a do tego te wszystkie młode matki w saabach w Cambridge, takie uszczęśliwione, bo są w Cambridge. Sam powiedz, czy można nie czuć do tego odrazy?

Louis śmiał się na głos.

– Śmiejesz się – powiedziała Renée. – To oczywiście mój problem. Zawsze chciałam tu mieszkać. Ale wtedy zauważyłam, że przestałam lubić tę część siebie, która sprawiała, że to miejsce było dla mnie atrakcyjne, część,



która łączyła mnie z ludźmi naprawdę pragnącymi tu mieszkać. A fakt, że po sześciu latach wciąż tu jestem, stanowi jedynie koszarne przypomnienie czegoś o mnie samej, czegoś, o czym powinnam była zapomnieć sześć lat temu. Czuję się tak inkryminowana. Ludzie przyjeżdżają tu i przez kilka lat chłoną nowe doświadczenia, po czym przenoszą się do prawdziwych miejsc, a potem przez całe życie mówią o romantycznym czasie spędzonym w tym mieście, kiedy byli zbyt młodzi, żeby zauważyć, jak niewiele sobą prezentowało. Cały kraj nabiera się na ten obraz Bostonu jako miasta zabawy i załamujące jest to, że najbardziej daje się na to nabierać sam Boston. A po sześciu latach można założyć, że i ja dałam się na to nabrać.

– Dlaczego się stąd nie wyniesiesz?

– Wynoszę się, we wrześniu. Ale najpierw muszę skończyć doktorat.

Louis odczytywał numery domów na ulicy Marlborough.

– Poza tym bardziej nie cierpię idei tego miejsca niż samego miejsca. I na pewno nie mogę powiedzieć, że nie cierpię Somerville. Jest w tym coś przewrotnego. Jakiego numeru szukamy?

– Tego tutaj – odrzekł, wskazując na ceglany dom jednorodzinny w zabudowie szeregowej. Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że może mieć problemy z zaparkowaniem. Przez następnych dwadzieścia pięć

minut on i Renée osiem razy przejeżdżali obok domu Petera Stoorhuysa. Panował duży, wręcz nienormalny ruch uliczny, samochody sunęły w jakimś przeciwieństwie tańca cake-walk, skradając się po siatce ulic dzielnicy odnowionej stosownie do aspiracji klasy średniej; wszyscy tylko czekali, aż zwolni się jakieś miejsce. Louis zataczał kręgi, coraz bardziej oddalając się od domu Petera. Ignorował miejsca, które wydawały się zbyt odległe, a kiedy do nich wracał, zorientowawszy się, że są jednak coś warte, były zajęte (przypominało to uczenie się na własnych błędach, jak w odpowiednim momencie dokonywać zakupów na giełdzie). Próbował wjeżdżać tyłem tam, gdzie już na pierwszy rzut oka nie mógł się zmieścić. Deptał po pedale hamulca przed hydrantami, po czym wciskał gaz do dechy. Przejeżdżał na czerwonych światłach. A kiedy, bliżej dziesiątej niż dziewiątej, znalazł wolne miejsce jedną przecnicę od domu Petera, wzbudziło to w nim taką podejrzliwość, że o mało co tam nie zaparkował. Trzy jadące przed nim samochody minęły je z obojętnością wtajemniczonych. W tym miejscu nie widać było żadnego hydrantu, podjazdu czy też znaku TYLKO DLA MIESZKAŃCÓW i musiało się zwolnić dosłownie przed chwilą, a jednak nie wyglądało na ś w i e ż e. Wjechał tyłem, marszcząc nieufnie brwi, jak zrobiłby tygrys w lesie, natrafiając na surową wołowinę leżącą na arkuszu woskowanego papieru. Biodra miał mokre od potu spływającego mu

spod pach.

– Wygląda to na niezłą imprezę.

– Jest do dupy. Do dupy.

Pod drzwiami mieszkania na pierwszym piętrze założył kostium. Składał się z maski przeciwpylowej, którą Louis nosił w liceum podczas ścinania trawy w suchą pogodę. Wystawały z niej dwa wyglądające jak ryjki otwory wentylacyjne, do których wciąż jeszcze miał papierowe filtry.

– To bardzo... odpychające – stwierdziła Renée.

– Dziękuję.

Eileen podeszła do drzwi z butelką piwa w ręce. Upięła włosy i ubrała się w męski garnitur z podwójnie tkaney dzianiny w kratę oraz szeroki krawat w kolorze dyni. Miała zaczerwienione policzki.

– To ty, Louis? – Z tonu jej głosu można by wywnioskować, że Louis ma sześć lat. Niepewnie uśmiechnęła się do Renée.

– To moja siostra Eileen – sapnął Louis, pokazując na nią lewym ryjkiem. Renée sama dokończyła prezentacji, a Eileen zaczęła się zachowywać w sposób szalenie płytki, odpowiedni dla kobiety dwa razy od niej starszej. Kręciła się przy nowo przybyłych, tłumacząc im charakter przyjęcia i prezentując dostępne atrakcje. Louis zauważył, że Peter posiadał dokładnie taką samą sofę i niski stoliczek jak te, które stały w jej mieszkaniu. W zamkniętym wysokim sufitem salonie, niedawno

wyremontowanym, o czym świadczyła surowa podsufitka i gładkie ściany, mniej więcej połowa gości była w przebraniach. Główną nagrodę zdobył osobnik w kombinezonie z metalizowanej folii poliestrowej, z osłoną przeciwsłoneczną, hełmem i ze zwisającym systemem filtracji powietrza, kombinezonie tak kompletnym, że maska Louisa mogła się przy nim schować. Tę właśnie postać otaczała grupka młodzieńców w strojach weekendowych. Po uszczęśliwionych ruchach jego głowy można się było domyślić, że przyjmował od nich nieustanne gratulacje. To jej dobrzy koledzy ze szkoły, wytłumaczyła Eileen. Kolejny dobry szkolny kolega siedział przy wieży stereo, jedną ręką obejmował jej górny element, trzymając palce na potencjometrze, i kiwał głową w rytm brzękliwego reggae w tonacji dur. Drugą rękę miał na temblaku. Pośrodku pokoju stadko młodych kobiet, wszystkie z włosami podstrzyżonymi na modłę kierowniczą, podnosiło i opuszczało stopy w czymś w rodzaju półprzytomnego tańca, jaki wykonuje człowiek na zbyt rozgrzanym piasku. Niektóre miały bandaże na różnych częściach ciała, wszystkie zaś sukienki z obniżoną talią.

– Za kogo jesteś przebrana? – zapytał Louis Eileen.

– Nie potrafisz zgadnąć?

– Mały biznesmen z wielkimi stratami.

Obrzuciła go bolesnym spojrzeniem.

– Jestem rzeczoznawcą ą ą ą ą ą

u b e z p i e c z e n i o w y m! Chyba widzisz taśmę mierniczą, notes, kalkulator... – Urwała. Do złudzenia przypominała kota, który nagle zdał sobie sprawę, że ktoś na niego patrzy. Cofnęła nieco głowę, a jej spojrzenie biegało od Louisa do Renée; stali pół metra od siebie i bacznie jej się przyglądali. Jedno było pewne – nigdy nie widziała brata w damskim towarzystwie.

W głosie Renée pojawiła się dziwnie współczująca nuta:

– Co chciałaś powiedzieć?

– Nic, nic – zdenerwowała się Eileen. – Po prostu rzeczoznawca, rzeczoznawca ubezpieczeniowy. Mamy tu mnóstwo jedzenia. Częstujcie się.

Renée patrzyła na nią z jeszcze większym współczuciem, kiedy Eileen przeciskała się przez grupkę tańczących kobiet, a one, para za parą, zerkwały przez ramię na nowo przybyłych. Zanim zdążyli odważyć się zanurzyć głębiej w wir imprezy, wydarzyło się coś nieprzyjemnego.

Osobnik w stroju z folii poliestrowej zaczął kierować się ku nim, wykonując takie ruchy, jakby spacerował po księżycu. Próbowali nie zwracać na niego uwagi, ale stanął między nimi i przez lśniąca osłonę przeciwsłoneczną zaglądał Louisowi w twarz. Ten ostatni zobaczył zamaskowany, zbrązowiały obraz pełnego braku rozbawienia. Świta kolegów faceta w folii przyglądała się w napięciu i z zachwytem, gdy ten

starannie i wolno wykręcał kończyny i patrzył wprost na Renée. Dotknął głowy Louisa poskręcanyymi gumowymi palcami. Dotknął ucha Renée, a z jego otworów wentylacyjnych wydobywały się mechaniczne piski i trzaski. Koledzy parskali śmiechem. Louis się obawiał, że Renée przyłączy się do tych żartów, zareaguje jakoś „cudacznie”, ale jej twarz pozostała nieruchoma. Kiedy osobnik ponownie ośmielił się dotknąć głowy Louisa, ten złapał go za przegub dłoni, popatrzył z góry i ścisnął nadgarstek przez gumową rękawicę, aż z wnętrza osobliwego nakrycia głowy dobiegło go wycie z bólu.

– Cholera! – rzucił osobnik przytłumionym, oskarżycielskim tonem, cofając się w stronę kolegów. Jego kumple już się nie śmiali. Jeden czterdziestoletni dwudziestodwulatek w zielonych spodniach oddzielił się od grupy. Odezwał się do Louisa z przerażającą ojcowską dojrzałością:

– Mamy tu do czynienia z wypożyczonym strojem, stary.

– Mamy tu do czynienia z dupkiem. Stary.

– Tak, właśnie myślałem, że chodzi o ciebie.

Louis uśmiechnął się pod maską, z zadowoleniem tracąc nad sobą kontrolę.

– Ojej!

– Bądźmy rozsądni – wtrąciła się Renée. – To ten gość w kombinezonie zaczął.

Przeciwnik panował nad sobą na tyle, żeby

skomentować to bezosobowo:

– Niektórzy nie znają się chyba na żartach.

Zabiję cię, pomyślał Louis. Rozwalę ci ten pieprzony nos.

– Zgadza się – słodko odpowiedziała Renée. – Zupełnie nie znamy się na żartach.

Przeciwnik spojrział na Louisa, który zapraszająco wysunął głowę.

– Nie będę się z tobą bił – powiedział.

W tym momencie Louis zrozumiał, że przegrywa, a w zasadzie już przegrał.

– Piękne gacie – powiedział jeszcze ni w pięć, ni w dziewięć, kiedy nieprzyjaciel odchodził.

Eileen najwyraźniej nic z tego nie widziała. Tańczyła samotnie przy jednym z głośników, z tyłkiem zwróconym w stronę reszty pokoju, kołysząc tam i z powrotem trzymaną w ręce butelką piwa. Przypominało to zaszyfrowany taniec pszczelej robotnicy, taniec dobrych wieści, bardzo introwertyczny, a jednak bardzo publiczny: na północ, północny zachód są rośliny miododajne. Kiedy wraz z Renée mijali zabandażowane kobiety, Louis pomyślał, że bliscy znajomi prawdopodobnie uważają Eileen za wolną i ekscentryczną duszę.

– Czarujący facet – odezwała się Renée.

Louis pochylił bark i uderzył ją nim tak mocno, że musiała zrobić krok w bok, żeby nie stracić równowagi.

Wyraźnie jej się to nie spodobało.

Mieszkanie było ogromne. W pokoju za salonem były tylko trzy osoby, trzy niesamowicie piękne dziewczyny, trzy megadziewczyny, takie z długimi nogami, długimi ramionami i długimi włosami (w homeryckim świecie boga można było rozpoznać po niezwyklej urodzie i niezwyklej wzroście). Renée nagle zaczęła się zachowywać, jakby nie wiedziała, dokąd idzie, niemal cofnęła się do salonu. Najwyraźniej nie uszło jej uwagi, że jedna z megadziewczyn była w wyszukanej żałobie, w zestawie składającym się z jedwabnej chusty, zawadiackiego małego kapelusika i przezroczystego czarnego welonu. Dziewczyna zmierzyła wzrokiem Renée ze znikomym zainteresowaniem, po czym pogrążyła się w naradzie ze swoimi towarzyszkami, które systematycznie sięgały po jedzenie z dobrze zaopatrzonego stołu i wkładały je do swoich idealnych ust.

Ludzie w kuchni byli najwidoczniej znajomymi Petera. Błede ramiona bywalców klubów nocnych strzepywały popiół z papierosów w stronę różnych pojemników. Drinki unoszono do miejskich, przypominających palimpsest twarzy – hybrydy punka z yuppie, chochlikowate kobiety w strojach tematycznych, *Homo nautilus* w podkoszulku, z przylizanymi, zaczesanymi do tyłu włosami. Trzech mieszkańców Nowej Anglii, mężczyzn w średnim wieku



z wąsami, siedziało przy stole, popijając Jacka Daniel'sa, a sam Peter, w wyblakłym T-shircie z Blondie i czapce z daszkiem miejskiego policjanta z Bostonu, przysiadł na krawędzi zlewu. Głowa opadała mu na piersi.

– Dobrym przykładem – powiedział, z trudem ją unosząc – jest firma mojego staruszka, stara dobra Sweet-Andron Incorporated. – Zerknął w stronę drzwi. Przewrócił oczami na widok Louisa w masce przeciwpylej.

Louis mrugnął niewinnie. Renée podała mu wilgotną butelkę popular import, ale odmówił. Był niemal pewny, że stół i krzesła należały do Eileen.

– Przez pięćdziesiąt lat – ciągnął Peter, zwracając się do najwyraźniej zachwyconej publiczności – mieli swój drobny wkład w PNB i zupełnie nieprzypadkowo wyrabiali rzeczywiście jakieś podejrzone cuda ze środowiskiem. Mógłbym opowiedzieć wam o jednej czy dwóch sprawach, w które byście nie uwierzyli, powtarzam, nie uwierzylibyście. I nagle się okazuje, że jesteśmy w latach dziewięćdziesiątych, i to środowisko, które zawsze uważali za taką milutką igraszkę, którą mogą dymać na wszystkie strony, jak im się żywnie podoba, odwraca się i wyrządza trochę szkód na ich terenie w Lynn, a do tego tak podnosi temperaturę, że ceny ich akcji spadają, więc nie mają pewności, czy rzeczywiście powinni prowadzić działalność tego zakładu, z tymi wszystkimi paskudnymi produktami

ubocznymi, bo co zrobią, jeśli pewnego dnia to pęknie i szeroko się otworzy... – Peter z trudem łapał oddech. – I nagle niewiarygodne oburzenie! Matko Naturo, najdroższa Matko Naturo, cośmy ci zrobili, że zasłużyliśmy na coś takiego? Powiedziałem mojemu staremu: Hej, może sami się do tego przyczyniliście, a on nie potraktował mnie zbyt uprzejmie z powodu takiego punktu widzenia. Powiedział mi: Jesteśmy skarbem tego stanu. Nie kłamię, mówię wam: skarbem stanu Massachusetts.

W salonie podniósł się radosny hałas, kiedy w miejsce reggae pojawiło się nagranie piętnastoletniego Bruce'a Springsteena. Ktoś za plecami Louisa zapytał Petera donośnym, czystym głosem:

– O czym ty mówisz?

To była Renée. Peter zakolysał głową po pijanemu i uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: Co my tu mamy?

– O Sweeting-Aldren – jakaś kobieta w kasku i prześwitującej halce odpowiedziała za niego.

Usta Renée utworzyły słowo „och”.

– Zgadza się – powiedział Peter. – Firma, która obdarza nas wszystkich błogosławieństwem. Jesteśmy obdarzani owocami i warzywami, które nie mają brunatnych plam. Jesteśmy obdarzani nalepkami z ceną z trójkątem ostrzegawczym, drogowymi pacholkami z trójkątem ostrzegawczym, sportowymi skarpetami

z trójkątem ostrzegawczym. Jesteśmy obdarzani azjatyckimi dżunglami bez listowia. – Pstryknął palcami.

– A ty... jak się nazywasz?

– Renée. A ty?

– Renée. – Peter powtórzył jej imię tak, jakby się nim bawił. – Powiedz, Renée, kupiłaś w ostatnich dziesięciu latach jakiś strój kąpielowy? Spokojnie, mówię poważnie. Pewnie jakiś kupiłaś. I rozumiem, możesz się czuć urażona, dobra, ale da się powiedzieć z dużym prawdopodobieństwem, że wykonany był z takiego cudownego materiału, co to się nie marszczy i nie obwisa. Z czegoś, co nazywa się silcra.

– Spandex – powiedział jeździec apokalipsy.

– Silcra spandex – powiedział Peter. – Cudowny materiał na stroje kąpielowe. To kolejne błogosławieństwo Sweeting-Aldren. Rozumiesz, to właśnie mój ojciec ma na myśli, kiedy mówi, że są skarbem dla całego stanu. Nic nie zwisa, nic się nie kurczy. I mówię wam, naprawdę, trochę jestem nawalony, nie? W porządku?

Renée patrzyła na niego z absolutnie obojętną miną.

– Ale posłuchajcie – ciągnął Peter, zwracając się do wszystkich. – Mówię wam, że nie mogę się doczekać tego totalnego wybuchu, dziewięć w skali Richtera, tak że całą firmę szlag trafi. A do tego, och, kurczę... Właśnie coś mi zaczęło świtać... Zaraz wam... – Jego postarzała twarz rozjaśniła się blaskiem pomysłu, który stanął mu przed

oczami. – Właśnie zaświtała mi puściutka plaża po tym ostatecznym ciosie. Nie ma już silcry, nie ma kostiumów kąpielowych, nie ma budynków. Naga przyroda... Czaicie? Czy ktoś to czuje?

– Ja tak – odezwał się jeździec.

– Och, tak. Tak, naprawdę – stwierdził Peter.

– Ale pewnie są ubezpieczeni po ostatnie skarpetki, Peter – zauważył jeden z pijących whisky.

– Co? – Nagle Peter zaczął mówić dużo rozsądniej: – Nie, nie o tym mówię. Nie mówię o pieniądzach. To całe kierownictwo, jak mój ojciec, oni są w pełni chronieni, oni tego prawie nie odczuwają. Akcjonariusze tracą niewiele, to część tego, co mają, większe ryzyko, które się nie opłaciło, w każdym razie wszyscy mają podwójnie chronione tyłki. Mówię o sprawiedliwości w sensie poetyckim. Mówię o tym, jak obłudni są ci ludzie. Musicie mi uwierzyć, nie ma ludzi bardziej obłudnych niż ci, którzy pracują w przemyśle chemicznym. Oczywiście, są bogaci jak świnie, ale przecież nie dlatego się tym zajmują. Służą społeczeństwu. Zmieniają świat na lepszy. Robią te wszystkie sprytnie rzeczy, których natura sama nie potrafi. A kogo obchodzą miliony litrów toksycznych ścieków rocznie, jeśli w swojej bostońskiej sałacie nigdy nie znajdziecie robaczka? O tym mówię. I dlatego czekam tylko na ten ostateczny cios, żeby wcisnął im to całe gówno z powrotem do tyłków. – Peter odwrócił się do Louisa, który w szafce przy lodówce

odkrył właśnie naczynia Eileen. – Szukasz czegoś?

– Już znalazłem – odrzekł Louis. Chwycił Renée za ramię i odsunął ją z drogi. Wychodząc z kuchni, słyszał, jak Peter mówi:

– Ty, Renée, nie jesteś na mnie zła, co? Rozumiesz?

– Dlaczego miałabym być na ciebie zła?

– No, oczywiście. O co tu się złościć? Oczywiście!

Megadziwczyny gdzieś zniknęły, odeszły w poszukiwaniu nowych możliwości. Drzwi do łazienki były zamknięte, więc kiedy Louis nie znalazł Eileen w salonie, ulokował się przy stole z jedzeniem, zamierzając tam na nią zaczekać. Ściana nad stołem była przystrojona żółto-czarną taśmą z napisem WZBRONIONY POLICJA WSTĘP. Część jedzenia na stole raczej nie była przeznaczona do spożycia. Mapa obszaru metropolitalnego Bostonu była zamocowana do kawałka kartonu i udekorowana ustawionymi pionowo całymi białymi grzybami, a największe z nich – para bliźniaków syjamskich – wznosiła się ze śródmieścia. Był tam też talerz surowych warzyw, specjalnie wybranych ze względu na ich zniekształcenia: pomidory z przypominającymi jęczory guzami, rozszczepione marchewki, sękaty papryki. A także lukrowany placek ze zrobionym ze strużki mokki drutem kolczastym. Oraz kryształowa waza wypełniona ponczem w kolorze zużytego płynu do chłodnicy, z unoszącą się na wierzchu opalizującą warstewką i z samoprzylepną kartką

z napisem „Lubisz ściekowy poncz, spróbuj!!”. Ponadto miska herbatników z kawałkami czekolady, połamanych i usypanych jak stos gruzu, na których stał zabawkowy spychacz, a z okruchów wystawały ręce i głowy plastikowych ludzików. A do tego talerz z cynamonowymi ATOMOWYMI KULAMI OGNISTYMI.

Gdy tylko drzwi łazienki zaczęły się otwierać, Louis podszedł do nich szybko, by uniemożliwić Eileen ucieczkę. Nagle stanął twarzą w twarz z gościem w kombinezonie z folii.

Nieznajomy zamknął drzwi w obronnym odruchu. Louis skręcił za róg, gdzie znalazł dwie sypialnie i zamknięte drzwi do kolejnej łazienki. Na podłodze większej sypialni leżały pootwierane jak kanapki walizki. Na ratanowym koszu na bieliznę stała klatka Milтона Friedmana; padało na nią światło wpadające przez żaluzje z ulicy.

Louis zapukał do drzwi łazienki, słyszał charkot powietrza w otworach wentylacyjnych swej maski. Drzwi uchylły się nieznacznie i wyjrzała zza nich zaniepokojona Eileen.

– Mógłbyś mi pomóc? – Wpuściła go do środka i zamknęła drzwi. – Nie potrafię odetkać toalety.

– A masz przepychacz?

Skwapliwie wcisnęła mu narzędzie w dłoń. Końcówka jej krawata była mokra.

– Musisz dobrze uszczelnić – powiedział, napierając

na przepychacz przez mętną, zaróżowioną wodę. Wyglądało na to, że winien jest tampon. Eileen przyglądała mu się, stojąc ze splecionymi palcami, a kiedy woda nagle opadła, wydając tak dobrze znany dźwięk splukiwania, powiedziała:

– B a r d z o ci dziękuję.

Otworzyła drzwi. Chwycił za gałkę.

– Co? – zapytała, odsuwając się od niego.

– Czas pogadać.

Z zacięciem patrzył, jak nagle z jej zachowania znika cała dotychczasowa płytkość, jak odpada niczym skorupa wyschniętego kleju, a zza niej wyziera zmęczona, bezmyślna twarz. Spróbowała się uśmiechnąć.

– Dobrze się bawisz?

– Wiesz, do czego właśnie doszedłem? – Skrzyżował ramiona i oparł się plecami o drzwi. – Właśnie wymyśliłem, dlaczego nie odbierałaś ode mnie telefonów. Nie robiłaś tego, bo nie mieszkasz u siebie, tylko tu.

– Tak, Louisie – odparła zmienionym głosem. – Już nawet nie mam tamtego mieszkania. Moja automatyczna sekretarka jest tutaj. Kiedy ostatni raz dzwoniłeś?

– I nawet nie przyszło ci do głowy, żeby mi o tym powiedzieć.

– Wiedziałaś, że dzisiaj przyjdiesz, i pomyślałam, że powiem ci o tym przy tej okazji.

– Ale mi nie powiedziałaś. Musiałem sam o to

zapytać.

– Tak, musiałeś zapytać.

– Czyli co, mieszkasz teraz z nim?

Roześmiała się.

– Chyba tak.

– Chyba tak. Tylko śpisz z nim w tym samym łóżku.

– O tym chciałeś ze mną porozmawiać? W którym łóżku sypiam? – Zdjęła z wieszaka poskręcany ręcznik i zaczęła go składać i głaskać. – Mój mały braciszek chce ze mną porozmawiać o tym, z kim sypiam. Pewnie mu się wydaje, że od tego są bracia. – Odłożyła ręcznik na wieszak. – Możesz mnie wypuścić?

– Eileen, ten gość to żmija.

– Och, naprawdę? – Jej ton sięgał górnych zakresów odbieranych przez ludzkie ucho. – Mój narzeczony jest żmiją? To bardzo miło z twojej strony, Louisie. Jesteś bardzo troskliwy.

– Ach, n a r z e c z o n y, n a r z e c z o n y. – Nie potrafił zrozumieć, o co kobietom chodzi z tymi ich „narzeczonymi”. Posługiwały się tym słowem jak jakąś bronią; wyglądało to jakoś nienaturalnie. – Powinnaś była powiedzieć mi wcześniej, że jest księciem!

Sięgnęła do jego maski i ściągnęła mu ją pod brodę.

– Tyle w tobie nienawiści. Nigdy nawet nie dałeś mi szansy. Masz w sobie tyle nienawiści!

– To samo mówi mi mama.

– I taki jesteś opanowany. Zawsze masz jakąś



odpowieź.

– Czy to moja wina, że on jest żmiją?

– N i e j e s t ż a d n ą ż m i j ą. Jest bardzo, ale to bardzo bezradną i wrażliwą osobą.

– Która, kiedy ją ostatnio widziałem, rzucała dwuznaczne uwagi w kierunku mojej... w kierunku osoby, z którą przyszedłem na imprezę.

– Cóż, może ma mniej zahamowań niż ty. Może ma mniej zahamowań niż wszyscy w naszej rodzinie. Mówię poważnie, Louisie, znam Petera, a ty go nie znasz. Nie wiem, dlaczego uważasz, że możesz tak po prostu nazywać kogoś, na kim mi zależy... żmiją!

– Aha, „zależy ci”. Tobie na nim „zależy” i zamierzasz...

– JESTEŚ żmiją! JESTEŚ żmiją!

– Tobie na nim „zależy” i zamierzasz za niego wyjść. To się trzyma kupy, jestem pewien, że jemu też na tobie zależy, Eileen. Tak sobie tylko myślę, że może ktoś chce cię wyrolować. Pozwól, że zadam ci pytanie o tę małą nieruchomość: wynajmujecie ją czy jest wasza?

– To nie twoja sprawa.

Louis odrzucił głowę do tyłu i oparł ją o drzwi.

– Czyli faktycznie ci się udało. Tak długo ją nagabywałaś, aż nie mogła już tego znieść, złamała się i dała ci to, czego potrzebowałaś, żeby kupić ten dom. Zgadza się? Z g a d z a s i ę? Byłaś na tyle bezwzględna, że w końcu zmusiłaś ją, żeby wysupłała pieniądze,

których, jak sama mówi, nawet jeszcze nie ma. Zgadza się?

Patrzyła na niego z taką wściekłością, że był pewien, że zaraz go uderzy. Otworzyła jednak tylko szklaną kabinę prysznicową, weszła do niej i zamknęła za sobą drzwi. Jej głos odbijał się głuchym echem w kabinie:

– Nie wyjdę, dopóki się stąd nie wyniesiesz.

Przez chwilę sam był zbyt bliski płaczu, żeby cokolwiek odpowiedzieć. Chodziło o pieniądze, tylko o pieniądze. Pomyślał o transferze tych funduszy i poczuł w głowie ślup łez, wznoszący się z gardła do oczu. Niewyraźna sylwetka siostry za drzwiami kabiny prysznicowej opadła na kolana. Jej wilgotny, pusty płacz był jak jakieś odgłosy w rurach. Żałował, że w ogóle wyjechał z Houston.

– Co sobie o mnie myślisz? – zapytał ją, patrząc we własne oczy w lustrze. – Myślisz o mnie jak o wrogu? Myślisz o osobie, która cię zna i która się z tobą kiedyś bawiła? A może w ogóle tego nie robisz?

Eileen pociągała nosem i dyszała.

– On nie jest zmiłą.

– Tak, już nawet nie mam nic przeciw niemu. To znaczy, masz rację, nie znam go. Ale to i tak bez znaczenia. Już nie będę cię dręczył.

Zapłakała tylko w odpowiedzi. Już miał wyjść z łazienki, kiedy jego uwagę zwróciło coś w lustrze, coś, czego w zasadzie nawet nie zauważył. Odpiął

opuszczoną maskę i włożył ją do kieszeni. Twarz, którą teraz widział, była zarówno delikatniejsza, jak i starsza, bardziej zmysłowa niż ta, którą uważał za własną. Pomyślał sobie: *N i e w y g l ą d a m a ż t a k ź l e*. Z jakiegoś powodu ta myśl sprawiła, że serce i głowę zalał mu strach, strach, jaki się odczuwa, kiedy człowiek się zakochuje, kiedy trzeba ostro zakręcić, żeby na wąskiej drodze minąć drugi samochód, albo gdy ktoś przyłapuje cię na kłamstwie.

Renée stała w drzwiach kuchni, z plecami wygiętymi w lekki łuk, tak że jej kark i ramiona wspierały się o ościeżnicę. Trzymana przez nią butelka piwa była pusta. Kiedy pojawił się Louis, obdarzyła go słabym, ironicznym uśmiechem, jakby chcąc w ten sposób wyrazić zarówno swoje znużenie, jak i topniejącą wiarę, że jest w stanie je rozproszyć.

– Chcesz tu zostać? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie. A ty nie?

– Nie, ale jeśli chcesz, możesz zostać. Albo możemy pójść coś zjeść czy coś.

Żadna z propozycji chyba nie przypadła jej do gustu.

– Chodźmy – odrzekła.

Ostatnie, co widzieli na przyjęciu, to mężczyznę w kombinezonie z folii, który ku uciesze innych gości wykonywał taniec goryla.

Na dworze wszedł księżyc. Gładką srebrzystość

ulicy zakłócały pokrywy studzienek i futrzane resztki wiewiórek.

– Coś nie tak? – zapytała Renée.

– Tak, trochę się zebrało. Przede wszystkim przepraszam, że zaciągnąłem cię na tę imprezę.

– Nie musisz. To było ciekawe. Chociaż...

– Chociaż to straszne marnowanie powierzchni parkingowej.

W samochodzie starał się dzielić uwagę równo między drogę i milczącą pasażerkę. Im bardziej na niego nie patrzyła, tym bardziej się odwracał, żeby na nią spojrzeć. Jej zadarty nosek, blade policzki, jej cała trzydziestoletnia głowa, której najprawdziwszą częścią wydawał się prosty trójkąt ciemnych włosów pokryty pojedynczymi i wijącymi się białymi pasmami. Plamy pomarańczowego światła latarni ulicznych przebiegały po jej sukience, robiąc z niej pomarańczę, czarną w pomarańczowym kontekście.

– Masz piękne włosy – spróbował.

Gwałtownie poprawiła się na kubelkowym fotelu, zmieniając ułożenie nóg i ramion, jak osoba cierpiąca na skurcze żołądka.

– Cholera – powiedział – mniejsza o to. Ale naprawdę mi się podobają.

– Mnie też – odpowiedziała beznamyślnie, rzucając mu krótkie, uśmiechnięte spojrzenie.

Kiedy dotarli na Pleasant Avenue, zaciągnął hamulec

i wyłączył silnik. Renée wpatrywała się przenikliwie w tylną szybę stojącego przed nimi samochodu, w jego skorodowaną chromowaną ramę i kalkomanie z celtyckim wzorem. Na chodniku na lewo od Louisa leżała, odwrócona drzwiczkami piekarnika do góry, upstrzona gwiazdkami guana czerwono-brunatna kuchenka.

– Ta impreza nieźle cię przygnębiła, prawda?

Poryw wiatru zakołysał samochodem.

– Miałam cię zapytać – odezwała się, ignorując jego pytanie – czy twoim zdaniem to prawda, co ten facet mówił o Sweeting-Aldren. O tych milionach litrów ścieków co rok.

– Prawie nie słuchałem.

– Bo to nijak się ma do tego, co piszą w gazetach. W gazetach nie ma na ten temat ani słowa.

– Moja siostra chce wyjść za tego faceta.

– To jej chłopak? – Kolejny podmuch zakołysał samochodem. – Nie wiedziałam.

– Na dobre i na złe.

– Powiem szczerze, że nawet trochę przypadł mi do gustu. Może nie wybrałabym go sobie za szwagra, ale nie jest głupi. Taki typ.

Louis nachylił się nad hamulcem ręcznym i ją pocałował.

Wpuściła go wprost do ciepłego przedsionka swoich ust. Podróż od emaliowanej bruzdy między jej przednimi

zębami do dowolnego z elastycznych ślepych zaułków, do których ciągnęły się jej wargi, mogła trwać minutę; podróż w dół jej gardła zajęłaby godzinę. Chwycił jej włosy w garść, ustami przyciskając jej głowę do fotela.

Na ulicy pojawiły się światła reflektorów. Odsunęła się, przyglądając wzburzone włosy.

– Właśnie miałam powiedzieć, że nie znoszę wysiadania po samochodach.

W domu powitało ich ujadanie kilku wielkich psów w mieszkaniu na parterze.

– Doberman – powiedziała Renée. Powietrze było rozgrzane i trąciło psami. Na podeście pierwszego piętra było już świeższe, a kiedy Renée się zatrzymała, żeby zabrać klucz z parapetu, Louis ponownie ją pocałował, przyciskając plecami do ściany pokrytej papierem o zapachu sklepu z używanymi książkami. Ujadanie na dole przycichło, przechodząc w sfrustrowane zgrzytanie zębami, a ona próbowała oderwać się od Louisa, chociaż jej usta nadal naciskały na jego wargi. Nagle usłyszeli płacz małego dziecka, brzmiał, jakby dochodził zza drzwi obok nich. Wspięli się po bardziej stromych schodach do jej mieszkania.

Było puste i czyste. Na kuchennym blacie nie było nic poza radiomagnetofonem, na suszarce nic poza talerzem, szklanką, nożem i widelcem. Przez to, że światło było ciepłe, a cztery krzesła wokół stołu sprawiały wrażenie wygodnych, kuchnia stała się jeszcze

bardziej niegościnna. Wyglądała jak kuchnia jednego z tych ludzi, którzy starannie pozmywają naczynia po obiedzie i powycierają blaty, zanim pójdą do sypialni i strzelą sobie w łeb.

W dużym pokoju naprzeciw łazienki znajdowało się łóżko i biurko. W drugim dużym pokoju był fotel i półki z książkami oraz wiele metrów kwadratowych jasnych desek podłogowych. Kiedy Renée wyszła z łazienki, stanęła z dłońmi splecionymi za plecami, tyłem do stolarki, między drzwiami prowadzącymi do pokoi i przodem do kuchni.

– Zjesz coś czy chcesz coś do picia?

– Miłe miejsce – odezwał się Louis w tym samym momencie.

– Wcześniej mieszkałam z koleżanką.

Kiedy szedł do łazienki, Renée się nie poruszyła, nie odchyliła się nawet minimalnie. Starał się stawiać stopy jak najciszej. Czuł się intruzem w tym otoczeniu, jakby nawet głośne kroki mogły zburzyć panujący tu porządek. (Czyż nie jest tak, że kiedy śledczy przyjeżdżają na miejsce zbrodni, często dopiero po kilku pełnych szacunku i skupienia chwilach zwracają uwagę na leżące na podłodze ciało?) Lampa na biurku była włączona i świeciła na stos składanego w harmonijkę papieru komputerowego o wymiarach jednaście na siedemnaście cali, z widocznym na górnym arkuszu poprawianym czarnym tuszem programem w języku

Fortran (tak, do chwili popełnienia przestępstwa praca była w toku, to był zwyczajny wieczór...). Nad biurkiem wisiała batymetryczna mapa południowo-zachodniego Pacyfiku. Usiana była tysiącami różnobarwnych kropek, wiele z nich pogrupowanych w gęstych, wydłużonych chmarach, jak kolumny mrówek wędrownych; pod nimi, jak barwy wojenne, na oceanie znajdowały się kolczaste odcinki. Nadal ostrożnie stawiając kroki, podobnie jak wówczas, gdy po raz pierwszy wchodził do salonu Rity Kernaghan, Louis wrócił do kuchni. Renée wciąż stała z rękami za plecami. Patrzyła prosto przed siebie, mogłaby być misjonarką na stosie, stojącą ze związanymi rękami, niemogącą przykryć swej nagości, niemogącą się przeżegnać czy osłonić twarzy przed płomieniami, które wkrótce miały wybuchnąć. Wzdrygnęła się jednak zauważalnie, kiedy Louis dotknął jej ramion (nawet najwięksi święci musieli się wzdrygnąć, kiedy pierwsze płomienie zaczynały lizać ich skórę), i chociaż pamiętał, jak całowała go na podeście, zaskoczyło go jej spojrzenie, pełne nieskrywanego pożądania.

Wiatr świszczwał po mansardowych oknach w sypialni. Narastał i nie słabł, pożerając coraz większe połacie dachu, wyszukując kolejne drewniane belki w domu, które mógłby wyginać, kolejne szyby, którymi mógłby dzwonić, i kolejne ściany, na których mógłby się oprzeć. Zdawał się wykonywać pracę za Louisa, kiedy on odchyłał i unosił dwie strony swetra Renée, który zsunął się



z łatwością z jej ramion i spadając na podłogę, uwolnił jej rękę. Objęła mu szyję przegubami dłoni.

Było jeszcze ciemno, kiedy się obudził. Doktor Renée Seitchek, której wewnętrzna anatomia, jak sobie wyobrażał, ze względu na żywiołowość, z jaką się połączyli, musiała się poprzestawiać i której ręce okazały się nie mniej wymowne niż cała reszta jej ciała w pokazywaniu jego własnym dłoniom, jak najlepiej przynieść jej spełnienia, których w przeciwnym razie nie potrafiłby zapewnić (podał mu się ten cichy, zlany potem i opętany sposób, w jaki szczytowała), leżała teraz obok niego i spała głęboko, wyglądając, jakby ją ogłuszono. Jej ramiona pokrywały nieliczne gromadki piegów. Przez szczelinę między roletą a ramą okienną Louis widział kołyszące się na wietrze konary drzewa, oświetlone od dołu przez latarnię i spowite wokół czernią. Ten wiatr dzisiejszej nocy, powiedziała mu w chwili ciszy, przypominał jej o trzęsieniu ziemi, które widziała kiedyś w górach. Wraz z grupą licealistów wędrowała po Sierra Nevada.

– I nagle coś zaczęło się dziać na wschodzie. Widoczność była na jakieś siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt kilometrów, a przypominało to moment, kiedy stoisz nad idealnie spokojnym jeziorem i słyszysz, że nadciąga wiatr, tak jak było dzisiaj na ulicy, i widzisz, jak jego pierwsze uderzenie marszczy wodę. Dokładnie tak to wyglądało. To c o ś, ta wyraźnie widoczna,

przetaczająca się fala, nadciągało przez góry i nagle znaleźliśmy się w środku tego. Wyraźnie wiedzieliśmy, że w tym jesteśmy, bo pojawiły się niewielkie lawiny kamieni i ziemia się trzęsła. Ale różniło się to od innych wstrząsów, które odczuwałam, bo wtedy miało to też związek z tym, co widzę.

W rzeczywistości widziała tę falę, którą czuli. Nie nadeszła znikąd. Nie przypominała niczego na całej Bożej ziemi. A wtedy on chciał ponownie w z i ą ć p o s i ą ć m i e ć w z i ą ć p o s i ą ć p o s i ą ć t o ciało, w którym mieszkały owe wspomnienia.

Na budziku była za dwadzieścia czwarta. Wymknął się z łóżka i poszedł do łazienki. Kiedy wrócił, Renée klęczała na środku łóżka. Powiedział „Cześć”, a ona wycofała się na koniec łóżka, ciągnąc za sobą prześcieradło. Wyglądała na przerażoną.

– Co się dzieje?

Wyszła tyłem z łóżka i uciekła w najdalszy kąt pokoju, z jedną ręką lekko uniesioną, jakby go odganiała. Gdy stała, ujawniła się cała złożoność jej nagości, potrzeba połączenia nóg z tułowiem, osobliwa wąskość kobiecej talii, dużo delikatniejsze od bioder ramiona, oddzielne i wymagające uwagi kobiece piersi.

– Nie mam tego – powiedziała do niego podniesionym głosem, który wcale nie był serdeczny ani radosny.

Ledwo zauważył erekcję, która szybko i na jej oczach

na powrót się u niego pojawiła.

– Coś ci się śni – powiedział.

– Zostaw mnie w SPOKOJU. Zostaw mnie w SPOKOJU.

– Ciii-ciii-ciii. – Usiadł na łóżku, pokazując jej puste dłonie. Wyglądało na to, że to jeszcze bardziej ją przstraszyło. Nie spuszczać z niego wzroku, przesuwała się wzdłuż ściany. Następnie rzuciła się do drzwi, ale już w biegu zakręciła w jego stronę, wyciągając przed siebie ręce, jakby zaraz miała upaść, a on zobaczył, że zanim do niego dotarła, przebijała się jakby przez tafłę szkła czy jakąś podobną przecinającą rzeczywistość powierzchnię. Złapała go za ramiona i powiedziała:

– Och, miałam taki straszny sen.

Dom chwiał się na wietrze. Usiadła Louisowi na kolanach i pozwoliła się objąć. Spomiędzy nich wznosiły się silne opary o niskim pH. Spróbował ponownie wsunąć w nią penisa.

Chwyciła go kurczowo za ramiona, ból znaczył smugi na jej twarzy.

– To trochę za dużo.

– Przepraszam.

– Nie boli cię?

– A jak myślisz?

– Och, w takim razie w porządku. – Naparła całym swym ciężarem, żeby nabić się na niego. Czuł, jak nerwy w nim krzyczą: „Boli! boli!”. Gniewnie zakółysała

biodrami. – Boli?

– Tak!

Po chwili ból rozlał się w wielką strefę bóleści, kałużę rozpuszczonej siarki z migoczącymi po powierzchni niewielkimi błękitnymi płomieniami przyjemności. Zaraz potem płomienie przerzedziły się i zupełnie zniknęły, a siarka zaczęła się krystalizować w kolumnę składającą się z twardych, suchych, ostrych kawałków. Miał wrażenie, że ociera się o złamaną kość. Oczy i policzki Renée były mokre, ale nie wydała z siebie nawet jednego dźwięku.

Kiedy skończyli, krwawił na tyle mocno, żeby zostawić ślady na prześcieradle. Renée usiadła na krawędzi łóżka i kołysała się ze ściśniętymi kolanami. Uznał, że od tego nie umrze, przynajmniej przez kilka dobrych lat.

## 5.

Pojechał do domu z piramidą na szczycie. Trawnik przed budynkiem miał teraz kolor metalizowanej zieleni, a trawa drżała, jakby pod wpływem uderzenia przyплиwu, potężnego napływu niewidzialnej materii związanej z efektownymi błędami światła, które mieszało kolory, rzucając nieco czerni pni drzew na błękitne niebo i nieco bieli obłoków na drzewa. Dla osoby, która nie przespalała nocy, nowy dzień wydaje się dziwny i wypełniony złymi przeczuciami, dlatego że zachodzące słońce jest na wschodzie i nie zachodzi; przez cały dzień światło przypomina światło we śnie, docierające ze wszystkich kierunków, a nie z jednego, konkretnego.

– Boże, Louisie – powiedziała Melanie, trzymając przy piersi poły szlafroka i wyzierając zza nowego mosiężnego łańcucha u drzwi. – Jest dziewiąta. Jeszcze nawet nie wstałam. Muszę zdążyć na samolot.

– Zdejmiesz łańcuch z drzwi?

– Nie zadzwoniłeś! Gdybyś przyjechał dwie godziny później...

– Zdejmiesz łańcuch?

Klawiatura systemu alarmowego była zainstalowana w holu. Ubytki w tynku w salonie i jadalni zostały uzupełnione, a książki i dekoracyjne przedmioty Rity Kernaghan, wraz z portretem ojca Melanie, ustąpiły miejsca bardziej typowemu przepychowi,

odpowiedniemu dla apartamentu w luksusowym hotelu: japońskim litografiom, firankom, złotym brokatom.

– Chciałam do ciebie zadzwonić – odezwała się Melanie. – Przyleciałam w czwartek i miałam tyle do zrobienia.

– Nie wątpię – odrzekł Louis. Wkroczył do salonu, wszedł na obitą jedwabiem sofę i zaczął chodzić po niej tam i z powrotem, wsłuchując się w brzęk obrazów wewnętrznych mebla.

– Louis! Na Boga!

Przeszedł na niski stoliczek. Jak wytrawny piłkarz wykonujący rzut karny posłał wazę z rżniętego szkła wprost do kominka.

– Jak rozumiem, rozdajesz dzieciom pieniądze – powiedział, ponownie wchodząc na sofę. – No to przyszedłem po moją część.

– Zejdź z tej sofy. Nie jest twoja.

– Myślisz, że traktowałbym tak własną sofę?

– Już ci mówiłam: nie zamierzam rozmawiać o pieniądzach. Jeśli chcesz porozmawiać o czymś innym, proszę bardzo, ale...

– Dwa miliony.

– ...ale nie o pieniądzach. Nigdy nie myślałam, że będę musiała...

– Dwa miliony.

Melanie przyłożyła dłoń do głowy, z tej strony, z której czasami odczuwała bóle.

– Ile dałaś Eileen?

– Nic, Louisie. Nic jej nie dałam.

– To skąd ma mieszkanie?

– Jest na kredyt.

– Aha, rozumiem. To może p o ż y c z y s z mi dwa miliony?

Melanie zakryła twarz dłonią, koniuszki dwóch palców przycisnęła do powiek.

– Już nigdy nie będę cię niepokoić, mamó. Obiecuję. Dwie bańki i jesteśmy kwita. Uważam, że to przyzwoity układ. A może nawet kiedyś ci je oddam.

– To zaczyna brzmieć jak kiepski żart.

– A kto niby żartuje? Potrzebuję pieniędzy. Muszę kupić stację radiową. Pomyślałem o dwóch milionach, ale za dwieście tysięcy też mógłbym zrobić wiele dobrego. Ustabilizowałbym swoją sytuację, dopóki nie przekazałaś mi reszty.

– O czym ty mówisz?

– Mówię o Philipie Stitesie. Na pewno o nim słyszałaś, to ten przeciwnik aborcji. Chcę sprezentować mu dwieście tysięcy dolarów. Tak po prostu, żeby wesprzeć jego sprawę, no wiesz. Odkąd zostaliśmy tak bogaci, zrobiłem się bardzo chrześcijański. Mamó, nie zdajesz sobie z tego sprawy, bo nigdy do mnie nie dzwonisz ani...

– Ty też do mnie nie dzwonisz!

– Och, a Eileen dzwoni i dlatego w nagrodę dostaje pieniądze? – Louis wszedł na oparcie sofy i przewrócił ją

do tyłu, zeskakując tuż przed głośnym upadkiem mebla. – Jak to jest, że tylko ty tego nie widzisz? Przecież dzwoni do ciebie tylko po to, żeby wyciągnąć pieniądze. Myślisz, że cokolwiek ją obchodzisz? Nienawidzi cię, dopóki nie dasz jej pieniędzy, a potem w nagrodę przestaje cię nienawidzić, dopóki nie zacznie potrzebować kolejnych pieniędzy. Nigdy tego nie zauważyłaś? To się nazywa być rozpuszczonym.

Matka się odwróciła, jakby nie interesowała ją ta rozmowa. Chyba nawet ją samą zaskoczyło nagle silne drżenie, które spowodowało, że zaczęła dygotać na całym ciele, a na twarzy pojawiły jej się łzy. Zaczęła kaszleć, jakby tłumiła szloch. Louis miałby dla niej może więcej współczucia, gdyby nie wyczuwał, że zarówno u niej, jak i u Eileen łzy zawsze pojawiały się jego kosztem, i gdyby nie podejrzewał, że pod jego nieobecność obie były w zasadzie szczęśliwe.

– Staram się wyświadczyć ci prawdziwą przysługę – powiedział. – Tylko pomyśl: dajesz mi dwa miliony i do końca życia możesz uważać mnie za egoistycznego palanta. Już nigdy nie będziesz musiała znowu się obwiniać. Żadnych łez, żadnych wykrętów. A do tego nadal będziesz miała swoje dwadzieścia milionów, którymi będziesz mogła rozgrywać swoje gierki z Eileen.

Matka kręciła głową.

– Nic nie rozumiesz. Nic nie rozumiesz. Straciłam... – Jej ramionami zakołysał silny wstrząs wtórny. –



Straciłam... – Kolejny wstrząs wtórny. – Straciłam...

– Pieniądze?

Skinęła głową.

– Ile?

Pokręciła głową – nie potrafiła tego powiedzieć.

– Czyli straciłaś pieniądze. Niewiarygodne. Eileen przychodzi do ciebie na czas, żeby wyrwać z tego na mieszkanie, ale ja trochę się spóźniłem. Zdumiewające, jak to funkcjonuje.

Nadal dygocząc, Melanie rozsunęła firankę i wyjrzała na zabarwione fałszywym kolorem światło dnia, na zwiastujące piękną pogodę chmury muskające szczyt ostatniego wzgórza przed oceanem.

– Twoja prośba jest nierozsądna.

Ważył w dłoni kryształ z niskiego stolika.

– Chcesz powiedzieć, że to jej mieszkanie kosztowało zdecydowanie mniej niż dwieście tysięcy dolarów?

– Twoja prośba – powtórzyła – jest nierozsądna. Kiedy Eileen w czerwcu skończy studia, podejmie bardzo dobrą pracę w Bank of Boston. Będzie dużo zarabiała i zacznie mi spłacać odsetki od pożyczki. Chociaż to w zasadzie nie twoja sprawa, mówię o tym, żebyś zrozumiał. I dla niej, i dla mnie to mieszkanie własnościowe to bardzo rozsądna inwestycja. Trudno w ogóle porównywać waszą sytuację finansową.

– Oczywiście, jeśli przyjąć punkt widzenia banku. Ale jaka jest społeczna wartość tego, co ona robi,

w porównaniu z tym, czym ja się zajmuję? Ona będzie pomagać ludziom absurdalnie bogatym stać się absurdalnie bogatszymi. Sądzisz, że naprawdę potrzebuje pomocy? Ja próbuję uratować dobre radio przed jakimiś fanatykami.

– I jakże grzecznie potrafisz prosić. Chodząc po mojej sofie.

– Och, rozumiem. Sama byś do mnie przyszła, gdybym nie wszedł na twoją sofę.

Melanie odwróciła się na pięcie i spojrzała mu w twarz. Nieuczesane włosy zwisały z jej głowy jak kefija.

– Odpowiedź brzmi: nie, Louisie. Nie. Nie dam więcej pieniędzy nikomu, łącznie z Eileen. Możesz mnie znienawidzić, ale n i e m o g ę. Nie jestem w stanie. Rozumiesz? Proszę, nie pogarszaj sprawy.

Zostawiła go w miejscu, w którym uprzednio wisiał portret dziadka. Usłyszał, jak zamykają się drzwi na piętrze. Zakrył twarz dłońmi i wdychał zapach pochwy Renée Seitchek.

W poniedziałek rano Alec Bressler sprzedał stację WSNE-AM Kościołowi Działań w Chrystusie pastora Philipa Stitesa za kwotę nieujawnioną przez żadną ze stron. Chodziły jednak słuchy, że w związku z przygniatającymi długami stacji oscylowała ona wokół czterdziestu tysięcy dolarów.

Louis właśnie sprzątał biurko, kiedy w drzwiach stanął Stites i jego prawnicy, duet z wypielegnowanymi

paznokciami i skórzanymi twarzami, który się pojawił, żeby ocenić jego boks. Stites był mniej więcej wzrostu Louisa i najwyżej kilka lat starszy. Miał typową dla Południa ładną, puciołowatą twarz, proste, cieniuteńkie blond włosy małego dziecka i nosił okrągłe szylkretowe okulary. Ubrany był w spodnie khaki, niebieską marynarkę i zawiązany w prosty węzeł krawat w paski.

– Jak się masz? – odezwał się do Louisa z ciepłym akcentem z Karoliny.

– Nieźle jak na Antychrysta.

Młody pastor zachichotał życzliwie.

– Ty już zrezygnowałeś, prawda? – Wrócił na korytarz. – Cześć, Libby, masz chwilkę, żeby nas tu nieco oprowadzić? Pana Hambree’a już poznałeś. A to jest pan Niebling. Ta piękna dama nazywa się Libby Quinn.

Louis zdecydowanie nie chciał dzisiejszego ranka niepokoić Aleca, nawet gdyby oznaczało to, że nie dostanie pieniędzy za ostatnie dwa tygodnie pracy. Na szczęście dla jego finansów były właściciel sam do niego przyszedł. Trzymał w dłoni plik dwudziestodolarówek i energicznie odliczył dwadzieścia pięć banknotów.

– To więcej, niż jesteś mi winny.

– To prezent z opieki społecznej. Potrzebujesz rekomendację? Przysłę ci.

– Nie mogę uwierzyć, że do tego doszło.

– Tak, wiem. To zła rzecz dla ciebie. Potrzebujesz pracy. Ale tu decyduje wolny rynek: za mało słuchaczy.

Tymczasem ja emituję czterysta dwadzieścia pięć komentarzy redakcyjnych. Mam listy, które dowodzą, że ludzie nas słuchali. Może dzięki mnie choć jedna osoba zmieni zdanie. Osiem lat, żeby zmienić zdanie jednego człowieka. Ale ty nie możesz myśleć o wynikach. Robisz to, co do ciebie należy, niezależnie od wyników. To kwestia wiary.

– Stites jest człowiekiem wiary – powiedział Louis ponurym głosem.

– A zatem inni ludzie żyją zgodnie z okropną wiarą. Czy to znaczy, że ty sam żyjesz bez wiary? Nie ma nadziei na żadną rzecz? Jeśli wszyscy wierzą w to samo co ty, nie potrzebujesz wiary.

Louis zabębnił palcami w biurko.

– Co zamierzasz teraz zrobić?

– To samo co dwadzieścia lat temu – odrzekł Alec. – Zarobić mnóstwo pieniędzy.

Gdzieś między pierwszą a drugą po południu zaczął czekać na trzęsienie ziemi. W końcu i tak siedział w pokoju i nic nie robił; czekanie nie wymagało zbyt wielkiego dodatkowego wysiłku. Starał się być gotowy, by odczuć następny wstrząs, gdyby taki miał nadejść, podobnie jak oczekiwał grzmotu po ujrzeniu błyskawicy – trzeba być skoncentrowanym, w każdej chwili gotowym rozpalić świadomość. Niestety, wymagało to trzymania otwartych oczu, a jego wzrok cały czas zsuwał się z gładkich powierzchni i chwycił jakichś nierówności, na

przykład kawałka tapety, której krawędzie oderwały się od tynku, ukazując ciągnące się pod spodem smugi kleju. W końcu ten klej wywoływał jakiś pęcherz na jego nerwie wzrokowym, pęcherz pękał i zaczynał krwawić, ale na ścianie nie było poza tym nic, czego jego oczy mogłyby się uchwycić.

Wyczerpywało go już samo patrzenie na zamknięte pudła ze sprzętem radiowym. Wydawało mu się, że stoją mu jedno na drugim na piersi, dławiąc go i budząc jego obrzydzenie.

Sufit pokryty był kasetonami w kolorze złamanej bieli, wykonanymi z jakiegoś smętnego materiału przypominającego papier. Ustalił, że na wszystkich znajduje się identyczny wzór z małych otworków, pozorna odmienność wynikała stąd, że różnie je ułożono. Od piątej do mniej więcej szóstej po południu upewnił się na sto procent, że przesunięcie poprzeczne między rzędami kwadratów na jednym końcu każdego rzędu było takie samo jak ich przesunięcie poprzeczne na drugim końcu. Przyszło mu na myśl, że gdyby w rejonie Bostonu jakiś zespół ludzi przez całe dni i noce zajmował się tym, co właśnie robi, to znaczy, gdyby zawsze przynajmniej jeden w pełni świadomy, sumienny facet czekał na drżenie ziemi, to być może nigdy nie doszłoby do kolejnego wstrząsu, tak bardzo nieśmiałe wobec ludzkiej świadomości są te przypadkowe zjawiska natury (w końcu jest to podstawowy aksjomat przesądów). Ale

natura, przynaglona wielką potrzebą ulżenia tym podziemnym napięciom, może zostać zmuszona do zastosowania radykalnego środka doraźnego, przywodzącego na myśl rozwiązanie znane ze Starego Testamentu, i wywołać nadprzyrodzony sen u konkretnego człowieka na służbie, kiedy nadejdzie czas, i pęknięcia nie będzie można już odroczyć. Chłopiec zatykający palcem dziurę w wale ochronnym, opowiadający później o złocistej i nieodpartej senności? Oczywiście ten fatalny w skutkach moment jeszcze nie nadszedł, bo Louis dzięki stuprocentowej czujności powstrzymywał drgania sejsmiczne, dopóki w telewizji nie zaczął się mecz drużyny Red Sox.

We wtorek było gorąco, już o dziewiątej paliło się i huczało w piecach słonecznych i konwekcyjnych. Kiedy Louis rozpakowywał swoje pudła, wzmocniona tkaniną taśma klejąca wydawała dźwięk rozdzieranego ubrania. Dotykał wszystkiego po kolei. Zdjął obudowę z dwunastozakresowego odbiornika, który skonstruował w wieku piętnastu lat, nie mogąc teraz wręcz uwierzyć, jak dobrze wtedy lutował. Musiał bardzo wyteńczyć wzrok, żeby znaleźć te kapki lutu, nieudane nacięcia i wykrzywione śrubki, które wówczas powodowały, że tak się na siebie wściekał.

Po południu słuchał muzyki, kręcąc tarczą po zakresie FM, żeby uniknąć reklam. Kiedy noc spowiła już wszystkie widma, i widzialne, i radiowe, przełączył się na

fale krótkie. Usłyszał świergot dalekopisu radiowego, szybki, spokojny i neutralny w brzmieniu, nieakcentowany, jakby słuchał języka szwedzkiego. Szyfr wysyłany ręcznie, z którego większość rozumiał – w liceum rozpoznawał dwadzieścia cztery słowa na minutę – ale były to głównie liczby i skróty sprawiające mu większą przyjemność jako sam szum niż jako przekaz wiadomości. Słysząc było dobitne i niestrudzone świergotanie z frachtowców i radiolatarni w atlantyckiej nocy. Ptaszyny i grzmiące tajemne dźwięki w odcieniu bólu krzyża. Podekscytowany słowiański komentator złorzeczący ponad potężną dźwiękową falą przyboju i już po chwili tonący, jeszcze przez chwilę jakby głośniejąco wołając, że nie tonie, i w końcu tonący na dobre.

Głos Południowej Afryki, z Johannesburga. Radio Hawana. Radio Korea, zamorski serwis Korean Broadcast System, trafiający do waszych domów po angielsku z Seulu, stolicy Republiki Korei. Deutsche Welle, Radio France Internationale. Światowe Radio Adwentystyczne, dostarczające transmisje koncertów rozrzuconym po świecie wiernym, gwizdże cicho modulowanym dźwiękiem, jak muchy krążące wokół ambony. *Injā Tehrān ast, sedā-ye jomhūri-ye eslāmi-ye Irān.* Wschód jest czerwony, Wschód jest czerwony... Radio Bagdad podało, że dzisiejszego dnia syjonistyczne siły okupacyjne zamordowały w południowym Libanie trzech młodych Palestyńczyków; mimo artykulacji niczym

z Kensingtonu ten żeński Głos Irackiej Republiki Ludowej chyba nie rozumiał, o czym mówi. „Agencja Reutersa podała, że w nie. Dziele w następstwie nie. Udanego zamachu w Mali trzech starszych oficerów narodowych sił powietrz. Nych zostało straconych na placu przed...” Ale w tym momencie struny zaczęły zawodzić Głos i teraz ten sam uświadomiony żeński Głos, już w jej własnym języku zaśpiewał balladę z seksowną i ironiczną niedbałością w refrenie, jakbyśmy wszyscy znali-li-lili li-li-li dobrze tę historię i słyszeli ją wiele raaa-azy, a struny się z tym zgodziły. Słońce już wstawało nad Islamem. Na ulicach dżipy i opatulone kobiety, zaczęły się modlitwy i okropności kolejnego dnia. W Somerville nocny wiatr połamał ciemny cień konaru na kilka mniej ciemnych cieni, które kłaniały się, krzyżowały i wymazywały nawzajem w rzucanych na tapetę równoległobokach światła latarni ulicznych.

– Louie, witaj, synu. Wziąłeś wolne?

– Tak.

– Prima. Dobrze ci to zrobi.

– Wylali mnie z pracy.

John Mullins wyglądał na przerażonego.

– Wylali cię? Za co?

– Nie jestem dostatecznie chrześcijański.

– No wiesz, przez chwilę nawet ci uwierzyłem.

– Ale to prawda.

– Ha! Przez chwilę dałem się nabrać.



Przed zamknięciem poczty Louis miał przygotowanych jedenaście listów do radiostacji. Dysponował tylko dwoma egzemplarzami swojej taśmy demo i miał nadzieję, że nie będzie musiał płacić za następne. Jego miesięczne wydatki wynosiły mniej więcej siedemset dwadzieścia dolarów, na co składał się koszt wynajmu, utrzymania samochodu, jedzenie, media i spłata kredytu na studia. Po otrzymaniu od Aleca pięćuset dolarów oszczędności całego jego życia wynosiły tysiąc pięćset trzydzieści pięć dolarów.

Wieczorem stał obok okna i zerkał z niego przez ramię, jak człowiek obłączony. Do drzwi sąsiadów dzwoniły pary po trzydziestce, po czym wylaniały się w oświetlonym na żółto salonie naprzeciw jego okna. Sopranistka, w fartuszku z szerokimi ramiączkami, wniosła oszroniony dzban wody. Miała kasztanowe włosy i odpowiednie do tego bladocieliste ramiona bez śladu piegów. Louis wyobrażał sobie, że widzi jej znak po szczepionce, głęboki i pierścieniowy, niezabarwiony. Przy pianinie siedział, nucąc coś, jej mąż, blondyn, atletycznie zbudowany żabojad. Wszyscy goście płci męskiej ubrani byli w koszule z kołnierzykami i krótkimi rękawkami; wszystkie kobiety miały gołe łydki i nosiły sandały lub trzewiki. Zaczęli śpiewać hymny. Przypominało to wspólne śpiewanie z dawnych czasów, z tym że wszyscy mieli szkolone głosy. Pocili się i uśmiechali, ich spojrzenia biegły do siebie przez pokój

i przy każdym spotkaniu rozbłyskiwały, jak odległa lampa błyskowa czy też brylant, w którym odbijają się promienie słońca. Louis zamknął okno, żeby nie wpuszczać do mieszkania ciepła tych wszystkich ciał.

W czwartkowy wieczór jakiś zapalony amator, który zamieścił ogłoszenie w „Globie”, zabrał samochodem kombi cały sprzęt radiowy, płacąc trzysta osiemdziesiąt dolarów w gotówce. Louis początkowo życzył sobie za wszystko sześćset dolarów.

W sobotę i niedzielę mniej więcej co dwie godziny wybierał numer telefonu Renée, i do domu, i do pracy. Nigdzie nie odebrano. Doszedł do wniosku, że nie jest zainteresowana ponownym spotkaniem. Doprowadzało go to do szału i zaczął odczuwać do niej niechęć, bo bardzo chciał skorzystać z jej ciała i był gotów ją polubić, jeśli było to do tego niezbędne.

W położonych w śródmieściu Bostonu studiach WOLO-AM, w szklanej wieży po drugiej stronie torów naprzeciw dworca North Station mężczyzna przypominający kapitana statku handlowego, ubrany w białe ogrodniczki i czerwoną chustę, został wyprowadzony z holu. Chwilę później w głośnikach stacji rozległ się jego głos; zachwalał wyścigi balonów, które miały się odbyć w weekend.

Recepcjonistka radiostacji WOLO wróciła za swoje biurko po drugiej stronie okienka, jedną ręką odpędziła Louisa i zaczęła stukać w klawiaturę. Była ciemnowłosa,

absurdalnie piękną megadziwczyną, mniej więcej w jego wieku. Jej obcisła spódniczka marszczyła się na skrzyżowanych udach w ekscytujące bruzdy. W końcu przestała pisać, spod przymrużonych powiek spojrzała w ekran i delikatnie dotknęła klawisza funkcyjnego. Obraz zniknął z ekranu. W przerażeniu przycisnęła dłonie do policzków i wbiła wzrok przed siebie. Odwróciła się do Louisa, robiąc wielkie oczy i szeroko otwierając usta.

– Nie wiem, gdzie to się podziało! Nie wiem, gdzie to się podziało!

– Mam się spotkać z panem Pincusem.

– Był u siebie. – Położyła palec na jakimś innym klawiszu i natychmiast cofnęła rękę, jakby poczuła pieczenie. – Ale wyszedł.

– Wróci?

– Jesteś Holland, Louis, tak? Może zostawiłbyś swoje nazwisko? Nie mogę się tobą zająć. Instrukcja do tej drukarki została wydrukowana na tej samej drukarce z, cytuję, heurystycznych powodów, koniec cytatu, a jedno zdanie, na które w ogóle zwróciłam uwagę, kończy się zwrotem, zapamiętałam to, „nie do nie”. Właśnie tym się k o ń c z y.

– Wydawało mi się, że jestem umówiony na jedenastą.

– Zdecydowanie nie jest to najlepsza pora na spotkanie z panem Pincusem.

– Wiesz może, kiedy wróci?

– A może zaczęlibyśmy od tego, gdzie pojechał, co? Pojechał na lotnisko. Raczej mało prawdopodobne, żeby to był ostateczny cel jego podróży. A jaki jest ostateczny cel jego podróży? „Nie do nie”. Rozumiesz?

– Może mógłbym się umówić na inny termin?

– Z przyjemnością zmieniłabym ci termin, ale w związku z brakiem czegokolwiek na ekranie i zupełnym brakiem reakcji na wpisywane na klawiaturze polecenia to niemożliwe. Proszę, zapisz swoje nazwisko i numer telefonu, a ja przekażę mu wiadomość, Holland, Louis. Przylepię to do ekranu.

Rozwinęła dwadzieścia kilka centymetrów taśmy klejącej i jeden jej koniec przylepiła do kartki Louisa, a drugi do framugi drzwi prowadzących do jej boksu. Z szuflady swojej stacji roboczej wyjęła czerwone jabłko wielkości kantalupy i zrobiła w nim zębami malutkie białe wycięcie.

– Zjesz ze mną lunch? – zapytał Louis.

Uniosła jabłko i nim pokręciła.

– Nie do nie!

– A może pójdziemy po pracy na drinka?

Pokręciła głową i odgryzłszy większy kawałek jabłka, zaczęła przeżuwać posępnie i bezmyślnie, wpatrując się w gniazdko elektryczne. W oddali, w jakimś nieodgadnionym kierunku na róży kompasowej, terkotały wiertarki udarowe; samochody trąbiły żałośnie,

jakby wzywały swoje młode. Dziewczyna odgryzła z chrzęstem kęs jabłka. Widać było, że dojdzie do ogryzka zajmie jej następne pięć minut (każdy kolejny kęs podkreślał, jak zbędny jest lunch), a później będzie potrzebowała jeszcze trzech minut na wysysanie do czysta zębów i poprawienie ust, sprawdzenie ich obrzeża koniuszkiem języka, a potem wygładzenie grzbietem nadgarstka. Jej ekran nadal był pusty.

– A w weekend masz wolny czas? – zapytał Louis.

– Ta osoba – poskarżyła się.

– Moglibyśmy zjeść razem kolację.

– Czy ja znam tę osobę? Dlaczego rozmawiam z tą osobą?

Wśród tysięcy ogłoszeń oferujących nudną pracę nie było ani jednego, które proponowałoby interesujące stanowisko. Dopóki nie rozłożyło się stron z anonsami, można było zapomnieć o tym, na czym tak naprawdę polega przeciętna praca. A sprowadzała się do tego: ty będziesz zajmował się tym odbierającym chęć do życia „wprowadzaniem danych” lub „telemarketingiem” czy też „edycją tekstu”, a my niechętnie damy ci pieniądze.

Ogłoszenia z ofertami pracy były jeszcze smutniejsze od ogłoszeń drobnych. „Bardzo atrakcyjny pakiet świadczeń socjalnych” – obiecywały niektóre z nich („OLŚNIEWAJĄCA SAMOTNA BIAŁA KOBIETA Z NIEBIESKIMI OCZAMI, po czterdziestce, ale wyglądająca na dwadzieścia pięć, poszukuje...”). Czy istniał na świecie

ktoś niezależny, bardzo zmotywowany, kreatywny i posiadający przynajmniej pięcioletnie doświadczenie w transmisji T1, protokołach SDLC, HDLC i 3270 BISYNC? A jeśli taki wymarzony kandydat rzeczywiście istniał, czyż nie byłoby podejrzane, gdyby szukał pracy? Tego typu ogłoszenia miały chyba stanowić wyłącznie gorzkie oficjalne przypomnienie, żeby nikt nie zapomniał, że korporacje, podobnie jak wszyscy inni, mają swoje potrzeby i pragnienia, których nie da się zaspokoić.

Na drugim krańcu skali znajdowały się lakoniczne, krótkie ogłoszenia o zapotrzebowaniu na strażników czy recepcjonistki, nic niewspominające o świadczeniach socjalnych czy płacach; anonse przypominające brzydkie prostytutki, które – co należało zaliczyć do ich zalet – nie miały wysokich wymagań.

Prowadzenie interesów najwyraźniej sprowadzało się do samych kłopotów. Firmy chciały dobrych pracowników i nie chciały złych. Ale źli pracownicy mieli ochotę zostać w firmie i pobierać od niej pieniądze, podczas gdy dobrzy chcieli przejść do konkurencji. Dla Louisa te tysiące zamieszczonych w gazecie ofert pracy wyglądało jak obrzydliwe ścieki, za których usunięcie firmy gotowe były zapłacić. Jakże musiały nie znosić wykładania wielkich sum i proponowania korzystnych „świadczeń socjalnych” tylko po to, by się pozbyć tych obrzydliwych obowiązków! Jakże żałowały, że nie jest

inaczej! Wręcz czuł ich złość z powodu kosztów pozbywania się tego całego śmietnika. Najwyższe kierownictwo zrzucało ten problem na dział kadr, a ludzie w kadrach nosili plastikowe garniturki, które łatwo można było pomylić z twarzami i osobowościami. Ich zadanie polegało na manipulowaniu trującymi, ale nieuniknionymi produktami ubocznymi zatrudnienia, tak żeby nie weszły w kontakt z ich skórą. Ich serdeczność była z założenia nieprzywierająca, w stu procentach nieprzepuszczalna.

– Co porabiasz, Lou, jesteś na wakacjach?

– Już mówiłem. Wylali mnie z pracy.

– Nie wspominałeś, że cię wylali.

– Prawdę mówiąc, wspominałem.

– O rety, ciężka sprawa, trudno mi w to uwierzyć.

Wygląda na to, że ostatnio wszystkich zwalniają.

– Tak wygląda, chociaż oczywiście pewnie tak nie jest.

– Ale nie rozumiem, dlaczego ktoś chciałby wyłączyć z roboty takiego miłego chłopaka jak ty.

– Cóż, to dlatego, że nie wierzę, że Jezus Chrystus jest moim osobistym zbawcą. Nie wierzę w dosłowną prawdę Biblii.

Mullins zmarszczył brwi.

– A jaki to ma związek?

– Miejsce, w którym pracowałem, zostało przejęte przez fundamentalistycznych przeciwników aborcji i wszyscy niechrześcijanie musieli stamtąd odejść.

– Oj, Lou. Oj, L o u. Nie trzeba było tego robić. – Mullins pokręcił głową. – A tera ty co, ty co, szukasz nowej roboty?

– W tej chwili szukam kobiety, którą widziałem dziesięć dni temu i znowu chcę zobaczyć.

– Nie jesteś żonaty, co?

– Nie.

– Musisz mieć robotę, Lou.

Przymocowany łańcuchem do znaku parkingu rower z dziesięcioma przerzutkami, mimo że powalony na ziemię, wciąż kurczowo trzymał się słupka przy Pleasant Avenue. Zlatujące z kapryfolium trzmielę nasuwały na myśl koalescencje żółtego, gniewnego upału dnia. Powodowany przez twardoskrzydłe owady hałas był niczym brzęczenie transformatorów wysokiego napięcia, uszkodzonych i przeciążonych przez upał; same trzmielę przypominały zaś monotonne, bezosobowe duchy poddanych eksterminacji Indian, które przez upał zmieniły stan skupienia na lotny.

Za frontowymi drzwiami, w komnacie wypełnionej niewiarygodnie wyraźną i gorącą psią wonią i tchnieniem psiego jedzenia, Louis dostrzegł rozkwitające różowe kwiaty; musiał mozolnie wspinać się po schodach, jak nurek, który już traci nadzieję, że kiedykolwiek dotrze na powierzchnię. Okulary zsunęły mu się ze spoconej twarzy. Nikt nie odpowiedział na jego pukanie, chociaż oczyma duszy już witał się ze



zdradzieckim mieszkaniem Renée.

Do Harvardu szło się dwadzieścia pięć minut. Dzięki pomocy jakichś życzliwych nieznajomych udało mu się zlokalizować laboratorium Hoffmanna na wydziale geologii – wyglądało jak pięciopiętrowa kanapka z cegłami i oknami ułożonymi na betonowych kromkach. Było klimatyzowane i pachniało jak sterylne wnętrze komputera. Gabinet doktor Seitchek znajdował się na parterze, naprzeciw sali komputerowej, i mieścił dwa biurka. Howard Chun siedział z podciągniętymi nogami na tym bliżej drzwi i energicznie ciskał gumką recepturką przed siebie, a następnie chwycił w locie odbitą od ściany gumkę. Biurko przy oknie było prawie puste, leżał tam tylko stos nieotwartej poczty.

– Nie ma jej tu.

– Wiesz może, gdzie jest?

Howard rzucił się do przodu, żeby złapać recepturkę, zanim spadnie mu między trampki.

– Po co ci ona?

– Zaprzyjaźniliśmy się.

– Ach, tak.

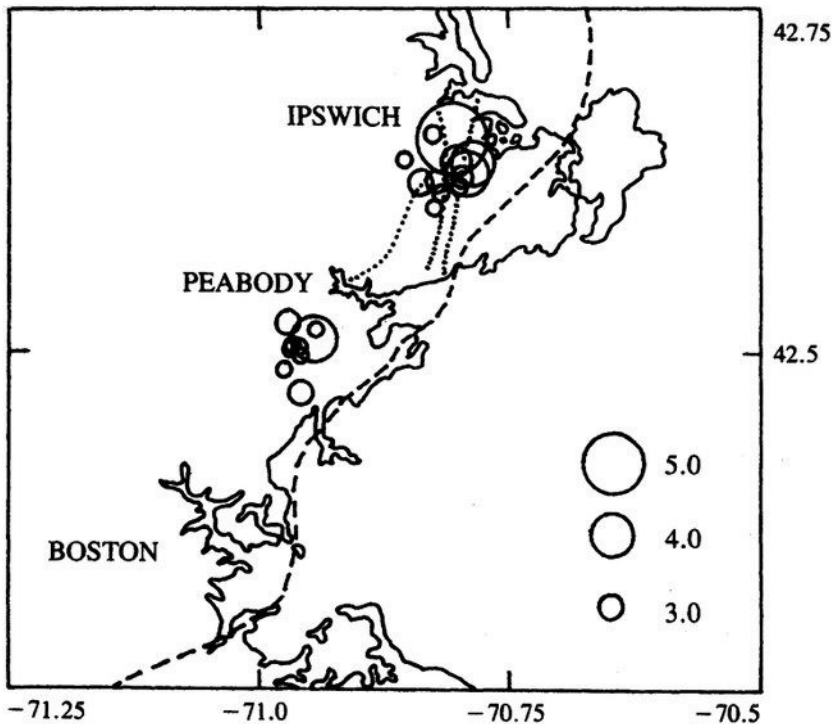
– Wiesz, gdzie jest?

– Myślę, że w domu.

– Właśnie stamtąd idę.

Howard zaczął strzelać brutalnie recepturką we własne palce, krzywiąc się na widok czerwieniejącej skóry. Nagle spojrział przez poręcz fotela na podłogę.

– Chcesz coś zobaczyć? – Strzelił recepturką w kartkę na ścianie. – Tam są zaznaczone trzęsienia ziemi, do których doszło u nas od marca.



Kółka wyglądały na epicentra, a ich wielkość odpowiadała sile wstrząsów.

– A co oznaczają kropkowane linie? – zapytał Louis.

– Naniesione na mapę uskoki tektoniczne w pobliżu Ipswich. Linia kreskowana to wielka strefa zaobserwowana podczas badań aeromagnetycznych. Może to nic takiego, na przykład stary szew tektoniczny.

Ma dziesięć, może sześć czy osiem kilometrów głębokości. Uskoki na mapie są płytkie. Jedyne problem to Ipswich, tu skupisko ma siedem, osiem kilometrów.

– A co to znaczy?

– Prawdopodobnie są też inne uskoki. Albo uskoki nie są poprawnie naniesione na mapę. Coś tu nie gra. Dwie niepowiązane ze sobą serie wstrząsów tak blisko siebie, zarówno w czasie, jak i przestrzeni. Mało prawdopodobne.

– Jak mało?

Howard skrzyżował ręce i zmarszczył nos.

– Naprawdę bardzo mało. To niespotykane.

– No proszę. – Louis ponownie spojrzął na stos poczty na biurku Renée. Za oknem japońscy turyści szli gęsiego po asfaltowej ścieżce między dębami.

Howard odchylił się niebezpiecznie na fotelu obrotowym i wyciągając palce, odzyskał recepturkę.

– Chcesz zobaczyć coś jeszcze?

Nie zdejmując nóg z blatu, podjechał na fotelu z powrotem do biurka i otworzywszy górną szufladę, podał Louisowi fotografię wielkości osiemnaście na trzynaście centymetrów na pożółkłym, niegdyś błyszczącym papierze. Na zdjęciu była nastolatka w mundurze orkiestry dętej. Przy piersiach trzymała klarnet. Żakiet był w kolorze błękitu pruskiego, z kremową lamówką i złotymi guzikami, czapka miała czarny plastikowy daszek i złoty galon na opasce. Długie,

słabe włosy, włosy z lat siedemdziesiątych, okalały jej twarz, próbując bezskutecznie zakryć trądzik na jej policzkach i czole (w rzeczywistości jedynie go podkreślały i sprawiały, że był bardziej widoczny). Uśmiechała się znacząco, w ten sztywny, daremny sposób, charakterystyczny dla nastolatek, które nienawidzą własnej twarzy i uważają fotografowanie za akt niewymownego okrucieństwa; patrzyła gdzieś w dal po lewej, jakby unikając spojrzenia prosto w obiektyw, mogła spowodować, że ten jej nie uchwyci. Pięciokątne żółte liście pokrywały trawnik rozpościerający się między nią a nieostrym samochodem kombi oraz garażem z dwuskrzydłowymi drzwiami.

– Wiesz kto to?

– Skąd to masz?

– To Renée.

– Skąd to masz?

Howard kilkakrotnie uderzył plecami w winylowe oparcie fotela. Następnie odepchnął się nogami od biurka i przetoczył przez pół pokoju.

– Znalazłem.

– Gdzie?

– Po prostu znalazłem.

Louis próbował zwrócić mu zdjęcie.

– Weź sobie – powiedział Howard. – Chcesz?

– Dlaczego mi je dajesz?

Howard wzruszył ramionami. Powiedział już

ostatnie słowo.

– Ukradłeś je?

– Po prostu je mam. Chcesz, to sobie weź. Mnie jest niepotrzebne.

W półmroku przez otwarte okno swojego pokoju słyszał, jak John Mullins mówi sopranistce i jej mężowi, że ten ładny chłopaczek mieszkający obok – ten, co to właśnie się wprowadził, ładny chłopak – został wyrzucony z pracy. Powiedział, że nie wierzy w Jezusa, a oni go wylali.

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić – powiedział Louis.

Renée siedziała przy kuchennym stole i jadła czerwone bezpestkowe winogrona. Trzymała szklaną misę na wysokości piersi i przenosiła grona do ust, poruszając tylko zręcznie nadgarstkiem, wyginanym raz w jedną, raz w drugą stronę.

– To bardzo nieodpowiedni tydzień na takie próby.

– Raz odebrał ten, jak mu tam, Terry, ale rzucił słuchawką, kiedy zacząłem z nim rozmawiać.

– Ludzie są na mnie trochę źli, ale to nie moja wina. – Bosonoga, wstała cicho i włożyła gałązki winogron do zlewu. Pot przylepił jej włosy do szyi i czoła wąskimi, zakrzywionymi źdźbłami. W oknie za Louisem mruczał ustawiony na niski bieg wentylator w skrzynkowej obudowie, niosąc ulgę dźwiękiem, a nie podmuchem (podczas zmiany opatrunku poparzeni pacjenci wołą

słuchać szumu białego niż muzyki).

– Zaraz się dowiesz, co się ostatnio działo. – Pokazała mu wtyczkę rozłączonego telefonu, następnie włożyła ją do gniazdka i odwróciła do góry dnem papierową torbę na zakupy z supermarketu DeMoula's Market Basket, wysypując na kuchenny stół jakieś sześćdziesiąt czy osiemdziesiąt kopert. – Mamy tu coś miłego. – Podła mu kopertę bez adresu zwrotnego. W środku znajdowała się napisana na maszynie wiadomość:

Droga Suko,

Mam nadzieję, że umrzesz na aids,

Z poważaniem

Twój Wróg

– Od razu przechodzi do rzeczy – powiedziała pogodnie. – A to kolejny milutki list.

Droga „Pani” Seichek,

Widziałam Panią w telewizji i niedobrze mi się robi od Pani podejścia. Pani podejście polega na tym, żeby odbyć stosunek seksualny, a potem zabić dziecko. Jaka jest różnica między aborcją a dzieciobójstwem? Jedna. Aborcja jest legalna w stanie Massachusetts, a dzieciobójstwo jest morderstwem. Niech mi to Pani wyjaśni. Powiedziała Pani, że nie ma niczego złego w aborcji na życzenie dla czternastolatek. A co z rodzicami? Inna sprawa, że Pani nigdy nie wspomina o adopcji czy domach. Na tym biednym świecie nie ma czegoś takiego jak niechciane dziecko. Może kiedyś zechce Pani mieć dzieci, ale będzie jałowa. Uważam, że stanowisko w sprawie aborcji powinno być brane pod uwagę przy adopcji. Pani nie dostanie żadnego. Trzymała Pani kiedyś dziecko w ramionach? Może teraz już nie będzie Pani miała okazji po tym, co Pani powiedziała.

Może Bóg się zlituje, jeśli będzie Pani się modlić. Wie Pani, jak się modlić? Ja nie mogę się modlić za Panią.

Pani Axel Hardy  
68 Frond Drive  
Hingham, Mass.

– To ten o adopcji, tak? Spójrz na ten. Ten gość umieścił w nim też fragment listu rozsyłanego systemem łańcuskowym.

Dr Renée Scheik  
Laboratorium Hoffmanna  
20 Oxford Street  
Cambridge, Mass. 02138

Szanowna dr Scheik,

Oprócz skazanych za handel narkotykami bandziorów nie ma na świecie nic bardziej niczemnego niż zwolennicy aborcji. Połowa ludzi wchodzących do klinik aborcyjnych nie wychodzi stamtąd z życiem. Jak może spać Pani w nocy, wiedząc o wszystkich życiach odebranych w pracy? A może bierze Pani środki na sen (ha, ha!). Mam nadzieję, że Panią zamkną i wsadzą do więzienia. W więźniu trzymają mężczyzn i kobiety nie razem, to dobre. Niech zrobią Pani co najgorszego.

Podpisane  
John Doe

List napisany był na drugiej stronie kserokopii n-tej generacji, zawierającej tekst:

- 2 -

ma WPŁYW, ale czasami nie można się dodzwonić. Czasami numer jest czasowo zmieniany na zastrzeżony. Czasami słychać sygnał wskazujący, że linia jest zajęta, albo nikt nie odbiera bądź zgłasza się automatyczna sekretarka. Jeśli numer do pracy został zmieniony, nowy można uzyskać z informacji (555-1212). P a m i ę t a j m y, że k l i n i k i p r y w a t n y c h p r a k t y k

lekarских nie stać na to, żeby mieć zastrzeżone numery telefonów. Ważna jest wytrwałość – przez tydzień, dwa tygodnie, a nawet trzy. Jednak równie ważne jest, żeby KAŻDEMU TELEFONOWI towarzyszył list ekspresowy. Jeśli łańcuszek nie zostanie przerwany, z chwilą gdy wszystkie dziewięć pól na stronie pierwszej zostanie wypełnionych, każdy zwolennik aborcji na liście powinien otrzymać PONAD 1600 LISTÓW. W liczbach jest siła! Wyobraźmy sobie efekt 1600 żarliwych osobistych próśb! I 1600 telefonów! Ale jeśli przerwiesz łańcuszek, ta liczba zmniejszy się o połowę, a jeśli jeszcze ktoś inny przerwie łańcuszek, ponownie zostanie zmniejszona o połowę.

Jezus nakarmił 5000 osób pięcioma bochenkami chleba i dwiema rybami. Możesz mieć TĘ SAMĄ MOC, jeśli prześlesz dalej sześć kopii tego listu. Jeśli ten egzemplarz jest zbyt nieczytelny, przepis go przed wysłaniem.

Uwaga: Rozmowy zamiejskowe są tańsze między piątą popołudniu a ósmą rano (czasu lokalnego), ale należy też pamiętać, że kliniki pracują w stałych godzinach w swojej strefie czasowej (tzn. od 9 do 17).

#### JAK WYBIERAĆ

NIE WYBIERAJ nazwisk z listy losowo. Zacznij od dnia DATY SWOICH URODZIN – zauważysz, że na liście jest 31 nazwisk – i wybieraj n a s t ę p n e nazwiska z listy, jeśli urodziłeś się w miesiącu nieparzystym (np. styczeń = 1, luty = 2 itd.), albo w c z e ś n i e j s z e, jeśli urodziłeś się

– Zjem jeszcze trochę winogron – stwierdziła Renée.  
– Chcesz też? – Jej lodówka miała zaokrąglone górne krawędzie i rączkę zamykaną na zatrask. Na drzwiach widniał chromowany znak fabryczny z nazwą FIAT.

Louis kręcił głową ze zdumieniem.



– To jest o wiele gorsze od tego, co mi się przydarzyło.

– Na pewno nie chcesz tych winogron?

– Kto umieścił cię na tej liście?

– Stites albo ktoś z jego organizacji. Mam co do tego dziewięćdziesiąt pięć procent pewności. To wszystko adresy z rejonu Bostonu. Ta wzmianka o „laboratorium Hoffmanna” to trafny pomysł. Ci ludzie nie są głupi.

– Powinnaś złożyć gdzieś skargę.

– Rozmawiałam przez telefon z tym gościem z „Globe’a”. Poprosił mnie, żebym przesłała mu kopie tych listów, więc to zrobiłam. Podejrzewam, że zanim coś opublikują, chcą się dowiedzieć, kto jeszcze je dostaje. Powiedział, że do mnie oddzwoni, do sekretariatu zakładu, ale jeszcze tego nie zrobił.

– A co z pocztą? Firmą telefoniczną?

– To raczej od początku nie rokowało specjalnych nadziei. Nie zależy mi na tym, żeby tych ludzi ścigano sądownie, tylko na tym, żeby świat się dowiedział, jacy to straszni durnie.

Telefon na stole zaczął dzwonić. Louis położył rękę na aparacie i spojrzał na Renée, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

– Czy, ach, mogę mówić z doktor Seehek?

– Słucham.

– Och, pan jest mężczyzną, ja nie...

– Nie, proszę pana – odparł Louis. – Mam bardzo niski głos.

Renée spojrzała na niego z wyraźnym powątpiewaniem.

– Nazywam się Joe, hm, Doe. John Doe. Jak rozumiem, pracuje pani w Laboratorium Hoffmanna i...  
– pan Doe zaczął mówić głosem wysokim i zduszonym – i tam są wykonywane aborcje?

– Tak, rozumiem, że pan tak rozumie.

– Chciałbym, jeśli to możliwe, porozmawiać o pani pracy, doktor Seechek. Może mi pani poświęcić chwilkę?

Louis świetnie się bawił, ale Renée wyciągnęła wtyczkę z telefonicznego gniazdka, wyjęła mu słuchawkę z dłoni i powiedziała do głuchego telefonu:

– Spierdalaj, spierdalaj, spierdalaj.

Torba z DeMoula's się rozerwała, kiedy zaczęła na powrót wciskać w nią obraźliwe listy. Na jej wargach migotały niewyraźne cienie słów. Z zaskoczeniem zauważył, że na bladej cerze Renée pojawiły się czerwone i szorstkie plamy. Zastanawiał się, czy powstały niedawno, czy też naprowadzony na ten trop przez starą fotografię dostrzegał w niej rzeczy, które dotąd udawało jej się ukrywać. Uwidoczniły się pory jej skóry. Wysoko na jednym policzku widniały ślady trądziku, poskromionego, ale nie usuniętego, a wokół warg krosty, przez co wyglądała, jakby ciekło jej z ust. Sprawiała na nim wrażenie młodszej i nieco mniej przyzwoitej, bardziej w typie dziewczyny, z którą można zrobić, co tylko się chce – takiej z większą żarliwością niż

poczuciem własnej wartości.

– Nie cierpię, jak kobiety przeklinają – stwierdziła.

– Dlaczego?

Stała u szczytu stołu.

– Chyba dlatego, że w powszechnym wyobrażeniu jest to uważane za seksowne. W tym powszechnie akceptowanym męskim wyobrażeniu. Nawet jeśli „kurwą” rzuca kobieta w złości, nawet jeśli „kurwą” rzuca radykalna feministka, to i tak działa podniecająco. Za każdym razem, gdy słyszę, jak kobieta tak mówi, mam wrażenie, że znajduję się... – Zwróciła się wprost do Louisa. – Że znajduję się na stacji metra przy Central Square. Można tam spotkać taką rozzłoszczoną kobietę, siedzi ze swoimi torbami i gazetami. Jakby jej twarz była twarzą Wszystkich Kobiet Rzucających Kurwami. Z tą szaloną złością na wszystko i wszystkich, która moim zdaniem jest szczególnie paskudna u kobiety, chociaż wiem, że z mojej strony nie jest to politycznie poprawne, i dlatego się zastanawiam, na czym tak dokładnie polega mój problem. I nie mogę tu nie wspomnieć – ciągnęła dalej, zupełnie już do siebie – o czymś innym, o czym zapomniałam tamtej nocy, kiedy zapytałeś mnie, na czym polega mój problem z Bostonem. Zapomniałam powiedzieć, jak ludzie mówią na metro, używając litery T. Ludzie, to znaczy inkryminujący ludzie, nie mówią: „Pojadę metrem”, tylko: „Pojadę T”. To chore, w każdym razie ja uważam to za chore, bo brzmi to jak szyfr, bo za

każdym razem, gdy to słyszę, złoścę się, bo od razu widzę, jak te wszystkie dzieciaki uczą się mówić „T” zamiast „metro”. Piszą do rodziców, że jeżdżą T. Tłumaczą, że mówi się T, a to dosyć urocze. Och, posłuchaj. – Odeszła, uderzając się dłonią w czoło. – Zastanawiasz się, dlaczego do ciebie nie zadzwoniłam.

Louis niecierpliwie rąbał stół ciosami karate.

– Masz tu jakieś piwo czy coś takiego?

– Ponieważ nie potrafię zapanować nad sobą.

– Albo jakiś alkohol czy narkotyki, które moglibyśmy wspólnie wziąć?

Szum wentylatora w oknie, jego ciche, naoliwione mielenie towarzyszyło każdej godzinie upalnych nocy. Także tej, podczas której rozmowa się wyczerpuje, a odbity fragment światła ulicy unosi się w punkcie przecinanym przez łopatki wiatraka. Godziny, kiedy świt przedziera się przez znużone zasłony. I ten szum, i te godziny wciąż takie same, jednostajność wilgotnego upału, i poparzeni pacjenci mówiący: „Nie włączaj. Nie wyłączaj. Niech zostanie, jak jest”.

– Masz jakichś znajomych? – zapytał Louis, otwierając butelki. – Ludzi, do których możesz zadzwonić?

– Jasne. To znaczy, miałam. – Siedząca po drugiej stronie stołu Renée raczej nie kwapiła się do picia podanego jej piwa. – Miałam kiedyś współlokatorkę, którą bardzo lubiłam, ale wyszła już za męża. Chyba byłam mało przezorną ogrodniczką. W pracy zaprzyjaźniałam

się z ludźmi kilka lat ode mnie starszymi, ludźmi z końca lat sześćdziesiątych, którym tak jak mnie nie podobał się początek lat osiemdziesiątych. Prowadzę ciekawą korespondencję i jest chyba kilka miejsc w Kolorado i Kalifornii, do których mogę pojechać. – Paznokciami kciuków marszczyła folię na spoconej szyjce butelki, jakby to była skórka na paznokciu, ponieważ próbując ustalić, czego dotyczyło jego pytanie. – Spotykam się z ludźmi, jeśli o to pytasz. – Jej wzrok podążał za prawym palcem wskazującym, którym przesuwiała wzdłuż krawędzi stołu. Cofnęła dłoń i położyła ją na pełnej butelce, a później chwyciła ją oburącz. Przez chwilę siedziała nieruchomo jak głaz, wpatrując się w trzymane naczynie. Następnie, podjąwszy gwałtownie decyzję, jakby siedzenie w ten sposób przez cały czas było fizyczną udręką, podniosła się, nawet nie odsuwając krzesła od stołu. Zachwiała się, łapiąc równowagę na jednej nodze, i spróbowała odstawić krzesło, chcąc się oswobodzić, ale przykleiło się do wilgotnej podłogi i przewróciło.

Wróciła z sypialni z kilkoma szarymi teczkami.

– Przesiadywałam w bibliotece – powiedziała, stawiając krzesło. – W zeszły piątek dwie osoby przyszły do mojego biura, żeby osobiście mi dokopać. Od tego czasu tam nie wróciłam.

– To właśnie powiedział mi Howard.

Skinęła głową, ziewając.

– Myślałam o tym, co mówił chłopak twojej siostry. Coś sobie przypomniałam albo przynajmniej tak mi się zdawało. Pamiętałam, że to było na prawej stronie obok czegoś, na co patrzyłam. I... miałam rację. – Z górnej teczki wyjęła spięty zszywką plik kserokopii. – To artykuł z biuletynu „Geological Society of America”, z lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego. Wystarczy, jak przeczytasz streszczenie i to, co podkreśliłam.

– Po co? – zapytał Louis.

– Bo to ciekawe.

### **Teoria podskorupowej petroleogenezy**

A. F. Krasner

Chemik doświadczalny, Sweeting-Aldren Industries

**Streszczenie:** Przypadki znaczącego uwolnienia metanu i ropy naftowej w rejonach niezawierających skamielin (Siljan, Wellingby Hills, Taylorsville) posłużyły do zakwestionowania teorii, według której podziemne złoża węglowodorów pochodzą głównie z rozpadu uwięzionej materii organicznej. Ulepszone metody oceny składu chemicznego komet i głównych planet wskazują na  $10^2$ – $10^5$  wyższy poziom węgla na Ziemi, niż wynikało to z wcześniejszych szacunków. Udowodniono w warunkach laboratoryjnych możliwość syntezy ropy naftowej z elementarnych węglowodorów pod ciśnieniami zbliżonymi do panujących we wnętrzu Ziemi. Model wychwytywania węglowodorów w trakcie planetogenezy przewiduje tworzenie się i gromadzenie metanu i bardziej złożonych węglowodorów w górnej granicy astenosfery i tłumaczy przypadki uwolnienia, jakie zaobserwowano w Wellingby Hills. Zaproponowano realizację programu wierceń w celu dalszego sprawdzenia modelu.

Jedynym podkreśleniem, jakie Louis dostrzegł w artykule, znajdowało się w ostatnim akapicie. Renée robiła je za pomocą liniału, a to jej przyzwyczajenie z pracy zawsze przyprawiało go o gęsią skórkę.

Postęp w technologii głębokich wierceń po raz pierwszy umożliwił wykonywanie wąskich odwiertów do głębokości poniżej 7600 metrów. Dwa miejsca w synklinorium gór Berkshires, w tym Brixwold Pluton (w pobliżu którego zaobserwowano ślady powolnego uwalniania metanu)<sup>31</sup>, zostały wybrane do realizacji zainicjowanego przez Sweeting-Aldren Industries programu wierceń, które w związku z oczekiwaniem na ostateczne finansowanie rozpoczną się w grudniu 1969 roku – można mieć nadzieję, że na wiosnę 1971 roku powinny osiągnąć krytyczną głębokość 7600 metrów. Znalezienie znaczących ilości metanu lub ropy naftowej na tej głębokości, pod silnie zmetamorfizowanym, przykrywającym prekambryjski łupek granitowym plutonem stanowiłoby silny argument za słusznością modelu uwięzionej warstwy.

– Mnóstwo tu wielkich słów – stwierdził Louis.

– Artykuł jest na swój sposób nowatorski. – Renée stała z wyciągniętą ręką, w niestosownej obawie o swoją własność, dopóki nie zwrócił jej tekstu. – W tamtych czasach dowody były tak marne, że w ogóle nie powinien zostać opublikowany, ale ten pomysł nadal gdzieś funkcjonuje. Wciąż mówi się o tym ogromnym oceanie ropy naftowej i gazu ziemnego, zgromadzonym tuż pod skorupą ziemską, i o tym, że to całe paliwo pochodzi z pierwotnej mazi, z której powstała planeta, i że całkowite rezerwy tak zwanych paliw kopalnych są

jedynie kroplą w porównaniu do tego wszystkiego poniżej. Zupełnie niedawno szwedzki rząd wydał dziesięć milionów dolarów na bezproduktywny odwiert w basenie Siljan. Ten pomysł nie umarł. Ale niewiele osób traktuje go poważnie.

– Uhm.

– Następną jest ta publikacja z „Nature”. W styczniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego.

Starannie obwiodła ramką z czerwonego tuszu krótką jednoakapitową notatkę w dziale wiadomości, z której wynikało, że amerykański koncern chemiczny Sweeting-Aldren zaczął drążyć głęboki otwór w nieujawnionym miejscu we wschodniej części Massachusetts, w celu zweryfikowania hipotezy chemika A. F. Krasnera na temat pochodzenia większości światowych złóż ropy naftowej i gazu ziemnego z innych źródeł niż skamieliny. Wiercenie odbywało się z szybkością trzydziestu metrów dziennie i zważywszy na typowe opóźnienia i awarie urządzeń, powinno dotrzeć do głębokości 7600 metrów – krytycznej, jak twierdzi Krasner – późną wiosną przyszłego roku.

– Zauważyłeś coś?

Louis machnął ręką ze zmęczeniem.

– Takie tam typowe łamigłówki...

– Góry Berkshires nie leżą we wschodniej części Massachusetts.

– Och. – Skinął głową. – Nie wiedziałem o tym, więc



i tak bym tego nie zauważył. Dobrze, że mi powiedziałaś.

Renée zamknęła teczkę i otworzyła kolejną. Odręczne pismo na zakładkach teczek było zdyscyplinowane, jakby stawiane ręką kreślarza.

– Dwudziestego piątego lutego tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego – powiedziała. – „Boston Globe”: *Nie ustają wstrząsy w powiecie Essex.* – Podala Louisowi kserokopię wycinka prasowego. – Dwunastego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego. Ponownie „Boston Globe”: *Naukowcy zaskoczeni kolejnymi trzęsieniami ziemi w rejonie Peabody.* – Wyjęła trzeci artykuł. – Biuletyn „Earthquake Notes”, numer drugi z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku: *Mikrowstrząsy sejsmiczne w Peabody z okresu styczeń–kwiecień 1987 roku i ich otoczenie tektoniczne.* Przedostatni akapit: „Rozkład przestrzenny i czasowy mikrowstrząsów sejsmicznych charakteryzuje wyraźne podobieństwo do znanych wypadków indukowania aktywności sejsmicznej w okolicy o t w o r ó w z a s i l a j ą c y c h”. Podkreślenie moje. „Jednak względnie duża głębokość wstrząsów w Peabody (tzn. średnio trzy kilometry głębiej niż najgłębsze komercyjne szyby służące do składowania odpadów) najprawdopodobniej wyklucza taki mechanizm. Ponadto w promieniu dwudziestu kilometrów wokół miejsca aktywności nie funkcjonują żadne licencjonowane otwory zasilające złoże”.

Zmierzyła wzrokiem butelkę z piwem, po czym

solidnie z niej pociągnęła. W tej chwili wyraźnie była w stanie nad sobą zapanować.

– Pamiętam, jak w Peabody zaczęły się wstrząsy. Coś takiego z pewną regularnością zdarza się w kilku innych miejscach Nowej Anglii. Pojawiają się drobne trzęsienia ziemi, zazwyczaj zbyt słabe, żeby je wyczuć. Od jednego do kilkuset dziennie, całymi dniami, tygodniami czy miesiącami. Nikt tak naprawdę nie wie, co je powoduje. Seria wstrząsów w Peabody była o tyle interesująca, że coś takiego nie miało miejsca nigdy wcześniej.

– Czy dobrze rozumiem, że to te otwory zasilające powodują trzęsienia ziemi?

– Tak, to się nazywa indukowana aktywność sejsmiczna. Dochodzi do czegoś takiego, kiedy pompuje się dużo płynu pod ziemię. Można powiedzieć, że wygląda to tak, jakby skała tam w dole robiła się śliska od tych dodatkowych płynów. Klasyczny przykład czegoś takiego miał miejsce na początku lat sześćdziesiątych, w arsenale w Górach Skalistych, niedaleko Denver. Wojsko produkowało broń chemiczną i wytwarzało miliony litrów toksycznych ścieków, które pompowano do otworu głębokiego na trzy tysiące sześćset sześćdziesiąt metrów. Pod względem sejsmicznym Denver zawsze było bardzo spokojnym miejscem, ale mniej więcej miesiąc po rozpoczęciu pompowania zaczęto tam rejestrować trzęsienia ziemi. Średnio jedno dziennie, żadne nie było większe niż około czterech i pół

stopnia w skali Richtera. Jak tylko przestawali pompować, ustawały również wstrząsy, a gdy na powrót zaczynali, wstrząsy powracały. Wszystko wydawało się oczywiste. GS przeprowadził badania...

– Kto taki?

Renée zamrugła.

– Geological Survey, nasz instytut geologiczny. Wpompowali wodę do suchych odwiertów po wydobyciu ropy naftowej w Kolorado. Gdy tylko ciśnienie wody w skale macierzystej wzrastało powyżej sześciu tysięcy ośmiuset dziewięćdziesięciu czterech paskali, zaczynało się trzęsienie ziemi. Jeśli gdzieś pod ziemią już wcześniej istnieje jakieś naprężenie, woda w szczelinach wszystko nawilża i zakłóca równowagę sił. To samo się dzieje, kiedy stawia się tamę i tworzy zbiornik. Ciężar nowo powstałego jeziora wciska wodę w leżące poniżej skały. W Nowadzie, po wypełnieniu tamy Hoovera, doszło do długiej serii wydarzeń. To samo w Egipcie, za tamą Asuańską. I to samo w Zambii, w Chinach i w Indiach. W Indiach trzęsienie ziemi było dość duże. Zginęło kilkaset osób.

– Mam wrażenie, że nie spędzasz nocy na oglądaniu baseballu w telewizji.

Otworzyła trzecią teczkę, lekceważąc go.

– Krasner znika z literatury po tym jednym artykule. Nie pojawia się w żadnym magazynie chemicznym ani geofizycznym, nigdy też nie występuje na liście

American Men and Women of Science. Jeden duży artykuł, jeden akapit w „Nature”, i to wszystko. Jego teoria została na nowo niezależnie opracowana pod koniec lat siedemdziesiątych przez niejakiego Golda z Cornell. W znalezionych przeze mnie artykułach Gold raz cytuje Krasnera, pisząc, że cechowała go „zdolność przewidywania”. I to wszystko.

– Wszystko to przeczytałaś.

– Siedziałam w bibliotece.

– I robisz te podkreślenia, i wkładasz je do teczek, chociaż nie pomogą ci w doktoracie.

– Zgadza się.

– Dlaczego to robisz?

– Dlaczego? – Sprawiała wrażenie niemal urażonej tym pytaniem. – Bo jestem ciekawa.

– Jesteś ciekawa. Robisz to wszystko, bo jesteś ciekawa.

– Tak.

– I nie odniesiesz z tego żadnych innych korzyści?

– O niczym takim nie wiem.

– Po prostu ciekawość?

– Ile razy mam to jeszcze powtórzyć?

Louis wypuścił powietrze. Postukał w blat stołu. Wypuścił jeszcze więcej powietrza.

– Znowu rozmawiałaś z moją matką.

– Skąd ten pomysł?

– Tylko stąd, że ma duże udziały w Sweeting-Aldren.

– Nie wiedziałam o tym. To rzeczywiście bardzo ciekawe. Ale z nią nie rozmawiałam i z całą pewnością o tym nie wiedziałam. – Lekko zadrzała, próbując się otrząsnąć z jego mglistych insynuacji.

– Mów dalej – zaproponował.

– W zasadzie nie ma nic więcej. To tylko... No wiesz. Tak jak mówiłeś. Moja mała prezentacja.

– P r z e p r a s z a m. Chcę usłyszeć dalszy ciąg. Napij się piwa. Opowiedz mi resztę.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła mówić do stołu, zarazem intensywnie korzystając z mowy ciała, jakby chciała bezpośrednio zainteresować Louisa; lecz utrzymanie klarowności wypowiedzi i jednocześnie kontaktu wzrokowego wyraźnie przekraczało jej możliwości.

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku Sweeting-Aldren pławi się w pieniądzach, głównie z powodu Wietnamu. Pracuje u nich ekipa naukowców, a tu ten cały Krasner wyskakuje z teorią, że Massachusetts siedzi na oceanie ropy naftowej. Firma postanawia sfinansować odwiert, żeby sprawdzić, czy facet ma rację, tyle że wydarza się coś, co powoduje, że zmieniają zdanie odnośnie do tego, gdzie go zrobić. Kto wie, co to mogło być. Może doszli do wniosku, że skoro ogromne zasoby ropy naftowej znajdują się pod zachodnią częścią Massachusetts, to powinny być też pod wschodnią częścią stanu, a tam mają swoje tereny.

Jedynym powodem prowadzenia wierceń w zachodnim Massachusetts jest to, że podobno warunki geologiczne w tym miejscu nie pasują do złóż ropy. Ale co ich obchodzi teoria Krasnera? Oni się martwią, jak wyciągnąć pieniądze z tej dziury, jeśli się okaże, że nie dojdzie do samoczynnego wytrysku nafty. Ważne jest też to, że w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku ludzie zaczynają myśleć o środowisku naturalnym, zwłaszcza o zanieczyszczaniu wody, więc moim zdaniem firma postanawia, że jeśli ta głęboka studnia okaże się sucha, będą w nią pompować ścieki przemysłowe. Tymczasem Krasner przechodzi na emeryturę albo umiera czy też otwiera sklep z antykami. Albo w ogóle był to tylko pseudonim.

– I pompują ścieki przemysłowe do...

– A potem to, co mówił chłopak twojej siostry – na dźwięk głosu Louisa jeszcze bardziej skoncentrowała się na blacie stołu – że n a w e t t e r a z firma każdego roku pozbywa się pięciu milionów litrów ścieków. Ale w gazecie, w zasadzie codziennie przez ostatnie dwa tygodnie... – otworzyła kolejną teczkę, pełną wycinków z „Globe’a”, jak zauważył – zarówno firma, j a k i Agencja Ochrony Środowiska twierdzą, że firma niczego nie wpuszcza do rzeki Danvers, z wyjątkiem czystej, nieco oleistej cieplej wody. Ten zakład jest wzorem nietruciciela.

Zastanowił się: I pompują ścieki przemysłowe do...

– W takim razie, gdzie wiercili? To oczywiste, że musieli to robić w odległości kilku kilometrów od zakładu w Peabody. Rzecz w tym, że zanim coś się wydarzy, można przez długi czas pompować płyn do otworu. Trzeba go wiele, żeby tak zwane ciśnienie porowe wzrosło do poziomu krytycznego, kiedy skała zaczyna rozładowywać wewnętrzne naprężenia za pomocą sejsmicznych pęknięć. To wcale nie tak mało prawdopodobne, że Sweeting-Aldren pompowała ścieki przez cały czas, od początku lat siedemdziesiątych aż do połowy osiemdziesiątych, i nic się nie wydarzyło. Ale nagle, powiedzmy w styczniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku, osiągnęli poziom krytyczny i zaczęły się małe trzęsienia ziemi. Seria wstrząsów ciągnie się przez cztery miesiące, po czym ustaje, co moim zdaniem świadczy o tym, że firma się przestraszyła i wstrzymała pompowanie. Następnie przez kilka lat wszystko jest w porządku, a potem, jakieś dwa tygodnie po pierwszym trzęsieniu w Ipswich, nagle znowu zaczynają się wstrząsy w Peabody, których z wydarzeniami w Ipswich nie da się powiązać inaczej, jak tylko przez zbieżność o niskim poziomie prawdopodobieństwa. W gazetach piszą też o Lynn, ale obszar epicentrów jest taki sam jak podczas tej serii w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku. Ale co się działo z wszystkimi tymi odpadami, które firma normalnie pompowałaby pod ziemię? Przestali to robić

w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym, więc najprawdopodobniej musieli gdzieś przechowywać ścieki, a to na pewno im nie odpowiadało. I może czekali na jakieś odpowiednie lokalne trzęsienie ziemi, żeby znowu pełną parą zacząć pompowanie w Peabody, bo byli przekonani, że wszystkie nowe trzęsienia ziemi będą kojarzone z wydarzeniami w Ipswich. Być może to, co rozlało się w Wielkanoc, było jakimś odpadem, który składowali od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego. Może doszli do wniosku, że muszą jak najszybciej i w jak największych ilościach wpakować to pod ziemię, cokolwiek by się miało dziać. I rzeczywiście, po jednym czy dwóch tygodniach mamy więcej wstrząsów w Peabody.

Skończywszy wreszcie, Renée odrzuciła włosy z czoła i po raz kolejny pociągnęła solidnie z butelki, zamykając się w sobie i wyraźnie starając się nie oczekiwać żadnej reakcji. Louis wpatrywał się w stojącą przy kranie jej głębokiego białego zlewu butelkę płynu do mycia naczyń. Kuchnia zrobiła się jaśniejsza i mniejsza. Odchylił się na krześle, tak że miał Renée bezpośrednio przed oczami.

– Możesz jeszcze raz przeczytać ten artykuł z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku o tym, że to nie może być z otworu?

Posłusznie otworzyła odpowiednią teczkę.

– „Jednak względnie duża głębokość...”?

– Tak! Tak! To jest dowód, prawda?



– „... (to znaczy średnio trzy kilometry głębiej niż najgłębsze komercyjne szyby służące do składowania odpadów) najprawdopodobniej wyklucza taki mechanizm. Ponadto w promieniu dwudziestu kilometrów wokół miejsca aktywności nie funkcjonują żadne licencjonowane otwory zasilające...”

– Te szlamy! Te szlamy! To wspaniałe! – Louis nachylił się nad stołem, przyłożył dłonie do jej uszu i pocałował Renée w usta. Następnie zaczął chodzić po pomieszczeniu, uderzając pięścią w dłoń.

– Wiesz coś o tych ludziach? – zapytała.

– To szlamy!

– Spotkałeś się z nimi.

– Mówiłem ci, moja mama ni z tego, ni z owego została kimś w rodzaju głównego akcjonariusza. Spotkałem ich na pogrzebie babci. To klasyczne korporacyjne świnię. – Chwyciwszy Renée pod pachy, podniósł ją z krzesła, żeby móc ponownie ją przycisnąć i pocałować. – Jesteś niesamowita. Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu sobie usiadłaś i do tego wszystkiego doszłaś. Jesteś wspaniała.

Uniósł ją i postawił z powrotem na podłodze. Popatrzyła na niego, jakby w nadziei, że nie zrobi tego ponownie.

– To nielegalne, prawda? – Podsunął okulary w górę spoczonego nosa. – Pompowanie odpadów pod ziemię bez odpowiedniego zezwolenia?

– Tak sądzę. W przeciwnym razie, po co dawać zezwolenia?

– Ha! A jeśli te trzęsienia ziemi wywołują szkody, to firma za to odpowiada, tak?

– Nie wiem. Teoretycznie tak. Przynajmniej za wszystkie szkody w pobliżu Peabody. Z ich strony jest to raczej poważne zaniedbanie. Może to być jednak trudne do udowodnienia, jeśli mamy do czynienia z większym trzęsieniem ziemi w pewnej odległości i trzeba spekulować, czy to, co zrobili w Peabody, zapoczątkowało bardziej rozległe uwolnienie naprężeń.

– Myślisz, że to możliwe? Czy może do tego dojść? Można w ten sposób wywołać trzęsienie ziemi? Boston zostaje zmieciony z powierzchni ziemi, a firma ma za to zapłacić? – Z każdą sekundą Louisa ogarniała coraz większa euforia.

– To bardzo mało prawdopodobne, żeby Boston został zmieciony z powierzchni ziemi – odparła Renée. – I chociaż wiele się mówi o zdarzeniach, które wywołują inne zdarzenia, bardzo trudno jest wykazać wyraźny związek przyczynowy. Można mówić, że wydarzenie z szóstego kwietnia wywołało wydarzenie wielkanocne, ale jeśli nie wiesz, co powoduje, że trzęsienia ziemi pojawiają się właśnie w danym momencie, a tego nie wiemy, równie dobrze zamiast „wywołują” możesz powiedzieć „poprzedzają”.

– Ale jeśli pierwsze trzęsienie ziemi jest wywołane

przez pompowanie, a potem masz wielkie...

– To byłby argument, tak. Ale nie byłby to argument niepodważalny.

– Jeśli jednak chodzi o to wszystko, co się dzieje tam, gdzie pompują, miałabyś dobry argument.

– Tak sądzę. Do procesu cywilnego. Prawdopodobnie dla towarzystwa ubezpieczeniowego.

– W takim razie pozostaje jedynie pytanie: czy od razu oskarżamy ich za łamanie prawa przez te wszystkie lata, czy też c z e k a m y, żeby się przekonać, czy nie wydarzy się coś gorszego, a wówczas obarczymy ich odpowiedzialnością również za to.

– Masz na myśli to, żeby zaczekać i zobaczyć, czy zginą jacyś ludzie?

– Tak!

– Wiesz co? – Renée pozbiierała teczki i przycisnęła je do piersi. – Najwyraźniej żywisz jakąś urazę do tych ludzi, natomiast ja, oczywiście, nie, chociaż jeśli się nie mylę, zgadzam się, że to naprawdę wstrętne. Ale wciąż jeszcze nie zdecydowałam, co zamierzam z tym zrobić. – Pierwsza osoba liczby pojedynczej przemówiła własnym głosem. – Trzęsienia ziemi w Peabody budzą powszechne zainteresowanie naukowców. Mogę przeprowadzić nieco więcej badań, a potem porozmawiać z ludźmi z MIT i Boston College. Należałoby też skontaktować się z Agencją Ochrony Środowiska, może też z prasą. Jeśli firma rzeczywiście wywołuje niszczycielskie trzęsienia

ziemi, wolałabym nie mieć tego na sumieniu.

– Dlaczego miałabyś mieć to na sumieniu?

– Bo być może jestem w stanie im zapobiec.

Louis był autentycznie zaskoczony.

– Naprawdę w to wierzysz? W służbę ludzkości i tego typu sprawy?

W spokojnych górnych partiach twarzy Renée nagle rozgorzał potężny piec, jakiś zespół białych palników gniewu.

– Nie powiedziałybyśmy tego, gdybym w to nie wierzyła.

– Tak, jasne, ale kto może wiedzieć, na czym polega służba ludzkości? Jeśli odpuścimy tej firmie, zanim zdarzy się coś gorszego, może uratujemy życie kilku osobom. Ale jeśli zaczekamy, aż wydarzy się coś rzeczywiście złego i wtedy podniesiemy alarm, będzie to k o m u n i k a t. Może ludzie w końcu zobaczą, jakie rekiny rządzą tym krajem. I być może właśnie to będzie prawdziwe działanie w służbie ludzkości.

– Dobra, Louisie. – Fakt, że wymieniła jego imię, i ta jej nagła uśmiechniętość przyprawiły go o dreszcze. Była jedną z tych osób, których dezaprobaty się obawiał. Wcisnęła mu w ręce stos teczek. – Są twoje. Uważam, że powinieneś pokazać je gościowi w MIT, niejakiemu Larry'emu Axelrodowi, i Agencji Ochrony Środowiska. Słyszysz? Mówię ci, co należy zrobić, a jeśli nie chcesz, to twój problem, a nie mój. Jasne?

– Zaczekaj, zaczekaj. – Roześmiał się rozbrajająco. – Chyba jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

– Przespałam się z tobą, i to tylko raz.

– Jeśli zaczniemy rozpowszechniać tę wiadomość, co zrobi firma? Wszystkiemu zaprzeczy. Zrównają wszystko z ziemią i prawdopodobnie zaczną robić z tymi wszystkimi odpadami coś jeszcze gorszego, a wtedy nic ci to nie da, nawet satysfakcji, że miałaś rację.

– Decyzja należy do ciebie.

– Przeprowadzimy małe dochodzenie. Pogadamy z moim przyjacielem Peterem. Pojedziemy do Peabody i rozejrzemy się. Może porobimy zdjęcia. Będziemy mieli wtedy jakieś niezbite dowody, z którymi można będzie pójść, do kogo trzeba.

– Sama wykonałam tę pracę, chyba wiesz. Nie paliłam się do tego, żebyś tu przychodził i robił z siebie mojego partnera.

– Przecież mówię ci, jaka jesteś niesamowita...

– Jak psu, który był grzeczny? Potrafię aportować?

– Och, w takim razie dobrze. – Wrzucił teczkę w pustą przestrzeń między lodówką i ścianą, gdzie Renée trzymała starannie poskładane zapasowe papierowe torby. – Zatrzymaj to sobie. I zatrzymaj też sobie swoją krótką fryzurę. I twoje małe kolczyki, i twoje małe uśmieški, i twoje schludne małe mieszkanko. Twoje teczuski. I twoje teorie, twoje skrupuły i twoją dawną współlokatorkę, i dawnych znajomych. Wiesz, to całe

małe, schludne, doskonałe życie. Po prostu zatrzymaj je sobie.

Szum wentylatora w oknie był teraz dźwiękiem toczącego się nieszczęścia, stale rozwijającego się, a jednak zawsze takiego samego, dźwiękiem odznaczającym każdą sekundę minut i godzin, w których nic nie zmieniało się na lepsze. Czas płynął wzdłuż osi biegnącej przez środek wentylatora, a końcówki łopatek kreśliły wokół niej nieskończone spirale.

– Nawet cię nie znam – odezwała się Renée. – I właśnie mnie zraniłeś. Nie było do tego żadnego powodu. Nic ci nie zrobiłam, tylko do ciebie nie zadzwoniłam.

– I powiedziałaś, żebym spadał.

– I powiedziałam, żebyś spadał. To prawda. Rzeczywiście powiedziałam, żebyś spadał. Wszystko, co powiedziałeś, to prawda. Ale to wcale nie znaczy, że jesteś choć trochę lepszy ode mnie. Jesteś tylko lepiej schowany. A ja czuję się taka zażenowana. – Wyszła z pomieszczenia lekko chwiejnym krokiem, trzymając sztywno ramiona i powtarzając: – Czuję się tak zażenowana.

Louis wypił drugie piwo, wsłuchując się w dźwięk wentylatora. Mniej więcej po pół godzinie zapukał do drzwi sypialni. Kiedy nie odpowiedziała, otworzył je i podążył za trójkątem światła do ciemnego, dusznego pokoju. Nigdzie jej nie widział. Dopiero kiedy już zajrzał

za łóżko i biurko, i za zaciągnięte rolety, zauważył światło sączące się zza drzwi szafy wnątkowej, do której biegł kabel zasilający z gniazdka. Zapukał.

– Tak?

Siedziała po turecku na podłodze szafy, pochylona nad lampą. Strony czytanego przez nią „The New York Times Magazine” pokryte były wielkimi pomarszczonymi kropkami od spływającego jej z głowy potu. Przewróciła oczami i spojrzała na niego.

– Czego chcesz?

Przykucnąwszy, wziął jej gorące, bezwładne dłonie w swoje ręce. Na dworze ptaki ćwierkały ze złością.

– Nie chcę odchodzić – powiedział. Czuł, że wywraca mu się żołądek; przypisywał to przyprawiającemu go o mdłości pragnieniu szczerości. W rzeczywistości jednak problemem była podłoga, która się ruszała. Przemykający przez twarz Renée wyraz paniki był tak czysto komiksowy, że o mało się nie roześmiał. W tym momencie lewa część ościeżnicy drzwiowej przechyliła się w jego stronę, a on spróbował podnieść się z kucek, jak surfer, który chwycił falę; ościeżnica po lewej się odsunęła, podczas gdy ta z prawej uderzyła go bodiczkami i powaliła na tyłek. Renée walczyła z ubraniami i wieszakami, wśród których się znalazła, wstając. Nadepnęła na Louisa, który jednak nie stanowił dobrego punktu podparcia, i potykając się, wypadła z szafy. Tymczasem przewracały się różne przedmioty,

a po podłodze toczyły się ołówki i pióra, zbląkane, wibrujące i podskakujące, jak krople wody na rozgrzanym oleju. Słysząc też było głęboki dźwięk, będący mniej dźwiękiem niż samą ideą dźwięku, tonieniem człowieka w świecie fizycznym. A potem już tylko miniaturowy łoskot, czysty i dziwnie osobisty, butelki po piwie przemierzającej podłogę w kuchni.

– Przepraszam, że na ciebie nadepnęłam – odezwała się Renée.

– Nadepnęłaś na mnie?

Chodzili po zabałaganionym mieszkaniu, nie zważając na siebie nawzajem. Dziecko na dole płakało, ale dobermany na parterze albo były cicho, albo wybrały się gdzieś wieczorem i zjadały pieczone żeberka. Louis wziął dwie butelki po piwie i zapomniawszy, że zamierzał postawić je na kuchennym stole, łąził z nimi z pokoju do pokoju, aż w końcu zostawił je na fotelu. Był oszołomiony i wyzuty z wszelkiej godności, jakby właśnie miał za sobą pierwszy pocałunek. W przedpokoju wpadł na Renée trzymającą w dłoni słoik z ołówkami.

– Czuję się, jakby ktoś mnie łaskotał – powiedziała, unikając jego ramienia, którym chciał ją objąć. – Tak bardzo, że wystarczy dotknięcie... – Odgoniła go ruchem łokcia...

Słoik poleciał przez przedpokój, szkło pękło z trzaskiem, a ołówki podskoczyły melodyjnie. Louis połaskotał ją w drżący brzuch, a ona uderzała go po



rękach i żebrach, nie robiąc mu najmniejszej krzywdy i prawie bez przerwy krzycząc. Ubrania były częściowo zdjęte, części ciała obnażone, szyje wygięte, twarda podłoga przeklinana. Całowali się całymi głowami, jak kozły śnieżne. To, co się działo, mniej przypominało seks, a bardziej zderzenie, klaskanie i zaciskanie rąk wielkości całych ciał, odtworzenie silnego wstrząsu; chciało się z nich wydobyć coś innego niż tylko zaspokojenie. Louis doszedł gwałtownie, ale ledwo to zauważył, tak bardzo był skupiony na tym, jak Renée się pod nim wiła. Sprawiała wrażenie, jakby starała się go zrzucić, nawet gdy jeszcze się zderzali, a w końcu zderzyli się tak mocno, że w efekcie się rozdzielili i wciąż drżąc jak dzwony, usiedli wsparci o przeciwległe ściany w obscenicznym nieładzie, skuci w kostkach kajdanami poskręcanych dżinsów i majtek. Gdzieś dalej w przedpokoju leżało rozbite szkło i napęczniały tampon, na końcu krwawego śladu hamowania.

Renée zmarszczyła brwi.

– Skaleczyłam się w rękę.

Louis odnalazł okulary i przyczołgał się do niej, żeby się przyjrzeć. Na jej dłoni zobaczył półkolisty kawałek luźnej skóry, sinawą rybią łuskę otoczoną szkarłatnymi strużkami i pomarańczowymi plamami.

– Boli?

– Nie.

– A poza tym wszystko w porządku?

Spojrzała w dół na kostki u nóg.

– Chyba nie można zostać przyłapanym w bardziej upokarzającej pozycji. Ale poza tym w porządku.

Jedno po drugim myli się w całkowicie antyseptycznej łazience, nie licząc może tego, że podczas opatrywania ręki Renée z niewiadomego powodu zostawiła w umywalce opakowanie po plastrze. Louis otworzył apteczkę i znalazł kosztowne środki do demakijażu, podstawowe lekarstwa, galaretkę z nonoksynolem, trochę nici dentystycznej.

Renée otwierała piwa w kuchni. Wentylator wypadł z okna, wyciągając wtyczkę z gniazdka, i nadal leżał na podłodze. Louis zabrał się do włączania radia.

– Nie – zaprotestowała.

– Z czego słuchasz muzyki?

– Z radia. Ale nie chcę słyszeć o trzęsieniu ziemi. Ani nawet... o niczym innym.

– Nie masz żadnych taśm?

Oparła się o stół i napiła piwa.

– Nie mam... żadnych taśm.

– A co to jest? – Uniósł taśmę.

Przyjrzała się jej poważnie.

– To taśma.

– Ale nie z muzyką?

Kilka razy próbowała coś powiedzieć, pohamowywała się jednak za każdym razem.

– Chyba jesteś trochę wścibski.

– Zapomnij, że pytałem.

– Jest tam jedna piosenka. Nigdy jej nie słucham. Nie ma dla mnie żadnego specjalnego znaczenia, to po prostu piosenka. Chcesz mnie spieszyć?

– Tak. Tak, niczego bardziej nie pragnę.

Usiadła ze skrzyżowanymi nogami na krześle i objęła się rękami, przykrywając wyzierającą przez ubranie nagość.

– Chodzi o to, że kiedy miałam siedemnaście lat...

– Ja miałem wtedy dziesięć!

– Dzięki, że o tym wspomniałeś.

Louis się zastanawiał, jakież okropne wyznanie zaraz usłyszcy.

– Byłam wielbicielką punka – zaczęła. – A może powinnam powiedzieć nowej fali? Ach, te słowa. – Objęła się mocniej. – Trudno mi je w ogóle wypowiadać. Ale w tamtych czasach byłam bardzo szczęśliwa. I wciąż mi zależy, żeby ludzie wiedzieli, że w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym i tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku widziałam Elvisa Costella cztery razy. Ale trzeba tyle wyjaśniać, że wówczas był inny i że ja byłam inna. Chcę, żeby to zrobiło na ludziach wrażenie, ale tak nie jest. David Byrne opryskał mnie śliną, zanim stał się taki radosny. Stałam tuż pod sceną. Dostałam piórko od Grahama Parkera, dał mi je własnoręcznie.

– Poważnie? Mogę je zobaczyć?

– Fascynujące. Naprawdę. Widziałam The Clash, Buzzcocks i Gang Of Four. Peszę się, wypowiadając teraz te nazwy, ale ja ich widziałam i znałam teksty ich piosenek, i wszyscy byli tacy świetni, aż w końcu zrobili się tacy beznadziejni.

– Byli wspaniali – stwierdził Louis. – W liceum byłem krótkofalowcem. Wymieniałem się tekstami Nicka Lowe’a z takim gościem w Eau Claire, w stanie Wisconsin, za pomocą alfabetu Morse’a. „Zwycięczynią była / jako obiad dla pieska skończyła”? Di-di-dit di-di-dit...?

Renée najwyraźniej myślała, że żartuje.

– Podobało mi się to podejście do życia – powiedziała. – Ale w rzeczywistości nie byłam punkiem. Prawdziwe punki przerażały mnie jak diabli. Byli brutalni i seksistowscy i prawie w ogóle nie słuchali muzyki.

– Miałaś kurtkę motocyklową?

– Zamszową – powiedziała z goryczą. – Kiedyś bardzo się z niej cieszyłam, a teraz jest źródłem dozgonnego wstydu. Kurtka zamszowa całkowicie mnie podsumowuje. Na koncerty chodziło dużo ludzi takich jak ja, ale myślę, że różniłam się od nich tym, że mnie się wydawało, że to jest t o. U w i e l b i a ł a m tę muzykę. Odnosiłam ją do swego życia, ale jak to się mówi, w hermetyczny sposób. To wszystko działo się w akademiku, w pokoju, w którym miałam kartki z tekstami. Śmiać mi się chce, kiedy pomyślę, jaka byłam

niewinna i szczęśliwa, chociaż w tamtych czasach wydawało mi się, że przede wszystkim chodzi o czarny humor, gniew i apokalipsę. Przy takich rzeczach też można być bardzo niewinnym i szczęśliwym. I wydawało się to o wiele bezpieczniejsze niż muzyka lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, bo w rzeczywistości to wcale nie było tak szczęśliwe i niewinne czy pełne nadziei. To było ciężkie i proste. Miałam te wszystkie płyty i podobały mi się c o r a z b a r d z i e j. Ciągłe ubierałam się tak, jak zespoły w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku. W ten sam sposób, w jaki się teraz ubieram, czyli w żaden, wiesz, džinsy i T-shirty. Ale nadszedł rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty i zaczęło to już wyglądać żałośnie, że wciąż słucham tylko tych starych płyt. Ale nie podobała mi się nowa muzyka, a przynajmniej trudno mi było trafić na jakieś dobre kawałki, bo już nie byłam w college'u.

Wyjęła z lodówki dwa ostatnie piwa. Louis zauważył, że za każdym razem, kiedy pociągał z butelki, ona piła ze swojej.

– Tymczasem przestałam słuchać więcej niż jednej lub dwóch piosenek naraz. Wynikało to chyba po części z tego, że nie chciałam się znudzić czymś, co kochałam. A do tego mocno to na mnie wpływało i słuchanie całego albumu zbyt mnie rozpraszało, tak że nie mogłam nic robić. Bo wiesz, ta muzyka m i a ł a wprowadzić cię na

wyższe obroty, sprawić, że będziesz zaniepokojony, rozniewany i podekscytowany, a więc nie była to odpowiednia rzecz, żeby iść z nią przez życie, bo to ten rodzaj muzyki, która po prostu nie może grać w tle. Ale najważniejsze było to, jak bardzo się wstydziłam, że wciąż jeszcze tego słucham.

– Lubisz The Kinks?

– Niespecjalnie.

– A Lou Reeda? Roxy Music? The Waitresses? XTC? Banshee? Wczesnego Bowie? Warrena Zevona?

– Niektórych z nich tak. Nigdy nie kupowałam zbyt wielu płyt, bo przestałam brać pieniądze od rodziców. Ale...

– Ale tak.

– Zaczęłam redukować liczbę płyt. Pozbyłam się naprawdę starych rzeczy, takich, które miałam jeszcze z liceum, i pozbyłam się płyt, na których była tylko jedna lub dwie dobre piosenki. Potem zaczęłam nagrywać na taśmy średnio dobre płyty i zachowywałam nagrania tylko dobrych kawałków. A później doszłam do wniosku, że to głupota mieć dużą wieżę stereo, bo ten sam efekt można mieć z małego magnetofonu. Wiesz, jesteś pierwszą osobą, z którą szczerze o tym rozmawiam. Po prostu chciałam to powiedzieć.

Spojrzeli na siebie. Lodówka zadrżała i ucichła.

– Ja też cię lubię – odrzekł Louis.

Odgarnęła włosy, zgrabnie udając, że to ją nie

obchodzi.

– Ale zostało mi około dwudziestu taśm, których słuchałam coraz rzadziej, tylko jeden lub dwa utwory raz na jakiś czas, gdy chciałam poczuć się lepiej. A czułam się dzięki nim lepiej, bo powodowały, że byłam mocna, zła i samotna, w taki pozytywny sposób. Ale później, niezauważenie dla mnie samej, zaczęły powodować, że było mi lepiej, bo dzięki nim czułam się m ł o d s z a, w taki sam sposób jak stary wystrój Restauracji Alicji sprawia, że czterdziestolatki czują się młodo. Kiedy w końcu to zauważyłam, już zupełnie nie chciało mi się słuchać tych taśm. Bo czy muszę jeszcze w ogóle kiedyś słuchać *Red Shoes*?

– Tu nie ma o czym dyskutować.

– Albo któregoś kawałka z *Give 'Em Enough Rope*? Czy nawet czegoś *The Pretenders*?

– Niezłe płyty. Mam je.

– Ja pozbyłam się wszystkich. Zredukowałam wszystko do jednego utworu, jednej mniej lub bardziej przypadkowej piosenki, której nie słuchałam od co najmniej sześciu miesięcy, a może nawet roku. Nie słucham jej. Ale też nie potrafię jej wyrzucić.

– Mogę ją puścić?

Skinęła głową.

– Oczywiście. Tylko bądź dla mnie miły. Wiem, że jesteś radiowcem.

Z małego magnetofonu popłynął gitarowy riff

otwierający pierwszą płytę Television.

– Och – powiedział Louis, podkręcając głośność. – Dobry kawałek. Zatańczysz?

– Chyba żartujesz?

– Ja też nie.

– Zatańczyłabym, gdybym miała dwadzieścia lat.

I understand all... I SEENO...

destructive urges... I SEENO...

It seems so perfect... I SEENO...

I SEE... I SEE NO... I SEE NO EVIL

– Możesz to wyłączyć?

– Czeka, Verlaine miał tutaj chyba doskonały riff. Fajnie byłoby usłyszeć tych ludzi, zanim się rozpadli. A może ich słyszałaś?

– Nie.

– Podobno byli bardzo dobrzy.

– Z tego wszystkiego zrobiła się rywalizacja. Przestałam chodzić na koncerty, bo to wyglądało, jakbym starała się ugruntować swoją pozycję jako ich bywalczyni. A i tak nic z tego nie było. Spotykałam ludzi, którzy co weekend chodzili do klubów. Ludzi, którzy widzieli The Clash przede mną. Ludzi, którzy znali się z rodzeństwem Tiny Weymouth. Ludzi, którzy przesiadywali w klubie CBGB i poświęcali dużo więcej czasu na szpanowanie. Może to była z mojej strony tylko samoobrona, ale zaczęłam gardzić tymi ludźmi i tym, że wszyscy stale starają się odkryć coś nowego. Doszłam do wniosku, że to po prostu żalotne. Ale wciąż się ich bałam. Bałam się,



że się dowiedzą, jak bardzo kocham muzykę, z którą dorastałam. Wydawało się, że jedynym sposobem, w jaki można było rywalizować z tą ich całą oryginalnością, jedynym sposobem, żeby ochronić moją miłość, było znienawidzić muzykę. Co nie było akurat szczególnie oryginalnym rozwiązaniem, ale przynajmniej byłam chroniona. I wcale nie jest tak trudno znienawidzić rock and rolla.

– Trudniej z jazzem i muzyką klasyczną.

– Dla mnie to żaden problem. Po prostu myślę o osobowościach ludzi, którzy słuchają takiej muzyki do obiadu, a nawet gorzej, ludzi, którzy naprawdę ją kochają. Jacy czują się zadowoleni z siebie, wiedząc, kto grał u Charliego Parkera na perkusji w tysiąc dziewięćset którymś tam i jaka jest kolejność pieśni w *Czarodziejskim flecie*. Bardzo mnie to stresuje, kiedy muszę być odpowiedzialna za swoje gusta i na tej podstawie decyduje się, kim jestem. Jeśli nie jesteś artystą, a ja zupełnie nie jestem, a i tak musisz podejmować te estetyczne decyzje... Dlatego punk mi tak odpowiadał. To styl, który wybrałam, zanim zaczęłam zbyt wstydzić się stylu. Nie musiałam przeproszać siebie samej. Ale potem stałam się starsza i nagle się okazało, że i tak mnie to definiuje, i to w niezwykle żałosny sposób. A do tego nagle wszyscy poniżej czterdziestki nosili skórzane kurtki, okulary przeciwsłoneczne z lat pięćdziesiątych i punkowe ubrania i wszyscy czuli się naprawdę fajnie.

W tym momencie można było zwrócić się w stronę jazzu, tyle że to sztuka, a jak tylko coś jest sztuką, od razu pojawiają się eksperci. Tylko czy chcę być jednym z tych ekspertów, którzy starają się być mądrzejsi od innych? Jeśli zaś nie jesteś ekspertem, to możesz sobie czegoś słuchać i coś lubić, a potem się okazuje, że uważa się to za sentymentalne lub banalne czy jakieś tam. I z doświadczenia wiem, że ludziom bardzo brakuje wiary w siebie, więc nigdy nie zawahają się poinformować cię, że to, co im się podoba, jest bardziej oryginalne i lepsze niż to, co lubisz, albo że to, co ci się podoba, im podobało się już dużo wcześniej, zanim spodobało się to tobie... A ja nawet nie mam c z a s u. Tak samo jest z muzyką afrykańską i latynoską. Przeraża mnie, że będę inkryminowana przez tych wszystkich obłudnych ekspertów. Albo stwierdzą, że mam zły albo nieoryginalny gust. Idealnym rozwiązaniem byłoby radio, tyle że tak wiele z tego, co grają, jest beznadziejne.

*I'm running wild with the one I love*

*I see no evil...*

*I'm running wild with the one-eyed ones*

*I see no evil...*

*Pull down the future with the one you love*

Louis wyłączył magnetofon.

– Chodź, przywieziemy coś z mojego mieszkania.

– Możesz prowadzić?

– Mówisz jak prawdziwy punk.

Na schodach Renée oświadczyła:

– Czas na bycie punkiem skończył się piętnaście lat

temu. Próbować być nim teraz to po prostu skrajna żenada.

– Anarchia to bardzo stary pomysł – odparł, oddychając przez usta, kiedy przechodzili przez strefę psów.

Na dworze, na Pleasant Avenue, skończyło się już święto, był tylko środek czwartkowej nocy. Było chłodno, w powietrzu wisiała zapowiedź rosy. Louis jechał na tyle szybko, na ile starczyło mu odwagi i w upojeniu udawało mu się uchwycić tylko mniej więcej jedną na trzy czy cztery mijające sekundy. Odległe, upiorne dźwięki nocnych syren tworzyły poduszkę hałasu, na której opony zdawały się sunąć i podskakiwać jak narty wodne. Tuż na wschód od Davis Square honda civic zanurzyła się w tunel bezsilności, w którego głębi obracały się niebieskie koguty. Dwie oświetlone tylko przez jarzące się miejskie chmury postaci z wysiłkiem próbowały wepchnąć coś, co wyglądało na pudło z alkoholem, w boczną uliczkę.

– Szabrownicy! Czy to byli szabrownicy? Tak, to byli szabrownicy!

W jego mieszkaniu paliły się światła. Większe meble nie zostały ruszone, ale wykonany z popiołu z Mount St. Helens wazon spadł ze ściennego regału i rozbił się na dwie części, a kilka krzeseł w jadalni odsunęło się od stołu. Za zamkniętymi drzwiami pokoju Toby'ego stękała i cykała drukarka igłowa. Renée, zwijając się w kształt

lityry U, przysnęła na materacu Louisa. Musiał odłożyć zebrane już piwo, gin i taśmy, żeby postawić ją na nogi.

Kiedy wrócili do jej mieszkania, szybko otworzyła butelki z piwem.

– Jaką muzykę najbardziej lubisz? – zapytała.

– Nie wierzę w coś takiego jak ulubiona muzyka. Nie mam żadnej. To mój ulubiony kawałek, momencik. – Ustawił wysoki poziom głośności.

I love the sound of breaking glass.

Especially when I'm lonely.

I need the noises of destruction.

When there's nothing new.

– Niezłe. Kto to?

– To? Mój Boże. Wielki Nick Lowe. To klasyka.

– Ile to ma lat?

– Jest z epoki brązu. Zaczekaj. – Louis zatrzymał piosenkę. – Puścimy coś, co jest prawie tak stare jak ja. Wszyscy lubią tę płytę. To klasyka. Nigdy się nie zestarzeje. Czy nie na tym polega klasyka?

– Nie ma nic bardziej żalosego, jak stacje radiowe grające klasycznego rocka.

– Czy to jest żalose?

Puścił album *Exile on Main Street*.

– Nie – odparła Renée. – Ale wydaje mi się, że mnie nie rozumiesz.

– Mogę od teraz do przyszłego czwartku grać ci kawałki, które są stare, ale nie żalose.

– Zgadza się. Bo jesteś jednym z tych ludzi. To

znaczy, jesteś z radia. To twoja praca.

– W takim razie nie narzekaj. Ja już zadbam o muzykę dla ciebie. Czy czuję się jak stary pryk, kiedy tego słucham? To nie jest jakiś tam James Taylor. To jest brudne, bliskie korzeni. I dobre.

– Może dla ciebie. Dla mnie to po prostu retro. I choć teraz wydaje się słodziutkie, nic z tego nie zostanie. Żadne z tych uczuć nie pozostaje na długo.

Nadal dotrzymywała mu kroku w picciu piwa. Tuż przed trzecią taśma wreszcie zakończyła się utworem *Soul Survivor*. Pili gin i podawali go sobie z ust do ust, aż Louisowi wszystko spłynęło po szyi. Jakiś szop pracz podszedł do okna, przycisnął gumowy nos do znajdującej się w nim siatki i wcisnął łapę przez dziurę.

– Mój szop! – wykrzyknęła Renée, chwiejnym krokiem zmierzając do okna. – To mój szop, odwiedza mnie. Przychodzi... czasami. Och! – wrzasnęła tragicznie. – Jest ranny! Popatrz, jest ranny. Mówię, popatrz. Jest ranny. Widzisz, rozciął sobie pyszczek. Wchodzi po rynnie i przychodzi do okna. Lubi ziemniaki, ale nie mam ziemniaków. I jest taki uroczy, ale, o rany, chyba kręci mi się w głowie.

Louis od pięciu minut siedział przy stole z otwartymi ustami i ze zmarszczonymi brwiami.

– To nie jest mój szop, ale przychodzi tu... często. Pewnie gdzieś tu mieszka. Mam jabłko – powiedziała do zwierzęcia, które chwyciło za górną krawędź siatki

i ostrożnie przekładało tylną łapkę przez dziurę, kręcąc głową i wężąc, zrażone stromością ściany nad oknem. – Już idę z jabłkiem – powiedziała Renée, która przybiegła z dwiema ćwiartkami jabłka Golden Delicious na spodeczku i uniosła siatkę o dwa centymetry. – Nie ma go! – stwierdziła. – Nie ma go. Nie ma go. Nie...

Nagle poszarzała na twarzy. Dopadła zlewu i wypróżniła do niego żołądek, po czym opadła na kolana, pozostawiając ręce zwisające z krawędzi. Louis oddawał się podobnym zajęciom w łazience. Jakiś czas później leżała na kuchennym stole, a on gonił rozwijającą się rolkę ręczników papierowych aż do kąta sypialni, gdzie ponownie zwymiotował. A potem spał w przedpokoju, złożony głową na zabłoconym chodniku, Renée zaś leżała pod biurkiem, z twarzą wtuloną w ścianę i wystającymi na zewnątrz nogami. Odblaskowe paski na jej adidasach jarzyły się w świetle żarówek włączonych w łazience i kuchni. Toaleta była w bezruchu. Zlew był w bezruchu. Ściany były w bezruchu. Lodówka ucichła, a kula dźwięku niezmiernie nabrzmiała, obejmując autostrady, z których do Pleasant Avenue docierało ledwo kilka fal niskiej częstotliwości, żeby zaraz wygasnąć, stukoczący od przejeżdżających cystern odcinek toru kolejowego gdzieś na północnym przedmieściu oraz drobne echa brzęczenia samochodu z podrasowanym silnikiem, wyjeżdżającego z Bostonu autostradą McGrath na dalekim wchodzie Somerville. Kuchenka

tyknęła, jeden raz. Światła przygasty, o czterdzieści lumenów, jeden raz. Wschodnia ściana wpatrywała się w zachodnią, a północna w południową, nie mrugając w tym zmieniającym się świetle. Między papierowe torby zsunęła się jedna szara teczka, a inne ziewały; powietrze nie ruszyło się choćby odrobinę, żeby przesunąć kserokopie czy łopatki leżące pod oknem wentylatora. Stół stał na podłodze. Na blacie roztrzaskał się kieliszek do wina. Wszystkie kawałki wciąż leżały dokładnie w tych miejscach, gdzie spoczęły, jakby szkło nadal było w całości i można je było widzieć w całości, gdyby tylko dało się naprawić lukę w czasie. Na podłodze dodatkowego pokoju leżały rozrzucone książki. W fotelu umościły się dwie butelki po piwie. Fotel tkwił w bezruchu. Nieruchome półki na książki w ciszy dźwigały swój ciężar. Ściany przenosiły ciężar sufitu. Sufit był nieruchomy. Jedenaście butelek po piwie na kuchennym parapecie, zielonych w nierozszczepionym świetle żarówek. Jedenaście podrygujących, pobrzękujących butelek. Spadły z parapetu lśniąca zieloną falą, część z nich wylądowała na wentylatorze, część się rozbiła. W szafkach głucho odgłosy, stół się kołysał, drzwi obracały na zawiasach. Zawaliła się wieża kaset. Za kuchenką tańczyły okruchy. Woda w toalecie chlupotała, panele brzęczały.

Ciało w przedpokoju w bezruchu. Ciało pod biurkiem w bezruchu. Wszystko w bezruchu.

Po tej nocy dwóch trzęsień ziemi teczki na temat Sweeting-Aldren i mikrowstrząsów w Peabody przez piętnaście dni leżały nietknięte za lodówką. Coś w rodzaju przesądu powstrzymywało zazwyczaj uporządkowaną Renée przed odłożeniem ich na miejsce podczas sprzątanía mieszkania – przesądu, a może i wstrętu, takiego, jaki czuł Louis, kiedy spojrział na nie przypadkowo, i takiego, jaki czuł do swojego sprzętu radiowego w tych tygodniach, zanim go sprzedał, a także takiego, jaki wywoływała w nim sama myśl o alkoholu przez kilka dni po tym, jak się upili.

Renée przywiązywała wielką wagę do „faktu”, że chociaż szybko doszedł do siebie i spędził następny ranek na sprzątaníu mieszkania, zwymiotował wcześniej niż ona. Louis miał pewne wątpliwości co do tej chronologii i zaskoczyła go gwałtowność, z jaką ona, wciąż blada i niepotrafiąca dłużej ustać na nogach, trzymała się swojej wersji. Wyglądało na to, że chyba stara się być szczególnie złośliwa w tej sprawie.

W sobotę, obudzony zapachem pieczonych angielskich muffinek, na kuchennym stole znalazł klucz do mieszkania. Kręcił nim i kręcił na kółku, do którego klucz był przyczepiony. Pojechał do swojego mieszkania i zabrał stamtąd trochę żywności i sprzętu. Po południu poszedł do położonego w East Cambridge mieszkania swojej koleżanki Beryl Slidowsky i trochę u niej posiedział. Kiedy rozmowa zesła na czwartkowe



trzęsienie ziemi, które, jak się dowiedział z „Globe’a”, miało miejsce w okolicy Peabody, nie tylko udało mu się nic nie wspomnieć o teorii Renée, ale też zaprzeczył, zupełnie bezsensownie, że sam cokolwiek poczuł. Beryl pracowała obecnie jako wolontariuszka w bostońskiej publicznej stacji WGBH. Nie była w stanie pomóc mu w znalezieniu pracy, ale stosownie oburzyła się przejęciem WSNE przez Stitesa. Obwiniąca za to Libby Quinn. Przez Libby – albo przez kogoś innego – rzeczywiście nabawiła się wrzodów; pokazała Louisowi buteleczkę z Tagametem.

Właśnie głośno słuchał The Sugarcubes, kiedy Renée wróciła z pracy, niosąc torbę artykułów spożywczych.

– Kolacja? – zapytał.

Rzuciła mu opakowanie z DeMoula’s, w środku było coś, co przypominało rybę.

– Ryba! A ja jadam ryby? – Patrzył, jak wkłada zakupy do szafki. – Kiedy przyjechali tu moi rodzice, podałem przegrzebki w ziemniaczanym purée. Zamówiłem je, żeby zrobić na matce wrażenie moimi francuskimi zdolnościami. W tym lokalu przygotowywali błyskawiczne purée ziemniaczane, jak na letnim obozie. Jest bardzo znany.

Przerwała milczenie:

– Chcesz, żebym zaczęła opowiadać o słynnych restauracjach rybnych w Bostonie? Mogę to zrobić, jeśli chcesz. Mam dużo do powiedzenia na ten temat.

– Co to za ryba?

– Dorsz.

– Sama to kupiłaś? – Położył palce na jednym z szerokosłoistych filetów. – Nikt cię na to nie namówił? Sama postanowiłaś, że dziś wieczorem będę jadł dorsza?

– Zgadza się.

– Miałaś chęć na dorsza? Zobaczyłaś dorsza i zdecydowałaś się go kupić?

Pociągnęła nosem.

– Kupiłaś jakąś wątróbkę na jutro?

– Prawdę mówiąc, pomyślałam, że jutro ty mógłbyś kupić jedzenie.

– Cholera – przeprosił. – Oczywiście. Kupię. Kupiłbym dzisiaj, ale nie mogłem się z tobą skontaktować.

– Powiedziałaś, że możesz kupić jutro. Czy ja się skarżę?

– Nie, nie skarżysz się.

Kucnęła, żeby powkładać warzywa w poźółkle plastikowe szuflady lodówki Fiat.

– Wcale nie jestem przekonana, czy to dobry pomysł, żebyś tak po prostu się tu wprowadzał. Przynajmniej zanim nie omówimy kilku rzeczy.

– Kwestia wieku. Nasz... hm... nasz związek to coś między Dniem Pamięci Poległych na Polu Chwały a Świętem Flagi.

Roześmiała się.

– Uważasz mnie za bęcwała – powiedział. – Nie

nadają się.

– Nie, prawdę mówiąc, uważam, że jesteś bardzo atrakcyjny i jest mi z tobą miło. Zupełnie nie o tym mówię. – Zmarszczyła brwi. – Tak się postrzegasz? Dlaczego patrzysz na siebie w ten sposób?

Louis nie odpowiedział; cofnął się do przedpokoju, bijąc pięściami w powietrze. Jeszcze nigdy ktoś tak wiarygodny jak doktor Seitchek nie powiedział mu, że jest bardzo atrakcyjny. Wrócił do kuchni pewnym krokiem.

– W takim razie, co tu jest do omawiania?

– Nic. Wszystko. Mam wrażenie, że wszystko... wymknęło się spod kontroli.

Spojrzała mu w oczy, jakby chciała, żeby jej pomógł. Po chwili się przestraszyła, najwyraźniej sobie uzmysłowiwszy, że w pomieszczeniu są tylko we dwoje. Wyładowała swoją bezradność na magnetofonie, wyłączając go, wyciągając wtyczkę z gniazdka i wyjmując kasetę.

– Jeśli chcesz, żebym sobie poszedł – odezwał się – wystarczy, że to powiesz.

– N i e chcę, żebyś sobie poszedł. To powiedziałam.

Zrobił zagubioną minę Francuza słuchającego Amerykanki, która nie potrafi wysławić się po francusku.

– Chcę tylko, żeby wszystko było jasne – stwierdziła.

– Ty nie chcesz, żebym sobie poszedł. Ja nie chcę sobie iść. Czy może być jaśniejsza sytuacja?

– Masz rację. – Uśmiechnięty uśmiech. Zaczęła obierać cebulę. – Wszystko jest bardzo jasne.

Louis spojrział ze smutkiem na milczący magnetofon.

– Co zrobisz z tym dorszem?

– Przysmażę czosnek i cebulę w oliwie z oliwek, z winem, szafranem, pomidorami i oliwkami, po czym włożę do tego rybę i będę ją krótko gotować na wolnym ogniu.

– Mogę ci w czymś pomóc?

– Wiesz, jak gotuje się ryż?

– Nie.

– To może przygotowałbyś sałatkę?

– Mogłabyś mi pokazać, jak się gotuje ryż.

– Może byś jednak po prostu zrobił sałatkę?

– Chcesz powiedzieć: żebym nie spieprzył ryżu?

– Zgadza się. – Zaczęła rozcinać energicznie brązowe oliwki i oddzielać miąższ od pestek. Był pewien, że zaraz się skaleczy, i gdy nagle upuściła nóż, pomyślał, że właśnie to zrobiła, ale była tylko wściekła. – Czy prosiłam cię, żebyś patrzył, jak przyrządzam obiad? Starsza kobieta matkująca młodszemu mężczyźnie? Zachwycająco niezaradnemu młodszemu mężczyźnie? Karmi go pierwszym dobrym posiłkiem, jaki miał od miesięcy? Pokazuje mu, jak ma sobie ugotować ryż? Jeśli chcesz się dowiedzieć, jak ugotować ryż, zerknij na opakowanie, tak jak zrobiłam to dziesięć lat temu.

Na powrót zaatakowała oliwki. Obserwował mięśnie

i ściągną naprężające się i skrywające pod skórą jej blade, chude ramiona.

– To gdzie jest to opakowanie?

– A gdzie większość ludzi trzyma jedzenie?

Westchnął. W trzeciej z jej czterech szafek znalazł worek z ryżem Star Market.

– Nie ma tu żadnego przepisu – powiedział.

– Zagotuj półtorej szklanki wody i pół łyżeczki soli wsyp jedną płaską szklankę ryżu przykryj i zmniejsz ogień na mały sprawdź za siedemnaście minut.

Patrzyła, jak przez prawie minutę próbuje odmierzyć dokładnie pół szklanki wody, nabierając za dużo, odlewając za dużo, nabierając za dużo, odlewając za dużo.

– Och, daj s p o k ó j.

– Staram się postępować zgodnie z twoją instrukcją.

– Nie robisz bomby, gotujesz ryż.

– Staram się zrobić to dobrze.

– Starasz się mnie sprowokować. Próbujesz być cwany.

– Nieprawda.

Później położyli się na jej łóżku i na Kanale 38 oglądali mecz Red Sox z Rangersami oraz przeglądali „Globe’a”. Louis przez dłuższy czas wpatrywał się w zajmującą całą stronę reklamę, ukazującą biznesmana, który w domowym biurze korzysta ze sprzętu IBM.

– Książki na półkach za tym wszystkim. Jak ta tutaj.

Czy to nie *Mein Kampf*? – Odwrócił głowę. – To *Mein Kampf*! Ten gość ma na półce *Mein Kampf*! Z tym komputerem za dziesięć tysięcy dolarów. A to, jestem pewien, są magazyny „Hustler”.

– Niech spojrzę. – Renée przypatrzyła się fotografii. – To *Main Street*.

– To *Mein Kampf*!

– To jest S. To Sinclair Lewis. To *Main Street*.

– Mogę się założyć, że w szafie na dokumenty trzyma hitlerowskie pisemka.

– Zauważyłam, że czytałeś o Sweeting-Aldren.

– I stąd moje podejście? Tak, zamieścili wnikliwą analizę sytuacji. Porównują firmę do mrówki. – Louis przerzucił strony w tył. – „Wall Street się przygląda, jak zraniony owad powoli czołga się w kółko, starając się ponownie zmusić nogi do pracy. Widać, że jest zraniony, a jednak może poradzi sobie z uszkodzeniem i na nowo zacznie się poruszać. Mijają długie minuty; być może jest martwy, a być może zaraz podejmie swoją misję. Nikt nie wie, jaki odczuwa ból. Jeśli minie zbyt dużo czasu, a mrówka Sweeting-Aldren nadal się nie poruszy, zostanie uznana za martwą. Ale Wall Street przez lata widziała wiele zranionych mrówek i wie, że jeszcze nie czas, żeby stawiać na tej krzyżyk”. I tak dalej, i tak dalej... Analityk David Jakiś Tam z Coś Tam Emerson przypisuje znaczną część siedemnastoprocentowego spadku cen akcji od któregoś tam marca korekcie po wcześniejszej,

zbyt wysokiej wycenie. Coś tam cena/zysk. Jednak inwestorzy, nieprzekonani piątkowymi wypowiedziami doktora Axelroda, który twierdzi, że w świetle ciągłej aktywności sejsmicznej w okolicy Peabody „po prostu nie wiemy, czego się spodziewać, jeśli chodzi o przyszłe trzęsienia ziemi...”. Kim jest doktor Axelrod?

– To seismolog z MIT. Jest dobry. Jest... w porządku.

– Zaniepokojenie budzą zakłócenia w ciągu technologicznym. Firma działa na granicy zdolności produkcyjnych, coś tam, coś tam... Jeśli cała produkcja zostanie wstrzymana na ponad trzy tygodnie, dzienne straty sięgną mniej więcej miliona dolarów. Kolejne obawy budzą pozwy wynikające z wypuszczenia zielonkawych ścieków zawierających bifenyle i inne węglowodory fluorowane... Podejrzenia, że niebezpieczne odpady są składowane, zamiast być spalane, jak utrzymuje firma. (Ha!) A do tego obawy, że w wypadku dużego trzęsienia ziemi dojdzie do wycieku, między innymi chlorków, benzenu, trichlorofenolu i zawierających je bardzo lotnych i trujących czy rakotwórczych substancji. Firma posiada ubezpieczenie inwestycyjne i aktualnie „sprawdza szczegóły” zakresu ubezpieczenia, co niewątpliwie oznacza, że ochrona jest niewystarczająca. Zważywszy jednak na stabilną historię przychodów, średni poziom długoterminowych obciążeń kredytowych i względnie niewielkie ryzyko poważnego trzęsienia ziemi, trzech z czterech zapytanych w piątek

analityków uznało zakup akcji Sweeting-Aldren według czwartkowej ceny na zamknięcie za korzystne rozwiązanie.

Renée zdjęła mu okulary i razem z nim przeglądała strony ekonomiczne. Kiedy się całowali, zaczął pocierać gruby szew z dżinsu między jej nogami, poniżej zamka.

*Dwa szybkie wykluczenia w siódmej rundzie.*

– Nie wiem, skąd się wziąłeś. Po prostu tu wpadłeś.

– Uznałem, że jesteś interesująca. Ścigałem cię.

– I tak to się wydarzyło? – Uniosła głowę z jego piersi; ukazała się w obłoku nad horyzontem jego klatki piersiowej niczym twarz boga. – To, co zrobiliśmy w przedpokoju, po tym trzęsieniu ziemi... Było właśnie tak, jak powinno być.

– Całe szczęście, że przyszedłem, nie?

– Uwielbiam seks. To chyba jedyna rzecz, którą lubię, i nie wstydzę się tego.

*Greenwell doskonale zatrzymał go na pierwszej.*

– Dzięki tobie chciałbym być kobietą – oświadczył Louis.

Po weekendzie upał ustąpił miejsca pogodzie z Kanady. Powietrze pachniało, jakby było umyte, słodkie i pełne tlenu, a drzewa na Pleasant Avenue pochyły się brzemienne nagłym nadmiarem listowia. Biblioteka publiczna na ostatnim ze wzgórz Somerville była jak mostek na żeglującym statku, pustka oceanicznego nieba zaczynała się tuż za parkingiem; nasączone dźwiękami



młotków i wózków widłowych powietrze opływało twarz Louisa, kiedy on i jego dziewczyna spoglądali ponad płaskimi dachami i ceglаныmi magazynami na błękitne przesło mostu Tobin, i dalej, na rozciągającą się nad Lynn i Peabody mgłę w kolorze zmierzchu oraz na dziób Cape Ann.

Zarówno muzyka, przy której z radością jadał kanapki, jak i telewizja, przy której z radością trwoniał wieczory, stały się jakoś nieprzyjemne i nieistotne. Na Pleasant Avenue panowała cisza, w której chciał przebywać, bo należała do Renée. Pewnego ranka pożyczył od niej identyfikator z Harvardu i na dwie godziny przybrał tożsamość Renée Seitcheka, wizytującego uczelnię Francuza. Z Biblioteki Widenera wrócił z plecakiem wypełnionym książkami Balzaka i Gide'a. Miał wrażenie, jakby na skutek aktywności sejsmicznej został wyrzucony ze ścieżki radiowej kariery – kariery, która mogła mu odpowiadać i stanowić dla niego źródło poczucia celu lub bezpieczeństwa – i przeniesiony w stan, w którym nie tylko nie wiedział, co ma ze sobą zrobić, ale też wątpił, czy ma to jakieś większe znaczenie. Podobne zjawiska wypiętrzenia i osiadania pojawiały się w krajobrazie jego pamięci; znane mu charakterystyczne obiekty znikwały z pola widzenia, zastępowane zapamiętanymi obrazami przyrody tak radykalnie odmiennymi, że sam był z lekka zaskoczony, uzmysławiając sobie, że również te rzeczy miały swoje

miejsce w jego życiu. Miły, kpiarski absolwent Uniwersytetu Rice'a, wygłaszający mowę na rozdanie dyplomów, którą Louis, podobnie jak i inni absolwenci, musiał odsiedzieć, i przypominający absolwentom o czymś, co nazywa się sprawiedliwością społeczną. Cały semestr spędzony w Nantes, kuskus jedzony z algierskimi studentami, którzy mówili: „Bardzo źle się dzieje w kraju naszego urodzenia i jako obywatele Francji czujemy się rozdarci”. Jego czternaste urodziny, myśliwski nóż w pochwie, który kupiła i wręczyła mu Eileen. Również Marcel Proust, przed którym dostatecznie długo trzymał otwarte mentalne drzwi, żeby ogromnie ucieszyć się z tego, że Swann ożenił się z Odettą i że ten nieszczęsny malarz u Verdurinów wyrósł na wielkiego artystę Elstira; drzwi zatrasnęły się pod naciskiem czterech pięciostronicowych artykułów, każdy miał być napisany po francusku, ale wcześniej zdążył prześlizgnąć się przez nie odłamek radości, który, jak teraz było wyraźnie widać, wciąż w nim tkwił jak jakiś samodzielny i przerażający dżin.

Każdego wieczoru, słuchając kroków prawdziwej Seitchek na schodach, czuł rosnącą niecierpliwość i zaniepokojenie; w żaden sposób nie zaspokajała ich jednak osoba, która pohałasowała najpierw w kuchni, wchodziła do pokoju, gdzie czytał. Widział ją z oniryczną klarownością równą onirycznej niezdolności, by rzeczywiście ją zobaczyć. Zamiast twarzy widział maskę,

bezpośrednio uchwycony znak – obraz kobiety, z którą spał. Wyglądała w zasadzie tak samo, niezależnie od tego, czy oczy miał zamknięte, czy otwarte. Wydawało się dziwne, choć może wcale takie nie było, że jego obecność coraz mniej jej przeszkadzała. Słuchała jego taśm, przygotowując obiad, i hipnotyzowała go dokładnością i metodycznością, z jakimi gotowała, a później, kiedy mył naczynia, oglądała programy w jego telewizorze, czytała gazetę i można było odnieść wrażenie, że nie zauważa w nim żadnych zmian, nawet w tym, jak suszył wszystkie naczynia i je odkładał, jak zamiatał podłogę, a potem przez kolejne piętnaście czy dwadzieścia minut stał w kuchni, nie robiąc absolutnie nic, tylko odwołując moment dołączenia do niej w łóżku. Jakby, używając terminologii nuklearnej, konfiguracja sił się zmieniała i już nie był przeciwnie naładowaną cząstką przyciąganą do niej z wielkiej odległości, tylko cząstką z takim samym ładunkiem, jak proton odpychany przez drugi proton do momentu, gdy znajdują się jeden obok drugiego, a pojawiająca się mocna siła atomowa zaczyna wiązać je razem.

– Możesz mi zrobić małą krzywdę.

– Proszę?

– Możesz mnie uderzyć lub ugryźć. Trochę. Możesz mnie uszczypnąć. Możesz zrobić coś takiego, jeśli chcesz.

Leżała na nim, czuł nacierające na niego pole, emanujące ze spokojnego spojrzenia jej wielkich oczu.

- Zrobiłbyś coś takiego?
- Odwrócił głowę na bok.
- Nie!
- Dlaczego nie?
- Uważam, że mężczyzna nie powinien bić kobiety.
- Nawet w łóżku, jeśli kobieta o to prosi?
- Lepiej niech nie prosi.
- Dobrze.

Jej głos był tak cichy, że słychać było tylko „brze”. Przetoczyła się na bok i wbiła wzrok w ścianę; odtrąciła jego dłoń, kiedy jej dotknął. Chwile ciszy następowały jedna za drugą. Sprzeciwy i zastrzeżenia, milczenie. Całe godziny zajęło im cofnięcie czasu o trzydzieści sekund. Długo po tym, jak ostatni samochód przejechał Pleasant Avenue, o tej nocnej godzinie, kiedy czyny i doznania uzyskują moralną nieważkość snów, w końcu pozwolił jej, żeby było tak, jak chciała.

Następnego wieczoru po raz pierwszy wróciła po obiedzie do pracy. Mógł iść z nią. W sali komputerowej, na zawałonym instrukcjami urządzeń i zużytym papierem laminowanym stole laboratoryjnym stały w dwóch rzędach terminale z zaokrąglonymi jak bańki obudowami przypominającymi popiersia ludzi spacerujących po Księżycu. Przez szybę w oknie można było zobaczyć jasne pomieszczenie wypełnione urządzeniami wielkości suszarki oraz pulsującym całonocnym białym szumem czujności, jakby żywcem

przeniesionej z Dowództwa Obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni Powietrznej i Kosmicznej. Na ścianach wisiały mapy oceanu, takie jak w mieszkaniu Renée, niektóre z odłazającymi rogami, na których widniały lepkie kwadraciki. Stojący na kaloryferze telefon był odłączony, a panującą w pomieszczeniu atmosferę przemijania czy opuszczenia wzmagał dodatkowo brak czegokolwiek, na czym można by usiąść. Renée powiedziała, że nie było jej na miejscu, kiedy przyjechała dostawa nowych krzeseł, więc wpadli tu i sami się obsłużyli studenci i profesory z pozostałej części budynku, którzy swoje stare krzesła powyrzucali na śmietnik, bo nie było jej wtedy na miejscu.

– Większość pracy wykonałam w tym pokoju. Komputery wyprodukowała firma Data General. Mamy też dużo komputerów Sun. Komunikują się w UNIX-ie.

Louis stał przed mapą południowego Atlantyku.

– Tyle tu kropek i tyle linii.

– Kropki oznaczają trzęsienia ziemi.

– Są ich miliony.

– Tysiące każdego miesiąca, tak. Większość na morzu.

Znalazł mapę ukazującą większą część Ameryki Północnej – potężna beżowa masa między oceanami, które obfitowały w kolorowe geologiczne życie. Czerwone kropki rozrzucone były z rzadka wzdłuż

wschodniego wybrzeża, z rzadka na północnej wyżynie Ozark, gęściej w górach na zachodzie. W Kalifornii tworzyły czerwoną masę alarmową.

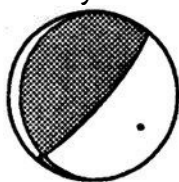
– Ziemska skorupa – powiedziała Renée – podzielona jest na kilkanaście gigantycznych płyt, które z dosyć dobrze poznanych powodów związanych z konwekcją roztopionych skał pod skorupą znajdują się w ciągłym ruchu. Zderzają się i ocierają o siebie, a potem rozdzielają. Czasami jedna wsuwa się pod drugą. Niektóre ruszają się najwyżej kilka centymetrów rocznie, ale przez wieki to się sumuje. Mniej więcej dziewięćdziesiąt pięć procent wszystkich trzęsień ziemi ma miejsce w pobliżu granic płyt. Widać to na mapach.

– Ale w Arkansas i... co to jest...? Wyoming? I w Nowej Anglii...?

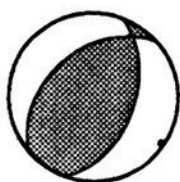
– I w Nowym Jorku, i w Quebecu, na całym wschodnim wybrzeżu i tam pośrodku oceanu, daleko od granic płyt? W naszej okolicy jest to częściowo związane z faktem, że Atlantyk się rozszerza, a to wywołuje naprężenia w płytach po obu stronach centralnego grzbietu. Skały w Nowej Anglii są bardzo stare i w przeszłości wiele wycierpiały. Uskoki biegną tam na wszystkich głębokościach i we wszystkich kierunkach. Ale jeśli przeanalizujesz trzęsienia ziemi, do których tu dochodzi...

Pogrzebała w leżących między dwoma terminalami papierach i wyciągnęła mapę, taką, jaką Howard pokazał

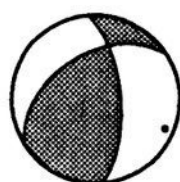
Louisowi, tyle że było na niej więcej epicentrów oraz cztery baloniki:



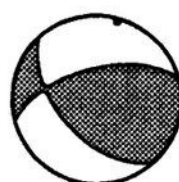
0510



0420



0415



0406

– Piłki plażowe – powiedziała. – Reprezentują tak zwany mechanizm ognisk wstrząsu, który w zasadzie odzwierciedla ukierunkowanie uskoków oraz kierunek, w którym dochodzi do przemieszczenia podczas pęknięcia. Zakreślasz teoretyczną kulę wokół hipocentrum. Jest oznaczona na czarno w kierunkach, w których ziemia została ściśnięta w stronę znajdującego się na kuli obserwatora, a na biało tam, gdzie ziemia jest rozciągana w kierunku od obserwatora. Jak możesz zauważyć, wszystkie cztery trzęsienia, które były na tyle duże, że można je było przeanalizować, charakteryzowały się podobnym mechanizmem.

– Chcesz powiedzieć, że wszystkie są pośrodku czarne.

– Tak. I w sumie odpowiadają naprężeniu ściskającemu na uskoku biegnącym z południowego zachodu na północny wschód, co jest również zgodne z prawdą w wypadku innych analizowanych w Nowej Anglii trzęsień ziemi. A to sugeruje, że płyta jest ściskana wskutek rozszerzania się oceanu.

– H. C. To Howard.

Ziewnęła.

– Tak.

– Jest dobry?

– Jest w porządku. Trochę za mało pracuje. Stracił też rok na zabawę z silnymi wstrząsami.

– Co to takiego?

– Coś takiego odczułeś w czwartkową noc. To termin określający drżenie ziemi odczuwalne w pobliżu epicentrum. W przeciwieństwie do bardzo słabych sygnałów rejestrowanych zazwyczaj przez aparaturę sejsmiczną. Silne wstrząsy też można rejestrować, ale niestety lokalny kontekst geologiczny wszystko tak komplikuje, że trudno jest uzyskiwać dane o samym trzęsieniu ziemi. – Znowu ziewnęła. – Howard starał się, jak mógł.

Kątem oka Louis dostrzegł błysk zębów pośród brody; w drzwiach pojawił się Terry Snall, cichy jak indiański wojownik na polowaniu, i stanął w miejscu. Spojrzał na Louisa. Spojrzał na Renée. Spojrzał na Louisa.

– Och – odezwał się głośno, jakby wszystko stało się dla niego jasne. – Nie przeszkadzajcie sobie.

– Nie ma sprawy – odparła Renée.

– Czekam, aż mi się wydrukuje. – Terry pokręcił głową, całkowicie i radykalnie uwalniając się od jakiegokolwiek winy. – Za momencik się wynoszę.

– Jeśli o mnie chodzi, możesz tu siedzieć i pięć



godzin.

– Momencik – niecierpliwie klepał w pokrywę drukarki laserowej. – Zaraz znikam.

Czekał ostentacyjnie, aż drukarka wyrzuci jego pracę. Skontrolował końcówkę karmiącą urządzenie, skontrolował końcówkę wydalniczą, postukał w podajnik, ciężko westchnął, wziął się pod boki, ponownie ciężko westchnął, zlustrował wzrokiem całe urządzenie i pokręcił głową.

– Momencik – powiedział. – Nie chcę wam przeszkadzać.

Louis musiał podbiec za Renée, która sztywnym krokiem weszła na pochylnię prowadzącą do przybytku ciężkiej maszynierii. Pomieszczenie było chłodzone i wyłożone kaflami w kolorze złamanej bieli, w pobliżu jednostki centralnej jednego brakowało, a w jego miejscu widniało gniazdo kłębiących się poniżej jak żmije kabli. Przy długiej ścianie znajdowały się regały z tysiącami rolek taśmy magnetycznej. Zobaczył też modemy z czerwonymi oczkami, wielkie szafy napędów taśm, w których taśmy magnetyczne drżały niecierpliwie, i kilka monitorów graficznych.

– To straszny palant – powiedziała Renée, wyjmując z kieszeni koszuli okulary w drucianej oprawce i siadając przy konsoli.

– Jest zazdrosny – stwierdził Louis.

– Może.

– Nie, to widać.

– Cóż, jeśli to prawda, jest to dla mnie niesamowicie upokarzające. I trochę dziwne, ponieważ chyba uznał, że jego życiową misją jest uświadomienie mi, że jestem zadufana w sobie. – Spojrzała spod zmarszczonych brwi na ekran i szybko, na wycucie, zaczęła stukać po klawiaturze. Louis zauważył, że jej okulary są bardzo wyraziste i dodają jej uroku. – Od jakichś czterech lat chodzi z tutejszą dziewczyną. Widziałeś to okno przy drzwiach? Ta kobieta ciągle się tam zjawia i w nie puka, a jeśli Terry jest w pobliżu, b i e g n i e za nią do korytarza i wychodzą na zewnątrz. Boi się, że ktoś wpuści ją do środka. Uważa, że nie możemy tego zobaczyć. – Na monitorze po jej prawej pojawił się kolorowy obraz. Zerknęła przez panoramiczne okno, sprawdzając, czy mimo hałasu Terry jednak nie podsłuchuje. – Dwa lata temu kupił nowy samochód i prawie natychmiast go skasował. Nie chciał powiedzieć, co się stało. Pewnego wieczoru przyszła tu jego dziewczyna i Howard ją wpuścił. Zapytał ją, jak doszło do tego wypadku, i okazało się, że Terry przejeżdżał obok sklepu, w którym sprzedano mu okienny klimatyzator, ale urządzenie mu się nie spodobało, a ponieważ potraktowali go nieładnie, więc przechylił się przez fotel pasażera, żeby pokazać sklepowi, budynkowi, rozumiesz, środkowy palec. I właśnie wtedy wjechał na krawężnik i uderzył w drzewo. Ta jego dziewczyna śmiała się z tego,

podobnie jak i my. Prawdę mówiąc, jest milutka. I od tego czasu Terry nigdy nie pozwala jej zbliżyć się do sali komputerowej. A to budzi oczywiście ciekawość, co jeszcze może o nim opowiedzieć.

– Kto zajmuje się tym całym sprzętem?

– Teoretycznie powinni się tym zajmować wszyscy, którzy z niego korzystają, ale w praktyce... – Renée nie spodobało się to, co zobaczyła na kolorowym monitorze. Jej palce przemknęły przez klawiaturę i na ekranie zaczął się pojawiać nowy kolorowy obraz. – Trzeba zacząć od tego, że w tym semestrze brakuje nam dwóch profesorów. A niektórzy ludzie skrupulatnie kontestują swe obowiązki, jak Terry. Dużo pracował przy tym systemie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym i uważa, że zwalnia go to z dalszej odpowiedzialności. Jest przekonany, że ma do tego prawo, chociaż z tego, co wiem, cała wykonana przez niego praca polegała na instalowaniu tego, co miało mu pomóc przy jego własnych projektach. I do tego są ludzie, którzy strategicznie się nie pojawiają, kiedy koniecznie trzeba zrobić coś takiego jak zrzut systemowy, a to zajmuje całą noc, i na koniec również ludzie, którym po prostu nie ufam...

– Bo mogą coś spieprzyć.

– Zgadza się.

– Ludzie cię chyba nie lubią.

– Tak, prawie wszyscy, do pewnego stopnia. Ale

rekompensuję to sobie miłością własną. Przysuń krzesło.

Zamontowała aparat na trójnogu, wyłączyła światła i zaczęła robić zdjęcia, podczas gdy kilka sekund Terry'ego przy drukarce rozciągało się w godzinę spędzaną przy terminalu zaraz za panoramicznym oknem. Jak każda rzetelna przyzwoitka udawał, że zajmuje się swoimi sprawami. Louis dzielnie słuchał Renée objaśniającej mu obrazy prezentowane w kolorach tęczy i składające się głównie ze zrekonstruowanych przekrojów „bloku” skały, długiego na trzy tysiące kilometrów, szerokiego na sześćset pięćdziesiąt kilometrów i grubego na jakieś pięćdziesiąt kilometrów, który opadał pod ziemię pod łańcuchem wysp biegnących na południe od Fidzi przez Tonga i wyspy Kermadec do punktu położonego powyżej Nowej Zelandii. Opadaniu bloku na każdej głębokości towarzyszyły trzęsienia ziemi o przeróżnym nasileniu i kierunkach uskoków, a jej praca, jak powiedziała Louisowi, „pogłębiała wiedzę” na temat tego, co się dzieje z kruchą skałą, kiedy opada coraz niżej w roztopioną, poddaną ciśnieniu breję płaszczą, i do czego dochodzi na koniec na głębokości sześciuset siedemdziesięciu kilometrów, poniżej której nigdy nigdzie nie zarejestrowano żadnego trzęsienia ziemi.

– Udało ci się pojechać na te wyspy?

– Myślałam, że dzięki geofizyce, w przeciwieństwie do matematyki czy czegoś w tym rodzaju, będę mogła

wyrwać się na świeże powietrze. Sześć lat minęło, a ja prawie nie ruszyłam się z tego pokoju.

– Masz dużo szczęścia.

– Tak sądzisz? – Nacisnęła wężyk spustowy aparatu.

– Masz coś, w czym jesteś naprawdę dobra, a do tego to naprawdę ciekawe i nikomu nie szkodzi.

– Tak sądzę, jeśli spojrzeć na to w ten sposób. Ale bywa to też frustrujące.

– Chciałbym być naukowcem.

– A kto powiedział, że nie możesz?

– Chciałbym być k i m k o l w i e k.

– A kto powiedział, że nie możesz?

– Nienawidzę tego kraju. Nienawidzę tego świństwa wokół. Gdziekolwiek spojrzę, wszędzie widzę świnię.

Spojrzenie, jakim Renée obdarzyła Louisa w niebieskim świetle, było niepewne albo smutne, zdystansowane jak spojrzenie matki.

– Nie wszyscy są świniami – powiedziała. – Pomyśl o ludziach, dzięki którym działa metro. Pomyśl o pielęgniarkach. O listonoszach. O osobach prowadzących kampanie w dobrej sprawie. Nie wszyscy są świniami.

– Ale ja nie potrafię być takim człowiekiem. Dla mnie są po prostu godni politowania. Sprawiają wrażenie naiwnych. Wszystko jest tak spieprzone, że człowiek wydaje się żałosny, jeśli stara się być dobrym obywatelem. Porobiło się tak, że jeśli już decydujesz się

na udział w tym wszystkim, to nie ma powodu, żeby nie pójść na całość i zupełnie się nie sprzedać. Ale jeżeli nie chcesz tego zrobić, jeśli to cię oburza, pozostaje tylko uciec lub próbować wszystko zburzyć. A ja nawet nie potrafię uciec w świat nauki, bo musiałem patrzeć na mojego ojca profesora. Życie wszystkich znanych mi marksistów wygląda tak, że za dnia się myśli, a w nocy pije. Jak mogę zdecydować się na coś takiego? Patrzę na twoje palce, patrzę na twoje oczy i niesamowicie ci zazdroszczę. Jesteś naprawdę dobra w tym, co robisz. A ja tkwię w miejscu i nawet nie potrafię sobie wyobrazić, że ruszam do przodu.

– Będziemy musieli coś z tobą zrobić.

– Wyspa. Jakaś wyspa.

Ostre złote światło oświetliło dachy Bostonu i utworzyło nad nimi czystą, wolną przestrzeń, arenę otoczoną od wschodu przez skorupę wieczornej morskiej mgły, wewnątrz której, z odległości całych kilometrów, z idealną wyrazistością widoczne były billboardy, zielone drzewa i płonące o tej porze estakady, a także mniejsze chmury w kolorze i o kształcie kreta. Odrzutowce nad Nahant wisiały jak zastygłe na niebiesko-szarym, wzbogacanym przez ich własne silniki firmamencie. Na Lansdowne Street wierni wkraczali w cień świątyni, w ciszy maszerując obok wózków, z których sprzedawano ikony i natchnioną literaturę, obok zniszczonych fasad kapliczek z przedmeczowymi

ofertami specjalnymi, opatrzonymi wielkimi symbolami dolara i małutkimi cyferkami <sup>95</sup>.

Po przejściu przez bramę Renée złożyła drobną zieloną ofiarę na rzecz funduszu Jimmy'ego i walki z rakiem u dzieci, nie okazując zakłopotania, kiedy jej bardziej cyniczny towarzysz zareagował z opóźnieniem. Przez wznoszący się nad nimi portal docierało intensywne białe światło, a kiedy wchodzili po schodach, z tej bieli wyłoniło się zielone boisko i trzydzieści tysięcy kibiców, z których każdy miał skórę w odcieniu charakterystycznym dla aktorów. Mężczyźni w garniturach grabili ziemię. Drużyny Royals i Red Sox zajmowały miejsca na ławkach rezerwowych. Czuć było intensywną woń papierosów i musztardy. Miejsca Henry'ego Rudmana, w połowie odległości za trzecią bazą i dziesięć rzędów z tyłu, były nadzwyczaj godziwe. Po obu ich stronach emanujący zadowoleniem osobnicy w typie Rudmana rozkładali swoje karty wyników. O siódmej trzydzieści, kiedy wszyscy na stadionie Fenway wstali, Renée zaczęła rzucać niepewne spojrzenia, a Louis, tym razem nie mogąc przełączyć programu, zacisnął zęby i jakoś zniósł odśpiewanie hymnu.

Niewiele jest rzeczy, które dają takie szczęście jak dobre miejsca. Mieszkańcy Somerville siedzieli, obejmując się ramionami; Louis nigdy jeszcze nie widział Renée tak urzeczonej i skupionej. Przyniosła swoją

rękawicę baseballową i trzymała w niej dłoń. Wcześniej tego dnia trochę do siebie rzucali i zauważył, że potrafi miotać tak mocno, że aż piekły go od tego palce, i to przez skórę rękawicy.

Przez pięć rund utrzymywał się wynik 1:1. W ruchu piłki była jakaś soczystość, kompletność, przyjemny brak iluzoryczności, gdy odbijała się od kija i z sykiem leciała przez trawę wewnętrznego obszaru boiska, odnajdywała środek rękawicy trzeciego gracza na bazie i otrzymawszy świeży zastrzyk energii kinetycznej, wyprzedzała biegnącego na pierwszej bazie. Później Louis dosyć łatwo zrozumiał, dlaczego dopiero po tak długim czasie zobaczył coś innego przed sobą, coś dziejącego się trzy rzędy niżej i kilka miejsc po lewej.

Najpierw zauważył rękę. Wielką, czerwoną męską rękę. Ze zdecydowaniem graniczącym z niecierpliwością ugniatała nagie kobiece ramię, opaloną szyję powyżej i obszar za jej uchem, a także samo ucho, chwytając skórę i ciało w palce, by wziąć je w posiadanie. Dłoń wracała do ramienia. W węzowych skurczach posuwała się do przodu pod wąskim ramiączkiem czarnej sukienki, kłykcie szturchały i powoli odsuwały ramiączko z gładkiej kuli barku i nieco w dół ramienia, głaszczki palców nacinały tam skórę, dłonie formowały, ścisnęły i posiadały. Dziewczyna leniwie, ręką, w której nie trzymała piwa, naciągnęła ramiączko z powrotem na bark. Odrzuciła w tył czarną grzywę i pokręciła się na



foteliku, przypadkiem spoglądając wprost na Louisa. Miała dwadzieścia lat, była delikatna i wytrzymała, w typie hippicznej i mało introspekcyjnej piękności, w jakich gustują gwiazdy grające na pozycji zapolowego. Dłoń ponownie ją zagarnęła, jej włosy, ramiona i uwagę, sięgnęła pod sukienkę na kobiecych plecach i tam została. Dopiero wówczas Louis zdał sobie sprawę, że ręka należy do pięćdziesięcioletniego mężczyzny, którego twarz znał.

Renée siedziała pochylona, obgryzając paznokieć. Metka T-shirta, który miała na sobie, wystawała na jej piegowaty kark. Najwyraźniej na boisku coś się działo, coś dobrego dla drużyny Royals i złego dla Soxów. Louis śledził, jak ręka pełza pod czarnym materiałem, przesuwając się pod pachę laluni, i ujrzał, że koniuszki męskich palców zatrzymują się tak blisko piersi, jak tylko pozwalała na to przyzwoitość, a może nawet centymetr bliżej. Lalunia szepnęła coś do ucha swojego towarzysza, jej usta ociągały się z odejściem, wargi otarły się o jego policzek i spotkały z jego ustami. Nieprzyzwoita czerwona ręka ścisnęła ją i puściła. Sędzia główny ryknął i wymownym gestem wyeliminował pałkarza z gry. Świnie wiwatowały. Organista zaimprovizował coś ni z gruszki, ni z pietruszki. Louis jak przez mgłę zobaczył, że uśmiech jego siwiejącej dziewczyny gaśnie, a jej usta się otwierają:

– Co się stało?

– Czy coś się stało?

– Nie powiesz mi, co się stało?

Utworzył z dłoni pistolet, chwycił się za nadgarstek i wziął na muszkę głowę tamtego mężczyzny.

– Dyrektor naczelny Sweeting-Aldren. Właśnie tam siedzi.

Niewykluczone, że mimo wiwatów te słowa dotarły do uszu pana Aldrena; odwrócił się i szybko zlustrował wszystkie gorsze od jego własnego miejsca, pozwalając, by jego workowata i rozpalona twarz oraz wąskie oczy zrobiły na Renée odpowiednie wrażenie.

– Obłeśny typ – stwierdził Louis, gdy odrzuciło mu rękę po wystrzale.

– Chyba wiem, co masz na myśli.

– Przyjrzyj się sygnetowi na małym palcu.

Jego własne ręce były zimne i białe, cała krew zatrzymała mu się w sercu i skroniach. Nawet lepsza gra drużyny Sox i wrzaskliwa ósma runda nie potrafiły spowodować, żeby oderwał wzrok od rozgrywającego się trzy rzędy niżej spektaklu obmacywania. Może dobrze to o niej świadczyło, a może był to przejaw jej tępoty, w każdym razie dziewczyna zdawała się nie zważać na to, na co pozwalała sobie męska ręka, i na to pewne siebie, zaborcze i pożądliwe spojrzenie, które Aldren na zmianę kierował na nią i na zawodników u ich stóp. Śledziła grę. I wcale nie było to tak mało prawdopodobne, pomyślał Louis, że również później, kiedy Aldren

zabierze ją do jakiegoś pretensjonalnie umeblowanego pokoju, żeby spenetrować jej ciepły otwór w skrytości, w tej samej skrytości, w jakiej najprawdopodobniej nawet teraz inne jego ścieki pompowano w uległą ziemię, dziewczyna zachowa częściową przytomność umysłu.

– Najwyraźniej nie jest w stanie trzymać rąk z dala od niej – zauważyła Renée.

– Raczej to ona nie jest w stanie trzymać jego rąk z daleka od siebie.

– Posłuchaj. – Dotknęła twarzy Louisa i zmusiła go, żeby na nią spojrział. – Nie złość się tak. Nie lubię, kiedy jesteś zły.

– Nic na to nie poradzę.

– Chciałabym, żebyś spróbował, choćby ze względu na mnie.

To było oświadczenie. Louis spojrział na twarz osoby, która je złożyła, twarz z pięknymi oczami, zadartym noskiem i z trądzikiem, i zdał sobie sprawę, że jakoś tak się złożyło, że stała się dosłownie jedyną rzeczą na świecie, na której mógł chociaż minimalnie polegać.

– Kocham cię – powiedział nieoczekiwanie, ale to właśnie miał na myśli. Nie widział siedzącego za nim kibica, który wyszczerzył zęby w uśmiechu i mrugnął do Renée, więc nie w pełni zrozumiał, dlaczego tak raptownie odskoczyła z powrotem na fotelik i skupiła się na właśnie kończącej się grze.

## 6.

Kiedy jest chłodno i nie ma wiatru, po zachodzie słońca w Bostonie pojawia się szczególnie wilgotny i przygnębiająco odwieczny zapach, który na drodze konwekcji podnosi się z ekologicznie zakłóconych wód rzek Mystic i Charles oraz z jezior. Wycieka z fabryk z pozamykanymi okiennicami i czasowo nieczynnych zakładów w Waltham. Jest wyziewami z wylotów starych tuneli, duchem wznoszącym się ze stosów przyćmionego od sadzy szkła i podsypki starych torów kolejowych, z wszystkich tych cichych miejsc, gdzie żeliwo rdzewiało, beton się kruszył i murszał jak nieorganiczny ser Roquefort, a destylaty ropy naftowej wsączały się z powrotem w ziemię. W mieście, gdzie nie ma ani jednego niezmienionego skrawka ziemi, ta woń stała się zapachem pierwotnym, zapachem natury, która zajęła miejsce natury. Kwiaty wciąż zakwitają, ścięta trawa i spadające liście czy świeży śnieg nadal okresowo zmieniają powietrze. Ale ich zapachy są tylko naddatkiem, sentymentem; są młodsze niż te cierpliwie wszystko znoszące emanacje spod mostów i gruzu tysięcy nabrzeży, z nasyconych krezotem filarów w upstrzonych plamami ropy kanałach żeglownych, z owiniętych wokół pokrytych kożuchem skał w rowach odwadniających stron „Globe’a” i „Heralda” i z wnętrz tych wszystkich pozostałych jeszcze na opustoszałym

torowisku poczerńiałych metalowych skrzynek, których przeznaczenie i oznaczenie własności zatarły czynniki atmosferyczne, a dziurkę od klucza zatkała korozja – woń infrastruktury.

Właśnie unosił się w powietrzu, kiedy Louis i Renée, idąc Dartmouth Street z przystanku Zielonej Linii, weszli na Copley Square. Szli w milczeniu. Tamta wietrzna, oświetlona światłami stopu noc, kiedy jeździli po ulicach w poszukiwaniu miejsca do parkowania, wydawała się zagrzebana w przeszłości przez coś więcej niż tylko ten miesiąc, który w rzeczywistości minął. Znowu był weekendowy wieczór, ale tym razem okolica wydawała się spokojna, trzeźwa i pozbawiona ruchu ulicznego, jakby przez jakiś całodobowy zbieg okoliczności wszyscy mieszkańcy wyjechali lub siedzieli w domach z rodzinami. Zmierzch na niebie wyglądał jak namalowany farbą niebieski prospekt teatralny, zwisający tuż za szeregowymi domami i rozświetlającymi ich wnętrza żółtymi lampami.

Eileen zaczęła coś podejrzewać, kiedy Louis do niej zadzwonił. Uznał za niezbędne oddać w nią salwę przeprosin, zwalając swoje niedawne wstrętne zachowanie na karb tego, że stracił pracę. Jego skrucha była na tyle autentyczna, że siostra zrobiła się sentymentalna. To, że stracił pracę, uznała za „prawdziwego pecha”. Dosyć ogólnikowo rzuciła, żeby kiedyś ją odwiedził, a on błyskawicznie odpowiedział na

to niezaproszenie:

– Świetnie! To może w piątek wieczorem?

Powiedziała, że musi porozmawiać z Peterem. zaproponował, że wraz z Renée zaplanują to tak, żeby wpaść koło ósmej. Powtórzyła, że jednak powinna omówić to z Peterem. Dodał, że musi wspomnieć o jednej rzeczy, a mianowicie, że Renée nie jada czerwonego mięsa i drobiu.

– Och, nie ma sprawy – odpowiedziała Eileen już radośniejszym głosem. – Przyrzadzę coś wegetariańskiego.

Kiedy spotkanie zostało umówione, okazało się, że wcale niełatwo przekonać Renée do kłamstwa.

– Matematyczka? – Z otwartymi ustami wpatrywała się w Louisa. – Większej głupoty jeszcze od ciebie nie słyszałam.

– Tak – odrzekł. – Co sobie pomyśli Peter, kiedy sejsmolog zacznie wypytywać go o gospodarkę odpadami? Zaraz przyjdą mu do głowy trzęsienia ziemi. A czy chcemy, żeby myślał o trzęsieniach ziemi? Żeby wspomniał tatusiowi, że jest taka sejsmolożka, która interesuje się jego firmą? Mówiłaś mi, że zajmowałaś się matematyką, zanim zabrałaś się do geofizyki.

– Nawet nie będę o tym z tobą rozmawiać.

– Dlaczego? Dlaczego? Wystarczy, że to powiesz. To znaczy, zakładając, że ktoś będzie na tyle uprzejmy, żeby zapytać cię o pracę, choć wątpię, żeby to zrobili. Powiesz

po prostu cokolwiek: matematyka stosowana. W końcu czy sejsmologia to nie coś w tym rodzaju?

– To kłamstwo. Czerwienię się, kiedy kłamię.

– Aha! Jesteś tak wzorowa, że aż nie mogę w to uwierzyć.

– Tak, i zastanawia mnie, czy to doceniasz. Naprawdę zacznę się nad tym zastanawiać.

– Umiejętność kłamania to umiejętność towarzyska – stwierdził cierpliwie. – Wszyscy muszą kłamać. A akurat to kłamstwo jest zupełnie nieszkodliwe.

– Przedstawianie się w fałszywym świetle, manipulowanie dwiema osobami, które w dobrej wierze zaprosiły nas na kolację, próba znalezienia się sam na sam z jedną z nich, żeby wyciągnąć informacje niby z czystej ciekawości? To jest nieszkodliwe kłamstwo?

W chwilach frustracji, takich jak ta, Louis myślał o Lauren. Był przekonany, że ona by dla niego kłamała. Wiedziałyby, co należy zrobić.

– Posłuchaj – odezwała się Renée. – Jeśli temat wypłynie w jakiś naturalny sposób w trakcie rozmowy i nie będę musiała kłamać, nie ma sprawy. W przeciwnym razie... Wiem, że jesteś zły na tych ludzi, wiem, że czujesz się przez nich zdeptany. Ale jednak to są ludzie i żeby tak iść do nich całkowicie cynicznie, a to właśnie robisz... Bardzo mnie martwi, że bierzesz coś takiego pod uwagę.

– Och, daj spokój – powiedział. Zaczynała go

denerwować. – Świat nie jest czarno-biały. Po pierwsze, odbyłem zupełnie niezłą rozmowę z Eileen. Nie obwiniam jej tak, jak obwiniam matkę. Sama wiesz, ona też jest ofiarą. Myślisz, że poszedłbym tam z całkowicie cynicznymi zamiarami?

– Ja tylko widzę, że zaczynasz uważać, że możesz traktować ludzi, jak ci się żywnie podoba, bo jesteś rozgniewany. A to dla mnie ważne, bo ty jesteś dla mnie ważny.

Napełnił płuca powietrzem. Powoli je wypuścił. Z trudem znosił myśl, że Renée tak doskonale rozumie jego wady.

– Dobrze, dobrze, masz rację – powiedział już powściągliwiej. – Ale to tak, jakbyś wszystko odrzucała, bo za dużo nad tym myślisz. Przecież nie każę ci być potworem. Mówię tylko, żebyśmy tam poszli, miło spędzili czas i postarali się uzyskać to, czego potrzebujemy. A wygląda na to, że za dużo się nad tym zastanawiasz i w efekcie kolacja z ludźmi staje się dla ciebie czymś niemożliwym, n i e z a l e ż n i e od okoliczności. Jedynym sposobem, w jaki możesz pozostać wzorowa, to być sama. Bo nigdy nie będziesz tak naprawdę szanować ludzi, z którymi przebywasz, a także muzyki, którą lubią, jedzenia, które spożywają, ubrań, jakie noszą, i ich nie tak doskonale głębokich myśli...

– Powiedziałaś, że mogę pójść.



– I to jest m o r a l n i e z ł e, tak? To jest o s z u k a ń c z e. Zachowywać się, jakbyś była na tym samym poziomie co oni, kiedy w środku czujesz się bardziej wzorowa i świadoma, i tak dalej. Stajesz się przez to fałszywa, twój uśmiech staje się fałszywy, a ty nie masz żadnych znajomych, a co ostatecznie...

– Pierdol się, Louis. Rzeczywiście się nade mną znęcasz.

– Co ostatecznie jest bardzo smutne. Ponieważ w głębi duszy jesteś urocza i chcesz, żeby cię lubiano, i chcesz się dobrze bawić.

Nie rozumiał jej uporu. Szczerze wierzył, że byłaby szczęśliwsza, gdyby nieco wyluzowała; ale wszystkie jego starania powodowały tylko, że sam się czuł, jakby był jakimś wstrętnym samcem. Oczywiście, może i b y ł wstrętnym samcem. Wstrętny samiec starający się zapanować nad cnotliwą i niedostępną kobietą nie cofnie się przed wykorzystaniem każdej jej słabości: wieku, nawyków, braku pewności siebie i przede wszystkim samotności. Może być tak tchórzliwy i okrutny, jak tylko będzie chciał, dopóki logika jest po jego stronie. A poddająca się jego logice kobieta nie może zrobić nic, żeby uratować dumę, jak tylko żądać od niego wierności. Ona mówi: „Upokorzyłeś mnie i teraz zdobyłeś, więc lepiej mnie nie krzywdź”. Ale właśnie krzywdzenie jej jest tym, co kusi mężczyznę, teraz bowiem, kiedy mu uległa, czuje wobec niej pogardę, a do tego wie, że jeśli ją

skrzywdzi, ona znowu stanie się cnotliwa i niedostępna... Takie archetypy, jak jacyś prostaccy krewni, wtargnęły do mieszkania przy Pleasant Avenue. Louis chciał je przegonić, ale nie jest łatwo zatrzasnąć krewnym drzwi przed nosem.

W ceglanym domu przy Marlborough Street, przed drzwiami mieszkania pary Stoorhuys – Holland, obserwował, jak stres odciska głębokie i bolesne ślady na twarzach Eileen i Renée, kiedy brnęły przez moment powitań. Następnie przekazał siostrze torbę z piwem. Eileen miała na sobie za duży strój do karate, a włosy rozsypywały jej się wachlarzem na plecach i ramionach. Wyglądała elegancko i kojarzyła mu się z chartami rosyjskimi, psami, które, kiedy je mijał na ulicy, zawsze wyglądały, jakby więcej radości sprawiło im bieganie w dzinsach i trampkach, ale nie mogły tego robić, bo ich właściciele byli bogaci.

Doszedł do wniosku, że Eileen przyjęła ich dzisiejszego wieczoru, ponieważ nie potrafiła taktownie nie zgodzić się na to jego bezczelne wproszenie się do nich, choć nie dało się wykluczyć, że była też ciekawa Renée. Wprowadziła ich do salonu – bez balangowiczów nabrał teraz nieco godności, już bardziej przypominał pokój niż dworzec – tłumacząc, że Peter pomaga jednej z młodszych sióstr zainstalować komputer i lada moment wróci do domu. Zapytała „moich drogich”, czy mieli jakieś problemy z parkowaniem. Miała nadzieję, że

„moim drogim” nie będzie przeszkadzać jedzenie o tak późnej porze. zaproponowała „moim drogim” piwo lub wino albo piwo lub... cokolwiek. Miała nadzieję, że „moi drodzy” lubią musakę. Kiedy już wyczerpała możliwości zwracania się do nich obojga jednocześnie, zeskoczyła z fotela i powiedziała:

– Gdzie ten mój c h ł o p c z y k?

Słuchali, jak telefonuje z kuchni, jej głos stawał się coraz wyższy, dziewczęcy ton brzmiał coraz piskliwiej, w miarę jak gdzieś wewnątrz Eileen wzbierało rozdrażnienie. Po powrocie do salonu wślizgnęła się na fotel, jakby nie chciała przeszkadzać w konwersacji. Tyle że nie było żadnej konwersacji. Jej goście tylko na nią patrzyli, więc w końcu udała, że budzi się z jakiegoś transu.

– Już jedzie – zapewniła.

– Studiujesz... studiujesz w szkole handlowej? – odezwała się Renée.

Eileen skinęła głową, kołysząc się i nawet na nią nie patrząc.

– Uhm. Uhm.

– Ale chyba już kończysz? – zapytał Louis.

– Och, tak. – Skinęła głową i zakołysała się, jej uwagę przykuło coś w wieży stereo. – Prawdę mówiąc, to już skończyłam.

– Gdzie będziesz pracować? – spytała Renée.

– Hm. – Zakołysała się. – W Bank of Boston.

Zapadła długa cisza. Nieśmiałość sparaliżowała Eileen; nieśmiałość, która powoduje, że pięcioletka chowa się w objęciach matki, kiedy ktoś obcy zadaje zbyt dużo pytań.

– Czym będziesz się zajmować? – delikatnie zapytała Renée.

– Hm... kredytami komercyjnymi.

– A... z czym coś takiego się wiąże?

Eileen spojrzała tępym wzrokiem w stronę Louisa, który jak oszalały pokazywał, że to ona, a nie on, ma odpowiedzieć na to pytanie.

– Kredyty handlowe – odezwała się. – To jest, no wiesz, pomaganie firmom w finansowaniu różnych rzeczy. Poprawa kapitału. Zakupy, przejęcia. Rozwój. To naprawdę... nie jest takie interesujące.

– Wydaje mi się, że to może być bardzo interesujące – odpowiedziała Renée.

– No tak, to jest interesujące. Dla mnie to bardzo interesujące. Ale Louis mówił chyba, że jesteś naukowcem?

– Tak.

– Aha, tak, no właśnie. To nie jest ciekawe w ten sposób. To trochę bardziej praca z ludźmi, no wiesz, gdzie trzeba zajmować się różnymi ludźmi. To w tym jest coś interesującego.

W tym momencie Eileen skończyła się inwencja. Choć Renée bardzo starała się ją rozruszać, nie była

w stanie wymyślić niczego więcej na temat pracy, którą miała wykonywać Eileen. Louis był zdziwiony, że nie wpadła na najprostsze wyjście z sytuacji, czyli zapytanie Renée o jej pracę albo jego samego o brak pracy. Ale siostra tylko się wierciła, nie reagując na piętrzące się wokół okropne chwile ciszy.

Była już prawie dziewiąta, kiedy Peter w końcu wparował do mieszkania. Miał na sobie bluzę Harvardu i taszczył dwa pudełka dyskietek. Eileen z miejsca ponownie zrobiła się elokwentna i zaczęła w szczegółach relacjonować dzień Petera, poczynwszy od wizyty jego młodej siostry w Computer Factory. Kiedy Peter wrócił z kuchni ze szklaneczką bursztynowego napoju w dłoni, starała się wciągnąć go w opowiadanie, uśmiechając się do niego, swojego chłopaka, tematu jej rozmowy, jej słów, które stały się ciałem.

– Udało ci się wszystko uruchomić? – zapytała.

Peter odczekał, aż pytanie poleży kilka sekund na podłodze, po czym rozdeptał je niecierpliwym „Tak”. Louisowi rzucił zaś drobne i czcze „Jak leci?”. Ale dosiadł się do Renée na sofie i uraczył ją długim i szczegółowym przeglądem jej głowy, ramion, kolan i jeszcze raz głowy, uśmiechając się chytrze przez cały czas, jakby łączyła ich jakaś tajemnica. Wymachiwał trzymaną między kolanami szklaneczką z whisky i nachylał się nad nią jak wędkarz zaglądający do przerębli. Powiedział, że się cieszy, widząc ją ponownie. Pamiętał, że na imprezę

przyszła w żałobie, to był bardzo fajny strój. Ubolewał, że nie mieli okazji dłużej wtedy porozmawiać. Skupiał się na Renée, mówiąc do niej jedną rzecz po drugiej, jakby Louis i Eileen prowadzili odrębną rozmowę i wcale go nie słuchali. Albo jakby był gospodarzem wieczornego talk show i w swoim zafascynowaniu specjalnym gościem zapominał o publiczności, przywłaszczał sobie fantazje, by się do niej zbliżyć. Renée, kompletnie zmieszana, zaczęła uśmiechać się do swoich kolan w sposób, w jaki człowiek śmieje się ze świetnego dowcipu opowiedzianego przez osobę, co do której nie ma się wyrobionego zdania. Nic nie odpowiedziała, gdy Peter zapytał ją, czy czytała wczorajsze wydanie „Globe’a”.

– Chyba żartujesz – powiedział. – Nie widziałaś tego?

Pokręciła głową, nadal się uśmiechając. Peter spojrział przez ramię na Eileen.

– Mamy chyba jeszcze tę gazetę, prawda?

Eileen wzruszyła ramionami z irytacją.

– Musi być w kuchni – stwierdził. – Możesz ją przynieść?

Louis z ogromną przykrością patrzył na siostrę, która wyplątała się z objęć fotela i w milczeniu wykonała polecenie. Kiedy wróciła, Peter wziął dziennik z jej rąk, nie obdarzając jej nawet jednym spojrzeniem.

– Widzisz? – Peter upuścił na podłogę wszystkie strony z wyjątkiem tych z działu regionalnego. – Tutaj.

Najważniejsza informacja: „Ruch na rzecz prawa do przerywania ciąży za potępieniem nękania listownego i telefonicznego”. I do tego twoje urocze małe zdjęcie. Za zgodą redakcji wiadomości Kanału 4. I tutaj, i tutaj, i tutaj. – Jak łatwo było przewidzieć, w jego ton wkradła się protekcyjność. – I co ty na to? Jesteś wszędzie.

– Nie mieliśmy tej gazety – powiedziała Renée odruchowo do Louisa, jakby to była jego wina.

– Doktor Renée Seitchek, sejsmolog z Uniwersytetu Harvarda...

Ponownie odwróciła się do Louisa, z gniewną miną, jakby chciała powiedzieć, że miała rację.

– Ten program telewizyjny. Nie widziałem go. Chyba był naprawdę niezły.

– Wcale nie był niezły. Był głupi.

– Jasne. – Peter skinął głową, jakby sam to powiedział.

– A nawet bardziej niż głupi. Wyrażasz jakąś opinię, a zaraz potem dostajesz nienawistne listy i nie możesz nawet korzystać z własnego telefonu. Wiesz co? – Położył dłoń na biodrze i odchylił się, żeby lepiej ją widzieć. – Uważam, że jesteś bardzo dzielna. Żeby mówić tak otwarcie. Uważam, że to jest diablo odważne. Osoba prywatna napiętnowana jako zwolenniczka aborcji za wyrażenie swojej opinii w telewizji? To jak najgorszy koszmar.

Nachyliła się nad jego kolanami i spod przymrużonych powiek spojrzała w gazetę. Louis był

skonsternowany, widząc, jak łatwo znosiła uwagę Petera i jak piękną czyniły ją zarumienione policzki, a także jak blisko jego twarzy znalazły się jej szyja i ramiona. Mimo wszystkich swoich wad Peter potrafił docenić, jak interesującą, pociągającą i dzielną osobą jest Renée; wstrętny, niedojrzały Louis mówił jej tylko nieprzyjemne rzeczy i ją krytykował. Jak mogłaby nie zauważyć różnicy? A najgorsze było to, że Louis sam nie wiedział, czego chce: czy lepiej mieć smutną i zgorzkniałą dziewczynę, która potrzebuje go tak bardzo, że zniesie wszystko, co jej powie, czy związać się z prawdziwą kobietą, która może podobać się innym mężczyznom i przysparzać mu wielu trosk, a nawet o nim zapomnieć.

Eileen wyglądała na jeszcze mniej zadowoloną niż Louis. Kiedy dwójka trzydziestolatków w wyblakłych dżinsach gniotła się na sofie, ona siedziała w swojej kretyńskiej jedwabnej piżamie i kierowała w stronę Renée to samo gniewne spojrzenie, jakie przez dwadzieścia lat pojawiała się w jej oczach za każdym razem, gdy coś, co jej zdaniem słusznie jej się należało, było jej zabierane, choćby na chwilę.

– Pomóc ci przy kolacji? – zapytał Louis głosem jak z kreskówki.

Poszedł za nią do kuchni, skąd dalej rzucała nienawistne spojrzenia w stronę Renée i Petera.

– To jak? – zaczął. – Już skończyłaś? Zdałaś wszystkie egzaminy?



– Tak. – Wyjęła z lodówki sos z majonezem i keczupem oraz zieloną sałatę, której wystarczyłoby na dwanaście osób. – Chcesz to wymieszać?

Włożyła głowę do piekarnika. Z pokoju docierał tylko szelest papieru i Louis sobie wyobrażał, że usta Petera i Renée już znalazły drogę ku sobie, Peter ściska jej piersi i tłumi jej okrzyki... Uczucia Louisa stały się tak boleśnie fizyczne, że niemal nie mógł uwierzyć, że w ogóle był z nią kiedyś w łóżku, kiedykolwiek smakował czy dotykał czegoś więcej niż samej jej idei: głosu, gotowości, głowy, starszej osoby – kogokolwiek, tylko nie tej kobiety, którą teraz wyobrażał sobie w drugim pomieszczeniu. A zazdrość to było coś wielkiego, narkotyk, który łądował końcówki nerwów i dawał niezłego kopa. Po stronie minusów należało zaliczyć to, że zakłócała kontrolę nad mieszaniem sałatki, która zaganiana przez widelec i łyżkę wypadła z miski, plasterki ogórka z plaśnięciem łądowały zaś na blacie; a gdzieś pod tym odurzającym (i wspaniałym) kopem podejrzewał, że wcale nie czuł się dobrze.

Z dłońmi w rękawicach termicznych Eileen beznamiętnie gapiła się na bałagan, który robił.

– Mówiłam ci, co się stało tamtego wieczoru, podczas imprezy po egzaminach końcowych?

– Nie.

Pikowanymi łapkami założyła włosy za uszy.

– To było takie zabawne. To było d o p r a w d y

zabawne. Tato mojej przyjaciółki Sandi jest właścicielem firmy wypożyczającej limuzyny i jako prezent za ukończenie studiów miał pozwolić nam skorzystać z trzech długich wozów, a myśmy zamierzali zacząć imprezę po drodze i skończyć ją na Manhattanie, tam zjeść kolację i iść na tańce do Rainbow Room.

– Uhm.

– No więc przyjeżdżają te limuzyny, żeby nas zabrać, wszyscy jesteśmy wystrojeni i pada deszcz, ale są tylko d w i e. A nas jest osiemnaścioro. – Na moment, rozbawiona wspomnieniami, zgięła się w pół. – Ale wszyscy pakujemy się do dwóch limuzyn i zaczynamy raczyć się szampanem oraz kawiozem i oglądamy film wideo, który inna koleżanka znalazła w bibliotece, taki o szkoleniu kierownictwa w p r z e m y ś l e m l e c z a r s k i m. Są tam te wszystkie krowy, dojarki mechaniczne i ostrzyżeni na jeża faceci z podkładkami do pisania, rozmawiający z facetami pracującymi przy dojarkach. Klepią krowy i patrzą na sery, i prowadzą kampanię w Waszyngtonie. To totalnie lata pięćdziesiąte, jest takie długie ujęcie Kapitolu, na którym idą prowadzić kampanię na rzecz subwencji na mleko.

– Uhm.

– Ha, ha, ha – roześmiała się. – Ale kiedy znaleźliśmy się gdzieś w Connecticut, w szczerym polu, nagle coś strasznego zaczęło dziać się w tej drugiej limuzynie, nie w tej, w której ja jestem, w tej drugiej, jakoś cały płyn

z chłodnicy wylewa się na autostradę i nic tam nie zostaje, no i kierowca dalej nie pojedzie. Jest nas tam osiemnaścioro, leje deszcz i mamy tylko jedną limuzynę, żeby dojechać do Nowego Jorku, a kierowca mówi, że może zabrać najwyżej dziesięć osób, więc oczywiście nikt nie zgłasza się na ochotnika, żeby zostać.

– Oczywiście.

– Ale w oddali widzimy zajazd dla kierowców ciężarówek, daleko w dolinie, to taki ogromny zajazd, przed którym stoi milion ciężarówek, a wokół nie ma niczego, tylko lasy. No to wspólnie decydujemy, kichać na Manhattan, zrobimy imprezę tutaj. Wchodzimy wszyscy do środka, a tam z tysiąc tych wielkich kierowców z czerwonymi twarzami; wszyscy wytatuowani, palą i jedzą to swoje tłuste jedzenie. A my jesteśmy totalnie odwaleni, wszyscy chłopcy mają czarne krawaty, a Sandi w sukience od Oscara de la Renty, wyciętej jak...! – Dekolt, który Eileen zarysowała na piersi, miał mu uzmysłować, że Sandi widać było sutki. – Ale i tak wchodzimy do środka i oczywiście wszyscy się na nas gapią, niesiemy nasze szampanki, takie wysokie, a chłopcy niosą butelki...

– Peter też tam był?

– Nie, tylko nasza klasa, musieliśmy to ograniczyć. Poszliśmy więc do sali z szafą grającą, no i wiesz, było tak zabawnie. Otaczali nas ci wszyscy kierowcy ciężarówek i żartowaliśmy, słuchaliśmy starych kawałków i muzyki

country. Sandi zadzwoniła do taty i kazała mu przysłać dodatkową limuzynę, ale zanim przyjechała, była północ, a o tej porze ten drugi kierowca limuzyny pojechał do Hartford przywieźć więcej szampana. Sandi tańczyła z jednym kierowcą ciężarówki, wzięła się z nim pod rękę i piła szampana. Wszystkim się to spodobało. Ale ekstra zabawa. Wróciliśmy koło szóstej rano, byliśmy totalnie ululani. Wszyscy nas pytali, jak było w Nowym Jorku, a kiedy mówiliśmy, gdzie byliśmy, nikt nie chciał nam uwierzyć. Po prostu n i e m o g l i u w i e r z y ć, że spędziliśmy noc w zajezdzie dla kierowców ciężarówek.

– To niesamowite – stwierdził Louis.

Skinęła głową, wyjmując chleb czosnkowy z piekarnika.

– Powiesz im, że będziemy jeść?

Poszedł do salonu. Spojrzenie, jakim obdarzyła go Renée w drodze do jadalni, nie było ani przyjazne, ani nieprzyjazne; świadczyło o tym, że jest po prostu daleko myślami.

– Pachnie bardzo ładnie – powiedziała życzliwie do Eileen, kiedy wszyscy usiedli. Louis burknął coś na znak zgody. Wszystko było w porządku, dopóki nie zdał sobie sprawy, że sączący się z jego kawałka musaki sos pełen jest mielonej wołowiny. Przerażony, spojrzał przez stół na Renée, ale była teraz myślami jeszcze dalej i napełniała talerz sałatką. Uniósłszy widelcem plasterek bakłażana, odkrył istne mrowisko granulek wołowiny.

– Czy mówiłam ci, co się stało w tę noc podczas ostatniego trzęsienia ziemi? – Eileen urwała i zaczęła wzrokiem szukać aprobaty na linii rozciągającej się między talerzem Renée a samą Renée. Ale ta zajęła się wznoszeniem fortyfikacji, była tak zaabsorbowana swymi rękami i sztućcami i tak usilnie starała się nie zwracać na siebie uwagi, że chociaż była tak samo na widoku, jak i pozostała trójka, Louis mógł patrzeć prosto na nią i wciąż nie widzieć, co się dzieje z jej musaką ani co ona o niej sądzi. Odebrał to jako sygnał, żeby nie robił z tego problemu.

– To było takie zabawne – powiedziała Eileen. – Ubiegłoroczny laureat nagrody Nobla z ekonomii wygłaszał wykład w naszej szkole, a później mój profesor zabrał go na kolację z kilkoma studentami. On ma taki wieceelki dom w Nahant, z ponad hektarowym ogrodem wychodzącym na wodę...

– Nahant – odezwał się Peter. – Główna dzielnica mafii.

Renée skinęła głową i uśmiechnęła się, nie odrywając wzroku od serwetki.

– Nie tylko mafii, Peter. Bo tam mieszka też Seton, a on nie jest z mafii.

– A masz na to jakiś dowód?

– Nie jest! Nie jest z mafii! Jest... profesorem na Harvardzie.

– Ooooch – odparł Peter, uśmiechając się znacząco do

Renée. – Rozumiem.

– Nie jest z mafii – zapewniła Eileen Louisa. – Jest wykładowcą. Ale ten noblista to Japończyk. Zawsze wylatuje mi z głowy jego nazwisko. Rozpoznaję je, kiedy usłyszę, ale nie mogę zapamiętać. A ty... pamiętasz?

Louisowi opadła szczęka.

– Pytasz mnie, czy pamiętam nazwisko ubiegłorocznego zdobywcy nagrody Nobla z ekonomii?

– No widzisz, ja też nie pamiętam. No, w każdym razie to taki zabawny mały człowieczek w okrągłych okularach, a po kolacji piliśmy koniak w salonie Setona i kiedy ludzie zaczęli się zbierać, nagle doszło do trzęsienia ziemi. Stałam przy kominku i krzyczałam, bo to było prawdziwe trzęsienie ziemi, to znaczy naprawdę silne. – Lekko się zaczerwieniła, czując, że wszyscy, nawet Peter, skupiają na niej uwagę. – Rzeczy spadały z kominka, a podłoga... jakbyśmy jechali T. Peter, tak to wyglądało. Jakby się stało w T, musiałeś się czegoś trzymać albo traciłeś równowagę. Trwało to tylko kilka sekund, ale wszyscy krzyczeli i szkło się rozbijało, i światła migotały. Ale w pewnym momencie to się skończyło i jakoś jeden po drugim zaczęliśmy zauważać... Hakasura? Haka...? Hakanaka? A niech tam. W każdym razie zaczęliśmy zauważać, że on wciąż siedzi w swoim kącie na sofie i m ó w i o i n w e r s j a c h e k o n o m e t r y c z n y c h. Nawet nie zauważył trzęsienia ziemi! Albo zauważył, ale mimo to

kontynuował. Trzyma za rękę dziewczynę, do której mówił, żeby nie wstała, i w końcu widzi, że wszyscy stoimy i na niego patrzymy. Kończy zdanie, podnosi wzrok i pyta: „Czy komuś coś się stało?” (tyle że z tym swoim akcentem, którego nie potrafię oddać), a my mówimy: „Nie”, na co on: „No to dobrze. W Japonii mamy takie powiedzenie...”. – Zmarszczyła brwi. – Kurczę. K u r c z ę. – Spojrzała na Petera. – Pamiętasz, jak to szło?

– Jak mi to opowiadałaś, też nie mogłaś sobie przypomnieć.

– To było jakoś tak: „Jeśli ty... Jeśli ty...”. – Zmieszana, rozejrzała się wokół stołu. – Nie pamiętam. Myślałam, że pamiętam, ale jednak zapomniałam. To było jakoś...

– Oni mniej więcej rozumieją – stwierdził Peter.

Louis odniósł wrażenie, że jest jedyną osobą przy stole, która tu nie pasuje. Z czasem Renée wychynęła zza swoich fortyfikacji i zaczęła odpowiadać na pytania o trzęsienia ziemi, jak zwykle takim tonem, jakby prowadziła seminarium. I to Peter, a nie Louis, zdawał się wiedzieć, o czym ona mówi; i to twarz Petera świeciła odbitym blaskiem jej fachowej wiedzy.

Po rytualnym zjedzeniu lodów Häagen-Dazs Louis wielkodusznie zostawił trzydziestolatków samych w salonie, na wypadek, gdyby Renée potrzebowała więcej czasu na wyciągnięcie informacji z Petera.

– Wyglądasz na zdołowanego – powiedziała mu

w kuchni Eileen, kiedy patrzył, jak wkłada naczynia do zmywarki. – Chodzi o pracę?

– Jaką pracę? Nie mam pracy.

– Czyli nic nie znalazłeś.

– Nawet nie szukam.

– Ale byłeś chyba bardzo zainteresowany radiem?

Dla porządku odnotował, że zdobyła przewagę, okazując mu w ten sposób „zainteresowanie”. Roześmiał się krótko na myśl, że interesowało go radio.

– Masz pieniądze na opłacenie czynszu i inne potrzeby? – zapytała.

– Nie. Ale w tym tygodniu przenoszę się do Renée.

Zaskoczona, ściszyła głos.

– Naprawdę?

– Tak.

– Och, nie wiedziałam. – Kąciki jej ust powędrowały w górę. – To miło.

– Tak.

Podjęła drugą mężną próbę:

– Naprawdę jest mądra, prawda? Jest taka mądra. I jest jakoś... w twoim wieku?

Louis wbił wzrok w siostrę.

– Tak. W moim wieku.

– Jak ją poznałeś?

– Spotkaliśmy się na plaży. Miała piłkę plażową.

– Uhm. Nie zapomnij mi dać twojego nowego adresu, dobrze? – Zdrapała nietkniętą wołowinę Renée do kosza



na śmieci, w którym były już dwa opakowania po mrożonej musace marki Stouffer, i włożyła talerz do zmywarki. – No i wiesz, jeśli naprawdę brakuje ci kasy, może mógłbyś poprosić mamę...

– Hej, to jest myśl.

– Chociaż teraz jest dosyć zdenerwowana. Nie wiem, czy słyszałeś, to naprawdę okropne. Dostaje te pieniądze, ale mniej więcej dziewięćdziesiąt procent jest ulokowane w akcjach firmy dziadka, Sweeting-Aldren, no wiesz, tam, gdzie pracuje tato Petera.

– Aha, tak. Firma chemiczna?

– Zgadza się. Tyle że dopiero w przyszłym miesiącu będzie mogła nimi dysponować, a pewnie nie czytałeś w gazetach, że firma jest w naprawdę opłakanym stanie z powodu trzęsień ziemi i tego chemicznego wycieku w okolicy ich zakładu. Tato Petera jest wiceprezesem do spraw produkcji i odpowiada za te wszystkie sprawy. Jak na razie ceny akcji spadają mniej więcej o jeden punkt dziennie, a to naprawdę okropne, i mama trzyma te wszystkie akcje i tylko patrzy, jak tracą na wartości dwa miliony dolarów, a ona nic z tym nie może zrobić. Możesz w to uwierzyć? Dwa miliony dolarów? A ona nic nie może zrobić. Do tego prawie cała reszta to nieruchomości, myślę, że w większości to posiadłość Rity, a z powodu trzęsień ziemi jest tu kryzys na rynku nieruchomości. Jest więc n a p r a w d ę zdenerwowana. Przylatuje tu, ale okazuje się, że nic nie może zrobić, więc

wraca do domu, ale tam znowu siedzi i się martwi, więc przylatuje z powrotem. Już nawet do mnie nie dzwoni, kiedy tu jest, co mi akurat nie przeszkadza, bo zupełnie nie jest sobą. Dzwoni do ciebie?

– Rzadko bywam w pobliżu telefonu, więc nawet nie wiem.

– Naprawdę jest mi jej żal. No wiesz, kurczę! Dwa miliony dolarów.

– Świat jest niesprawiedliwy i okrutny – odparł Louis.

Eileen włączyła zmywarkę i rozejrzała się, które naczynia nie zostały jeszcze poddane ostatecznej obróbce.

– Rodzina Petera miała prawdziwe szczęście – odezwała się. – Ostatnie trzęsienie ziemi wyrządziło wiele szkód w ich domu. Byliśmy tam. Część budynku jakby osiadła. Mają nową dobudówkę, którą będą musieli zburzyć i położyć nowe fundamenty, a drzwi im się nie domykają, tak wykrzywiła się futryna. Mieszkają w Lynnfield, mają taki cudowny dom, ale okazało się, że byli ubezpieczeni od trzęsienia ziemi. To prawdziwe szczęście. Można dodatkowo się od tego ubezpieczyć, ale aż do tego roku nikt z tego nie korzystał. Myślę, że Stoorhuysowie po prostu chcieli być ubezpieczeni od wszystkiego, więc teraz nie będą musieli za nic płacić. Jeden z ich sąsiadów będzie musiał zapłacić jakieś dwadzieścia tysięcy dolarów za naprawy. A teraz już nie można dodatkowo się od tego ubezpieczyć, chyba że

zaczekasz rok, aż ubezpieczenie zacznie działać.

Louis pomyślał o panu Stoorhuysie, o jego loku, zbyt krótkich rękawach marynarki, o jego puszystym i merdającym ogonie.

– Często ich widzisz? Rodzinę Petera?

Twarz Eileen się zachmurzyła.

– Peter nie jest w najlepszych stosunkach z tatą. Ale jego mama jest bardzo miła, więc czasami się spotykamy. Ma cztery siostry i brata. Peter jest najstarszy. – Spojrzała na Louisa z ukosa; na jedwabnej klapie jej kimona widniała grudka mydlin. – Posłuchaj, on jest naprawdę miłym człowiekiem. To wspaniały starszy brat. Zawsze pomaga siostrom.

Louis był w rozterce.

– Postaram się.

Postarać musiał się niemal natychmiast. Eileen zabrała go do salonu i zapytała Petera, czy ma jakiś pomysł na pracę dla Louisa. Peter przypatrzył mu się, jakby kwalifikacje miał wypisane na czole. Renée również patrzyła na niego, dając mu znaki, by już szli. Peter zapytał, jaką najniższą stawkę zaakceptowałby Louis.

Odezwał się swoim głosem zombie:

– Nie odrzuciłbym oferty pięciu tysięcy miesięcznie plus świadczenia socjalne i płatne chorobowe. Piszę trzydzieści pięć słów na minutę.

– Szczerze mówiąc – odpowiedział Peter – moim zdaniem przy takich wymaganiach dłuuuuugo będziesz

szukał pracy. Ale mógłbym ci zasugerować, żebyś rozejrzał się za układem, w jaki kilka lat temu wszedłem z czasopiśmem „Boston”. Prawdopodobnie jesteśmy najlepszym wydawcą, z jakim na tym etapie mógłbyś się związać. Obecnie mamy sporo ludzi, więc n i e chciałbym rozbudzać twoich nadziei, ale, hm, jeśli chcesz, mogę szepnąć gdzieś słówko.

Eileen uśmiechnęła się szeroko do Louisa: oto naprawdę dobre wyjście! Być może Peter od razu będzie mógł coś dla niego zrobić!

Peter zakręcił czerwonym płynem w kieliszku do koniaku.

– Na początek – powiedział – mogą zatrudnić cię na prowizję. Nie brzmi to wspaniale, wiem. Ale jeśli się nie zgodzisz, żeby ustanowili górny limit, może to zadziałać na twoją korzyść. Sam tak zaczynałem i wiesz, ile zarobiłem w pierwszym miesiącu?

Przez chwilę, którą miał Louis, by odgadnąć tę kwotę, Renée, przytłoczona wysokim napięciem panującego w pokoju nieporozumienia, przechyliła się anemicznie na sofie.

– Dwa tysiące sto dolarów – oświadczył Peter. – I to trzy lata temu. Co prawda, miałem w tym nieco doświadczenia, więc sytuacja nie jest może dokładnie taka sama. Być może przez kilka miesięcy będziesz musiał przysiąc fałdów. Ale jeśli dasz sobie z tym radę, najpóźniej za dwa lata będziesz tam, gdzie teraz ja.

– Dzięki za wskazówki – odrzekł Louis. – Przemyśle to i skontaktuję się z tobą. Masz n u m e r f a k s u?

– Po prostu zadzwoń – powiedział Peter.

– Przemyślisz to, tak? – Eileen z przejęciem dotknęła ręki brata. – On może ci pomóc.

Renée teleportowała się do drzwi. Ponownie groteskowo wykrzywione twarze, kiedy ona i Eileen wymieniały podziękowania i życzenia, brnąc przez moment pożegnania.

– Cześć, Renée – powiedział Peter przez pokój. – Trzymaj się.

Na dworze miasto szeleściło, wzdychało i mruczało, składając swoje dźwiękowe ofiary wiszącemu nad nim obojętnemu niebu. Gdzieś na torach zazgrzytało koło metra, tak daleko, że dźwięk był jak dziesięciocentówka. Mściciele szli ulicami, nic nie mówiąc, wybijając stopami rytm trzy-drugie, Louis stawiał dłuższe kroki, Renée szybsze. Zagryzała wargi i mrugała, jakby starała się powstrzymać łzy.

– Przeżywałaś trudne chwile – odezwał się Louis.

– Tak, przeżywałam trudne chwile. Bardzo trudne chwile, ale to moja wina.

– Czy to twoja wina, że moja siostra podała ci talerz wołowiny?

– Mogę zjeść trochę wołowiny. To mnie nie zabije. To znaczy: tak, to mnie zabije: n i e m o g ę t e g o j e ś ć. Ale nie robi mi się od tego niedobrze. Chodzi tylko

o mnie. Tylko ja mam z tym problem.

– To ja – powoli zaproteutował – nakłoniłem cię, żeby tam pójść. To wszystko było moim pomysłem.

– Wiesz, dlaczego przestałam jeść mięso? – Patrzyła wprost przed siebie. Nabrzmiały miastem wilgotny wiatr targał jej włosy. – To nie ze względu na... moralną wyższość. Chcę, żebyś to wiedział. To tylko dlatego, że nie chcę zapomnieć. Nie zgadzam się, by mówić: w porządku, zapominam, że to krowa. W tym nie ma nic szlachetnego, żadnego współczucia. To tylko ja i mój problem.

Po drugiej stronie ulicy toyota camry znalazła miejsce do zaparkowania i wskakiwała w nie radośnie zadkiem. Louis doszedł do wniosku, że najlepiej nic teraz nie mówić.

Trolejbus skrzypiał i pełził do centrum miasta. Pasażerowie mówili zniżonymi głosami, a otaczająca ich cisza, której pochlebiał ludzki szacunek, syciła się nim i stawała coraz bardziej despotyczna. Zanim Louis ośmielił się zapytać, czy Renée udało się wyciągnąć coś z Petera, dotarli już w okolice Lechmere.

Pokręciła głową.

– Zrobił się bardzo ostrożny, gdy poruszyłam ten temat. Sprawiał wrażenie zaskoczonego, kiedy mu przypomniałam, co mówił na imprezie. Oświadczył, że musiał być bardzo pijany. Stwierdziłam, że to, co powiedział, z pewnością jest jednak prawdą. Wtedy

przyznał: tak, jego tato twierdzi, że firma niczego nie usuwa, ale on jest prawie pewny, że to robią. Kiedy go zapytałam, dlaczego tak sądzi, odparł, że coś słyszał, ale nie potrafiłby tego udowodnić. Tylko tyle udało mi się z niego wyciągnąć, więcej się nie dało, jeśli chciałam sprawiać wrażenie, że nieszczęśliwie mnie to obchodzi.

– Pytał cię, co wywołuje trzęsienia ziemi? Zauważyłem, że...

– Tak. Skłamałam dokładnie tak, jak tego chciałeś. Siedziałam tam i okłamałam go.

Louis złapał ją i pociągnął za ucho, ale widział, że jest bardzo nieszczęśliwa. Odczekał, aż przeszli przez Cambridge Street i znaleźli się w jego samochodzie, i dopiero wtedy się odezwał:

– Nie zapytasz mnie, czego się dowiedziałem od Eileen?

– A dowiedziałeś się czegoś?

– Nie. Tylko tyle, że rodzice Petera wykupili na dom ubezpieczenie od trzęsienia ziemi. Dodatkowe ubezpieczenie.

Patrzył, jak to, co powiedział, dociera do jej świadomości.

– Chyba żartujesz – stwierdziła.

– Sama tak powiedziała. Nawet nie musiałem pytać.

– W tej okolicy nikt, absolutnie nikt, nie ubezpiecza się od trzęsień ziemi.

– Też tak sędzę.

– No, no! – Przycisnęła głowę do zagłówek. – Nieźle. – Chwyciła go za rękę i mocno ścisnęła, uderzając nią we własne udo. Pocałował ją, a ona zerwała ten pocałunek jak winogrono z łodyżki.

– Jesteś moja? – zapytał.

– Tak!

Pojechali do domu przy Pleasant Avenue. Na kuchennym stole leżały bilety United Airlines, które nadeszły rano pocztą. Wyglądało na to, że ojciec, zaraz po nieprzyjemnej rozmowie, jaką odbyli w poprzedni weekend, nie mówiąc o tym Louisowi, kupił mu bilet w dwie strony na trasie Boston – Chicago.

– Ach, to – odezwał się zmęczonym głosem.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego je przysłał.

Wypił szklankę wody.

– To jego zagranie w stylu von Clausewitza. Po rozmowie, po której praktycznie rzuciłem słuchawką, on się odwraca i kupuje mi bilet na samolot. Bo teraz to będzie moja wina, jeśli nie polecę i straci trzysta dolców.

– Możesz po prostu powiedzieć, że musisz pracować.

– To znaczy mam skłamać? Zabawne, że to proponujesz. Niestety, już mu powiedziałem, że jestem bezrobotny. Rzecz w tym, że to m i ł e. Byłem wobec niego totalnie niegrzeczny, a on nadstawia drugi policzek i daje mi bilety za trzysta dolców, bo na swój odurzony marychą sposób stara się trzymać rodzinę razem. Mówiłem ci, że do mnie zadzwonił, kiedy się



dowiedział o moim małym starciu z mamą w Ipswich. Ma takie podejście: Chcesz połamać jej sofę? Spoko, Louisie, ale musisz też wziąć pod uwagę j e j uczucia. I powtarza tę śpiewkę od jakichś dwudziestu lat, wiesz: że powinienem wziąć też pod uwagę jej uczucia. I dokładnie to samo mi powie, kiedy tam polecę. Po co więc w takim razie to robić? Już to słyszałem.

Renée oparła brodę na jego ramieniu i położyła dłoń na jego kroczu, ściskając go tam.

– N i e będę protestować, jeśli nie polecisz.

– To ty, a nie ja, powinnaś to zrobić. Zaprzyjaźnilibyście się. – Opadł na krzesło, a ona usiadła mu na kolanach. Wsunął ręce pod jej T-shirt. – Myślę, że po prostu zdecydujemy w przyszłą niedzielę.

– Kiedy przeprowadzamy cię do mnie?

– Nie wiem. Jakoś wcześniej. W środę?

– A tymczasem?

– A tymczasem... – Podciągnął jej koszulkę, zwijając ją nad czarnym stanikiem.

– Mam trochę pracy. I do tego w poniedziałek ten zrzut systemu, a to zajmie całą noc.

Rozpiął jej stanik i uwolnił piersi, te kobiece rzeczy, których jak mu się wydawało dzisiejszego wieczoru, nigdy wcześniej nie widział. Były jak miękkie i ożywione małe babeczki. Właśnie zaczął im się dobrze, bacznie przyglądać, kiedy...

– Mm!

Zerwała się na nogi, obciągając koszulkę, skrzyżowała ramiona i stanęła przodem do ściany. Pomyślała, że znowu zaplątała się w swojej samokrytyczności. Jednak gdy już zapięła stanik, przeprosiła go i powiedziała, że chodziło tylko o szopa, szopa za oknem, który patrzył prosto na nią.

On sam jeszcze go nie widział. Podszedł do okna, ale przy włączonych kuchennych światłach przez siatkę dostrzegł jedynie na tle drzew jakieś światła na ganku i część białej rynny przy dolnej krawędzi dachu.

– Posłuchaj – powiedziała Renée.

Do jego uszu docierało jakieś dziwne sapanie, tak słabe, że trudno było je rozpoznać.

– Jest tuż za róg – powiedziała. – Denerwuje się i idzie za róg, ale potem zaczyna się bardziej interesować i wraca. Mówię, że to on, ale wcale nie mam pewności. Ciekawe, że jak zwierzę nie ma określonej płci, zawsze mówię, że to on. Płeć domyślna: samiec. Powinniśmy jednak odsunąć się od okna. To...

– Wiem, co chcesz powiedzieć.

– Co?

– To jak trzęsienie ziemi. Nadchodzi tylko wtedy, gdy nie patrzysz.

– Zgadza się.

– Ale naprawdę przychodzi? To znaczy, tam naprawdę jest szop?

– Tak! Myślisz, że cię okłamuję?

Usiedli przy stole. Louis oszukiwał, udając, że nie patrzy w okno, stale jednak w nie zerkał, a mimo to był zupełnie zaskoczony, kiedy zdał sobie sprawę, że za siatką nie jest już pusto. W którym dokładnie momencie pojawił się ciemnobrązowy pyszczek, bystry skórzany nosek i błyszczące oczka?

Kiedy tym razem podszedł do okna, szop cofnął się tylko do rynny. Rzucił mu stamtąd zranione spojrzenie, przez ramię, jak wciąż niezdecydowany samobójca na parapecie. Było to duże zwierzę, z pierścieniami na ogonie i oczami bandyty, większe od kota. Gdy tylko Louis się obrócił, żeby spojrzeć na Renée, szop wrócił do okna. Chodził w przód i w tył, zazwyczaj widać było tylko niewyraźną plamę ciemnego futra, ale od czasu do czasu (i za każdym razem niespodziewanie) przyciskał nos do siatki i patrzył na Renée.

– Och, wciąż ma tę ranę – powiedziała z troską.

– Niesamowite. Karmisz go?

– Czasami wystawiam jakieś jedzenie. Zazwyczaj je niewiele. Nie widuję go zbyt często. Czasami przychodzi dwa czy trzy wieczory z rzędu, a potem nie pojawia się przez miesiąc. Raz zniknął na kwartał. Myślałam, że zginął. Że dorwał go pies albo samochód. Albo że zachorował na wściekliznę.

Louis patrzył, jak zwierzę wspina się po rynnie, kuląc puszyste i silne barki jak kot, wyciągając łapę jak małpa, a potem, kiedy kładło brodę na rynnie i dźwigało się na

dach, bardziej przypominając człowieka niż jakąkolwiek inną istotę. Sufit zaskrzypiał pod jego ciężarem. Louis odwrócił się z uśmiechem, żeby podzielić się z Renée jakąś uwagą – ale kuchnia była pusta.

Znalazł ją nagą w pościeli. Przepętniony pożądaniem, rozebrał się i zbliżył do niej, ale nawet ogarnięty podnieceniem, nawet gdy zanurzał się w jej ramiona i składał swoją masę na jej objętości, gdy czuł równomierne ciepło jej skóry i brał jej głowę w dłonie, zastanawiał się, jak ona to zawsze urządzała, że to właśnie on przychodził do niej, a nie na odwrót. Zastanawiał się, dlaczego musi czuć się tak bardzo samotny, kiedy się kochają, tak bardzo samotny przy tej jej rosnącej przyjemności, kiedy wprawiał w ruch długi ciąg fal prowadzący ją do zaspokojenia (na zielonym monitorze z wykresami w sali komputerowej pokazała mu, jak wygląda duże i odległe trzęsienie ziemi rejestrowane przez ich zakładowy cyfrowy sejsmograf: płaska, jasna linia, lekko zmarszczona przez pierwszą falę, na moment stabilizująca się, po nadejściu drugiej fali rozhuśtana już gwałtowniej, a potem coraz gwałtowniej, w miarę jak coraz więcej fal uderzeniowych odbijało się i od jądra zewnętrznego, i od jądra wewnętrznego Ziemi, i od skorupy, fazy sS, ScS, SS, PP i PKiKP, aż w końcu linia gmatwała się zupełnie w uścisku olbrzymich, przetaczających się fal powierzchniowych, fal Love'a i fal Rayleigha, które

niszczyły mosty, równały budynki z ziemią i wszędzie rozrywały ziemię). I nie chodziło o to, że do siebie nie pasowali czy też nie dochodzili w dostatecznym stopniu; było raczej tak, jakby ona w żadnym momencie, nawet w tych najbardziej typowych dla dwóch płci czynnościach, nigdy mu się nie prezentowała, nie oddawała ani nie pozwalała mu się widzieć jako kobieta. Nawet zanim jeszcze zazdrość wyostrzyła jego zainteresowanie, mówił sobie, że kiedy następnym razem będą się kochać, powinien zrobić przerwę i s p o j r z e ć na tę kobietę, i za każdym razem, gdy się kochali, zapominał o tym, a przypominał sobie poniewczasie. W tym, jak go oszukiwała, sprawiając, że będąc z nią, odczuwał obecność wszystkiego, z wyjątkiem tych właśnie cech, które przychodziły mu na myśl, kiedy był sam i wyobrażał sobie Kobietę, było coś, co nasuwało na myśl nieśmiałość trzęsienia ziemi. Zawsze mu się wydawało, że odpowiada to jakiemuś jej nieokreślonemu celowi, żeby byli tej samej płci, pobudzani przez dopasowane nerwy i zaspokajani przez dopasowane stymulacje. Brakowało natomiast jakiejś podstawy uwodzenia, jakiegoś zaakceptowania różnic między nimi. I można było odnieść wrażenie, że gdy tylko wyczuwała, że czegoś mu brakuje, zaczynała mówić, głosem nieprzytomnym od orgazmu i usypiającym – mówiła dla niego, dla nich, dla seksu.

Włączył więc światła. Była druga nad ranem.

– Chcę na ciebie popatrzeć – powiedział.

Zmrużyła oczy w jasnym blasku.

– Nie wszystkie muszą się świecić.

Włączył znajdującą się najdalej lampę, stanął przy łóżku i spoglądał w dół, zdecydowany zobaczyć tę kobietę, raz na zawsze. Gra skończona, nie mogła się ukryć – i nie próbowała. W osłepiającym świetle widział czerń jej włosów i powiek. Czerwoną plamę ust i sutków. Kpiarskie wargi sromowe, nabrzmiałe i poplamione pianą. Ucho z tkwiącym w nim metalem. Rozluźnione mięśnie pod szarawą skórą. Zmatowiałe, pomarszczone obszary wyschniętego lub wysychającego nasienia. Ciemny meszek nad górną wargą i na przegubach rąk. Embrionalna papkowatość zmęczonej twarzy. Wszystko wyłożone jak narządy na sprzedaż w sklepie z mięsem u francuskiego rzeźnika. I to było to ciepłe ciało, które obejmował? To była jego dziewczyna, Renée?

Ponownie został oszukany. Spostrzegł anioła unoszącego się wysoko nad nim na prądach termicznych i nie wierząc w to, zestrzelił go i zobaczył, że jest tylko upierzonym i grudkowatym kawałkiem mięsa. Huk broni rozbrzmiewał echem gdzieś w przestrzeni, jak śmiech uciekającego anioła.

Podjeżdżanie niezainteresowana tym, po co tam stoi, Renée naciągnęła prześcieradło na ramiona. Być może była po prostu bardzo senna. Wczołgał się do łóżka, rozpaczliwie jej pragnąc.

W niedzielnym wydaniu „Globe’a” pojawił się sążnisty artykuł o ostatnich trzęsieniach ziemi; długim kolumnom towarzyszyły zdjęcia, rysunki i ramki. W głównym tekście nie było ani jednej wzmianki o Renée, ale została zacytowana w ramce zatytułowanej TRZĘSIENIA ZIEMI: WOLA BOSKA, DUCHY ZIEMI CZY PRZYPADKOWE ZJAWISKO?

Granica dzieląca naukę i religię okazała się szczególnie kręta dla Renée Seitchek, sejsmolożki z Uniwersytetu Harvarda. Seitchek, która w wyemitowanym 27 kwietnia programie potępiła wysiłki Stitesa zmierzające do tego, by powiązać kwestię aborcji i wstrząsy, stała się celem bezprawnego, realizowanego drogą telefoniczną i listowną nękania, wymierzonego przeciw klinikom i lekarzom dokonującym aborcji oraz innym orędownikom praw kobiet do przerywania ciąży.

Stites i inni przywódcy Kościoła Działań w Chrystusie zaprzeczają, jakoby byli za to odpowiedzialni, Seitchek jest jednak zdania, że lawina wysłanych do niej nienawistnych listów stanowi podjętą przez religijną prawicę próbę zdławienia prawa do swobodnego i precyzyjnego wyrażania poglądów naukowych.

„Nauka badająca trzęsienia ziemi zмага się z wieloma niewiadomymi – powiedziała Seitchek. – Uznając istnienie tych niewiadomych, ryzykujemy, że będziemy postrzegani jako osoby dopuszczające funkcjonowanie przesądów, a jednak jeśli naukowiec próbuje uprzedzić tego typu zarzuty i nakreślić wyraźną granicę między debatą naukową i dyskusją na temat moralności, najwyraźniej naraża się na ryzyko ataków Philipów Stitesów”.

Zgodnie z informacjami w ramce „trafne prognozy”

Stitesa co do ostatnich trzęsień ziemi przyciągnęły dziesiątki nowych wiernych do jego Kościoła, który nadal mieścił się w chybotałej kamienicy w Chelsea. Członkowie Kościoła utrzymywali, że odkąd się tam wprowadzono, w budynku nie doszło do „żadnych uszkodzeń”, chociaż do dziś niemal w każdym domu na północ od Cambridge rozbiło się przynajmniej kilka naczyń czy popękały ściany.

W rzeczywistości łączne zniszczenia w mieniu szacowano na sto milionów dolarów, z czego ponad osiemdziesiąt procent było efektem dwóch ostatnich trzęsień ziemi w pobliżu Peabody. Na kartce papieru, na której napisał z ICH WINY, Louis zanotował:

20 kwietnia, 3 400 000 \$  
Peabody

10–11 maja, 80 000 000 \$  
Peabody

Wypisywał te wszystkie zera z wielką satysfakcją.

W wolnych chwilach Renée nadal zajmowała się wypracowaniem naukowego stanowiska przeciw Sweeting-Aldren, badając każdy udokumentowany przypadek indukowanej aktywności sejsmicznej. Louis z zadowoleniem patrzył, jak pracuje, ale nie zależało mu, żeby szybko skończyła. Im dłużej będą się ociążać z podjęciem działań przeciw tej firmie, tym więcej czasu ziemia pod Peabody będzie miała na to, żeby się



poruszyć, spowodować dalsze szkody i podnieść rachunek Sweeting-Aldren do jeszcze bardziej odpowiedniego poziomu. Jego zdaniem zarząd firmy składał się z nikczemników oraz wrogów przyrody i Louis chciał, żeby zbankrutowali, a może nawet trafili do więzienia. Czekał dzień po dniu na następne trzęsienie ziemi, odczuwał niemal erotyczne napięcie. Chcąc się czymś zająć, kiedy Renée była w pracy, zaczął czytać podstawową literaturę z zakresu sejsmologii.

W środę wróciła do mieszkania późnym popołudniem z nową szarą teczką pełną kserokopii. Była w Bibliotece Widenera, gdzie czytała stare gazety.

– Mam tu kilka ciekawych rzeczy – powiedziała.

Pożądliwie otworzył teczkę, ale Renée go powstrzymała:

– Najpierw przywieźmy twoje rzeczy. Później ci o wszystkim opowiem.

Wróciło lato. Upał zwijał dachy samochodów na ziemi niczyjej placu Davis Square, markiza kina Somerville Theater drżała w płochych kłębach gazowych oparów. Louis i Renée chodzili wieczorami do kina na składający się z dwóch filmów tani seans i darmową klimatyzację.

Przy Belknap Street okna sopranistki były otwarte, a jej głos brzmiał tak, jakby umierała. Zdawał się dochodzić zewsząd. Dźwięk był tak wszechobecny, że wprost nie mógł się wydobywać z czegoś tak wąskiego,

jak ludzkie usta.

– Tej pani przydałoby się trochę samokrytycyzmu – powiedziała Renée. Louis dał jej zajęcie w kuchni, pomieszczeniu najbardziej oddalonym od piekła muzycznych katuszy. Sopranistka wrzeszczała i wyła. Udręczonemu uchu trudno było uwierzyć, że nie pojawi się tu żaden przedstawiciel władz z igłą czy pistoletem, żeby dla dobra ludzkości położyć kres temu nieszczęściu. Louis zsunął zapadkę z tłoczka przy zewnętrznych drzwiach i przyniósł sznur z samochodu. Materac miał pojechać na dachu.

– Hej Lou! Lou! Gdzieś się podziewał? – John Mullins schodził po schodkach ganku swojego domu gniewnym krokiem. Stawiając nogi na podjeździe, wysuwał głowę do przodu, niczym pustynny prorok. Zwisająca mu z brody kropelka potu wyglądała jak cysta. – Ludziska o ciebie pytali, Lou – powiedział, pełen potępienia. – Gdzieś ty b y ł? Gdzieś ty b y ł? O Boże, chyba się nie wyprowadzasz, co? Lou? Nie wyprowadzasz się? O co chodzi, czyżby, czyżby, czyżby ci się tu nie podobało?

– Uwielbiam to miejsce – odrzekł Louis, przekrzykując dźwięki arii. – Tylko sprawdzam, czy wszystko zmieści mi się w samochodzie.

– Ech, malutka honda civic. Lubisz ten samochód? Och, zaraz, Lou, a ta dziewczyna, co tu była i cię szukała, znalazła cię? Wiesz, o kim mówię? Taka ślicznotka.

Coś instynktownego w Louisie, coś powiązanego

z ciśnieniem krwi i żołądkiem, w każdym razie nic, co miałoby związek ze świadomością, zapytało Mullinsa:

– Kiedy to było?

– Dziś rano. Jakoś o dziewiątej, dziewiątej trzydzieści. Czytałem gazetę. Powiedziałem jej, że za dnia rzadko tu bywasz.

– Jak wyglądała?

– Duża dziewczyna. Powiedziała, że cię szuka.

– Gruba dziewczyna w okularach?

– Nie, nie. Ślicznotka. Miała walizkę.

Louis wszedł do domu. Niemal natychmiast wyszedł z powrotem i spojrzął na samochód, próbując sobie przypomnieć, co miał zrobić. Dotknął auta, pomacał maskę i od razu skierował się do swojego pokoju, gdzie zaczął chodzić w kółko. Renée głośno pakowała rzeczy w kuchni, sztucce uderzały w patelnię, pudło stękało, gdy wkładała skrzydełka kartonu jedno pod drugie. Louis miał zabrać rzeczy i zanieść je do samochodu. Ale gdy tylko na coś spojrzął z myślą, żeby to wytargać na zewnątrz, natychmiast mu się wydawało, że w tym momencie nie powinien znosić tej rzeczy. Dalej krążył po pokoju. Był jak człowiek, któremu pali się dom i który nie potrafi zdecydować, co jest najcenniejsze, w związku z czym nie może ocalić niczego. Na pewno wiedział jedynie, że chce zamordować właścicielkę tego sopranu, która zaczęła ciągnąć długie, wysokie nuty i przesadzać z tremolo. Nieustanność głosu wydawała mu się jednak

teraz fundamentalną właściwością świata, którego zmiana była ponad jego siły. Stał przy oknie, twarzą do sopranistki, która śpiewała za matowymi siatkami w oknach. Nie był ani nieszczęśliwy, ani szczęśliwy. Czoło fali zbliżało się przez góry, zmieniając po drodze pejzaż, i po chwili znalazł się w środku. To wszystko.

Wcześniej, niż się spodziewał, usłyszał głosy przed mieszkaniem. Kobiece głosy. I kroki. Renée pojawiła się z kartonem w rękach. Odezwała się, jak nieudolnie oszukana matka zbiega, kiedy policja staje pod drzwiami:

– Ktoś chce się z tobą zobaczyć.

Odsunęła się, robiąc mu miejsce i ostentacyjnie okazując, że nie ma zamiaru brać w tym udziału. Kiedy zamiast od razu wyjść, Louis popatrzył na nią i próbował coś powiedzieć, poczuła się zmuszona dodać:

– To twoja koleżanka Lauren.

– Och – powiedział. – Och.

Czuł na sobie jej wzrok, gdy szedł przez przedpokój, czuł cały ciężar tego, że go posiada, więc nie było aż tak wielkim zaskoczeniem, że dziewczyna, która stała tuż przed frontowymi drzwiami, obok małej walizki w słomkowym kolorze, z przerzuconą przez nią czarną skórzaną kurtką, objawiła mu się jak wizja uwolnienia. Lauren była opalona, miała jasne włosy i była wyższa, niż ją zapamiętał. Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby zrozumieć, jak pilnie jego mózg starał się cenić Renée – widzieć te jej części, które były urocze i świeże, a nie

zważać na poważniejsze fakty, czyli to, że miała trzydzieści lat i nie była piękną. Potrafił rozpoznać banknot o wysokim nominale, nie czytając na nim cyfr, i potrafił zauważyć urodę Lauren, nie zwracając uwagi na jej długie, umięśnione dwudziestodwuletnie nogi, jej złotą dwudziestodwuletnią skórę, jej jedwabiste dwudziestodwuletnie włosy, obecnie sięgające niemal do ramion. Miała na sobie tę samą pomarszczoną kraciastą spódniczkę mini, w której była, kiedy spotkał ją po raz pierwszy, podobne czarne buty i skarpetki do kostek oraz biały podkoszulek, mokry między piersiami od potu.

Sopranistka, urywając śpiew, sprawiła, że zapanował niepożądany spokój.

– Cześć, Louisie – odezwała się Lauren głosem beznamiętnym i drżącym, nie patrząc na niego.

– Hm, cześć. Co słychać?

– Nic. Tak tylko wpadłam, żeby cię zobaczyć.

– Gdzie jest Emmett?

Nie dała po sobie poznać, że usłyszała, co powiedział.

– Oczywiście, tu go nie ma – stwierdził Louis.

Zagryzła wargi, nadal na niego nie patrząc.

– Lauren, gdzie on jest?

Uniosła brodę i powiedziała:

– Już nie jesteśmy razem.

– Ach, rozumiem. Zostawiłaś go. On cię zostawił. Rozstaliście się. Rozwiedliście się.

Te słowa wprowadziły ją w wyraźne zakłopotanie.

Spojrzała na swoje buty, przyglądając się jednemu z nich z każdej strony.

– Nie wiem. Mogę wejść?

– Może nie.

– Louisie, popełniłam straszny błąd, s t r a s z n y błąd. Czy mogę wejść?

– Czego chcesz?

– Chcę się dowiedzieć, czy się spóźniłam. Jeśli się spóźniłam, nie będę wchodzić. Mogę wejść?

W tym momencie Renée stanęła w drzwiach między jadalnią a kuchnią. Ona i Lauren nie mogły się zobaczyć, ale Louis widział je obie.

– To była twoja dziewczyna, prawda? – powiedziała Lauren.

Odwrócił się w stronę Renée, jakby musiał to sprawdzić. Twarz Renée wyraźnie go informowała, że powinien już pozbyć się gościa. Skinęła ze zniecierpliwieniem: I co? Na co czekasz! Ale w miarę jak nic nie mówił, jej zniecierpliwienie zaczęło ustępować miejsca niepokojowi, a potem niepokój ustąpił miejsca bólowi, aż w końcu ból ustąpił przed przemożnym niedowierzaniem, a każdy z tych etapów rzucał się wprost w oczy.

– Och, ona tu jest? – zapytała Lauren jak głupia.

Możesz mnie zranić. Trochę. Możesz mnie ugryźć albo...

Zdawał sobie sprawę, że popełnia błąd, ale nie

panował nad tym. Był zafascynowany wyrazem bólu na twarzy Renée. W końcu ją widział. W końcu była naga, a on wpatrywał się w nią, myśląc: *J a t e ż j e s t e m g w a ł c i c i e m , j a t e ż j e s t e m s a d y s t ą*, kiedy ranił ją swoim milczeniem dla własnej przyjemności, pojmując już, co ludzie mieli na myśli, gdy mówili, że penis rządzi mężczyzną, bo właśnie tak to odczuwał. Ale była człowiekiem, po prostu porządnym człowiekiem, i nie miała zamiaru tego znosić. Z okropną godnością przeszła przez jadalnię i salon. Obeszła Lauren, która się uchyliła, jakby unikając kogoś obcego na chodniku. Renée straciła skórzaną kurtkę z walizki, o mało co jej nie depcząc, kiedy pospiesznie wychodziła przez drzwi.

– O rany – zamruczał Louis w pustkę, jaką po sobie pozostawiła. Nie mógł uwierzyć, że ma na rękach tyle krwi.

Lauren zamknęła drzwi i powiesiła kurtkę na gałce.

– To była twoja dziewczyna, prawda? Możesz mi powiedzieć.

– O rany – wymruczał ponownie. Nie potrafił myśleć na tyle trzeźwo, żeby zdać sobie sprawę, że nie mógł zrobić Renée niczego gorszego. Ale znał ją i wiedział, że właśnie zrobił coś absolutnie najgorszego. I chociaż nie „zdawał sobie sprawy”, wiedział o tym doskonale.

– Domyśliłam się, że możesz mieć dziewczynę – powiedziała Lauren, rozkładając się niemal płasko na

beżowej sofie. – Musiałam podjąć to ryzyko. Ale wiedziałam, że zawsze mogę się odwrócić i odejść.

A teraz ona musi wrócić na piechotę do siebie. Dumnie przejdzie te cztery kilometry. Psy będą wyły, a ona w swoich trampkach, džinsach i T-shircie będzie brała naraz dwa schody i zamknie za sobą drzwi. Czy będzie płakać? Tylko raz widział, jak płacze, z fizycznego bólu, a gdy tylko zamknęła drzwi, trudno ją było zobaczyć oczami duszy.

– Chcesz, żebym sobie poszła? – zapytała Lauren. – Wybacz ci, jeśli wszystko jej wytłumaczysz. Po prostu powiedz jej prawdę, a ona ci wybaczy. – Rozłożyła palce i przyglądała się paznokciom. – No wiesz, jeśli jest twoją dziewczyną, nie chcę się wtrącać. A jest twoją dziewczyną, prawda? Widziałam to po tym, jak na mnie spojrzała. To twoja dziewczyna.

– Tak.

– Kochasz ją? – Lauren nerwowo kiwała głową, wyraźnie nie chcąc usłyszeć odpowiedzi. – Mogę zaraz wyjść.

– Nie! Nie. Tylko... Poczekaj, tylko zamknę samochód.

Renée nie czekała, ani przy samochodzie, ani gdzieś w pobliżu. Popatrzył w pustkę nad chodnikiem, którym siłą rzeczy musiała odejść, ponieważ nie było jej już widać. Logika uparcie mu podpowiadała, że tędy przeszła, nawet jeśli nikt jej nie widział, i że dokładnie teraz znajdowała się gdzieś między tym miejscem



a swoim mieszkaniem, i to nie na jakiejś dowolnej przecznicy, ale na określonej przecznicy, szła do przodu, widziana przez wszystkich, i że obserwator w balonie mógłby śledzić każdy jej krok, od kiedy stąd odeszła, aż do momentu, gdy dotarła na Pleasant Avenue, weszła po czterech kruszejących schodach do drzwi swojego domu i zniknęła w środku.

Louis pomyślał: Nienawidzę jej.

Gdy tylko znalazł się z powrotem w mieszkaniu, Lauren wstała, wyciągnęła rozkosznie ręce i uśmiechnęła się, jakby był ranek, a ona bosko się wyspała i wiedziała, że ze wszystkich ludzi właśnie on ucieszy się na tę wiadomość. Uwolniony od ciężaru patrzenia na nią oczami Renée, mógł być teraz stosownie zdumiony, że tutaj, w beżowym mieszkaniu Toby'ego, jest u niego ta piękna i skomplikowana dziewczyna, którą tak bardzo kochał. Podeszła do niego i zbliżyła twarz do jego twarzy, na moment się odginając, żeby zerwać mu okulary. Nie całując go, ale wpatrując się w jego oczy z zaskoczeniem i głupawą pustką, jakiej źrenice nabierają z bliska, z nosem przyciśniętym do jego nosa i wypowiadając słowa, które wprawiły w drżenie jego wargi:

– Jestem w tobie zakochana, jestem w tobie zakochana, Louisie, myślałam o tobie w każdej sekundzie każdego dnia, jestem w tobie zakochana, kocham cię, kocham cię, kocham cię, kocham cię.

Wstrzymała oddech, jej źrenice i mętne szarozielone

tęczówki wciąż znajdowały się w centrum jego pola widzenia. Całowała go, kładła jego ręce na różne części swego ciała, zacisnęła dłonie i przyciskała kłykcie do jego piersi. Odchyłała i pochylała głowę pod jego ustami, jakby był prysznicem, który właśnie brała. Jej perfumy były tak zespolone z zapachem jej spoconej twarzy, że nie był w stanie wyczuć granicy między nimi – wszystko było jednym przyjemnym zapachem Lauren.

– Obiecuję ci – powiedziała – zrobię dla ciebie w s z y s t k o. Zostanę, odejdę, zostanę z Emmettem, zostawię Emmetta, wyjdę za ciebie, urodzę ci dzieci, będę dla ciebie pracować, wyjdę za ciebie, będę z tobą mieszkać bez ślubu. Zrobię wszystko. Zostanę, jak długo będziesz chciał, i odejdę, gdy tylko powiesz, możesz mnie mieć, możesz mnie wyrzucić albo zatrzymać, możesz zrobić wszystko, wszystko, wszystko, nie możesz mnie tylko sprzedać.

Trzymał ją w objęciach, przypominając sobie jej szczególne wymiary oraz dotyk jej pleców, kiedy płakała w jego kuchni w Houston, a on ją obejmował.

– Och, Louisie – powiedziała, płacząc i uśmiechając się. – Byłeś dla mnie taki dobry, a ja byłam dla ciebie taka zła. Ale ci to wynagrodzę. Jeśli mi pozwolisz, wynagrodzę ci to.

– Chociaż teraz jesteś oczywiście mężatką.

– Ach, to. – Przez jej twarz przemknęła dobrze mu znana mina, pełna skruchy i ponura. – No bo wiesz,

wciąż staram się być dobrym człowiekiem. Staram się kochać Boga i być chrześcijanką, a jestem tu w Bostonie u ciebie. Małżeństwo to święty sakrament, a ja jestem u ciebie. Tak jakbym była taka sama jak dawniej, co? Wszystko, czego dotknę, obraca się w śmieci. A rzecz w tym, że tylko ty uważasz, że jestem coś warta. Tylko ty. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że nigdy nikogo nie kochałam?

– Tak.

– I to była prawda. To była prawda. Ale teraz to nie jest prawda, bo gdy tylko nie mogłam cię widywać, od razu to poczułam. Chyba myślałam, że to poczucie winy czy coś podobnego, ale chciałam cię widzieć i z tobą rozmawiać, po prostu czasami słyszeć twój głos. Tyle że zdążyłam ci powiedzieć, że nie możemy być razem, i pomyślałam, że na pewno mnie nienawidzisz albo że i tak mi nie uwierzysz.

Usiadła na sofie i zmarszczyła brwi, jakby coś jej nie pasowało.

– Rozumiesz – odezwała się. – A do tego był też Emmett i było mi go żal, bo on zawsze był w stosunku do mnie tak niewiarygodnie cierpliwy, a poza tym jego rodzina chyba naprawdę mnie lubiła. Podarowali mi tyle rzeczy, kiedy się zaręczyliśmy, jego babcia dała mi piękne perły, a matka inkrustowaną szkatułkę, która miała ze sto pięćdziesiąt lat i od zawsze była w ich rodzinie. Ale potem spałam z innymi facetami i powiedziałam też, że

przespałam się z tobą, wtedy, tam pod jego nosem, i oddałam mu pierścionek, ale nigdy nie miałam na tyle odwagi, żeby oddać inne rzeczy. A kiedy potem znowu zaczęliśmy do siebie wracać, nadal byli dla mnie niesamowicie mili. Traktowali mnie, jakbym była chora, ale ja czułam się dobrze i było mi tylko tak przykro ze względu na nich, i byłam im też wdzięczna, i myślałam, no wiesz, że się poświęcę. Bo chciałam być jedynie d o b r y m człowiekiem. A wiadomo, że jeśli chcesz być dobry, musisz coś poświęcić. Do tego myślałam, że skoro oni są dla mnie tacy mili, to nawet nie będzie takie wielkie poświęcenie. I moi rodzice chcieli, żebym wyszła za mąż, bo uważają, że Emmett jest naprawdę wspaniały, bo taki jest, jak sądzę, tyle że go nie kocham. Kocham tylko ciebie.

Louis zamknął oczy.

– No i tak. Pobraliśmy się. – Lauren przygryzała wargę, z oczami utkwionymi w jakiejś zapamiętanej scenie czy ceremonii. Myślał, że będzie ciągnęła dalej, ale najwidoczniej to było wszystko, co miała do powiedzenia.

– No i co? Okazuje się, że jest brutalem?

Pokręciła głową.

– Tak? Nie?

Przycupnąwszy na skraju sofy, wpatrywała się ponuro w srebrny kaloryfer. Odrzuciła głowę, strząsając włosy z ramion. Jej twarz była nieustępliwa i obojętna.

– Nie byłam mu wierna.

– Jasne. Oczywiście.

– Czy nie jestem wspaniała, Louisie? Czyż nie jestem po prostu najwspanialsza? Ale był pewien facet, znałam go wcześniej i czułam, że mam z nim dużo więcej wspólnego niż z Emmettem, no wiesz, pieprzyłby się z kimkolwiek, wiesz, tego typu facet, a mnie po prostu nie zależało. Uważałam, że moje poświęcenie było za wielkie i to było tak, jakbym potrzebowała zrobić coś podłego, żeby sobie to zrekompensować, no wiesz, wszystko zrównoważyć. Nie wiem. Nie wiem, co myślałam. Wydaje mi się, że w końcu zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę zależy mi na tym, żeby on znowu mnie wyrzucił, bo było we mnie to coś. A to coś, co było we mnie, to było to, że jestem zakochana w innym człowieku, który kiedyś mnie kochał, aż go zraniłam, a ja go tak kochałam i tak za nim tęskniłam. – W jej oczach ponownie pojawiły się łzy i opuściła brodę, jakby próbowała beknąć, wciąż wpatrując się w kaloryfer. – To znaczy, Emmett jest naprawdę miły i w ogóle. Ale traktuje mnie jak jakieś chore dziecko i po jakimś czasie nie mogę tego znieść, więc idę i robię mu te okropieństwa, ale to tylko prowadzi do tego, że jeszcze wyraźniej widać, że jestem tym chorym dzieckiem, no wiesz. I koniec końców, po prostu myślę, że gdzieś w głębi, poza tą całą jego uprzejmością, tak naprawdę szczerze mnie nienawidzi i życzy mi śmierci.

Nastąpiła długa cisza. Louisa ogarnęła paniką na myśl

o Renée, która w trakcie tych minut, kiedy on o niej nie myślał, niewątpliwie dotarła już do swojego mieszkania. Czas w jej życiu mijał właśnie wtedy, gdy w jego życiu stał w miejscu. Miała ten cały czas, by się zastanowić, a on nie.

Pokój przecięło ciche pytanie:

– Jak ona ma na imię?

– Kto? Och. Renée.

– Bardzo ładne imię.

– Ona go nie cierpi.

– Naprawdę?

– Tak mówi.

– Czy ona cię kocha?

– Nie wiem.

– Jesteście naprawdę parą?

– Nie wiem.

– Powiedz, masz chęć wyjść ze mną? To znaczy, od razu?

– Nie jesteś zmęczona?

– Jestem, ale chciałabym z tobą wyjść. Cały dzień tego chciałam. Muszę tylko skorzystać z toalety.

Właśnie wsiadali do samochodu, kiedy zza swojego domu wyszedł John Mullins, kołysząc się i chwiejąc na podjeździe. Zwrócił w stronę Louisa swoją upiorną twarz, z ustami jak rana postrzałowa, i wpatrywał się, jakby zupełnie go nie poznawał.

– Byłaś kiedyś tutaj? – zapytał Louis.

Lauren pokręciła przecząco głową.

– Ładnie tu. Tak inaczej. Słyszeliśmy o tych wszystkich trzęsieniach ziemi. Byłeś tu w czasie jednego z nich? Bałeś się?

– Nie.

Wielokąty gołej ziemi między ścieżkami na trawnikach Harvard Yard były obsiane i odgrodzone sznurami, żeby podtuczyć trawę przed jej radosnym czerwcowym tratowaniem przez absolwentów i ich rodziców oraz wychowanków uczelni. Z jakiegoś powodu garstka kobiet z Kościoła Działań w Chrystusie pikietowała przed Holyoke Center, niosąc wielkie fotografie usuniętych płodów. Kolory były jaskrawe i oleiste, jak koreańskie pikle. Hasła nawiązywały do sytuacji ogólnej: WSTRZĄSY TO GNIEW BOŻY. CAMBRIDGE = EPICENTRUM RZEZI. PSALM 139.

Przy ruchomych schodach stacji Czerwona Linia grupa młodych punków popijała wódkę i kopała woreczki wypełnione ziarnami grochu. Ubrani w szaty koloru sorbetu pomarańczowego krisznowcy bębnilili i zonglowali przed sklepem Coop. Lauren szła, kołysząc ramionami, zupełnie niezrażona tą sceną. Piesi w bocznych uliczkach, mężczyźni z wyszorowanymi twarzami i w wąskich bucikach oraz kobiety z rzadkimi włosami, małymi usteczkami i superseksownymi okularami przeciwsłonecznymi, w najmniejszym stopniu nie mogli zachwiać jej pewnością siebie. Włożyła rękę do

tylnej kieszeni spodni Louisa. Rok temu nie pragnął niczego więcej, tylko chodzić z nią ulicą i być jej mężczyzną.

Zatrzymali się przy nieco zapuszczonej restauracji z jedzeniem teksańsko-meksykańskim. Cofnął się od drzwi – klientela wyglądała na, jak to określała Renée, „ludzi inkryminujących”, a on sam uznał klientów za „ludzi w typie znajomych Eileen” – ale Lauren zaciągnęła go do środka. Usadowiła ich w części dla palących, po cichu tłumacząc mu, że wciąż trochę pali i pije, ponieważ sobie uzmysłowiła, że nie można tak od razu stać się idealną.

– Tylko zeszłego lata, kiedy widywałam się z tobą, nie byłam w beznadziejnym stanie. Wtedy jeden jedyny raz w życiu nie czułam się beznadziejnie. Tak bardzo mi pomagałeś. A ja byłam dla ciebie taka okropna.

Odchyliła się, żeby zrobić na kolanach miejsce na menu. Louis zapytał, skąd wzięła pieniądze. Powiedziała, że korzystała z karty American Express, a rachunki opłacali rodzice Emmetta.

– To paskudne z mojej strony, że tak tu przyleciałam, co nie?

– Zamierzasz im je zwrócić?

Wzruszyła ramionami.

– Są nieźle nadziani.

– Powinnaś zwrócić im pieniądze, gdy tylko będziesz mogła.



Skinęła posłusznie głową.

– Dobrze.

Obrzucił łagodnym spojrzeniem głośnych studentów przy sąsiednich stolikach. Jakże towarzysko i przyjemnie mógłby spędzać czas, gdyby był kimś normalnym i jadał w wesołej restauracji w otoczeniu innych, tak samo zachowujących się młodych ludzi, i jak szczególnie miło byłoby robić to u boku ślicznej dziewczyny, która właśnie wyznała mu miłość. Jego wybitna niechęć do ludzi w typie brukającego wszystko wokół siebie pana Aldrena skurczyła się do irytacji, która nie miała już dla niego większego znaczenia. Co prawda, gdy Lauren zostawiła go na chwilę wraz z ich fajitą, by pójść do toalety, ponownie zapłonął w nim ogień i Louis zaczął wypalać dziury w głowach siedzących przy stoliku obok studentów i studentek prawa, którzy nieustannie zmuszali obsługującą ich udręczoną kelnerkę do przekomarzania się z nimi. Podano tort ze świeczkami, czterech z pięciu mężczyzn – jakże oryginalnie – zamiast melodii zaśpiewało harmonię. Kiedy już przeszli do „Droga Nico-ole”, piąty mężczyzna postanowił być równie twórczy i oryginalny, więc melodię śpiewały już tylko kobiety. Ale kiedy Lauren wróciła i powiedziała, że może poszliby potańczyć, Louis natychmiast się uspokoił. Tęsknie spojrział na jej kartę kredytową. Sam był prawie zupełnie splukany.

Chłodne trawniki i papierosowy dym, ciepła

czerwcową noc. Odkąd Renée odeszła, minęło pięć godzin; miała już pięć godzin na samotne rozmyślenia. Louis kupił tygodnik „Phoenix” z informacjami o wydarzeniach kulturalnych, a Lauren wybrała klub na drugim brzegu rzeki, który, jak ze zdumieniem zauważył, gdy tam dotarli, działał prawdopodobnie każdego wieczoru, kiedy był w Bostonie, i dostarczał zabawy tłumom ludzi mniej więcej w jego wieku. Wyciągnęli ręce do ostemplowania, zadyndały sprzączki na nadgarstku Lauren i pasek jej kurtki. Nie wspomniał jej, że tylko raz w życiu zgodził się zatańczyć, na przyjęciu z okazji święta pracy w Nantes, z Algierczykami. Na szczęście w klubie było już mnóstwo ludzi i w większości zabawa polegała na odbijaniu się i ściskaniu, a z wyjątkiem kilku rapowych kawałków muzyka była obrzydliwa i trudno było się do niej ruszać; rytm był „cienki”, jak czasami recenzujący restauracje mówią o pikantności chili, miał „piekącą, powierzchowną ostrość”, a nie „głęboką, płomienną pikanterię”, którą uzyskuje się dzięki starannemu gotowaniu i dobrym składnikom. Ale z Lauren w ramionach mógł smakować radość bycia bezkrytycznym.

Pojechali w górę Soldiers Field Road z opuszczonymi szybami, włosy Lauren falowały i rozsypywały się na jej lewym ramieniu, rzeka przesuwała się na tle świateł MIT i Harvardu, światła przesuwały się na tle sześciu

północnych gwiazd widocznych podczas parnej nocy. Była pierwsza trzydzieści, a to oznaczało, że Renée miała prawie osiem godzin na to, żeby być sama i się zastanawiać, ale obliczył to tylko z przyzwyczajenia, bo już nie potrafił zbyt dobrze jej sobie wyobrazić.

W jego mieszkaniu położyli się na materacu w ubraniach i Lauren próbowała założyć jego okulary.

– Tak wyglądasz – powiedziała, wczolgując się na niego, ze zsuwającymi się z jej nosa okularami i spadającymi na jego uszy włosami. Już od dawna nie widział nikogo tak szczęśliwego, jak ona w tym momencie. Kipiała radością, a tego właśnie oboje potrzebowali: być jak nastolatki, cieszyć się ubraniami, które ich rozdzielały, robić małe krocзки na drodze zmysłów, podziwiać wiejski krajobraz wzdłuż niej, pory roku i zapachy, zapamiętywać, że pora roku może być tak długa, aż się zapomina, że po niej następują kolejne, zapach jest zapachem i dźwięk jest dźwiękiem, a doznania jeszcze nie są zapchane wspomnieniami. W końcu, kiedy usłyszeli uruchamianą drukarkę jego współlokatora Toby'ego, zdjęli z siebie część ubrań. Lauren podała mu piersi jakby od niechcienia, jak z radością ofiarowaną potrzebującemu nadwyżkę wdzięku. Ale kiedy wsunął jej rękę w majtki, powstrzymała go, mówiąc:

– Nie.

– Czy ty nie...?

– Nie potrzebuję tego – oświadczyła niezwykle schrypniętym głosem.

Położył się na plecach, sam bardzo tego potrzebując.

– Gdybyśmy to teraz zrobili – powiedziała, pochylając się nad nim i łechzcząc jego klatkę piersiową sutkami – byłibyśmy po prostu świniami.

Wyobraził sobie samotną Renée w jej mieszkaniu i pomyślał, że w zasadzie i tak jest już świnia.

– Nie sądzisz? – szepnęła Lauren. – Nie sądzisz, że powinniśmy po prostu od teraz starać się być silni i robić stosowne rzeczy? Czy nie uważasz, że pewnych rzeczy nie powinniśmy robić, jeśli nie mamy być razem? Czy nie możemy po prostu cieszyć się tym, co jest?

Louis poważnie wątpił, czy w ogóle istnieje coś, dzięki czemu mógłby być szczęśliwy. Wiedział, że jeśli obieca, że będzie ją kochał, Lauren zdejmie majtki i pozwoli mu w nią wejść, a jemu później jakoś łatwiej będzie ją rzucić i wrócić do Renée. Nie powstrzymała go obawa, że skrzywdzi Lauren. Chodziło o to, że zawsze był dla niej dobry i wierzył, że ona naprawdę go teraz kocha, więc nie mógł znieść myśli, że zabije jej niepewną wiarę w dobroć ludzi. Mógł tylko leżeć nieruchomo i mieć nadzieję, że ona i tak zdecyduje się z nim pieprzyć, wiarołomnie, z litości, na którą nie zasługiwał. Wtedy mógłby się od niej uwolnić.

– Nie wierzysz, że cię kocham? – Wsparła podbródek na jego udzie. – Musisz. Musisz dać mi czas, bym mogła

ci udowodnić, jak bardzo cię kocham. Musisz dać mi szansę, bo naprawdę cię kocham, Louisie. Uwielbiam cię. Uwielbiam cię. – Ucałowała przez materiał jego penisa, który zakołysał się porywczo. – Zrobię dla ciebie wszystko, jeśli tylko dasz mi szansę. Ale jeśli naprawdę myślisz, że możesz mnie jeszcze kochać, ale nie jesteś pewien, nie będziesz mnie prosił, żebym robiła już pewne rzeczy.

– A twój bilet? – zapytał. – Masz bilet otwarty na powrót?

– Przyleciałam z biletem w jedną stronę.

– Boże, Osterlitzowie z pewnością cię za to pokochają.

– Nie, leciałam z listy rezerwowej. Z listy rezerwowej.

– W każdym razie uważam, że powinnaś postarać się polecieć z powrotem w niedzielę.

– I gdzie mam mieszkać?

– Na pewno masz jakichś znajomych, u których możesz się zatrzymać.

– Nie mogę lecieć z tobą do Chicago?

– Nie. Muszę się zastanowić.

– Ale wrócisz tutaj i ona tu będzie. I nawet jeśli spotkasz się z nią tylko po to, żeby jej powiedzieć, że chcesz z nią zerwać, i tak o mnie zapomnisz i będziesz chciał z nią zostać. A ja będę siedzieć w Austin, czekając na wiadomości od ciebie, a potem będę znowu musiała tu przyjechać, ale ty zdążysz już dojść do wniosku, że ją

kochasz bardziej.

Nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

– Ale masz rację – dodała Lauren. – Masz rację, tyle że musisz spojrzeć mi w oczy i przysiąc na Boga, że o mnie nie zapomnisz. Musisz obiecać, że będziesz o mnie myśleć.

– To żaden problem.

– Bo nie chcę cię, jeśli ty nie będziesz mnie chciał naprawdę. Nie chcę, żebyś tak jak ja zawsze myślał, że podjąłeś złą decyzję. Nie chcę, żebyś był nieszczęśliwy. Pojadę, Louisie. Pojadę do Austin, bo tak bardzo cię kocham. Ale musisz obiecać, że będziesz o mnie myśleć.

– Z tym nie będzie problemu.

– Tak bardzo cię kocham. Tak bardzo cię kocham. Tak bardzo cię kocham...

Raz po raz śniło mu się, że spóźnia się na samolot. Siedział w poczekalni z Lauren, a ona zachowywała się wobec niego chłodno; musiał błagać ją o uśmiech i miłe słowo. Raz po raz zdawał sobie sprawę, że jest dzień wcześniej, niż mu się wydawało, i że wcale nie spóźnił się na samolot. Ale za każdym razem okazywało się to złudzeniem. Była niedziela, widział zegar na ścianie i uzmysławiał sobie, że ma trzy sekundy, żeby dostać się na drugi koniec lotniska. Już widział samolot oddalający się od rękawa.

Obudziło ich popołudniowe bzyczenie owadów. Kiedy budzisz się w środku letnich dni, są na ciebie

rozniewane, gałęzie i zakurzone liście miotają się gwałtownie na gorącym południowym wietrze, urządzenia klimatyzacyjne ciężko pracują. Louis rozmawiał z Tobym przez telefon, kiedy Lauren wyłoniła się spod prysznica.

– Tu jest jak w Houston – powiedziała. – Myślałam, że będzie zimno.

Późnym wieczorem pojechali na Pleasant Avenue. Chociaż wiedział, że jest w tym coś złego, pozwolił jej zbyć własne obiekcje i wybrać się z nim. Czekwała w samochodzie, kiedy wchodził do środka. Dobermanzy zaczęły skakać na drzwi, ale zamek wytrzymał. Na górze zauważył przylepioną taśmą do drzwi mieszkania Renée kopertę ze swoim imieniem, wypisanym jej pryncypialną ręką. Zawierała bilety lotnicze i nic poza tym. Na podeście schodów stały dwie torby z DeMoula's, w jednej z nich były jego brudne ubrania. Czyste ubrania były poskładane i włożone do torby z taśmami i innymi drobiazgami. Obok stał jego telewizor.

Przez okna na podeście zobaczył zaparkowanego po drugiej stronie ulicy wielkiego białego amc matadora, samochód Howarda Chuna. Z hondy civic Louisa unosił się papierosowy dym, upiorny w świetle latarni w kolorze papierosowego dymu.

Przyłożył oko do dziurki od klucza – światło w kuchni było włączone. Przyłożył ucho do drzwi – nie usłyszał nic z wyjątkiem szurania własnego ucha po drewnie. W tym

momencie rozległ się klakson hondy, pozbierał więc torby oraz telewizor i zbiegł po schodach, o mało co nie zapominając wrzucić klucza do skrzynki na listy.



**II**

**Kocham życie**

## 7.

Anglizowanie Howarda Chuna zaczęło się, kiedy miał dziewięć lat, a jego rodzina zapisała go do Akademii Królowej Wiktorii na przedmieściach Tajpej, będącej placówką Kościoła anglikańskiego, w której litery angielskiego alfabetu, trzymające za ręce swoje pisane małymi literami córki, maszerowały wokół sali trzeciej klasy między tablicami szkolnymi i kolorowymi zdjęciami głowy Jezusa, a nauczanie po chińsku było w wyższych klasach fakultatywne. Właściwie Howard powinien zostać w klasie Henrym, ponieważ na imię miał Hsing-hai, ale rywalizował z nim chłopiec o imieniu Ho-kwang, którego rodzice lepiej niż matka Howarda poradzili sobie ze wstępnym zaprogramowaniem syna do żądania tego, co mu się należy za trzydzieści tysięcy tajwańskich dolarów, a tyle w szkole Królowej Wiktorii kosztował rok w klasach młodszych. Ho-kwang zagarnął Henry'ego podczas przydzielania angielskich imion, a Hsing-hai, próbując powstrzymać łzy, kiedy piorunował wzrokiem świńskiego Henry'ego, wcześniej zwanego Ho-kwangiem, otrzymał mniej ładnego i królewskiego Howarda, a Kościół anglikański zarządził i przypieczętował to jego wywłaszczenie, zanim chłopiec zdążył się połapać, co się dzieje.

Matka Howarda była aktorką filmową. Wiodła życie z kategorii tych kolorowych, zrodzonych z połączenia

wojny i pieniędzy. Nie miała zbyt wielkiego talentu, ale jako dziewczynka zdobyła spore uznanie w drobnomieszczańskim świecie kinowym Pekinu, w szczególności za tytułową rolę w *Klonowej dziewczynie*, filmie godnym zapamiętania jedynie ze względu na nieśmiertelną sekwencję, w której klonowa dziewczyna ucieka przed goniącym ją w niemoralnych celach handlarzem dywanami na tle wielkiej powodzi w mieście Wuhan w 1931 roku; jedenaście wspaniałych minut z tą niewinną piękną, która z rozszerzonymi oczami pełnymi przerażenia i cierpienia, ślaniając się na nogach, przez całe piętnaście tysięcy klatek przedziera się przez coraz głębszą i brudniejszą wodę oraz jeszcze groźniejsze miejsca akcji, trzymając przy szyi rozdarte części garderoby. W połowie lat czterdziestych panna Chun i pewien reżyser, który mógłby być jej ojcem, przebywali na modnej wówczas emigracji w Singapurze, gdzie jeździli okrągłą sumkę odłożoną przez nią na czarną godzinę, więc gdy tylko nacjonaści wrócili do przemysłu filmowego, wraz z trójką małych dzieci musiała dołączyć do rodziny w Tajpej. Przez jakiś czas znajdowała uznanie w oczach kierowników obsady, gdy potrzeba było „nie tak pięknej starszej siostry”, a później spędziła wiele lat, grając lukratywną rolę podłej macochy w operze mydlanej pod tytułem *Zakładnicy miłości*. W każdym odcinku *Zakładników* była przynajmniej jedna scena, gdy ona obnażała zęby i przewracała oczami, żeby

widzowie nie zapomnieli o jej nikczemnej, intryganckiej naturze. W prawdziwym życiu była roztargniona, dobrodusza i samolubna, a głównym jej celem było jedzenie słodczy. W dni, kiedy nie miała zdjęć, wracający do domu z Akademii Królowej Wiktorii Howard zastawał ją siedzącą w łóżku i powoli przeżuważającą kawałek jakiegoś kandyzowanego owocu; marszczyła przy tym brwi, jakby smak stanowił sączącą się jej do głowy telegraficzną wiadomość, a ona musiała się wyteżać, żeby uchwycić każde słowo.

Howard był jej piątym, najmłodszym dzieckiem i jedynym, o którego ojcu nikt w rodzinie, łącznie z matką Howarda, nie potrafił powiedzieć nic pewnego. Dosyć ogólnikowo twierdziła, że był bohaterem wojennym, „szlachetnym duchem, który dowodził wojskiem w walce o wolność”, chociaż w czasach, gdy Howard to usłyszał, nacjonaści nie walczyli już od dwudziestu lat. Czasami próbował wyobrazić sobie ojca gdzieś w niebie, jako marszałka w grubych na milę tropikalnych chmurach nad Morzem Żółtym, na wysokości, na której działania wojenne nie ustały, ale ten obraz był śmieszny, więc sam szybko zmieniał temat rozmyślań.

Ciotki i cioteczne babki Howarda miały filozoficzne podejście do życia; były gotowe przymknąć oczy na moralne potknięcia jego matki w zamian za przychody, jakie im zapewniała. Zbite w gromadkę, szeleściły

w korytarzach i zarządzały tymi przychodami; nigdy nie było wiadomo, w którym z zawieszonych na ich sztychach woreczków można było znaleźć jej książeczkę oszczędnościową. Howard zdecydowanie wolał realizm ciotek niż zadumę matki i w rezultacie dorastał, czując się bardziej jak rozpieszczony gość niż dziecko. Nigdy tak naprawdę nie przeszedł wieku dojrzewania. Po śmierci matki zaczął zachowywać się wobec starszych w sposób niewymuszony, nazbyt zażyły, przesiadując z nimi w kuchni jak mężczyzna w średnim wieku między jedną a drugą pracą, jak jakiś przyjaciel rodziny czy też bardzo daleki krewny, który wpada codziennie przez rok na obiad, a potem słuch o nim ginie. Ogólnie rzecz biorąc, chociaż był najinteligentniejszym dzieckiem w domu i nie szcędzono żadnych racjonalnych wydatków na jego edukację, większość czasu marnował; a gdy tylko jakaś ciotka zaczynała się rozwodzić nad czekającą go świetlaną przyszłością, łypał na nią okiem jakoś dziwnie, jakby ten Hsing-hai, o którym mówiła, był żalonym wymysłem, i tylko on, Howard, miał zaszczyt wiedzieć, że ten wymysł nie zamierza wprowadzać się do przewidywanej przez nią przyszłości.

Pewnego dnia oświadczył, że wybiera się do college'u w Ameryce. Jego najstarszy przyrodni brat był kapitanem lotnictwa w Nacjonalistycznych Siłach Powietrznych i mógł ułatwić mu wstąpienie do lotnictwa, ale Howard nie widział żadnego powodu, żeby na rzecz wojska

poświęcać trzy lata życia, jeśli można tego uniknąć. Miał długie nogi, a jego wyobrażenia o lotach załogowych koncentrowały się wokół małych jak naparstki buteleczek whisky, koktajlowych pałeczek w kształcie śmigła i przestronnych miejsc w pierwszej klasie.

Zgodnie z prawem jego pacyfizm wymagał, żeby po wyjeździe z Tajpej w wieku osiemnastu lat przez przynajmniej siedemnaście lat tam nie wracał. Jeśli w związku z tym czegoś żałował, ten żal nie przetrwał pierwszej jazdy autobusem w Ameryce. Jedno spojrzenie na dziewczyny w kowbojskich butach, rzut oka na wzgórze pokryte bilbordami, widok drogi U.S. Highway 36 na północ od Denver – te wszystkie restauracje Denny's i Arby's, i Wendy's, samochody wysokich mężczyzn na pasach autostrady dla wielkich mężczyzn – wystarczyły, żeby go uspokoić: to było miejsce dla niego. Odchylił się na fotelu, ile tylko się dało, i drzemał, dopóki autobus nie dojechał do Boulder.

Nikt nie mógł bardziej kochać życia w Ameryce niż Howard Chun. Po miesiącu miał kartę MasterCard, nie minął semestr, a posiadał już samochód. Dokądkolwiek poszedł w trakcie pierwszego roku studiów, wszędzie w powietrzu brzmiała muzyka Bee Gees, a on był jednym z pierwszych, których ogarnęła gorączka, i ostatnim, który ją wypałał. Uwielbiał mówić „disco”. Uwielbiał tańczyć do tej muzyki. Uwielbiał nieruchomieć w stroboskopowych światłach i wyciągać pięść. Jeśli

chodzi o randki, odnosił pewne sukcesy; z pewnością nie był na tyle wybredny, żeby często musiał sobie radzić bez dziewczyny. Lubił fast food, wcale nie ze względu na to, że był szybki, tylko dlatego, że mu smakował. Jego edukację finansowały różne rządy, a wszystko pozostałe, czego potrzebował do płacenia rachunków, uzyskiwał szczęśliwym trafem, często przyjmującym postać eksportu, importu lub handlu, ponieważ stale podróżował i zawsze byli jacyś znajomi czy krewni gotowi zapłacić coś ekstra za łatwe do transportu towary. Regularnie zanosił na pocztę nowe płyty i kasety wartości trzystu dolarów, na formularzu celnym pisał „płyty, taśmy”, a sześć tygodni później otrzymywał od starszego kuzyna w Tajpej czek bankierski na sześćset dolarów. Bardzo mu pomagały i dodawały sił w życiu nocnym. Jego działalność prawdopodobnie nie była do końca zgodna z prawem, ale nigdy go nie przyłapano i nikt tego tak na pewno nie wiedział.

Ogólnie rzecz biorąc, w Kolorado bawił się tak znakomicie, że dopiero po pięciu latach i wielokrotnych groźbach biura wsparcia finansowego zrobił licencjat. Ale podobnie jak finansowe długi nigdy nie powstrzymały go przed zjedzeniem składkowej pizzy, wyjściem na piwo i proponowaniem przejazdów, tak przejściowe okresy uczelnianych kłopotów w żaden sposób nie zakłóciły jego roli bezinteresownego pomocnika młodszych studentów (zwłaszcza blond

studentek) i centralnego ogniwa życia towarzyskiego na wydziale geologii. Wiosną na czwartym roku studiów na szczęście połamiał obie nogi na stoku narciarskim. Napisała w okresie leżenia na plecach praca dyplomowa była na tyle dobra, żeby zapewnić mu pakiet środków pomocowych z Harvardu.

Na Harvardzie postanowił zabezpieczyć się pod względem naukowym, poznając wszystkie sekrety wydziałowego komputera. Dzięki temu urządzenie wykonywało za niego pracę, a on musiał tylko raz dziennie zajrzeć do laboratorium, w drodze na squasha czy wracając z filmu oglądanego na Square, żeby odebrać ukończoną pracę i wydać komputerowi nowe polecenia. Pozycja specjalisty od komputerów pozwalała mu też raz na jakiś czas opuszczać zajęcia czy seminaria i omawiać materiał z profesorami w terminach, które nie kolidowały z jego snem czy kalendarzem towarzyskim. Jedynym profesorem, który nie zgadzał się na taką formę działania, był jego promotor; wiosną, kiedy Howard był na trzecim roku w Cambridge, pozwolił sobie podnieść głos wyżej niż zwykle i stwierdził, że jego zdaniem niemożliwe jest, żeby Howard zdał egzaminy ustne. Ponadto był na tyle nietaktowny, że na głos się zastanawiał, jak to się dzieje, że Howard w trzy lata zrobił o tyle mniej niż na przykład taka Renée Seitchek w dwa lata. Renée Seitchek bez trudu zdała egzaminy ustne i na podstawie swojego projektu z drugiego roku



przygotowywała pracę dyplomową.

Chociaż formalnie rok niżej niż on, Seitchek była w wieku Howarda, a może nawet nieco starsza. W przeciwieństwie do niego pracowała przez całe lato i uczestniczyła tylko w jednym zjeździe rocznie. Jeśli do ich laboratorium dzwoniли naukowcy z innych instytucji, zawsze chcieli rozmawiać z nią, nawet gdy ich pytania dotyczyły specjalności Howarda. Chodziła na kolacje i przyjęcia organizowane przez kadrę i innych studentów, wymigiwała się jedynie od udziału w kolacjach i przyjęciach organizowanych przez Howarda. Kiedy była na pierwszym roku, często proponował jej wspólną partię squasha czy wspólny posiłek, a ona odmawiała tak uprzejmie i z takim uśmiechem, że dopiero po całym semestrze dotarło do niego, co chciała mu przez to powiedzieć.

Za każdym razem, gdy zaglądał do laboratorium, żeby skontrolować swoją pracę (robił to na stojąco, nachylając się nad klawiaturą, nawet nie zdejmując kurtki i nie odwijając szalika), widział Seitchek gorliwie zajmującą się własnymi obowiązkami. Z miesiąca na miesiąc mięśnie jej ramion traciły młodzieńczą sprężystość, w jej włosach pojawiały się białe pasma, karnacja nabierała szarości świetlówkowego oświetlenia, podczas gdy on sam, często grający w squasha i często wyjeżdżający na wakacje, wciąż był w doskonałej formie i miał różowe policzki. To Seitchek zauważyła, że jego

programy zmniejszają wydajność pracy procesora centralnego i każdego ranka (kiedy on spał) zamulają procesor macierzowy. Podnosiła na niego głos i mówiła tym samym tonem co jego promotor, w stylu Howard-tyle-razy-ci-powtarzano. Kiedy się okazało, że nie ma już szans na dalsze finansowanie, przerwał prace nad silnymi wstrząsami, chociaż wszyscy się zgadzali, że jego inwersje zapisów przyspieszenia mogłyby w końcu przynieść jakieś ciekawe wyniki, gdyby miał swój prywatny superkomputer. Musiał się rozglądać za nowym projektem właśnie wtedy, kiedy Seitchek koncentrowała się na doktoracie.

I nagle latem – jeszcze przed tym, gdy zaczęły się lokalne trzęsienia ziemi – wszyscy przestali ją lubić. Być może wynikało to z tego, że z zakładu odszedł ostatni z jej starych znajomych, a może z faktu, że jej nowy promotor, kierownik zakładu, poszedł na roczny urlop, w każdym razie w ciągu kilku tygodni udało jej się zrazić do siebie praktycznie wszystkich pozostałych studentów i adiunktów. Terry Snall doniósł, że przypadkiem usłyszał, jak obraźliwie określiła jego sposób bycia; mówiono, że chodziło o słowo „pedziowaty”. Pewnego ranka użytkownicy komputera odkryli, że ich cenne dokumenty wylądowały w koszu, choć zawiniły jedynie tym, że tworzyły głębokie na trzydzieści centymetrów zwwały papierów zalegających na terminalach w pomieszczeniach komputerowych. Wkrótce potem

doszło do nieprzyjemnej sceny, kiedy kilkoro studentów zauważyło, że Seitchek obniża w systemie priorytety ich prac, dzięki czemu jej program działał szybko, natomiast ich programy stawały. Doprowadziła do łez pewną młodą kobietę, a niedojrzałego specjalistę od petrologii do takiej wciekłości, że rzucił koszem na śmieci w telefon, niszcząc lampkę biurkową. Wpadła w szal, kiedy Terry Snall stanął w obronie petrologa. Stwierdziła, że siedemdziesiąt procent finansowania prac komputerów pochodzi z grantów jej promotora. Powiedziała, że przez trzy lata osobiście wykonywała ponad połowę codziennych prac związanych z utrzymaniem systemu, a jeśli ktoś chce z nią o tym dyskutować, powinien na początek zadzwonić do Kalifornii, do kierownika zakładu, sprawdzić, kogo opinii wierzy, i zapytać go, czy j e g o zdaniem ona nie ma prawa obniżyć priorytetów i czy j e g o zdaniem petrolog, który niczego nie wnosił do systemu ani do jego utrzymania, ma tu w ogóle jakieś prawa. Howard wszedł spokojnie do laboratorium, żeby sprawdzić działanie swojego programu dokładnie w chwili, kiedy wypadła na korytarz. Zastał Snalla, który podburzał petrologa, żeby obniżył priorytety zadań Seitchek, skoro nie ma jej w pomieszczeniu.

Jego kolej nadeszła kilka dni później, tuż przed wylotem do Londynu na wesele kuzynki i tygodniowe wakacje w Irlandii. Zajrzał do laboratorium, żeby uruchomić kilkaset dwudziestominutowych prac

wsadowych, które miały być realizowane pod jego nieobecność, i żeby odebrać wiadomości. Choć nie miał takiego zamiaru, związał się z chińsko-amerykańską panną inżynier Sally Go, której chyba się wydawało, że coś jej obiecał, i wybuchła płaczem, gdy tylko próbował się dowiedzieć, co to takiego. Był niemal pewny, że jej zdaniem dał słowo, że przyszedł wiosny się z nią ożeni, ale ponieważ nie chciała tego powiedzieć, tylko uparcie łkała i powtarzała: „Dobrze w i e s z, co mi obiecałeś”, czuł się z kolei usprawiedliwiony, wrzeszcząc: „Co? Co? Co obiecałem? Co?”. Udało mu się unikać Sally przez jakieś trzy i pół tygodnia, a zostawiane przez nią codziennie na jego biurku liściki zaczęły poruszać takie kwestie, jak „tchórzostwo”, „świństwo” i „hańba”. Właśnie czytał ostatnią taką wiadomość, marszcząc nos z niezadowolenia, kiedy usłyszał głos Seitchek, dochodzący z pomieszczenia komputerowego po drugiej stronie korytarza.

– Wydawałoby się – mówiła – że po dziesięciu latach mógł się nauczyć wymawiać literę r. Krew mnie z a l e j e, jeśli jeszcze raz usłyszę, jak mówi „pogam komputely”. Pogam komputely. Pogam komputely. – Mówiła pospiesznie, głosem piskliwym od złości. – Piszem sobie pogam komputely do podnoszenia do kfadfatu.

Oczy nabiegły Howardowi łzami. Wypadł z biura z wykrzywioną w gniewie twarzą, mrugając intensywnie

i potrząsając głową, jakby chciał się pozbyć nieproszonych halucynacji. Ale to nie były żadne halucynacje, dobrze o tym wiedział. Ponad dziesięć lat spędzonych w Ameryce niewiele mu pomogło w naprawieniu uszkodzeń, jakich jego językowe umiejętności doznały w Akademii Królowej Wiktorii. Pani Hennahant, ucząca angielskiego w wyższych klasach, kierowała się zasadą, że fonetyka jest zaraźliwa, i była osobą dziwnie głuchą na odporność, jaką cechowali się jej uczniowie. Dzień po dniu powtarzała takie zdania, jak: „H i l a r y gra na k l a r n e c i e”, a potem kiwała mądrze głową w rytm uczniowskich głosów, kiedy każdy z nich po kolei odtwarzał te słowa, mówiąc mniej więcej „Hirry gara na krareneie”. Kiedy już wszyscy odpowiedzieli, kiwała głową i krocząc dumnie, ponownie próbowała wbić w ich głowy beznadziejnie pogięty gwóźdź: „Hilary gra na klarnecie. Hilary gra na klarnecie. Przewód... pokarmowy. Przewód... pokarmowy. Henry?”.

Dziesięć dni później, po powrocie z Londynu, Howard zdążył tylko na moment zajrzeć do laboratorium przed wylotem do San Francisco, gdzie żenił się inny jego kuzyn. Pozbierał kilka wiader wydruków z kosza drukarki wierszowej i ze znajdującego się obok blatu. Nauce przybyło pięćdziesiąt kilogramów, kiedy zwiedzał Dublin i hrabstwo Cork, a teraz dodał kolejną setkę zadań do kolejki przetwarzania wsadowego, żeby czas spędzony przez niego w Kalifornii był równie

produktywny.

Seitchek siedziała w ich biurze, trzymając nogi na walizce. Zapytał ją, czy ktoś do niego dzwonił. Nie spieszyło go jej „nie”. Czasami zaprzeczała, aby później, już pogodzona z tym, że ktoś jej przeszkodził, zmienić zdanie i wyrecytować kilka interesujących wiadomości telefonicznych.

– Edward cię szukał – powiedziała w końcu. – Słyszał, że wróciłeś z Londynu.

Tak miał na imię supergrymaśny promotor Howarda.

– Ach, tak – odrzekł. Na samej górze stosu na jego biurku leżał liścik od Sally o treści: „DAJ SOBIE SPOKÓJ!!”.

– Chce się z tobą widzieć w poniedziałek – dodała Seitchek. – Z samego rana. Chyba coś nowego w sprawie Alana Grubba.

Uśmiechnął się promiennie.

– Nie mogę przyjść w poniedziałek. Lecę do San Francisco. – Skinął głową w stronę walizki Seitchek. – A ty gdzie?

– Do Los Angeles – odparła. – To znaczy do Orange County. Odwiedzę rodziców i moje małe... bratanice. Jeżdżę tam raz na trzy lata.

– Aha. – Ogarnęło go niepokojące uczucie, że skończyła swoją pracę doktorską, kiedy był w Irlandii. – Trzy lata to szmat czasu – wychrypiał uprzejmie.

– Niedostatecznie długo.

- Podwieźć cię na lotnisko?
- Nie, dziękuję – odmówiła.
- Podwieźć cię na Square?
- Jakoś bardzo chcesz, żebym pojechała twoim samochodem, co?

Wzruszył ramionami.

- Zaparkowałem na drugiego.

Duże patologiczne zmiany w formie tłustych pomarańczowych płomieni pożerały w Kalifornii obszary ciągnące się od Eureka do San Gabriels. Nawet w mieście powietrze śmierdziało jak płonące domy. Po raz pierwszy od dłuższego czasu Howard żałował, że jest w podróży. Ani ślub w sobotnie popołudnie, ani wyprawione tego samego dnia wieczorem w Chinatown wesele nie mogły się równać z weselnymi uroczystościami w Londynie. Po pierwsze, średni wiek gości weselnych wynosił poniżej dwunastu lat. Howard miał na sobie garnitur w prążki w stylu lat czterdziestych i buty żeglarskie, bez skarpetek; był też najwyższy wśród obecnych osób. Ponieważ jego ważniejsi krewni już w Londynie osaczyli go i poznali nowinki z jego błyskotliwej kariery, spędził teraz wiele minut w samotności, popijając piwo z puszki i przybrawszy minę pełną godności i umiarkowanego skrepowania, spoglądał na pomarszczone głowy ciotecznych prababć i supermodne fryzury dzieciaków przed okresem dojrzewania. Zaczynał mieć dość ślubów.

W niedzielny ranek pojechał wynajętym

samochodem na wschód, w stronę wzgórz, gdzie zamierzał spędzić trochę czasu pod namiotem i rzucić okiem na progi tektoniczne. Wjeżdżał w region, nad którym unosiła się chmura w kolorze bromu, i niebawem zaczął mijać poczerńiałych strażaków, którzy pokładli się na drogowym nasypie i tam spali. Pożar otaczał go już ze wszystkich stron. Zmieniwszy zdanie, ponownie skierował się w stronę wybrzeża, zastanawiając się, czy jednak nie powinien wreszcie stanąć twarzą w twarz z Alanem Grubbem. Był doktorantem w Instytucie Scrippsa w San Diego, a jego praca doktorska pod względem merytorycznym była podobno identyczna z tym, czym zajmował się Howard, a do tego Grubb był dwa lata bliżej, by ją ukończyć. Howardowi powtarzano i powtarzano, i powtarzano, robił to i Edward, i Seitchek, a także inni występujący w roli jego sumienia ludzie, że powinien zadzwonić do Grubba albo postarać się z nim spotkać na jakiejś konferencji, ale dotychczas nie zważał na te sugestie.

W supermarkecie na północ od Santa Barbara kupił zestaw trzech kaset z latynoską muzyką disco, a o północy spał w kubelkowym fotelu w bocznej uliczce centrum San Diego. Nazajutrz o dziewiątej pojechał do Instytutu Scrippsa. Budynek był wymarły w palącym słońcu Święta Pracy. Stróż zaprowadził go pod laboratorium, gdzie jakiś ponury słuchacz studiów podoktoranckich, wychylając się z wychodzącego na



plażę okna, powiedział mu, że Alan Grubb wróci z Włoch dopiero 23 września. Morał tej historii był tak oczywisty, że mógłby być wypisany oficjalnymi ceramicznymi literami nad wejściem do laboratorium: WARTO WCZEŚNIEJ ZADZWONIĆ.

Później tego samego dnia, po efektywnej kąpieli słonecznej, Howard wprosił się do mieszkających w pobliżu, w Linda Vista, znajomych swojej starszej siostry. Przyjęto go eleganckim grillem. W miarę upływającego popołudnia leniwie zgarbiony na plastikowym krzeselku obserwował powolne wędrówki podobnych płytom tektonicznym lodowych bloków, którymi jego gospodarze chłodzili basen, i z twarzą niemal pąsową od kolejnych kieliszków martini czuł się coraz bardziej zniechęcony perspektywą spędzenia jeszcze jednej minuty w wynajętym samochodzie, wizyty w kolejnej restauracji Wendy's czy rejestrowania kolejnej dodatkowej mili w programie lojalnościowym dla często latających. Z podbródków dzieci gospodarzy spadały prażone ziarna sezamu. Prowadzona przez niego w mandaryńskim dialekcie rozmowa towarzyska brzmiała w jego zamerykanizowanym uchu jakoś zawodząco i agresywnie. Pogam komputely, pogam komputely. Kiedy spytał o możliwość skorzystania z telefonu, gospodarze zaprowadzili go do aparatu i starali się nakłonić Howarda do zatrzymania się w Linda Vista tak długo, jak tylko będzie chciał; mieli

nadzieję (w rzeczywistości już to zaplanowali), że zabiorą go na połów ryb na otwartym morzu i do parku rozrywki Sea World.

W informacji telefonicznej było tylko jedno nazwisko Seitchek w Newport Beach. Gdy tylko Howard usłyszał jej głos, zaczął zdecydowanie kręcić głową. Wydawało się jednak, że Seitchek cieszy się z jego telefonu. Zapytała, jak się ma.

– Nieźle – odrzekł. – Spotykam znajomych, mam znajomych w Los Angeles, wynająłem samochód, nieźle. To wakacje.

– Zamierzasz mnie odwiedzić?

Zaproszenie w jej głosie było tak serdeczne, że podejrzewał jakiś haczyk. Rzucił się w stronę zasłon w oknie wychodzącym na ulicę i wyjrzał na przejeżdżający samochód. Normalne auto, zupełnie bez związku z jego osobą.

– Nie, poważnie – powiedziała Seitchek. – Zadzwonileś, bo chcesz się spotkać czy co?

– Jasne, czemu nie – stwierdził Howard, jakby to był wyłącznie jej pomysł.

Następnego dnia po południu niebo nad Newport Beach zrobiło się okrutnie białe; już sam jego widok w jedynym szerokim oknie pokoju Seitchek niweczył wpływ klimatyzacji i sprowadzał do pokoju odrętwienie młodych, rozwiniętych palm za oknem, biały ogień na rozpościerających się za nimi terakotowych dachach

i oślepiającą monotonię plaż w oddali. Ściany pokoju były nagie, z wyjątkiem plakatu z robiącym wsad „Magic” Johnsonem i dużej akrylowej mariny w stonowanych barwach tapicerki. Drzwi szafy wnekowej były otwarte, a po obu jej stronach stały worki na śmieci i stosy kartonowych żółtych pudeł z firmy przeprowadzkowej Mayflower.

Howard uprzejmie rzucił okiem z korytarza na pokój, nachylając się, jakby w drzwiach wisiał aksamitny sznur. Pokryta śladami skaleczeń po goleniu i otarciami szyja była cała czerwona i nadawała mu wygląd kogoś winnego, gburowatego i niedojrzałego. Przed wyjazdem z San Diego bezlitośnie się pozacinał, bo po serdecznym zaproszeniu Seitchek spodziewał się, że zostanie przedstawiony rodzinie i być może zaproszony na rodzinny obiad. Kiedy jednak przyjechał, w domu nie było nikogo, a ona nie zaproponowała mu nawet szklanki wody. Weszła z powrotem po schodach – wcześniej, stojąc za drzwiami, słyszał, jak po nich schodziła – i pozwoliła mu iść za sobą. Sprawiała wrażenie osoby, która nie rozpoznaje niczego, na co patrzy, łącznie z Howardem. Miała zapadnięte policzki i wyglądała na zabiedzoną, była blada jak ktoś chory na grypę.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

Nie odpowiedziała. Na biurku pod oknem stała butelka szamponu Nexxus i kilkanaście porcelanowych figurek z katalogu Hummel. Popychając figurki, ustawiła

je w równej linii ze ścianą.

– Zdumiał mnie twój telefon – powiedziała nagle, stojąc tyłem do niego. – Zdumiał mnie, bo leżałam na podłodze – skinęła głową w stronę miejsca między podwójnym łóżkiem i ścianą – jakieś pięć godzin i zastanawiałam się, czy jest coś, co może zmusić mnie do tego, żeby ponownie podnieść się w życiu, i pojawiła się oczywista odpowiedź, czyli moja matka pukająca do drzwi i informująca mnie, że ktoś do mnie dzwoni. Byłam zdumiona, kiedy mi powiedziała, kto telefonuje.

Znowu popchnęła figurki, upewniając się, że już bardziej nie da się ich wyrównać. Odwróciła się do Howarda i odezwała się smutno:

– Byłeś w Instytucie Scrippsa? Widziałeś się z Alanem Grubbem?

– Tak. Nie. Nie było go. Masz toaletę?

– Toaletę? Czy mamy toaletę? – Czekala, aż wyjdzie.

Stojąc przed łazienkowym lustrem, ponaciągał koszulę, starając się równo ją na sobie rozwiesić, i zdrapał z szyi trochę zaschniętej krwi. Wyrzwał przez okno na basen. Kiedy wrócił do jej pokoju, Seitchek klęczała przy szafie i przerzucała książki w miękkiej oprawie z pełnego pudła do pudła mniej pełnego. Kawałek gumy do żucia, dawniej chyba jasnozielonej, tkwił w protektorze jej lewego adidasa. Między jej dżinsami a białą skórą dolnej części pleców było dość miejsca, żeby wsunąć tam rękę.

– Nie będzie nikomu przeszkadzać, że zaparkowałem furę na podjeździe? – zapytał Howard.

– Oczywiście. – Na krótki moment podniosła wzrok znad książek. – Możesz sobie zapakować swoją fuję, gdzie chcesz.

Zapakować swoją fuję? Zapakować swoją fuję? Powiedziała to tak od niechcienia, a jednak... Usiadł na podwójnym łóżku i zaczął uderzać w materac, aż zdał sobie sprawę, że robi coś nienaturalnego i nieistotnego.

– Chcesz może gdzieś wyjść? Coś zjeść?

– Nie – odparła. – A ty?

– Może. Może jakaś ryba z frytkami. Widziałem miejsce, gdzie sprzedają ryby z frytkami. Chcesz się tam wybrać?

Nie zważając na niego, wrzucała książki do pudła. *Oddzielny spokój* Knowlesa, *Franny i Zooey*, *Zen i sztuka obsługi motocykla*, *Miejsce dla kobiet*, *Gra szklanych paciorków*, *Bakunowy faktor*, stos książek Vonneguta, coś Franka Herberta i Roberta Heinleina, *Wodnikowe wzgórze*, *Strach przed lataniem*, *Słoneczne dialogi* Gardnera, zestaw Tolkiena w pudełku, więcej Salingera, trochę książek P. D. James, *Szklany kłosz*, 1984. Wyprostowała się i poinformowała go:

– Jeszcze przed wyjściem na golfa matka specjalnie poszła kupić pokrojoną wędlinę, kajzerki i ciemnego heinekena. Powiedziałam jej, że przyjedziesz.

Ponownie zgięta nad książkami, przerzucała strony

*Szklanego klosza*, po czym włożyła książkę z powrotem do pudła z rupieciami. Za nią podążyły książki D. T. Suzuki, *Świat według Garpa* i *Ragtime*. Odwróciła się do Howarda.

– Chcesz coś? – Mocno popchnęła pudło po wykładzinie.

Wybrał dwie książki Heinleina.

– Mogę te?

– Bierz, co chcesz. Naprawdę. Wszystko stąd wylatuje. A może jakieś buciki? Masz jakieś siostrzyczki?

– Uniosła parę sandałów na dziesięciocentymetrowych koturnach, parę butów Kalso Earth, parę chodaków ze stokrotkami wytłaczanymi na brązowej skórze, parę białych winylowych kozaczków na płaskim obcasie, w dziecięcym rozmiarze. Rozwinęła parę dzwonów z poliestru z gigantycznymi zielonobiałymi kratami. – Jak mam być zadowolona z siebie, wiedząc, że kiedyś widywano mnie publicznie w czymś takim? – Pogrzebała głębiej w pudle. – Moja kurtka à la Nehru. Czy na Tajwanie kurtki w stylu Nehru budzą zainteresowanie? – Wcisnęła kurtkę do worka na śmieci.

– Krojona wędlna – zrobił aluzję Howard.

– Tak, wieprzowina, wołowina. Moje ulubione jedzenie.

Chrząknął zachęcająco, ale wyraźnie było widać, że Seitchek nie mówi o obiedzie poważnie. Odrzuciła równą grzywkę z oczu i otworzyła nowe pudło.

– Chcesz zobaczyć moją pierwszą klasę? – Podała mu

arkusz ze zdjęciami. – Proszę, chcesz je? Może chcesz jakieś pięćset zdjęć ze mną? – Przesunęła w jego stronę całe pudło. Kiedy na nie zerkał, unosząc rogi kilku fotografii, wykopywała kolejne skarby: filcowy transparent z komiksu *Fistaszki* z informacją, że szczęście to ciepły szczeniak; albumy Waltera Carlosa, albumy Three Dog Night, albumy Cata Stevensa, albumy Janis Ian, albumy Moody Blues, albumy Paula Simona, plakaty Petera Maxa, *Grę w życie*, zbiór historyjek obrazkowych *Doonesbury*, dekoracyjną poduszkę obitą sztucznym futrem zebry, lampę zrobioną z puszki 7UP. Rozwinęła naturalnej wielkości plakat Marka Spitzza.

– To wygrałam – powiedziała. – Wygrałam w szkole tańca. Ale najlepsze jest to, że rzeczywiście go powiesiłam na drzwiach szafy wnekowej, a on przez cały rok na mnie patrzył z tymi swoimi siedmioma złotymi medalami. Jego oczy mnie ś l e d z i ły.

Howard starał się okazać zainteresowanie plakatem, ale ona już puściła chwilowo rozwinięty rulon, który błyskawicznie się zwinął, i wcisnęła go głęboko do worka na śmieci. Wypuściła powietrze i jakby z tym wydechem uszło z niej powietrze, już tylko wpatrywała się w podłogę.

– Nie mam nic wspólnego z tymi wszystkimi rzeczami. Kiedy byłam tu ostatnio, spędziłam ze dwa dni na przeglądaniu tych wszystkich zdjęć, moich starych papierów i zeszytów. Każdy podpisany moim imieniem

program z koncertu. Wszystkie niebieskie wstążki za zwycięstwa i przeróżne pisemne zgody, każdy quiz, w którym brałam udział, i wszystkie moje prace pisemne, nawet najmniejsze. Nawet jeśli to wyrzucę, wciąż pozostanie ogromny ciężar konotacji, a czy będę w stanie kiedyś przed nimi uciec?

Oczy jej zapłonęły na widok leżącej obok na podłodze wyblakłej książki z testami egzaminacyjnymi z college'u. Wcisnęła ją do worka na śmieci.

– Rodzice przeprowadzili się tu w tym samym roku, kiedy wstąpiłam do college'u. Mają ten miły dom z czterema pokojami, po jednym dla każdego z dzieci i duży dla nich samych. Mój pokój to zarazem pokój gościnny, świetnie, nie? A wystrój? To cała ja. O to chodzi: to naprawdę ja. I właśnie to staram się usunąć z pamięci.

Howard spojrział na plakat z „Magic” Johnsonem i na figurki Hummel. Podskoczył lekko na łóżku.

– Po co tu przyjeżdżasz, skoro tego nie lubisz?

– Żeby wszystko wyrzucić.

Oczy zabłyśły mu złośliwie, kiedy coś sobie przypomniał.

– Myślałem, że przyjechałaś zobaczyć się z bratanicami?

– Och, tak, moje bratanice. – Z szyderczym uśmiechem spojrzała w stronę otwartych drzwi. – Wiesz, że jeszcze nigdy ich nie widziałam? Ani jednej?

– Jasne.



– Chociaż gdy byłam tu ostatnio, miałam przyjemność zobaczyć bratową w ciąży. Sam widzisz, że nie klepiemy biedy. Byłoby nas stać, żebym przyjechała do domu. Oczywiście, postanowiłam nie przyjeżdżać.

– Ja nie jeżdżę do domu – oświadczył Howard.

To ją zainteresowało.

– Że niby jak, na Tajwan?

– Nie mogę tam jechać. I nie chcę.

Pokręciła głową, na powrót o nim zapominając.

– Zaczynam myśleć, że jest tutaj coś dla mnie. Że mogę przyjechać do domu, mogę tu jeść, pić, mogę spać, mogę tu przyjechać i czuć się bogata jak oni, jeździć bmw, widywać dzieciaki i po prostu tak być, no wiesz, przez tydzień. I nawet zaczynam z niecierpliwością na to czekać. Zameczam się, chcąc skończyć pracę i wsiąść do samolotu, a to po prostu z mojej strony okropnie głupie, żeby tak się nastawiać. Kiedy przyjeżdżam, cała moja rodzina siedzi w salonie, obaj moi młodszy bracia, obie moje bratowe, wszystkie moje bratanice. W końcu przyjeżdżam zobaczyć te dzieciaki. Jestem bardzo późno. Ale nie za późno. Powinno mi być niemal nieznośne napięcie. Wręcz nie do pomyślenia, żebym mogła myśleć o czymś innym, niż tylko z niecierpliwością wyczekiwać chwili, kiedy moje bratanice zaczną się na mnie wdrapywać. I już sam ten fakt, że to nie do pomyślenia, wystarczy, żeby przestało mnie to interesować.

Uśmiechnęła się, widząc, że Howard przerzuca jej

zdjęcia.

– Chodzi o to, że po prostu nie potrafię pokazywać, że cieszy mnie i interesuje coś abstrakcyjnego. Muszę p o r o z m a w i a ć z tymi dziewczynkami. Muszę wejść z nimi w jakieś relacje. Z tą dwuipółroczną dziewczynką i z tą dwójką niemowlaków, które nie są w stanie wydukać jeszcze słowa. Zaczynam mówić coś mądrego, jakbym zwracała się do psa czy jakoś tak, ale nagle zauważam, że oni wszyscy słuchają, więc próbuję wymyślić coś słodkiego, coś, co mogłabym powiedzieć, a wtedy jest jeszcze gorzej, przecież to tylko d z i e c k o, co się wtedy mówi, co się mówi?

Urwała, wpatrując się w tylną ściankę szafy, a Howard nachylił się i zajrzał do wnętrza, niemal wierząc, że w środku ktoś jest i jej słucha.

– Słyszę jedynie niesamowitą głupotę i nieskładność tego, co mówię. A dziewczynki o tym wiedzą. W każdym razie wie o tym ta najstarsza. Wie, że nie należę do kobiet, które uważają, że nie ma na świecie niczego lepszego niż posiadanie takiego dziecka jak ona, więc oczywiście mnie nie lubi. Bo dlaczego miałyby lubić? A potem dochodzi do sceny, kiedy ona nie chce do mnie podejść, ja nienawidzę jej i ona mnie, i to tylko dlatego, że bardziej przypominam ją niż kogokolwiek z czwórki rodziców, i ona o tym wie. – Skinęła głową stanowczo. – Mam prawie trzydzieści lat i bardziej przypominam to dziecko niż dorosłych. Ale co innego jest mieć trzy lata

i być dzieckiem, a co innego być mną, wciąż tak samokrytyczną... Mimo to mogłabym to znieść, gdyby wszyscy ostentacyjnie mnie tak nie żalowali. Rzucają mi te litościwe spojrzenia i mają czelność mi mówić, że nie jestem w stanie sobie nawet wyobrazić, jak wygląda dorosłe życie; nie mogę sobie wyobrazić, jaki człowiek jest z a j ę t y i jak m a ł o m a c z a s u n a c z y t a n i e g a z e t, bo nie mam dzieci. Gdy tylko będę miała dzieci, zaraz to zrozumiem. A ja chcę im powiedzieć: „Pozwólcie, że podzielę się z w a m i kilkoma rzeczami, jakich w y nie wiecie o życiu i n i g d y s i ę n i e d o w i e c i e”. Ale te kobiety zachowują się tak, jakby przez całe życie tylko czekały na okazję zignorowania kogoś takiego jak ja, i teraz mają do tego prawo, ze względu na d z i e c i. Mają prawo być całkowicie pochłonięte sobą i całkowicie wobec mnie niegrzeczne, ze względu na d z i e c i. Jak tylko masz dzieci, masz prawo ograniczyć swoje horyzonty. I nikt nie może ci powiedzieć, że nie jesteś osobą dorosłą. A niezależnie od tego, jak bardzo inne i godne pozazdroszczenia jest moje życie, oczywiście nie ma to znaczenia, ponieważ wciąż jestem tylko arcyżenującą dorastającą dziewczyną. I nawet nie mogę myśleć o rywalizowaniu z tymi dwudziestoczteroletnimi rodzicami, z tym ich całym narcyzmem i tą elementarną ludzką przyzwoitością. Po prostu z góry wiadomo, kto wygra.

Umilkła, kręcąc głową i wpatrując się w szafę. Howard zaczął podskakiwać na palcach, trzymając dłonie w kieszeniach i machając łokciami. Uniósłszy nogę dla zachowania równowagi, zerknął badawczo w stronę korytarza, jakby dobiegł go jakiś dźwięk. Nic nie było jednak słyhać. Kiedy się odwrócił, Seitchek na niego patrzyła.

– I to właśnie widzę – powiedziała z goryczą w głosie.  
– W tym moim wolnym, ekscytującym życiu na Wschodnim Wybrzeżu. Właśnie to widzę, kiedy odrywam wzrok od ekranu. To jest ta wielka alternatywa.

Podskakiwał na palcach.

– Chyba muszę spadać – stwierdził. – Muszę spotkać się z jakimiś ludźmi, chyba lepiej pójdę.

Uśmiechnęła się do niego okropnie.

– A co z twoją pokajaną wędliną? Nie chcesz swojej pokajanej wędliny? Nie chcesz zapakować swojej fui na pojeździe? – Odwróciła się z obrzydzeniem. – Widzisz, już nawet nie dbam o to, co mówię. Nie obchodzi mnie, kto mnie słucha.

Howard wciąż podskakiwał, przemieszczając się i przechylając jak tracący impet wirujący bąk, drżenie ciała sprawiło, że ręce wysunęły mu się z kieszeni. Zakręcił się w pobliże Seitchek. Kiedy podniosła na niego wzrok, uderzył ją tak mocno, że upadła do tyłu i oparła się na łokciach.

Patrzyli na siebie nawzajem. To była chwila odkrycia,

osobliwego, cichego odkrycia. Jakby zmieniła się pora dnia. Po chwili twarz Seitchek się wykrzywiła i dziewczyna ukryła ją w dłoniach.

– O Boże. O Boże. Tak się wstydzę.

Howard już się nachylał, trzymając dłonie w pobliżu jej głowy. Poklepał ją po policzku i dotknął jej uszu, a potem obiema rękami poklepał ją po ramionach, bynajmniej nie ze skruchą, ale jakoś niecierpliwie, jakby wpadł na stół i pospiesznie starał się poustawiać głupie wazony, które się poprzewracały.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Wbiła mu paznokcie w szczękę.

– Odejdź! Odejdź ode mnie! Zjeszczaj swoją fuja, odejdź. – Rzuciła mu się do oczu, więc musiał chwycić ją za przeguby, a potem okrutnie je przygnieść, kiedy walczyła, żeby się uwolnić. Szamotała się pod nim, chwytając powietrze i wybuchając czymś, co w pierwszej chwili wydawało mu się łkaniem, ale okazało się czymś bardziej zbliżonym do śmiechu, bo wcale nie było tak, jak mu się wydawało. Jej palce zagłębiły się w jego włosach. Przyciskała jego twarz do swojej, a on zacisnął oczy, krótkie rzęsy splotły się ze sobą jak szwy, przez które musi patrzeć szmaciana lalka, ponieważ nie był jeszcze gotów spojrzeć na tę leżącą pod nim osobę ani uwierzyć swojemu szczęściu, że zdobył taką dziewczynę, w takim domu, z czterema wielkimi sypialniami, dziesięciometrowym basenem oraz barem, i to ze

zlewem, w salonie.

## 8.

Trzęsienia ziemi to nie to samo co zamordowanie ciężarnej przez męża. Nie mają też wiele wspólnego z nakazaną sądownie desegregacją rasową. Ani z Kennedymi. Kiedy już ostatnia ekipa wiadomości telewizji krajowej spakowała się i opuściła Boston, przez kilka tygodni można było odczuć w mieście jego rozczarowanie zachowaniem ziemi. Oczywiście nikt się nie palił, żeby osobiście zostać zmiażdżonym przez spadające belki czy zobaczyć własny majątek idący z dymem, ale na wiosnę przez kilka dni Przyroda igrała z oczekiwaniami miasta, a ludzie szybko nabrali ukrytego apetytu na telewizyjne obrazy ciał pod płachtami z polietylenu, na przypominające jazdę na karuzeli doznania podczas przetaczania się po salonie, na kalifornijskie doświadczenia, na wielkie liczby. Sto ofiar śmiertelnych to byłoby rzeczywiście coś. Sto ofiar śmiertelnych – historyczne wydarzenie. Ale ziemia nie dotrzymała obietnic, milcząco odmawiała zredukowania budynków do fascynujących, fotogenicznych stert gruzu, a liczba ofiar śmiertelnych nigdy nie odbiła się od zera. Mimo wpływu, jakie liczby miały na lokalne wnętrza, trzydzieści siedem związanych z trzęsieniami ziemi urazów mogło być spowodowanych przez nudne wypadki samochodowe, sto milionów strat w mieniu przez zaniedbania w konserwacji, a śmierć Rity

Kernaghan przez nieciekawy atak serca. Dziennikarski wstrząs wtórny przygał do rozmiarów jednego czy dwóch artykułów na tydzień. Lokalni reporterzy wciąż przeczesywali powiat Essex w poszukiwaniu ludzkich losów zrujnowanych przez katastrofę, ale ku swemu przerażeniu nie mogli znaleźć ani jednego takiego przypadku. Właściciele domów naprawiali ściany i sufity. Budzące wątpliwości konstrukcje były sprawdzane i na powrót otwierane. Wszystko było tak moralnie neutralne, tak praktyczne.

Na szczęście dla wszystkich drużyna Red Sox zaczęła czerwiec od zwycięstwa na stadionie Fenway w serii meczów z Yankees, kontynuując pasmo siedmiu zwycięstw z rzędu podczas wyjazdu do zachodniej części ligi. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wierzył, że Soxi mogą faktycznie wygrać swoją konferencję, ale obecnie trudno byłoby powiedzieć, że sobie nie radzą, więc co można było zrobić? Wygwizdywać ich na zapas? W dalszej części lata będzie wiele sposobności na wskrzeszenie dawnej niechęci i zawiści – serca bostończyków będą waliły jak oszałałe, będzie ich ścisnąć w gardle na samą myśl o baseballowych zwycięzcach, o ich poruszających się jak we śnie skutecznych miotaczach, aroganckich pałkarzach z pucami niemowlaka, którym Bóg nie wiadomo jakim cudem pozwalał posyłać jedną po drugiej piłki umożliwiające zaliczenie wszystkich baz i zdobycie punktów, a do tego



ci straszliwi kibice, wspierający drużynę tylko wtedy, gdy szło jej dobrze, z twarzami usmarowanymi tanią euforią, niczym sokiem z seksu i brzoskwiń, którym się wydawało, że w baseballu tylko o to chodzi, żeby z łatwością wygrywać i wygrywać – ale dopóki trwała passa, miasto było pełne pogańskich posiadaczy niezważających w swej błogości na tych, którzy w świecie sportu niczego nie posiadają, a pod nieobecność dalszych wstrząsów strach przed śmiercią i osobistymi obrażeniami usunął się na swoje właściwe miejsce, gdzieś w podświadomość.

Co wcale nie znaczy, że powiat Essex zupełnie przestał drżeć. Przenośne sejsmografy, zainstalowane wspólnie przez Boston College, Amerykański Instytut Geologiczny i zajmującą się pracami poszukiwawczymi firmę Weston Geophysical, rejestrowały w pobliżu Peabody aż dwadzieścia wstrząsów dziennie i sporadyczne sygnały w pobliżu Ipswich. Ale wielkość wstrząsów w skali Richtera rzadko przekraczała trzy stopnie i chociaż trudno byłoby znaleźć dwóch sejsmologów, którzy zgodziliby się w sprawie tego, co dokładnie się działo, powszechnie przyjmowano, że aktywność sejsmiczna była powodowana przez wstrząsy wtórne po wydarzeniach kwietniowych i majowych. Co prawda, wstrząsy wtórne po umiarkowanych trzęsieniach ziemi zazwyczaj szybko zanikają i prawdą też jest, że wstrząsy wtórne w Peabody tak się nie

zachowywały, ale biorąc pod uwagę niezwykle silne wstrząsy poprzedzające trzęsienie z 10 maja, Larry Axelrod i inni sejsmolodzy snuli teorie, według których pęknięcie skał pod Peabody z jakichś powodów nie było „czyste”. Axelrod tłumaczył w „Globe”, że jeśli równo obetniemy kurczakowi głowę, przez moment będzie drgał w konwulsjach, ale wkrótce zupełnie znieruchomieje, jeśli natomiast pogruchoczemy mu kark, przez godzinę będzie się rzucał, chociaż coraz słabiej.

Prawie nikt w świecie sejsmologów nie był w stanie zagwarantować ze stuprocentową pewnością, że był to ostatni silny wstrząs w Bostonie. Jedynym wyjątkiem było Mass Geostudy, prywatna instytucja badawcza finansowana przez Korpus Inżynieryjny Armii Stanów Zjednoczonych i przemysł energetyki jądrowej. Pominięta w gazetowych artykułach, Mass Geostudy wysłała do „Globe’a” lakoniczny list, w którym poinformowała czytelników, że „prawdopodobieństwo wystąpienia w okresie najbliższych 85 czy nawet 120 lat w obszarze metropolitalnym Bostonu trzęsienia ziemi tak poważnego, jak wstrząsy z 10 maja, jest zerowe”. Wielu innych naukowców zgadzało się, że uwolnienie naprężeń 10 maja rzeczywiście obniżyło ryzyko dalszych poważnych trzęsień ziemi, ale znaczna mniejszość, łącznie z czcigodnym Axelrodem, nadal ostrzegała, że „jeszcze się nie skończyło, póki się nie skończyło”.

Wskazywali na nietypowy układ wstrząsów wtórnych i na dowody istnienia głębokich, przypominających uskoki struktur na dwudziestokilometrowym odcinku dzielącym Ipswich i Peabody. I chociaż nie było powodu, żeby spodziewać się pęknięcia na całej długości dwudziestu kilometrów (oznaczałoby to poważne trzęsienie ziemi), nie można też było wykluczyć mniejszego pęknięcia.

Hasłem dnia, cytowanym przy każdej okazji, gdy w grę wchodziły kwestie geologiczne na wschodzie Stanów Zjednoczonych, było określenie „nie do końca poznane”.

Zamiast wydawać miliardy dolarów na przekształcenie Massachusetts w stan tak odporny na katastrofy jak Kalifornia, stanowe zgromadzenie ustawodawcze zdecydowało się przeznaczyć milion dolarów na natychmiastowe badania sejsmologiczne (dla stanu w poważnych tarapatkach budżetowych nawet milion to było sporo). Większość pieniędzy skierowano do Boston College w celu sfinansowania pogłębionych badań sejsmicznych całego obszaru powiatu Essex. Odkryte uskoki zostały zbadane pod kątem świeżych przesunięć (nic nie znaleziono), zastosowano także technologię Vibroseis. Studenci zawieźli zamontowane na ciężarówkach urządzenie w wybrane miejsce i otoczyli je siatką czujników, tak zwanych geofonów. W starannie dobranych momentach urządzenie wysyłało

w ziemię ćwierkające sygnały i na podstawie zarejestrowanych przez geofony podziemnych załamań, odbić i rozszerzeń tych ćwierkań można było stworzyć mapę zakopanych struktur, tak samo jak za pomocą ultradźwięków tworzy się obraz płodu.

Pierwsze wyniki badań za pomocą metody Vibroseis ujawniły płataninę nieciągłości przecinających powiat Essex i ciągnących się na większą głębokość, niż wcześniej sądzono. Niejasności się zwiększyły, kiedy sejsmolodzy próbowali skorelować hipocentra trzęsień ziemi z naniesionymi na mapę strukturami. Nowe dane potwierdziły słuszność przeróżnych konkurencyjnych modeli. Dostarczyły też podstaw do stworzenia nowych modeli, które nie tylko przeczyły sobie nawzajem, ale też wcześniejszym modelom.

Siódmego czerwca pewien student Boston College, umieszczając geofon na porosłej lasem działce w Topsfield, znalazł nagie ciało zaginionej od miesiąca nastolatki z Danvers, a Red Sox z niewielką przewagą wygrali w dziesięciu rundach z drużyną Seattle.

Pozostała część stanowych pieniędzy została wydana na opracowanie krótkoterminowych prognoz trzęsień ziemi, a zadanie to powierzono uczonym aż z Kalifornii. Jedna grupa umieszczała czujniki w podłożu skalnym w celu zmierzenia zmian jego przewodności elektrycznej. Inna monitorowała pola magnetyczne i nasłuchiwała fal radiowych o skrajnie niskiej

częstotliwości. Cztery niezależne grupy badały mniej efektywne, ale równie uznane wskaźniki: zmiany głębokości i przejrzystości wody w studniach, emisję metanu i innych gazów z głębokich otworów, osobliwe zachowania zwierząt, a także skupiska drzeń skorupy, przypominające wstrząsy poprzedzające.

Niewielki skandal wybuchł, kiedy Kanał 4 się dowiedział, że stan przekazał prowadzącemu podoktoranckie badania naukowcowi z Michigan piętnaście tysięcy dolarów na import akwarium z japońskimi sumami i ich obserwację w zaciemnionym pokoju w motelu pod Salem. Z kilku prac naukowych wynikało, że właśnie ten gatunek suma robi się niespokojny w przeddzień trzęsienia ziemi, naukowiec z Michigan był jednak nieśmiały i nie wypadł dobrze przed kamerami. Reporterka Kanału 4, Penny Spanghorn, określiła te doświadczenia jako „przykład wyjątkowego wyłudzenia”.

Ogólnie rzecz biorąc, i media, i społeczeństwo przyjęły, że w przypadku krytycznej sytuacji zespoły badawcze natychmiast podniosą alarm i że właśnie po to przybyły do Bostonu. Nie miały one jednak takiego planu. Ich członkowie byli naukowcami i przyjechali zebrać informacje i rozszerzyć swoją wiedzę o Ziemi. Ponadto wiedzieli, że gubernator nigdy nie podejmie kroków, które wpłynęłyby destrukcyjnie na gospodarkę, podnosząc powszechny alarm, chyba że większość metod

prognozowania potwierdzi nadejście poważnego wstrząsu. W przeszłości metody te wyraźnie nie zgadzały się co do przewidywania terminu, wielkości i lokalizacji poważnych trzęsień ziemi, dlatego też te wciąż badano i testowano różne sposoby. Kiedy jednak zespoły badawcze się do tego przyznawały, społeczeństwo uznawało, że to tylko wyraz skromności, i nadal zakładało, że tak czy owak, gdyby pojawiło się widmo katastrofy, zostanie ogłoszony alarm.

Nie licząc historii z sumami, relacje prasowe opisujące wysiłki naukowców w zakresie prognozowania kolejnych trzęsień były entuzjastyczne, a instalacje doświadczalne stały się przedmiotem wielkiego zainteresowania lokalnej młodzieży. Raport o zmaconej wodzie w dwóch studniach w Beverly został wycofany, kiedy jakiś nastolatek się przyznał, że „dla żartu” wrzucił do nich ziemię i żwir. Wkrótce potem policja z Salem aresztowała grupę młodych ludzi w stojącym daleko za miastem samochodzie, którzy na odludziu „rozbijali skrzynki”. Młodzież sądziła, że fajnie będzie zdeorientować przenośne sejsmografy, skacząc po ziemi i imitując wstrząsy, ale ponieważ okazało się to niezbyt zabawne, zaatakowała sejsmograf kijami baseballowymi.

W pierwszym tygodniu czerwca każde domostwo we wschodniej części Massachusetts otrzymało wydrukowaną w Kalifornii broszurę zatytułowaną

PORADY NA WYPADEK WSTRZĄSÓW. Była ilustrowana palmami i domami w stylu dawnych hiszpańskich misji i zawierała zalecenia, żeby dzieci kucaly pod biurkami w szkole, żeby unikać zerwanych przewodów elektrycznych, żeby natychmiast informować o wyciekach gazu i żeby zawczasu kupować zapasy butelkowanej wody i jedzenia w puszkach. Supermarkety i sklepy dyskontowe zareagowały specjalnymi wystawami pod hasłem „Przetrwać trzęsienie ziemi”, a w całym regionie handlarze bronią zanotowali wyraźny wzrost sprzedaży.

Towarzystwa ubezpieczeniowe znowu zaczęły oferować polisy od trzęsień ziemi, ale też same przyznały, że przy stawkach zaczynających się od trzydziestu dolarów za tysiąc dolarów ochrony ubezpieczeniowej chętnych było niewiele. Ale krążący od domu do domu oszuści szybko zrobili interes na sprzedaży fałszywych zniżkowych polis. Akcje firm i banków z dużymi inwestycjami w rejonie Bostonu pozostawały na poziomie kryzysowym, podobnie jak rynek nieruchomości w powiecie Essex i na nisko położonych obszarach dalej na południe, łącznie z dzielnicą Back Bay i większością Cambridge (budynki na zasypanych bagnach i innych zrehabilitowanych terenach były szczególnie podatne na wstrząsy sejsmiczne). Władze zamożnych miejscowości obawiały się finansowania odwiertów dla badań trzęsień ziemi,

żeby nie wzbudzać powszechnej paniki, a biedniejsze społeczności miały inne kłopoty, więc żadnych prac wiertniczych nie prowadzono.

Pastor Philip Stites spokojnie obserwował przygotowany i emitowany przez stację WSNE materiał, w którym on sam oświadczał, że jego zdaniem Bóg jeszcze nie skończył ze stanem Massachusetts i nie skończy, dopóki ostatnia klinika aborcyjna w stanie nie zostanie zamknięta. Stites potępił następnie jako niechrześcijański niedawny zamach bombowy na obiekty w Lowell, twierdząc, że karę wymierzać może Bóg, a nie człowiek. Pięćdziesięciu ośmiu członków Kościoła Działań w Chrystusie siedziało od 8 czerwca w celach w Bostonie i Cambridge. Odmówili złożenia kaucji po aresztowaniach za blokowanie wejść do różnych klinik. Karykaturzyści i felietoniści przedstawiali Stitesa jako bogatego elegancika, który nie chce się splamić, trafiając do aresztu ze swoją armią, naśmiewali się z tego, jak wyraźnie zabiega o względy lokalnych konserwatystów, i wyczuwali „smród obłudy” we wszystkim, co robił.

Po drugiej stronie barykady koalicja lokalnych grup opowiadających się za prawem kobiet do przerywania ciąży obiecywała zalać park Boston Common setkami tysięcy demonstrantów podczas organizowanego 14 lipca wiecu. Jedna z organizatorek zwróciła się do Renée z pisemną prośbą o wyrażenie zgody na umieszczenie jej na liście popierających wiec osób publicznych. Renée



zadzwoiła do niej i zapytała:

– Dlaczego chcecie, żebym znalazła się na tej waszej liście?

– Pani jest geologiem. Była pani w telewizji.

– Wiele osób było w telewizji.

– Chce pani powiedzieć, że nie życzy sobie być na tej liście?

– Nie, nie, proszę bardzo. Proszę mnie wpisać.

– W porządku. – Organizatorka mówiła, jakby była poirytowana. – Wpiszemy panią.

Regionalne biura administracyjne Agencji Ochrony Środowiska znajdowały się na ósmym piętrze przedwojennego granitowego klocka stojącego naprzeciw budynku sądu federalnego, w starej części śródmieścia, gdzie wystarczyło przyjrzeć się dachom budynków, żeby po opuszczeniu wzroku z powrotem na ulice oczekiwać, że zobaczy się mężczyzn ubranych w kapelusze fedora, czarne wąskie krawaty i okulary w stylu Buddy'ego Holly'ego.

Przed budynkiem sądu sześć demonstrantek w robionych na drutach rękawiczkach z jednym palcem owijało samoprzylepną folią spożywczą zdjęcia płodów. Strugi zimnej wody spływały po kobietach i dalej, po pochyłości ulicy, do dawnej dzielnicy uciech, deszcz znaczył smugami szarozielone okna i moczył powtykane za każdą nieruchomą wycieraczkę ulotki reklamujące seks na telefon. Ten płątany przez lata w Nowej Anglii

figiel Renée widziała już wielokrotnie: dwanaście stopni dzisiaj i bardzo podobne prognozy na weekend.

Twarde plastikowe krzeselka w holu biur Agencji Ochrony Środowiska zniechęcały do siedzenia. Niektóre stały w półkolu, co sugerowało, że przeznaczone są dla jakiegoś zamkniętego grona, chociaż były puste; pozostałe ustawiono samotnie pod różnym kątem w stosunku do ścian. Kiedy na jej spotkanie wyszła zastępczyni regionalnego inspektora, Susan Carver, Renée zostawiła po sobie deszczowe ślady na podłodze przy ogłoszeniu o równych szansach w zakresie zatrudnienia, które właśnie czytała.

Carver była wysoka i potężna, miała pulchne białe policzki i gęste brwi. Nosiła okulary z okrągłymi oprawkami w kolorze żurawiny, a w jej szklach odbijało się federalne oświetlenie. Wyglądała jak bystry biały królik wciśnięty w garnitur w rozmiarze 44. Kiedy prowadziła Renée do swojego biura, przez otwarte drzwi w korytarzu wyleciała zwinięta w kulkę kartka, która odbiła się od jej potężnego ramienia. Z zaskakującą zręcznością złapała ją w locie i zatrzymała się w drzwiach. Ubrani w barwach rdzawo-brunatnych i srebrno-niebieskich czterej pracownicy w średnim wieku podnieśli wzrok znad biur w poczuciu winy, które bardziej przypominało hamowaną radość. Carver bez słowa cisnęła kulkę przez przymocowaną do ściany pomarańczową obręcz i wróciła do Renée, pozostawiając

za sobą wiwatujących mężczyzn.

– Chciałaś porozmawiać ze mną o Sweeting-Aldren?

– Tak.

– To dotyczy trzęsień ziemi w Peabody?

– Tak.

Wyraźnie zadowolona z siebie po trafieniu do kosza, Carver usiadła za biurkiem i złączyła na blacie białe łapki, naciągając wąskie prążki na łokciach i ramionach. Na parapecie za jej plecami stały zdjęcia rodziny w ramkach: krępej nastolatki z małym noskiem i płaską, przejętą twarzą, sprawiającej wrażenie znającej się na komputerach, pucołowatego chłopaka w wieku ośmiu czy dziesięciu lat oraz chudego męża szczerzącego zęby w uśmiechu. Obok obrotowego notatnika leżał pistolet na wodę, rewolwer kaliber 38. Z pełną rozbawienia matczyną ostrożnością, jakby agencja była jeszcze jednym jej dzieckiem, zapytała:

– A co, twoim zdaniem, zrobiła firma Sweeting-Aldren?

Renée sięgnęła po swoją torbę na ramię, w której przyniosła dokumenty, powoli jednak cofnęła rękę, nawet jej nie dotykając.

– Istnieją pewne dowody – oświadczyła – że od wielu lat, jeśli nie dziesięcioleci, firma pompuje płynne substancje do bardzo głębokiego otworu i mogła w ten sposób wywołać trzęsienia ziemi, które obserwowaliśmy w Peabody.

Brwi Carver uniosły się i opadły niemal niezauważalnie.

– Kontynuuj, proszę.

Renée otworzyła torbę i w sposób opanowany i wyważony przedstawiła całą sprawę. Nie podnosiła wzroku znad dokumentów, dopóki nie skończyła. Carver uśmiechała się z lekka w zamyśleniu, jakby wciąż rozkoszowała się trafieniem do kosza.

– Pozwól, że sprawdzę, czy dobrze rozumiem przedstawioną kolejność wydarzeń – odezwała się. – Najpierw, pod koniec lat sześćdziesiątych, Sweeting-Aldren zaczyna wiercić gdzieś głęboki otwór. Następnie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku dochodzi do serii niewielkich trzęsień ziemi w pobliżu Peabody, które trwają trzy miesiące...

– I wyjątkowo szybko się kończą.

– I szybko się kończą. Następnie mamy wyciek w Peabody, niezbyt wielki... najwyżej kilkuletni zasób ścieków, których nie można składować. I na koniec, niedługo po wykryciu tego wycieku, ponownie zaczynają się trzęsienia ziemi w Peabody, najwyraźniej powiązane z trzęsieniami w Ipswich, ale zgodnie z tym, co mówisz, w rzeczywistości niemające z nimi żadnego związku.

– Nie tylko ja tak uważam. Żaden seismolog nie dysponuje przekonującym modelem łączącym Ipswich i Peabody.

Carver skinęła głową. Wzięła do ręki pistolet na wodę

i zaczęła skubać blaszkę celownika.

– Rozumiem. Chociaż mam wrażenie, że sejsmolodzy nie wiedzą wielu rzeczy na temat tego, co wywołuje trzęsienia ziemi, kiedy i gdzie się wydarzają, zwłaszcza gdy mówimy o trzęsieniach na wschodnim wybrzeżu.

– Model indukowanej aktywności sejsmicznej doskonale tłumaczy serię trzęsień ziemi w Peabody.

– Tak, rozumiem. Chociaż znowu wszystko zależy od twojego założenia, że ten odwiert rzeczywiście został zrobiony, i to w pobliżu Peabody. Ponieważ mogą być inne „modele”, które są równie przekonujące.

– Na przykład jakie?

Carver wzruszyła ramionami.

– Może naturalne źródło trzęsień ziemi w Peabody, a potem „model” cyklicznego popytu, który tłumaczy ten kwietniowy wyciek. Bo widzisz, nie wiem, jak dobrze rozumiesz funkcjonowanie przemysłu chemicznego. Krótkoterminowe składowanie zarówno surowców, jak i nieprzetworzonych odpadów jest bardzo częstą praktyką. Sweeting-Aldren przechowuje odpady nadające się do spalania, dopóki nie wzrośnie popyt na produkty wytwarzane przez nich w wysokotemperaturowych reaktorach. A tymczasem w zeszłym miesiącu trzęsienie ziemi doprowadziło do pęknięcia jednego z ich zbiorników magazynowych.

Renée skinęła głową. Spodziewała się – i faktycznie miała nadzieję – że Carver odegra rolę adwokata diabła.

– Mogę zapytać, czy wy, to znaczy agencja, rzeczywiście byliście w zakładach w Peabody, żeby się upewnić, że wszystkie odpady przetwarzają w taki sposób, jak o tym mówią?

– Oczywiście, że możesz zapytać. Odpowiedź brzmi: nie. Nie zapuszczaliśmy sond do ich zbiorników. Nie nadzorowaliśmy ich wewnętrznych procedur. Nie mamy ani odpowiedniego personelu, ani też prawa do sprawdzania każdej rury i każdego zaworu we wszystkich fabrykach w Ameryce.

– Mimo że, oczywiście, jest to dosyć podejrzany przypadek.

– Och, tak. Podejrzany przypadek. – Carver zacisnęła ręce na poręczach i z wyraźnym wysiłkiem poprawiła się na fotelu. – Pozwól, że coś ci wyjaśnię, Renée. Jako osoba, której udało się przetrwać tu od lat osiemdziesiątych i wciąż pracuje w agencji. Wykonujemy tę w niewielkim stopniu mile widzianą pracę, która polega na ochronie środowiska w tym kraju, dlatego, że jesteśmy realistami i mamy pewne priorytety. Obcujemy ze światem rzeczywistym, a w świecie rzeczywistym nie da się ostatecznie zweryfikować wszystkich hipotez, jakie można sobie wyobrazić. Trzeba się skupić na tym, co wychodzi z rury ściekowej i z komina, a to oznacza przyjmowanie od czasu do czasu pewnych rzeczy na wiarę. Jeśli taka firma jak Sweeting-Aldren nie zanieczyszcza powietrza lub wody...

– Aż do wycieku w zeszłym miesiącu.

Carver się uśmiechnęła. A ten uśmiech mówił: dasz mi skończyć?

– Sweeting-Aldren jest firmą zarządzaną w sposób odpowiedzialny. Być może, gdybym nie miała się czym martwić, wybrałabym się tam i dokładnie to wszystko sprawdziła. Ale zajmuję się firmami wpuszczającymi pół tony kadmu i soli arsenu na godzinę do ujść rzek. Zajmuję się przedsiębiorstwami zagospodarowującymi odpady, przedsiębiorstwami, które olej o zawartości polichlorobifenylu wyrażanej w gramach na kilogram oraz toluenu i chlorku winylu na poziomie dziesiątych części procentu składają w pięćdziesięcioletnich zbiornikach pod opuszczonymi stacjami benzynowymi. Mam do czynienia ze składowiskami odpadów, które w każdej chwili mogą zacząć zanieczyszczać wody gruntowe na terenie praktycznie całego stanu, stąd aż do Springfield. Mam do czynienia z firmami, które – Carver odliczała kolejne pozycje na czubkach palców – ignorują nasze przepisy, ignorują nałożone przez nas kary, ignorują nakazy sądowe i w końcu bankrutują, pozostawiając po sobie pół hektara skażonego na wieki terenu. Z drugiej strony mamy społeczeństwo skłonne do wpadania w panikę i prezydentów, którzy raz na kilka lat chlubią się tym, że już bardziej nie o b n i ż a j ą naszego finansowania.

– Ale ten wyciek w Peabody...

– Były w nim polichlorobifenyle. Wiem, co powiesz. Firma przez kilka dni wprowadzała społeczeństwo w błąd, również Wall Street to zauważyła. Ale z drugiej strony, to bardzo ludzkie, żeby czemuś zaprzeczać, gdy człowiek się wstydzi. Cześć, Stan. – Carver wycelowała pistolet w stronę drzwi, w których stał mężczyzna w groszkowej marynarce i z szarą teczką. – Za chwilę do ciebie przyjdę.

Renée zmarszczyła brwi. Za chwilę?

– Ten twój otwór – ciągnęła Carver – jeśli w ogóle został wywiercony, miał ponoć być wywiercony gdzieś w okolicach Hereford, w stanie Massachusetts. Czy przypadkiem w celu dopasowania twojego „modelu” nie przesunęłaś ośmiokilometrowego odwiertu dwieście pięćdziesiąt kilometrów na wschód?

– W „Nature” piszą o wschodniej części Massachusetts. Wschodnie Massachusetts.

– Masz jakąś inną literaturę na ten temat?

– Jeszcze... nie.

– A „Nature” jest... periodykiem brytyjskim. Bo wiesz, przykro mi to mówić, ale nie jestem do końca przekonana do teorii uzależnionej od tego, co redaktorzy brytyjskiego czasopisma wiedzą o geografii Ameryki.

Renée zmrużyła oczy.

– I kolejne zastrzeżenia, jakie mi teraz przychodzą do głowy: po co wydawać ileś tam milionów dolarów na głęboki odwiert naftowy w tysiąc dziewięćset



sześćdziesiątym dziewiątym roku? Czy wiesz, ile kosztowała wówczas baryłka ropy?

– Tak, wiem to doskonale. Ale też nie wierzę, że nikt w Ameryce nie był w stanie przewidzieć nadejścia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku. Oni mieli ogromne zyski. Najprawdopodobniej ochoczo odpisywali stratę od przychodu.

– Na odpisywaniu straty nie zarabia się pieniędzy. A czy firma potrafiąca tak świetnie przewidywać mogła nic nie wiedzieć o indukowanej aktywności sejsmicznej? O tym dowiaduje się każdy, kto tylko otworzy podstawowy podręcznik sejsmologii. Ale z tego, co mówisz, wynika, że trzęsienia ziemi w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku zupełnie ich zaskoczyły.

– Przypuszczam, że sprawdzali sytuację w Denver – stwierdziła Renée. – W Denver trzęsienia ziemi mają swoją historię i największe tam spowodowane miało magnitudę cztery i sześć dziesiątych stopnia. W Peabody trzęsienia ziemi nie występowały nigdy i nie było też powodu, żeby się ich spodziewać. A do tego pompowali w tempie wielokrotnie mniejszym od tego, z jaką wojsko pompowało odpady w Denver. I jest jeszcze coś, o czym zapomniałam wspomnieć: wiceprezes Sweeting-Aldren do spraw produkcji ma polisę na dom obejmującą ubezpieczenie od zniszczeń wywołanych trzęsieniem ziemi.

Carver przytknęła do warg wylot lufy pistoletu, jakby

zdmuchując z niej dym. Uśmiechnęła się do Renée łagodnie. Czy mogła być skorumpowana przez Sweeting-Aldren? Renée odrzuciła ten pomysł. Problem polegał na tym, jak zauważyła, że Carver po prostu jej nie lubił.

– Jak rozumiem, nie jesteś właścicielką domu – powiedziała Carver.

– Zgadza się. Nie jestem.

– Oczywiście nie ma w tym nic złego. Jednak może być tak, że nie do końca rozumiesz, jak bardzo właściciele domów się martwią, że mogą je stracić. A ludzie, którzy mieszkają w Bostonie przez całe życie, mogą pamiętać trzęsienia z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Kto to jest...? Dave Stoorhuys?

Wypowiedziała to nazwisko tak, jakby chodziło o kogoś, z kim piła piwo.

– Tak.

Carver skinęła głową.

– Ostrożność. Ostrożność to jego dewiza. Spotkałaś go?

– Znam jego syna.

– Tak, ale musisz zrozumieć, że mam do czynienia z tymi firmami na co dzień. I choć może to zabrzmieć dziwnie, w przemyśle bywają ludzie bardzo porządni i pełni dobrych chęci. Prawdę mówiąc, miałam okazję widzieć nie mniej, a może nawet więcej prywaty i autoreklamy w świecie akademickim niż w przemyśle. To chciałaś usłyszeć? Oczywiście, że nie. Ale

skłamałabym, gdybym nie powiedziała, że grubo się mylisz w sprawie Dave'a Stoorhuysa i Sweeting-Aldren.

– A gdybym sama znalazła to miejsce, gdzie pompują odpady, i przyniosła ci zdjęcia?

– Potrzebujesz zezwolenia na szpiegowanie i wkraczanie na teren prywatny? Potrzebujesz zgody mamusi? – Oczy Carver się skrzyły. – Gdybyś pokazała mi coś konkretniejszego niż tylko akademickie rozważania, pewnie wysłałabym kogoś, żeby to sprawdził. Chociaż, szczerze mówiąc, są dużo gorsze rzeczy, jakie firma może zrobić z takimi chemikaliami, niż pompowanie ich sześć kilometrów poniżej poziomu wód gruntowych.

– A gdyby zwrócili się do ciebie z wnioskiem o zezwolenie na pompowanie odpadów pod ziemię? Dałabyś im je?

– Jeśli mówisz o odpowiedzialności prawnej za szkody wywołane trzęsieniem ziemi, musisz zwrócić się do kogoś innego.

– Na przykład do kogo?

– Prasa uwielbia ciekawe tematy. – Carver spojrzała na zegarek. Podniosła się. – Zauważyłam też, że dziennikarze darzą cię sympatią.

– To wasz obowiązek – stwierdziła Renée. – Jeśli firma pompuje odpady, to narusza przepisy waszej agencji. Uważam, że ktoś powinien przynajmniej się tam wybrać i sprawdzić, czy mają na swoim terenie odwiert. A jeśli tak, powinien zostać przez was zajęty, zanim

zdążą go zamknąć.

– Sprawdzę nasze archiwum. – Carver zmierzała już do drzwi, zmuszając swojego gościa do wstania. Każdy urzędnik państwowy wie, że wszyscy składający skargi do agencji niezmiennie uważają się za osoby wyjątkowe i że łatwo tracą opanowanie, kiedy w końcu sobie uzmysławiają, że w oczach agencji wcale nie są tacy wyjątkowi. A szczególnie łatwo można było wytrącić z równowagi i pozbyć się takiego dumnego i samokrytycznego petenta jak Renée. Dlatego szczególnie podłe ze strony Carver było to, że nie odmówiła sobie przyjemności, by dodać: – Muszę ci to powiedzieć, nieraz już to słyszałam. Obawiam się, że chyba trochę odleciałaś po romansie.

– Co takiego?

– No wiesz... odłot. Ile masz lat?

– Wiem, co znaczy to słowo.

– Dwa miesiące temu przyszedł tu do nas pewien entomolog i powiedział, że rozpylany przez służby stanowe materiał do walki z brudnicą nieparką zawiera dioksyny. On też miał do tego zgrabną teorię. Tylko że w rozpylanym materiale nie ma żadnych dioksyn. W zeszłym roku inny naukowiec, z Harvardu... nazywał się chyba Thetford i był oceanografem... mówił o rtęci na szelfie kontynentalnym. Wszędzie malwersacje i spiski. Chyba myślałam podobnie, dawno, dawno temu. To daje sporo satysfakcji i jest bardzo romantyczne. Ale

dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent przypadków to wytwory fantazji. Powinnaś o tym pamiętać.

Znalazłszy się ponownie na ulicy, w wiejącym wietrze i padającym deszczu, Renée chwyciła składaną parasolkę tuż pod drutami, a drugą ręką przytrzymała torbę na ramię, żeby nie ześlizgnęła jej się z barku. Oczywiście miała przepelniony pęcherz. Ludzie zupełnie irracjonalnie wskakiwali za drzwi i zza nich wyskakiwali. Kręcący się u stóp schodów do metra młody czarnoskóry mężczyzna wskazał na swoje mokre spodnie i zażądał przeprosin:

– Co się mówi?

Uskoczyła na bok.

Ruszył za nią.

– Co się mówi? Mówi się „przepraszam”. Mówi się „proszę mi wybaczyć”.

– Przepraszam – powiedziała.

– Proszę mi wybaczyć. Przykro mi, że ochlapałam pana wodą. Przykro mi, że zmoczyłam panu spodnie.

– Przykro mi, że ochlapałam pana wodą.

– Dziękuję – krzyknął za nią, już przy wejściowym kołowrocie. – Dziękuję za przeprosiny.

Ta wymiana zdań rozbrzmiewała echem w jej głowie, dopóki nie nadjechał pociąg.

W wagonie doszło wcześniej do eksplozji egzemplarza „Globe’a”, strony pokrywały niemal całą

podłogę i gromadziły się pod siedzeniami. Podstemplowany mokrym śladem stopy nagłówek na pierwszej stronie głosił: ZAMACH BOMBOWY W DRUGIEJ KLINICE ABORCYJNEJ W LOWELL.

Na stacji Central Square zagoniona pod ziemię przez czynniki atmosferyczne tutejsza Gniewna Kobieta przeklinała rządzących światem kurewskich mężczyzn. Jakiś stary Chińczyk z dwiema złotymi rybkami w wypełnionym wodą nylonowym woreczku usiadł obok Renée, a ona uśmiechnęła się do niego uprzejmie.

– Deszcz, deszcz, deszcz – odezwał się.

– Tak, deszcz, deszcz, deszcz.

Ta wymiana zdań rozbrzmiewała echem w jej głowie aż do Harvardu.

Na parterze laboratorium Hoffmanna panowała cisza, wielkie białe ekrany w pomieszczeniu z komputerami Sun w milczeniu wypluwały czarne litery krótkich oświadczeń, w miarę realizacji programów zleconych przez studentów i doktorów, którzy jedli spóźnione lunchy na Square, a mniejsze brązowe ekrany w pomieszczeniach komputerowych czekały na zalogowanie się lub przewijały jasnozielony obraz. Renée prosto z damskiej toalety zasiadła do brązowego ekranu. Gdy pracowała, kilkakrotnie dzwonił telefon na kaloryferze, ale nikt nie zareagował. Nawet pracownicy rzadko korzystający z komputera byli już poinformowani, że ludzkie życie zaczyna się od poczęcia.

Nikt już nie odbierał, ale telefon nadal dzwonił.

Około trzeciej z lunchu wrócili Howard Chun i jego znajomy z Pekinu, roztaczając wokół zapach czosnku. Howard w ociekającej wodą nylonowej kurtce ulokował się za ploterem firmy Tektronix. Renée ostatnio widziała Howarda, gdy rozwalony w poprzek jej łóżka chrapał nierówno, kiedy ona wyszła po śniadaniu z mieszkania.

– Dlaczego to urządzenie jest takie wolne? – powiedziała do ekranu.

– Dysk B jest pełny – stwierdził pekińczyk, marszcząc szerokie i niesamowicie wyraziste czoło. Był dobrym naukowcem i Renée go polubiła.

– Dysk B jest pełny. Rozumiem. Ten sam dysk B, przy którym cztery dni temu spędziłam pół nocy, żeby utworzyć kopię zapasową.

Weszła w katalog Administrator i jako SUPERUŻYTKOWNIK zobaczyła, że w ciągu niecałego tygodnia tacy użytkownicy jak TERRY, TS, TBS, NBD1 i NBD2 skopiowali trzysta siedemdziesiąt pięć megabajtów na Dysk B oraz kolejne sześćdziesiąt pięć megabajtów na Dysk A. Za tymi wszystkimi użytkownikami krył się Terry Snall. Zajmował się odkształceniami niepodatnymi. Samo konto NBD1, budzące strach i znienawidzone w salach komputerowych, zajmowało dwieście sześćdziesiąt jeden megabajtów; było to prawie pół dysku, cztery razy więcej niż przestrzeń zajmowana przez pliki któregośkolwiek

innego studenta.

SUPERUŻYTKOWNIK stał się SUPEROP.

– Wiesz, co zrobił Terry? – zapytała.

Klawiatura Howarda szczękała zapamiętałe za ściankami działowymi w kącie z ploterem. W pokoju robiło się gęsto od czosnkowych oparów. SUPEROP zwróciła się do pekińczyka:

– Przeniósł wszystkie bez wyjątku pliki programowe. Na tym dysku jest siedemdziesiąt mega plików programowych. Dwadzieścia minut zajmuje mi uruchomienie minutowego programu, a on ma siedemdziesiąt mega plików programowych.

– Skasuj je – poradził pekińczyk.

– Właśnie tak zrobię.

Pliki programowe były potrzebne wyłącznie w trakcie pracy programu i można je było odtworzyć w kilka minut. SUPEROP wykasowała wszystkie pliki programowe Terry'ego.

– Tak, teraz dużo lepiej – stwierdził pekińczyk.

– Osiem mega wolnego miejsca na dysku o pojemności sześciuset megabajtów. Czy on o tym nie wie? Czy tego nie r o z u m i e?

Howard wyszedł ze swojego kącika i przesuwał się od terminalu do terminalu, logując się do każdego po kolei. Nawet gdy pracował tylko przez kilka minut, czuł się nieswojo, jeśli nie był zalogowany do przynajmniej trzech czy czterech. Czasami późnym wieczorem logował się do



dziesięciu. Wszystkie, z wyjątkiem aktualnie przez niego używanego, automatycznie przygasały, żeby nie zużywać pikseli.

Tworząc pojawiający się przy logowaniu nowy komunikat, SUPEROP podkreśliła, żeby nie kopiować na dysk plików, które nie są natychmiast niezbędne. Wszyscy wiedzieli, kto pisał te komunikaty, więc się nie podpisała. Znowu stała się RS.

– Odebrałaś wiadomość? – zapytał ją pekińczyk.

– Ktoś przyjął wiadomość dla mnie?

– Charles.

– Aha.

Po drugiej stronie korytarza pod jej torbą na ramię i wilgotną kurtką dzinsową znalazła numer i wiadomość: DZWONIŁA PANI HOLLAND. MOŻESZ ODDZWONIĆ NA JEJ KOSZT.

Wrzuciła kartkę do kosza i wróciła do swojego terminala. Pekińczyk wyszedł z pokoju.

– Howard? – odezwała się.

Kurtka zaszeleściła, ale Howard nie odpowiedział. Znalazła go za ścianką działową, zgarbionego i wpatrzonego w jasnozielone widmo sejsmiczne, z kostkami skrzyżowanymi na podłożu z kabli i z klawiaturą na kolanach.

– Czy nadal znasz kogoś z licencją pilota? – zapytała.

Pokręcił przecząco głową i dalej stukał w klawiaturę.

– Nie miałeś znajomego, który zabierał cię na krótkie

loty?

Na ekranie rozkwitło nowe widmo. Howard pokręcił przecząco głową. Renée zmarszczyła brwi.

– Jesteś na mnie zły?

Ponownie pokręcił głową.

Ostrożne wyjrzała przez drzwi na korytarz.

– Daj spokój – szepnęła. – Nie bądź na mnie zły. Naprawdę właśnie teraz nie możesz być na mnie zły.

Wpatrzony w ekran zamrugał, wyraźnie ją lekceważąc. Rzuciwszy jeszcze jedno spojrzenie na korytarz, klękła i położyła dłonie na jego piersiach.

– Daj spokój. Proszę. Nie bądź na mnie teraz zły. Proszę.

Próbował odtoczyć od niej fotelik, na którym siedział.

Chwyliła go za rękę i przyłożyła policzek do jego piersi. Po raz pierwszy dotknęła go w pomieszczeniach laboratorium i gdy tylko to zrobiła, usłyszała za sobą szelest ubrania. Odwróciła się, ogarnięta poczuciem nieuchronności jak lękiem, i zobaczyła Terry'ego Snalla, który odwrócił się na pięcie i odszedł korytarzem.

Zerwała się na nogi.

– Cholera! – Ruszyła za Terryem, ale natychmiast wróciła do plotera. – Cholera! Cholera! – Zaczęła szarpać się za włosy. – Co takiego ci zrobiłam?

Howard pisał beztrosko na klawiaturze.

– Boże, to mnie wykończy. To mnie naprawdę zniszczy. – Znowu kucnęła obok Howarda. – Powiedz mi

tylko, co ci zrobiłam.

Wykrzywił szkaradnie twarz, ukazując całe dziąsła i rozdęte nozdrza.

– Co ci robiłam? – przedrzeźniał ją. – Co ja ci robiłam? Co ja ci robiłam.

– Pozwoliłam ci się ze mną przespać – szepnęła z wściekłością. – Pozwoliłam ci się ze mną przespać, i to tak b a r d z o.

– Pozwoliłam ci się ze mną przesrać, pozwoliłam ci się ze mną przesrać.

Wpatrywała się w niego z drżącymi ustami.

– Rouis, Rouis – powiedział. – Mocno mnie uszczyp, udesz, udesz.

– O Boże. – Cofnęła się, bezskutecznie szukając miejsca, dokąd mogłaby uciec. Wychodząc zza rogu na korytarz, o mało co nie zderzyła się z Charlesem, jednym z sekretarzy zakładu. Był wysoki i łysiał, w wolnym czasie pisał powieść. Zamiast pasków nosił szelki.

– To Melanie Holland – powiedział. – Znowu do ciebie dzwoni.

– Powiedz jej, że wyszłam.

– Chce wiedzieć, kiedy może cię złapać.

– Powiedz, żeby próbowała zadzwonić do mnie do domu.

– Już to robiła.

– Powiedz jej, że wyjechałam z miasta.

– Och, Renée. – Charles pokręcił głową. – Nie płacą mi

za kłamanie. Jeśli nie chcesz z nią rozmawiać, uczciwiej będzie powiedzieć jej to wprost. Wtedy przestanie do ciebie dzwonić i przeszkadzać mi w pracy, a ja nie będę musiał chodzić dwa piętra i cię niepokoić.

Renée wskazała drzwi prowadzące na ulicę.

– Wychodzę.

– Och, Renée, nie radzę ci tego robić. A przynajmniej nie rób tego, jeśli chcesz jeszcze kiedyś skorzystać z mojej fotokopiarki albo żebyś odbierał dla ciebie wiadomości z innych instytucji czy też pożyczył ci gilotynę do papieru. Będiesz chciała jeszcze kiedyś skorzystać z mojej gilotyny do papieru?

Nic nie mówiąc, ruszyła sztywnym krokiem w stronę klatki schodowej.

– Tylko nie myśl, że cię szantażuję – dodał Charles, idąc za nią. – To tylko kwestia uprzejmości i profesjonalizmu. Ja z uprzejmości pozwalam ci korzystać z mojej gilotyny do papieru. Nie mam obowiązku pozwalać ci z niej korzystać, chyba wiesz.

Jej głos odbijał się echem w betonowej klatce schodowej.

– Ależ ty jesteś.

Wspinał się za nią po schodach.

– Renée, kiedyś byłaś taka uprzejma. Byłaś najuprzejmniejszą osobą w całym budynku. Ale czy wiesz, ile razy stuknął licznik kopiarki, kiedy ci ją udostępniałem? Licznik kopiarki, która ma służyć

wyłącznie do spraw zakładowych? Renée? Słuchasz mnie? Sześć i pół tysiąca razy.

Weszła do gabinetu nieobecnego kierownika zakładu i zamknęła Charlesowi drzwi przed nosem. W gabinecie było ciemno, chłodno i przyjemnie bezwonnym. Zawsze lubiła tu przebywać. Na półkach stały oprawione tomy wszystkich ważniejszych czasopism, od lat czterdziestych począwszy. Szafy na dokumenty pękały od przedruków, oprawionych w miękkie okładki propozycji interesujących i przydatnych międzynarodowych inicjatyw badawczych, całych nierozpakowanych paczek kolorowych pisaków i innych wiecznie brakujących artykułów biurowych. Za kilka lat również będzie mogła mieć taki gabinet, jakiś młody głupiec, taki jak ona teraz, zajmie się zamiast niej systemem komputerowym, a ludzie będą musieli zapraszać ją wszędzie tam, gdzie omawiane są poważne kwestie sejsmologiczne. I znaczenia nabierze to, że studiowała z Iksem i Igrekiem na Harvardzie, na uniwersytecie, który, o czym zawsze sobie przypominała, wchodząc do tego gabinetu, mógł się pochwalić małym, ale wybitnym programem z zakresu geofizyki. Zatrą się złe wspomnienia z pomieszczeń komputerowych. Drzewa za oknem będą się kołysać.

– Renée? Mówi Melanie Holland. Posłuchaj, nie chcę zajmować ci czasu w pracy, ale chciałabym znowu z tobą porozmawiać i zastanawiam się, czy dałabyś się zaprosić

jutro na obiad. To sobota. W hotelu Four Seasons jest przemiła restauracja i bardzo chciałabym cię tam zaprosić.

– Po co? – niegrzecznie odparła Renée. – To znaczy... to bardzo miłe z twojej strony.

– Cudownie. Przyjdiesz?

– Nie. Nie, nie przyjdę. To znaczy, nie mogę.

– Och, rozumiem, nie upieram się co do dnia i godziny, jeśli masz inne plany. Możemy zjeść wczesny lunch w niedzielę albo kolację jutro wieczorem. A nawet dzisiaj. Byłoby t a k miło, gdybyś mogła.

– A o czym chcesz ze mną rozmawiać?

– O wszystkim i o niczym. Wydaje mi się, że byłoby dobrze dla nas obu, gdybyśmy się lepiej poznały. Dzwonię do ciebie jak do przyjaciółki. Proszę, Renée, zjedźmy razem lunch.

Zmarszczyła brwi tak mocno, że poczuła ból.

– Po co?

– Och, naprawdę, nie wygłupiajmy się. Mogę cię zaprosić jutro na obiad czy nie? Tak czy nie? To dla mnie wiele znaczy. Podaj mi jeden powód, dlaczego nie chcesz mi na to pozwolić.

Jeśli jej na tym zależało, Melanie potrafiła mówić pięknym głosem. Przypominał strumień w dolinie, wpływający w promienie słoneczne i z nich wypływający, tworzący rozlewisko pośród wierzb, taki czysty strumień, w którym aż chce się zanurzyć dłonie i z niego pić,

zapominając o leżących w jego górnym biegu padłych jeleniach i tuczarniach, których przecież może tam w ogóle nie być.

– Pozwól, że do ciebie oddzwonię – oznajmiła Renée.

– Wiem, jesteś bardzo, bardzo, bardzo zajęta. Czy mam mówić otwarcie? Nikt na świecie nie chce się spotkać z tobą tak bardzo jak ja. Nikt na świecie. Proszę, zjedźmy razem obiad.

Oszołomiona Renée błądziła wzrokiem po gabinecie kierownika zakładu, trzymając słuchawkę w dłoni.

– Nie powiesz mi, o co chodzi?

– Jutro. Odpowiada ci dwunasta trzydzieści? Restauracja nazywa się Aujourd'hui.

Za cienkimi sznureczkami deszczu, łączącymi się, rozdzielającymi i spadającymi na okno, grupka ukrytych pod identycznymi parasolami japońskich turystów zbliżała się do wejścia do muzeum w Peabody, w którym znajdowała się największa atrakcja turystyczna w Cambridge – zachwycający zbiór szklanych kwiatów, stworzonych sto lat wcześniej przez niemieckiego dmuchacza szkła, by zaprezentować w ten sposób studentom botaniki na Harvardzie struktury i różnorodności flory świata. Renée nigdy nie widziała tej ekspozycji. Japońskie parasole zniżały się do poziomu tabliczki na drzwiach muzeum, kręciły się w miejscu niepewnie, naradzały się i w końcu rozproszyły. Inne ruszyły do wywieszki, na której widniała informacja, że

w związku z niedawnymi zniszczeniami po trzęsieniach ziemi szklane kwiaty przeniesiono do magazynu, dopóki nie zostaną przygotowane bezpieczniejsze sposoby ich eksponowania. Na pocieszenie Japończycy robili sobie nawzajem zdjęcia przy tabliczce, biel błysków fleszy rozświetlała mokry asfalt i pobliskie drzewa. Dwie przypominające kształtem płuca plamy oddechu, a nad nimi bledszy i mglisty zarys czoła pozostały na oknie gabinetu kierownika zakładu jeszcze przez kilka minut po tym, jak Renée zeszła po schodach.

Przez trzy semestry dzieliła mieszkanie z sejsmolożką Claudią Guarducci, szczupłą, kapryśną, znudzoną i bardzo bystrą rzymianką przygotowującą podoktorancką pracę na Harvardzie, za którą miała otrzymać wynagrodzenie. Wspólnie gotowały, oglądały filmy, narzekały na kolegów z pracy, razem przyjmowały lub odrzucały zaproszenia na kolacje. Claudia kupiła motocykl i podwoziła Renée do pracy. Nigdy nie dzieliły się tajemnicami.

Kiedy Claudia wróciła do Włoch, pozostawały w kontakcie, przesyłając sobie lakoniczne wiadomości na kartkach pocztowych. Tęskniąc za zapachem jej papierosów Merit Ultra Lights, Renée chętnie przebywała w pobliżu pałaczy. Próbowwała się zorientować, jakie są możliwości podjęcia studiów podoktoranckich w Rzymie; gdyby tam pojechała, mogłaby zadzwonić do Claudii i wspomnieć, tylko wspomnieć, gdzie się teraz znajduje.



Jej upragniona przyszłość zaczęłaby się na dobre i na poważnie, gdyby mogła zamieszkać we Włoszech i zaprzyjaźnić się z rzymianką.

Z perspektywy czasu wydawało się, jakby wszystko, co dotychczas robiła w życiu, kładło podwaliny pod przyszłe wieże wstydu i nienawiści do samej siebie. Jakaś ufna, autonomiczna część jej osoby snuła banalne marzenia Środkowego Zachodu: europejskie wieczory z Claudią Guarducci, domowy spokój z Louisem Hollandem, moc pochwał ze strony Agencji Ochrony Środowiska i obywateli Bostonu.

Kończyła pracę doktorską, kiedy Claudia w dwóch linijkach przesłanych na kartce pocztowej poinformowała ją, że wyszła za mąż za swojego dawnego chłopaka z Istituto Nazionale.

Renée sama się zdumiała, jak bardzo poczuła się zdradzona. Nie potrafiła zabrać się do listu do Claudii, a potem mijały miesiące i Claudia również nic nie pisała. Z bólem sobie uzmysłowiła, że nie jest zazdrosna o to, że jakiś mężczyzna ma Claudię, tylko o to, że Claudia ma mężczyznę. Właśnie to ją bolało, wiedza też, jakie znaczenie ma to, że sama jest kobietą.

Była pewna, że gdyby chodziło o René i Claudia, dobrych heteroseksualnych kolegów, René nie czułby się tak zdradzony. Mężczyźni, którzy się żenili lub znajdowali sobie dziewczyny, nie oddalali się od swoich samotnych kolegów, a przynajmniej nie tak często, jak

kobiety. Oczywiście mężczyźni byli szlachetniejszymi duchami niż kobiety. Wynikało to z przynależności do płci domyślnej. Jeśli zarówno mężczyźni, jak i kobiety uważali swoje związki z mężczyznami za święte, to mężczyźni nieuchronnie pozostawali wierni swojej płci, podczas gdy kobiety, równie nieuchronnie, zdradzały własną płć. Moralna wyższość mężczyzn gwarantowana była samą ich strukturą.

A jednak Renée nie żałowała, że nie jest mężczyzną.

Jeśli mężczyzna był twoim chłopakiem z college'u, nadal chciał się z tobą „przyjaźnić” po tym, jak cię zostawił. Męska wiara w przyjaźń była faktycznie tak niezachwiana, że według niego powinnaś się ucieszyć, otrzymując zaproszenie na jego ślub.

Jeśli mężczyzna był twoim młodszym bratem, świeżo po ukończeniu college'u, r e a l i s t y c z n i e wypowiadał się przy kolacji na temat tego, że „kobiety po prostu nie są takie same jak mężczyźni, mają odmienne priorytety”. Wypowiadał gładko i egoistycznie tę prawdę, której poznanie zajęło ci trzydzieści lat, do tego wspierany w swej arogancji przez dwudziestotrzyletnią żonę, która „postanowiła nie odkładać na później rodzenia dzieci”, w związku z czym uważała się za bardziej dojrzałą od ciebie.

Mężczyzna jest stworzeniem, które uważa, że mówiąc: „Kocham kobiety”, przedstawia się w korzystnym świetle.

Mężczyzna nie może przyznać się kobiecie, że się pomylił, a potem nadal być mężczyzną. Prędzej się rozplacze i sam siebie poniży, będzie jak dziecko prosić o wybaczenie, niż przyzna, że jako mężczyzna się pomylił.

Mężczyzna uważa za rzecz oczywistą, że kobieta rozumie potrzeby jego penisa, ale gratuluje sobie, kiedy pozna łechtaczkę i jej znaczenie. Cieszy się w duchu ze swojej wyższości nad wszystkimi mężczyznami, przeszłymi i obecnymi, którzy nie zgłębili tej kobiecej tajemnicy. Czuje się dumny z tego, jaki jest oświecony i dobry, kiedy wypytuje kobietę, czy szczytowała. Idealnym prezentem dla mężczyzny, który miał wszystko, jest mała dawka feminizmu.

Nieuchronnie zanurzony w historii stworzonej przez przedstawicieli jego własnej płci mężczyzna nigdy nie może być tak samokrytyczny, jak kobieta: nigdy nie odczuje takiego wstydu. Nawet myślący mężczyzna nie potrafi radykalnie uznać, że dobranie się X i Y w parę, które tak uprościło mu życie, było tylko kwestią przypadku. Na pewnym poziomie zawsze będzie wierzył, że beztroska jego życia oznacza moralną wyższość – a ta wiara powoduje, że staje się śmieszny.

Kobiety wiedzą, że ich mężowie są śmieszni. I dlatego mężatki, zwłaszcza te z dziećmi, mogą się ze sobą przyjaźnić. Wstyd wynikający z tego, że jest się zameżną z tępym narzędziem, uroczym, ale

ograniczonym stworzeniem, oraz z rodzenia mu dzieci i znoszenia jego wyższości, łagodzą stosunki z innymi, podobnie obarczonymi kobietami albo z kobietami żarliwie pragnącymi takiego ciężaru.

Renée nie była jednak mężatką. Ponadto uważała, że gdyby nawet była, żeńskie zgromadzenie macierzyńskie z pewnością nie przyjęłoby jej do swojego grona. Wydawało się jej, że te odnoszące największe sukcesy członkinie żeńskiego zgromadzenia – kobiety robiące karierę i jednocześnie zajmujące się rodziną – zmagając się z życiem, rozwinęły w sobie takie opancerzone ego, że niewiele im zostało wyobraźni na tak skomplikowane przypadki, jak jej własny. Matki zajmujące się mniej wymagającą pracą przyjmowały postawę obronną i zazwyczaj obawiały się jej i gardziły nią z powodu ambicji Renée. Pociągały ją matki niepracujące – prawdę mówiąc, jakąś szczególną czułością darzyła kobiety, które nie były samokrytyczne – ale z nimi też nie mogła się zaprzyjaźnić, bo jej nie rozumiały, a jeśli nawet trochę potrafiły ją zrozumieć, czuły się zmieszane i zranione tym, że nie chciała być taka jak one.

Pozbawiona przyjaciół Renée wszędzie wokół widziała stereotypy. Głowę miała pełną obrazów kobiet, a najbardziej nienawidziła tych, które sama przypominała.

Elokwentnej, wyczulonej na problemy społeczne, pozbawionej poczucia humoru i zajmującej stanowisko

obronne pracownicy naukowo-dydaktycznej.

Chudej, bezbronnej, egocentrycznej, sprawiającej wrażenie nieco udręczonej, samotnej kobiety, która albo szuka drogi duchowej, albo po prostu jest ofiarą losu – raczej tą drugą.

Niezaspokojonej, pracującej zawodowo trzydziestolatki, która dostrzega popełnione w życiu błędy i zaczyna pragnąć dziecka.

Nudnej uczoney, która mieszka w sali komputerowej, ale uważa się za mniej nudną niż inne, bo dziesięć lat wcześniej chodziła na koncerty The Clash.

Dziewczyny, która, nie mając zbyt wielu koleżanek, dorastała, czytając książki *science fiction*, naukowe i popularne opracowania filozoficzne, która jako kobieta zachowała w sobie jeszcze tyle romantyzmu, żeby wierzyć w takie rzeczy jak korporacyjne malwersacje i w bohaterów, którzy potrafią wszystko odmienić.

Umiarkowanej ładnej pracownicy naukowo-dydaktycznej, która, chcąc poczuć się atrakcyjną, zyskuje sobie reputację łatwej laski.

Kobiety, która nie potrafi się dogadać z innymi kobietami i która kręci się koło mężczyzn, a to prowadzi do tego, że sypia z wieloma z nich, i która, zdradzając własną płć, jest darzona przez mężczyzn szacunkiem tylko w tym zakresie, w jakim zachowuje się jak mężczyzna.

Średnio ładnej i elokwentnej pracownicy naukowo-

dydaktycznej, której nikt nie lubi, ale która i tak uważa się za niesamowicie wyjątkową, uroczą i niezwykłą, a do tego uśmiecha się w ten szczególny, świadczący o tym sposób, przez co jest jeszcze mniej lubiana.

W miarę jak osaczały ją te nienawistne stereotypy, jedynym ratunkiem przed dojściem do wniosku, że w rzeczywistości nienawidziła siebie samą, była jej samokrytyczność. Samokrytyczność była jej aniołem stróżem, który wszędzie jej towarzyszył. W sklepie spożywczym doradzał jej, jak wybierać jedzenie – jabłka, jajka, ryby, chleb, masło, brokuły – co do którego można było być pewnym, że nie będzie wkładało w jej usta słów, których nie wypowiadała. Zdań takich jak: „Jestem yuppie” albo: „Bardzo staram się nie być yuppie” czy: „Zobacz, jaka jestem oryginalna” lub: „Zobacz, jaka jestem nieśmiała, starając się nie być taka, jak ci ludzie, którymi nie chcę być, łącznie z tymi, którzy są samokrytycznie oryginalni”. Codziennie musiała zachowywać czujność, żeby nie gotować jak dobrze wykształcone trzydziestolatki w telewizji albo jak smakosze, którzy dostawali orgazmu nad świetnie przyrządzonym makaronem, lub jak kobiety stosujące diety z czasopisma bądź jak mężczyźni, którzy uważają, że są bardziej seksowni i wytworni, jeśli używają kaparów do gotowania, i łakomie chichoczą, mówiąc o Richebourg rocznik 71. Albo wprost przeciwnie, jak ludzie, którzy nigdy nie zastanawiali się nad jedzeniem.

Ponieważ, niestety, śmieciowe jedzenie nie wchodziło w rachubę. Wyobrażając sobie swoją przyszłość, nie widziała w niej miejsca dla śmieciowego jedzenia. Niezdrowe jedzenie w ogóle z trudem przechodziło jej przez gardło.

Podobnie też nie potrafiła się zmusić do zakładania brzydkich ciuchów czy też wstawiania gratów do mieszkania. Kiedy chodziła na zakupy do domu towarowego, te ubrania i sprzęty, które zwracały jej uwagę jako nieinkryminujące, niezmiennie okazywały się najdroższe w swojej klasie. Wyraźnie zauważała, że jeśli jest się dostatecznie bogatym, można kupić autentyczność. Nie będąc bogatą, stawiała przed zadaniem wyszukiwania rzeczy atrakcyjnych w umiarkowanych cenach, jednocześnie unikając tych wszystkich inkryminujących, masowo produkowanych przedmiotów w nowoczesnym stylu. To polowanie na neutralne koszulki, neutralne buty, neutralne wierzchnie ubrania i neutralne krzesła zajmowało dużo czasu i powodowało, że jeszcze boleśniej odczuwała świadomość samej siebie.

Nie cierpiała nowych rzeczy „zainspirowanych” rzeczami starymi – produktów skalanych nostalgią współczesnych projektantów za latami pięćdziesiątymi czy dwudziestymi. Mogła zaufać rzeczywiście starym rzeczom, pod warunkiem, że nie splamiły ich ręce świadomości podobnej jej własnej. Z przyjemnością

wyposażyla mieszkanie nabytkami pochodzącymi z niewyszukanego pchłego targu, organizowanego co tydzień na parkingu biblioteki Somerville. Ale gdy wchodziła do sklepu odzieżowego w tak zwanym „starym stylu”, nawet do takiego, w którym był ładny towar, robiło jej się słabo, czuła się chora i szybko z niego uciekała. Tylko w pospolitych sklepach z używanymi rzeczami, jak te, które prowadziła Armia Zbawienia, była w stanie zostać na tyle długo, żeby coś znaleźć, ale też pod warunkiem, że nie było to w Bostonie, bo w takich sklepach w Bostonie bywali też inni poszukujący okazji młodzi ludzie, niebezpiecznie do niej podobni.

Rok w rok, co miesiąc lub co dwa miesiące, myślała o ubraniach, których nie dała jej matka.

Ujrzały światło dzienne w ostatnim roku pobytu jej rodziny w Lake Forest, kiedy wszyscy z wyjątkiem Renée mieli przenieść się do Kalifornii. Znalazła je w pokoju pełnym rzeczy przeznaczonych do sklepu z odzieżą używaną, prowadzonego przez charytatywną organizację Goodwill. Właśnie ratowała ostatnie naręcze ubrań – jakieś klasyczne wąskie spódnice, żakiet ze szmaragdowozielonym aksamitnym kołnierzem, jasnoczerwoną sukienkę klepsydrową z podwyższoną talią, wełniany płaszcz w szachownicę, parę brązowych półbutów z czarną częścią sznurowaną – kiedy przyłapała ją na tym matka.

– Co z tym robisz?



– Przepraszam. Przepraszam. Myślałam, że chcesz je wyrzucić.

– Bo chcę.

– W takim razie, czy mogłabym je wziąć?

– Oddaję je do Goodwill. Odłóż je, proszę, tam, gdzie leżały.

– Dlaczego nie mogę ich wziąć?

– Kochanie, masz tak dużo ubrań w szafie, że nie masz kiedy ich nosić. Po co ci te starocie?

– Podobają mi się. Chcę je. Pozwól mi je zabrać.

Matka pokręciła smutno głową.

– Bardzo mi przykro, jeśli tak ci się spodobały, ale nie chcę, żebyś je nosiła.

– Och, dlaczego nie, dlaczego nie, dlaczego nie?

– Po prostu nie chcę cię w nich widzieć. Wiążą się z nimi jakieś moje wspomnienia.

– Ale ja wyjeżdżam. Nie będziesz mnie widywać.

– Wiesz, że kupię ci, co tylko będziesz chciała. Takie rzeczy jak te. Nowe rzeczy, lepsze. Ale tylko pomyśl: czy gdybyś miała chłopaka, z którym zerwałaś, dałabyś go swojej najlepszej przyjaciółce?

– To są u b r a n i a.

– Dla mnie to jest to samo – oświadczyła matka.

Renée wyszła chwiejnym krokiem, z oczami pełnymi łez. Matka się nie ugięła. Ubrania trafiły do Goodwill. W pamięci Renée pozostały najpiękniejszymi strojami, jakie kiedykolwiek widziała, nie potrafiła sobie nawet

wyobrazić wspanialszych ubrań dla siebie. Mogłaby nie wierzyć własnej pamięci, ale w albumie rodzinnym były ich zdjęcia – zdjęcia młodej Beth Macaulay podczas trwającego sześć sezonów tournée po Europie, zdjęcia płaszcz w szachownię w Lasku Bulońskim. Płaszcz w szachownię w Dublinie. Pasiastej letniej sukienki na ramiączkach na plaży w Berck. Beth Macaulay w Arles – jej idealna skóra, jej okulary przeciwsłoneczne w czarnych oprawkach i z czarnymi szklami, jej ekscentryczne dwubarwne półbuty, jej pamiętnik. Jej czerwona sukienka na czarno-białej fotografii z Rzymu. Jej płaszcz w szachownię w Wenecji.

Była w trzecim miesiącu ciąży, kiedy wyszła za Daniela Seitcheka, młodego kardiologa pochodzącego z West Side, z rodziny hurtowników i intelektualistów po dwuletnich szkołach wyższych. Na jakże boleśnie zbolałą i wykończoną wyglądała młoda i piękna Elizabeth na czarno-białej fotografii (czerń sadzy południowego Chicago, biel świeżego śniegu, czerń i biel jej płaszcz w szachownię), trzymając do zdjęcia opatuloną córeczkę.

Jakże trudno było pogodzić te obrazy z różowymi, białymi i żółto-zielonymi strojami do golfa i tenisa, noszonymi przez kobietę, którą dorastająca Renée знаła jako swoją matkę. Tę kobietę, która później, w Kalifornii, miała pojechać samochodem z tablicą rejestracyjną z napisem JAG MAMY na licealny mecz baseballu i siedzieć

na trybunie z innymi opalonymi jak Egipcjanki matkami, krzykami reagować na sukcesy jej chłopców i żartobliwie jęczeć oraz zakrywać oczy po ich błędach. Ta kobieta, która w obecności córki określiła się raz mianem „kogoś w rodzaju Pollyanny” i która wyznała, że jest „uzależniona” od książek Toma Clancy’ego. Zdjęcia pięknie wystrojonej Beth Macaulay w Europie zdawały się mówić, że kiedyś bardziej przypominała Renée – była bardziej romantyczna, bardziej niezależna – niż mógłby to sobie wyobrazić ktoś oglądający jej krótkie spódniczki gniewnie poruszające się po korcie tenisowym. Obawiając się śmierci, Renée chciała wierzyć, że mimo odmiennej sytuacji materialnej miała dokładnie taką samą duszę jak matka. A kusiło ją, żeby to p r a w d o p o d o b i e ń s t w o identyczności, co było zupełnie zdroworozsądkową hipotezą, uznać za pewnik. Niestety, była też rozsądna i nie mogła uwierzyć, nie mając żadnych dowodów, że jest taka sama jak balująca Pollyanna z Orange County. A tak się złożyło, że lata, kiedy jej matka była inną i prawdopodobnie bardziej przypominającą Renée osobą, pokrywały się dokładnie z latami, kiedy takiej osoby jak Renée w ogóle jeszcze nie było na świecie.

Tymczasem była zbyt samokrytyczna, żeby nie dostrzec ironii w tym, że chociaż starała się pilnować, żeby nie zmienić się w osobę tak płytką jak matka, spędzała mnóstwo czasu na martwieniu się o wystrój,

ubrania i gotowanie. W tym, że nabrała mieszczańskiej obsesji, dużo głębszej niż matka, na punkcie towarów i wyglądu. I w tym, że inteligentne i pewne siebie kobiety, do których czuła zjadliwą, asekuracyjną niechęć, były dokładnie w typie, do którego również jej matka czuła niechęć, choć nie tak zjadliwą i asekuracyjną, jak jej córka, ponieważ miała synów i wnuki, które odwracały jej uwagę i stanowiły dla niej pocieszenie.

Renée wiedziała, że gdyby tylko zaprzestała pogoni za idealnym życiem, ustatkowała się i pogodziła z posiadaniem dzieci, jak to zrobiła matka w jej wieku, wówczas również ona osiągnęłaby pewien stopień zadowolenia i nieświadomości. Ale nie było nikogo, kto chciałby się z nią ożenić, a tak czy owak, nienawidziła ludzi, którzy mają obsesję na punkcie rodziców. Rodzina była pułapką dla ludzi w niej pozostających, a nudziarstwem dla tych, którzy żyli poza nią. Nienawidziła słowa „obsesja”. Nienawidziła ludzi, którzy nienawidzili tak wielu rzeczy, jak ona sama. Nienawidziła życia, które zmusiło ją do znienawidzenia tak wielu rzeczy. Ale jeszcze niezupełnie znienawidziła siebie.

## 9.

Miała tylko jedną sukienkę, którą uznała za odpowiednią na obiad z Melanie Holland – dziesięcioletnią sukienkę z bawełnianej tkaniny drukowanej, bez paska. Pantofle do tańca na płaskim obcasie, które do niej założyła, zdążyły przemoknąć, zanim autobus do stacji Lechmere zabrał ją z Highland Avenue. Drobny, mocny deszcz zatkał przestrzeń powietrzną nad Charles. Rzeka tak wezbrała, że wyglądała, jakby znajdowała się wyżej niż okoliczne ulice.

Przed hotelem na Boylston Street otworzyły się drzwi taksówki, z której wysunęła się para nóg w obcisłych dżinsach i kowbojskich butach, a za nimi parasolka, torba na zakupy z domu towarowego Filene's i na koniec, w obszernym futerku z foki, pozostała część Melanie. Zatrzasnęła drzwi i o mało nie wpadła na stojącą i wpatrującą się w nią Renée.

Goście restauracji mieli wilcze apetyty. Turyści szczyrzyli zęby w uśmiechach, siwowłose kobiety szeptały o inwestycjach, a każda para zachowywała się tak, jakby była najważniejsza w pomieszczeniu. Melanie wyglądała na zmęczoną. Ostatnio zażywała nieco słońca, ale jej skóra była pomarszczona i lśniąca jak stara emalia, jakby opalenizna nie chciała się jej trzymać. Jedwabna podszewka kurtki, zsuniętej z ramion na obitą tapicerką

ławkę pod ścianą, obejmowała ją delikatnie jak bibułka, w którą pakuje się cenne prezenty. Przypatrzyła się bacznie Renée.

– O mój Boże – odezwała się. – Jesteś cała mokra!

– Tak, trochę przemokłam.

– Przyjechałaś pociągiem?

– Tak, pociągiem i autobusem.

– Mieszkasz... Zobaczmy, czy zgadnę. – Złożyła dłonie, jakby tworząc z nich broszurkę, którą uniosła do warg. – Mieszkasz w... jednym z tych starych domów niedaleko Square, od strony Radcliffe.

Renée pokręciła głową.

– Bardziej w stronę Inman Square?

– Mieszkam w Somerville.

– Och! – Melanie uśmiechnęła się z roztargnieniem i odwróciła wzrok. – Somerville. – Podszedł do nich kelner. – Napijesz się ze mną koktajlu?

– Campari z wodą sodową – powiedziała Renée do kelnera.

– Świetny pomysł – odparła Melanie. – Takie czerwone, takie eleganckie.

Kelner skinął głową. Takie czerwone. Takie eleganckie.

– Cieszę się, że mogłaś przyjść tak szybko – powiedziała Melanie. – Obawiam się, że doszło już do tego, że powinnam rezerwować bilet z Bostonu do Chicago i z powrotem. Jeśli w pierwszym tygodniu

jestem w jednym miejscu, w następnym jestem w drugim. Ale czasami tak się dzieje. Tak to już jest. Dużo podróżujesz w pracy?

Renée otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale straciła na to ochotę. Przesuwała łyżeczką po obrusie.

– Nie – odparła. – Ale może powinnaś od razu zdradzić, czego chcesz.

– Czego chcę? Chcę, żebyśmy obie się odprężyły, przyjemnie spędziły czas i trochę się poznały. Chcę się z tobą zaprzyjaźnić.

– Chcesz informacji.

– Częściowo tak, ale...

– To dlaczego nie zapytasz mnie o to, o co chcesz spytać? Nie zamierzam ci pomagać, więc możesz od razu z tym skończyć.

Melanie odwróciła głowę i zwęziła oczy, dokładnie tak samo, jak czasami robił to jej syn.

– Coś się stało? Miałaś dzisiaj jakieś problemy? Och, moja droga! – Nachyliła się nad stolikiem. – Wyglądasz na taką nieszczęśliwą. Nie masz dobrego dnia, co?

Renée odłożyła łyżeczkę na pierwotne miejsce.

– Nie jestem nieszczęśliwa.

– Myślisz, że osobiście mnie nie interesujesz? Myślisz, że zaprosiłam cię na obiad, żeby pochlebstwami wydobyć od ciebie odpowiedzi na moje pytania. Tak myślisz? Tak czy nie?

– Tak.

– Jesteś ze mną szczerą. Doceniam to. Ale mylisz się, a ja chciałabym się dowiedzieć, jak mogę ci udowodnić, że bardzo się mylisz. Zdradzisz mi to?

– Myślę... – Renée nie wiedziała, co powiedzieć. – Myślę, że gdybyś nie zadała mi żadnego pytania, nigdy... wówczas pomyślałabym, że chcesz czegoś innego.

– Ale i tak nie uwierzyłybyś, że chcę się z tobą zaprzyjaźnić. Hm, dobrze, chyba nie mogę cię tak zupełnie o to winić. – Melanie zaczęła grzebać w torebce, kiedy kelner podawał im drinki. Wyjęła płaskie aksamitne pudełeczko i przesunęła je po stoliku. – To dla ciebie.

Renée spojrzała na pudełeczko, jakby przypadkowo leżało tam, gdzie padł jej wzrok, kiedy ona trafiła się czymś innym.

– No, otwórz je.

Pokręciła przecząco głową.

– Raczej nie.

– Och, naprawdę, Renée, zaraz stracę do ciebie cierpliwość. Nie musisz odmawiać prezentu tylko dlatego, żeby mi pokazać, że jesteś uczciwa. Doszliśmy już do takiego etapu, że to mnie obraża. Nie udawajmy, że jesteśmy w takiej samej sytuacji finansowej. Starsza kobieta, która lubi robić zakupy, wręcza młodszej kobiecie dowód swojego szacunku i sympatii. Naprawdę nie widzę żadnego powodu, żebyś była aż tak chorobliwie drobiazgową. Proszę. Właśnie tak. – Oczy jej rozbłysły,



kiedy Renée nagle sięgnęła po pudełko i po chwili wahania wyjęła sznur pereł.

– Są piękne.

– Pasują do twoich kolorów, twoich włosów, twojej skóry. Perły, platyna, srebro, brylanty. Wiem o tym, bo ze mną było podobnie. Załóż, załóż je na szyję. Właśnie tak. Oczywiście musimy wziąć pod uwagę, że to może nie jest idealna sukienka... – Podała jej przez stolik puderniczkę z pionowo ustawionym lusterkiem. – Znajdziesz trochę czasu na małe zakupy po obiedzie? Byłoby mi bardzo przykro, gdybyś ich nie nosiła tylko dlatego, że nie miałybyś do czego ich założyć.

Renée odłożyła perły do pudełka.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, czy są w moim stylu.

– Och, naprawdę? A jaki jest twój styl?

– Nie wiem. Somerville.

– Ty!?! Nie jesteś osobą w stylu Somerville, widać to gołym okiem. Chyba że Somerville zmieniło się bardzo, odkąd dorastałam, a tego raczej nie mogę sobie wyobrazić.

– Na jakiej podstawie sądzisz, że nie jestem?

– Ze względu na twoje maniery.

– Moje maniery są okropne. Obrażam cię na prawo i lewo.

– Obrażasz mnie w stylu bardzo dobrze wychowanej, dobrze wykształconej i autorefleksyjnej młodej kobiety. I dobrze o tym wiesz.

Chociaż było słabe, campari sprawiło, że na policzkach Renée pojawił się rumieniec. Była odporna na wiele rzeczy, ale nie na alkohol i nie na takie słowo, jak „autorefleksyjna”, które użyte w odniesieniu do niej niezawodnie wywoływało w jej ciele lekkie drżenie, jakiś przyływ miłości własnej. A po tym przyplywie czuła gorąco na twarzy i zwiewną lekkość kończyn. Roześmiała się, patrząc na perły.

– Ile cię kosztowały?

– Proszę bardzo, próbuj. Ale dzisiaj bardzo trudno będzie ci mnie obrazić.

Renée ponownie założyła perły na szyję i podniosła puderniczkę. Lusterko ukazało jej pomieszczenie podzielone na przyciemnione, pozbawione głębi fragmenty – żyrandole uchwycone w swoim bycie, stoliki na przechylonej podłodze, podprogowe przebłyski jej własnej osoby, białą szyję. Powoli i wyraźnie powiedziała:

– Może je jednak zatrzymam. Jeśli nie zrobi ci to różnicy.

– Nie, prawdę mówiąc, nic bardziej mnie nie ucieszy.

– W takim razie dla nas obu jest to idealne rozwiązanie.

– Uśmiechasz się i masz rację: w końcu co biżuteria może obchodzić pracującą zawodowo kobietę? – Kiedy Melanie unosiła kieliszek, zadźwięczały kosztowności na jej nadgarstku. Piła, wyginając ciało i obracając rękę jak aktorka. – Ale przecież wiesz, jestem tylko głupiotką

gospodynią domową. Nie mam na swoim koncie żadnych wybitnych osiągnięć. A w moim wieku można już mieć wrażenie, że jedyne, co się w życiu zrobiło, to ściąganie nieszczęść na świat. Pewnie nie będziesz mogła sobie tego dokładnie wyobrazić, dopóki nie zostaniesz matką, ale...

– Mogę to sobie wyobrazić.

– Wierzę ci, Renée. Wierzę, że możesz. Być może potrafisz sobie również wyobrazić, jak się czujesz, gdy zdasz sobie sprawę, że własne dzieci uważają cię za egoistę, i nie da się nic zrobić, żeby to zmienić. Mogą się co do ciebie bardzo, bardzo mylić. I rzeczywiście, bardzo się co do ciebie mylą. Ale faktem jest, że w ich mniemaniu jesteś samolubną starą wiedźmą, a to rani cię tak okropnie, że nawet nie jesteś w stanie im wytłumaczyć, dlaczego się mylą.

Z drinka Renée został już tylko lód i różowa woda.

– Wiesz, że znam się z twoim synem, prawda?

– Ty...? Och, tak, oczywiście. Akurat tamtego dnia byłam na niego bardzo zła. Bardzo się zdenerwowałam, że zaprosił ludzi do domu w takim stanie, chociaż z perspektywy czasu wydaje mi się, że wyszło to na dobre. – Melanie głąskała kieliszek, sprawiając wrażenie, jakby coraz częściej mówiła do siebie. – Ponieważ są pewne rzeczy, o których chcę powiedzieć... o których muszę powiedzieć... komuś. I gdybym tylko mogła rozproszyć nieco dręczące mnie troski, gdybyś tylko

mogła mi coś poradzić albo dodać mi nieco otuchy, tak byśmy mogły się tego pozbyć, bardzo chciałabym spędzać z tobą czas. Chcę uczynić kogoś szczęśliwym. A zwłaszcza ciebie, sama nawet nie wiem dlaczego.

– W czym poradzić?

– Nie musimy jeszcze o tym mówić.

Renée pochyliła się konfidencjonalnie. Jej twarz rozjaśniła się jakimś nowym, dzikim światłem, jakby nagle zaświtała jej w głowie jakaś wielka ironiczna myśl.

– Myślę, że powinniśmy od razu to omówić. I wtedy będzie po wszystkim, zgadza się?

Melanie już miała odpowiedzieć, ale zauważyła pusty kieliszek Renée, więc zwróciła na siebie uwagę kelnera. Kiedy podano im nowe drinki, obserwowała, jak Renée bierze duży łyk.

– Jestem właścicielką domu, którego nie mogę ubezpieczyć od szkód wywołanych trzęsieniem ziemi i nie mogę uzyskać więcej niż osiemdziesiąt procent jego styczniowej wartości – powiedziała chropawym głosem. – Czy powinnam sprzedać go od razu i zainwestować pieniądze gdzieś na dziesięć procent? A może w ciągu dwóch lat ceny wrócą do normy? To moje pierwsze pytanie. Ponadto, przez głupotę i upór mojego ojca, jestem właścicielką trzystu tysięcy akcji przedsiębiorstwa, którego kapitał akcyjny od pierwszego kwietnia stracił jedną czwartą wartości, przede wszystkim ze względu na zagrożenie trzęsieniami ziemi.

Mam właśnie przejąć te akcje i chcę wiedzieć, czy wycofać się póki czas, czy też trzęsienia ziemi ustaną. To wszystko. Powiedziałam ci o sobie więcej, niż wie ktokolwiek poza moim adwokatem. Czy to jasne? Otworzyłam przed tobą serce, Renée, i teraz jest w twoich rękach. Sama możesz ocenić, czy jestem po prostu zdesperowana, czy ci ufam, bo czuję między nami podobieństwo.

Z nieoczekiwanym ożywieniem wyjęła z torebki okulary połówki. Dokładnie przez trzy sekundy patrzyła gniewnym wzrokiem w kartę, zanim zapytała Renée, której menu napisane było chyba po arabsku, co chciałyby zamówić. Sama zastanawiała się nad rybą, lucjanem, i sałatką będącą specjalnością tej restauracji. Dobry pomysł?

– Muszę spojrzeć w menu – stwierdziła Renée.

Melanie odrzuciła kartę i wbiła wzrok w najdalszy kąt sali restauracyjnej. W końcu Renée przestała starać się zrozumieć pozycje w menu. Dopiła resztkę campari z wodą sodową.

– Na jakiej podstawie sądzisz, że mogę ci coś doradzić? Czytasz gazety, tak jak ja.

– Mam w nosie, co piszą w gazetach – powiedziała Melanie.

– Dlaczego?

– Bo każdy może to przeczytać. Z punktu widzenia inwestowania automatycznie staje się to bezużyteczną

informacją. Osłabienie rynków wynika z tej całej niepewności w gazetach. Piszą, że p r a w d o p o d o b n i e nie będzie żadnych większych trzęsień ziemi. Ale jednocześnie piszą, że równie dobrze mogą być.

– Uhm.

– Nie rozumiesz? Prawdopodobieństwo nic mi nie da. Muszę podjąć decyzję.

– Wiem. I rozumiem. Ale dlaczego nie założysz, że jest pięćdziesiąt procent szans na dalsze trzęsienia ziemi i nie sprzedasz pięćdziesięciu procent akcji? Albo dwudziestu procent, jeśli sądzisz, że prawdopodobieństwo jest dwudziestoprocentowe?

– Nie, nie! – Melanie podskoczyła gwałtownie na tapicerowanej ławce. – Nie rozumiesz. Mówię, że już s t r a c i ł a m jedną czwartą tego, co miałam trzy miesiące temu, zanim zdążyłam jeszcze cokolwiek w tej sprawie zrobić. Mówię, że już więcej nie stracę, n i e stracę, n i e. Jeśli sprzedam pięćdziesiąt procent akcji, a ich wartość powróci do poziomu z marca, zanotuję czystą stratę na tych pięćdziesięciu procentach.

– Ale nic nie możesz z tym zrobić – odezwała się rozsądnym głosem Renée. – Dlaczego więc po prostu nie uznasz, że odziedziczyłaś tylko tyle, ile masz w chwili, gdy przejmujesz kontrolę nad majątkiem? To punkt wyjścia, a teraz możesz wszystko sprzedać i będzie to kwota, którą dostałaś. To i tak dużo, prawda?

Melanie zamknęła oczy.

– Właśnie taką mękę przechodzę z moim adwokatem. I to samo mówi mi mąż. Miałam nadzieję, że kobieta będzie w stanie zrozumieć, dlaczego nie życzę sobie, nie życzę sobie, żeby ktoś mi mówił, że tyle mam. To nie chciwość, Renée. To kwestia tego, żeby nie wyjść na głupią. Jeśli mam podjąć złą decyzję, przynajmniej chcę, żeby była oparta na radzie innej osoby. Bo ja po prostu nie mogłabym ż y ć, gdybym musiała się ciągle obwiniać.

– Możesz obwinić za to ojca – ośmieliła się zaproponować Renée.

– Gdyby to tylko mogło jakoś pomóc. Mogę go obwiniać o postawienie mnie w takiej sytuacji, ale i tak to ja się w niej znajduję.

– Może Larry Axelrod? Z MIT. Mogę cię z nim skontaktować.

Melanie się nachyliła, kręcąc głową i śmiejąc się z naiwności Renée.

– Naprawdę tego nie widzisz? Wszyscy inwestorzy w Bostonie zwracają się do niego lub jemu podobnych. Oni już wywarli swój wpływ na rynek. Korzystanie z ich rad nic mi nie da, a co więcej, nie wierzę im. Nie sądzę, żeby byli w stanie powiedzieć prawdę, ponieważ wiedzą, że wszystkie rynki nasłuchują. To dlatego mówią: pięćdziesiąt procent tak, a pięćdziesiąt procent tak.

– Sądzisz więc, że ponieważ nic nie wiem

o trzęsieniach ziemi w Nowej Anglii, jestem idealną osobą, by udzielić ci odpowiedzi?

– Tak.

– To rzeczywiście bardzo rozsądne z twojej strony.

– Cieszę się, że tak myślisz. Bo wiesz, zauważyłam między innymi, że Harvard jest jedyną instytucją w Bostonie, która nie wypowiada się na temat trzęsień ziemi. I zastanowiło mnie, dlaczego tak jest.

– Nikt obecnie nie prowadzi żadnych lokalnych badań. Zajmujemy się głównie teorią, ponadto badaniami globalnymi i badaniami z zastosowaniem sieci globalnych.

– A ty jako inteligentna sejsmolożka nie jesteś w stanie spojrzeć na prace wykonywane lokalnie i dojść do niezależnych wniosków?

– Mogę dojść do jakichś wniosków. Ale nie wiem, dlaczego moje wnioski mają być warte więcej niż Larry'ego Axelroda.

– Renée, pół życia spędziłam w środowisku naukowców i widziałam takich Larrych Axelrodów w telewizji. Potrafię rozpoznać wyjątkowy umysł. Nie ma sensu mi mówić, żebym ci nie ufała, bo cię nie posłucham. Zaufam ci, a ty mi powiesz, jak mogę ci się odwdzięczyć. Bo naprawdę zamierzam ci się zrewanżować.

Melanie położyła torebkę na kolanach i oparła dłoń na zamku. Renée właśnie tego się spodziewała.



– Chcesz wiedzieć, czy sprzedać dom i czy sprzedać akcje. Dwie proste odpowiedzi.

– Tak.

– A jeśli się pomyłę?

– Cóż, jeśli będziesz miała rację, zobaczysz, że ci się odwdzięczę. A gdy ci się odwdzięczę, będziesz bardzo, bardzo szczęśliwa, że jesteś moją przyjaciółką.

– Mówisz o pieniądzach.

Melanie spojrzała na torebkę, jakby zmartwił ją jej widok na kolanach.

– Wolałabym nie. Ale to zależy od ciebie. Nie chciałabym dawać ci czegoś, co jest ci niepotrzebne.

– A jeśli się okaże, że się mylę?

– Nie sądzę, żebyś miała się pomylić, ale jeśli tak się stanie, będę wiedziała, że bardzo się starałaś. Będę wiedziała, że zrobiłaś wszystko, co potencjalnie mogłabym zrobić, żeby podjąć odpowiednią decyzję, że poradziłam się osoby, której mogłam zaufać, i że po prostu miałyśmy pecha. Jak już powiedziałam, tu nie chodzi o to, że jestem taka chciwa. Chodzi o to, że nie jestem w stanie wziąć odpowiedzialności na swoje barki.

– Mówimy tu o Sweeting-Aldren.

– Zgadza się. – Melanie roześmiała się nerwowo. – Mam nadzieję, że nie dowiedziałaś się tego od Louisa. On bardzo się stara być niedyskretny.

– Myślę, że mogę ci pomóc – oświadczyła Renée.

– Nie spotkałaś się z nim ponownie, prawda?

– Proszę?

– Mówiłaś, że go znasz. Chodziło o dzień trzęsienia ziemi? Nie widziałaś się z nim później?

– Prawdę mówiąc, widziałam. Zaprosił mnie na przyjęcie do twojej córki.

– Och. – Melanie pobladła i dotknęła ust. – Rozumiem. I poszłaś tam.

– Tak.

– Nie mówiłaś mi o tym.

– Próbowałam.

– Tego mi nie powiedziałaś. – Odwróciła się bokiem, dotykając palcami wszystkich części twarzy, jakby nie miała pewności, czy jeszcze ją ma. – A to... powinna to być pierwsza rzecz, jaką mi powiedziałaś. – Przytaknęła sama sobie. – Pierwsza rzecz.

– Próbowałam.

Melanie odwróciła się gwałtownie i spojrzała Renée w twarz.

– Jesteś z w i ą z a n a z m o i m s y n e m ?

– Nie.

– A b y ł a ś ?

– Nie. Nie! Poszłam z nim na przyjęcie. A kilka tygodni temu poszłam... na kolację do twojej siostry. To znaczy twojej córki. Miałam wrażenie, że on chyba chce iść na randkę. Był wobec mnie bardzo uprzejmy.

– Rozmawialiście o mnie?

– Ani słowa.

- To dlaczego trzęsą ci się ręce?
  - Bo mnie przeraziłaś.
  - Powiedziałaś mi, że do ciebie dzwoniłam?
  - Tak, wspomniałam o tym.
  - Ile godzin?
  - Proszę?
  - Ile godzin z nim spędziłaś?
- Wzruszyła ramionami.
- Dziesięć. Osiem. Nie wiem.

Melanie nachyliła się nad stolikiem w poszukiwaniu twarzy Renée, dotykając tej jej twarzy spojrzeniem, jakby dotykała własnej palcami, jej strach wzrastał, w miarę jak zapuszczał korzenie głębiej w szczelinę między słodyczą twarzy Renée i drzemiącą pod spodem ewentualnością, że dziewczyna ją okłamuje. Wyraźnie, tak że sprawiała wręcz żałosne wrażenie, widać było, jak bardzo pragnie zaufać Renée. Ale nie potrafiła odczytać z tej twarzy ostatecznej odpowiedzi, a pokładała w niej tak wielkie nadzieje, że nie była w stanie dalej patrzeć, żeby nie znaleźć potwierdzenia swoich podejrzeń.

- O Boże. - Ponownie odwróciła się bokiem na ławce.
- Boże, sama nie wiem, co mam zrobić.

- Zadzwoń do Louisa i zapytaj go o to. Jeśli to dla ciebie takie ważne.

- Dziesięć minut temu starałaś się mnie przekonać, żebym ci nie ufała. Teraz robisz coś wręcz przeciwnego. To dlatego, że powiedziałam o pieniądzach. No, powiedz,

że to nieprawda.

– Rzecz raczej w tym, że wydaje ci się, że mam powody, aby cię okłamywać.

– Nie jesteś tą samą osobą, z którą rozmawiałam dwa miesiące temu. I teraz już wiem dlaczego. Teraz wiem dlaczego. Jakże mogłam o tym nie pomyśleć? Och, dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Panie są gotowe? – Kelner zamaszystym ruchem wyciągnął długopis.

Spojrząwszy mu surowo w oczy, Melanie założyła okulary i złożyła zamówienie. Następnie, kiedy robiła to Renée, zamknęła okulary w dłoni, ściskając je tak mocno, aż plastik zatrzeszczał, i z rozpaczą patrzyła na salę restauracyjną. Renée położyła dłoń na pięści Melanie. Zastanawiała się tak intensywnie, że zaczęły jej delikatnie drżeć wargi.

– Powiedziałam, że mogę ci pomóc – odezwała się. – Wiem, co powinnaś zrobić ze swoimi akcjami, a ty będziesz bardzo zadowolona, że mnie o to zapytałaś. Pomogę ci.

Melanie odchyliła głowę i przełknęła ślinę.

– Powiem ci, co trzeba zrobić – stwierdziła Renée. – I jestem tego tak pewna, że mogę ci to zagwarantować wszystkimi moimi pieniędzmi.

Światło w jej twarzy przemieniło się w roziskrzoną, upojoną nieustępliwość. Pogłaskała dłoń matki Louisa. Nagle paznokcie Melanie zatopiły się w nadgarstku

Renée. Wsunęła do przodu twarz; czuło się jej oddech, perfumy, zapach miłego kremu do skóry.

– Jesteś związana z moim synem?

– Nie!

– I chcesz moich pieniędzy?

– Tak.

– Chcesz zawrzeć układ?

– Tak.

Melanie opadła z powrotem na siedzenie.

– W porządku. – Przez pełną minutę siedziała nieruchomo i zagryzała wargi; widać było, że jej obawy się nie rozwiały. W końcu Renée zapytała, czy napiłaby się wina.

– Nie, ja dziękuję. Ale możesz zamówić sobie kieliszek.

– Mogę poprosić o butelkę?

– Co chcesz.

– Może byśmy się tak o d p r ę ż y ł y i p r z y j e m n i e s p ę d z i ł y c z a s ?

Melanie pokręciła z rozpaczą głową.

– Trzeba było nie mówić o pieniądzach. Trzeba było poczekać. Możesz ze mnie teraz drwić, ale naprawdę miałam nadzieję, że ten lunch będzie wyglądał inaczej.

– Dam ci dobrą radę. Nie pożałujesz.

– Już żałuję. Żałuję, że cię w to wciągnęłam. Żałuję, że sama dałam się w to wciągnąć.

– W takim razie zakończmy to teraz. Zróbmy tylko

ostatnią rzecz. A potem będziemy mogli się odprężyć.

Melanie zeszytniała na tę wzmiankę o „ostatniej rzeczy”. Długo się wahała, zanim w końcu wyjęła z torebki zapalki w tekturowej książeczce, zapisała w środku jakąś liczbę i pchnęła opakowanie po obrusie.

Renée spojrzała na kwotę, sięgnęła po długopis i spokojnie dopisała jedno zero.

– Mogę chcieć więcej – powiedziała. – Jeśli mam rację. Musisz mi dać kilka dni. Ale z pewnością nie wezmę mniej, chyba że... – Zastanowiła się. – Może wyjęłabym całe swoje pieniądze z banku i przedłożyła je jako zabezpieczenie? Mielibyśmy wówczas... jak by to nazwać...? Stawkę ruchomą. Im dalej będę od prawdy, tym mniej mi dasz. Jeśli się zupełnie pomylę, zatrzymujesz zabezpieczenie.

– Nie mam zamiaru o tym z tobą rozmawiać. Zobaczymy się we wtorek.

– Zobaczymy, czy uda ci się w tym czasie załatwić coś więcej.

– Może właśnie załatwię.

– Uhm, pogadasz z Larrym Axelrodem.

– Może.

Renée zjadła talerz carpaccio w żółtej oliwie. Opróżniała kieliszki wina jeden po drugim, aż zaczęła się jarzyć jak przedmiot włożony do pieca, jej samokrytyczność przeobraziła się w swadę, z którą wygłaszała swój monolog pod tytułem *Dlaczego nie cierpię*

*Bostonu* czy drugi *Kalifornia jest jeszcze gorsza*. Melanie mogłaby słuchać teraz córki, którą lubiła i która miała wszelkie podstawy, żeby ją zabawić, a i tak przypominałaby jej tylko o tym, jak jej teraz ciężko na sercu. I o jej względnie bliskiej śmierci, niemożności odprężenia się i cieszenia obiadem, o jej całkowitym oderwaniu od świata rzeczy, o których mówią młodzi. Coś takiego naprawdę zdarza się nieszczęśliwym rodzicom, nawet tym kochającym swoje dzieci.

Wysuwała zwinięty język, kiedy dopisywała cyfry na czeku. Renée miała na twarzy rumieńce, jakby przeszła przez burzę śnieżną. Po wyjściu na świat nieprzerwanego ruchu samochodów poprosiła przed hotelem o pieniądze na taksówkę. Melanie otworzyła torebkę na biodrze i wygrzebała dwudziestodolarówkę.

– Pewnie uważasz mnie za głupią, że tak ciągle pytam. Być może to nawet nie ma żadnego znaczenia. Ale...

Palce Renée zacisnęły się na banknocie.

– Ale.

– Chodzi tylko o to, czy jest coś między tobą a Louisem.

Chwyciła Melanie za ramiona.

– A jak myślisz?

– Chyba wciąż mi się wydaje, że coś między wami jest.

– Naprawdę? – Przyciągnęła Melanie bliżej

i pocałowała ją w usta, tak jak dowolna kobieta mogłaby pocałować osobę, która perłami i winem zabiegała o jej względy przy obiedzie.

Melanie wyrwała się jej i otrzepała.

– Będę musiała się nad tym jeszcze zastanowić, Renée. Umówmy się, że nieco za dużo wypijaś. Ale obawiam się, że i tak muszę się nad tym jeszcze raz zastanowić.

– Ruchoma stawka. Zabezpieczenie. Bezpośrednie warunki.

– Porozmawiamy we wtorek rano.

– Do zobaczenia.

Deszcz zmienił się w delikatną, ciepłą, miłą dla skóry mgiełkę. Gdy tylko Renée znalazła się w taksówce, wyciągnęła się na siedzeniu z tyłu.

– Wygodnie pani? – zapytał haitański kierowca.

– Tak – odrzekła głośno.

Spływająca po oknie nad nią woda tworzyła soczewki, w każdej kropli widziała wykrzywiony obraz miasta. Stojące do góry nogami, nasiąknięte deszczem fasady, opadające i rozdzielające się przewody przesyłowe. Była rozpalona. Trzecia po południu, a ona, nawalona jak bąk, leży w taksówce. Romans, romans. Trzecia po południu, ciepły deszcz, wraca do domu ze spotkania z samą sobą. Wciąż czuje swoje ciepło wewnątrz siebie i na swojej skórze. Czuje zapach własnego nosa, czuje smak własnych ust.



– To będzie dwanaście dolarów i sześćdziesiąt centów.

– Proszę jechać tu na wzgórze, na Walnut.

Z żołądkiem rozstrojonym przez carpaccio i wino leżała na łóżku, dopóki okna nie przestały ciemnieć i nie zrobiły się lekko jaśniejsze, a deszcz nie zamienił się w parę wodną i ciszę. Na ulicę opadł jakby namiot, jego wilgotne brezentowe poły zwisały za domami; jakby była studiem filmowym polewanym wężem przed nocnymi zdjęciami, a za domami znajdował się głośny, ruchliwy świat. Sąsiad w pobliżu piekł gofry. Na ganku domu po drugiej stronie ulicy dziewczyny i chłopcy włączyli jakiś heavymetalowy hymn. Miała wrażenie, że muzyka gra nie na dworze, lecz w sąsiednim pokoju. Podłączyła telefon do gniazdka i wybrała numer.

– Proszę z Howardem Chunem.

– On nie tu – usłyszała w odpowiedzi.

Zmieniła ubranie i wyszła na ulicę. Jedna z dziewczyn na ganku – gruba; były tam jeszcze dwie chude – pogłośniła muzykę. Może myśleli, że przyszła poskarżyć się na hałas. Wspięła się po schodach.

– Ma może któreś z was jointa do sprzedania?

Ściszyli radio, a ona powtórzyła pytanie, przenosząc wzrok z jednej sceptycznej twarzy na drugą. Młodszy chłopak mógł mieć dziesięć czy jedenaście lat.

– Jesteś Żydówką? – zapytał rzeczowo.

– Nie.

– Jak masz na nazwisko?

Uśmiechnęła się.

– Smith.

– Bernstein – odpowiedział jej.

– Greenstein – powiedziała dziewczyna.

– Szalom!

Renée czekała.

– Od jak dawna tu mieszkasz? – zapytała ją gruba dziewczyna.

– Od pięciu lat – odparła. – A ty od jak dawna tu jesteś?

– A gdzie ten twój chiński chłopak?

– Ona ma łysego.

– Hej. H e j. Masz jakieś piwko?

Skrzyżowała ramiona.

– Ile wy macie lat?

Starszy z chłopców, dotychczas milczący, podniósł się sztywno z połamanego drewnianego fotela ogrodowego. Jego wysokie, napompowane adidas były starannie rozwiązane.

– Musisz kupić trochę piwa – oświadczył.

– Dobra. Ile?

Dziewczyny się naradzały, a starszy chłopak bardzo się starał sprawiać wrażenie niezaangażowanego.

– Dziesięć, ale to muszą być jebęckie browary – stwierdziła gruba.

– Jakie mają być?

– Jebęckie.

– Jebęckie? – Renée się uśmiechnęła, nic nie rozumiejąc.

– DUPNE. WIELKIE PUSZKI.

– Półlitrowe puszki!

– Zajebiste, jebęckie puszki!

– Niom, niom, niom.

– Wiesz, co to jest robić sześć na dziewięć?

– Steven, zamknij się, mały palancie.

– Niom, niom, niom.

Stojący nieco dalej starszy chłopak przewrócił oczami. Renée zeszła po schodach przy wtórze okrzyków „Szalom!”. Zapach miasta unosił się z krzaków, a ona słyszała dzwonek swojego telefonu – kolejna osoba z ruchu na rzecz życia poczętego.

Kiedy wróciła z Highland Avenue, starszy chłopak wprowadził ją do pokoju od ulicy w mieszkaniu na parterze i oderwał dwie puszki z jednego z kupionych przez nią sześciopaków, po czym włożył je z powrotem do papierowej torby. Pokazał Renée zioło.

– Jest świeżutkie – powiedział poważnie. – Steven, zamknij, kurwa, te drzwi. – Drzwi się zamknęły. – Który chcesz? Weź większy. Nazywam się Doug.

– Ile masz lat?

– Prawie szesnaście. Zrobię niedługo prawo jazdy. Umówimy się kiedyś?

– Chyba nie.

Na stole w swojej kuchni położyła jointa, pudełko zapalek i spodeczek. Ustawiała przed tym wszystkim krzesło i wyłączyła wszystkie światła poza jednym. Miała kasetę z napisem DANCE, która zerwała się jej pięć lat temu. Nakierowawszy światło lampy biurkowej na kasetę, otworzyła ją i za pomocą taśmy klejącej i nożyczek do paznokci sklepiła powijany odcinek taśmy.

Trawka smakowała jak kwiecień w college'u, jak muzyka z taśmy. Tańczyła do *London's Burning* i do *Spinning Top*, i do *I found that essence rare*, rękami i nogami rozprasząc w mgiełkę ostatnie nikłe obłoczki dymu. Myślała, że płacze, kiedy grało *Beast of Burden*, ale kiedy otworzyła oczy, nie zauważyła łez, więc prawdopodobnie tylko to sobie wyobrażała.

Za kuchennym oknem położyła się na mokrych, spadzistych płytkach dachowych. Były zrobione z prawdziwego łupka.

Rano odszukała profesora mineralogii, który darzył ją sympatią i już wcześniej kilka razy pożyczał jej jeden ze swoich samochodów. Na drodze numer 128 prażyło słońce. Starając się robić to jak najbardziej metodycznie, przejechała wszystkimi drogami i ulicami w Danvers, zachodnim Peabody, północnym Lynn i South Lynnfield, często się zatrzymując, żeby za pomocą czerwonej kredki prześledzić trasę na mapie. Nie dostrzegła ani jednego samochodu na parkingu siedziby firmy Sweeting-Aldren, ulokowanej na zielonym wzgórzu białej budowli

zainspirowanej Monticello, rezydencją Jeffersona. Z mostu kolejowego na trasie Boston – Maine, a także z zaplecza niedokończonego kompleksu biurowego i z tylnego narożnika cementarza przyglądała się instalacjom firmy: zastępom poziomych zbiorników przypominających gigantyczne kapsułki, wieżom z wznoszącymi się po nich spiralnie żelaznymi pnączami z żelaznymi wąsami. Wykonana z blachy falistej elewacja głównych budynków miała specyficzną bładoniebieską barwę, jakiej nigdy chyba jeszcze nie widziała; otaczające go na tablicy kolorów odcienie były pewnie przyjemne, lecz akurat ten niebieski wcale taki nie był. Oniryczne opary acetonu były w tym miejscu czymś naturalnym.

W poniedziałek upał uderzył z pełną, białą mocą. Ubrała się w obcięte dżinsy, sandały i podkoszulek, który zakładała tylko do spania. W ratuszu Peabody, na parterze obok biura taksatora, znalazła wykaz zawierający osiem mniejszych, nieprzylegających do siebie działek będących w posiadaniu Sweeting-Aldren. Na sześciu z nich, które zdążyła objechać samochodem, nie było nic ciekawego poza końmi; nawet nie próbowała dotrzeć do pozostałych. Jechała najszybciej, jak się tylko odważyła, ale i tak była już prawie czwarta, zanim dojechała na lotnisko Beverly.

Młoda ekspedientka w barze kawowym wyciągała z oleju druciany koszyk z frytkami. Powiedziała Renée, żeby poszła do hangaru i porozmawiała z gościem

o imieniu Kevin.

– Mam tak po prostu wejść?

– Tak, znajdziesz go tam.

Gdy tylko weszła przez bramę do hangaru, ktoś na nią gwizdnął, ale w pierwszej chwili widziała tylko oślepiający prostokąt białego nieba na drugim końcu budynku. W pobliżu miejsca, gdzie stała, zobaczyła pipera cherokee i ośmiomiejscowy turbośmigłowiec ze skrzynekowym kadłubem konika polnego – oba samoloty miały zdjęte pokrywy silników. Dwie pary usmarowanych na czarno pracowników zajmowały się błyszczącymi wnętrzościami silników, grzebiąc w nich narzędziami. Kiedy zapytała o Kevina, wskazali na młodego mężczyznę, który stał na drabinie przy malutkim odrzutowcu w głębi hangaru. Pryskał środkiem czyszczącym w aerozolu na przednią szybę samolotu.

– Ty jesteś Kevin?

– Zgadza się. – Miał dwadzieścia kilka lat, niebieskie jak niebo oczy, włosy ścięte na jeża i wyglądał na porządnego gościa. Po drugiej stronie hangaru odkurzano wewnątrz innego małego odrzutowca, z jego środka dobiegała muzyka country, a z drzwi zwisał kabel przedłużacza.

– Powiedziano mi, że mogę z tobą porozmawiać o ewentualnej przejażdżce.

– A dokąd?

– Tutaj, po okolicy.

Natychmiast zszedł po drabinie, więc pomyślała, że już za kilka minut wzniosą się w powietrze, ale w rzeczywistości jeszcze przez prawie godzinę musiała wdychać spaliny i paliwo gazowe. Dała mu pieniądze, a następnie wypełniła i podpisała dokument o zrzeczeniu się roszczeń odszkodowawczych. Kevin zniknął na chwilę, po czym wrócił już bez kombinezonu; potrzebował dziesięciu minut, by stwierdzić, że coś mu nie pasuje w dziwnie wyglądającym, jakby obróconym do góry nogami samolocie, który najpierw wypróbował, później zaś pogmerał przy normalnym samolocie, cessańie, i w końcu wystawił go przed hangar. Założył okulary przeciwsłoneczne.

– Gdzie lecimy?

– Kilka razy wokół Peabody. Chciałabym przyjrzeć się kilku rzeczom.

Podniósł mikrofon do ust i coś tam wymamrotał do plastikowych rowków. W kieszeni pod tablicą przyrządów leżał mały kołonotatnik. Przerzucał jedną po drugiej laminowane kartki, unosił i opuszczał klapy, zasilał silnik paliwem, aż śmigła stały się niewidoczne, znowu mruczał coś do mikrofonu i zmieniał położenie przełączników. Temperatura w kabinie wzrosła o kilkanaście stopni. Hałas silnika zmienił się w ryk, kiedy podskakując na miększym asfalcie i twardym betonie, wyjechali na pas startowy i zgrabnie stanęli

okrakiem nad wyznaczającą jego środek linią. Na otaczających ich hektarach wolnej przestrzeni lekko poruszało się tylko rozgrzane powietrze i łuszczące się główki chwastów.

Zakołysali się raz w prawo, raz w lewo i podskoczyli w powietrzu jak dżip na zboczu wzgórza.

– Na prawo w kierunku południowowschodnim jest strefa zamknięta – krzyknął Kevin. – Skręć na północ od Denver, jeśli ci to nie przeszkadza.

– Jasne.

Żaden hałas nie wyróżniał się szczególnie, ale trudno było cokolwiek usłyszeć. Kevin ucałował mikrofon i go odwiesił.

– Możesz obrócić tę dźwignię, nabrać trochę powietrza.

Nie był to dobry dzień na latanie – rzeki paskudnie mętne i żółte, wszechobecny oślepiający blask. Atmosferyczna zupa rozciągała się zdecydowanie ponad wysokość, którą utrzymywali, a na ziemi wszystko rozpląwało się w błękicie, dopóki nie spojrzano prosto w dół. Jeziora i rzeki wyglądały na niebiesko-czarnej ziemi jak plamy wyciekłego błyszczącego ołowiu ciągnącego się w kierunku niebiesko-brązowego horyzontu. Za każdym razem, kiedy lecieli nad wodą, samolot opadał jak jo-jo. Po każdym gwałtownym opadnięciu następowało odbicie w górę, którego można było się spodziewać, ale nie dało się na to przygotować.



Kevin położył papierową torebkę na kolanach Renée.

– Miły jesteś – spróbowała zagadnąć, krzyżując.

– Ty też. Choć nie tak, jak moja żona.

Skinęła roztropnie głową.

– Na czym polega twoja praca?

– Latam dla firmy produkującej narzędzia w Lynn. Mają kilka samolotów, w tym jeden odrzutowiec. Jestem numerem dwa, rzadko używam odrzutowca. Często latam z prezesem do Maine. Do jego letniego domku. Również z jego gośćmi. A ty co robisz?

– Jestem fotografką.

– I pracujesz dla...? – Wskazał na naklejkę na jej aparacie fotograficznym. – Geofizyka na Harvardzie?

– Tak.

– Zajmujesz się trzęsieniami ziemi?

– Nie! – krzyknęła. – Formacjami terenu.

– Myślałem, że może szukasz jakichś uskoków czy czegoś podobnego. Kręci się tu dużo sejsmologów. Jeden z moich znajomych w zeszłym miesiącu zabrał jednego takiego w górę i w dół wybrzeża.

– Mogę ci pokazać, gdzie chciałabym polecieć? – Uniosła mapę, na której czerwonymi kółkami zaznaczyła główny teren należący do Sweeting-Aldren i dwie mniejsze działki, których jeszcze nie widziała. Kevin położył sobie mapę na kolanach, przez chwilę się jej przyglądał, a następnie spojrział przez przednią szybę. Samolot wskoczył gwałtownie w kolejny prąd termiczny.

Dźwięk silnika zmienił się i taki już pozostał.

– Wszystko w porządku? – krzyknęła.

Minęła chwila, zanim jej odpowiedział.

– Czego chcesz szukać w Sweeting-Aldren?

Wykręciła szyję, udając, że sprawdza mapę.

– Och, to tam jest coś takiego?

– Masz jakieś szczególne powody?

– Szukam pewnych formacji terenu.

– Nie możemy zejść poniżej tysiąca metrów.

– A jak wysoko jesteśmy teraz?

– Tysiąc metrów.

– Dlaczego nie można niżej?

– Bo to im się nie podoba. To przedsiębiorstwo. Mają swoje tajemnice.

– A co będzie, jeśli zobaczę coś, co chciałabym zobaczyć?

– Mniej więcej połowa ruchu korporacyjnego na lotnisku Beverly Municipal to działalność Sweeting-Aldren. Mają tam sześć odrzutowców. Wiesz, co chcę przez to powiedzieć?

– Nie.

– Chcę powiedzieć, że tam pracuję.

– Pracujesz w Sweeting-Aldren?

– Pracuję w Barnett Die. Ale też na lotnisku. Rozumiesz, o czym mówię?

Pokazał w stronę dwóch małych posiadłości, dwóch pól rozdzielonych drogą gruntową. Samolot podskoczył

po raz kolejny. Silnik się zakrztusił, kiedy maszyna weszła w przechył, słońce rozlało się jak szalone po kolanach Renée i wylało się przez drugie okno. Wzgórze zwymiotowało rozbitymi samochodami i zakrzepami pordzewiałych odpadów. Dumne rezydencje rozpościerały swoje zielone aksamitne spódnice na terenie wciśniętym między stare ceglane fallusy fabryk i nowsze zakłady – płaskie prostokąty ze żwirem na dachu i przyczepami zgromadzonymi, żeby się nakarmić w umieszczonych z tyłu korytach. Najbardziej przepuszczalne membrany oddziały ekskluzywny ośrodek rekreacyjno-sportowy od hektarów zajętych przez sterty żużla w kolorze kości, poplamione żółcią siarki jak moczem czteropiętrowego psa. Niskie bloki mieszkalne z nowiutkimi parkingami i oddziały banku BayBank stały nad pokrytymi glonami lejami krasowymi, zaśmieconymi trwałymi odpadami. Wszędzie bogactwo i brud stały głowa przy głowie. Krajobraz jakby się zawahał, zanim ustąpił miejsca terenom należącym do Sweeting-Aldren, nowe osiedla się kurczyły, przechodząc w niedożywione dzielnice małych płaskich domków, zamieszkałych przyczep kempingowych, pojedynczych barów i niebrukowanych ulic, które omijały tereny leśne i ginęły przed jednym czy dwoma bezużytecznymi, na wpół wykończonymi domami, przy których odpadki spadały kaskadą ze skarp. Za lasem, po stronie terenu firmy, rurociągi i tory na niskich filarach biegły prosto

przez mokradła, mijając przemysłowe przedmieścia z identycznymi okrągłymi kapsułami, przecinając obwodnice splecionych rur, zanurzając się w śródmieściu, a potem wynurzając z niego wzdłuż szprych prowadzących do osiedli satelickich. Pojazdy wlokły się przez szeregi dziesięciu tysięcy oznaczonych kolorami bębnow, para wodna ściekała ze szczytów srebrnych cienkich cygar. Całość sprawiała wrażenie dobrze zarządzanej, widać było logikę w oznakowaniu i ruchu. Tuż obok skrzył się czarny ocean.

Kevin przechylił skrzydło, żeby Renée mogła zrobić zdjęcia.

– Wystarczająco dobrze widziałaś?

– Nie! – krzyknęła. – Musisz polecieć niżej.

– Chyba trochę poszarżałaś.

– Musisz polecieć niżej.

– Przelecimy raz na wysokości pięciuset metrów.

Potem wracamy.

– Dwa razy na trzystu metrach.

Pokręcił głową. Samolot wyskoczył w górę jak balon wypełniony helem.

– Co mogę ci zaproponować? – Ze wszystkich sił starała się miło uśmiechnąć. Samolot opadł tak twardo, że aż zaszczękały jej zęby.

– Nie rozumiesz – odparł Kevin. – Oni są bardzo, bardzo drażliwi.

– Zapłacę ci więcej.

Pokręcił przecząco głową.

– Raz na wysokości pięciuset metrów. I musisz pokazać mi prawo jazdy albo legitymację studencką czy coś podobnego. Jakiś dokument z fotografią.

Wziął od niej prawo jazdy i sprawdził jej nazwisko oraz zdjęcie, kiedy krążyli w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

– Masz trzydzieści lat – stwierdził.

Skinęła głową i opuściła ją między kolana. Zdążyła otworzyć torebkę w ostatniej chwili, zanim przez jej plecy przeszła fala, która następnie wstrząsnęła jej ramionami. Torebka zeszywniała, obciążona nową zawartością. Kevin podał jej świeżą torebkę.

– Rzuć to na tylny fotel. Wzniesiemy się w stronę zachodnią, przetniemy na wschód i wrócimy. Teren będzie po twojej stronie. Słońce będziesz miała z tyłu. Dasz radę?

W pozycji pionowej utrzymywała się tylko dzięki temu, że wsparła się na aparacie z obiektywem przyłożonym do okna. Robiła zdjęcia wszystkiego, szybko zmieniając ogniskową. Minęli już centralną instalację, kiedy zdała sobie sprawę, że niczego nie zobaczyła, że przecież miała patrzeć.

Musieli okrążyć Wenham, bo lądował przed nimi jakiś odrzutowiec, a inny startował. Nie otwierała oczu, przyciskając tylko twarz do wlotu powietrza. Każdy, nawet najmniejszy wstrząs pogłębiał jej nieszczęście.

Przeraziła się, kiedy Kevin zaczął podawać jej kolejne informacje do przetrawienia. Fakty były tak niepożądane, jak kanapka z tuńczykiem.

– Trafiliśmy na godziny szczytu. Właśnie dali zezwolenie na lądowanie odrzutowcowi Sweeting-Aldren, a kolejny jest już za nim. Powinni mieć własne małe linie lotnicze.

Samolot uniósł się i opadł. Silnik buczał.

– Za trzy minuty będziesz na ziemi. W taki dzień jak dziś prawie każdy miałby podobne problemy.

Jednym okiem Renée dostrzegła rozciągający się przed nimi pas startowy. Ponownie otworzyła oczy dopiero, gdy zatrzymali się po kołowaniu.

– Tylko popatrz – powiedział Kevin, wskazując głową w stronę hangaru.

W wejściu stało dwóch ubranych w garnitury mężczyzn, z których jeden był w kasku.

– Nie wierzyłaś mi, co?

– Zaczekaj, zaczekaj, zaczekaj. – Przewijała film w aparacie.

– Ja tego nie widzę. Powoli wysiadam.

Z opuszczoną głową zmieniła rolkę filmu i wypstrykała dwadzieścia zdjęć. Mężczyźni byli już na płycie postojowej. Kiedy wysiadła, jeden z nich zajrzał do wnętrza samolotu, a drugi poprowadził ją do hangaru.

– Musicie pozwolić jej usiąść – odezwał się Kevin. – Bardzo źle się czuje.

W milczeniu oparła się o ścianę korytarza, podczas gdy za plecami Renée przeszukiwano jej torbę na ramię. W barze kawowym pozwolono jej osunąć się na krzeselko, przed którym na stoliku ciągnęła się długa, cienka smuga keczupu. Mężczyzna w kasku trzymał na kolanach jej torbę; miał czerwoną, jakby wrośniętą i zdziwioną twarz, która wyglądała jak szyjka macicy ze świdrującymi oczami. Nie odzywał się podczas całej rozmowy, niestrudzenie oceniając jej piersi i ramiona.

Drugi mężczyzna miał wygolony czubek głowy, gęste, proste włosy w kolorze grafitu opadające na kołnierz koszuli i bystrą brew orła. Obracał w palcach jej dowód tożsamości.

– Renée Seitchek, 7 Pleasant Avenue, Somerville. Uniwersytet Harvarda. – Przygwoździł ją spojrzeniem. – Renée, słyszeliśmy, że robiłaś zdjęcia jakimś instalacjom. Wprost marzymy, żeby się dowiedzieć, z jakiego powodu fotografowałaś akurat te instalacje.

– Mogę prosić o szklanek wody?

– Czyżby rozstrój żołądka? Może pomoże ci trochę sprite'a. Bruce? – Skinął ręką w stronę bufetu i Bruce wstał. – Ale mów dalej.

– Jestem fotografką.

– Fotografką! A co lubisz fotografować, Renée?

– Ciekawe, piękne... rzeczy.

– Aha. Fotografia artystyczna. To fascynujące. – Przesłuchujący patrzył na nią z podziwem. – Ale wiesz,

nie mogę się powstrzymać, by cię nie zapytać, co takiego pięknego jest w zakładzie przemysłowym? Mogłabyś spróbować mi to wytłumaczyć? Bo to jakoś nie zgadza się z naszymi wyobrażeniami na temat piękna.

– Kim jesteście? – zapytała Renée.

– Rod Logan. Odpowiedzialny za bezpieczeństwo w Sweeting-Aldren Industries. Mój asystent Bruce Feschting. Specjalnie pofatygowaliśmy się tutaj, żeby się z tobą spotkać, Renée. Och, ale tylko spójrz, Bruce znowu przeszedł samego siebie. Jest i sprite, i woda, i nawet serwetka. À propos serwetki, Renée, może chcesz wytrzeć sobie brodę?

Przez bar przemaszerowała grupka mężczyzn w butach na twardej podeszwie, wymieniając po drodze pozdrowienia z Loganem i Feschtingiem. Teczki się kołysały, kiedy kierowali się w stronę drzwi prowadzących na parking.

– A te fotografie artystyczne – kontynuował Logan. – Jaki jest na nie rynek? Masz bogatego sponsora? W dzisiejszych czasach wiele firm kupuje sztukę.

– Robię je tylko dla siebie.

– Tylko dla siebie! A mogę zapytać, co przyciągnęło cię właśnie do tych instalacji?

– Widziałam je z drogi.

– Tak tylko przejeżdżałaś, co? A było coś szczególnego, co uznałaś za interesujące i piękne w tych instalacjach?



– Nie. Chodzi o całokształt. Wygląd tego wszystkiego.

– Kurczę, niemożliwe, żeby nie było żadnego sposobu, by wytrącić cię czasami z równowagi. – Logan pokręcił głową. – Tak zupełnie. Wiesz, pewnie jest gdzieś taka Ziemia, na której dziewczyna z Harvardu rzeczywiście jedzie na najbliższe lotnisko, a potem w biały dzień leci sobie w dobrze oznakowanym samolocie i naprawdę chce zrobić zdjęcia tylko dlatego, bo jej to sprawia przyjemność. Nieskończony wszechświat, nieskończona ilość światów. Ale czy wiesz, na jakim ja żyję świecie? Na tym? A może na jakimś takim? – Ciął powietrze rękami, jakby pokazując ruch galaktyk. – Posłuchaj, Renée, jestem człowiekiem rozsądnym. I z prawnego punktu widzenia, z prawnego punktu widzenia, nie mogę zabronić ci robienia zdjęć, ile dusza zapagnie. Wiedziałaś o tym? Że z prawnego punktu widzenia nie mogę ci tego zabronić? Ale jak widzisz, trzymam teraz na kolanach twój aparat, a Bruce ma drugą rolkę filmu, która była w twojej torebce...

– Jest nienaświeltlony.

– Czy jest nienaświeltlony, Bruce? Tak, na to wygląda. Pewnie więc chętnie sprzedasz nam ten film za dziesięć dolarów. A jeśli chodzi o ten w aparacie, proponuję ci praktyczne rozwiązanie: darmowe wywołanie i zrobienie odbitek, które później wyślemy ci na twój adres w Somerville. Wydaje mi się, że chyba nie można załatwić sprawy bardziej polubownie. Bo musisz

wiedzieć, Renée, że my bardzo poważnie traktujemy nasze tajemnice handlowe i mamy uzbrojonych strażników, a także specjalną rezerwę miliona dolarów w gotówce na sądowe ściganie szpiegów przemysłowych w całej rozciągłości prawa. Dlaczego więc miałabyś się nie zgodzić, żebym zrobił odbitki i wysłał ci je na nasz koszt? Czy to brzmi rozsądnie, Bruce?

– To prywatne zdjęcia – odezwała się Renée.

– Ach tak, prywatne. Ale z praktycznego punktu widzenia, zważywszy na to, na czyich kolanach leży aparat, muszę stwierdzić, że pozostaje ci jeszcze tylko jedna możliwość: że pozwolisz mi na otwarcie aparatu i prześwietlenie kliszy.

Ścisnęła żałośnie głowę.

– Rób, co chcesz. Tylko zostaw mnie w spokoju.

– Na pewno? – zapytał Logan, otwierając aparat.

Do baru weszła nowa grupka członków kierownictwa. Feschting niezgrabnie zerwał się na równe nogi i wyszedł z boksu.

– Panie Tabscott – powiedział. – Panie Stoorhuys.

– Cześć, Dave, Dick. – Logan, z rękami wypełnionymi kliszą, skinął głową w stronę nowo przybyłych.

– Rod, Bruce, a skąd wy tutaj?

– Znikąd. Mamy tu taką małą sprawę.

Tabscott wyszedł z baru, ale Stoorhuys się zatrzymał i nachylił nad boksem; jego marynarka pomarszczyła się na łokciach, ukazując kilkanaście centymetrów mankietu

koszuli. Pochylił głowę, ale z ukosa patrzył na Renée. Wargi wykrzywiła mu pogarda.

– To pani Renée Seitchek – powiedział Logan. – Nasza najnowsza miłośniczka latania. Artystka fotografik. Studentka geofizyki na Harvardzie. Zielonkawość oskrzeli wynika z gwałtownej choroby powietrznej.

Z szeroko rozchylonymi wargami Stoorhuys przyjrzał jej się bliżej.

– Pan Logan wyjaśnił, jak bardzo jesteśmy drażliwi?

– Tak.

– Dopilnujemy, żeby otrzymała pani zwrot kosztów za film.

Skinęła głową, spuszczać wzrok.

– Lubi robić zdjęcia pięknych i ciekawych obiektów – zauważył Logan.

– Sama jest pięknym i ciekawym obiektem – stwierdził Stoorhuys z oczywistą hipokryzją. Najwyraźniej stracił już zainteresowanie jej osobą. Chudymi palcami ścisnął ramię Logana. – Spokojnie.

– Oczywiście, Dave.

Chwilę później została w boksie sama. Wypiła wodę, opuściła głowę, napełniła płuca powietrzem. Obok jej ucha leżał dwudziestodolarowy banknot. Nagle na stole wylądowała papierowa torebka. Renée aż podskoczyła.

– Masz tu swoje rzygowiny – powiedział Kevin.

Wychodząc z baru, zabrała garść serwetek. Jechała przez dwadzieścia minut, aż w końcu zatrzymała się na

parkingu banku Shawmut. Przykucnąwszy jak szop pracz za kontenerem na śmieci, rozerwała torebkę i spod własnej treści żołądkowej wydobyła kasetę z filmem. Światła autostrady błyskały jej w oczy, kiedy rzucała ukradkowe spojrzenia przez ramię.

Było już oczywiste, że nie obejrzy zdjęć przed spotkaniem z Melanie. Tak czy owak wątpiła, że zobaczy na nich zbyt wiele. Jeśli firma Sweeting-Aldren dysponowała stacją pomp w pobliżu głównych instalacji, prawie na pewno urządzenia ukryte były w jakimś hangarze. Pojechała z powrotem do Cambridge, oddała samochód i została w Bibliotece Widenera aż do jej zamknięcia.

Nazajutrz nie była w stanie utrzymać śniadania w żołądku. Wypaliła resztkę jointa i zjadła drugie śniadanie w barze Au Bon Pain, zanim wróciła do czytnika mikrofilmów w Bibliotece Widenera. O pierwszej piętnaście zrobiła kopię zdjęcia z „Globe’a” z 9 marca 1970 roku. Prezentowało nowo otwarty czteropiętrowy bank i biurowiec przy Andover Street w Peabody; w tle, ledwo widoczna przez nagie drzewa, znajdowała się górna część konstrukcji, która mogła być wieżą wiertniczą.

Poszła do banku z certyfikatem oszczędnościowym serii E. Otrzymała go w prezencie od zmarłej babci. Urzędnik z biura obsługi klienta zauważył, że termin wypłaty wypada dopiero za dwa lata.

– A ile jest wart obecnie?

Kiedy wraz z pierwszą falą powracających z pracy ludzi opuszczała pociąg w Salem, w lewej przedniej kieszeni dzinsów miała osiemdziesiąt banknotów studolarowych. Otrzymały adres zaprowadził ją do powiatowego sądu, naprzeciw którego, w opatrzonym tabliczką z numerem 1753 wyremontowanym domu z białym sidingiem, znajdowały się biura kancelarii Arger, Kummer & Rudman.

– Panna Seitchek – odezwał się wylewnie Henry Rudman, obejmując ją w pasie swoją szeroką dłonią. Usadowiwszy Renée na krześle na wprost swojego biurka, stanął obok i zapytał, czy czegoś się napije.

– Poproszę o zimną wodę.

Za biurkiem, w kącie gabinetu między komputerem a ciężko pracującym okiennym klimatyzatorem, siedziała Melanie z opuszczoną głową i dłońmi złożonymi na kolanach. Obrzuciła Renée jednym skrzywdzonym spojrzeniem, jak kobieta w sądzie, która od swojego męża nie oczekuje nic, poza częścią jego aktywów oraz przychodów na przyszłość. Miłość umarła. Do tego doszło.

Renée skrzyżowała ramiona i obojętnym ruchem odrzuciła głowę. Na biurku Rudmana stały niewielkie zdjęcia żony i trzech małych dziewczynek, ale wystrój gabinetu zdominowały trzy czarno-białe powiększenia na ścianie, wszystkie podpisane: Ted Williams na statku

wycieczkowym, obejmujący ramieniem barki młodszego Rudmana; przytuleni do siebie Rudman i Carl Yastrzemski przy stole na przyjęciu; Rudman i Jim Rice, z kijami w dłoni, na polu golfowym z palmami w tle. Renée się roześmiała. Miała czerwone oczy, na podbródku pojawiły jej się świeże pryszczki. Włosy odrastały jej od miesięcy i niespodziewanie sięgnęły już niemal ramion – nieumyte, tworzyły kołtun sztywnych fal. Bił od niej zapach skóry na głowie i zebranego na dworze potu. Cała aż mieniła się od olejku pielęgnacyjnego, była lśniąca i brudna, zwierzęca i gorąca. Nagle rzuciła okiem w stronę Melanie, która ponownie opuściła wzrok.

Rudman przyniósł kubek wody i usadowił się za biurkiem.

– A zatem, drogie panie, jesteśmy wszyscy gotowi? – Nie czekał na odpowiedź. – Panno Seitchek, pani Holland powiedziała mi, że zwróciła się pani do niej z propozycją zakładu dotyczącego notowań pewnej nieruchomości i akcji pewnej firmy. Nieruchomością ma być jej posiadłość w Ipswich, a akcje to udziały w przedsiębiorstwie Sweeting-Aldren. Zgadza się?

– Nie – odpowiedziała. – To nie ja zwróciłam się do niej, tylko ona do mnie. Ponadto, nie mam nic do powiedzenia w sprawie nieruchomości. Jeśli sama chce wyciągać wnioski na podstawie tego, co mówię o akcjach, to jej sprawa.

Rudman i Melanie wymienili spojrzenia.

– Pani jest sejsmologiem, panno Seitchek?

– Tak.

– Możemy założyć, że pani przewidywania są oparte na interpretacji danych sejsmologicznych. Ale te przewidywania dotyczą tylko akcji.

– Peabody i Ipswich leżą w odległości osiemnastu kilometrów.

– I to jest jakaś nowość?

– Ja tylko mówię, że nie ma bezpośredniego związku.

Rudman się odwrócił.

– Pani Holland?

Melanie zacisnęła wargi, odliczając w duchu do pięciu.

– Chciałabym ci przypomnieć, Renée, że chociaż prawdą jest, że to ja zwróciłam się do ciebie, to jednak ty wspomniałaś o pieniądzach i o zawarciu układu. Chcę ci też przypomnieć, że to ty zaczęłaś od celowego ukrywania, że dysponujesz informacjami, które mogą być mi pomocne, i to ty nie powiedziałaś mi, że nie dotyczy to nieruchomości.

Renée obdarzyła ją uśmiechniętym uśmiechem.

– Chcesz, żebym wyszła?

– Ależ drogie panie...

– Zależy mi na tym, żebyś mówiła p r a w d ę – powiedziała pobladła Melanie. – Tylko tyle.

– W porządku, panno Seitchek? Będzie się pani starać

mówić prawdę, żebyśmy mogli kontynuować? To dotyczy również pani Holland.

Melanie przyjęła pozę osoby przekonanej o swojej słuszności.

– A teraz, panno Seitchek, no tak... – Rudman podrapał się po wąsach. – Pani Holland oświadczyła, że liczyła pani na to, że postawi, tak, pięćdziesiąt tysięcy dolarów, co jest kwotą, którą możemy uznać...

– Nie – powiedziała Renée z emfazą. – Nie. Powiedziałam, że chcę m i n i m u m pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Powiedziałam też, że im bliższe prawdy będą moje informacje, tym więcej powinnam dostać.

– Nigdy na nic takiego się nie zgodziłam.

– A czy powiedziałam, że się zgodziłaś?

– Drogie panie...

– Powiedziałam też, że z mojej strony postawię tyle pieniędzy, ile będę mogła. I jestem gotowa to zrobić. – Wyjęła plik banknotów i rzuciła je na biurko Rudmana.

– Gotówka! – wykrzyknął jak przerażony Faust, unosząc się lekko z fotela.

– Zabierz to – odezwała się Melanie.

– Panno Seitchek, proszę, no tak. To bardzo wzruszający gest, ale naprawdę powinna trzymać je pani w bezpiecznym miejscu. Chyba pani nie chce, żeby tak leżały na czyimś biurku, niespięte gumką i tak dalej. Właśnie miałem panią poinformować, że pani Holland, z całym szacunkiem, nie zgadza się na propozycję



zabezpieczenia i ruchomej stawki. W zamian nalega na ustalenie górnej granicy na poziomie zaproponowanych przez panią pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Renée wstała i wcisnęła banknoty z powrotem do kieszeni.

– Nie ma mowy.

– Pani Holland?

Melanie przekrzywiła mechanicznie głowę, jak ptaszek.

– A o jakiej granicy myślisz, Renée? A może w ogóle nie chcesz żadnej granicy? Może myślałaś, żeby po prostu dostać trzydzieści procent?

– Milion dolarów.

Melanie drwiąco wypuściła powietrze.

– Ile tu jest gotówki, panno Seitchek? Jeśli mogę zapytać.

Lekceważąc go, zrobiła krok w stronę Melanie i zwróciła się wprost do niej:

– Zamierzam ci powiedzieć, co się wydarzy z tymi akcjami w najbliższych trzech czy sześciu miesiącach, jak wolisz. Na podstawie moich zaleceń albo kupisz, albo sprzedasz akcje. Jeśli zarobisz pięćset tysięcy dolarów, bo dałam ci dobrą radę, to ja chcę z tego pięćdziesiąt tysięcy. Jeśli zarobisz dziesięć milionów, chcę milion. To jest dziesięć procent, aż do miliona. Jeśli nic nie zarobisz albo jeśli stracisz pieniądze, zatrzymasz gotówkę, którą mam teraz przy sobie. Tu jest osiem tysięcy dolarów.

Rudman kręcił głową i wymachiwał ramionami, starając się zakończyć tę rozgrywkę. Melanie podniosła na Renée błędny wzrok.

– To Louis! – krzyknęła. – To wcale nie ty. Ty... Ciebie nawet tu nie ma! To Louis!

– Och, moja droga pani Holland. Proszę.

– Mylisz się – odpowiedziała Renée, trzęsąc się z nienawiści. – Bardzo się mylisz.

Rudman skinął głową w stronę Melanie.

– Widzisz? Ona mówi, że się mylisz. Widzisz? Ale, no tak, panno Seitchek, gdyby mogła nam pani na chwilę wybaczyć.

Poprowadził Melanie przez gabinet do mieszczącej się z tyłu sali konferencyjnej, wyłożonej precedensami. Słyszając szcęk zamka, Renée usiadła, zamknęła oczy i ciężko oddychała. Rudman wyszedł dopiero po pięciu minutach.

– Dziesięć procent do dwustu tysięcy, zabezpieczenie w wysokości ośmiu tysięcy.

Nawet się nie odwróciła.

– Nie – powiedziała i dodała, jakby było to obce słowo i nie była pewna, czy dobrze je wypowiada: – Nie.

Wycofał się za drzwi. Tym razem wrócił już po minucie.

– Ostatnia propozycja, panno Seitchek. Trzysta pięćdziesiąt tysięcy.

– Nie.

I znowu szczęka zamka. Myślała, że jest sama, ale nagle poczuła jego dłoń na ramieniu, a jego wąsy zbliżyły się do niej niebezpiecznie.

– Powiedziała pani nie?

– Zgadza się.

– Pozwoli pani, że zadam pytanie, panno Seitchek. Małe pytanie, dobrze? Co, do kurwy nędzy, pani wyprawia?

Siedziała ze wzrokiem wbitym wprost przed siebie.

– Jasne, Hałwałd to wielka szkoła, i może też pani jest wielką małą doktorantką, ale, och, trzysta pięćdziesiąt tysięcy...

– Przed opodatkowaniem.

– Czy nie jesteśmy małą cholewną chytłuską? Słyszałaś pani kiedyś o czymś takim jak umiałkowanie? O wycofaniu się, kiedy jeszcze odnosi się sukcesy? O współczuciu dla kobiety, której najwyraźniej brak piątej klepki? Jestem pewien, że nie muszę pani mówić, że ona tam nakłania mnie do przyjęcia pani warunków. Wie pani, co mi właśnie powiedziała? Powiedziała, że jest pani Diabłem, Diabłem przez wielkie D, mówię pani, ona tłaktuje to dosłownie, klnę się na Boga. Utrzymuje tak z zupełnie poważną miną! I taką osobą pani naciska. Ale między nami mówiąc, moja panno, nie jest pani Diabłem. Jest pani zatłuszczoną, małą doktołantką, która Bóg jeden raczy wiedzieć jak bardzo uwzięła się na miłą damę, jaką jest pani Holland. I chce pani wiedzieć coś

jeszcze? Nie dostanie pani więcej niż trzysta pięćdziesiąt tysięcy. Nie muszę pani mówić, że mamy tu do czynienia z osobą, która straciła poczucie proporcji. Dałaby pani cały milion, ale ja na to nie pozwolę. Może się nawet całkiem załamać i trafić do domu wariatów, tyle mnie to obchodzi, ale nie dopuszczę do tego, żeby przekazała milion docłów jakiejś małej szui sprzedającej tajemnice za plecami swojego pracodawcy. Mówię pani, właśnie tak o pani myślę, panno Seitchek. Dla mnie jest pani zatłuszczoną, małą, zimną flądłą. Słyszysz mnie pani?

Pozostawała bez ruchu.

– Tak, i dla pani informacji, faceci raczej nie są mniej wymagający niż ja.

– Po opodatkowaniu – powiedziała cicho. – Sześćset po opodatkowaniu da mniej więcej trzysta pięćdziesiąt. A jeśli się pan nie zgadza, wychodzę.

– Hej, świetny pomysł. Może od razu pani wyjdzie? A może powinienem wytłumaczyć pani coś o sprzedaży pakietów akcji? Może jakaś lekcja o zyskach kapitałowych? Słyszała pani kiedyś o tym? O opłatach maklerskich? Ale co ja, pewnie zna pani na pamięć kod podatkowy.

Zerwała się z fotela i zanim zdążył ją powstrzymać, już była w sali konferencyjnej. Melanie szlochala, oparta o owalny stół.

– Sześćset tysięcy – powiedziała Renée, uwalniając się z uchwytu Rudmana. – S z e ś ć s e t t y s i ę c y.

– Z a m k n i j s i ę! Z a m k n i j s i ę!

Melanie chwyciła błagalnie Rudmana za rękę.

– Henry, zrób tak!

– Pani Holland...

– Zrób tak. Powiedziałam, zrób tak. Zrób tak i będziemy to mieli za sobą.

## 10.

Północ w pomieszczeniach komputerowych. Huk wentylatorów i klimatyzacji wypełnia je szczelnie, aż po same kąty, jak powietrze w napompowanym materacu. Wszystkie ekrany terminali przygasły. W osobnym boksie drukarka wierszowa bębni cyframi po papierze. Obok drukarki laserowej leży wczorajszy „New York Times”. Nagłówek głosi:

BADANIA DOWODZĄ, ŻE TO GŁĘBIA ZWIĄZKU, A NIE  
JEGO INTENSYWNOŚĆ, JEST KLUCZEM DO SZCZĘŚCIA

Gdzieś w oddali zamykają się drzwi, czyjeś kroki rozbrzmiewają coraz słabiej, ale nagle stają się bardziej donośne, odbijają się echem w klatce schodowej, coraz głośniejsze w niespiesznym schodzeniu i już niesamowicie hałaśliwe, gdy docierają na piętro pomieszczeń komputerowych. Nawet na moment się nie zatrzymują. Korytarz naliczył ich dwadzieścia cztery, kiedy otwierają się drzwi rampy załadowniczej; ostatnim dźwiękiem jest stukot zatrzaskiwanych drzwi.

Diody na obudowie jednostki centralnej migoczą ze zrozumieniem.

Drukarka zapełniła już metalowy koszyk, a podłużna sceneria w pojedynczym oknie od strony ulicy zdążyła się zmienić na błękit o wymiarze pięćdziesięciu sążni, na zieleń o wymiarze dziesięciu sążni, na spływające mgliste żółte barwy letniego poranka, zanim pojawili się pierwsi

studenci. Przynoszą kawę i poruszają się ostrożnie, jakby brodzili przez głęboki do pasa odpływ nocy.

Przed budynkiem, obok muzeum Peabody i znajdującej się w nim kolekcji szklanych kwiatów, rośnie niezbyt atrakcyjny dereń. Turyści fotografują się przed tym drzewem trzydzieści czy czterdzieści razy dziennie, przywiązując je do swojego życia jak biernego widza oskarżonego o wymaginowane zbrodnie i rozstrzeliwując je w trybie doraźnym. Zdjęcia drzewa znajdują się w albumach w Tokio, Jokohamie, na Hokkaido i w Stuttgarcie, Padwie i w Rijadzie, i w Malmö.

Na tarasie otaczającym studencki salonik, na najwyższym piętrze budynku, słońce jeszcze nie zdążyło wypalić rosy z pary półkolistych grillów, z kwadratowej butelki z podpałką i wielkich laboratoryjnych nożyc, którymi studenci przekładali węgle. Worek z węglem drzewnym leży oparty o barierkę, do cna wyczerpany. Wewnątrz saloniku, na stole obok windy, w przezroczystej plastikowej wazie pływają odbarwione plastry melona i kawałek jabłka z odchodzącą skórką. Na sofie leżą spokojne zwłoki śpiącego Howarda Chuna, z dłońmi złożonymi na piersiach. Trójkątne fragmenty czipsów ziemniaczanych walają się po brązowej wykładzinie.

Pozostałości fali typu P, poprzeczna niejednorodność, granica między jądrem a płaszczem,

tensor momentu sejsmicznego, trzęsienia nieopisywane przez parę sił, propagacja pęknięcia, przenikanie przez płytę, współczynniki wytrzymałości na ścinanie, aktywność sejsmiczna wewnątrz płyty, dekonwolucja, empiryczna funkcja Greena, tryby nieuprzywilejowane, poślizg asejsmiczny, migracja biegunów. Jeden ze studentów nazywa swoje programy imionami, takimi jak Kelly, Diane czy Martha. To imiona kobiet, za którymi albo chodził, albo chodzi. Lubi na głos wypowiadać ulubione polecenia:

– Ruszaj, Martha. Działaj, Kelly. Uruchamiaj się, Diane.

W gazecie napisano: „Wydaje się, że minęły już wieki od czasu, kiedy mężczyźni mówili do naiwnych kobiet w sposób otwarty i pełen samozadowolenia”.

System potrafi być irytujący, kiedy jest przeładowany. Wykonanie prostego zadania może trwać całą wieczność. System może wysyłać denerwujące komunikaty do twojego terminala. Może udawać zmarłego.

Jeśli zapomni się powiedzieć systemowi, żeby czegoś nie oczekiwał, będzie tego oczekiwał. Co kilka minut będzie wypluwał komunikat na papier w konsoli systemowej, informując świat, że chociaż użytkownik zapomniał o swoim spotkaniu, on o tym pamięta. Będzie wypluwał te komunikaty godzina po godzinie.

Kiedy nie ma co robić, system śpi. Budzi się, z dokładnością do setnych części sekundy wiedząc, która



godzina.

Czasami system zachowuje się irracjonalnie i wtedy musi przyjść ubrany w za ciasny garnitur młody facet z aluminiową teczką i sprowadzić go na ziemię. Jednostka centralna jest otwierana i poniżana przez wyjmowanie jej płyt, jednej po drugiej, aż zostanie odnaleziona ta niesprawna. A potem wszystko znowu jest w porządku.

Kiedy pojawia się Renée, w oknie jest ciemno. Krzesła zgromadzono w skupiska, jedno przy telefonie i jedno w rogu, przy ekranie plotera. Przesuwa je na kółeczkach z powrotem na miejsca, wkłada pięć puszek po napojach do pojemnika na segregowane odpady i wylogowuje się z terminali osób, które nie pomyślały, żeby to zrobić. Następnie wchodzi po pochylni do pomieszczenia centralnego i sadowi się pod kątem przy terminalu obok urządzenia automatycznej zmiany dysków optycznych, układając nogi po jednej stronie krzesła. Jest tak samotna i tak nieruchoma w huku jasnego pomieszczenia, tak techniczna w swojej kolorystyce, że chociaż wyraźnie widać ją przez szklaną szybę, przechodzący sedymentolog, który wsunął głowę przez drzwi, jest przekonany, że w pomieszczeniu nie ma nikogo.

Na kolorowy monitor wypływa obraz ziemi pod Tonga. Renée patrzy na każdy nieruchomy przedmiot w pomieszczeniu, na konsolę systemową, dyski pamięciowe, ściany, jednostkę centralną, napędy taśm,

zasilanie, procesor macierzowy, dygitalizator, regał z taśmami, na własne ciało, ściany, urządzenie automatycznej zmiany dysków. Odczuwa czujność i wieczność. Uważnie słucha hałasu, próbując doszukać się w nim sensu, wzoru lub aluzji, chociaż wie, że jej się to nie uda. Ale gdzieś w tle tego hałasu są jakieś cienie hałasów – tupot, chichot, liczących elektronów.

Howard Chun wchodzi o północy do pustego pomieszczenia, niosąc koktajl mleczny i duży radiomagnetofon tranzystorowy wielkości dwuszufladowej szafki na dokumenty. Po zalogowaniu się w sześciu terminalach pracuje, słuchając *Eroi*ki.

Potem, już po jego wyjściu, nocny wiatr za oknem toczy papierowym kubkiem po jezdni. Szum systemu może zagłuszyć westchnienia wiatru, ale nie stukot kubka.

Jeszcze później od ściany odkleja się i odgina róg oceanicznej mapy. Po trzech tygodniach odlepi się kolejny róg, a osoba, która następnego dnia pojawi się w pracy jako pierwsza, znajdzie na podłodze pozwijaną mapę.

Jest ranek, trwa fotografowanie derenia. W gazecie jest napisane: „Choć jedzenie to nie to samo co miłość, i tak jest przyjemne i ma swoje zastosowania”.

Palą się wszystkie światła. Pływające bokiem puszki po napojach unoszą się na morzu papierowych śmieci. Pękniętą plastikową półkulę globusa w pokoju wypełniają

łupiny orzeszków ziemnych, a przednia płyta kaloryfera, którego wiatrak może też dmuchać chłodnym powietrzem, leży na podłodze, odwrócona gnijącym arkuszem piankowej izolacji do góry. W pomieszczeniu sprzętowym, na jednostce centralnej, obok modemów leży papierek po ciasteczku Twinkie i lepki kawałek pudełka po ciasteczkach Twinkie.

Przez siedem lat, które minęły, odkąd się zaczął, szum urwał się tylko raz. Było to w sierpniu, w sobotę po północy, kiedy zerwał się pas w klimatyzatorze. Dzwonek alarmu powiadomił ochronę na kampusie, ale ponieważ nie było śladu włamania, a klimatyzator szumiał jak zwykle, ochroniarze wyłączyli alarm. Temperatura w pomieszczeniu sprzętowym wzrosła do 55°C, zanim Renée przysłała do pracy i należycie przerażona wyłączyła cały system.

Jakaż tego dnia zapanowała cisza. Jakby człowiek stał nad oceanem, z którego spuszczone całą wodę.

System uważa, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat w Ameryce wyeliminowano wszelkie znaczące różnice między ludzką i sztuczną inteligencją. System uważa, że wszystkie żywotne funkcje przeciętnej amerykańskiej inteligencji można obecnie symulować za pomocą programu składającego się z jedenastu tysięcy wierszy, wspomaganego przez sześć bibliotek Zwrotów i jedną bibliotekę Opinii, w sumie zajmujące poniżej ośmiu megabajtów. Średniej klasy laptop z twardym dyskiem

jest w stanie obsługiwać taki program, który potrafi wykonywać dokładnie te same umysłowe zadania, co losowo wybrany Amerykanin: może w sposób realistyczny symulować strukturę jego wydatków, mechanizm reakcji na sytuacje kryzysowe, jego zachowania polityczne.

Obejmujący czas od piątej do szóstej trzydzieści po południu program dnia roboczego dla mężczyzny mógłby wyglądać w sposób następujący:

3080 pragnienie = pragnienie + desync  
3090 koniecpracy  
3100 IDŹDO samochód  
3110 pragnienie = pragnienie + desync  
3115 jeśli pragnienie(1) < .67 to 3120  
    JEDŹDOPARK Pojedyncze(n)  
    idź picie wybór  
    na seksowny 3200  
3120 jeśli pieniądze > 6i jeśli czas > 1 jeśli pragnienie(6) > .5 idź do  
zakupy  
3130 jeśli paliwo > .5 jeśli czas > .5 idź do napełnić  
3140 JEDŹDOPARK Dom  
...  
zakupy  
pragnienie = pragnienie + desync  
odczyt krótkiej potrzeby/dużej potrzeby/dużej chęci  
idź do dziel potrzeby: potrzeby.tymcz; gotówka;  
    JEDŹDOPARK CentrumH(n)  
    idź do CentrumH(n, potrzeby(1))  
    na najnowszy prod idź do zakup impuls  
    na blask idź do zakup impuls  
KUP potrzeby(1)

jeśli gotówka < 6i zakończ  
jeśli pragnienie(2) < .5 to 80  
    CZUJ pragnienie(2)  
    idź do kolacjapozadom  
80 następane potrzeby

kolacjapoza dom  
10 idź do wybórjedzenia  
kolpasuj CentrumH(n), f(1)  
    na nie pasuj idź do wybórjedzenia  
    IDŹ DO CentrumH(n, f(1))  
    jeśli alkohol to alk=(0,1) jeśli nie alk=(1,0)  
    KUPJEDZ f(1), [d(1a, 1b)\*alk]  
    na seksowny 3200  
    pragnienie(2)=pragnienie(2)-{dwartość(f1)]  
    jeśli pragnienie(2) < /5wyjdź jak nie 10  
3200 CZUJ pragnienie(1)  
idź do onaocena  
    jeśli (ona\*pragnienie(1) < .5 opuść pętlę  
    pragnienie(1)=2\*pragnienie(1)  
    bibl wywoł:tematrozm/:miarozm  
    idź do zabierz

[zabierz  
POWIEDZ „CZEŚĆ”  
na afront zakończ  
znajją=ona/10  
    110 odczyt \$onamówi  
    szukaj tematrozm  
    ppasuj \$onamówi \$odpowiedz  
    usu: pwart przydzielone w ppasuj  
POWIEDZ \$odpowiedz  
na afront zakończ  
znają=znajją+pwart  
    idź do onaocena

```
jeśli ona*pragnienie<.5 zakończ
jeśli znają<.67 to 110
POWIEDZ „Posłuchaj jeśli jesteś wolna może
chciałabyś”:$wiersz(n)
odczyt $onamówi
```

```
[wybórjedzenia
randomizacja
jedzenie=wew(rnd*10)
utwórz d1
jeśli jedzenie=1 to f1= d1= zakończ
jeśli jedzenie=2 to f1= d1= zakończ
jeśli jedzenie=3 to f1=...
jeśli(wydatekutrata*gotówka)<mkryt to dom
3150 oglądanie wiadomości
bibl wywoł:ostrestłowa
...
...
```

Można to zakwestionować. Czy sztuczna inteligencja potrafi czytać książki ze zrozumieniem? Czy może stworzyć naprawdę oryginalny obraz albo skomponować symfonię? Czy jest w stanie rozróżnić między faktem a zaledwie obrazem i na podstawie tych różnic podejmować odpowiedzialne decyzje polityczne?

System wskazuje na to, że program symuluje inteligencję przeciętnego Amerykanina w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku.

Można nadal się sprzeciwiać, że żadna maszyna, nawet najbardziej zaawansowana, nigdy nie będzie w stanie subiektywnie c z u ć niebieskiego koloru czy

s m a k o w a ć cynamonowego smaku albo b y ć świadomą siebie w myśleniu.

System uważa to za rzecz nieistotną i niebezpieczną. Ponieważ kiedy dopuści się subiektywność do dyskusji logicznej, kiedy przyzna się realność zjawiskom, których nie da się zweryfikować przez urządzenie czy reakcję chemiczną, kiedy powie się, że subiektywna reakcja człowieka wobec cząstek cynamonu w formie „Och, cynamon!” ma jakiegokolwiek znaczenie, otwiera się puszkę Pandory. Ani się obejrzymy, a usłyszymy, jak ktoś mówi, że interpretuje ciszę na szczycie góry jako „Och, otacza mnie wieczysta obecność!”, a ciemność sypialni późno w nocy jako „Och, mam duszę, która wykracza poza swoje fizyczne ograniczenia!” – a to już prosta droga do szaleństwa.

Dużo mądrzej jest żyć racjonalnie, tak jak robi to urządzenie. Głosować na człowieka o najsurowszym podejściu do handlarzy narkotyków. Twierdzić, że w kwestii smaku cynamonu rzeczywista jest jego zawartość informacyjna: mówi naszemu mózgowi – i to przez samą reakcję chemiczną, cynamon nie jest bowiem pożywny – „zjedz mnie, jestem dla ciebie dobry”. Zdecydowanie mądrzej jest śmiać się z osoby, która ci mówi, że bez subiektywnego doświadczenia smaku cynamonu powiesiłbyś się już w wieku trzynastu lat i że bez subiektywnego doświadczenia zapachu topniejącego śniegu twój stosunek do matki, żony czy córki nie

wykraczałby poza refleksję: „Jak to zrobić, żeby dała mi to, czego chcę?”. I tak jak niektórzy ludzie nie są w stanie czuć smaku, i tak jak przywódca narodu daltonistów mieszka w swoim czarnym Berlinie, szarym Tokio czy Białym Domu i szydzi z tych, którzy twierdzą, że mają jakieś uczucia związane z niebieskim, musisz nauczyć się szydzić z tych, którzy byli w górach i mówią, że czuli obecność Boga, i odrzucać wszelkie wnioski, jakie z tego doświadczenia wysnuwają.

Jeśli pozwolisz uczuciom podstępem nakłonić cię do myślenia, że w ludzkiej subiektywności jest coś wyjątkowego czy transcendentalnego, może się okazać, że zaczniesz się zastanawiać, dlaczego zorganizowałeś sobie życie w taki sposób, jakbyś niczym się nie różnił od maszyny służącej do nieprzyjemnej produkcji i przyjemnej konsumpcji dóbr materialnych. I dlaczego w imię odpowiedzialnego rodzicielstwa wpajasz własnym dzieciom ten sam etos konsumpcji, jeśli to nie materia jest istotą ludzkości: dlaczego zapewniasz, że ich życie będzie równie wypełnione artykułami, jak twoje, z tymi wszystkimi zadaniami, pętlami, wejściami i wyjściami, tak że przeżyją je bez większego celu niż tylko zachowanie systemu i umrą bez większego powodu niż ten, który wyczerpali. Możesz zacząć się martwić, że z każdym kupowanym urządzeniem, każdym wyrzucanym kawałkiem plastiku, każdym marnowanym litrem wody, każdym towarem, którym handlujesz,



każdym przejechanym kilometrem przyspieszasz nadejście dnia, kiedy na świecie nie będzie już ziemi, powietrza czy wody, które nie zostały zmienione, dnia, kiedy wiosna będzie mieć zapach kwasu solnego, a deszcz w lecie będzie aromatyzowany paradichlorobenzenem, woda w kranie będzie jasnoczerwona i o smaku Pepsi, a jedynymi ptakami będą wyszkolone wróble ćwierkające: „Tylko powiedz nie!” i sójki błękitne krzyczące: „Seks!” oraz kurczaki krążące po domach i proponujące: „Białe mięso!” – i jednego wieczoru będziesz jadł wołowinę, drugiego kurczaka, a następnego wołowinę, we wszystkich lasach będą rosły takie same gatunki sosen albo takie same gatunki klonu i nawet tysiąc mil od brzegu dno oceanu pokryte będzie porzeczkałym osadem brudu i plastikowymi butelkami po mleku, pływać tam będą tylko tuńczyki, sardynki i wielkie krewetki, i nawet w nocy na szczycie odległej góry wiatr będzie miał zapach wyciągu wentylacyjnego w McDonalddie, a ty będziesz słyszał alarmy samochodowe, telewizory i grzmot odrzutowców, w których pasażerom proponuje się do wyboru kurczaka lub wołowinę, natomiast natura, w której wszyscy kiedyś, świadomie czy nie, odczuwali immanencję wieczności, będzie martwa, a gazeta, którą możesz przeczytać na monitorze komputera, zakupionego dzięki ciężkiej pracy przy innym monitorze, poinformuje cię, że „człowiek jest wolny i wszyscy są równi” i że „minigolf jest nową

miejską grą”. I jakże byłoby niepokojące, gdyby się okazało, że taki świat nie wystarcza. Dlatego też dla własnego spokoju, skoro i tak niczego nie da się udowodnić czy obalić – skoro nasza nauka sama pozbawia się prawa do udzielania odpowiedzi na pytania, które dotyczą zdolności umysłu do odczuwania tego, co w sensie absolutnym i potwierdzalnym jest nieobecne – czyż ogólnie nie jest bezpieczniej założyć, że maszyny mają własną wirtualną duszę i uczucia?

Renée wróciła do domu z kancelarii Arger, Kummer & Rudman z przejmującym bólem głowy, potwierdzoną notarialnie, składającą się z dwustu siedemdziesięciu wyrazów umową i swoimi osiemdziesięcioma studolarowymi banknotami. Melanie, do końca nierozsądna, odmówiła przyjęcia banknotów w ramach zabezpieczenia.

Odpowiedziała na ogłoszenie w sprawie sprzedaży kabrioletu, forda mustanga z 1974 roku, czerwonego jak wóz strażacki. Mechanikowi, który zrobił przegląd samochodu, wręczyła jeden banknot studolarowy, specjalizującemu się zaś w bezkręgowcach zoologowi, który auto sprzedawał, kolejnych trzydzieści osiem.

Wybrała się do modnych sklepów odzieżowych przy Square, stanowiących filie sklepów, których główne siedziby znajdowały się na dolnym Broadwayu na Manhattanie. Kupiła krótkie, obcisłe spódniczki i błyszczące buty, szminki, letnie koszulki w cenie

dziesięciu dolarów za uncję, okulary słoneczne. Kupiła też skórzaną kurtkę i plastikową biżuterię.

Nazajutrz powróciła na Square, poszła przyszytych włosów i udała się na dalsze zakupy. Stojąc przed lustrem w sklepie odzieżowym i zastanawiając się, czy będzie potrafiła nosić niezbyt równo skrojoną spódniczkę w kolorze limety, ujrzała w odbiciu swoje oczy i przeszła ją myśl, że przez cały czas robi wszystko, żeby upodobnić się do Lauren Bowles.

Doszła do wniosku, że już dość na razie kupiła.

Mustang ściągał uwagę przechodniów, kiedy z opuszczonym dachem jechała na północ przez Cambridge i Somerville. Na drodze międzystanowej numer 93 zjechała na lewy pas. Przygnębiające było tylko to, że nie potrafiła znieść żadnej muzyki w radiu.

Powietrze w Peabody pachniało wodorostami. Na Main Street, przecnicę na wschód od banku Warren Five Cents Savings, zapukała dwa razy do okna redakcji „The Peabody Times”, zanim zauważyła napis w TEN PIĄTEK ZAMKNIĘTE. Oparła się o zderzak, przyciskając cienki materiał spódniczki do rozgrzanego słońcem metalu, i obgryzła trzy paznokcie na stosowną długość.

Na Andover Street odnalazła niezbyt stary budynek banku, który widziała na zdjęciu w „Globe” z 1970 roku w stadium oseska. Rdza poplamiała płyty pokrywające jego fasadę, chodnik był popękany, ogorzały i porośnięty zielskiem. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się pralnia

samoobsługowa, wypożyczalnia wideo i centrum „spa”, w którym sprzedawano piwo i artykuły spożywcze. Stojący za ladą mężczyzna był Portugalczykiem i powiedział jej, że od sześciu lat jest właścicielem tego lokalu. Rzuciła kupioną butelkę Pepsi na tylne siedzenie samochodu.

Krążyła po położonej za budynkiem banku dzielnicy robotniczej, mijając nadające się już prawie do rozbiórki białe domy parterowe, przejeżdżała przez opary acetonu o różnym stężeniu, jeździła w górę i w dół ulic kończących się ślepo na wysokim, otaczającym zakład ogrodzeniu z napisami ABSOLUTNY ZAKAZ WSTĘPU. Zatrzymała się przy domu, na którego ganku zauważyła siwowłosego mężczyznę. Chwiejnym krokiem, uważając na uszkodzone biodro, przeszedł przez trawnik i wbił w nią wzrok, jakby była Aniołem Śmierci, który jego zdaniem za wcześnie przybył swoim czerwonym mustangiem. Powiedziała, że nazywa się Renée Seitchek i jest sejsmologiem z Uniwersytetu Harvarda i że chciałaby zadać mu kilka pytań. W tym momencie był już pewien, że jest Aniołem, więc pokuśtykał z powrotem na swój ganek i z tej względnie bezpiecznej pozycji krzyknął:

– Pilnuj swoich spraw!

Próbowała szczęścia na innych ulicach i zaczepiała innych starszych mężczyzn. Zastanawiała się, czy to, że oni wszyscy są tacy dziwni, wynika z jakiegoś

szczególnego składu tutejszej wody.

Jakaś krępa kobieta przekopywała ziemię wokół wyraźnie zwiędłych róż i kiedy zobaczyła, że Renée przejeżdża po raz trzeci, zapytała ją, czego szuka. Renée powiedziała, że szuka ludzi, którzy tu mieszkają przynajmniej od 1970 roku. Kobieta odłożyła szpadel.

– Czy dostanę jakąś nagrodę, jeśli odpowiem „tak”?

Renée zaparkowała samochód.

– Czy mogłabym zadać pani kilka pytań?

– Cóż, jeśli to dla dobra nauki.

– Czy pamięta pani, by jakieś dwadzieścia lat temu na tamtym terenie stała jakaś szczególnie wysoka... konstrukcja, która wyglądała jak szyb naftowy?

– Oczywiście – natychmiast odpowiedziała kobieta.

– Czy pamięta pani, kiedy to było?

– A co to ma wspólnego z trzęsieniami ziemi?

– Cóż, sądzę, że firma Sweeting-Aldren może być za nie odpowiedzialna.

– A niech mnie diabli wezmą. Może zechcą naprawić mi sufit w kuchni. – Kobieta się roześmiała. Była zbudowana jak skrzynka na listy i miała szerokie usta pomalowane na pomarańczowo. – Jezu Chryste, nie mogę w to uwierzyć.

– Mam też drugie pytanie: czy ma pani może jakieś stare zdjęcia, na których mogłabym zobaczyć tę, no, konstrukcję.

– Zdjęcia? Proszę wejść.

Kobieta nazywała się Jurene Caddulo. Wskazała szary lej w kuchennym suficie i nie odpuściła jej, dopóki Renée nie znalazła odpowiednich słów dla wyrażenia swojego współczucia i oburzenia. Jurene powiedziała, że była sekretarką w liceum i od ośmiu lat jest wdową. W kuchennej szufladzie miała pięć tysięcy niepoukładanych zdjęć.

– Napije się pani likieru?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała Renée, gdy na stole pojawiły się butelki z likierem morelowym, Amaretto i Cherry Heering. Jurene wróciła z innego pomieszczenia, niosąc kilka wyjątkowo brzydkich kieliszków z rżniętego szkła w kształcie tulipanów.

– Nie uwierzy pani, ale zostały mi tylko dwa. Przed trzęsieniami ziemi miałam osiem. Myśli pani, że mogę ich pozwać? Są zabytkowe, takich już się nie kupi. Lubi pani Amaretto? Proszę. Dobrze jest, prawda?

Nieaktualne kupony przerywały nieuporządkowaną fotograficzną historię życia rodziny Caddulo. Córki Jurene, jedna w Revere i druga w Lynn, wydały na świat dzieci w przeróżnych kształtach i rozmiarach; Renée głowiła się nad grupowymi zdjęciami, próbując odpowiednio dopasować imiona i wiek. Renée potrafiła powiedzieć: „To na pewno Michael Junior”, co powodowało, że Jurene ponownie przeglądała inne zdjęcia, ponieważ wiedziała, że to nie Michael Junior, więc dziecko, które właśnie tak nazwała, musi być

Peteyem, i wtedy wszystko znowu było w porządku. Młodszy syn Jurene grał na gitarze. Były tam dziesiątki odbitek zdjęcia przedstawiającego jego zespół grający heavymetalową mszę, którą napisał w wieku siedemnastu lat i na której wykonanie w kościele nie zgodził się ksiądz, więc została odegrana właśnie tu, w piwnicy, bez sakramentów. Petey miał teraz inny zespół i jeździł przerobionym pikapem z napędem na cztery koła. Starszy syn objawił się jako dorosły w San Francisco, z wąsami i w skórzanej kamizelce, oraz pod postacią dalekiej, niewyraźnej plamy w todzie na niebieskawych zdjęciach, które prezentowały odbywające się w ponury dzień uroczystości zakończenia liceum. Jurene powiedziała, że starszy syn jest fryzjerem. Renée skinęła głową. Jurene dodała, że obaj jej potomkowie nadal szukają odpowiednich dziewczyn. Renée skinęła głową. W liceum i gimnazjum córki układały niefarbowane włosy w fantastyczne, utapirowane fryzury. Ciała miały zniekształcone, jak zabawki na basenie, przez czule ściskające je macki ojca, zmarłego na raka. W szufladzie Jurene znajdował się cały smutek lat siedemdziesiątych, okres, kiedy Renée nie była szczęśliwa i nie miała tego, czego chciała, miała natomiast pryszczki i znajomych, którzy ją zawstydzali, ten okres noszenia wielkich kołnierzyków spinanych pod węzłem krawata, podszew na koturnie, dzwonów i za długich włosów (czy upośledzeni umysłowo nie

zaniedbują strzyżenia włosów?), które z perspektywy czasu wydawały jej się teraz zarówno symbolem, jak i dosłownymi akcesoriami nieszczęścia.

Jurene nadal jeździła do tego samego domku, który wynajmowała od dwudziestu lat w Barnstable, na Cape. Wybierała się tam w niedzielę.

– Po powrocie z Cape tutejszy zapach czuję jeszcze przez dwa dni, zanim ponownie się do niego nie przyzwyczaję. Ale mogę pani powiedzieć coś naprawdę dziwnego: czasami to samo czuję na plaży na Cape.

– Jakby coś dzwoniło w uszach, tyle że dzieje się to w nosie.

– Nie, mówię o zapachu. Proszę. – Jurene wyciągnęła garść zdjęć zrobionych w niskiej rozdzielczości, przedstawiających bałwana, zamki ze śniegu i bitwy na śnieżki na małym trawniku przed domem. W tle każdego z nich, daleko za domami po drugiej stronie ulicy, widniała wieża wiertnicza Sweeting-Aldren. To nie mogło być nic innego; żaden znany Renée proces chemiczny nie wymagał takiej konstrukcji. Z tyłu zdjęcia była przybita pieczętka z datą: luty 1970.

– Mogę wziąć jedno z nich?

– Jasne, że może pani pożyczyć. Może poszukam negatywów.

Otworzyła szufladę, w której negatywy były tak ściśnięte, że niektóre natychmiast wyskoczyły z mebla i z furkotem spadły na podłogę. Zostawiła je tam, bo



przypomniawszy sobie o czymś, otworzyła puszkę maślanych herbatników i ułożyła je na malowanym talerzu. Renée uniosła kieliszek Amaretto do szarzejącego światła w oknie. Na nalepce butelki znajdował się napis: „Minister Zdrowia ostrzega – kobiety w ciąży nie powinny spożywać alkoholu w związku z zagrożeniem zdrowia płodu”.

– Muszę już iść – powiedziała.

Niebo ciemniało, jakby teren był na stoku i zsuwał się w przepaść. Na znajdującym się przed kompleksem biurowym parkingu z dobrym widokiem na Sweeting-Aldren usiadła na masce mustanga ze zdjęciami pani Caddulo oraz wydaną przez Instytut Geologiczny mapą topograficzną w skali 1:24 000 w dłoni i porównywała widok na chłodnię kominową, starając się metodą triangulacji wyznaczyć lokalizację wieży wiertniczej. Tysiące głazów wielkości świni lub krowy, niektóre z nich prawdopodobnie pochodzenia lodowcowego lub rodzimego, tworzyły wał podpierający zbocze wzgórza, na którym stał cały kompleks.

Tuż za jej plecami odezwał się jakiś głos:

– Ależ brzydkie dzieci.

Odwróciła się i opanowała nagły atak strachu. Obok samochodu stał Rod Logan, w dłoni trzymał leżące wcześniej na masce samochodu zdjęcie.

– Proszę mi to oddać – powiedziała.

Na parkingu z tyłu kierownicy niższego szczebla szli

do swoich lśniących samochodów. Najwyraźniej chcąc uniknąć sceny, Logan podał jej fotografię. Przeszedł na skraj asfaltu i zerknął na żółty staw rozpościerający się poniżej głązów.

– Wiesz co, powiem ci coś – odezwał się. – W dawnych czasach, jeśli gdzieś pętali się ludzie tacy jak ty, dostawali ostrzeżenie, a jeśli dalej to robili, dostawali łomot i nikt nawet nie próbował się skarżyć czy procesować. Tak się po prostu robiło. Ale ostatnio wszyscy stali się cholernie uprzejmi i delikatni. Doszło do tego, że mogę tylko poprosić cię grzecznie, żebyś się stąd wyniosła, a jeśli tego nie zrobisz, opuszczamy pewny grunt, jeśli wiesz, co mam na myśli. Nie wiemy, jakie są procedury. Nie ma w tej sprawie wytycznych.

Renée wsiadła do samochodu.

– Nawiasem mówiąc, eleganckie autko. Ciuszki też niezłe. Wygląda na to, że znalazłaś bogatego sponsora.

Uruchomiła silnik. Logan nachylił się nad nią, patrząc prosto na jej kolana.

– Do zobaczenia, Renée.

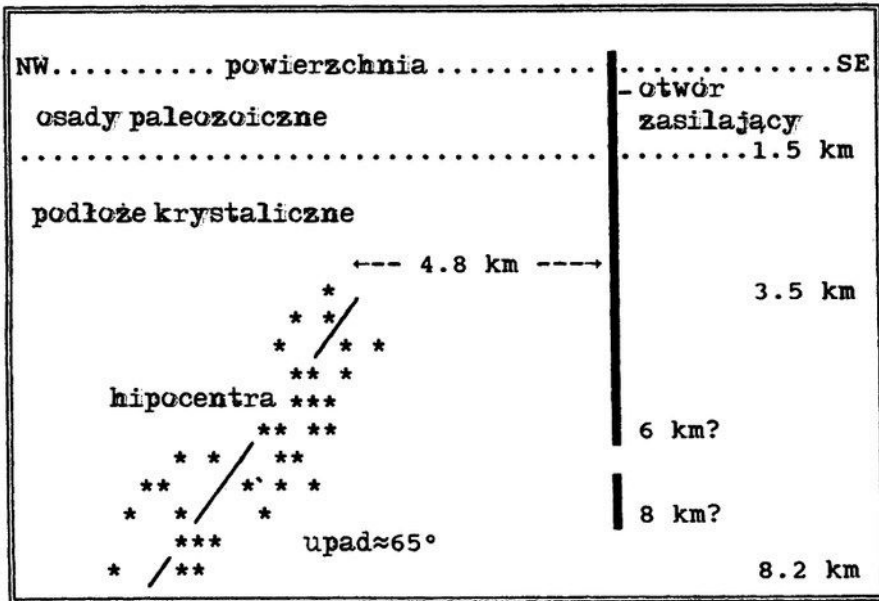
Jeszcze raz pojechała na Square i zajrzała do kliniki w Holyoke Center, po czym zaniósła negatywy pani Caddulo do powiększenia. Przez pozostałą część weekendu, w oba wieczory, do późna pracowała przy komputerze w laboratorium. Nikt jej nie przeszkadzał aż do niedzielnego popołudnia, kiedy kilku studentów wpadło tam na chwilę, przywitało się, uruchomiło Diane

itd. Nikt nawet nie zerknął na to, co pisze Renée.

Streszczenie jej artykułu brzmiało następująco:

Ostatnia aktywność sejsmiczna w Peabody, w stanie Massachusetts, oraz przedłużająca się sekwencja wstrząsów w 1987 roku wykazały seryjny charakter znanych wypadków indukowanej sejsmiczności. Jak dotąd podobieństwa były ignorowane w związku ze względnie dużą głębokością ognisk trzęsień ziemi (3–8 km) oraz brakiem zbiorników i otworów zasilających w rejonie ogniska. Jednak materiał fotograficzny i archiwalne dowody wskazują, że w latach 1969–70 firma Sweeting-Aldren Industries w Peabody wykonała odwiert poszukiwawczy na głębokość przekraczającą 6 km i że ten otwór następnie był wykorzystywany do składowania odpadów. Aktualnie prowadzone badania sytuują zaobserwowaną aktywność na stromo opadającym uskoku przesuwczym o kierunku SW-NE. Zaproponowano modele migracji płynów i ruchów uskoku, wyjaśniono czasowy rozkład zaobserwowanej aktywności sejsmicznej, a także omówiono pokrótce prawne konsekwencje roli Sweeting-Aldren.

Opisała warunki tektoniczne trzęsień ziemi w Peabody. Na najlepszym ze zdjęć lotniczych zaznaczyła prawdopodobne lokalizacje otworu. W przypisach wymieniła z nazwiska Petera Stoorhuysa i Davida Stoorhuysa. Wykonała ilustracje:



Napisała, że brak trzęsień ziemi między rokiem 1971 i 1987 wskazuje na to, że w bezpośrednim sąsiedztwie otworu zasilaającego nie było uskoku podlegającego naprężeniom. Dopiero po szesnastu latach płyn został wprowadzony na tyle głęboko w otaczające go skały, że dotarł do uskoku czy uskoków, na których miały miejsce trzęsienia ziemi. Wskazywało to na bardzo znaczne ilości wprowadzanych odpadów oraz na fakt, że formacje skalne na głębokości czterech kilometrów były na tyle luźne, żeby przyjąć taką objętość przy ciśnieniu pompowania dostatecznie niskim, żeby zapewnić opłacalność przedsięwzięcia. Normy prozy naukowej posłużyły do wyjaśnienia i spotęgowania żarliwości, z jaką pisała. Była tak pochłonięta swoją argumentacją,

że wręcz zaszokowało ją własne odbicie w drogich, frywolnych ciuchach, które miała na sobie, w lustrze damskiej toalety na drugim piętrze.

W poniedziałek wstała późno, a po południu odebrała powiększenia zdjęć pani Caddulo, kupiła czerwony lakier do paznokci i ponownie zatrzymała się w Holyoke Center. Powróciwszy do laboratorium Hoffmanna, zobaczyła, że w korytarzu obok jej biura stoi kluchowata, spalona słońcem kobieta, sprawiająca wrażenie bardzo zagubionej. Na piersiach żółtej bluzy dresowej i na udach żółtych spodni dresowych miała naszyte brązowe kawałki filcu w kształcie stokrotek, na przypiętym do ramienia znaczku widniał napis ADOPCJA A NIE ABORCJA. Renée słyszała, że od czasu do czasu wciąż zaglądali tu tego typu ludzie, ale od tamtego tygodnia, kiedy zaczęto nękać ją listowne i telefoniczne, osobiście nie spotkała nikogo.

Kobieta podeszła do niej i odezwała się konfidencyjnym tonem. Mówiła przez nos.

– Szukam doktor Seitchek.

– Och – odparła obojętnym tonem Renée. – Umarła.

– Umarła! – Kobieta cofnęła głowę jak urażona kwoka. – Bardzo przykro mi to słyszeć.

– Nie, żartuję. Nie umarła. Stoi przed panią.

– Stoi? Och, to pani. Dlaczego powiedziała pani, że umarła?

– To tylko żart. Niech zgadnę, po co pani przyszła. Przyszła pani do mojej kliniki aborcyjnej, żeby osobiście

złożyć skargę.

– To prawda.

– Jestem jasnowidzem – powiedziała Renée, dotykając dłonią skroni. Zauważyła, że Terry Snall zatrzymał się u dołu schodów. Stał z rękami na biodrach, było od niego kompletne osłupienie z powodu jej stroju. Odwróciła się do niego plecami. – Pozwoli pani, że zapytam – zwróciła się do gościa. – Czy ten budynek przypomina klinikę aborcyjną?

– Wie pani, właśnie sama się nad tym zastanawiałam.

– A zatem widzi pani, że to nie jest klinika. A ja nie jestem lekarką. Jestem geolożką. – Pod wpływem impulsu odwróciła się na pięcie i wyciągnęła palec. – Ale Terry wykonuje aborcje. W ten sposób dorabia sobie na boku, prawda, Terry?

– To nie jest zabawne, Renée. To wcale nie jest zabawne.

– Zaprzecza – wytłumaczyła – bo nie chce, żeby go pani nękała. Ale jest częścią tego całego aborcyjnego spisku.

Objęła się mocno ramionami i pokręciła piętą buta. Zapanowała niezręczna cisza, zakłócana jedynie przez popiskiwanie drukarki wierszowej za zamkniętymi drzwiami.

– No cóż – odezwała się przybyła kobieta. – Już raz mnie okłamała. Powiedziała, że umarła!

– Renée właśnie taka jest – stwierdził Terry. – Myśli,

że może robić, co tylko jej się podoba. Wydaje jej się, że jest kimś lepszym.

Renée ponownie się obróciła, wciąż obejmując się rękami.

– To dlatego, że mogę zrobić, co tylko mi się podoba. I zamierzam to zrobić, Terry! Tylko mnie obserwuj. – Podeszła do kobiety, która chociaż większa i wyższa, cofnęła się nieufnie. – Skąd pani jest?

– Skąd pochodzę? Jestem z Herculaneum, w Missouri. Ale teraz mieszkam w Chelsea.

– Należy pani do Kościoła Stitesa.

– Wielebnego Stitesa.

– Wielebnego Stitesa, który utrzymuje, że nie ma nic wspólnego z nękaniami telefonicznymi i listownymi.

– Ach, on nie ma z tym nic wspólnego, proszę spojrzeć. – Nie zauważając, że opuszcza słowo „nękanie”, kobieta rozpięła zamek błyskawiczny wypchanej beżowej torebki. – Mam tu list przesłany z Herculaneum.

Renée odwróciła się, żeby rzucić rozbawione spojrzenie na Terry’ego, ale już go nie było.

– Jak się pani nazywa? – zapytała kobietę.

– Ja? Pani Jack Wittleder.

– Miło panią poznać, Jack.

– Och, nie Jack. Jack to imię mojego męża.

– Aha. To jak pani ma naprawdę na imię?

– Znajomi i bracia mówią na mnie Bebe. Ale to nie jest moje prawdziwe, prawowite imię. Bo wie pani,

doktor Seitchek, nie wiem, jak u pani, ale w moich stronach, kiedy kobieta wychodzi za mąż...

– Tak, tak, tak.

Pani Jack Wittleder była urażona. Westchnęła i zatrzepotała rzęsami.

– Nie wiem, co pani robi na mojej liście, jeśli prawdą jest to, co pani mówi. To Oxford Street dwadzieścia? Nie mogło być pomyłki, jeśli to laboratorium Hoffmanna, a pani jest doktor Seitchek. Dzwoniłam do pani i dzwoniłam, i nikt nie odbierał. Telefon dzwoni, a pani nie o d b i e r a?

– Tak, tak to już jest.

– Ale musi być jakiś powód, dlaczego pani jest na tej liście. Czy pani...? Proszę mi powiedzieć, kiedy pani zdaniem zaczyna się ludzkie życie?

– W wieku trzydziestu lat.

Pani Jack Wittleder pokręciła głową.

– Dużo większym grzechem jest naśmiewać się z Pana niż być ateistą, doktor Seitchek. Bo ja, ja nie jestem kobietą wykształconą, na pewno nie mogę porównywać się z doktorem Uniwersytetu Harvarda, ale Pismo Święte mówi nam, że Boga nie poznajemy za pomocą umysłu, ale za pomocą serca, i nie widzimy go naszymi oczami, widzimy go naszym sercem, i może tak być, że moje serce wie lepiej, co jest dobre, a co złe, niż mózg profesora.

– Niewątpliwie. Ale widzi pani, jestem dosyć zajęta.



– Zbyt zajęta, żeby się zastanowić, co jest dobre, a co złe.

Renée się uśmiechnęła.

– Dobrze pani zrozumiała.

– Dobrze. Jest pani szczerą. To dobrze o pani świadczy. Podejrzewam, że nie czytała pani Pisma Świętego.

– Nie.

– Czy pani wie, że prawda o ludzkim życiu na Ziemi jest tylko w Biblii i nigdzie indziej?

– Tak, rozumiem, że chce mnie pani wciągnąć w rozmowę, ale...

– Nie, doktor Seitchek. Nie chcę pani wciągnąć. Chcę zabrać panią w miejsce, w którym znalazłam szczęście.

– I gdzie to jest?

– W Kościele, który jest oblubienicą Pańską. W Kościele wielbnego Stitesa.

– Ach, rozumiem. Oblubienica Pańska jest w kamienicy w Chelsea.

– Zgadza się.

– I chodzi pani po takich klinikach, jak ta, i stara się zwerbować nowych członków spośród waszych sympatyków w tych miejscach.

– Nie. Tylko wtedy, kiedy widzę szansę zasiać jakieś ziarno w ludziach.

– Tak, cóż, ja już zostałam zasiana.

Pani Jack Wittleder rozejrzała się po korytarzu, chcąc

się upewnić, że są same. Ściszyła głos:

– Co pani dokładnie ma na myśli, doktor Seitchek?

Z twarzy Renée zniknęło rozbawienie.

– Nic. Zupełnie nic.

– Proszę pójść ze mną – nalegała pani Jack Wittleder.

– Wielebny Stites jest miłym i uczonym młodym człowiekiem, tak bardzo mi pomógł. Jestem pewna, że pani też może pomóc.

– Nie potrzebuję takiej pomocy.

– Pani ze mną rozmawia. Nikt inny nie podał mi ręki.

Proszę ze mną pójść i sama pani zobaczy.

Renée ruszyła korytarzem i odwróciła się przed ogromną ilustracją prezentującą Ziemię na głębokości 1500 kilometrów. Wróciła, rozpluwając się w uśmiechniętości.

– Dobrze, pani Wittleder.

– Mów mi Bebe.

– Bebe, z ochotą pójdę z tobą. Szczęśliwa? Pójdę z tobą i zobaczę twój śliczny Kościół. Terry! – zawołała. – Terry!

W drzwiach pojawiły się broda, czerwone wargi i okulary.

– Co?

– Chcesz pojechać ze mną do Chelsea? Zobaczyć sławny Kościół? Mógłbyś porozmawiać z ludźmi, którzy blokowali twój telefon. Powiedzieć im kilka słów do słuchu.

Terry pokręcił złowieszczo głową.

– Na pani miejscu – zwrócił się do Bebe – nie zabierałbym jej. Chce tylko narazić panią na wstyd.

– Och, dziękuję ci bardzo – odparła Renée.

– Chce tylko wyrównać rachunki – dodał Terry.

– Boże, jaki słodki chłopczyk.

– Już dwa razy mnie okłamałaś – zreflektowała się Bebe.

– Ale teraz nie kłamię. Poczekaj więc sekundę. – Weszła do sali komputerowej i skopiowała swój nowy artykuł na pięcioipółcalową taśmę, założyła pierścień zabezpieczający przed zapisaniem i zostawiła ją w szufladzie. W innym miejscu schowała powiększenia zdjęć.

Następnie udały się do Chelsea.

Przez całą drogę na Park Street Renée czuła na sobie pożądlive spojrzenie obserwującego ją psa przewodnika niewidomego mężczyzny. Bebe obdarzała protekcyjnym uśmiechem każdego pasażera w wagonie metra – nawet do ślepcy uśmiechnęła się z wyższością, a do każdego czarnoskórego po kilka razy – ale Renée podejrzewała, że wynikało to raczej z wyniesionego ze Środkowego Zachodu braku pewności siebie niż z arogancji.

– Masz pióro? – szepnęła, pokazując głową na umieszczone nad fotelikami ogłoszenie organizacji Planowania Rodziny. – Dlaczego nie zamalujesz tego

ogłoszenia? Albo zaczekaj. Dlaczego po prostu nie wstaniesz i go nie zedrzesz?

– Tak nie można.

– Och, daj spokój – szepnęła Renée. – Zrób to. Mniejszym przestępstwem jest zapobiec większemu przestępstwu.

– Tak nie można.

– Boisz się, co ludzie powiedzą. To znaczy, że twoja wiara nie jest dość silna.

– Moja wiara – odpowiedziała Bebe, dotykając brązowej stokrotki na piersiach – to moja sprawa.

Ze stacji metra Wood Island do Kościoła Działań w Chrystusie był szmat drogi. Chelsea Street biegła obok gigantycznych bębnow oznaczonych czerwonymi liczbami w białych kółkach. Biegła przez most zwodzony, którego kratowana powierzchnia śpiewała pod kołami licznie przejeżdżających samochodów. Renée spojrzała w górę na wiszący nad nią masywny betonowy przeciwcieżar (wielkości przyczepy kempingowej) i zastanawiała się nad tym, że zamknięte w szkle bogactwo śródmieścia Bostonu potrzebuje przeciwwagi w tych przemysłowych kilometrach kwadratowych, gdzie na pustych działkach zbierały się niesione wiatrem gnijące gazety, boczne uliczki podziurawione były lejami, a robotnicy mieli twarze w kolorze azotkowej czerwieni hot dogów ze stadionu Fenway. Przez most przejechał ford escort z fluorescencyjnymi zielonymi

wycieraczkami na przedniej szybie, a tuż za nim corvette, która ogłaszała się jako Oficjalny Samochód Bezpieczeństwa siedemdziesiątego wyścigu w Indianapolis 500, 27 maja 1985.

Bebe szła niesamowicie wolno. Powiedziała, że jest w Kościele od pięciu miesięcy. Jej dzień zaczynał się o świcie wspólnymi modlitwami i śpiewaniem hymnów, a potem jadła śniadanie. Praca misyjna, która była „dobrowolna, ale mile widziana”, rozpoczynała się o 8:30. Miejsc do pikietowania było mnóstwo i zachęcano członków Kościoła do pikietowania na zasadzie każdy z każdym, w grupach składających się od trzech do sześciu osób. „Dwunastki” tworzone, gdy przez wspólnotę przechodził duch i dwunastu Wybrańców spontanicznie postanawiało zapobiec dziennej puli morderstw w jednej z kilku cieszących się złą sławą klinik. Bebe jeszcze nigdy nie znalazła się w Dwunastce, chociaż była świadkiem aresztowania jednej z nich i odwiedzała jej członków w areszcie. Powiedziała Renée, że ostatnie pięć miesięcy było najbardziej znaczącym i wypełnionym światłem okresem w jej życiu.

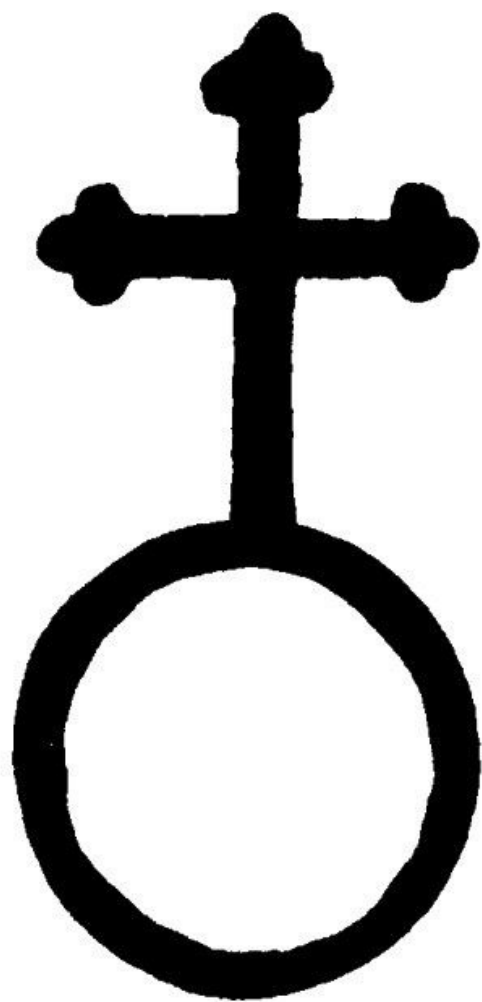
„Bóg jest... za zakazem przerywania ciąży!” – głośił transparent nad wejściem do kamienicy. Budynek był ostatnim z kompleksu ceglanych klocków z małymi kwadratowymi oknami; jakby projektujący go architekt przewidział, że w przyszłości gmach zostanie kościołem, centralne przezrocze było pionowo przecięte przez

wąskie, przywodzące na myśl katedrę okna.

Kilkadziesiąt kobiet pracowało w głównej sali, pokrytym linoleum pomieszczeniu z niskim sufitem, gdzie kiedyś mieścił się prawdopodobnie dom kultury lub żłobek. W powietrzu unosił się radosny zapach farb temperowych.

– Jutro będzie z nami moja siostra – powiedziała jakaś starsza artystka, wykańczając plakat, który Renée przeczytała, odwracając głowę:

KOBIETY JEDNOCZĄ SIĘ



W CHRYSZTUSIE

– Już prawie się poddałam, a tu nagle zadzwoniła i powiedziała, że przyjeżdża.

– Bogu niech będą dzięki, chwała Jezusowi.

– Amen.

„Twoja wygoda jest ludobójstwem”. „Jezus był nieplanowaną ciążą”. „DZIĘKUJĘ, MAMO, KOCHAM ŻYCIE”.

Bebe gdzieś zniknęła, zostawiając Renée samą pośrodku pomieszczenia, ubraną na czarno i w czarnych okularach przeciwsłonecznych, w otoczeniu kobiet w przeróżnym wieku, w pastelowych strojach i z agresywnie nieerotycznymi fryzurami. Coraz więcej z nich zaczynało się jej przyglądać. Jeszcze dwa tygodnie wcześniej te pełzające po całych jej plecach spojrzenia mogłyby sprawić, że straciłaby nad sobą panowanie, ale teraz potrafiła im się oprzeć.

Jakaś stojąca z przodu sali kobieta w białym dresie, z gwizdkiem i krzyżem na szyi klaskała w dłonie. Wyglądała jak wszystkie nauczycielki wychowania fizycznego, które Renée miała w liceum.

– Zbierajmy się wszyscy, czas to posprzątać. Obejrzymy razem film. Ruszajmy się! Sprzątamy! – Obchodziła pomieszczenie dookoła, opuszczając porwane rolety do zaciemnienia, a tymczasem malarki posłusznie zamykały słoiki z temperami. Renée stanęła pod tylną ścianą. Była tu też smętna mała grupka mężczyzn; siedzieli po turecku i wpatrywali się we



własne ręce.

Kobiety zgromadziły się jak zastęp skautek przed wózkiem ze sprzętem wideo. Światła zgasły. Przedstawienie się zaczęło.

Oparta na trzech akordach muzyka z Marin County, żrebak ssie mleko klaczy na oświetlonym letnim słońcem polu z górami Tetons w tle. Uroczę szczenięta lisa truchtają leśną ścieżką za swoją matką. Ptaki śpiewają i wpychają jedzenie w dziobki piskląt. *Zmiana planu na klub w TriBeCa na Dolnym Manhattanie, wycie gitar, migają światła stroboskopowe. Kobieta w okularach słonecznych i fioletowej szmince śmieje się, pokazując zęby, i mówi: „Czyny sprzeczne z naturą”.* Z powrotem wierzchołki Tetons, piegowata matka w sukience z kraciastej bawełny patrzy na swoje dzieci, które dopiero uczą się chodzić i zbierają polne kwiaty. Słońce świeci przez jej kasztanowe włosy. „Mamusi!” – krzyczy dziecko. Gdzieś w oddali w drgającym powietrzu ojciec rąbie drewno. Pod kraciastą bawełną widać krągłość nowej ciąży. *Gitary wyją za drzwiami supernowoczesnej damskiej toalety, w której dwie czarnoskóre dziewczyny w wysokich szpilkach wyginają plecy jak królowe porno, biorąc do nosa działki kokainy. Terkoczący najazd kamery przez drzwi pustej kabiny: dwudziestoczytygodniowy płód, naturalnie czerwony, unosi się w wodzie muszli.* Ekspozycja poklatkowa rozkwitania pokrytej meszkiem goryczki. Drepczące szczeniaki piesków preriowych. Cieleń wyciągające szyję do dójki

krowy. Kaczątka w Jackson Hole. Przy roztańczonym ogniu, za pokrytym wazeliną obiektywem, Matka Boska Sukienki z Kraciastej Bawełny trzyma na każdym kolanie po jednym dziecku i całuje je bez końca. *Gitary jeszcze bardziej dysanonsowe. Białe dłonie, czarne dłonie, dłonie z ciężką biżuterią energicznie naciskają przycisk spustu wody w toalecie, ale płód jest jak jeden z tych balasków, które nie chcą spłynąć. Migają światła stroboskopowe. Powstrzymane dłonie wykręcają się z wściekłości. Dziecko kołysze lalkę do snu. Klacz i żrebak cwałują w superzwolnio...*

Członkowie Kościoła z wiejskich terenów Alaski, z wiejskich terenów Missouri, z Karoliny Północnej i Karoliny Południowej, z Buffalo, Indianapolis i Shreveport w zupełnym spokoju, jak pacjenci w szpitalu, przyjmowali podawaną im dawkę tej filmowej finezji. Tylne drzwi sali co chwilę się otwierały, wpuszczając światło słoneczne i umęczonych misjonarzy, którzy układali transparenty na podłodze i poszerzali nabożny krąg wokół telewizyjnego ekranu. Renée szeroko rozdziawiła usta. Myślała o tym, jakie to szczęście, że tu przyjechała, jak niewiele brakowało, żeby tego nie zrobiła.

– ...*W Sunnyvale Farms nie zobaczycie eksponowanej za ladą pornografii. Nie znajdziecie środków antykoncepcyjnych na półkach, do których z łatwością mogą dostać się wasze dzieci. Sunnyvale Farms to coś więcej niż tylko sklep ogólnospożywczy, to dom z dala od domu – w a s z dom. I pamiętajcie, z każdego*

*wydanych przez was dziesięciu dolarów przekazemy datek na wojnę z narkotykami. Żeby pomóc zmienić ten świat w bardziej słoneczne miejsce dla waszych dzieci. Sunnyvale Farms: rodzinny sklep ogólnospożywczy.*

– To z jakiego jesteście czasopisma? – zapytał Renée stojący przy jej boku młody mężczyzna z Południa. Miał puciołowatą twarz, gładką i ciemną, włosy przypominające wąsy kukurydzy, a w jego postawie dało się dostrzec jakąś asertywność, w jego okularach i skrzywieniu głowy zaś pewność siebie, przypominające jej o Louisie Hollandzie. Philip Stites.

– Nie jestem z żadnego czasopisma – odpowiedziała.

– Z dziennika, stacji telewizyjnej, stacji radiowej?

– Nie.

– No, mów. Skończyły mi się pomysły.

– Nazywam się Renée Seitchek.

Stites nachylił się nad jej twarzą, z boku, jak okulista.

– No jasne! Oczywiście. Co tu robisz?

– Oglądam... najbardziej obrzydliwe wideo w życiu.

– Mocna sprawa, prawda? Posłuchaj, Renée, bardzo chętnie z tobą porozmawiam. Mogłabyś tu jeszcze przyjść? Ale możesz też zostać, jeśli chcesz. Będę zajęty do mniej więcej osiemnastej trzydziści.

– Zobaczę, ile jestem w stanie tego znieść.

– Dobry układ. Hej. – Ściągnął na siebie jej wzrok. Na jego granatowej marynarce widać było wygniecenia, a złoty krawat był poluzowany. – Naprawdę się cieszę, że

przyszłaś. Mówię poważnie.

Przeszedł przez zaciemnione pomieszczenie, lawirując między swoją trzódką, i wyszedł przez boczne drzwi. Kilku wyznawców podniosło się i ruszyło za nim. Pozostali dalej oglądali reklamy, trwające jeszcze prawie całą następną godzinę. Kiedy w końcu uniesiono rolety, w oknach rozblysło złote światło. Przez tylne drzwi weszły trzy kobiety w białych fartuchach, ciągnął się za nimi dyskretny zapach wieprzowiny i fasoli. Nauczycielka WF-u, która wcześniej obsługiwała wideo, uciszyła tłum i odczytała ogłoszenia z trzymanej w ręce podkładki do pisania.

Bardzo się cieszyła, mogąc z powrotem powitać June, Ruby, Amandę, Susan Dee, Stephanie, panią Powers, panią Moran, pana DiConstanzo, Susan H., Allana, Irene i panią Flathead, zwolnionych dzisiaj z miejskiego aresztu w Cambridge. Dwadzieścia dni spędzonych przez nich za kratami kosztowało miasto w przybliżeniu jedenaście tysięcy dolarów, nie licząc kosztów sądowych, o których zwrot miasto zamierzało się sądzić.

Dwunastka wstała i odebrała owację.

Kolejną dobrą wiadomością był fakt, że Wewnętrzne Usługi Braintree od dziś na czas nieokreślony zawiesiły swój śmiercionośny proceder.

– Wszystkim osobom, które pomogły im podjąć tę przemyślaną decyzję – powiedziała nauczycielka WF-u – składam podziękowania od siebie, od Kościoła, a przede

wszystkim od niezliczonych słodkich dzieciątek, którym daliście dar życia. Bogu niech będą dzięki, chwała Jezusowi.

Rozległa się kolejna owacja.

Nowymi członkami Kościoła, po raz pierwszy obecnymi w ich gronie, były pani Jerome Shumacher z Trumbull w stanie Connecticut, pani Libby Fulton z Wallingford w Pensylwanii, panna Anne Dinkins ze Sparty w Karolinie Północnej i panna Lola Corcoran z Lexington w stanie Massachusetts. Po gromkich oklaskach wiernych poproszono o postaranie się, żeby nowo przybyłe poczuły się we wspólnocie jak w rodzinie.

– Bebe Wittleder – ciągnęła nauczycielka WF-u – poinformowała mnie, że jest też dziś między nami gość z Uniwersytetu Harvarda, doktor Renée Seitchek, geolożka, którą może pamiętacie ze specjalnej transmisji...

Gromada wiernych zakolysała się i wlepiła w nią wzrok. Na sześciuset siatkówkach utworzył się obraz jej drobnej postaci.

– Doktor Seitchek, pokój i dobra wola niech będą z tobą w imię Jezusa Chrystusa. Zapraszamy cię do świętowania i łamania się z nami chlebem, jesteśmy Kościołem otwartym.

Stites zdążył powrócić na ostatnich kilka ogłoszeń. Po ich zakończeniu natychmiast rozpoczął modlitwę, kończąc ją wspólnym odmówieniem *Ojciec nasz*. Kobieta

przy pianinie poprowadziła wiernych przez trzy hymny. Stites śpiewał ze wszystkimi, jednak nie dało się wyodrębnić jego głosu. Usiadł swobodnie na brzegu stolika ze szkolnej stołówki, odslaniając górną część skarpetek w romby, i badawczym wzrokiem przyglądał się swojej trzódce, a tymczasem narastało niecierpliwe wyczekiwanie. Kiedy się w końcu odezwał, jego głos rozbrzmiał po sali:

– Słyszeliście te słowa: Bóg jest miłością. Posłuchajcie mnie, ludzie, Bóg j e s t miłością. Bóg jest zarówno miłością, jak i mądrością.

Posłuchajcie mnie, ludzie, chcę, abyście spróbowali wyobrazić sobie Boga. Wyobraźcie sobie istotę, która jest miłością do tego stopnia, że jest silniejsza od atomów i wszystkiego innego. Jest czystą i absolutną miłością. Na początku Bóg miał w sobie tyle miłości, że stworzyła wszechświat, powstał on po prostu z siły miłości. Bóg stworzył wszechświat, żeby było coś, co mógłby miłować. A tam było Pustkowie. I Pustkowie, jak mówi nam Księga Rodzaju, stało się wszechświatem, który wciąż jednak był jedynie masą niczego, czymś nieokreślonym. A On to miłował i był od tego wszystkiego mądrzejszy, a powodem, dlaczego to przybrało ów kształt...

Posłuchajcie mnie. Powodem, dlaczego to przybrało taki kształt, jaki przybrało, był ból w boskim sercu.

Stites zerknął w bok z dziwacznym uśmieszkiem, jakby Bóg był jakimś gościem, którego znał w Karolinie

i który potrafił wykręcać najbardziej niesamowite numery.

– Posłuchajcie – mówił dalej – Bóg miłował i był mądry, nawet zanim jeszcze stworzył wszechświat. A ponieważ był mądry, wiedział, że wszystko, co miłuje, będzie wiedzieć mniej niż On sam. Jest najwyższy i bardzo Go boli, że jest najwyższy. Jest Bogiem rozgniewanym i zranionym. Wie więcej niż wszyscy i miłuje wszystkich bardziej, niż ktokolwiek miłuje cokolwiek, tak więc gdy grzeszymy albo snujemy myśli, nawet kiedy rozważania snują najmądrzejsi filozofowie na świecie, On wie więcej. Wie, że musimy ponownie w proch się obrócić i nigdy nie zapomina. I smuci się, bo nas miłuje nawet w tym naszym nędznym ziemskim życiu. A w rzeczywistości, tym bardziej nas miłuje.

I dlatego wszystko, co tu widzicie: ściany, ten stół, ten magnetowid, te kubki kawy – uniósł kubek, żeby wszyscy mogli zobaczyć – wszystko jest tu z powodu tego bólu. To dlatego mogę ścisnąć ten kubek i poczuć, że jest twardy. Jest twardy, bo Bóg się smuci. Gdyby Bóg się radował, wówczas na świecie nie byłoby żadnego oporu, ręka przez wszystko przeszłaby na drugą stronę. Nie byłoby bólu, cierpienia i śmierci. Rozumiecie, o czym mówię? Gdyby wszystko było tak, jak chce tego Bóg, wówczas nie byłoby żadnego wszechświata. Wszechświat jest tylko dlatego, bo On wie. Bo On odczuwa ból, bo On wie.

Wszyscy znamy powiedzenie, że na szczycie człowiek

jest osamotniony. I właśnie tak jest z Bogiem. Ale czyż nie ma w tym jakiejś pociechy? Kiedy się wie, że nawet gdy czujemy się bardzo źle, nie możemy czuć się aż tak źle, jak On, bo nie wiemy, co to naprawdę znaczy źle. I to dlatego On pozwolił im ukrzyżować swojego jedyne go syna. Bo chciał, żebyśmy wiedzieli, jak bardzo to boli. Czasami przychodzi mi do głowy, że świat może się skończyć, i ogarnia mnie przygnębienie, bo są tu te wszystkie rzeczy, które tak bardzo kocham. A jednak nie rozpaczam. A wicie dlaczego? Ponieważ wiem, że uczucie przygnębienia jest święte. I jeśli nastąpi Armagedon, to Bóg będzie nas wszystkich opłakiwał, kiedy odejdziemy i przestaną istnieć te wszystkie rzeczy, które kocham. Bo On nie zapomniał o żadnej z tych rzeczy, On kochał je wszystkie przez cały czas, kochał je, jak ani ja, ani wy nigdy nie będziemy w stanie, i nie zapomni ich przez całą wieczność, i właśnie tym jest niebo: niebo jest życiem w miłości Boga na zawsze.

Słowo „na zawsze” zawisło w powietrzu jak badmintonowa lotka zatrzymana w najwyższym punkcie swej trajektorii.

– To było dzisiejsze kazanie wieczorne, dziękuję wam wszystkim.

Na koniec odśpiewano *Warownym grodem jest nasz Bóg*, po czym Stites przeszedł z powrotem przez tłum wiernych, dwa razy klękając, żeby wziąć w ręce dłonie



kobiet i zamienić z nimi kilka słów. W końcu doszedł do Renée.

– Głodna?

– Niespecjalnie.

– A ja, szczerze mówiąc, umieram z głodu.

W mieszczącym się za salą mieszkaniu na parterze zburzono kilka ścian, poszerzając istniejącą kuchnię. Zainstalowano trzy dodatkowe stare kuchenki, a przy stole mogło zasiąść jakieś pięćdziesiąt osób. Stitesowi podano ze wspólnego garnka wielki talerz fasoli. Wziął z bufetu cztery kromki białego chleba i pomarańczę, tłumacząc Renée, że jeśli jakiś bogaty sponsor nie zaprasza go na lunch, je tylko dwa posiłki dziennie, śniadanie i tutejszą kolację.

Poprowadził ją w górę słabo oświetloną klatką schodową, a następnie przez salę pokrytą porozrzucanymi kawałkami tynku. Wzdłuż jednej ze ścian znajdowały się identyczne urządzenia własnej roboty, służące jakby do ćwiczeń, skonstruowane z kantówek i ocynkowanych rur i przypominające dyby.

– A co to takiego? – zapytała Renée.

– To? To dyby.

– O Boże.

– Spójrz tylko, coś ci pokażę. – Stites postawił talerz na podłodze. – Ten cały tynk odpadł podczas trzęsienia ziemi. Pozamiataliśmy wszystko, ale wystarczy tylko na to p o p a t r z e ć, a już sypie się dalej. – Włożył głowę

i nadgarstki w szczeliny w poprzecznej belce dybów. – Widzisz, można opuścić górną część nogą, w ten sposób. – Ze stopą w pierścieniu zdjął z haka i zwolnił łańcuch, na którym na jego kark powoli opadła górna belka, zamykając mu szyję w dybach. – A możesz też poprosić koleżankę, żeby zrobiła to za ciebie.

Stał tak przed nią, zgięty, ale odprężony, w swoich spodniach khaki i brązowych mokasynach, przodem do ściany, z wypychającym tylną kieszeń portfelem.

– A co teraz? – spytała Renée.

– A teraz tak tu stoisz. Uważam, że wszyscy powinni tak robić. Prawdopodobnie robię to równie często, jak inni, zaznaczam, że wcale nie uważam tego za powód do dumy. Chodzi o to, że czuję specjalną potrzebę zrobienia czegoś takiego, jeśli cały dzień spędzam w Weston w domach bogatych ludzi. Stoisz tak tu i patrzysz w ścianę. Modlisz się albo możesz się po prostu odprężyć. To uczy pokory. Człowiek czuje się naprawdę dobrze. Pod względem fizycznym po pewnym czasie zaczyna trochę boleć. Ale ten ból też jest przyjemny.

Wyćwiczonym ruchem uniósł górną belkę i się uwolnił. Z uważnym uśmiechem spojrzął na Renée.

– Chcesz spróbować?

– Nie, dziękuję.

– Na pewno? Wyglądasz, jakbyś trochę chciała.

– Nie!

– Spodobałoby ci się, gdybyś spróbowała.

– Nie chcę.

– Dobrze, nie ma sprawy. Ludzie czują się bezradni, kiedy nie widzą, co się dzieje za ich plecami, i nie mogą się ruszyć. Naprawdę mocno wierzę w to, że powinniśmy pielęgnować bezradność.

Pomaszerował dalej przez salę, stawiając ciężkie i niezgrabne kroki, jakby przekraczał bagno. W jego gabinecie nie było drzwi. Książki stały w nierównych stosach na czerwonym kosmatym dywaniku poplamionym białą farbą i pokrytym odpadłym tynkiem. Na jednej ze ścian widniały starannie wypisane słowa: „W ostatnich dniach – mówi Bóg – wyleję Ducha mego na wszelkie ciało”. Okno wychodziło na dziedziniec kompleksu, gdzie wierni urządzili sobie piknik, a nauczycielka WF-u organizowała mecz siatkówki.

– Pozostała część to sypialnia i kuchnia – powiedział Stites. – Dzielę to mieszkanie z dwoma mężczyznami. Ten zewnętrzny pokój zająłem dla siebie, bo mam te wszystkie książki i papiery. Możesz zająć miejsce przy biurku, ja siądę na podłodze.

– Nie, to ty będziesz jadł.

– W takim razie oboje usiądźmy na podłodze. Przepraszam za ten tynk. Wszędzie go pełno.

Natychmiast zaczął pakować w siebie fasolę. Renée często siadywała po turecku, ale ze względu na krótką spódniczkę, musiała podkurczyć nogi i usiąść bokiem.

– Macie szczęście, że cały budynek jeszcze się na was

nie zawalił.

Skinał głową, przeżuając.

– Naprawdę wierzysz, że Bóg może uratować marny budynek przed trzęsieniem ziemi?

Przełamał chleb.

– Nie, i nigdy nie mówiłem, że wierzę. Kupiłem ten dom, bo był tani. Jesteśmy tu, bo mamy tu miejsce.

– I nie martwisz się, że jeśli się zawali, to będziesz odpowiedzialny za tych wszystkich ludzi, którzy zostaną ranni lub zginą?

– Oni wiedzą, jakie to ryzyko, podobnie jak ja.

– Ale to ty dajesz im przykład.

– Zgadza się. – Trzymał widelec dystyngowanie, wysoko za rączkę. Wyglądało na to, że ma doświadczenie w mówieniu z pełnymi ustami. – Z Bożej łaski jem, śpię i pracuję w tym budynku. Zdaję sobie sprawę, że jeśli Bóg będzie tego chciał, moje życie się zakończy. Tak jest z każdą żyjącą osobą, tyle że większość z nas stara się to ignorować. Ale jeśli mieszkasz w takim domu, który władze określają jako śmiertelną pułapkę, przez cały czas wiesz, że twoje życie jest w rękach Boga. Jest w tym coś optymistycznego. Z pewnością wydaje mi się to bardziej optymistyczne, niż gdybym mieszkał w jakimś innym miejscu, na przykład w Weston, i czuł się nieśmiertelny w swoim domu za milion dolarów. Tutaj cenię sobie każdy dzień. Kiedyś rozpaczałem, bo nigdy nie miałem dość czasu, żeby zrobić to, co chciałem. Myślałem, że

życie będzie za krótkie. Tak mało kochałem Boga. Teraz jestem jeszcze bardziej zajęty, ale odkąd zamieszkałem w tym budynku, nagle się okazało, że potrafię dotrzeć, gdzie tylko zechcę, nawet do takich ludzi jak ty. Moim zdaniem człowiek nie może być już bliżej szczęścia. Mogę żyć bez strachu, bo chociaż czuję, że wiszę nad doliną śmierci, jestem w rękach Boga. Jeśli uda ci się doprowadzić do równowagi życia ze śmiercią, przestajesz panikować. Życie przestaje być jedynie *status quo*, co do którego żywisz nadzieję, że przez długi czas się nie zmieni.

Pochylił się nad talerzem, zgarniając w kupkę ostatnie fasolki. Środkowym palcem nacisnął na mostek okularów, żeby je poprawić, wyssał resztki spomiędzy zębów i przyglądał się Renée z przenikliwym zainteresowaniem.

– Przyszedłś, żeby mi powiedzieć, że budynek jest niebezpieczny.

– Przyszedłem, bo jedna z twoich kobiet niepokoiła mnie w pracy.

– Pani Wittleder.

– Powiedziałam coś w telewizji, z czym się nie zgadzasz, i od tego czasu moje życie stało się nie do zniesienia.

– Dzwonią do ciebie. Dostajesz listy, składają ci wizyty.

– I to wszystko jest bardzo obraźliwe i natarczywe.

– Tak, rozumiem, to oszołomy. Ludzie pełni gniewu, pozbawieni miłości. Nie wiem, czy widziałaś dzisiejsze wiadomości, o tym, że strzelano z jadącego samochodu w Alston? Jakiś osioł rozbił wczoraj okna w klinice. Takie malutkie, tyciutkie okienka. Tak, to r z e c z y w i ś c i e niesamowicie mądre. To samo z zamachem bombowym w Lowell. Rozumiem gniew, ale nie przemoc.

– W telewizji krytykowałam tylko ciebie – stwierdziła Renée. – Dlaczego ktoś inny miałby się tym przejmować?

– A skąd mam wiedzieć? Ktoś zobaczył program i mu się nie spodobałaś. Zrozum, mnie osobiście zupełnie nie obchodzi, co powiedziałaś. Byłaś szczerą, bardzo zgrabnie wyraziłaś przeciwną opinię. Tak się składa, że całkowicie się mylisz. Ale potrafię odróżnić geofizyka od osób zajmujących się usuwaniem ciąży. Naprawdę, mam wiele ważniejszych rzeczy do zrobienia niż organizowanie pikiety pod twoim laboratorium. A Bebe Wittleder jest porządną kobietą i nie wierzę, że mogła być wobec ciebie niemila.

– Nie była niemila. A przynajmniej nie rozmyślnie.

– Tak, no proszę. A jednak mimo wszystko doprowadziła cię do takiej wściekłości, że zdecydowałaś się tu przyjść.

– Nie. Nie byłam wściekła, dopóki nie zobaczyłam filmów.

Stites wytarł talerz kromką chleba.

– A co cię w nich tak rozwścieczyło?

– Kobiety dokonujące aborcji są zepsutymi dziwkami, które tylko siedzą i wciągają kokę. Kobiety, które mają dzieci, są słodkimi, pięknymi żonkami uwielbiającymi swoje dzieci.

– Zrozum, że to nie dziennikarstwo, lecz reklama.

– Którą ludzie niewykształceni traktują jako prawdę.

– Ach. – Złożona na pół kromka chleba zniknęła w jego ustach. – Chciałabyś, żebym ja, ja, który wierzę, że życie ludzkie jest tajemnicą, a nie jakimś procesem chemicznym, ja, który wierzę, że w oczach Boga jednostka zaczyna istnieć w momencie poczęcia, chciałabyś, żebym pokazywał wiernym matki znęcające się nad swoimi dziećmi? I świętobliwe kobiety usuwające ciążę? Coś na kształt zrównoważonego spojrzenia, tak? Chyba jednak nie pojmujesz istoty reklamy.

– Nazistowski film pokazujący wspaniałych Aryjczyków i wstrętnych Żydów to tylko reklama.

– Tak się jednak akurat składa, że nie opowiadam się za ludobójstwem. Opowiadam się za czymś zupełnie przeciwnym. Czyż nie?

– Prześladowaniem kobiet w ciąży.

Skinął głową.

– Prześladowanie, oczywiście, to twoje stanowisko. Ale nie deportacja i morderstwo. Widzisz, mam wrażenie, że w tych filmach niepokoi cię to, że są skuteczne. Wzbudzają w t o b i e emocje. Ale w telewizji mamy jeszcze skuteczniejsze reklamy, zachęcające do

kupowania dzinsów czy piwa. Reklamy wykorzystujące seks, który jest najmocniejszą i najbardziej nieuczciwą rzeczą ze wszystkich. Na przykład, jeśli wypiję butelkę budweisera light, dostanę moją własną gorącą panienkę z plaży, żeby się z nią zabawić. Mówimy tu o n i e u c z c i w o ś c i, m a n i p u l a c j i i s z k o d l i w o ś c i. A jeśli masz się sprzeciwić tak groźnej rzeczy, sama musisz dysponować potężnymi obrazami. I trudno się nie zgodzić, że jest coś pięknego w matce i jej dziecku i jest coś brzydkiego w aborcjach. A ja chcę tylko równych szans na rynku. Prawda natomiast wygląda tak, że nie mogę tego uzyskać. Żadna komercyjna stacja w Ameryce nie wyemituje czegoś takiego. Trochę jestem zaangażowany w radio, ale z radiem niewiele można zrobić, zwłaszcza w porównaniu do telewizji. Jest w tym jakaś ironia, że uważasz nas za prześladowców. To my jesteśmy prześladowaną mniejszością.

– Która stara się narzucić większości swoje poglądy.

– Żadna sieć telewizyjna w Ameryce nie wyemituje ani jednej naszej reklamy. Wszyscy Amerykanie codziennie przez pół godziny oglądają reklamy propagujące seks dla samego seksu i przez kolejne pół godziny propagujące egoistyczne konsumowanie dóbr materialnych. Wszystkie krajowe serwisy informacyjne są nastawione antyreligijnie, przeciw ochronie życia. Może temu zaprzeczysz? To samo dotyczy programów



w porze największej oglądalności. I tak się dzieje każdego dnia bez wyjątku, przez siedem dni w tygodniu, rok po roku, seks, seks, zakupy, zakupy, aborcja, aborcja. A jednak wciąż czterdzieści procent wszystkich Amerykanów jest przeciwnych aborcji, z wyjątkiem przypadków gwałtu czy kazirodztwa. To ta nasza mniejszość. Obserwujemy największy wysiłek propagandowy w historii ludzkości, a jednak wciąż tylko nieco ponad połowa ludzi dała się przekonać.

Na dziedzińcu rozległ się ostry dźwięk gwizdka. Nauczycielka WF-u krzyknęła:

– Pokażmy trochę chrześcijańskiej siatkówki!

Renée się roześmiała.

– Jesteś przerażający.

Stites poczęstował ją połówką pomarańczy.

– Niby dlaczego?

Wzięła pomarańczę.

– Bo jesteś inteligentny i przekonany do swoich racji. Jesteś tak przekonany, że wszystko staje się bardzo proste.

– Wszystko pokręciłaś. To twój świat uważa, że wszystko jest proste: bierz, co chcesz, bez żadnych konsekwencji. Pozwól, że coś ci powiem. Istnieją dwa rodzaje pewności: pozytywna i negatywna. Pismo Święte uczy nas, że błędem jest być czegoś pewnym w sposób pozytywny, na przykład być pewnym, że ma się rację czy że jest się zbawionym. Ale w Biblii jest mnóstwo ludzi

mających pewność innego rodzaju: moją pewność, że to społeczeństwo się m y l i. We mnie jest mnóstwo tej negatywnej pewności.

– Myli się w wielu sprawach – odparła Renée – ale nie, jeśli chodzi o prawo kobiet do prywatności. I w rzeczywistości wcale nie uważam, że jesteś prześladowany. Emisja twoich reklam to dla stacji telewizyjnej po prostu marny interes. Gdyby większość ludzi naprawdę nie była zadowolona z życia, zwróciłyby się ku religii. Fakt, że tego nie robią, najwyraźniej wskazuje, że są zadowoleni.

– Nie jesteś pierwszą osobą udowadniającą, że logicznie rzecz biorąc, rewolucja jest niemożliwa: z tego, że ludzie jeszcze się nie zbuntowali, wynika, że są zadowoleni. To b a r d z o przekonujące.

– Uważam, że ludzie przede wszystkim chcą, żebyś nie wtrącał się do ich prywatnego życia.

– Nie wtrącałbym się, gdybym nie uważał, że tu chodzi o ludzkie życie. Ale skoro tak jest, czuję się moralnie zobowiązany do tego, żeby się wtrącać. Twoim zdaniem gniew mojego Kościoła jest wstrętny, a moje metody ekstremalne, ale tylko pomyśl, jak wstrętnie i ekstremalnie musieli w oczach konserwatystów wyglądać protestujący hippisi w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku, nawet jeśli mieli m o r a l n i e z d r o w e a r g u m e n t y, podobnie jak ja teraz. Ponadto, co innego, gdyby społeczeństwo po

prostu otwarcie wielbiło mamonę i powiedziało: tak, jesteśmy gotowi niszczyć niewinne życie w imię łatwego seksu. Złości mnie ta hipokryzja. Ten pomysł, że można odmienić życie człowieka w piekielną pogoń za przyjemnością i twierdzić, że wyświadcza się mu przysługę. Trudno sobie wyobrazić świat, który uznaje religijną wiarę za formę psychozy, natomiast uważa, że pragnienie posiadania nowej kuchenki mikrofalowej jest najbardziej naturalnym z uczuć. Ludzie, którzy przesyłają pieniądze do telewizyjnego kaznodziei, bo czują, że czegoś im w życiu brakuje, znajdują się pod jakimś złym urokiem, natomiast ci, którzy chcą futer, żeby się pokazać w sklepie spożywczym, są po prostu normalni, jak ty i ja. Wydaje się, że najświętszą rzeczą w tym kraju jest konstytucja Stanów Zjednoczonych. Ludzkość w swojej historii zawsze doświadczała cierpienia, ale pan „Boston Globe” i pan senator stanu Massachusetts nagle są mądrzejsi od całej historii ludzkości. Są pewni, że mają na wszystko odpowiedź, a tą odpowiedzią jest ustawowe to, ustawowe tamto i badania naukowe ludzkiego zachowania oraz konstytucja Stanów Zjednoczonych. Ale mówię ci, Renée, mówię ci, jedynym powodem, dlaczego można w ogóle wpaść na pomysł, że konstytucja to największy wynalazek w historii ludzkości, jest to, że ponieważ Bóg dał Ameryce tak wiele fantastycznych bogactw, nawet skończona głupota może na krótką metę się tu pokazać.

O ile nie liczyć tych trzydziestu milionów biednych oraz systematycznego marnowania bogactw, jakie Bóg nam dał, i faktu, że dla większości sponiewieranych ludzi na świecie słowo Ameryka jest synonimem chciwości, zbrojeń i niemoralności.

– I wolności.

– Magiczne słowo oznaczające bogactwo i dekadencję. Uwierz mi, większość Rosjan uważa, że w Ameryce najwspanialsze są McDonaldy i magnetowidy. Tylko politycy i prezenterzy telewizyjni są na tyle głupi lub nieuczciwi, żeby zachowywać się inaczej. Premierzy przyjeżdżają do Waszyngtonu, a my im mówimy: „Witajcie w kraju wolności”. A ci premierzy mówią: „Dajcie nam więcej pieniędzy”. Mówię ci, cały świat się z nas nabija. Z czego się śmiejesz?

– Przypominasz mi pewnego cynicznego człowieka, którego kiedyś znałam.

– Cynicznego, tak? Uważasz za cyniczne zdawanie sobie sprawy z tego, że wszystkie ludzkie istoty, łącznie ze mną, chcą zaspokoić swoje zmysłowe potrzeby bez konieczności brania za to odpowiedzialności? Może zamiast nazywać mnie cynicznym, powiedziałaabyś o mnie chrześcijański, uczciwy albo realistyczny? Bo po drugiej stronie widzę jedynie czystą sentymentalność i pobożne życzenia. Ten pomysł, że ludzie z natury są dobrzy i bezinteresowni. Że można wyleczyć smutek i samotność, i zawiść, i obżarstwo, i pożądanie,

i kłamliwość, i wściekłość, i dumę, zapewniając pełne zatrudnienie i dobrych psychologów. Wiesz, jaka jest moja ulubiona współczesna bajeczka?

– Jaka?

– Historia o wypadku na Chappaquiddick. Wzorcowy liberał dostrzega, co to znaczy być istotą ludzką, i bierze nogi za pas. Przez całą resztę życia zaprzecza, że to, co widział, może mieć jakieś znaczenie. Poucza innych, co robią źle. Posłuchaj, liberalizm jest tak zakłamany, że nawet nie przyzna, że wszystko, co w nim dobre, rzekome współczucie w samym jego centrum, co zresztą jest irracjonalne, zauważ to, podobnie jak wszystkie religie, wywodzi się wprost z dwóch tysięcy lat tradycji chrześcijańskiej. Ale przynajmniej jest w nim gdzieś to współczucie. Jest niewinny jak sześciolatek. Ale Bóg w swoim sercu jest wrażliwy na wszystkich niewinnych tego świata. I dlatego najbardziej nienawidzę konserwatywnych polityków. Konserwatyzm to po prostu czysta, cyniczna, własna korzyść ekonomiczna. Zgadza się, to bardzo realistyczne, jeśli mówimy o ludzkiej chciwości, a zatem dosyć dojrzałe, mniej więcej na poziomie trzynastolatka, co to pozjadał wszystkie rozumy. Ale to konserwatyzm, bardziej niż liberalizm, jest winny temu, że pogoń za bogactwem zastąpiła Boga. A to uważam za niewybaczalne.

– I dlatego mieszkasz w tym nędznym budynku. Z gniewnymi kobietami w średnim wieku.

– Dobrze to zrozumiałaś.

– Sądzę, że naprawdę jesteś godny podziwu.

– Ty to powiedziałaś, a nie ja. Bo, oczywiście, istnieje niebezpieczeństwo, przed którym staje każdy, kto chce zrobić coś dobrego: myśl, że skoro wiesz, że robisz coś dobrego, tak naprawdę przestaje się to liczyć. Ale pytam, czy jest jakaś inna możliwość? Zostać palantem tylko po to, żeby wiedzieć, że nie kieruje tobą pycha?

– To nie takie złe wyjście. Powinieneś spróbować.

– Sama jesteś nieco cyniczna. Po co tu przysłaś?

Za otwartym oknem na dziedzińcu zapadła cisza, a piłka wydawała głuche odgłosy: łup, łup. Na wyczyszczonym talerzu Stitesa kawałki skórki z pomarańczy leżały białą stroną do góry. Renée się uśmiechnęła.

– Zupełnie bez powodu.

– Nikt nie przychodzi bez powodu – odrzekł.

– Przyszłam, bo się nudziłam.

Światło w pokoju zrobiło się intymne, powodując, że twarze stały się bardziej niejednoznaczne, a kontakt wzrokowy mniej pewny.

– Jesteś mężatką? – spytał Stites.

– Nie.

– Masz chłopaka?

– Nie.

– I jak sądzą, nie masz dzieci.

Pokręciła przecząco głową.

– Chcesz mieć dzieci?

Pokręciła przecząco głową.

– Dlaczego nie?

– Bo nie podoba mi się to, co się dzieje z kobietami, kiedy je mają.

– A co się z nimi dzieje?

– Po prostu stają się kobietami.

– Chcesz powiedzieć, że dojrzewają.

Łup, łup – rozchodził się dźwięk piłki do siatkówki. Stopy w tenisówkach szurały i opadały na ubitą ziemię. Wzór dywanu zaczął się zmieniać w oczach wpatrującej się w niego Renée.

– Chcesz się ze mną przespać? – zapytała.

– Ha. – Stites się uśmiechnął, najwyraźniej przede wszystkim rozbawiony tym pytaniem. – Chyba nie.

– Bo się boisz, że komuś o tym powiem – powiedziała okrutnym głosem. – A może się boisz, że trafisz do piekła. Albo boisz się, że to zaszkodzi twojej wierze. Albo nie jestem dostatecznie atrakcyjna.

– Człowiek jest zagubiony, jeśli musi szukać powodów, żeby odmówić. Powinien po prostu odmówić, prosto z serca.

– Dlaczego?

– Bo jeśli tak zrobisz, poczujesz, jak rośnie twoja miłość do Boga.

– A jeśli w ogóle nie kochasz Boga? A jeśli w ogóle nie wierzysz w istnienie Boga?

– Wówczas musisz zacząć szukać.

– Dlaczego?

– Bo kiedy tak siedzę tu z tobą, wydaje mi się, że byłabyś szczęśliwa, gdybyś to zrobiła. Bo uważam, że jesteś prawdziwą osobą, a ja cię kocham i uszczęśliwiłoby mnie twoje szczęście.

– Kochasz mnie?

– Chrześcijańską miłością.

– To wszystko?

– Nie jestem doskonalszy od ciebie.

Przysunęła się bliżej.

– Bardzo szybko możesz mnie uszczęśliwić.

Jego twarz nabierała jakiegoś wyrazu jedynie dzięki parze promienistych prostokątów w okularach, odbić światła w drzwiach. Skrzyżował ramiona.

– Powiedz mi, co czujesz po stosunku seksualnym.

– Czuję się dobrze. – Usiadła bardziej wyprostowana, dumna. – Czuję się, jakbym coś o sobie wiedziała. Jakbym miała punkt odniesienia i dogłębnie знаła samą siebie. Jakbym wiedziała, że dobro i zło nie ma z tym nic wspólnego. Jakbym była zwierzęciem, w dobrym tego słowa znaczeniu.

Prostokąty na okularach Stitesa wyglądały, jakby ogarnęła je nostalgia.

– Myślę, że prawdopodobnie masz szczęście.

– Nie wydaje mi się, żebym się różniła od innych kobiet. To znaczy, od tych wszystkich kobiet, którym



mózgu nie spierdzieliła męska religia.

– To ostre słowa.

Podsunęła się jeszcze bliżej.

– Bądź ze mną ostry.

– Grasz fair i szybko się cofasz, będę z tobą walczył.

Osunęła się.

– A zatem?

Złączył dłonie na goleniach, nad skarpetami w romby.

– A zatem wydaje mi się, że trzeba zacząć od tego, dlaczego Bóg sprawił, że seks to tak wielka przyjemność. Ty oczywiście uznasz to za niezwiązane z tematem, ale co się stanie, jeśli chcąc poczuć się dobrze, spłodzisz dziecko?

– Zabawne, że o to pytasz.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że to zabawne, że o to pytasz.

– W takim razie, jak brzmi odpowiedź?

– Znasz moją odpowiedź. Jeśli będę w miarę dobrej sytuacji emocjonalnej i finansowej, urodzę dziecko. W przeciwnym razie usunę ciążę.

– A co z możliwościami, które zniszczysz wraz z aborcją?

– Nie wiem. A co z możliwościami, które zniszczyłam, zrywając z moim chłopakiem z liceum? Teraz mogliśmy mieć już ósemkę dzieci. Czy w związku z tym jestem ośmiokrotną zabójczynią?

– Dobrze. Ale czy znałaś kiedyś kogoś, kto był nieślubnym dzieckiem?

– Cóż, na przykład ja sama.

– Ty?

– Tak, na pewno jestem idealnym przykładem. Jestem pewna, że matka usunęłaby mnie, gdyby to było dla niej wygodniejsze.

– I jak się z tym czujesz?

– Jest mi to zupełnie obojętne – odparła. Jej wzrok padł na fragment napisu na ścianie; uznała, że czcionka bardzo jej się nie podoba. – Moje życie zaczęło się w wieku pięciu lat. Jeśli cokolwiek wydarzyło się wcześniej, nic na tym nie straciłam. Wtedy mnie nie było.

– Ale nie możesz kochać siebie, jeśli jesteś tak obojętna. Nie możesz kochać świata. Musisz go nienawidzić. Musisz nienawidzić życia.

– Kocham się, nienawidzę się. Jedno z drugim daje zero.

Na dziedzińcu doszło do długiej, bardzo długiej wymiany piłki, a im dłużej to trwało, tym bardziej narastał bezruch i napięcie wokół. A potem grający jęknęli. Stites odezwał się cicho:

– Nawet nie wiesz, jak mi przykro, kiedy słyszę, że mówisz coś takiego.

– Potrafię być miła w łóżku.

– Uważasz, że masz prawo marnować sobie życie.

– Coś takiego przeszło mi przez myśl.

– Sądzę, że jesteś bardzo nieszczęśliwa. Wydaje mi się, że musiałaś zostać bardzo skrzywdzona.

Renée uniosła twarz w stronę podziurawionego sufitu, opierając się z tyłu na rękach, podobnie jak robią to osoby korzystające z pięknej pogody na plaży. Uśmiechała się, ale po chwili, choć dalej się uśmiechała, jej oddech stał się nierówny, jak praca pompy wodnej, która w pierwszej chwili podaje tylko powietrze.

– Ja... – Jej oddech zaczął drżeć. – Zostałam przez kogoś skrzywdzona. Okropnie skrzywdzona. Tak skrzywdzona, że chcę umrzeć.

Stites zerwał się na nogi i poszedł do łazienki. Wrócił ze szklanką wody, ale Renée już nie było. Wyszła na korytarz.

– Chyba sobie pójdę – powiedziała.

– Chcę ci pomóc.

– Nie możesz mi pomóc.

Odstawił wodę na poprzeczną belkę dybów i położył dłonie na nagich ramionach Renée.

– Jesteś sobą – odezwał się. – Jesteś tylko sobą. I byłaś sobą od momentu poczęcia. Cała twoja historia była już w tobie, kiedy żyłaś od minuty. A twoje poczucie krzywdy jest święte. To już tylko centymetry od najprawdziwszego szczęścia.

Ich twarze dzieliły centymetry. Renée wspięła się na palce i otworzyła usta, składając miękkie wargi na ostrym, kilkudniowym zaroście wokół jego ust. Zanim się

spozrzegła, na jej głowie znalazła się cała szklanka wody.

– Kurwa! – wrzasnęła, podskakując i strzepując z siebie mnóstwo wody. Wsparła na biodrach zaciśnięte dłonie i cofnęła się korytarzem. – Spierdalaj!

Zniknął w swoim gabinecie. Za jej plecami po schodach wchodzili ludzie, niektóre dyby były już zajęte, zwisały z nich wielkie kobiece tyłki w spodniach od dresu, nad taliami niektórych zbierały się zwały tłuszczu. Skrzypiał metal kolejnych zajmowanych dybów.

Stites usiadł za biurkiem i przy świetle wiszącej pod sufitem gołej żarówki zaczął czytać Biblię. Okno obok jego ramienia było teraz ciemne. Nie podniósł wzroku, kiedy Renée stanęła w drzwiach, ze zmatowiałymi po jednej stronie głowy włosami i ze zbierającym się pod jednym okiem rozpuszczonym tuszem do rzęs.

– Nienawidzę cię – odezwała się. – Nienawidzę twojego Kościoła. Nienawidzę twojej religii. Ty sam jesteś jedynie nienawiścią. Jest właśnie tak, jak powiedziałeś. To wszystko jest negatywne. Nienawidzisz kobiet, nienawidzisz seksu i nienawidzisz świata takim, jaki jest.

W jego oczach świeciły gołe żarówki.

– Renée, czuję do ciebie miłość. Nie jesteś zimna. Jesteś pełna uczuć i potrzeb, przyszedł tu, a ja już po godzinie z tobą poczułem do ciebie miłość. To chrześcijańska miłość, ale Światło jest filtrowane przez fakt, że jestem mężczyzną, więc chciałbym wziąć cię w ramiona. Chciałbym cię wziąć. Jasne? Mówię ci o tym,

bo chyba myślisz, że to dla mnie łatwe. Chcę, żebyś o tym wiedziała: jestem mężczyzną. Nie jestem z kamienia. I lepiej, żebyś mnie, do cholery, szanowała.

– Szanowałabym cię, gdybyś się nie powstrzymał i to zrobił.

Zamknął Biblię i odchylił się na fotelu.

– Wiesz, codziennie czytam o tym, jakie ciężkie jest życie kobiet w dzisiejszym społeczeństwie. Jak to muszą dokonywać tych wszystkich trudnych wyborów, jak to muszą brać na swoje barki wielką odpowiedzialność za rodziny. Muszą być matkami i muszą też pracować zawodowo, żeby społeczeństwo liberalne mogło funkcjonować.

– To nie tylko kwestia kobiet – odparła Renée. – Również mężczyźni muszą się zmienić.

– Tak, zgadza się, tak to się powinno odbywać. Tylko że raczej nie słyszy się o narzekających mężczyznach czy mężczyznach w trudnym położeniu, prawda? Mężczyźni nadal mają prawo wyboru, prawda? Czerpią satysfakcję z wykonywanej pracy i jeśli chcą, mogą też cieszyć się z wychowywania dzieci. Wygląda na to, że życie robi się lepsze dla mężczyzn, oni mają możliwości wyboru w sensie pozytywnym, podczas gdy kobiety dostają te wszystkie dodatkowe możliwości w sensie negatywnym. Czy nie sądzisz, że można to nazwać jakimś poważnym paradoksem epoki? To, że im lepiej jest kobietom pod względem polityczno-liberalnym, tym

gorzej jest im w rzeczywistości?

– To, że w pewnym stopniu się z tobą zgadzam, jeszcze bardziej mnie złości, bo wiem, co zamierzasz powiedzieć.

– Co takiego? Że ludzie najwyraźniej nie podejrzewają właśnie, że winą należy obarczyć samą politykę? Bo, oczywiście, to społeczeństwo nie rozumie takich rzeczy jak „radość”. Radość odczuwana przez matkę. To społeczeństwo rozumie tylko „zatrudnienie” i „ustawy”, a zwłaszcza „pieniądze”.

– I to, że kobiety są pierwszorzędnymi obywatelami. Że radość nie jest wiele warta, jeśli jest ci narzucana. I że lepiej stać przed trudnymi wyborami, niż nie mieć żadnych.

– Właśnie miałem powiedzieć, że nie przeczę, że są takie kobiety jak ty. Pan mówi nam, że niektórzy ludzie rodzą się eunuchami, a niektórzy eunuchami się stają.

– Dobra, odwal się.

– Ale prawdą jest, że większość kobiet chce mieć dzieci. Natomiast społeczeństwo potrzebuje kobiet do czegoś innego, sama wiesz, żeby zarabiać więcej pieniędzy i przysparzać więcej zysków, więc w jakiś sposób je zniechęca, wykorzystując ich próżność, dumę i chciwość. A pod tym względem kobiety nie różnią się od mężczyzn.

– Zdążyłam to zauważyć.

– Ale jeśli kobieta może kierować się własnym

instynktem, wtedy niepotrzebna jest jej praca na eksponowanym stanowisku, żeby czuć się ze sobą dobrze.

– Jej prawowite miejsce jest w domu.

– Zgadza się. I Kościół rozumie, że tak jest z kobietami. Rozumie radość macierzyństwa.

– W takim razie powiedz mi jedno o tym twoim Bogu.

– Renée zrobiła krok w stronę Stitesa. – Tylko jedno. Jeśli kobiety nie powinny żyć tak jak mężczyźni, powiedz mi, dlaczego ten twój Bóg dał nam taką samą świadomość.

Stites rzucił się do przodu, jak zamykająca się pułapka.

– Nie dał! Dał wszystkim ludziom przykazanie: Bądźcie płodni i rozmnażajcie się! A ty sama powiedziałaś, że ta „świadomość” kończy się po urodzeniu przez kobietę pierwszego dziecka. Że wtedy „staje się po prostu kobietą”, tak? Rozumiesz, o czym mówię? Kobieta, która jest nieszczęśliwa, bo ma świadomość mężczyzny, jest kobietą, która nie posłuchała słowa Pana. Pan obiecuje ci zbawienie, jeśli będziesz posłuszna Jego słowu. A tego typu problem ze świadomością, o którym wspominasz, znika dla kobiety, która ma dziecko, tak jak o tym mówi przymierze. Kobieta staje się instynktowną matką, tak jak mówisz i tak jak przewiduje Kościół. To prawda!

Skinęła głową niecierpliwie.

– Ale nie zmienia to faktu, że kobietom dana jest

świadomość tylko po to, żeby później została im odebrana. Pokazuje się im, co mogłyby mieć, gdyby były mężczyznami, a potem im się tego odmawia. Ty, oczywiście, możesz powiedzieć: no cóż, większość kobiet nie jest takich jak ja. Ale nawet gdybym była tylko jedna, w co absolutnie nie wierzę, mam przed sobą tylko beznadziejny wybór, a ty możesz jedynie usprawiedliwić to, twierdząc, że płacimy za grzech Ewy albo podobne głupoty. A ja ci mówię, że w tej twojej religii jest ogromna dziura, przez którą można przejechać ciężarówką: fakt, że życie w zasadzie ma w dupie kobiety i zawsze tak było.

– I zawsze tak będzie, Renée. Tak jak ostatecznie ma w dupie każdego człowieka na Ziemi. I dlatego prawdziwy wybór, przed jakim stoisz, jest następujący: możesz albo cierpieć bez powodu, cierpieć, być zgorzkniałą i zatruwać życie otaczającym cię osobom, albo przez swoje cierpienie znaleźć drogę do Boga. Wydaje mi się, że Pismo Święte pewnie zgodzi się ze mną, że w niebie jest dużo więcej kobiet niż mężczyzn. Za samo cierpienie, przez które musiały przejść, i za chowaną do kieszeni dumę. Ponieważ ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi.

– Jeśli istnieje niebo.

– Jest w zasięgu ręki. Patrzy ci prosto w twarz. Właśnie po to tu jesteś. Czy wiesz, że twoje imię oznacza „ponownie narodzona?”

– O Boże – powiedziała Renée, krańcowo



zniesmaczona.

Stites podniósł się i obszedł biurko.

– Mogę liczyć na to, że przynajmniej tu jeszcze przyjdiesz? Nie będę cię pytał, czy mam się za ciebie modlić, bo nie możesz mnie przed tym powstrzymać. Ale czy mogę do ciebie zadzwonić?

Bardzo powoli pokręciła głową. Wpatrywała się w niego, starając się wyryć sobie jego obraz w głowie, tak żeby zawsze mogła go tam odnaleźć: zmęczone oczy za okrągłymi szylkretowymi okularami, żółty krawat, teraz z plamą sosu z fasoli, męskie biodra, kilkudniowy zarost na policzkach.

– Już dostatecznie mi pomogłeś – stwierdziła. – Niesamowicie mi pomogłeś.

## II.

Szop pracz obudził się głodny i niewypoczęty. Na nieruchomej powierzchni wody pod półką, na której spał, trudno było wypatrzeć migotanie światła. Szczury dreptały wzdłuż ścian i przez zalegający na wąskich, pokrytych kamieniami, błotnistych powierzchniach brud, jak co wieczór migrując z budynku ratusza na wysypisko na Union Square. Szop wstał, ziewnął i przeciągnął się, opuszczając ryjek nisko do ziemi, jak modlący się muzułmanin.

Czasami po zejściu ze swojej półki biegał zagubiony tam i z powrotem wzdłuż wody, strasząc szczury i sam będąc przez nie straszony: czasami biegł aż na kolejną przecznicę, a nawet dalej, w pewnym momencie zatrzymywał się, wąsy mu drgały i patrzył w spływającą przed nim atramentową czerń, a potem zawracał, jakby stanowiła ona betonową barierę.

Dzisiejszej nocy ruszył od razu w dół wzgórza. Światła ulicy wpadały z góry przez otwory i większe szczeliny. Łapa za łapą wspinał się po żelaznych szczeblach, jak robił to prawie zawsze. W połowie drogi zawrócił i zszedł głową w dół, po czym ponownie zawrócił, wspiał się na samą górę i wyjrzał przez szczelinę. Między zderzakami samochodów widział budynek poczty. Przez tę szczelinę nigdy nie wychodził. Każdej nocy sobie przypominał, że był tu już niezliczoną

ilość razy, ale ponieważ wspomnienie było słabsze od przyzwyczajenia, niezmiennie chodził z powrotem w górę i w dół po żelaznych szczeblach. Zarówno te, jak i wszystkie inne powtarzane co noc ruchy były niczym smutek.

I szczury były niczym smutek. Było ich tak wiele, a on sam jeden. Szary, wrogi mu świat w szczurach się rozprzestrzeniał, mobilizował i wokół niego wirował. Fakt, że górował nad nimi wielkością i inteligencją, zupełnie się nie liczył; kiedy napotykał szczury, stawał się niezgrabny i bezradny. Chociaż w tunelach omijały go z daleka, ich liczebność powodowała, że się go nie bały. Jeśli go zaskakiwały, prężył w złości grzbiet jak kot, sapiąc z bezsilności, kiedy te małe diabełki śmigwały w ciemność. Potrafiły niesamowicie dobrze pływać.

Szop był też większy od wiewiórek i królików, a także od oposów, a do tego był bystrzejszy i miał bardziej eleganckie kształty, ale ich też było wiele, a on sam jeden. Co prawda, świat wiewiórek ograniczał się do drzew i orzechów, neurotycznej bieżaniny tam i z powrotem, ale panowało wśród nich jakieś poczucie bycia u siebie – pewność siebie i niefrasobliwość – wynikające z przynależności do większej populacji robiącej dokładnie te same nielogiczne rzeczy. Samotny i wszystkożerny szop nie miał żadnego innego powodu, żeby wspinać się na drzewa, oprócz przyjemności czerpanej z kierowania się instynktem. Wysokie konary,

których poszukiwał, uginały się gwałtownie pod jego ciężarem. I jeśli z drzewa spadała wiewiórka, błyskawicznie się wykręcała, gładko odbijała od gałęzi i uderzając w ziemię, już biegła; ale kiedy spadał szop, leciał w dół z łoskotem, daremnie próbując znaleźć punkt oparcia i hałasując rozpaczliwie, po czym zwał się jak kłoda. Choć w wielu środowiskach potrafił czuć się jak u siebie, tak naprawdę nigdzie nie był u siebie.

Dotarłszy do dna tunelu, wyszedł na powierzchnię przez pozbawiony krat otwór kanalizacyjny na torowisko pociągów podmiejskich. Samochody na mostach przejeżdżały nad ciszą, która zbierała się w tej niskiej, pokrytej gruzem części Somerville. Dziesiątki zapachów jedzenia mieszało się w morskiej bryzie, ale niewiele z nich przypominało ostrą woń natychmiastowej paszy. Sygnalizatory na torach świeciły na zielono i czerwono w obu kierunkach.

Pod mostem, który za dnia roił się od pieszych, zjadł czerstwy kawałek pączka z galaretką oraz okruchy innych pączków z różowo-pomarańczowego pudełka. Zjadł ogryzek jabłka i pianki żelowe – to było dla niego coś nowego. Zjadł ćmę.

Na Prospect Hill było dobre żarcie, dobre dzikie jabłonie i mnóstwo organicznych odpadków, ale były tam też psy. Czasami, w najmniej stosownym momencie, drzwi na tyłach domu otwierały się szeroko i wypadła przez nie kędzierzawa kula armatnia z kłami, a szop,

który wyjadał resztki składającej się z suchej karmy psiej kolacji, musiał wdrapywać się na najbliższą pionową powierzchnię. Całe noce spędzał, chodząc nerwowo po poprzeczce huśtawki albo po dachu samochodu turystycznego, podczas gdy pies pod nim nie pozwalał sąsiadom zasnąć. Tylne łapy i ogon pogryzły mu przeróżne zwierzęta domowe. Jakiś kot rozerwał mu policzek (tyle że sam zapłacił za to okiem). Pewnej nocy para sznucerów złapała go w pułapkę na samotnie rosnącej czterometrowej jodle; pojawiły się reflektory, z domu wyszedł gruby człowiek, a za nim dzieciaki, sznucery przez cały czas biegały jak oszalałe, zamrugła czerwona dioda kamery wideo, gruby człowiek ustawił obiektyw, a dziewczynka uniosła sznucera najwyżej, jak tylko potrafiła, tak że jego rozwścieczone w słusznym gniewie czarne niemieckie oczy, jego język jak płatek róży i ostre zęby znalazły się w odległości trzydziestu centymetrów od przerażonego i upokorzonego szopa, i również ta konfrontacja została zarejestrowana na taśmie.

Czy coś takiego mogłoby się przydarzyć wiewiórcę? Albo szczurowi? Oposowi, skunksowi czy królikowi?

Szop miał kiedyś dwie siostry. Jedną zabiły koty podczas bójki, w której pokiereszowana została również jego matka. Później druga siostra przestała jeść i zdechła. On z matką widywali się coraz rzadziej. Raz mijał ją w tunelu i coś skłoniło go do tego, żeby się na nią rzucić,

ale go odtrąciła. Szczury przebiegały przez dzielącą ich stróżkę wody, kiedy kucali, ciężko dysząc, po obu stronach tunelu. Następnie ona pobiegła pod górę i odwróciła się ze złością. Aż do zimy jej nie spotkał. Ulice były białe od soli i światła księżyca, kiedy znalazł ją przy krawężniku, sztywną, z oczami zamglonymi kryształkami lodu. Było tak zimno, że musiał zanurzyć nos w jej futrze, zanim cokolwiek poczuł.

Od Union Square w kierunku wysokich budynków torowisko się zwężało i robiło bardziej skaliste i mniej bogate w jadalne rzeczy, aż na koniec otwierały się szerokie tunele, w których wiały spalinowe wiatry, a ziemia drżała.

Po stronie zachodniej było więcej fauny i flory. W drugim lecie swojego życia szop, ściągnięty zapachem samic, zapuścił się kilka kilometrów w tę stronę. Napotkał jakieś samce i obwąchiwali się nawzajem, razem wspinali się na dach, ale przeważnie każdy był pochłonięty swoimi dziwnymi, prywatnymi sprawami, a jego własne były równie osobliwe, jak każdego innego. Wielokrotnie cierpiał męczarnie związane z samochodami, które w West Cambridge miały zwyczaj nadciągać bez końca. Tymczasem zapach samic stopniowo zanikał. We wrześniowe święto pracy był już z powrotem na Union Square.

Pory roku zmieniały się i powracały; on jednak nigdy nie zrobił tego, co zwierzęta lubią robić najbardziej.

Futro mu ściemniało. Stale bolało go coś w brzuchu. Pchły dręczyły go cyklicznie. Już tylko raz czy dwa spotkał takie zwierzę jak on; i nigdy nie walcząc, nigdy się nie parząc, nigdy w żaden sposób nie nawiązując kontaktu ze swoim gatunkiem, niemal przestał odczuwać naturalny instynkt. Stał się jednostką w świecie, który składał się wyłącznie z jego raczej smutnych wewnętrznych przymusów, dolegliwości i przyjemnego praktykowania swoich zdolności. Jedyłą prawdziwą mordką, jaką widywał, była jego własna, kiedy spoglądał w ciemną wodę (ale nie wtedy, gdy mył jedzenie, bo wówczas, chociaż patrzył na jedzenie i na swoje zajęte łapki, na krzewy i na leżące wokół niego części samochodowe, jego wewnętrzny przymus powodował, że nic nie widział), gdy się zatrzymywał, żeby sforsować wypełniony deszczem rów, i widział kudłaty, zamaskowany łeb – z jakąś intensywnością i wrażliwością opadający wolno z nieba nad miastem – żeby dotknąć się z nim nosem, niczym w marzeniu o partnerce, której nigdy nie spotkał. Czas zawracał w swoim biegu, powtarzające się wzorce jego egzystencji ustawiały się w szeregu na podobieństwo gromadzących się razem wielokrotnych odbić jednego przedmiotu, tak że zamiast ciągu kolejnych dni był tylko jeden dzień, który był jego życiem, a nawet tylko jeden moment – ten teraz.

Semafory w obu kierunkach świeciły na czerwono

i zielono. Powietrze zaczęło pulsować. W nadciągających z prawej i lewej strony białych snopach światła jego oczy rozjarzyły się na żółto. Potruchtał przez dwa torowiska, trzymając w pyszczku kawałek nasiąkniętej keczupem jak tampon bułki z hamburgera, i wbiegł do połowy na pociemniały od ropy nasyp. Lokomotywa zawyła pneumatyczną syreną i lekko się kołysząc, toczyła się do przodu. Szop ponownie przeskoczył przez tory, zrobił małe kółko, bijąc ogonem na boki, wbiegł na nasyp i przeraziwszy się nagle, gdy mijające się ogromne i ryczące lokomotywy podwoiły swoją pozorną prędkość, najgłębiej, jak tylko potrafił, zagrzebał się w ambrozjach i zamknął się na świat.

Renée obserwowała przejeżdżające pociągi z mostu Dane Street, wagony z pasażerami przepływały pod nią jak poruszające się w przeciwnych kierunkach ruchome chodniki na lotnisku. Na dachu pozbawionego okien budynku różowe plastikowe litery metrowej wysokości tworzyły napis PRECYZY NA MODER IZACJA SILNIK W. Była północ. Szybkim krokiem przeszła przez Somerville Avenue i obok wiekowych domów szeregowych w północnej części Little Lisbon. W szarej kopercie miała zdjęcia pani Caddulo i kopię artykułu, który wydrukowała po drodze z Chelsea. Minęła stojący na chodniku jasnoniebieski sedes, kompletny, ze zbiornikiem na wodę, tylko trochę przybrudzony.

W jej domu dobermany kwiliły błagalnie za drzwiami



prowadzącymi na korytarz. Piętro wyżej płakało dziecko, a jego rodzice wydzierali się na siebie, jak to często im się zdarzało, zanim pojawiło się na świecie. Oboje mieli doktoraty i kłócili się na przykład o porównanie wartości pracy niezbędnej do utrzymania zapełnionej lodówki i utrzymania samochodu na chodzie. Renée słyszała, jak mąż krzyczy: „Chcesz się zamienić? Chcesz się zamienić? Chcesz się zajmować samochodem, a ja będę chodził na zakupy?”. Oboje mieli około trzydziestu pięciu lat.

Na kuchennym stole leżało otwarte opakowanie chleba razowego, w zlewie patelnia ze śladami jajecznicy oraz stos talerzy i kieliszków. Na blacie butelki po winie i obierki po owocach. W przedpokoju ubrania, stosy ubrań w obu głównych pokojach, w toalecie brązowy krążek i rozpryskane rzygowiny, ręczniki na podłodze przy umywalce. Wszędzie buty, gazety, koty kurzu. Przy palnikach kuchenki poskręcane nitki spaghetti.

Wzięła w palce kasetę z napisem DANCE i tak długo ją wyginała, aż plastik pękł z trzaskiem, którego impuls drgań wysokiej częstotliwości użądlił ją w skórę. To samo zrobiła ze swoją drugą kasetą, tą, na której była tylko jedna piosenka. Nagle w mieszkaniu zapanowała jakaś nowa cisza, jakby muzyka grała tu od tak dawna, że Renée przestała zdawać sobie z niej sprawę, i usłyszała ją dopiero wtedy, gdy ucichła.

Zdjęła ubranie i położyła się na brzuchu na kuchennej podłodze, lepkiej i gorącej. Kawalki kasety wbijały jej się

w łokcie i żebra. Bardzo długo płakała.

Ponownie założywszy dżinsy, pozamiatała całe mieszkanie, umyła i powycierała wszystkie naczynia, po czym odłożyła je na miejsce. Wszystko, co kupiła w zeszłym tygodniu, nawet skórzaną kurtkę, wcisnęła do worków na śmieci, które następnie wyniosła na chodnik. Raz po raz przerywała pracę, żeby sobie popłakać, ale w końcu całe mieszkanie było tak czyste i puste, jak tamtej nocy, kiedy po raz pierwszy poszła do łóżka z Louistem Hollandem.

Otworzyła szarą kopertę i spojrzała na swój artykuł, zastanawiając się, dlaczego go napisała. Tylko po to, żeby zarobić? Usiadła na starannie posłanym łóżku i przeczytała „Umowę, zawartą 12 czerwca” między Melanie Rose Holland, zamieszkałą w Evanston, w stanie Illinois, i Renée Seitchek, zamieszkałą w Somerville, w stanie Massachusetts. Umowa była wydrukowana na papierze wysokiej jakości. Podarła ją na wąskie paski. Paski podarła na kwadraciki, które następnie przez całą minutę trzymała w złączonych dłoniach, jakby w nie zwymiotowała i nie potrafiła wymyślić, gdzie to odłożyć. W końcu wrzuciła strzępy papieru do toalety.

Ponownie spojrzała na swój artykuł, próbując ocenić, co dla niej znaczy obecnie. Choć jej oczy podążały za tekstem, czytelnik w jej głowie mówił tylko: „Odleciałaś po romansie. Odleciałaś po romansie”. Po chwili zauważyła, że z powrotem włożyła artykuł do koperty,

którą trzymała przy piersiach. Przytulała ją, kołysała, oplakiwała. Podniosła się i podeszła do biurka, wciąż tuląc w ramionach cieką kopertę. Wcisnęła w nią wszystkie powiązane z tą sprawą kserokopie i zaczęła owijać grubą paczkę brązową plastikową taśmą do pakowania. Rozwijala coraz więcej taśmy, aż ta zakryła zupełnie paczkę, tak że w ogóle nie było widać koperty. Dopiero wtedy zagrzebała ją w dolnej szufladzie biurka. Spojrzała na zamkniętą szufladę i objęła się rękami, pogrążona w rozpacz.

Później wzięła prysznic i pojechała samochodem na Kendall Square. Lekarz na Harvardzie skierował ją do kliniki o nazwie Centrum Medyczne New Cambridge, zajmującej część starej fabryki z czerwonej cegły, która została przekształcona w biura; w wielu z nich mieściły się obecnie spółki high-tech z Harvardu. Nieraz mijala tę klinikę w drodze na seminaria na MIT, nie zwracając uwagi, co tam jest.

Ulicę spowił aromat bulionu i szalotki, wydobywający się z lokalu z japońskim jedzeniem, popularnego miejsca na lunch z makaronem. Za żółtą taśmą policyjną, rozciągniętą między dwoma znakami parkingu przed kliniką, w mocnym południowym słońcu stało pięć kobiet z Kościoła Działań w Chrystusie, z tymi samymi co zawsze zdjęciami w rękach. Bebe Wittleder zwróciła wzrok na Renée. Seitchek odwzajemniła jej spojrzenie. Bebe oniemiała, z szeroko otwartymi oczami patrzyła,

jak Renée otwiera metalowe drzwi.

Przystojna konsultantka po pięćdziesiątce, z zebranymi w warkocz siwiejącymi blond włosami, wzięła od Renée kopertę, którą wcześniej wręczył jej lekarz.

– Renée Seitchek – powiedziała. – Wiem, kim pani jest.

– Tak. Podobnie jak ci ludzie na dworze.

– Ojej, to dla pani niefortunny zbieg okoliczności.

– Hm, wydaje mi się, że jednak nie.

Konsultantka oparła się o tablicę reprodukcji, jajowody i jajniki otoczyły jej nazbyt przepełnioną współczuciem twarz.

– Powinnam zapytać, co pani ma na myśli?

– Cóż, zastanawiam się... – Renée zmarszczyła czoło. Skóra jej zeszywniała z braku snu. – Zastanawiam się, czy pani zdaniem kilka ostatnich miesięcy nie było dziwnych.

– O które miesiące chodzi?

– O ostatnie dwa czy trzy. Z tymi trzęsieniami ziemi i z tym, co robi Stites. Dla mnie były bardzo dziwne i jakby pasowały do siebie. Ale wydaje mi się, że nie wszyscy czują to, co ja.

Konsultantka wyraźnie nie czuła tego, co Renée.

– To było... bardzo interesujące – odpowiedziała z obojętnym uśmiechem.

– Tak. W każdym razie. Wściekłam się. A kiedy

człowiek się wścieka, robi się nieostrożny. Wie pani, bo mężczyźni mogą być nieostrożni i nic im się nie dzieje. A potem chyba miałam pecha. To znaczy, ze względu na moją nieostrożność. Ze względu na to, że myślałam, że to wcale nie jest kwestia przypadku.

– Mówi pani o środkach antykoncepcyjnych.

– Tak. O krążku macicznym.

Patrzyła, jak konsultantka wypełnia pole na jej formularzu, wpisując słowo „krążek”. Jakoś jej się udało zachować uprzejmość, kiedy doradczyni omawiała właściwe sposoby stosowania krążka i gdzie Renée popełniła błąd. Sama doskonale wiedziała, kiedy popełniła błąd.

– Zanim przejdziemy dalej – powiedziała konsultantka – chcę, żeby pani wiedziała, że możemy bez problemów skierować panią do kliniki, gdzie nie ma pikietujących. W pełni rozumiemy zagrożenie, jakie dla pani prywatności może nieść pozostanie tutaj.

– Jeśli sprawiam państwu jakiś problem, mogę pójść, dokądkolwiek chcecie.

– Nigdy. Nigdy ze względu na nas. Ale ze względu na panią?

– To nie ma znaczenia.

– W takim razie proszę o wypełnienie tego dokumentu. – Podała jej przez biurko oświadczenie, że świadomie wyraża zgodę na zabieg. – I prosimy o wniesienie opłaty. Chyba pani wie, że nie przyjmujemy

czeków.

Renée wyjęła z kieszeni trzysta dolarów. Laborantka pobrała jej krew z ręki. Konsultantka zaprowadziła ją do korytarza w podziemiach, żeby mogła wyjść przez inne drzwi.

W środę przez cały dzień myślała i pisała o głębokiej sejsmiczności na Tonga. Kiedy wieczorem wróciła do domu, w skrzynce na listy znalazła przesyłkę od Louisa Hollanda. Na kopercie widniał stempel z Bostonu i nie było adresu zwrotnego. Ani jej nie otworzyła, ani nie wyrzuciła.

Po kolacji słuchała sprawozdania z meczu baseballu. Przeciągnął się ze względu na dodatkowe rundy, po północy drużyna Red Sox w końcu przegrała po tym, jak przeciwnicy po błędzie miotacza zdobyli dwie bazy za darmo.

– Howardzie – powiedziała. – Mogę cię prosić na moment?

Na dworze było parno. Nawet w cieniu wielkich dębów na trawniku muzeum Peabody upał uziemił większość skrzydlatych owadów. Wiewiórki były bardzo ospałe. Howard wsunął ręce do kieszeni żeglarskich spodni i podskakiwał na palcach.

– Co?

– Dzisiaj jadę usunąć ciążę. Chciałabym, żebyś po mnie potem przyjechał.

– Dobra.

Powiedziała mu, gdzie ma przyjechać. Skinął głową, prawie nie słuchając. Jeszcze raz powiedziała mu, gdzie ma przyjechać. Powiedziała, że to bardzo ważne, żeby tam przyjechał.

– Jasne.

– W takim razie widzimy się gdzieś między wpół do piątej i wpół do szóstej.

– Jasne.

– Nie masz nic przeciwko temu, żeby to zrobić?

Ściągnął usta i pokręcił głową.

– I na pewno tam będziesz? – spytała.

– Jasne.

– Wpół do piątej.

– Jasne.

– W takim razie dobrze. – Fale uderzeniowe wywołane przez przelatujący nad nimi helikopter wprawiły jej płuca w drgania. – Dziękuję.

W biurze słuchała radia. Na moment dostroiwszy radio do stacji WSNE, usłyszała reklamę sklepu ogólnospżywczego Sunnyvale Farms, a po niej urywki Ewangelii według św. Jana. Z torby na ramię wyjęła list od Louisa Hollanda, uniosła go pod światło i odłożyła. Za oknem rozczarowani turyści stoicko kręcili głowami. Na wyjście z laboratorium Hoffmanna pozwoliła sobie dopiero wpół do drugiej.

Wysiadając z metra na Kendall Square, usłyszała charakterystyczne niewyraźne, spłaszczone głosy

policjantów rozmawiających przez radio. Niebieskie koguty walczyły z bielą popołudnia.

Wcześniej otrzymała klucz do piwnicznych drzwi do kliniki, ale ani wówczas, ani teraz nie zamierzała z nich korzystać. Minęła czwórkę stojących na chodniku policjantów z Cambridge i zobaczyła, na co czekają. Przed kliniką, na wydzielonej dla nich części parkingu, stało pięćdziesięciu członków Kościoła Stitesa, ściśniętych razem jak krowy w bydłym wagonie. Policjanci czekali, kiedy protestujący przekroczą żółtą taśmę.

Po drugiej stronie ulicy dwóch fotoreporterów robiło zdjęcia w cieniu wymachujących swoimi transparentami kolejnych dwudziestu członków Kościoła, a wyglądająca na dość arogancką reporterka poprawiała urządzenie do rejestracji dźwięku.

STOP RZEZI. ABORCJA TO MORDERSTWO.  
DZIĘKUJĘ, MAMO, KOCHAM ŻYCIE.

Stites stał przy żółtej taśmie z megafonem w ręce. Musiał dostrzec Renée, zanim go zobaczyła, ponieważ gdy tylko minęła policjantów, podniósł taśmę. Dwanaście kobiet zanurkowało pod nią. Usiadły w dwóch rzędach po sześć przed drzwiami kliniki i wzięły się pod rękę.

*Jesteśmy tu, żeby ratować nienarodzonych* – odezwał się megafon. – *Jesteśmy tu, żeby ratować niewinne istoty.*

Na ulicy wzrastał się ruch. Stites patrzył wprost w Renée.



*Każdy z nas był kiedyś zaledwie zapłodnioną komórką jajową – mówił megafon. – Wszyscy jesteście tu z łaski Pana i żywej miłości naszych rodziców.*

Dwójki w niebieskich mundurach chwyciły bezwładne babcie oraz stewardesy i ciągnęły je do oczekujących policyjnych furgonetek. Nauczycielka WF-u zapierała się fachowo o szczeliny w chodniku.

– Renée – odezwał się Stites, opuściwszy megafon.

Spojrzała w niebo. Jeszcze nigdy nie było tak białe i puste.

– Zastanów się przez chwilę – powiedział. – Kiedyś byłaś zaledwie drobiną komórek. Wszystko, czym jesteś, wszystko, co kiedykolwiek odczułaś, miało początek w tej drobinie. I nie jesteś nikim innym, tylko sobą, nie jesteś żadnym przypadkiem, nie jesteś zdarzeniem losowym. Jesteś sobą. A ta drobina wewnątrz ciebie nie jest nikim innym, tylko sobą, nim albo nią, i czeka, żeby się urodzić i przeżyć takie życie, jakie Bóg jej przeznaczy.

Spojrzała na ziemię. Nigdy nie wpadłaby na to, że może być aż tak zamknięta dla świata.

– Kochamy cię – mówił Stites. – Kochamy osobę, jaką jesteś, i osobę, jaką możesz być. Tylko pomyśl, co robisz.

Nachylił się nad żółtą taśmą błagalnie, ale płaszczyzna, którą zamieszkiwał, nie przecinała się z jej. Należał do innego gatunku niż ona, a to jego słowo „miłość” było po prostu funkcją charakterystyczną dla jego gatunku. To „kochamy cię” miało dla niej tyle samo

sensu co wieloryb mówiący: „Musisz odcedzić plankton za pomocą fiszbinów, tak jak ja to robię” czy żółw, który stwierdzał: „Ty i ja wspólnie składaliśmy jajka w piaszczystym zagłębieniu”. To było odrażające.

Droga do kliniki została oczyszczona. W dwóch policyjnych furgonetkach dwunastka protestujących śpiewała *Amazing Grace*, w różnych tonacjach i w różnym metrum.

– Renée – powiedział Stites. – Proszę, wysłuchaj mnie.

– To jest niewybacalne – odparła, wyrażając jedynie oczywistość.

Weszła do środka.

– Ojejku – powiedziała jasnowłosa konsultantka. – Zgubiła pani klucz?

Renée wręczyła jej klucz.

– Od jak dawna są tutaj?

– Od dzisiejszego ranka.

– Myślę, że teraz sobie pójdą.

W klinice było lodowato od pracującej klimatyzacji i niebieskawego oświetlenia. W czystej białej komórce zdjęła ubranie i powiesiła je na haczyku. Dzinsy, zewnątrz warstwa, nierozprostowane, z jednym biodrem wykręconym i lekko zgiętymi kolanami, stanowiły jej żywy wizerunek.

– Nie chcę środków uspokajających – powiedziała do pielęgniarki.

W sąsiednim pomieszczeniu czekał na nią przygotowany stół, a obok mniejszy stolik dla doktora Wanga, podstawowe nierdzewne sztucze połyskujące na papierowej podkładce pod nakrycie. Bez noża do ryby, bez łyżki – to był posiłek jednodaniowy.

Obiekt położył się w jasnoniebieskiej koszuli. Jej twarz na dolnym krańcu wyściełanej pochyłości miała barwę głębokiej, fioletowawej czerwieni. Włożono wziernik, doktor powiedział: „Może trochę szczypać”. Zastosowano kulociąg, za pomocą igły podano chloroprocainę. Smukłymi, zwinnymi palcami doktor Wang rozdarł sterylne papierowe opakowanie z sześciomilimetrowej kaniuli.

Podano nawilżający żel intymny K-Y. Włączono odkurzacz, podłączono rurę. Kaniula weszła i wyszła. Do środka i na zewnątrz, w górę i w dół. Zdumiewający był dźwięk drapania, który dało się usłyszeć. To nie był dźwięk, jakiego człowiek spodziewa się po ciele; to był dźwięk nieożywionego przedmiotu, jak kielnia skrobiąca bok plastikowego wiadra, jak ostatnie krople koktajlu mlecznego wysysane z kubka z woskowanego papieru. Kaniula wchodziła i wychodziła. Hrr, hrr, odezwała się macica.

– Oj – powiedział obiekt, ponownie wyrażając oczywistość, kiedy zaczęły się skurcze. Starła się stawić opór prądowi odpływowemu. Mięśnie stopy napięły się w ostrogach dybów, które teraz miały kółka i zostały

wytoczone na chodnik, tak żeby każdy przechodzący naukowiec, sekretarka, nastolatek i członek Kościoła mógł, za ledwie rzuciwszy spojrzenie, zajrzeć między jej rozłożone gołe nogi, przez wziernik, aż do jej czerwonego wnętrza. Pielęgniarka pogłaskała ją po czole. Wyłączono odkurzacz.

– Wszystko wygląda zupełnie normalnie – stwierdził doktor Wang.

W sali pooperacyjnej Renée podano sok pomarańczowy, tabletkę ergometryny i pokryty cukrem pudrem pączek, pierwszy posiłek, jaki jadła od siódmej rano. Skurcze nie były dokuczliwe, ale wręczono jej koperty z przeciwbólowym darvonem i kolejną dawką ergometryny. Przekazano jej proste instrukcje i ostrzeżenia. Zapytano, czy ktoś odwiezie ją do domu.

Dokładnie o piątej dano jej się ubrać.

– Proszę pozwolić, że wyprowadzę panią tylnymi drzwiami – powiedziała konsultantka.

Pokręciła przecząco głową.

– Powinna pani do jutra odpoczywać.

– Będę odpoczywać.

Była zaskoczona pociemniałym niebem na dworze. Niosący grzmot wiatr potargał włosy pozostałych na miejscu protestujących, tak że sterczały im niemal pionowo. Stali na wyznaczonym im kawałku parkingu dokładnie tak samo jak wówczas, gdy widziała ich po raz ostatni, jakby to miejsce stanowiło ich całą planetę,

a włosy sterczały im na głowach, bo mknęła przez powietrze. Patrzyli na Renée ponuro, bez nienawiści. Po drugiej stronie ulicy Stites gawędził i rozśmieszał arogancką reporterkę. Z uśmiechem odwrócił się i spojrzał prosto na Renée, jakby jej nie widział. Rozległ się dyskretny trzask pioruna. Poczekała, aż minie ją niebieski hyundai i czarne infiniti. Następnie przeszła przez ulicę.

– Witaj, Renée. To jest Lindsay, z „Heralda”.

– Cześć, jak się masz! – odezwała się Lindsay.

Stojący na miejscu parkingowym członkowie Kościoła odwrócili się o sto osiemdziesiąt stopni i patrzyli na swojego pastora. Zanim się zorientował, co robi Renée, wyjęła mu megafon z ręki i pobiegła za słup ulicznej latarni. Odwróciła się przodem do wiernych, do kłębiącego się tłumu gapiów, do czekających policjantów, fotoreporterów, reporterki i pastora.

– Halo – powiedziała, mocniej naciskając plastikowy guzik włączający megafon. – HALO. NAZYWAM SIĘ RENÉE SEITCHEK. PRZEPROWADZĘ Z SOBĄ WYWIAD.

Stites podszedł do niej, próbując odebrać jej megafon.

– To nie twoje, Renée.

Wymknęła się mu i cofnęła po chodniku, nie spuszczając wzroku ze Stitesa.

– CHCIAŁAM COŚ OŚWIADCZYĆ – zaczęła. –

SKORO WAS WSZYSTKICH TAK TO INTERESUJE. CHCIAŁAM OŚWIADCZYĆ, ŻE WŁAŚNIE DOKONAŁAM ABORCJI.

Zeszła z krawężnika.

– PIERWSZE PYTANIE: CO JESZCZE... – Jakiś samochód zatrafił. – CO JESZCZE MAM WAM POWIEDZIEĆ?

ODPOWIEDŹ: MÓJ ADRES TO PLEASANT AVENUE SIEDEM, SOMERVILLE. NUMER MOJEGO TELEFONU TO TRZYSTA SZEŚCZDZIESIĄT DZIEWIĘCZDZIESIĄT SZEŚĆ SIEDEMDZIESIĄT JEDEN. MAM GRUPĘ KRWI ZERO. MOJE DRUGIE IMIĘ TO ANN. MÓJ ZESZŁOROCZNY DOCHÓD WYNIÓSŁ DWANAŚCIE TYSIĘCY DOLARÓW. PODKRADAM MATERIAŁY BIUROWE MOJEMU PRACODAWCY. LUBIĘ SIĘ MASTURBOWAĆ. NUMER MOJEJ POLISY UBEZPIECZENIOWEJ TO TRZYSTA PIĘCZDZIESIĄT JEDEN CZTERDZIEŚCI JEDENAŚCIE TRZYDZIEŚCI SIEDEM. W COLLEGE’U BRAŁAM NARKOTYKI. A W ZESZŁYM TYGODNIU TEŻ BRAŁAM.

Potok wychodzących z biur pracowników zasilił tłum na chodniku. Samochody podjeżdżały do krawężnika. Lindsay z „Heralda” trzymała przed sobą wyciągnięty magnetofon kasetowy, a Stites kręcił głową. Renée skierowała megafon w jego stronę.

– PYTANIE: ILE TYGODNI MIAŁ PŁÓD, KTÓRY WŁAŚNIE USUNĘŁAM?

ODPOWIEDŹ: MNIEJ WIĘCEJ PIĘĆ TYGODNI. NIE JESTEM PEWNA, BO ZAWSZE MIAŁAM NIEREGULARNE MIESIĄCZKI.

PYTANIE: KTO JEST OJCEM?

ODPOWIEDŹ. – Wzięła głęboki oddech. Teraz musiała skłamać. – ODPOWIEDŹ: NIE JESTEM PEWNA. W CIĄGU OSTATNICH DWÓCH MIESIĘCY ODBYWAŁAM STOSUNKI Z WIĘCEJ NIŻ JEDNYM MĘŻCZYZNĄ.

PYTANIE: DLACZEGO?

ODPOWIEDŹ: BO BYŁAM BARDZO SAMOTNA, NIESZCZĘŚLIWA I CHCIAŁAM POCZUĆ SIĘ DOBRZE. PONADTO BYŁAM ZAKOCHANA W JEDNYM Z TYCH MĘŻCZYŻN. CHCIAŁAM ZA NIEGO WYJŚĆ I MIEĆ Z NIM DZIECI.

PYTANIE: JAK CI MĘŻCZYŹNI SIĘ NAZYWALI?

ODPOWIEDŹ: TO SPRAWA PRYWATNA. SĄ LUDŹMI I MAJĄ PRAWO DO ZACHOWANIA PRYWATNOŚCI.

W tym momencie usłyszała radosne okrzyki dwóch czy trzech młodych kobiet. Nie potrafiąc określić, z której strony dochodzą, nadal trzymała megafon wymierzony w Stitesa, który zdjął okulary i pocierał wewnętrzne kąćki oczu.

– PYTANIE: JAKICH ŚRODKÓW ANTYKONCEPCYJNYCH UŻYWAM?

ODPOWIEDŹ: UŻYWAM KRAŹKA. TO JA PONOSZĘ

PEŁNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ I JEŚLI W PEWNYM MOMENCIE ZAWIÓDŁ, TO ZAWIÓDŁ MNIE.

PYTANIE: JAK SIĘ TERAZ CZUJĘ?

ODPOWIEDŹ: JEST MI BARDZO, BARDZO SMUTNO. SMUTNO MI ZE WZGLĘDU NA MNIE I ZE WZGLĘDU NA WSZYSTKIE KOBIETY, PONIEWAŻ MĘŻCZYŻNA NIGDY NIE BĘDZIE MUSIAŁ PRZYJŚĆ W TAKIE MIEJSCE, PRZENIGDY. ALE TEN SMUTEK NALEŻY DO MNIE I ŻADEN MĘŻCZYŻNA NIE MOŻE GO DOŚWIADCZYĆ, A JA SIĘ CIESZĘ, ŻE JESTEM KOBIETĄ.

Przetoczył się kolejny grzmot. Po ulicy przewaliła się fala śmieci. Renée, z rumieńcem na twarzy i zgięta w pół z powodu skurczu, odłożyła megafon na krawężnik i najszybciej, jak tylko mogła, ruszyła pod wiatr. Nie miała pojęcia ani też nie interesowało jej, ile osób poza Stitesem i Lindsay ją słuchało.

Wielki biały samochód Howarda czekał na skrzyżowaniu Hampshire i Broadwayu, zwrócony przodem w kierunku Harvardu. W tej całkowicie wybrukowanej okolicy, gdzie nie było nawet śladu zieleni, ciemne niebo wyglądało jak zimowe. Renée zaczekała, aż przejedzie niebieska cressida, a potem szary accord, czarne infiniti i srebrna camry. Gdy tylko przeszła przez ulicę i wsiadła do samochodu, Howard nacisnął na pedał gazu. Zgarbiła się tak bardzo, że jej wzrok znalazł się na poziomie dolnej krawędzi szyby.



Kopniakiem odtrącała puszkę po coli i mistrzowskich rozmiarów talerz frisbee, pięścią rozcierając brzuch.

– Jak się czujesz? – zapytał Howard.

– Mogło być gorzej.

– Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli po drodze wpadnę do laboratorium?

– Dlaczego najpierw nie zawieszysz mnie do domu?

– Tylko na moment, dobrze? Muszę zabrać sznur do sklepu Somerville Lumber.

– A co kupujesz w Somerville Lumber?

– Regał ścienny.

Roześmiała się pusto.

– I chcesz, żebym ci w tym pomogła?

Przypominający hałas pracującego w upały okiennego wentylatora warkot silnika samochodu utrzymywał jej dolegliwości w granicach tolerancji. Kiedy Howard go wyłączył, na zarezerwowanym miejscu parkingowym przed drzwiami do sali komputerowej poczuła się słaba, chora i jeszcze bardziej się zgarbiła.

Przez opuszczone przednie szyby wiał ciepły wiatr. Nagle zapiszczały opony. Na parking zajęchała szara cressida i stanęła za samochodem Howarda, blokując mu wyjazd. Z auta wyskoczyła młoda Azjatka w garniturze i tenisówkach i zaczęła walić w drzwi do sali komputerowej. Była to tak zwana narzeczona Howarda, Sally Go. Ktoś wpuścił ją do środka.

Za zielonym żywołotem i wałem mulczu na Oxford

Street coś się ruszało, akcja toczyła się w trzech niezależnych układach odniesienia: przemykające rozmyte dachy samochodów, przepływający rowerzyści z głowami i ramionami wysoko nad ziemią, ale rowerami zasłoniętymi przez żywoplot, oraz sprężyste kroczący przechodnie, studenci i robotnicy, w wyraźnym pośpiechu zmierzający do domu, ponieważ drzewa ukazywały już białe dolne strony liści, a konary najwyższych zaczynały dosyć gwałtownie falować. Wiatr niósł strzępy odległych dźwięków. Grzmot narastał, dudniąc jak ziemia podczas trzęsienia w Nowej Anglii. Renée na wpół siedziała, na wpół leżała, trzymając się rękami za brzuch i próbując zebrać czubkami palców jakąś część bólu. W tym momencie nie potrafiłaby powiedzieć, jak długo czeka w samochodzie.

Za jej plecami, w tym fragmencie nieba, którego nie mogła zobaczyć, bo była zbyt osłabiona, żeby się odwrócić, zbierał się mrok, jak podczas zaćmienia słońca. Drzewa znajdowały się w nieustannym ruchu, strzępy dźwięków z Oxford Street spadały daleko na północy, ale ziemia wciąż była sucha, na chodniku maszerowali ludzie w suchych ubraniach, a powietrze było ciepłe i wypełnione płatkami i zielonymi liśćmi. Pomyślała, że nigdy nie wdychała cudowniejszego powietrza. Czuła, jak odpływa z niej całe zło. Pogoda, będąca częścią przyrody, zajęła zielone i wybrukowane przestrzenie między budynkami. Powietrze pachniało pełnią lata i późnym

popołudniem, burzą i miłością, a jego temperatura była dokładnie taka sama jak temperatura jej skóry, więc czuła się tak, jakby przebywała w niczym, jakby nie odczuwała żadnej granicy między sobą a światem. Z przejeżdżających samochodów docierały do niej wywołane błyskawicami zakłócenia radiowe. Czuła siłę oddziaływania pojazdów, rozgrzanego asfaltu, ceglanych budynków i transmisji radiowych, tych wszystkich rzeczy stworzonych przez człowieka, poddawanych teraz działaniu przewalającej się pogody. Jakże głęboko były pogrążone w świecie, jakże ona była w nim głęboko. Życie nie na zewnętrznej warstwie świata, ale głęboko w jego wnętrzu, w morzu atmosfery i poruszających się drzew, pod wysokim sklepieniem czarnych chmur, z elektronami wspinającymi się i schodzącymi po białych drabinach. Pragnęła wdychać to wszystko i w ten sposób to objąć, ale czuła, że nigdy nie będzie w stanie wziąć dostatecznie głębokiego oddechu, podobnie jak czasami myślała, że nigdy nie będzie dostatecznie blisko ukochanej osoby.

Zastanawiała się: co tak naprawdę tu kochała? Grzmot odbił się echem, a liście wzniosły się spiralą w ciemnozielone niebo. Obserwując własny umysł z bezpiecznej, ironicznej odległości, sformułowała myśl: Dziękuję, że zostałam stworzona, żeby tu być. Zabrzmiało to fałszywie, choć może nie do końca. Spróbowała jeszcze raz: Dziękuję za ten świat.

Pół żartem, pół serio podejmowała kolejne próby. Zajmowała się tym w dalszym ciągu, kiedy drzwi do sali komputerowej otworzyły się szeroko i wybiegła przez nie Sally Go. Sally wcisnęła zażawioną twarz przez otwarte okno po stronie Renée.

– Widziałam cię! – krzyknęła. – Pracuję tu obok i cię widziałam! I ja, i moi koledzy w i d z i e l i ś m y cię! – Miała jeden z tych nieprzywierających głosów ludzi z miasta. – Nienawidzę tego, co wyprawiasz. Miał się ze mną ożenić. Jesteś wariatką. Nienawidzę cię! Mam nadzieję, że umrzesz! Tak bardzo cię nienawidzę.

Renée otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale dziewczyna już wsiadła do swojego samochodu. Wycofała z piskiem opon i odjechała.

Howard wrócił z motkiem nylonowego sznura.

– To była twoja dziewczyna?

Tylko wzruszył ramionami, uruchamiając silnik. Wiatr zdążył już zmieść z ulic większość samochodów i ludzi. Na końcu Kirkland Street wisiała czarna zasłona, zapadał listopadowy zmierzch.

– Chyba zmoknie ci regał – odezwała się Renée.

– Mam folię – odparł Howard.

Przypomniała sobie o liście od Louisa, więc wiele nie myśląc, wsunęła dłoń pod klapę skórzanej torebki i próbowała ukradkiem go otworzyć, ale Howard patrzył na nią. Powoli wyciągnęła dłoń. Pod mostem na Dane Street wiatr przyginał do ziemi kępy ambrozji i pałek.

Pierwsze krople poznały przednią szybę. Jechała do domu w Somerville, w dżinsach i tenisówkach, z opróżnionym łonem. Brązowe, żółte, białe i niebieskie deski poszycia ścian nigdy nie wyglądały tak pięknie, jak w tym zielonym świetle zaczynającej się burzy. Już teraz czuła żar w swoim mieszkaniu, zapach deszczu na rozgrzanych płytkach łupkowych za kuchennym oknem, słyszała wodę na dachu. Z taką niecierpliwością chciała już być w domu, że gdy tylko Howard zatrzymał się na Pleasant Avenue, ledwo mu podziękowała. Wskoczyła z auta i zatrzęsła drzwiami.

Potężne krople deszczu spadały na kapryfolium. Howard ruszył z miejsca, ale nie ujechał nawet dziesięciu metrów, kiedy naprzeciw Renée, bezpośrednio po drugiej stronie ulicy, w czarnym infinity opuściła się szyba po stronie kierowcy, jakaś ręka wysunęła się i wypaliła jej w plecy z małego rewolweru, po czym wystrzeliła jeszcze cztery kule, kiedy Renée spadała z pokruszonego ganku. Howard wcisnął pedał hamulca. W lusterku zobaczył, jak infinity, zarzucając tyłem, wpada na Walnut Street i znika.

# **III**

## **Argilla Road**

## 12.

Nikt nigdy nie miał problemów z odnalezieniem domu Hollandów przy Wesley Avenue; na znajdującym się przed nim wąskim ogródku upchniętych było czternaście dorastających sosen wejmutek. Bob posadził je wiosną 1970 roku, a potem z aprobatą obserwował, jak przez lata zabijały okrywę roślinną swoimi kwaśnymi odchodami i spowijały ogródek mrokiem. Każdego ranka w dni powszednie, zanim pojechał na rowerze na kampus, patrolował poszycie w poszukiwaniu opakowań po gumach i pudełek po hamburgerach. W weekendy za pomocą grabi na długim kiju ściągał z czubków drzew przyniesione przez wiatr śmieci, a sosny kołysały się jak kudłate psy dające się w milczeniu czesać. Zwijały się, kiedy kierował w ich stronę wąż ogrodniczy, żeby splukać z drzew siarkę z zanieczyszczonego powietrza.

W ogrodzie za domem, za wysokim ogrodzeniem chroniącym wesole trawniki inżyniera i uczelnianego zastępcy dyrektora sportowego, Bob pozwalał, by ziemia upodabniała się z powrotem do pierwotnej prerii, jaka pokrywała Illinois (tłumaczenie tego nigdy mu się nie znudziło) przed wprowadzeniem niegospodarnych i niszczyielskich praktyk rolniczych Europejczyków. Wśród wysokiego do piersi gąszczu zamieszkiwały krety, węże, myszy, sójki błękitne i mnóstwo, ale to mnóstwo szerszeni. Znajdowały się tam też pułapki na kosiarki do

trawy, pod postacią stalowych prętów ukrytych w podszyciu i wystających dziesięć centymetrów nad ziemię. Bob umieścił je tu w 1983 roku, po tym jak Melanie, znalazłszy myszy w sypialniach, zapłaciła chłopakowi z sąsiedztwa za zniszczenie prerii za pomocą kosiarki i motyki. Obecnie preria była oddzielona od domu niskim ogrodzeniem z drucianej siatki, a jeśli jakieś małe zwierzątko przekraczało granicę, zostawało zjedzone przez specjalnie do tego celu wyznaczone koty Hollandów, Drake'a i Cromwella. Bob od czasu do czasu zakładał rękawice i zapuszczał się między szerszenie, żeby wyrwać z korzeniami podrosty klonów i innych szerokolistnych intruzów.

Sam dom, którego tylko dach i okno mansardowe na trzeciej kondygnacji wznosiły się nad sosnami, wyróżniał się tym, że miał półkolisty salon oraz położoną bezpośrednio nad nim półkolistą główną sypialnię. Te pomieszczenia, a do tego jadalnia oraz ganek przed domem, należały do Melanie. Utrzymywała je we względnym porządku, a odwiedzający dom nigdy nie widzieli kuchni z epoki brązu i piwnicy z epoki kamiennej, w której zalegały stosy prania, zawierające w dolnych warstwach pokłady z połowy lat siedemdziesiątych. Bob przebywał głównie w swoim gabinecie, jedynym pomieszczeniu na drugim piętrze. Pokoje dzieci całymi miesiącami odwiedzał obecnie tylko unoszący się w powietrzu kurz. Ale drzwi do nich zawsze



stały otwarte, odsłaniając meble jak niepochowanego zmarłego i nie dając im spokoju.

Idąc na Davis Street ze stacji kolejki El, Louis czuł na twarzy suchy wiatr z zachodu. Mimo czerwca płaskie, niepodlewane trawniki były tak brunatne, jak to bywało w sierpniu. W głębokiej ciszy, która zapanowała po rozdaniu dyplomów, kolejne budynki sprawiały wrażenie opuszczonych, a wypływający z podwórza za domem pewnej samotnej rodziny dym z węgla drzewnego tylko pogłębiał to uczucie spustoszenia.

Pośród ojcowskich sosen było chłodniej. Żółte promienie padały ukosem przez unoszący się w powietrzu pyłek kwiatowy, słońce wisało w gałęziach, jakby nie poruszyło się od dwudziestu lat. Zapach żywicy był ostry i nie sprzyjał owadom (Melanie często powtarzała, że ma wrażenie, jakby mieszkała na cmentarzu). Na drzwiach frontowych zobaczył przyklepioną taśmą wiadomość zapisaną ręką Boba: „Louis, jestem w Jewel”.

Poszedł prosto na górę do swojego pokoju, rzucił torbę i opadł na oczekujące łóżko, przytłoczony upałem i brakiem oznak życia w dzielnicy oraz samym faktem, że znalazł się w domu. Nie wiedział, dlaczego pozwolił sobie na przyjazd. Zamknął oczy i pogrążył się w myślach. Dlaczego, dlaczego, dlaczego – jakby samo to słowo mogło przenieść go przez pięć następnych dni do chwili powrotnego lotu. Ale kiedy o nim pomyślał, zaraz

przyszedł mu do głowy Boston. Przetoczył się na brzuch i schował twarz w dłoniach. Starał się myśleć o czymkolwiek, co uszczęśliwiałoby go w przeszłości, ale nie pozostał w nim nawet ślad przyjemności z dni spędzonych z Lauren i chociaż roilo mu się coś o Renée, coś, z czym wiązało się jakieś drobne szczęście, niczego konkretnego nie potrafił sobie teraz przypomnieć.

Rozdzwoniły się telefony. Podniósł się automatycznie i odebrał w sypialni rodziców.

– Louis? – odezwała się Lauren. Słyszał ją, jakby mówiła z pokoju obok. – Tęsknię za tobą.

– Gdzie jesteś?

– W Atlancie, na lotnisku. Dobrą miałeś podróż?

– Nie.

– Louisie, właśnie się zastanawiałam i przyszła mi do głowy pewna myśl. Pamiętasz, jak mówiłeś, że nie wyobrażasz sobie życia w tym kraju? Pomyślałam, że naprawdę moglibyśmy przenieść się na jakąś wyspę. Moglibyśmy oboje pracować, coś zaoszczędzić, a potem moglibyśmy pojechać i otworzyć jakąś restaurację czy coś takiego. Tylko we dwoje. Moglibyśmy mieć dzieci, chodzić na plażę, a potem pracowalibyśmy w restauracji.

– Urwała, czekając na jego reakcję. – Brzmi to może głupio, kiedy o tym mówię, ale wcale nie jest głupie. Naprawdę moglibyśmy tak zrobić. Będę dla ciebie wszystkim i będzie mi dobrze, dokądkolwiek pojedziemy.

Louis nasłuchiwał dźwięków, jakie wydawało wydechane przez nos powietrze.

– Myślisz, że to głupie? – spytała Lauren.

– Nie. Nie, brzmi miło.

– Nie chciałeś, żebym dzwoniła.

– Nie ma sprawy.

– Nie, zaraz się rozłączę i już więcej nie zadzwonię. Przepraszam. Po prostu zapomnij, że dzwoniłam. Obiecujesz, że zapomnisz o moim telefonie?

– Naprawdę nie ma sprawy.

– Chciałam ci jeszcze powiedzieć – ściszyła głos – że chcę się z tobą kochać. Naprawdę, naprawdę, naprawdę tego chcę. Chciałam powiedzieć, że jest mi przykro, że tego nie zrobiliśmy, gdy mieliśmy okazję. Jak tylko znalazłam się w samolocie, rozplakałam się z tego powodu. A teraz – jej głos zrobił się piskliwy – teraz nie wiem, czy jeszcze kiedyś do tego dojdzie. Louisie, wszystko schrzaniłam, to prawda. Kiedy jestem z tobą, jestem taka szczęśliwa, staram się, żeby wszystko było i d e a l n e. Ale kiedy jestem sama... Kiedy jestem sama, chcę tylko, żeby było tak, jak ty chcesz.

Nastąpiła długa przerwa, podczas której po obu stronach linii słychać było tylko ich oddechy.

– Musisz być silna – odezwał się Louis.

– Dobrze. Żegnaj.

Nie chciał ciągnąć tej rozmowy, ale nie podobał mu się ton tego „żegnaj”. Słychać w tym było zarzut, że jej nie

kocha. Bo czy gdyby ją kochał, nie powiedziałaby, żeby się jeszcze nie żegnała?

– Trzymaj się – powiedział.

– Dobrze – odrzekła Lauren i się rozłączyła. Na jej karcie kredytowej odnotowano kolejną opłatę.

Usłyszawszy na podjeździe umiarkowanie głośny, acz przenikliwy dźwięk rowerowego wolnobiegu z dziesięcioma przerzutkami, zszedł do kuchni; ojciec zdejmował właśnie plecak.

– Cześć, tato.

– Cześć, Louisie, witaj w domu.

W kuchni nie dało się zauważyć ani śladu dwudziestu dwóch milionów dolarów: nadal podarte linoleum przed zlewem i pod tylnymi drzwiami, w misce na owoce jak zawsze jeden zdechły banan i jedno otyłe i wyraźnie mączyste jabłko, ta sama archaiczna zmywarka do naczyń z wytartymi literami na przyciskach i zaschniętymi zaciekami z detergentu pod przeciekającymi drzwiczkami, te same brudne okna z zamkniętymi dodatkowymi okiennicami, w kątach pajęczyny i sosnowe igły, ta sama stara suszarka na naczynia z krostami rdzy, ta sama duża butelka z pospolitym płynem do mycia naczyń i z różową skorupą na szyjce i ten sam stary ojciec, paplający w swój mało zajmujący sposób o lokalnej suszy i jej prawdopodobnych globalnych przyczynach. Bob ubrany był jak pracownik firmy koszącej trawniki – miał na sobie

niebieskie spodnie z mankietami z niegniotącego się materiału, kupione w sieci Sears buty robocze, ciemny od potu i zielony T-shirt Greenpeace. Kiedy kuczał jak baba przy lodówce i przekładał warzywa z plecaka do pojemnika, Louis obserwował go z irytacją graniczącą z pogardą. Na górnej półce niezmiennie stały piwa marki Old Style. Louis wyjął jedno z nich, sięgając ponad włosami, które już zawsze miały być gęstsze niż jego własne, czując woń pach, które zapomniały, co znaczy dezodorant.

– Nie zdjąłeś klamerki z nogawki – powiedział.

Bob dotknął nogawki, sprawdził, czy klamerka wciąż tam jest, ale jej nie ściągnął. Wygładził opróżniony plecak i złożył go na pół.

Louis rozejrzał się po kuchni, jakby miała być świadkiem tego, co musi tu znosić.

– No to jestem – odezwał się. – Powiesz mi, dlaczego przysłałeś mi bilety?

– Żebyś się nie mógł rozłączyć, jak do ciebie dzwonię – odrzekł Bob.

– Dostyc drogi sposób. A może pieniądze nie grają już roli?

– Jeśli to cię martwi, możesz mi pomalować garaż. A najpierw go oskrob. Ale tak naprawdę, jeśli już trzymać się logiki, nie ma powodu, dla którego miałbyś tu być. I ja też nie mam powodu, żeby przejmować się tym, że widzę, jak jesteś nieszczęśliwy. Nie ma również powodu,

dłaczego ty i twoja matka nie mielibyście nadal wzajemnie się unieszczęśliwiać i zatruwać życia całej rodzinie.

Louis przewrócił oczami, ponownie wzywając kuchnię na świadka.

– Rozumiem, że jest już w Bostonie.

– Wyjechała w czwartek.

– To miłe, że zawsze mnie informuje, kiedy tam jest.

– Tak, wiem, że do ciebie nie dzwoni. Ale prawdą jest, że ty i tak nie chciałbyś się z nią spotkać.

– Uhm. – Louis skinął głową. – To bardzo ładnie z jej strony. Wie, że nie będę chciał się z nią spotkać, więc zaoszczędza mi niedogodności, jaką byłoby dla mnie odrzucanie jej zaproszenia. To niesamowicie taktowne.

– Lou, właśnie dlatego chciałem, żebyś tu przyjechał.

– „Dlatego”? „Dlatego”? Dlatego że co...? Że mam takie podejście? Że nie jestem dostatecznie uprzejmy wobec mamy? – Przełknął łyk piwa i się skrzywił. – Jak możesz pić coś takiego? Przecież to gazowany woreczek żółciowy.

– Pomyślałem, że może będziesz chciał przyjechać – odparł Bob, zdecydowany nie dać się sprowokować. – Jesteś bardzo rozgniewany, to oczywiste, i pomyślałem, że jeśli na przykład lepiej zrozumiesz, dlaczego twoja matka zachowuje się w ten sposób...

– To wtedy ją zrozumiem, zaakceptuję to i jej wybaczę. Tak? – Louis oczekiwał, że ojciec zaprzeczy. –

Opowiesz mi, jak to ciężko jest mamie w życiu i jak to ciężko w życiu jest Eileen, i jak w porównaniu z nimi mnie jest łatwo, i wtedy, ponieważ okaże się, że u mnie jest tak dobrze, pójdę i powiem: Jejku, mamó, b a r d z o przepraszam, możesz sobie robić, co chcesz, w pełni cię rozumiem.

– Nie, Louisie.

– Ale jednego nie rozumiem: skąd się wzięło to powszechne przekonanie, że mnie jest łatwo? Mieszkasz z nią w tym domu, widujecie się codziennie, ale nie możesz jej powiedzieć: „Jejku, Melanie, czy nie jesteś wobec L o u i s a trochę niemiła?”. Zamiast tego ściągasz mnie do domu, ż e b y m t o j a wszystko zrozumiał.

– Lou, ona rozumie, ale nic nie może na to poradzić.

– Tak, jasne, ja też nie mogę nic na to poradzić. I właśnie dlatego nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Ona nic na to nie może poradzić, ja nic nie mogę na to poradzić, koniec kropka.

– Ale ty m o ż e s z coś na to poradzić.

– Co? Och, niby dlaczego? – rzucił ogólnikowe pytanie w stronę kuchni. – Bo w wieku dziesięciu lat zostałem wybrany na Pana Wyrozumiałego? Bo mężczyznom jest łatwiej?

– Częściowo tak.

– To mnie jest łatwo? Nie mamie, która może sobie robić, co tylko jej się żywnie podoba, a potem mówi, że nic na to nie może poradzić? I nie Eileen, która jak sam

wiesz, p ł a c z e za każdym razem, gdy nie dostanie tego, czego chce? Mówisz poważnie? To niewiarygodna arogancja. Ja tylko stwierdzam, że wcale nie jestem od nich lepszy. Co w tym złego?

– Na czym dokładnie polega twój problem z mamą?

– Mój problem z nią... Nie zamierzam nawet ci o tym opowiadać.

– Dlaczego?

– Bo nie mam ochoty.

– Bo jesteś zakłopotany. Bo to poniżej twojej godności.

– Aha, rozumiem. Powiedz mi coś jeszcze o tym moim problemie.

Bob zawsze się rozkoszował, ilekroć zaproszono go, by wygłosił wykład. Sięgnął po poczerniałego banana i trzymając go przed oczami, powoli obrał owoc.

– Może to jest stary romantyzm lewicy – zaczął swoim marzycielskim głosem z sali wykładowej. – Kiedyś myślałem o tobie i Eileen jak o dwóch stronach narodowego równania: Eileen jako osoba, która myśli, że potrzebuje bogactwa i luksusu, natomiast ty jako osoba, która...

– Która mówi: „Do diabła, nie, mnie wystarczy ryż z fasolą”.

– Tak, możesz się ze mnie teraz śmiać, ale tak to wyglądało. – Bob zaczął jeść banana; nikt inny w rodzinie nie tknąłby takiego poczerniałego owocu. – Myślałem, że



rozumowałaś mniej więcej tak samo jak ja. A kiedyś wierzyłem, że w tym kraju istnieje pokaźna liczba ludzi, którym zależy wyłącznie na tym, żeby mieć porządną pracę, porządny dom, porządną opiekę zdrowotną i pierwszorzędną satysfakcję niematerialną. Ponieważ wydawało się, że ludzie p o w i n n i tacy być. A potem, w latach osiemdziesiątych, okazało się, że było to równie pobożne życzenie, jak wszystkie inne, które miałem. Porządni pracujący ludzie w tym kraju okazali się tak samo pazerni na dobra konsumpcyjne jak burżuje, każdy bez wyjątku marzy, żeby mieć takie luksusy jak Donald Tramp i jeśli to tylko pomoże, jest gotów zatruć świat i zabić bliźniego, żeby je dostać.

– Aha – odparł Louis. – Czyli jestem pazerny. Jak wszyscy jestem Donaldem Trumpem. I na tym polega mój problem z mamą: ja chcę mieć szalowy domek, taki jak ma Eileen, i chcę mieć magnetowid czy bmw, i jestem wkurzony na mamę, bo nie chce mi tego dać. Tyle udało ci się ustalić?

– Jesteś zły, bo pożyczyła Eileen pieniądze.

– Tak, nawet jeśli na tym polegał problem, chociaż wcale tego nie potwierdzam. Rzecz w tym, że chodzi o s p r a w i e d l i w o ś ć, o s z c z e r o ś ć. Chcę powiedzieć, że ta twoja klasa robotnicza nie myślałaby o posiadaniu bmw, gdyby nie musiała oglądać tych nic niewartych bogatych dupków, którzy nimi jeżdżą, rozmawiając przez telefon. I zanim to powiesz: nie

uwazam bynajmniej Eileen za bezwartościowego bogatego dupka. I nie twierdzę, że mam z nią jakiś problem.

– Nie – powiedział Bob, spokojnie kończąc banana. – Po prostu widzisz okazję, żeby dokuczyć matce, a sprawiedliwość masz po swojej stronie.

– Ja? Żartujesz sobie? Staram się do niej nie zbliżać! Staram się o niej zapomnieć! Bo ona d o s ł o w n i e o to mnie prosiła. Powiedziała: „Udawajmy, że to się nie wydarzyło”. I jak sądzisz, co starałem się zrobić? No wiesz, na mój własny głupi, ufny sposób. Nie mam pojęcia, jak wpadłeś na pomysł, że ją dręcę. R a z j e d e n wybrałem się do niej porozmawiać, kiedy się zorientowałem, że tylko mnie poproszono, żebym udawał, że to się nie wydarzyło. Bo Eileen o to nie poproszono. Zdarzył mi się jeden pięciominutowy błąd, i to wszystko. A teraz ty mi mówisz, że miałeś nadzieję, że nie będę tak „materialistyczny” jak Eileen. Cóż... może nie byłem! Może byłem tym idealnym, niezachłannym gościem, jakim zawsze chciałeś mnie widzieć. Ale nikt mi nie podziękował, a teraz ty wstawiasz mi gadkę, jak jesteś „rozczarowany” i jaki byłeś niewinny, i że jestem jak ta klasa pracująca, która najwyraźniej nigdy nie robi tego, czego oczekują od niej marksiści. Nie ma w tym nic dziwnego, że my, robotnicy, również chcielibyśmy być Donaldem Trumpem. P r z e p r a s z a m y, ż e s i ę r o z c z a r o w a ł e ś. Bo jedynym potencjalnym

wyjaśnieniem, dlaczego żyję w tak cholernie głupi sposób, jest to, że może przynajmniej mój ojciec uważa, że to nie takie głupie? Ale oczywiście ty tego nie widzisz, bo nie masz oczywiście najmniejszego pojęcia, jaki naprawdę jestem, bo przez dwadzieścia trzy lata byłeś zbyt naćpany, żeby to zauważyć. Mówisz o niewinności, o durniach, spójrz na m n i e.

Oczy Boba rozszerzyły się nagle, jakby poczuł, że ktoś wbija mu nóż w plecy. Biorąc głęboki oddech, Louis spuścił wzrok na podłogę.

– Zraniłem cię, wiem, przepraszam. Przesadziłem.

– Nie, masz rację – odparł Bob, zмирzając w stronę drzwi. – Trafiłeś w samo sedno.

– Tak, teraz wyjdź, jasne. Niech się poczuję jak ten niewrażliwy, co? Jak jedyna osoba w tej rodzinie, która nie jest pogrążona w żalu i poczuciu winy.

– Nie mam w tej chwili nic więcej do powiedzenia.

– Ty odchodzisz. Mama odchodzi. Eileen odchodzi.

Czy mogę więc pomyśleć coś innego niż to, że to ja mam problem: że zawsze mam, kurwa, rację? Tak to jest?

– Mówił do otwartych drzwi, w których nikogo nie było. –

Nie wiem, co robię źle? Co robię źle?

Słuchał skrzypienia drewnianych schodów.

– NIE CIESZYSZ SIĘ, ŻE WRÓCIŁEM DO DOMU?

Bob Holland pochodził z małej miejscowości na północ od Eugene, w stanie Oregon. Na Wschodnim Wybrzeżu, na Harvardzie, napisał pracę doktorską na

temat początków spekulacji ziemią w siedemnastowiecznym Massachusetts i spotkał Melanie, za którą zaczął chodzić nieustępliwie, ale nie udało mu się jej zdobyć, póki nie wrócił do Bostonu z Anglii, z dwuletniego podoktoranckiego stażu na Uniwersytecie w Sheffield. Młodzi Hollandowie przybyli do Evanston na początku lat sześćdziesiątych i spłodzili Eileen w tym samym miesiącu, w którym Bobowi zaproponowano stały etat. Przez kilka lat był gwiazdą wydziału historii, prowadząc ogromnie popularne wykłady na temat Ameryki okresu kolonialnego i dziewiętnastowiecznej industrializacji, a na egzaminach zadając takie pytania, jak: „Opisz, co mogło się wydarzyć” albo „Czy to był postęp?”, dając stopnie bardzo dobre i dobre wszystkim, którzy przychodzili. W donicach na dachu hodował marihuanę, przekształcił swój ogródek w dżunglę, jeździł na protesty do Waszyngtonu. W jego piwnicy zbierało się wąskie grono studenckich działaczy. Pewnego razu został potraktowany gazem łzawiącym i spędził noc w areszcie.

Jak wszyscy jednak wiedzą, duch tamtych dni szybko zmarniał w przemocy, rozwiązłości, nieumiarkowaniu, asymilującej komercji i rozpaczy. Z roku na rok każdy nowy jesienny nabór studencki zawierał coraz więcej zadbanych i mniej swawolnych chwastów. Bobowi jakoś się udawało w niektórych studentach rozwijać buntowniczość, ale czasy i liczby mu nie sprzyjały, a jego

umysł był nieco zbyt zmałowany rozczarowaniem i halucynogenami, żeby Bob mógł rozkwitać w coraz bardziej wrogim środowisku. Już na początku lat osiemdziesiątych zarówno przez studentów, jak i przez kadre uznawany był za jeszcze jednego Starego Marksistowskiego Trutnia.

Trutnie stanowiły wyłącznie męskie grono. Na zebraniach wydziału siedziały we własnym kącie, z daleka od dopiero niedawno ośmielonych konserwatystów w muszkach oraz ostatnio zatrudnionej mniejszości etnicznej w asertywnie egzotycznych strojach oraz od tych wszystkich dzieciaków, lewicowych i innych, w wąskich, krótkich spódniczkach i marynarkach w jodełkę. Trutnie miały czerwone twarze i potargane włosy. Nosiły flanelowe koszule i puchowe kamizelki. Między sobą wymieniały się niezbyt subtelnymi uśmiechami, charakterystycznymi dla ludzi odurzających się publicznie i uważających to za zabawne. Wszędzie widziały faszyzm – w administracji, w stołówkach, w księgarni – i otwarcie się do tego przyznawały. Na mówców na uroczystość rozdania dyplomów proponowały Jerry'ego Garcię i Olivera Northa. Podnosiły ręce podczas poważnych dyskusji dotyczących polityki i starały się wprowadzać do protokołu rzucane przez nie dowcipne uwagi na temat halucynogenów. Wszystkie odczuwały niesamowitą nostalgię za halucynogenami.

Nie dysponując powszechnym poparciem dla ataku na ogół społeczeństwa, Trutnie obalały jedyną znaną im władzę, czyli uniwersytet. Nigdy nie opuszczały żadnych otwartych imprez czy przyjęć. Gromadziły się wokół każdego jedzenia czy alkoholu, opłaconych przez uniwersytet, i z ponurymi minami, ale też od czasu do czasu mrugając jak spiskowcy, którymi się czuły, Trutnie konsumowały drogie artykuły spożywcze. Ze złośliwą satysfakcją nadużywały swoich przywilejów, pożyczały całe stosy książek z biblioteki, żeby nigdy ich nie zwrócić, zajeżdżały zakładowe kopiarki na śmierć i koniecznie chciały uzyskać fundusze na zapraszanie występujących gościnnie mówców – byłych radykalnych hippisów czy też drobniejszych urzędników z Rumunii bądź Angoli – na których wykłady chodziły tylko Trutnie, jak zawsze chętne, żeby czymś się poczęstować. Jeśli jakiś kolega po fachu kwestionował ich zdanie, uciekały się do odwiecznej argumentacji: społeczeństwo jest zdeprawowane, uniwersytet jest wytworem społeczeństwa, a zatem uniwersytet jest zdeprawowany.

W zakładzie Boba były Trutnie, które nie opublikowały niczego od czasów strzelaniny w Kent State University. Kiedy tylko podnoszono kwestie publikacji, ludzie ci patrzyli na swoje okrojone kariery z dumnymi, zrezygnowanymi minami osób po amputacji. Trutnie nauczały podstaw geologii, prowadziły seminaria w zakresie kultury masowej

i zajęcia z historii Rosji, według programów niezmiennych od trzech dziesięcioleci.

Sam Bob, wyjątkowo w tym gronie, był dobrym naukowcem. Nawet w najciemniejszych czasach Reagana, kiedy bywał nawalony pięć popołudni w tygodniu, potrafił zatopić się w lekturze źródeł pierwotnych czy wtórnych i dochodzić do wielu cudnych, precudnych faktów historycznych i wniosków, które pozbawiane w trzeźwym blasku komputera aury produktów konopi indyjskich nadal zachowywały dość ognia, żeby stanowić podstawy do książki zatytułowanej *Zapełnianie Ziemi: Bóg, pustkowiec i siedemnastowieczna Massachusetts Bay Company* oraz do dwóch artykułów na temat wampumów, bobrowych skórek, spiral inflacyjnych, wszystkich napisanych płynną prozą i bardzo stosownie opublikowanych.

W ryzach trzymała go głównie Melanie. Mimo całej radości, jaką czerpał z drażnienia jej i dokuczania, żył w obawie, że żona przestanie darzyć go szacunkiem. Przez dwadzieścia pięć lat nie była na kampusie chyba nawet tuzin razy, więc tam mógł do woli robić z siebie głupca, ale w każdym innym miejscu bardzo się starał zachować godność. Dla Melanie mógł zaczesywać włosy do tyłu, zakładać jeden ze swoich staromodnych garniturów, jechać z nią do śródmieścia na koncert symfoniczny czy na operę i drzemać na swoim miejscu do czasu, kiedy można było wracać do domu. Znosił

niezliczone kolacje z jej koleżankami z college'u i wszystkimi ich mężami, którzy albo kiedyś, albo aktualnie działali na giełdzie papierów wartościowych, a gdy rozmowa schodziła na politykę, potrafili się tylko z niego śmiać. Całymi miesiącami, kiedy Melanie uczestniczyła w próbach czy przedstawieniach Towarzystwa Teatralnego, Bob gotował obiady dla Louisa i Eileen. Melanie krzyczała na niego i krzyczała na dzieci; zakrywał uszy dłońmi i uśmiechał się, jakby występowała na scenie i świetnie sobie radziła. Wówczas wrzeszczała jeszcze głośniej; szedł wtedy na górę, a ona za nim, wciąż krzycząc; ale gdy następnym razem spotykała dzieci, była podenerwowana i się czerwieniła. Dzieci nigdy świadomie nie zwróciły uwagi na oczywisty fakt, że w ich domu to mężczyzna jest szalenie zakochany w kobiecie, a ona niecałkowicie nieczuła na mężczyznę, ale niewątpliwie z grubsza się w tym orientowały. Eileen darzyła ojca współczuciem i sympatią. Louis odczuwał chorobliwe zakłopotanie.

W poniedziałek zapadał już zmierzch, kiedy Louis wrócił na Wesley Avenue z całodziennego spaceru do Lake Forest. Udało mu się zlokalizować nijaki, szeroki dom, w którym dorastała Renée. Po drodze zjadł dwie duże porcje frytek. Teraz zgasły już i wiatr, i światło, a Wesley Avenue była tak opustoszała – w całej okolicy rzucała się w oczy nieobecność czujnych istot ludzkich – że ten dzień w zasadzie mógłby w ogóle się nie wydarzyć



albo w najlepszym przypadku powinien zostać odnotowany w księgach rekordów jako pozycja oznaczona gwiazdką. Na niebie nad szkołą Dewey, *alma mater* dzieci Hollandów, blaknął pomarańczowy ślad zrobionej z butelki rakiety i pojawił się biały błysk. Wilgotność zwiększyła huk.

Louis wszedł do dusznego domu i wypił dwie szklanki mrożonej herbaty. Zrzucił z siebie T-shirt, wykręcił go i założył świeży. Z każdym pokonywanym w drodze na trzecie piętro schodkiem temperatura podnosiła się o jeden stopień i wzrastał zapach starego drewna i ciepłego tynku. Przez uchylone drzwi pokoju Boba docierało tylko tyle blasku, żeby oświetlić poźółkły cytat, który był do nich przylepiony:

Pytam zatem, czy człowiek ceniliby sobie dziesięć tysięcy czy sto tysięcy akrów wspaniałej z i e m i, gotowej pod uprawę i do tego bogatej w bydło, położonej gdzieś w głębi A m e r y k i, gdzie nie mógłby liczyć na handel z innymi częściami świata, który umożliwiłby mu zarabianie p i e n i ę d z y na sprzedaży produktów? Takiej ziemi nie warto byłoby grodzić i wkrótce oddałby z powrotem w użytkowanie dzikiej przyrodzie to wszystko, co wykraczałoby poza potrzeby wygodnego życia dla niego i jego rodziny.

JOHN LOCKE

Nie zauważywszy żadnego świeżego dymu, Louis zastukał w drzwi i otworzył je szerzej. Ojciec siedział przed oknem, głaszcząc Drake'a po łebku i patrząc na łopatki dmuchającego w jego stronę skrzynkowego wentylatora. Połowa gołej podłogi przykryta była

olbrzymimi stosami kserokopii, oznaczonymi kartkami z samoprzylepnego notesu. Na ścianie nad jego płaszczem przeciwdeszczowym wisiała czarno-biała fotografia mniej więcej czteroletniej Eileen; wyglądała na tym zdjęciu eterycznie, miała krótkie włosy, ogromne oczy, a we włosach wianuszek stokrotek.

– Posłuchaj – odezwał się Louis. – Nic nie musisz mówić. Chcę tylko powiedzieć, że robię, co mogę. Nie chcę wysłuchiwać, jaki to jestem zły. To naprawdę mi teraz nie pomaga. I tak czuję się już jak największy palant na tej planecie.

Drake obdarzył go lekko trącącym zazdrością spojrzeniem zaspokojonego psa. Bob odezwał się, mówiąc do wentylatora:

– Nigdy nie powiedziałem, że jesteś zły. Kto jak kto, ale ja na pewno nie mam prawa do czegoś takiego. Nawet nie wiesz, jak wielkim darzę cię szacunkiem.

Louis się skrzywił.

– Tego też nie musisz mówić, lepiej skończmy, póki jest dobrze.

– I podejrzewam, że mój wielki szacunek dla ciebie jest źródłem wygórowanych oczekiwań. Miałem nadzieję, że chociaż jesteś zły na matkę, będziesz jednak w stanie zrozumieć, co się z nią dzieje, jeśli z tobą porozmawiam. Możesz mieć do mnie pretensje, że próbowałem. Nie potrafię po prostu stać z boku, kiedy szaleństwo twojego dziadka niszczy naszą rodzinę.

Muszę coś zrobić.

– Aha, na przykład co?

– Na przykład powiedzieć ci, że cię kochamy.

Louis jakby go nie słyszał. Odwrócił się w stronę półki i dotykał stojących na niej książek z biblioteki. Po chwili zacisnął dłoń i zaczął uderzać nią w grzbiety książek. Zakrzywionymi palcami szarpał się za ramiona i piersi, jakby chciał zerwać z siebie całą tę zgniliznę.

– N i e m ó w t a k! – Jego głos brzmiał jak zduszony krzyk, nigdy jeszcze nie wydał z siebie takiego dźwięku. – N i e m ó w t a k!

Ojciec odwrócił się na obrotowym fotelu, a Drake zeskoczył mu z kolan i wypadł z pokoju.

– Lou...

– D o d u p y z miłością. D o d u p y z miłością. – Louis uderzył czołem o framugę drzwi. Chwiejnym krokiem wyszedł z pokoju i chwyciwszy się za głowę, osunął się na podest schodów, rozdarty między tym, co czuł, i tym, co wciąż jeszcze było możliwością zapanowania nad sobą. Otworzył oczy i doświadczył chwili czystej pustki, jednoczesnego wyzerowania wszystkich fal mózgowych. Ojciec ukląkł i go objął. W tym momencie oczy Louisa zaczęły płonąć, a w jego piersi podniosły się okropne skrzepy kłującej krzywdy. Płakał, wiedząc, że nie ma już powrotu do szacunku dla samego siebie i do dumy, jaką odczuwał, zanim zaczął łkać. Płakał, ponieważ nie mógł znieść myśli, że miałby

przestać i zobaczyć to swoje wewnętrzne ja, które tak bardzo lubił, płaczące w objęciach ojca. Miał wrażenie, że w jego mózgu był jakiś specjalny organ produkujący pod wpływem skrajnego bodźca uczucie miłości, bardziej intensywne niż orgazm, ale również bardziej niebezpieczne, bo jeszcze mniej rozróżniające. Człowiek mógł nagle sobie uświadomić, że kocha wrogów i bezdomnych żebraków czy śmiesznych rodziców, ludzi, z którymi tak łatwo było żyć na odległość i za których, jeśli tylko w chwili słabości pozwolił sobie na ich pokochanie, przyjmował wieczną odpowiedzialność.

Bez żadnego widocznego powodu Bob puścił Louisa. Jego oczy stały się oczami potępieńca. Poszedł do kuchni, zerwał metalowy pierścień zakrętki na butelce johnniego walkera i ją przechylił. Musiał obciągać szyjkę, wciskając ją głęboko w usta, żeby whisky nie kapała mu z plastikowego dozownika na brodę. Zazdrosne o butelkę koty starały się wspiąć mu na nogi. Napełnił ich naczynie na wodę. Słyszał syna szlochającego dwa piętra wyżej.

Zastał Louisa na górze, wspartego bokiem o słupek poręczy schodów, ze zdjętymi okularami, malutkimi i czerwonymi oczami, w naciągniętej pod szyją koszulce. Spod przymrużonych powiek popatrzył głupio na ojca, który stanął przed lampą.

– Czujesz się trochę lepiej? – Bob kopnął go żartobliwie, najpierw jedną, potem drugą nogą.

– Czemu mnie kopiesz? Nie kop mnie.

– Przepraszam.

Louis westchnął. Czuł się otepiały, jakby usunięto z niego jakieś długo gromadzone napięcie czy truciznę. Zupełnie nie martwiło go to, że jego rozumowanie legło w gruzach.

– Chciałbym ci coś powiedzieć.

– Mów śmiało.

– Dobrze. Dzięki. – Louis wciągnął nosem dużą partię śluzu. – Chodzi o firmę mamy, o Sweeting-Aldren. Chciałem tylko powiedzieć, że to oni wywołują trzęsienia ziemi.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że firma dosłownie wywołuje trzęsienia ziemi w Bostonie. Ta kobieta, z którą mieszkałem... Ta kobieta, z którą kiedyś mieszkałem... Ta kobieta, której właśnie zrobiłem coś naprawdę wstrętnego... – Louis spojrzał prosto przed siebie, a w oczach ponownie wezbrały mu łzy. – Ona jest sejsmolożką. Jest najcudowniejszą osobą, którą właśnie olałem. Którą w zasadzie straciłem. Nawet nie wiem, dlaczego tak się stało. To znaczy, wiem dlaczego... Bo jest ode mnie dużo starsza... I dlatego, że tak bardzo ją kochałem. Tato. Bo tak b a r d z o ją kochałem. A ta druga osoba, która jest w moim wieku, z którą kiedyś byłem... Ta osoba przyjechała z Houston.

Popatrzył ze smutkiem na ojca. Następnie zacisnął oczy, a jego twarz się pomarszczyła.

Bob przykucnął przed nim.

– Zadzwoń do niej.

Pokręcił głową.

– To skomplikowana sprawa. Nie można się do niej dodzwonić, a ja nawet nie wiem, czy bym tego chciał. Nie wydaje mi się, żebym potrafił. – Usunął się na bok w obawie, że Bob będzie próbował znowu go dotknąć. – Nie chcę o tym rozmawiać. Chciałem tylko powiedzieć, że to ta firma wywołuje trzęsienia ziemi i jakoś zamierzam pociągnąć ich za to do odpowiedzialności. Wiem, że mama ma dużo akcji, i nie zamierzałem ci o tym mówić, ale to zrobiłem, więc możesz jej powiedzieć, jeśli chcesz. To wszystko.

– Wywołują. Powiedziałeś, że wywołują.

– Tak.

– Jest tego pewien?

– Tak.

Bob chciał dowiedzieć się wszystkiego. Niczym gorliwy trener bokserski przyniósł Louisowi papier toaletowy, żeby wytarł nos, zabrał syna do kuchni, posadził go i podał mu wodę z lodem i johnniego walkera, a następnie zasypał go pytaniami. Próbując wytłumaczyć to bez pomocy Renée, Louis miał wrażenie, że cała teoria staje się dosyć mętna i mało prawdopodobna, ale Bob się śmiał, krojąc warzywa i wołowinę i potem smażąc je po chińsku, a każdy logiczny krok oceniał stwierdzeniem „Dobrze!” lub

„Świetnie!”. Można było tylko podziwiać, jak metodycznie zabierał się do opanowania całej argumentacji. Przy stole, z każdym podnoszonym pałeczkami (Louis używał widelca) kęsem wstawiał kolejny fakt na miejsce.

– Nikt nie podejrzewa firmy – powiedział nad kawałkiem marchewki – bo te trzęsienia mają miejsce tak głęboko.

– Zgadza się.

– A trzęsienia w Ipswich nie są z tym powiązane. – Teraz pasek wołowiny. – Stanowią przykrywkę.

– Zgadza się.

– Tak jak w New Jersey: kiedy wiatr wieje w stronę morza, wszystkie firmy podwajają ilość emisji, bo nikt ich na tym nie przyłapie. Trzęsienia ziemi w Ipswich są jak wiatr wiejący na wschód.

– Zgadza się.

– Cudowne! Niesamowite! – Strączek grochu cukrowego. – A jak ona udowodni istnienie głębokiego odwiertu?

Louis wolałby, żeby ojciec nie upierał się przy nazywaniu tego „jej” teorią.

– Ona... My... szukaliśmy zdjęć czy czegoś podobnego. Ale poza tym są tylko dwa artykuły.

Bob uniósł z poplamionego sosem sojowym talerza różyczkę brokułu i zatrzymał ją na poziomie oczu, obracając ją jak myślą i marszcząc brwi.

– No i tu pojawia się problem – stwierdził. – Jeśli nie jest w stanie udowodnić z całą pewnością, że odwiert został wykonany...

– Pracujemy nad tym.

– Nie, nie, nie. To jest problem. – Bob się odwrócił i z marsową miną spojrzał na drzwi do piwnicy. Po chwili wstał i zszedł po schodach. Wrócił z egzemplarzem „Atlantic Monthly”. – Jedz, jedz – powiedział, siadając. Starł kurz z miesięcznika i pokazał Louisowi okładkę: POCHODZENIE ROPY NAFTOWEJ. Luty 1986. – Mama prenumeruje – oznajmił. – A ja czytam.

Louis spojrzał nerwowo na magazyn. Artykuł z pierwszej strony poświęcony był Goldowi, badaczowi, o którym wspominała Renée; naukowiec twierdził, że ropa naftowa powstawała głęboko we wnętrzu naszej planety. Obawa przed otworzeniem czasopisma niezbyt dobrze świadczyła o umiłowaniu prawdy przez Louisa – bał się, że znajdzie tam coś, co zaprzeczy teorii Renée. Jeśli się myliła, wołałby o tym nie wiedzieć.

Bob wziął magazyn do ręki i przerzucał strony z artykułem, przesuwając palcem w dół kolumn. Kiedy dotarł do końca, pokręcił głową.

– Nic o Sweeting-Aldren. Choć, jak sądzę, zauważyłbym coś takiego podczas czytania. Tyle że... Naprawdę nie chciałbym, żebyś pomyślał, że mnie nie przekonałeś, bo to zrobiłeś. Znam tych ludzi i to jest bardzo sensowne. Ale na podstawie tego artykułu można



wywnioskować, że nie robi się odwiertów tak po prostu, gdziekolwiek. Potrzeba bardzo specyficznej geologii, żeby zebrać wzbierającą ropę naftową. Jestem bardziej skłonny uwierzyć, że firma wywierciła szyb, żeby pompować do niego odpady, ale nie wydaje mi się, żeby zeszli do sześciu tysięcy metrów, jeśli wystarczyło im do tego tysiąc pięćset. A wygląda niestety na to, że teoria twojej koleżanki się nie sprawdza, jeśli w grę nie wchodzi bardzo głęboki odwiert. O ile dane geologiczne na temat zachodniej części Massachusetts są poprawne, każdy otwór w tym miejscu powinien być głęboki. W Peabody natomiast może być tylko płytki.

Louis był pewien, że Renée potrafiłaby na to odpowiedzieć.

– Mogli pomyśleć, że w końcu i tak się dowiercą do ropy naftowej.

– Daj spokój, Lou. – Bob się nachylił, jakby chciał zakwestionować jego słowa. – To musi trzymać się kupy w każdym szczególe. Gdybyś przysłał mi coś takiego jako artykuł do zrecenzowania, z miejsca bym na ciebie naskoczył. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku ropa była tania. Głębokie odwierty są niesamowicie kosztowne. Do pozbycia się odpadów wystarczy płytki odwiert. A teoria twojej koleżanki zakłada, że odwiert jest głęboki. Magazyn „Atlantic”, który wprowadzie nie jest Biblią, niemniej... Otóż w „Atlanticu” jest informacja, że teoria o głębokich

pokładach ropy naftowej powstała dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych. Jest oparta na danych z sond kosmicznych, zebranych na początku lat siedemdziesiątych. Jeśli nawet ktoś w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku, kiedy ropa i tak nikogo nie obchodziła, a firma Sweeting-Aldren, nawiasem mówiąc, uzyskiwała rocznie ponad cztery dolce na każdej akcji, miał jakąś teorię, musiała być ona oparta na błędnych przesłankach.

– Tak, to samo powiedziała Renée. To był marny artykuł, ale w pewnym sensie przewidywał późniejszą teorię.

– Ale marny artykuł to tylko marny artykuł. Skąd firma miałaby wiedzieć, że ta teoria ma sens?

Louis wiał się jak student, który zaraz obleje egzamin.

– Nie wiem. Ale cała reszta jest sensowna.

– Pamiętasz nazwisko tego autora? To nie był Gold, prawda?

– Błagam. – Odsunął talerz. – W i e m, kim jest Gold. Ten gość nazywał się Krasner. Więcej nic nie opublikował i nie mamy pojęcia, co się z nim stało. – Spojrzał na ojca.  
– Co się dzieje?

Bob wstał z krzesła. Wpatrywał się w barek, ku któremu coś go ciągnęło. Nagle bardzo pobladł.

– Co się dzieje?

Bob się odwrócił, jakby reagując na dźwięk słów, a nie to, co oznaczały. Spojrzał na Louisa z nieobecny

wyrazem twarzy.

– Krasner.

– Żartujesz. Chyba mi nie powiesz, że go znasz?

– Ją.

– Ją? – W brzuchu Louisa zakiełkowało ziarno przestרחu.

– Anna Krasner. Dziewczyna twojego dziadka.

– Skąd o tym wiesz?

Bob odpowiadał powoli, mówiąc do siebie:

– Bo stary Jack dopilnował, żebym się o tym dowiedział. Dopilnował, żebym dokładnie poznał całą jego własność.

– Kiedy to było?

– W sześćdziesiątym dziewiątym.

– Był wtedy żonaty? To znaczy z Ritą?

Bob pokręcił głową.

– Jeszcze nie. Dopiero trzy lata później. – Czytał na ścianie jakieś niewidoczne dla oczu Louisa wiadomości, niepokojące i przykre. Raptownie przyszedł do siebie i usiadł. – Dobrze się czujesz?

– Tak, w porządku, jak pijany – odparł Louis.

– Wydaje mi się, że mógłbym pomóc ci ją znaleźć, jeśli chcesz.

– Byłoby wspaniale.

– Niezbyt pamiętasz Jacka, prawda?

– Nie mam z nim żadnych wspomnień.

– On nie był takim zwyczajnym... takim zwyczajnym

człowiekiem. Na przykład Anna była bardzo piękną kobietą, młodszą od niego mniej więcej czterdzieści pięć lat. Kiedy się dowiedzieliśmy, że ponownie się ożenił, byłem pewien, że właśnie z nią. Ale okazało się, że pobrał się z Ritą, która zdaniem wszystkich nie była szczególnie atrakcyjna. Żeby nie powiedzieć, że była wprost straszylem, przynajmniej według mnie. Poznaliśmy ją, gdy była jego dziewczyną i sekretarką, ale to było wiele lat wcześniej. Sądziłem, że dawno zniknęła z horyzontu. W przypadku wielu mężczyzn nie byłoby to zaskoczenie, ale nie jeśli chodzi o Jacka. Dla niego najważniejsze było to, jak kobieta wygląda, jak wygląda i ile ma lat.

– Aha.

Ćma uderzała o siatkę w tylnych drzwiach, nie mogąc podążyć za wkradającym się do wnętrza zapachem prerii. Jakieś małe zwierzątko zaszeleściło w wysokich trawach. Koty przeszły przez kuchnię, jeden za drugim, i przycisnęły wąsy do siatki w drzwiach. Bob zapytał, co Louis i Renée zamierzali zrobić z tymi informacjami.

– Chyba dopilnować, żeby firma za to zapłaciła – odrzekł Louis. – Nie zgadzaliśmy się co do tego, kiedy to zrobić.

– Poinformujesz o tym zawczasu mamę.

– W porządku.

– Myślałeś o tym?

– Staralem się tego nie robić.

Bob skinął głową.

– Z Jackiem było jeszcze coś innego, bardzo dziwnego. Dlaczego ulokował wszystkie swoje pieniądze w akcjach Sweeting-Aldren? Bo nie było wcale tak, że zarobił wszystko na akcjach, a potem nie rozdysponował pieniędzy. Księgi rachunkowe pokazują dobrze zrównoważony portfel inwestycji aż do początku lat siedemdziesiątych, kiedy to, sądzą, że po poślubieniu Rity, sporządził nowy testament. Wtedy odszedł z firmy na emeryturę i systematycznie wykupywał akcje Sweeting-Aldren, aż stały się całym jego majątkiem. Przyplw szaleństwa, który już kosztował twoją matkę sporo pieniędzy.

– Buu.

– Nie jesteśmy natomiast w stanie dojść do tego, dlaczego Jack to zrobił. Był człowiekiem oddanym firmie, to tam dorobił się fortuny i nawet nie pamiętam, ile razy mi powtarzał, że jest to najlepiej zarządzana korporacja w całym kraju. Mówił to za każdym razem, gdy się z nim spotkałem. Słyszałem to z tuzin razy. Ale kochał pieniądze równie mocno jak kobiety, a na pewno nie był człowiekiem głupim. Po prostu sobie nie wyobrażam, że podejmował decyzje, kierując się emocjami. Musiała w tym być jakaś pazerność, ale gdzie, tego nie wiem. Chwilę wcześniej ten Kanadyjczyk, Campeau, właściciel domów handlowych, utopił cały majątek we własnej firmie, a do tego stracił wszystkie pieniądze dzieci, w sumie jakieś pięćset milionów. Zanim się obejrzał,

akcje były prawie bezwartościowe. Wydaje mi się, że jeśli człowiek jest pazerny i wierzy w siebie, to myśli sobie tak: dlaczego miałbym wkładać pieniądze w coś, co nie przyniesie maksymalnego zysku?

– Tak, dlaczego nie? – odrzekł Louis.

– No to powiem ci, dlaczego nie. Bo on kupował akcje za każdą cenę i niezależnie od wskaźnika ceny do zysku. Gdy tylko coś zarobił, natychmiast zamieniał pieniądze na akcje Sweeting-Aldren, niezależnie od ceny, i robił to, kiedy już p r z e s z e d ł na emeryturę. Czy nie nazwałbyś takiego postępowania nieco nieracjonalnym?

– Jasne, może gdybym znał się na akcjach.

Bob nagle się pochylił, opierając łokcie na kolanach, i skupił swe zaczerwienione, entuzjastycznie błyszczące oczy na Louisie.

– Dziewczyna Jacka – powiedział – pracuje w tej firmie jako chemik. Firma wierci szyb, by usuwać odpady, trzy lub cztery razy głębszy, niż trzeba. Chemiczka znika. Jack żeni się ze straszidłem. Za wszelką cenę zamienia wszystkie swoje aktywa na akcje firmy. Po śmierci zostawia je w funduszu powierniczym dla straszidła. Nie widzisz, co się za tym kryje?

Gdyby pytanie zadał Louisowi ktoś inny albo gdyby padło ono kiedy indziej w ciągu ostatnich dziesięciu lat, byłby tylko zirytowany; uznałby, że jeśli ktoś ma coś do powiedzenia, to powinien to po prostu powiedzieć. Teraz jednak czuł zakłopotanie, że nie dostrzega tego, co widzi

ojciec. Wstydził się, że musi pokręcić głową.  
– Nie – odparł. – Musisz mi powiedzieć.

### 13.

Kraina, zgodnie ze słowami pierwszego Anglika, który ją zoczył, bardziej przypominała bezkresny *Parke* niż pustkowie. Od skalistych wybrzeży aż tak daleko w głąb lądu, jak człek mógł w tydzień zawędrować, rozpościerał się las tak obfitujący w jelenie i łosie, i niedźwiedzie, i lisy, i przepiórki, i cieciorniki, i dzikie indyki, tak niewinne i tak mnogie, że człek mógł odrzucić muszkiet i gołymi rękami na nie polować. Były tam majestatyczne sosny i orzeszniki, i kasztanowce, i dębczaki, wznoszące się na wysokości niepojęte dla żadnego Europejczyka i rosnące w takich odstępach (na co zwrócił uwagę niejedyn podróżnik), że z łatwością mogły hufce przez nie przejść. Pod drzewami i w przerwach między nimi nie znalazłby człek jeżyn czy leśnego podszycia, tylko niski, miękki kobierzec słodkich traw i ziół, w których tak gustowały jelenie i łosie.

U zarania siedemnastego stulecia po narodzinach naszego Pana ziemia przy zatoce zwanej *Masathulets Bay* została ogołocona z rosnących tam drzew przez Indian potrzebujących drewna na opał. Łąki porośnięte bujną roślinnością i pokryte zaroślami wzgórze jak okiem sięgnąć ciągnęły się na zachód od ujścia rzeki Charles. W samym środku dnia potrafił zapaść zmrok, kiedy niebo wypełniało milion dzikich gołębi, a w czasie tarła wody orzeźwiających strumieni tężały w srebro,



albowiem stynki, jesiotry, okonie i alozy płynęły w górę strumieni w takiej mnogości, że wyglądało to tak, jakby człek mógł przejść po onych jak po moście. Ostrygi w zatoce miały skorupy długie na pół łokcia. I nie dało się onych zjeść jednym kęsem. W wielu miejscach gleba była czarna i bogata jak kawior.

Chociaż pierwszy Anglik, który osiadł się w tym *Parke*, niemal zmarł z głodu, widywano Indian, mężczyzn, żyjących jak królowie – niewiele pracowali i prawie na niczym im nie zbywało, w wolnym czasie polowali i łowili ryby. To Indianie raz czy dwa w roku rozpalali ogień, który szybko i nieszkodliwie zajmował duże połacie lasu, tym samym trawiąc wrzośce i większość bezużytecznego drewna, zabijając pchły i myszy i pozwalając wzrastać słodkim trawom. Zanim Bóg stworzył słońce, księżyc i planety, owi Indianie przez trzy tysiące lat zwali ten kraj swoim; a po kolejnych sześciu tysiącach lat jeszcze bardziej przypominał ogród niż w ten dzień, kiedy zaczęła po nim stąpać pierwsza ludzka istota.

Wiosną i latem indiańskie kobiety zajmowały się sadzeniem kukurydzy na wzgórkach, pielęgnowały i ją, i kabaczki, dynie, melony, tytoń i fasolę, która pięła się po łodygach kukurydzy. Przypadkowo położone pola były też żłobkiem dla dzieci onych. Mężczyźni wypływali w morze, wiosłowali w wydrążonych pniach drzew, ścigając foki i morsy, łowiąc dorsze i polując z harpunem na morświny i wieloryby. Jeśli ich pnie drzew tonęły, co

nie raz być mogło, płynęli dwie godziny, ażeby dotrzeć do brzegu. Gdziekolwiek zdarzało im się spojrzeć na ziemię, wszędy rosły jagody, poziomki, agrest, maliny, żurawina i porzeczki. Kobiety i dzieci je zbierały i chwytaly ptaki, które przylatywały, ażeby się nakarmić. Chwytaly zające i jeżozwierzę, i inne małe zwierzątka. Większość zebranej kukurydzy i fasoli odkładano na zimę, a resztę zjadano, razem z kasztanami, żołądziami, mielonymi orzechami, przegrzebkami, małżami, krabami, omułkami i dyniami, podczas hulank, które trwały wiele tygodni. A potem, kiedy jelenie i niedźwiedzie były najgrubsze, mężczyźni szli głęboko w las na łowy. Kobiety ściągaly do obozowisk ubitą zwierzynę i z jej skór robiły ubrania, i preparowały mięso. Kiedy mężczyźni mieli szczęście, jedli dziesięć posiłków dziennie, a między nimi spali. Kiedy nie mieli szczęścia, natenczas chodzili głodni; następne lato wżdy wszak darzyło obfitością.

Wojny i wstrzemięźliwość od cielesnych związków dbaly o równowagę między populacją i ilością dóbr, które ziemia mogła dać. Jeśli gleba była już nieurodzajna, Indianie uprawiali ziemię gdzie indziej. Jeśli pchły stawały się utrapieniem, Indianie przenosili wioski. Nie potrzebowali dobytku, bo niełatwo było go transportować ani też swobodnie porzucić i na nowo uczynić. A jako że żyli w świecie, w którym było albo dużo jedzenia, albo mało jedzenia, ale poza tym mieli dość

przyodziewku, drewna na opał, tytoniu i k o b i e t do zaspokajania swych potrzeb, więc nigdy się nie spieszyli. Jeśli coś można było odłożyć do jutra, wždy to odkładali. W świecie onych nie było szcurów, karaluchów, pokrzyw, świń czy krów, b r o n i p a l n e j, trądu, ospy wietrznej, ospy czarnej, influency, zarazy, choroby francuskiej, tyfusu, malarii ani żółtej febry, ani konsumpcji.

Po stronie minusów – jak Bob zawsze szybko przyznawał – należało umieścić to, że Indianie nie znali tych cudownych greckich czarnych oliwek. Nie znali sera pleśniowego, kardamonu, win z Bordeaux ani skrzypiec. Nie mieli pojęcia o maśle. Ich wyobraźnia nie była wzbogaćana chińską porcelaną, iluminowanymi perskimi manuskryptami czy też pomysłem nocnej przejażdżki trojką przez rosyjską zimę. Czy może warto było za cenę dżumy dowiedzieć się, że Jowisz ma księżycy? Czy ktoś wymieniłby *Iliadę* i *Odyseję* za zadowolenie i wolność od grypy? Obszedłby się bez metalowych garnków i razem z tym bez historii świata?

Równie dobrze można zapytać, czy ktoś wolałby się nigdy nie narodzić, gdyby mógł, i czy, skoro o tym mowa, starsza siostra Ameryki Północnej, Europa, sama wolałaby pozostać w płodowych mrokach epoki kamienia łupanego.

A zatem świat Indian pogrążony był we śnie; choć żył, pozostawał nienarodzony, dopóki nie przybyli

Europejczycy, a kilku misjonarzy i osadników na tyle pełnych współczucia, żeby się zastanawiać, dlaczego taki świat musi cierpieć ból przebudzenia – i dlaczego oni sami mają być narzędziami tego przebudzenia – musiało odpowiedzieć z przekonaniem: bo taka jest wola boska. Dla tych kierujących się głosem sumienia Europejczyków podobne przekonanie z pewnością stanowiło pociechę.

Dla pozostałych chodziło o względy praktyczne. „Zaludniajcie ziemię i czynicie ją sobie poddaną” – polecił Bóg w Księdze Rodzaju. Jego Anglik przybył do Massachusetts i widząc, że tubylcy nie słuchają tego polecenia – wszędzie były tylko drzewa, nie było żadnych ogrodzeń! żadnych kościołów! żadnych stodół! – czuł się usprawiedliwiony, kiedy ich oszukiwał, szantażował i masakrował. Angielskie świny zjadły ich skupiska mały i ich plony na nieogrodzonych polach, angielskie karabiny wystrzelały ptactwo i jelenie. Angielska ospa wietrzna, angielska ospa czarna, angielski tyfus zabiły całe indiańskie wioski, pozostawiając przed chatami ciała porozrzucane na ziemi. Byli niczym gałęzie spadające w lesie, ci siedemdziesięcioletni mężczyźni, trzydziestoletnie kobiety i trzyletnie dziewczynki, a nikt ich nie słyszał. Na przestrzeni jednego pokolenia ponad osiemdziesiąt procent Indian w Nowej Anglii zmarło na europejskie choroby. Vermont praktycznie się wyludnił.

„Bóg – powiedział John Winthrop – niniejszym oczyścił nasz tytuł do tego miejsca”.

Jako że filcowe kapelusze i futrzane ubrania były w Starym Świecie w modzie, Indianie, którzy przeżyli epidemię, mogli wymieniać bobrowe skórki na rzeczy, które ułatwiały im życie, takie jak miedziane czajniki i żelazne haczyki na ryby. Wkrótce jednak mieli już mnóstwo czajników i haczyków, więc zaczęli przerabiać czajniki na biżuterię. A kiedy miedziana biżuteria stała się tak pospolita, że straciła swój prestiż, Anglicy podbili Pekotów z Connecticut i wymusili na nich hołd w postaci wampumu – polerowanych paciorków zrobionych z muszelek trąbika i małży z gatunku Venus – i zalali rynek futrzarski tą walutą. Wampumy były rzadkością, były poręczne i dekoracyjne niczym złoto, i gromadzący je Indianin mógł zyskać wręcz nieograniczony szacunek. Ale kiedy w obiegu było coraz mniej Indian, a coraz więcej wampumów, nieuchronnie doszło do inflacji. Wkrótce zabito ostatniego bobra w Massachusetts, Connecticut i Rhode Island, najmniej ważny Indianin nosił uprzednio zarezerwowane dla wodzów naszyjniki z wampumów, a angielskim handlarzom za futra wysyłane za morze płacono w funtach szterlingach. Każdy rynek ma swoich wygranych i przegranych; nieszczęśliwie dla Indian funt szterling okazał się lepszą lokatą niż wampumy. A w trakcie wyznaczania abstrakcyjnych cen w funtach na abstrakcyjne działki pod nieruchomości co bystrzejsi Anglicy nauczyli się żyć z ziemi, pracując jeszcze mniej niż tamci królom podobni

Indianie – kupując tanio i sprzedając drogo.

– Podstawowym pytaniem odnośnie do siedemnastego wieku – powiedział Bob – jest to, czy gospodarka była nastawiona na produkcję na własne potrzeby, czy też już wtedy pojawiła się mentalność kapitalistyczna, a jeśli pojawił się kapitalizm, to jak bardzo był zaawansowany. Spekulacje nieruchomościami są dobrym wskaźnikiem stopnia zaawansowania systemu ekonomicznego, a w Ipswich był dosyć intrygujący materiał. Twoja matka bardzo chciała, żebym został w domu Jacka, ale myślałem, że to tylko jej paranoja. Wciąż byłem młodym gnojkiem. Nawet teraz nie mam nic przeciw picciu słodowej whisky na koszt urzędników korporacji. Oni nie są czarodziejami, a wiesz, ta whisky nie wypływa z kamienia. Oczywiście poglądy polityczne Jacka i moje były krańcowo różne...

– A to było w...?

– W listopadzie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Byłem na urlopie naukowym. Firma Sweeting-Aldren wysyłała co miesiąc defolianty o wartości dwudziestu milionów dolców prosto do Wietnamu, a do tego napalm sprzedawali od ręki. Bezpośrednim skutkiem było to, że radca prawny firmy i jej pierwszy wiceprezes mogli sobie kupić za miliony dolarów zawartą w rezydencji historię epoki wojny o niepodległość Stanów Zjednoczony przy Argilla Road. Przez tydzień każdego ranka chodziłem tą drogą do

Ipswich, miejscowości, która otrzymała prawa miejskie w tysiąc sześćset trzydziestym roku z rąk imperialistyczno-ekspansjonistycznej angielskiej korony, miejscowości, której zdecydowanie najcenniejszym walorem jest jej historia, miejscowości, która się chlubi, że była wczesnym centrum wolności przekonań oraz rewolucji podatkowej lat osiemdziesiątych, to znaczy lat osiemdziesiątych siedemnastego wieku. A tymczasem właśnie tutaj moi studenci swobodnie opowiadali się przeciw imperialistycznej wojnie w Azji Południowo-Wschodniej i sądzę, że ta bezczelność raczej nie zaskarbiała im powszechnego i ogólnego wsparcia w Ipswich, a z pewnością nie na Argilla Road. A także nie w sądzie w Salem. Przez kolejnych pięć dni codziennie chodziłem tam i czytałem akta, w których zapisano tysiące czynów. Czyny. Cóż za słowo! Tylko pomyśl, że spis wielkich czynów naszych przodków obejmuje coś takiego, jak zakup takiego a takiego trójkątnego kawałka pastwiska za trzy roczne woły i sprzedaż rzeczzonego kawałka pastwiska dziewięć miesięcy później za dwanaście funtów i sześć szylingów. Takie to były te ich bohaterskie czyny.

– A co z Krasner? Mieszkała z nim?

– Nie, nie, nie. Gdyby się do niego wprowadziła, byłaby skończona. Stałaby się członkiem rodziny.

– Jaka była?

Bob nalał sobie do szklaneczki whisky. Ponownie

przechylił butelkę i dolał odrobinę, a potem bardzo małą kapkę, jakby respektując jakieś precyzyjne ograniczenie. Odetchnął głęboko, obrócił głowę i wbił wzrok w drzwi z siatką, jak powód w sądzie przypominający sobie napastnika.

– Głośna, wulgarna, piękna – powiedział. – Miała wielkie słowiańskie usta i słowiańską perwersję w oku, długie kasztanowe włosy, może też ślad słowiańskiego akcentu, w każdym razie często opuszczała rodzajnik określony. Idealnie się nadawała do jego potrzeb. Miała na tyle zły gust i złe maniery, że potrafiła zawisnąć mu na szyi i rozłożyć mu się na kolanach, więc trudno było się pomylić co do natury ich związku. A potem pstrykała mu przed nosem palcami, żeby wiedział, że ma charakter. Kojarzyła się z czymś takim, jak na wpół ujeżdżony koń, czy z jakimś innym banalnym numerem, który powoduje, że mężczyźni o określonych skłonnościach z miejsca wariują. Miała jeden z tych wiolonczelowych głosów, które upewniają człowieka, że całe ciało kobiety jest zdolne do wspaniałego rezonansu, jeśli tylko będą ku temu odpowiednie warunki. Również jej ciało było jak wiolonczela, nie jakieś chuderlawe – ciało, za które można umrzeć. Była kobietą, która z uśmiechem na twarzy mogłaby palić cygaro. Przedmiotem, któremu przyjemność sprawiało bycie przedmiotem. Mimo to działo się między nimi coś dziwnego, coś szczególnie wyzutego z uczucia, widziałem to na własne oczy.



Potrafiła siedzieć przy stole i wpatrując się w twojego dziadka, pytać: „No to kiedy mianujesz mnie wiceprezesem?”. A on mówił: „Kiedy tylko zechcesz”, na co ona odpowiadała: „Jutro”. Wzruszał ramionami i stwierdzał: „Jasne, jutro”. Nie odrywała od niego wzroku, z tym swoim uśmiechem kobiety palącej cygaro, ukazując jakieś pięćdziesiąt zębów w dwóch zakrzywionych rzędach, i mówiła: „Jutro? Dobrze! Jutro mianujesz mnie wiceprezesem. Zrobisz to jutro z samego rana. Powiedziałeś, że to zrobisz, tak? Chyba nie jesteś kłamczuchem, co? Mam nadzieję, że nie jesteś k ł a m c z u c h e m. Bob, słyszałeś, co powiedział. Powiedział, że jutro mianuje mnie wiceprezesem”.

– Ale była chemiczką?

Bob uniósł szklaneczkę do światła. Zdawał się nieświadomy obecności Louisa.

– Raz na kilka lat zdarzają mi się takie studentki jak ona. Jesteś niemal pewien, że nie rozumieją materiału, ale są tak bardzo pewne siebie, a także pełne jakiejś zwierzęcej energii i wyobrażenia, że historia jest dżunglą, a one są dostatecznie przebiegłe i dostatecznie uwodzicielskie oraz dostatecznie ważne, żeby w niej przetrwać, że w efekcie naprawdę dają sobie radę. Coś takiego jak wątpliwej jakości artykuł na temat ropy naftowej to właśnie ten rodzaj pracy, który Anna mogłaby jakoś opublikować. Praca może być marna, ale w autorce jest tyle witalności, że trudno taki tekst

odrzucić.

Z ciemności za drzwiami z siatką docierały odgłosy darcia czegoś na strzępy, czemu towarzyszyły słabe pomruki zajętego swoimi sprawami kota. Jakieś małe zwierzątko było rozszarpywane na kawałki.

Pod koniec osiemnastego wieku osoba pokonująca prawie czterysta kilometrów dzielące Boston od Nowego Jorku mijala najwyżej trzydzieści kilka kilometrów terenów leśnych. Goście z Europy zwracali uwagę na to, jak rzadko rosną w Ameryce drzewa i jakie są skarłowaciałe. Myśleli, że to z powodu jałowej gleby. Nie mogli się nadziwić, dlaczego Amerykanie marnowali drewno dla krótkoterminowych zysków czy dla wygody. W tartakach na tarcicę przerabiano tylko najwyższe i najlepiej ukształtowane drzewa; wszystkie mniej doskonałe były spalane lub gniły. Rodziny budowały wielkie, słabo ocieplane domy z drewna lub z cegieł wypalanych w drewnie („Takie domy – powiedział Bob – których urok nawet teraz ściąga gości do Ipswich”) i od października aż do kwietnia w każdym pomieszczeniu palili ogień.

Gdy tylko białemu Amerykaninowi udało się uzyskać ziemię od Indian, szybko starał się na niej zarobić, ścinając drzewa na belki albo je paląc, żeby uzyskać popiół, jeśli akurat w okolicy był dostatecznie duży popyt na popiół. W przeciwnym razie mógł sobie oszczędzić pracy, po prostu mordując drzewa i czekając, aż zwałą się

zbutwiały. Uprawy zasiane na uprzednio zalesionych terenach dobrze wzrastały przez kilka lat, ale bez drzew, które zatrzymywały substancje odżywcze, i przy zamkniętych w nienaruszalnych granicach posiadłości poczynaniach rolników gleba wkrótce stawała się bezużyteczna. To mit, stwierdził Bob, że Indianie użyźniali wyjałowioną ziemię rybami. Żeby ogród istniał przez dziesięć tysięcy lat, należy stosować płodozmian. To właśnie biali Amerykanie przy obsiewaniu nasion dodawali alozy, w związku z czym ich pola śmierdziały tak bardzo, że podróżni wymiotowali przy drodze.

Nie mogąc paść się swobodnie, bydło ogałowało pastwiska z trawy bardziej, niż robiły to dzikie zwierzęta. Tratowało glebę, wyciskając z niej powietrze i w ten sposób zmniejszając jej zdolność do zatrzymywania wody. Na Cape Cod nie było piaszczystych wydmy, kiedy przybyli tu Europejczycy. Wydmy powstały, kiedy krowy wypłeniły rodzime trawy, a urodzajna górna warstwa gleby została porwana przez wiatr.

Tereny nizinne, przez tysiąclecia suche dzięki drzewom, które odparowywały deszcz ze swoich liści, przemieniły się w mokradła, gdy tylko zostały wykarczowane; pojawiły się komary, malaria i cierniste krzewy. Na wyżej położonych terenach, pozbawionych rzucanego przez drzewa cienia, pokrywa śniegu topiła się szybko, a ziemia przemarzała głębiej, zatrzymując mniej wody z nadejściem wiosennych deszczów. Często

zdarzały się powodzie. Niepowstrzymywana przez korzenie i opadłe liście woda wymywała substancje odżywcze z ziemi. Rozszalałe potoki znosiły urodzajną warstwę gleby do zatok i portów. Zmierzające na tarlisko ryby napotykały tamy i pokrytą mułem wodę. W lecie i jesienią natomiast, ze względu na brak lasu, który regulowałby przepływ wody, wszystkie strumienie przemieniały się w suche rowy, a naga ziemia piekła się w słońcu.

Tak się więc złożyło, że kraj, którego obfitość wspomagała Indian i zdumiewała Europejczyków, w niecałe sto pięćdziesiąt lat stał się obszarem cuchnących bagien, wyjących wiatrów, upadających farm i ogołoczonego z drzew krajobrazu, gorących lat i przejmująco chłodnych zim, zniszczonych erozją równin i zapchanych portów. Gdyby zrealizować poklatkowy film o Nowej Anglii, ukazałby on znikające bogactwo ziemi, wysychające lasy, rozprzestrzenianie się nagiej gleby, gnijącą i prującą się tkanek życia, prowadząc do wniosku, że to całe bogactwo po prostu zniknęło – poszło z dymem czy też spłynęło ze ściekami bądź odpłynęło w statkach za morze.

Gdyby jednak dobrze się temu przyjrzeć, można by dostrzec, że to całe bogactwo zostało jedynie przekształcone i skoncentrowane. Wszystkie boby chodzące niegdyś po ziemi w powiecie Franklin w stanie Massachusetts zostały przeobrażone w wykonany

z czystego srebra serwis do herbaty w salonie przy Myrtle Street w Bostonie. Strzeliste sosny wejmutki z obejmującego dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów kwadratowych obszaru stanu Massachusetts wspólnie postawiły jeden kwartał ceglanych domów jednorodzinnych na Beacon Hill, z wysokimi oknami, całym parkiem powozów, żyrandolami z Paryża i kanapami obitymi chińskim jedwabiem, przy czym to wszystko zajmowało powierzchnię mniejszą niż pół hektara. Poletko, z którego niegdyś mogło się wyżywić pięcioro Indian, zostało skupione w złotym pierścieniu na palcu Isaiaha Dennisa, będącego stryjecznym dziadkiem dziadka Melanie Holland.

A kiedy Nowa Anglia była już zupełnie wyjałowiona – kiedy jej początkowe bogactwo skurczyło się do garści zakątków tak niewielkich, że nawet najmniejszy bóg mógłby przykryć je koniuszkiem palca – wtedy biedni angielscy rolnicy, którzy stali się biednymi amerykańskimi rolnikami, ruszyli tłumnie do miast i stali się biednymi robotnikami w odlewniach i przędzalniach bawełny, budowanych przez posiadaczy skoncentrowanego bogactwa w celu zwiększenia swoich przychodów. Teraz film poklatkowy przedstawiłby łuszczenie się czerwonej cegły, stawianie zapór na nowych strumieniach, patroszenie nagiej ziemi w poszukiwaniu znajdującej się w niej gliny i rudy żelaza, czernienie powietrza, całe mnóstwo transportujących

bawełnę frachtowców z Charleston, rozprzestrzenianie się robotniczych domów mieszkalnych, rozprzestrzenianie się żelaza, fale ekskrementów i moczu, rzeź ostatnich dzikich ptaków, o których zjedzeniu można by jeszcze pomarzyć, dym pociągów wiozących mięso z Chicago, żeby nakarmić robotników, zarastanie chwastami ziem uprawnych, ostateczną śmierć stodoł i wiejskich domów w rękach świeżo otwartego regionu Środkowego Zachodu, niegdysiejszego spichlerza kraju, ale przede wszystkim ogólny wzrost bogactwa. Pradziadek Melanie, Samuel Dennis, oraz współpracujący z nim przemysłowcy i bankierzy nauczyli się nie tylko spalać drzewa rosnące w ich epoce, ale też drzewa karbońskie, dostępne w postaci węgla. Nauczyli się wykorzystywać bogactwo nie tylko własnej, ojczystej ziemi, ale też bawełnianą krainę Missisipi i kukurydzianą krainę Illinois.

– Bo w końcu – stwierdził Bob – każde bogactwo zdobyte przez człowieka, a wykraczające poza to, co sam jest w stanie wyprodukować, m u s i rodzić się kosztem natury lub też kosztem innej osoby. Rozejrzyj się wokół siebie. Popatrz na nasz dom, na nasz samochód, nasze konta bankowe, nasze ubrania, nasze przyzwyczajenia żywieniowe, nasze urządzenia domowe. Czy fizyczna praca jednej rodziny i jej bezpośrednich przodków wraz z przynależną im jedną miliardową częścią odnawialnych zasobów kraju mogłyby to wszystko

wyprodukować? Wybudowanie domu od podstaw zajmuje wiele czasu; przemieszczenie się z Filadelfii do Pittsburgha wymaga wielu kalorii. Jeśli nawet nie jesteś bogaty, to twoje konto jest obciążone saldem debetowym. Jesteś dłużnikiem malezyjskich włókienników, koreańskich monterów obwodów i ścinających trzcinę cukrową haitańskich robotników, którzy mieszkają po sześciu w jednym pokoju. Jesteś dłużnikiem banku, dłużnikiem ziemi, z której wydobyłeś ropę naftową, węgiel i gaz ziemny, a tych skarbów już nikt nigdy nie odłoży z powrotem na miejsce. Jesteś dłużnikiem stu metrów kwadratowych zasypanych odpadkami wgłębień terenu, które przez dziesięć tysięcy lat będą nosić brzemień twoich osobistych odpadów. Jesteś dłużnikiem powietrza i wody, pośrednio dłużnikiem japońskich i niemieckich inwestorów działających na rynku obligacji. Jesteś dłużnikiem swoich prawnuków, które będą płacić za twoje wygody, kiedy ciebie już nie będzie, które będą mieszkać po sześć w jednym pokoju, kontemplować nowotwory skóry i w przeciwieństwie do ciebie dokładnie wiedzieć, ile czasu zajmuje przemieszczenie się z Filadelfii do Pittsburgha – właśnie dlatego, że ty jesteś na plusie.

Dziadek Melanie, Samuel Dennis III, posiadał rezydencję miejską przy Marlborough Street, letni domek na wschód od Ipswich, roadstera marki Dusenberga, długi na zupełnie przeciętnym poziomie

i zarządzał rodziną sześciu córek, z których tylko jedna była mężatką, kiedy diabeł tych czasów podkusił go, żeby w swoim biurze przy Liberty Square zainstalować dalekopis giełdowy.

Przez całe dziesięciolecie biuro nie służyło mu praktycznie do niczego więcej niż do palenia cygar i wypisywania czeków bratanikom i bratanicom, których funduszami Dennis zarządzał. Stanowiło zlewisko różnych strumieni wpływów wzbierających w fabrycznych miejscowościach na północ od Bostonu – strumieni, które w 1920 roku zaczęły okazywać skłonność do zamulania i wysychania – oraz składowisko starych, bardzo starych dolarów: dolarów splamionych krwią bobrów (a także nerek i dorszy), dolarów o zapachu czarnego pieprzu i jamajskiego rumu, sosnowych dolarów z wykarczowanej do cna ziemi, będącej własnością Dennisa, zardzewiałych dolarów wojennych, dolarów wilgotnych i skwaśniałych od potu tkających na krosnach kobiet, przypadkowych dolarów niewiadomego pochodzenia, które w pewnym momencie postanowiły dołączyć do towarzystwa. Wszystkie te dolary pokrywała skorupa długo zbieranych odsetek, a żaden z nich, choćby nie wiadomo jak stęchły, nie był gorszym dolarem niż pozostałe. To oczywiste, że w demokratycznym kraju rynek papierów wartościowych nie rozróżniał między starym a nowym bogactwem.

Zgodnie z ustnym przekazem rodzinnym, powiedział



Bob, Dennis dopiero po dłuższym czasie zorientował się, że spekulacje doprowadziły go do ruiny. Przez kilka tygodni, zimą pod koniec lat dwudziestych, wracał do domu przy Marlborough Street z miną świadcząca o pogłębiającej się konsternacji. A potem pewnej nocy umarł.

Zanim jeszcze jego ciało osiągnęło temperaturę pokojową, członkowie rodziny odkryli, że są bankrutami. Później utrzymywano, że nawet porcelana i pościel były zastawione. Zarówno córki, jak i żona stanęły przed perspektywą znalezienia się pod kuratelą moralizujących ciotek i wujków, a jednak (albo tak przynajmniej później utrzymywały) nie użalały się nad sobą, tylko nad domem przy Marlborough Street i domkiem w Ipswich. Bo czy ktoś będzie jeszcze kiedyś tak dbał i pielęgnował te domy, jak robili to Dennisowie?

Panie Dennis były już niemal na skraju rozpacz, kiedy adwokat poinformował je, że miesiąc przed śmiercią Sam Dennis w tajemnicy przekazał akt własności domu przy Marlborough Street swojej zamężnej córce, Edith – a raczej, dokładnie mówiąc, mężowi Edith, Johnowi Kernaghanowi. I tak, chociaż ogołocona z umeblowania, ukochana siedziba rodu została uratowana.

W późniejszych latach nikt nie był w stanie powiedzieć, w jaki sposób Kernaghan wszedł w posiadanie tego domu. Możliwe, że sam ostrzegł

patriarchę o nieuchronnie zbliżającej się katastrofie i służył mu pomocą. Ale chociaż panie Dennis „wręcz uwielbiały” tego młodzieńca, nie były zbyt skłonne aż tak go doceniać. Odkąd Edith za niego wyszła, jak mówi ustny przekaz rodzinny, panny Dennis chichotały i dobrodusznie kiwały głowami nad tym ciemnym, małomównym, dosyć drobnym młodym adwokatem, który pochodził z mroków lasów stanu Maine i czuł taki respekt przed wielkimi Dennisami, że tylko w święta odprowadzał Edith do ich domu, a i wówczas prawie się nie odzywał. Ale w jakiś nikomu nieznaną sposób ten sam Jack Kernaghan – oczywiście pod czułym przewodnictwem i przy wsparciu upadłego patriarchy – uratował ceglany szkielet świetności Dennisa, a potem, w czasie najtrudniejszych chwil Wielkiego Kryzysu, wspierał swoją teściową i pięć szwagierek. Wedle ustnego przekazu był osobliwym okazem. Był takim pracoholikiem, że zanim najmłodsza szwagierka nie skończyła prywatnej szkoły, ani razu nie wziął sobie tygodniowego urlopu. Zdając sobie sprawę ze znaczenia letniego domku dla zdrowia psychicznego Dennisów, każdego lata wynajmował im na sześć tygodni domek w Newport, ale ponieważ woda nie była mu szczególnie potrzebna, sam zostawał w Bostonie i pracował. Było go stać na zatrudnienie gosposi dla teściowej, ale sam (niewątpliwie z powodu pochodzenia z lasów w Maine) był takim entuzjastą świeżego powietrza, że codziennie

maszerował półtora kilometra do pracy. Wszyscy wiedzieli, że posiada dokładnie trzy garnitury: powycierany, codzienny i porządny. W sumie, jak mówił ustny przekaz rodzinny, był osobliwym, bardzo osobliwym człowiekiem, ale wyświadczył paniom Dennis wspaniałe przysługi, a one były mu wdzięczne. Tak – wdzięczne.

– I żywił do nich cholerną urazę – dodał Louis.

– Nie. A już na pewno nie w czasie, kiedy go poznałem. Sądzę, że zbyt pogardzał Dennisami, żeby żywić do nich urazę jak do osób równych sobie. Był po prostu przejmująco chłodny. Dla twojej matki, dla ciotki Heidi, dla twojej babci, w zasadzie dla całej rodziny, z wyjątkiem mnie. Po raz pierwszy spotkaliśmy się tuż przed tym, jak Edith w końcu się z nim rozwiodła. Zapytał mnie, czym się zajmuję. Powiedziałem, że studiuje. Wtedy spytał, co zamierzam zrobić ze swoim tytułem, i kiedy odpowiedziałem, że zamierzam zostać nauczycielem, odrzucił głowę w tył, roześmiał się i tak się śmiejąc, wyszedł z pokoju. Myślałem, że to koniec naszych kontaktów. Ale kilka lat później pojawił się na naszym ślubie, nieproszony, z Ritą pod rękę, i śmiał się, jakby śmiał się nieustannie, odkąd widziałem go wychodzącego z tamtego pokoju, a twoja matka powiedziała, że po raz pierwszy od prawie dwudziestu lat ją pocałował. Było to dla mnie dosyć krępujące, ponieważ połowa ludzi na weselu rzucała mu mordercze

spojrzenia, a on wyraźnie dawał do zrozumienia, że przyjechał wyłącznie dlatego, że mnie lubi: mnie osobiście. Traktował mnie protekcjonalnie, pytał o moją pracę wykładowcy i śmiał się z moich odpowiedzi, ale w tym wszystkim, czułem to, było coś autentycznego. Jakby był pijany, niemal jakby był mną zauroczony, i chociaż pewnie zdawał sobie sprawę, że nie powinien się tak zachowywać, nie potrafił się powstrzymać.

Zaczęliśmy dostawać od niego kartki na Boże Narodzenie. Każdego roku dwudziestego drugiego grudnia otrzymywaliśmy skrzynkę Dom Pérignon. Przyjeżdżał do Chicago w interesach i zapraszał mnie na obiad, a potem wychodziliśmy na drinka i na spacer po Lincoln Park. Zapytał mnie, czy troszcę się o jego małą dziewczynkę. Nie była ani mała, ani jego, i właśnie dlatego się śmiał. Lękała się go i ostrzegała mnie przed nim, i nie chciała ze mną rozmawiać, bo byłem zbyt dobroduszny i wciąż jeszcze byłem na tyle młodym gnojkiem, żeby odsyłać mu te jego szampany i odrzucać jego zaproszenia. Pytał, czy mam już etat. Mam? No to wspaniale. Oznaczało to, że mogę propagować rewolucję przez osiem dni w tygodniu i dopóki faktycznie do niej nie dojdzie, nigdy się nie dowiem, co znaczy brak zabezpieczenia finansowego, a nawet wówczas sobie poradzę jako Komisarz Historii Marksizmu. I rzeczywiście tak myślał: uważał to za wspaniałe. To naprawdę niesamowite, Lou, przebywać z człowiekiem,

dla którego w jakiś niejasny, ale istotny sposób jesteś wyraźnie ważny. Który przez ciebie potrafi robić z siebie głupca targanego sprzecznymi uczuciami. Musiałem mu obiecać, że będę troszczyć się o jego małą dziewczynkę i że na pewno przyjedziemy do nich z wizytą. I faktycznie tam pojechaliśmy, bo twoja matka nie była w stanie mnie powstrzymać. Nie pamiętasz tego, ale latem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku byłeś w Ipswich, i ty, i Eileen, a przez chwilę nawet i matka, choć głównie odwiedzała znajomych w Bostonie...

– Były tam konie?

– Konie? Być może, po drugiej stronie drogi. W każdym razie, kiedy wróciłem w listopadzie, oczekiwałem mnie czerwony dywan. Kiedy przyleciałem, w firmowym samochodzie czekał gość ze Sweeting-Aldren, a na Argilla Road lunch dla Jacka i dla mnie: ostrygi, homary, szampan. Po południu chciałem zająć się pracą, ale powiedział: „Przecież masz etat, po co jeszcze pracować?”. I nie chodziło tylko o to, żeby mnie wyśmiać, raczej starał się nakierować mnie na taki sposób rozumowania, do jakiego sam bym prawdopodobnie nie doszedł, bo jego zdaniem nie byłem na to wystarczająco sprytny. Pokazał mi swoją nową piwniczkę na wino, nowy samochód, nowy kolorowy telewizor w obudowie z twardego drewna. Zawiózł mnie samochodem na plażę, która też mogła należeć do niego, bo po obu stronach była pusta, usiadł tam na masce swojego jaguara

i wypuszczał dym papierosowy w stronę oceanu, a fale załamywały się niewolniczo u jego stóp. Zabrał mnie do portu i pokazał swój nowy jacht, który ochrzcił imieniem Ochoczy. Taka nazwa była wymalowana na dziobie! Ochoczy! Zawiózł mnie samochodem do domu na wzgórzu, takiej wiktoriańskiej, pełnej zakamarków budowli położonej bliżej Cape Ann. Zaparkował w poprzek wylotu podjazdu, wysiadł z samochodu i stanął tyłem do mnie, a wówczas się zorientowałem, że sika na biały żwir. Sika połową butelki Dom Pérignon, a między stopami płynie mu mała, mętna, szara rzeczka. Podskakując, układa sobie wszystko w majtkach i mówi mi, że tak naprawdę to właśnie ten dom chciał kupić, ale aktualni właściciele nie chcieli go sprzedać. Stoi na tym podjeździe i patrzy na wzgórze. Mówi, że pewnie Melanie opowiadała mi, jak to jej dziadek poszedł z torbami, kiedy w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku doszło do krachu. Potwierdzam. Tak, tak właśnie mi mówiła. A on na to: „Zgadza się, do diabła, tyle że to było wiosną tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego. Na wszystkich rynkach zwyżki, wszyscy się bogacili, nikt nie biedniał”. I dodaje: „Naprawdę trzeba było być kimś wyjątkowym, żeby zbankrutować na wiosnę tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego”. Mówi, że jakiś znajomy wpadł do jego biura zimą na przełomie tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego i dwudziestego ósmego roku z informacją, że Sam

Dennis zrobił zastaw na swoich domach w celu zabezpieczania kredytów, które miały pokryć jego straty na giełdzie. „I wiesz, Bob – mówi do mnie – nawet wówczas ten człowiek nie potrafił zauważyć, co nadchodzi. Musiałem krzyczeć na tego dupka od trzeciej po południu do dziesiątej wieczorem, zanim pozwolił mi przejąć miejską rezydencję. Już była objęta prawem zatrzymania i żeby ją zwolnić, musiałem poświęcić mój własny dom i wszystkie dolary, jakie mogłem pożyczyć na słowo. Trzy tygodnie później Sam Dennis już nie żył. A ta rodzina wciąż sobie wyobrażała, że pieniądze rosną w bankowych skarbcach jak mech. Gdyby nie ja, Bob, wylecieliby na bruk, jak stado zwierząt z zoo patrzących na pierdzielony ruch uliczny. Nie uwierzyłybyś, jak byli krańcowo tępi, i tylko dzięki mnie nigdy się tego nie dowiedzieli. Uwierz mi: dla tej rodziny byłem rycerzem w lśniącej zbroi”. Pytam go: „Dlaczego?”. Wraca do samochodu. Mówi: „Bo bałem się Boga”. „Tak, jasne”. „Bałem się Boga. Uwierz mi, Bob. Bałem się tego starca w powłóczytych szatach”.

Byliśmy z powrotem na drodze numer sto trzydzieści trzy i zobaczyliśmy autostopowiczkę, długie włosy, skórzana kurtka z frędzlami, gitara. Jack zwalnia i zatrzymuje samochód tuż przy niej. Kiedy dziewczyna podnosi gitarę, naciska pedał gazu i odjeżdża. Pomyślałem, że to z jego strony jakaś złośliwość, dokuczanie autostopowiczom, ale on kręci głową.

„Płaska” – mówi, a ja na to: „Co?”. „Nic pod bluzką” – stwierdza. Jedziemy dalej i po chwili dodaje: „Każda z nich wsiądzie do samochodu”. Potem wracamy na Argilla Road, na kawior z białugi, bażanta i trufle, wszystko wybrane tak, żeby było jak najdroższe. Z Peabody po pracy przyjeżdża Anna, już wcześniej powiedział, że chciałby mnie z kimś poznać...

– Nie no, przepraszam – przerwał Louis – ale nie rozumiem, jak mogłeś wytrzymać z tym facetem pięć minut.

– Jak mogłem go ścierpieć? Oczywiście, że go nie cierpiałem. Nocami się zastanawiałem, czy w końcu go nie zamorduję, dla dobra całej ludzkości. Ale kiedy się z nim przebywało, wyglądało to całkiem inaczej. Był w tym jakiś magnetyzm. Ubierał się jak angielski ziemianin; szczególnie zapadła mi w pamięć jedna rdzawoczerwona aksamitna bonżurka. W wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat miał wciąż gładką i nieskazitelną skórę. Był surowy, lśniący i elegancki, jak śmierć, i obawiam się, że wśród żywych nie ma nikogo, kto nie odnalazłby w tym obrazie czegoś atrakcyjnego: lśniący zabójca i sposób, w jaki stoi z dala od stosów ciał w Azji Południowo-Wschodniej. Oglądana z pewnej odległości, cała ta masakra może być równie seksowna, jak z bliska jest odrażająca. A kiedy przebywało się z Jackiem Kernaghanem, czuło się, że ta odległość jest doskonale zachowana. Przebywało się tuż przy



odwiecznej masce czerwonego moru, na zamku na wzgórzu. Był dla mnie dowodem, że tam, w salach posiedzeń, w kompleksie wojskowo-przemysłowym, naprawdę jest coś, co bezsprzecznie zasługiwało na naszą nienawiść. Sam wiesz, jak łatwo idealizm może sprowadzić nas na manowce, jak łatwo jest pomyśleć, że intelektualna uczciwość wymaga, żebyśmy wybaczyli tym gościom i widzieli w nich ludzkie istoty, takie jak my, pionki w szponach historii. Jack stanowił wspaniałą dowód na to, że wcale tak nie jest. Działał z premedytacją. Rozkoszował się tym, że jest palantem. A ja rozmyślnie go prowokowałem, rozumiesz, bo byłem młodym gnojkiem, jak ty teraz, a on nie mógł mnie skrzywdzić. Albo tak mi się przynajmniej wydawało.

Jack powiedział, że jego ojciec był nauczycielem w szkole, „śmiesznym starym pierdzielem”, należało przez to rozumieć, że jest prawym i bezinteresownym człowiekiem, który uczył swoje dzieci, co jest dobre, a co złe. Załóżmy, że mały Jack w to uwierzył. Załóżmy, że czuł podziw dla ojcowskiej prawości. Załóżmy, że wyjeżdżając w wieku szesnastu lat z domu do college’u, wierzył, że jeśli będzie żył, jak należy, czeka go droga do nieba, a jeśli będzie żył w sposób nieodpowiedni, trafi wprost do kotła z siarką. Załóżmy, że w niedzielę przyjmował hostię i wierzył, że to ciało Zbawiciela, i że kochał Zbawiciela, tak jak robił to jego ojciec.

Każdego lata pracował w kancelarii prawniczej

w Orono. Przyjęto go na wydział prawa na Harvardzie, a następnie, ponieważ wyróżnił się na uczelni, został partnerem w kancelarii w Bostonie i nadal przyjmował gości w niedziele. Dysponując tak poważnym saldem dodatnim, zarówno na rachunku niebiańskim, jak i ziemskim, z pewnością był zaszokowany gwałtownością, z jaką odrzuciła go rodzina wybranki. Pan Dennis, który oprócz Edith miał jeszcze pięć innych córek do wyprawienia z domu, nie protestował zanadto energicznie, ale pani Dennis robiła to z naddatkiem, uznając wszystkie możliwe aspekty osoby Kernaghana za nieodpowiednie; nie chodziło tylko o to, że był katolikiem, i nie tylko o to, że pochodził z biednej rodziny z „lasów Maine”, nie tylko o to, że ich oszukiwał, zalecając się do Edith poza jej domem, ale o to, że był c i e m n o w ł o s y i n i s k i. Wyznała kiedyś Edith, że z trudem powstrzymała się od śmiechu, kiedy pierwszy raz zobaczyła ją z Kernaghanem. Jakby znalazła się w gabinecie osobliwości! Wręcz nie do pomyślenia! Olbrzymka i karzeł! Księżna i jej krawiec! (W rzeczywistości chodziło o cztery centymetry). Bardzo wyraźnie oświadczyła, że nie zamierza uczestniczyć w uroczystościach ślubnych i natychmiast zerwała kontakty z rodziną, w której domu gruchające gołąbki się poznały.

Fakt, że i tak się pobrali, zdając sobie sprawę, że to wpłynie niekorzystnie na wszelkie żywione przez nich

społeczne ambicje, świadczył chyba o tym, że rzeczywiście łączyła ich miłość. Czy Kernaghan potrafiłby tak żarliwie zniechęcić Edith, jeśli nie kochałby jej w przeszłości? Mężczyzna nienawidzi w kobiecie tych cech, których nienawidzi w jej rodzinie; nienawidzi widomego świadectwa, jak bardzo te cechy są w niej zakorzenione, jak nieunikniona jest dziedziczność. Żyjąc przez cztery lata w niemal całkowitej separacji od Dennisów, a zatem rzadko mogąc bezpośrednio porównywać matkę czy siostry do Edith, Kernaghan widział ją w jej wyjątkowości, jej urodzie, namiętności dla niego. Co więcej, musiał też stworzyć sobie podobnie obiecujący obraz jej rodziny.

Bo jakże inaczej wytłumaczyć gigantyczne przysługi wyświadczone Dennisom? Jakże inaczej wytłumaczyć, dlaczego niemal doprowadził się do finansowej ruiny, żeby wykupić ich dom, a potem podjął się utrzymania tych samych kobiet, które uznawały go za takiego śmiecia, że nie pojawiły się na jego ślubie? Gdyby pragnął odwetu w 1928 roku, nie było nic prostszego, jak tylko spokojnie usiąść i naśmiewać się z ich katastrofy. Każdy człowiek obdarzony przeciętną moralnością uznałby, że ma do tego pełne prawo.

Najwyraźniej wciąż starał się zdobyć ich miłość. Widując je tak rzadko w poprzednich czterech latach, rzeczywiście wierzył, że jeśli je uratuje, pokochają go, a przynajmniej obdarzą szacunkiem. Bo przecież,

w końcu, nie mógłby tak mocno ich później znienawidzić, jeśli wcześniej nie miałyby dla niego takiego znaczenia.

Zmuszone okolicznościami, panie Dennis w swoim nowym życiu były uprzejme wobec swojego dobroczyńcy. Cztery lata wcześniej Kernaghan z chęcią przystałby na uprzejmość. Ale obecnie, biorąc pod uwagę ryzyko, na jakie się naraził, starając się je uratować, biorąc pod uwagę ogromne nakłady własnej bezinteresowności, żądał czegoś więcej. Nadszedł czas, kiedy musiały go pokochać. Lepszy od niego nie mieliby mniejszych oczekiwań.

Ale oczywiście panie Dennis nie mogły go pokochać. Nawet gdyby ich nie widział, kiedy były na dnie, nawet gdyby nie ośmielił się ich uratować, były zbyt zakochane w tym swoim ego z wyższej klasy i zbyt bezpiecznie się czuły przez samą swą kobiecą liczebność, żeby chcieć od niego czegokolwiek poza pieniędzmi. Prośby o pieniądze na chesne, na ubrania, na letnie wakacje, na wyprawy ślubne przekazywała Kernaghanowi Edith, która przez jakiś czas starała się prowadzić negocjacje między swoją rodziną a komendantem ich okupowanego domu, ale też nieuchronnie, ponieważ wszyscy mieszkali teraz razem, zaczęła przechodzić na stronę Dennisów. Było ich tak wiele, on zaś sam jeden. Kobiety mogły przez cały dzień zarażać Edith swoimi pretensjami, uprzedzeniami i wydumanymi potrzebami. Dzieci Kernaghana miały

siedem matek i jednego ojca; ojciec był małym człowieczkiem, który pracował przez sześćdziesiąt godzin tygodniowo, żeby utrzymać dom.

Niemniej wciąż wiódł prawe życie. Melanie pamięta czasy, kiedy każdego wieczoru wracał do domu prosto z pracy i czytał jej oraz jej bratu Frankowi (poza ojcem Frank był jedynym mężczyzną w domu dziewięciu kobiet), pił brandy i palił papierosy w swoim gabinecie, sam glansował sobie buty i szczotkował płaszcz przed udaniem się na spoczynek. Pamiętała, jak w niedziele wracał z innego kościoła, później niż pozostali członkowie rodziny, przez co nawet niedziela była jak statek wycieczkowy, na który zawsze się spóźniał. Kroczył obok niego po brzegu, zajmując się własnymi sprawami, chyba że jakieś dziecko zeszło ze statku i przeszkodziło mu w czytaniu gazet, które nazbierały się od poprzedniej niedzieli. Melanie utrzymuje, że pamięta jeszcze atmosferę serdeczności z czasów, gdy była mała. Być może już wówczas nienawidził żony i jej rodziny, ale coś trzymało go w ich służbie i prawie na pewno był to strach przed piekłem. W sumie sam się do tego przyznał: w roku 1928 i przez cztery następne lata starał się zdobyć względy nie tylko Dennisów, ale również Boga, i chociaż wyraźnie nie udawało mu się to z Dennisami, wciąż miał nadzieję, że uda mu się z Bogiem.

I wtedy Bóg zabił Franka.

Doszło do tego podczas jednego z tych sierpni, kiedy

rodzina zajmowała się porannymi-kąpielami-popołudniowymi-herbatkami gdzieś poza Newport i kiedy Kernaghan pisał robocze wersje testamentów i umów w Bostonie, a bakteryjne zapalenie opon mózgowych mogło w dziewięćdziesiąt sześć godzin zabrać pechowego chłopca. Melanie pamiętała, w jakim stanie Jack przyjechał do Newport. Ani śladu smutku, tylko wściekłość. Wściekłość na żonę i teściową, i na córkę, i na najmłodszą szwagierkę, że nie potraktowały poważnie gorączki Franka, że wcześniej nie zadzwoniły do niego (do Jacka), że posłuchały poleceń lekarza, że zostawiły Franka pod opieką prowincjonalnego szpitala w Newport, że pozwoliły Frankowi umrzeć, że zabiły Franka, że przez swoją głupotę zamordowały Franka, że były Dennisami, że zamieniły jego życie w piekło. Melanie, wówczas sześćioletnia, została niezwłocznie przegoniona z domu, jakby wściekłość ojca fizycznie jej zagrażała. Z tego wstrząsu już się nie pozbierał, z wstrząsu, który spowodował, że Jack rozhuśtał się jak dzwon, jak planeta uderzona przez meteor, nadal drgająca po trzydziestu latach, tak że potrafił powiedzieć przy foie gras w swoim domu w Ipswich:

– Ta rodzina pokazała mi, jak wyglądałby ten kraj, gdyby rządziły nim kobiety. To proste: wydajesz cudze pieniądze. Wydajmy sto miliardów na biednych, wydajmy sto miliardów na czarnych. Nie ma niczego złego w tych wszystkich sentymentach, ale skąd brać na

to pieniądze? To przemysł daje im chleb, a ty możesz mówić o szczęściu, jeśli w ogóle dostrzegą cię jako zło konieczne. Patrzą na ciebie, patrzą na przemysł, jakbyś był śmieciem, godnym najwyższej pogardy, śmieją się z ciebie, przesłaniając uśmiech dłońmi. Cała przyszłość może im się walić, a one nic by o tym nie wiedziały, dopóki nie uderzyłby w nie topór.

Nigdy przy Bobie nie wymienił imienia Franka, ale z przyjemnością opowiadał, co zrobił paniom Dennis tego roku, gdy „odzyskał zmysły”. Jak to kuchnia zaczęła cuchnąć niczym składowisko odpadów, kiedy zwolnił gosposię, a te kobiety czekały, w miarę jak dni przechodziły w tygodnie, na kogoś, kogoś innego niż one, kto umyje garnki i wyniesie śmieci. Jak znalazły murzyńską dziewczynę, chętną do pracy za wikt i dodatkowe artykuły spożywcze, i jak wówczas obciął o połowę przydział artykułów spożywczych (samemu zjadając wspinałe obiady i przynosząc swojej małej dziewczynce, Melanie, wyszukane i pożywne smakołyki), następnie zdeprawował murzyńską dziewczynę słodyczami, whisky i papierosami, a potem przeleciał ją w spiżarni. Jak pozwolił dwóm szwagierkom zacząć nowy jesienny semestr w college’u Smitha i wysłał w ślad za nimi list, w którym informował władze college’u, że nie ma zamiaru płacić ich rachunków. Jak to samo zrobił teściowej, w tajemnicy odcinając jej kredyt w domach towarowych Jordan Marsh i Stearns i tym samym

doprowadzając do scen, podczas których upokarzali ją sprzedawcy. Jak w ostatniej chwili odwołał ślub innej szwagierki, informując ją, że jej wybranek jest mięczakiem. I jak w ciągu jednego roku kupił sobie dwadzieścia garniturów, sto koszul, brylantowe spinki do mankietów, włoskie buty. Jak zabawiał się z łatwymi kobietami, co tydzień z nową, w hotelach Ritz-Carlton Statler i w innych lokalach, w których na pewno bywali znajomi Dennisów. Jak kazał paniom Dennis za to wszystko odpokutować.

W tym samym roku, kiedy zmarł Frank, pewien wąsaty przedsiębiorca o nazwisku Alfred Sweeting kupił ziemię w Peabody, by postawić tam pierwsze w Nowej Anglii przemysłowe zakłady azotowe. W oparciu o proces opracowany przez Niemców azot, tlen, wodór z powietrza oraz czystą wodę przekształcano w azotan amonu do produkcji kruszących materiałów wybuchowych. Produkcję uruchomiono w 1938 roku, a w 1942 Sweeting połączył się z J. R. Aldren Pigments, swoim przemysłowym sąsiadem w Peabody, producentem barwników i farb, starającym się wówczas nawiązać bliższe kontakty z armią. Pomalowane szarą farbą Aldrena pancerniki i zamaskowane wyprodukowanymi przez Aldrena barwami brunatnymi i khaki Latające Fortece B-17 przez trzy i pół roku bombardowały faszystów niezliczonymi ładunkami azotanów od Sweetinga.



Połączenie Sweeting/Aldren zostało przygotowane przez kancelarię Troob, Smith, Kernaghan & Lee, a Kernaghan, specjalista od prawa handlowego, stał się doradcą firmy w pełnym tego słowa znaczeniu. Nadzorował przejęcia patentów i małych przedsiębiorstw dysponujących jedną linią produkcyjną, co po zakończeniu wojny umożliwiło Sweeting-Aldren reorganizację i poszerzenie zakresu działań. Wygłaszający mowy pogrzebowe nad jego grobem w 1982 roku przypisywali mu podjęcie inicjatywy w celu szybkiego i bujnego rozwoju firmy w kierunku produkcji pestycydów – decyzji, która zważywszy na panującą w latach pięćdziesiątych manię na punkcie pięknych jabłek oraz pomidorów i powstrzymania wszelkich plag domowego robactwa i zewnętrznych chwastów, choćby z lekka przypominających komunistów, była najbardziej rentowną decyzją w całej historii przedsiębiorstwa. Już w 1949 roku Kernaghan wraz z czterema pracownikami kancelarii Troob, Smith zajmowali się wyłącznie patentami, zobowiązaniami i prawem kontraktowym dla Sweeting-Aldren, a on sam skupował w obniżonej cenie akcje w takim tempie, że w 1954 roku został wybrany do rady nadzorczej. Później opowiadał Bobowi, że w samym 1956 roku, ostatnim roku swojego małżeństwa i ostatnim roku prowadzenia prywatnej praktyki, miał trzydzieści jeden różnych kobiet, łącznie ponad dwieście dwadzieścia razy, a ze Sweeting-Aldren wyciągał sto

osiemdziesiąt cztery tysiące dolarów, i to po opodatkowaniu. W 1957 roku w swojej reklamie w „Fortune” firma chlubiła się, że w ubiegłym roku, zgodnie z wiarygodnymi naukowymi obliczeniami, produkty Sweeting-Aldren, Zielony Ogród™ i Saf-tee-tox™ w samych Stanach Zjednoczonych zabiły dwadzieścia jeden miliardów gąsienic, dwadzieścia sześć i pół miliarda karaluchów, trzydzieści siedem miliardów komarów, czterdzieści sześć i pół miliarda mszyc i sześćdziesiąt miliardów przeróżnych groźnych domowych i gospodarczych szkodników. Poukładane jedne za drugimi, tylnymi nóżkami do czułek, zabite przez Zielony Ogród™ i Saf-tee-tox™ szkodniki okrążyłyby dwadzieścia cztery razy Ziemię wokół równika.

Kernaghan miał pięćdziesiąt sześć lat, kiedy dołączył do Sweeting-Aldren jako pierwszy wiceprezes. Były to złote lata patriarchatu, kiedy każdy dyrektor w Ameryce nosił spodnie z zamkiem z przodu i każdy z nich miał sekretarkę, która nosiła spódnicę z zamkiem z boku i która, chociaż czasami inteligentniejsza, pod względem fizycznym zawsze była słabsza od swojego szefa (jej delikatne nadgarstki wyginały się w łuk nad klawiaturą IBM), i która siedziała na małym krzeselku, tak zaprojektowanym, żeby z każdej strony prezentować jak najwięcej z jej figury, i która nosiła makijaż małżonki, pogodny uśmiech, słuchała poleceń swojego mężczyzny

i mówiła szeptem, a okiełznana przez przemysł moc tak wielu milionów heteroseksualnych duetów na przestrzeni kilku lat stworzyła ze Stanów Zjednoczonych największą siłę gospodarczą w historii świata. W Sweeting-Aldren sekretarką Kernaghana była weteranka, niejaka Rita Damiano, dwa razy rozwiedziona i jakieś dwadzieścia lat od niego młodsza. Ani wysoka, ani młoda, ani piękna, Rita raczej niezbyt odpowiadała wzorcowi kobiety idealnej w pospolitym i monotematycznym wyobrażeniu Kernaghana. A jednak regularnie mu towarzyszyła przez ponad trzy lata, a nawet w końcu się z nią ożenił, więc z pewnością potrafiła sobie z nim radzić. Musiała wiedzieć, że niespełniony katolik potrzebuje obscenicznego seksu. Musiała wiedzieć, jak budować związek, jak usypiać czujność Kernaghana, co zrobić, żeby się zaangażował, jak przemyślnie udzielać mu swobód, okazywać chłodne oburzenie seksem analnym na Wielkanoc, a prosić o więcej takiego seksu w święto sadzenia drzew, jak nazajutrz być sztywną i superwydajną przy podawaniu kawy Aldrenowi seniorowi i Sweetingowi, którzy wodzili wzrokiem od niej do Kernaghana, jakby chcieli powiedzieć: „Coś jest między wami?“, a Kernaghan oziębło zaprzeczał ruchem głowy. Odgrywała dziwną, autentyczną rolę, uświadamiając mu, że uważa go za starego zbereźnika i że toleruje jego zażyłość wyłącznie ze względu na pieniądze. Bo z takim człowiekiem jak on

lepiej było nie udawać. Już lepiej być dziwką, być zniewoloną wyłącznie obietnicą jego pieniędzy. Pojechała na wesele Boba i Melanie i zlekceważyła członków rodziny byłej żony Kernaghana, zanim oni zdążyli zacząć ją lekceważyć. Piła wraz z nim. Śmiała się szyderczo z małżeństwa, śmiała się szyderczo z przyjemności i z czasem bardzo ją polubił, zaczął ją zdradzać z tymi samymi dziuniemi, których obłudę wspólnie wysmiewali, po czym przeniósł ją do sekretariatu innego dyrektora i to był koniec Rity, przynajmniej na jakiś czas.

Tymczasem dzięki strategicznej intuicji Kernaghana inwestycje przedsiębiorstwa w nową technologię zaczęły przynosić zyski. Początkowo wysmiewana przez analityków jako bardzo ryzykowne przedsięwzięcie, Linia produkcyjna M w Sweeting-Aldren, działający w układzie zamkniętym ciągle proces umożliwiający wytworzenie dziennie stu ton dowolnego z kilku węglowodorów chlorowanych, pracowała na pełnych obrotach, jako że siły zbrojne USA odkryły w Azji Południowo-Wschodniej setki tysięcy kilometrów kwadratowych dżungli pilnie potrzebujących defoliacji. Pozostałe przedsiębiorstwa dopiero po czterech latach zdołały sprostać zapotrzebowaniu, a w tym okresie roczny wzrost zysków firmy Sweeting-Aldren nigdy nie spadał poniżej trzydziestu pięciu procent. Nowa Linia G, służąca do produkcji spandeksu dla narodu obdarzonego

nienasyconym apetytem na wydekoltowane stroje kąpielowe, lekkie staniki i inne przylepne do ciała części garderoby, również działała pełną parą. To właśnie Kernaghan nakłonił Aldrena seniora do podwojenia wydajności Linii G w 1956 roku, kiedy jeszcze była na desce kreślarskiej, to eleganckie palce Kernaghana sprawdzały zalety spandeksu w niezliczonych częściach kobiecej garderoby w latach 1958–1969, podczas dekady, w której ta dodatkowa zdolność produkcyjna Linii G przyniosła przedsiębiorstwu trzydzieści milionów dolarów, jak nie więcej, i to po opodatkowaniu, wyłącznie dzięki niemu. Jeśli dodać do tego ożywioną sprzedaż farb i materiałów wybuchowych podczas wojny, rodzący się rynek na wprowadzone pod nazwą Trójkąt Ostrzegawczy nowe pigmenty Sweeting-Aldren oraz stałe zyski z bardziej prozaicznych produktów, można zacząć się dziwić, że wartość Kernaghana na koniec lat sześćdziesiątych wyniosła zaledwie sześć czy siedem milionów.

Ale przedsiębiorstwo było zarządzane w sposób konserwatywny – patrząc w przyszłość, nie podnosząc poziomu zadłużenia, kierując ogromne sumy na działalność badawczo-rozwojową. Młoda Anna Krasner, z uzyskanym na Rensselaer Polytechnic Institute dyplomem magistra z chemii fizycznej, była jedną z osób, które skorzystały na ich metodzie rozproszonego naboru na nowe stanowiska. Kernaghan mówił później, że

wpadła mu w oko już pierwszego dnia pracy, w tłumie na parkingu. Ale żadne z nich nie chciało mówić o tym wczesnym okresie; milkli i sprawiali wrażenie niedysponowanych, kiedy tylko poruszano ten temat, co zdaniem Boba było dosyć interesujące, przynajmniej w wypadku Kernaghana, ponieważ zwycięski mężczyzna zazwyczaj lubi przypominać swojej ukochanej, jak to od pierwszego wejrzenia nie mogła się oprzeć jego aparycji. Może wciąż zbyt świeży był ból po jej odmowie, może nie był wcale taki pewien, że jest zwycięzcą, a może czuł się zażenowany ceną, jaką musiał zapłacić, żeby zmieniła zdanie.

W każdym razie Rita wszystko obserwowała. Dowiedziała się, z pierwszej ręki albo pocztą pantoflową, że Kernaghan zadurzył się w pięknej nowej chemiczce z działu badań i że ta chemiczka ostentacyjnie depreczuje jego starania, wtykając róże na długiej łodydze do zawierającej czysty kwas siarkowy kolby stożkowej i karmiąc szwajcarskimi czekoladowymi truflami szczury albinosy. Gdy zatem przy okazji załatwiania jakiejś sprawy dla nowego szefa Rita zajrzała do biura K., powiedziała:

– Nie wiesz, że mężczyzna w twoim wieku jest dla takich jak ona po prostu odrażający? Kiedy na ciebie patrzy, myśli tylko o problemach z prostatą.

Dysponując wolną ręką i sporym budżetem we własnym laboratorium, Anna poważnie traktuje

stanowisko przedsiębiorstwa, że żaden pomysł nie jest na tyle idiotyczny, żeby nie spróbować go zrealizować. Czyta jakieś fantastyczne teksty na temat pochodzenia układu słonecznego, w wysokociśnieniowym piecu gotuje wodę z amoniakiem i węglem w stanie wolnym i udaje jej się uzyskać ropę. Tak się składa, że jest jedną z osób, które prędzej staną przed głodnymi lwami w Koloseum, niż przyznają się do błędu. Uważa, że wewnątrz Ziemi, zaczynając od głębokości mniej więcej sześciu kilometrów, są ziliony litrów ropy i godziliony metrów sześciennych gazu ziemnego, i żaden obcięty na jeża profesor chemii z głową jak kowadło i z cuchnącym oddechem nie będzie jej mówił, że jest inaczej. Wali prosto do najbliższego wiceprezesa, młodego pana Tabscotta, i rzuca:

– Wiercimy w poszukiwaniu ropy w Berkshires!

Pan Tabscott, bardziej wrażliwy na piękny wygląd niż profesor chemii z głową jak kowadło, stwierdza:

– Zastanowimy się nad tym poważnie, Anno, ale może tymczasem powinnaś skierować energię w zupełnie inną stronę, zrobić sobie w pełni zasłużony odpoczynek od tej bardzo interesującej pracy badawczej.

Wciąż jeszcze chichocze i kręci głową, kiedy zdeterminowana Anna zaczyna pisać artykuł do biuletynu „Geological Society of America”, a Jack Kernaghan dowiaduje się o jej problemach. Zakrada się do jej laboratorium, zerka przez ramię kobiety na

ortograficzne okropności, które ta wypisuje w notesie, i mówi:

– Musisz być naprawdę głupia, jeśli myślisz, że wywiercimy ci sześciokilometrową dziurę w granicie.

Anna nie podnosi wzroku.

– Zrobią to.

– Nie ma na to żadnych szans, dziewczynko.

– Nie? – Podnosi wzrok z notesu na wiszącą przed nią tablicę Mendelejewa. Rozdyma nozdrza. – Jeśli tak, to tylko dlatego, że ich powstrzymasz. A jeśli jednak zdecydują się na wiercenie, to dlatego, że bardziej lubią mnie niż ciebie.

Przygląda się kolbie z poczerniałymi różami na rozerwanych łądogach.

– Tabscott tylko cię zwodził – dodaje. – Zamierza tę sprawę wyciszyć. A kiedy już to zrobi, wybierz się do niego i zapytaj, czy miałem z tym coś wspólnego. A potem, zanim zrobisz coś pochopnie, przyjdź do mnie.

Anna odgarnia piękne włosy z jednego ramienia na drugie i pisze dalej. Ale wszystko odbywa się tak, jak powiedział Kernaghan. Przeprowadzono konsultacje z różnymi poważnymi naukowcami, którzy się zgodzili, że na 99,9 procent jej teoria to bzdury. Tabscott mówi jej, że firma nie wyda pięciu milionów dolarów, jeśli szansa wynosi jeden do tysiąca, na co Anna odpowiada:

– Odchodzę! To d o b r a t e o r i a.

– Wolelibyśmy, żebyś z nami została, Anno. Ale jeśli,



no, upierasz się...

Kernaghan zastaje ją w laboratorium, kiedy ze złością opróżnia biurko.

– Czasopismo naukowe przyjęło mój artykuł – mówi mu. – A wy nie będziecie wiercić!

– Czeki na pięć milionów dolarów nie rosną na drzewach.

– Tralalala, kogo to obchodzi? Gardzicie moim skarbem.

– Bądź rozsądna – mówi Kernaghan. – Nie masz pozycji naukowej i nigdy nie znajdziesz pracy w tak bogatej firmie jak nasza. Dokądkolwiek pójdziesz, każą ci badać wulkanizowaną gumę. Zostań z nami, dobrze wszystko rozegraj, to może uda się wywiercić ten twój otwór.

Ona prycha.

– Jesteś świnią.

On śmieje się życzliwie, wychodzi i idzie naradzić się z Aldrenem seniorem i Tabscottem.

– Tak, oczywiście, Jack – mówią mu – z pewnością wydamy pięć baniek, żebyś mógł wskoczyć pod kieckę Krasner.

– Panowie – uśmiecha się – nie podobają mi się te insynuacje. To rzeczywiście interesująca teoria. A ponadto, jeśli ta kobieta ma rację, mówiąc o gazie i ropie w Berkshires, prawdopodobnie gaz i ropa jest pod nami, tu, w Peabody. Co ważniejsze jednak, wyczuwam

coś nosem i pozwolę sobie zapytać was, czy w przeszłości mój nos się mylił? Może jest na tyle wyczulony, że pięć milionów dolarów jest śmiesznie małą kwotą? Przewiduję, że będziemy mieli problem z odpadami, powiedzmy za trzy, cztery lata. Nowy problem, związany z regulacjami. Mam na myśli Linię M, a zwłaszcza dioksyny. Nie będę zaskoczony, jeśli w następnych pięciu latach koszty usuwania odpadów z Linii M wzrosną trzykrotnie.

– To zależy od punktu widzenia, Jack.

– Wywiercimy ten otwór. Nie wykluczam, że uzyskamy handlowe ilości ropy i gazu, być może znajdziemy je nawet na normalnej głębokości. Ale jeśli to się nie uda, a wywiercimy otwór tutaj, wiecie, co będzie naszą nagrodą pocieszenia? Otwór zasilający złożę. I to taki, który schodzi tak głęboko poniżej poziomu wód gruntowych, że będziemy mogli kierować tam odpady od teraz aż do końca świata, a i tak będziemy dobrymi sąsiadami.

– A prawo?

– Nie znam żadnej ustawy – ciągnie gładko – która by tego zabraniała.

Powstaje studium wykonalności. Im dłużej zarząd rozważa pomysł Kernaghana, tym bardziej podoba mu się ta idea. Kilku pracowników obsługujących Linię M nabawia się trądziku chlorowego, nieodwracalnego rozkładu i deformacji skóry wywołanego ekspozycją na

dioksyny, a do tego z Wietnamu nadchodzą niepokojące raporty o żołnierzach, którzy stosują herbicydy produkcji Sweeting-Aldren i skarżą się na bóle wątroby, mięsaki w jelitach i inne, bardziej nieokreślone lęki. Połowa świnek morskich w nieroztropnie zaparkowanym na godzinę przy odparowywaczu Linii M samochodzie dostawczym dostała drgawek, druga połowa zaś zdechła. Ponieważ jedyną metodą na zredukowanie poziomu dioksyn w odpadach jest dwukrotne podwyższenie temperatury reakcji, koszty elektryczności niezbędnej do pompowania odpadów pod ziemię zaczynają wyglądać rozsądnie. A kiedy zarząd przygląda się ściekom z wszystkich innych procesów i zauważa, jak zmienia się atmosfera w sprawie regulacji i opinia publiczna, decyzja zostaje przypieczętowana.

Kernaghan ponownie odwiedza Annę, która w swoim piecu gotuje jeszcze bardziej cuchnącą syntetyczną ropę; w białym fartuchu chemika wygląda jak szwajcarska pokojówka. Pokazuje jej umowę na wynajem urządzeń do wiercenia otworu głębokości ośmiu kilometrów – zlecenie na wykonanie prac, zgodę na pobór energii. Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Czemu trwało to tak długo?

– Będziesz odpowiedzialna za wiercenie. Podnosimy ci pensję o tysiąc.

– Tralalala.

– Masz wyłączne prawo do publikacji. Wyłączne

prawo do próbek rdzenia z najgłębszego otworu we wschodniej Ameryce Północnej.

– Oczywiście bardzo dziękuję, panie Jacku Kernaghanie. Naprawdę. Coś jeszcze?

On się uśmiecha, niezbity z tropu.

– Pewnie nie rozumiesz, że położyłem na szalę dwudziestopięcioletnią wartość moich wpływów, żeby załatwić ci ten papier. Dwudziestopięcioletni bagaż służby na rzecz przedsiębiorstwa.

– To zaczyna być już nudne.

– Nudne? – Unosi umowę na wynajem urządzeń i zaczyna ją przedzierać. Anna nie może się powstrzymać i chwyta go za rękę. Mówi:

– Myślisz, że możesz mnie kupić?

– Powiedzmy, że dowodzę swej miłości.

– Drzesz kontrakt w dowód miłości?

– Jeśli nie ma dla mnie nadziei?

Anna bierze umowę do ręki i czyta ją dokładnie.

– Moje Berkshires. Co się stało z moim Berkshires?

– Zrobiłem, co mogłem.

Na jej biurku stoi zlewka z syntetyczną ropą. Anna zanurza w niej mieszadło z pyreksu i patrzy, jak z czubka przyrządu spływa czarna, kleista maź. Opada w tył, a krzesło chwyta jej ciało i siłą impetu odjeżdża pod ścianę.

– Chcesz wwiercić się w mój otwór? Dobrze! Chcesz mnie dotknąć? Dobrze! Możesz mnie dotknąć. Ale nigdy

tak naprawdę mnie nie dotkniesz.

– Jeszcze zobaczymy.

Anna wstaje i z ustami otwartymi do granic możliwości krąży wokół niego, mówiąc:

– Tralalala.

Śmieje się. Chwyta ją, wsuwa kolano między jej nogi, uruchamia w sobie palące pragnienie, co w przeszłości tak dobrze mu służyło.

– No, dobra – Anna odsuwa się od niego. – Chodząca nieprzyzwoitość ma zręczne kolanka.

Stoi i sapie, rozwścieczony.

– Nie myśl, że nie mogę cię zabić.

– Tralalala – Anna porusza językiem. – Nigdy mnie nie dotkniesz!

I tak się rzeczy miały jesienią 1969 roku. Bob Holland nie potrafił oczywiście zrozumieć, dlaczego Anna traktowała Kernaghana tylko na dwa sposoby – pogardliwy i uwodzicielski – i dlaczego Kernaghan choć przez chwilę znosił to, że tak go lekceważyła, kiedy zasypywała Boba chrapliwymi pytaniami o pracę. „Kochankowie” wymieniali krótkie, uszczypliwe zdania, po czym rywalizowali długo o uwagę Boba – niezmiennie wygrywała Anna. Kernaghan zagłębił się w fotelu i wpatrywał w nią oczami miotającymi promienie nienawiści, minutę po minucie, kiedy Bob opowiadał o historii kraju, a Anna mówiła o swej historii: o wczesnym dzieciństwie w Paryżu, o życiu w północnej

części stanu Nowy Jork, kiedy była dziewczynką, a potem nastolatką. Odwracała twarz od pionowo trzymanego na wysokości ust papierosa, mrużąc oczy i wykrzywiając wargi, kiedy wypuszczała dym prosto do góry. Powiedziała Bobowi, że podobnie jak on miłuje wiedzę dla samej wiedzy, że umysł korporacyjny jest groteskowy i bezduszny, że z miejsca rzuciłaby pracę, gdyby nie pozwolono jej z całkowitą swobodą zgłębiać wiedzy. Powiedziała, że młodzi ludzie mają życie, energię i ideały. Starzy zaś są pozbawieni soków i kochają pieniądze bardziej niż piękno, bardziej niż cokolwiek. A Kernaghan tak zmyślnie potrafił udawać, że gdy nieoczekiwanie odszedł od stołu, jakby z nienawiści do Anny za jej flirtowanie – jakby nie potrafiąc jej powstrzymać – Bob uwierzył, że sam zachowuje się jak ktoś zły, i pospieszył za teściem, nie chcąc być narzędziem, którym torturowała Jacka. Kiedy się odwrócił, ubrana w srebrne lisy Anna stała już z kluczykami do samochodu w dłoni.

Godzinę później, gdy spisywał notatki w swoim pokoju, dotarły do niego jej krzyki, tak głośne, że obudziłyby go, nawet gdyby spał. Nie słyszał samochodu, gdy wróciła.

Rano zastał ich we wschodnim pokoju, palących papierosy przy śniadaniu – znająca się jak łyse konie, trzymająca się za ręce para. Popatrzyli na niego, jakby był wilkiem, o którym właśnie rozmawiali.

Ponieważ ze względu na niedzielę wszystkie archiwa były zamknięte, zabrali go na przejażdżkę. Uzbrowieni strażnicy pozwolili im przejechać przez bramę na teren, gdzie znajdowały się główne instalacje Sweeting-Aldren, a Kernaghan prowadził samochód po alejkach, klucząc z zawrotną prędkością między liniami produkcyjnymi.

– Boli mnie od tego głowa – poskarżyła się Anna.

– Chcę pokazać Bobowi, co tu robimy.

Cała trójka założyła kaski i zwiedziła ciąg technologiczny nowiutkiej Linii AB; w jej paszczę wchodziły etylen i chlorek, a z odbytu wychodziły białe tabletki polichloroku winylu. Cała konstrukcja była orgią metalowych form – dwadzieścia wielkich jak wiejskie domy modułów, które ściśle przylegały jeden do drugiego, obejmowały się i siedziały jeden na drugim, jęcząc każdy na swój własny sposób w termodynamicznej ekstazie, wszystkie z grubymi wyrostkami wbitymi głęboko w otwory ze stalowymi kołnierzami; niekończąca się, niezmienna orgia, celowa i pełna mocy. W takich zakładach chemicy przekształcali czasowniki wyobraźni w rzeczowniki osiągnięć, dodając -acz lub -or albo -ik czy -rka. Były tam mieszarki o pojemności dwudziestu tysięcy litrów, z podwójnymi ramionami, mieszalniki łopatkowe z rozdrabniającymi łopatkami ze stali węglowej, trójścienny główny reaktor zbudowany jak kulturysta Charles Atlas, osiemdziesięcotonowa dwustopniowa chłodziarka, otulony płaszczem obrotowy

mieszalnik do pracy ciągłej, dygocący zasilacz ślimakowy do transportu pyłów, zatężacze dyszowe, parowniki potrójnego działania, pręty wzmacniaczy, suszarka stożkowa o pojemności jedenastu metrów sześciennych, cylindryczny betonowy granulator, wymiennik ciepła z rurami ze stali nierdzewnej i osłoną ze stali węglowej, pionowy skraplacz o powierzchni pięciuset osiemdziesięciu metrów kwadratowych, klasyfikator dwustożkowy i z tuzin sprężarek odśrodkowych. Z tej maszyny dobywała się mieszanina wielu zapachów, które nie kojarzyły się z niczym na świecie. Były jak pochodzące gdzieś z kosmosu idee, docierające bezpośrednio do świadomości, niezakłócone przez atmosferę. Tak mogłaby wyglądać inwazja z kosmosu, kiedy obcy przejmują kontrolę nad umysłem człowieka, kiedy pozornie niewinne coś, ani duch, ani ciało, wypełnia jego zatoki i zaćmiewa mu wzrok...

Bob zdał sobie sprawę, że jest sam. Na Peabody opadał całun deszczu, zamykając widoki na przestrzenie między znajdującymi się wokół instalacjami przemysłowymi, obejmując to miejsce kwarantanną. Kernaghan i Anna stali oparci o przedni zderzak samochodu. Wymieniali spojrzenia. W końcu Anna powiedziała:

– Zastanawialiśmy się z Jackiem, czy masz może jakąś trawkę.

– Trawkę?



– Marihuanę.

Bob się roześmiał. Tak się złożyło, że miał, na Argilla Road. W tych czasach uncja starczała mu na miesiąc.

Jadąc na północ wzdłuż wybrzeża, ze spoczywającą mu na ramieniu ręką Anny, z wciąż świeżą w jego mózgu siłą uderzenia tych ketonów i estrów, widział kamienne ogrodzenia wędrujące przez splątany skarłowaciały las i starał się nie wyobrazać sobie pierwszych osadników w takim krajobrazie. Wiedział, że dopiero w późnym osiemnastym wieku erozja i wielokrotna orka zaczęły zapełniać pola głazami polodowcowymi i że rolnicy, którym już brakowało drewna, zaczęli wznosić kamienne ogrodzenia. I dopiero po zbudowaniu kanału Erie, kiedy dzięki kolei centrum kraju stanęło otworem, w końcu zarzucono uprawę ziemi w Nowej Anglii, a pnie i ciernie zagarnęły na powrót jej pola. Jałowe wody i monotonne lasy z chudymi drzewami bez koron bardziej przywodziły na myśl wiek siedemnasty niż dziewiętnasty; były równie obce, jak estry w jego nosie, jak jej dłoń na jego ramieniu, jej paznokcie na jego karku, jak opuszki jej palców na jego małżowinie usznej.

Sam był chłopcem z lasu, z wciąż dziewiczego lasu w zachodnim Oregonie. Dopiero rok wcześniej, tuż przed ostatnią wizytą u matki, Weyerhaeuser do czysta wykarczował zbocze wzgórza za jej domem, zbierając jednorazowe zyski, i pozostawił ziemię, żeby zgniła w rzece jak pozbawiony futra martwy wilk. Kiedy

następnym razem będzie w domu, zobaczy to wszystko już po „ponownym zalesieniu”: zróżnicowany, mglisty las świerków sitkajskich, choin, cedrów i północnych sekwoi ustąpi miejsca chwastom, mokradłom i identycznym dagleziom, wznoszącym się w geometrycznych odstępach z sypkiej, wyrównanej spychaczem ziemi. Ta sama fala realizacji zysków, która uderzyła w Cape Ann w 1630 roku, nawet w tej chwili przewalała się wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, pozbawiając kontynent resztek dziewictwa.

Anna przycupnęła na skraju sofy, z nogą założoną na nogę, i trzymała jointa jak papierosa, długim czerwonym paznokciem strzepując popiół i wypuszczając dym nosem. Kernaghan nie potrafił zachować powagi. Bardziej niż palenie interesowało go chyba samo trzymanie jointa w ręku, radość związana z tym, co symbolizował, fakt, że było to coś nielegalnego. Im bardziej salon wypełniał się dymem, tym bardziej zamieniał się w widownię taniego kina, jakby kończyła się rolka filmu, wypadały klatki, całe sceny, jakby raz zsynchronizowane, raz niesynchronizowane głosy i twarze, pojawiały się jasne kropki i ciemne zawijasy, pokój podskakiwał, a potem przyjmował pomarańczowy odcień żarówki nowego projektora; Bob widział, że w otaczającym go dotychczas na sferycznym ekranie świecie było za dużo niebieskiego. Szare światło w oknach wyglądało jak światło słoneczne. Troje

naćpanych ludzi tłoczyło się przy lodówce. Unosili kawałki aluminiowej folii, sprawdzając, co zostawił im kucharz. W korytarzu Anna przycisnęła brzuch do Boba, pocałowała go, rozpięła mu guziki przy koszuli i zaczęła cofać się korytarzem, nachylona, a jej dłonie wabiły go, jakby był zwierzakiem, ona zaś chciała, żeby wskoczył jej na rękę.

W Beverly, przy ulicy takiej jak inne, poszedł za nią do jej małego, nieróżniącego się od innych domu. Zmarszczki kurzu na wyściełanych meblach, zdjęcia rodzinne w tanich pozłacanych ramkach, kiczowatość – ten cały zły gust spowodował, że oszalał na jej punkcie i był tak pewien zdobyczy, jak miękkości jej mebli La-Z-Boy, kiedy utonął w fotelu. Wybierała longplaye z mosiężnego stojaka przypominającego suszarkę do naczyń. Kernaghan, którego zostawili w samochodzie, teraz rechotał po krzakach i szpiegował przez okno, a deszcz wił się po glazurze jego łysiny.

Więcej go nie widzieli, ale z pewnością był na tylnym siedzeniu, kiedy wracali na Argilla Road, z pewnością podążył za nimi do domu, chichocząc jak krasnal z bajki, i może nawet przez cały czas obserwował ich w salonie, może w tym kącie, w którym dwadzieścia lat później Rita rozbiła sobie głowę. Patrzył, jak Anna wkłada do zmieniarzki płyt albumy Franka Sinatry, jak zdejmuje bluzkę w tureckie wzory i stanik z silkry, jak białe ciało marszczy się w talii, kiedy się schyla, żeby zdjąć buty na

wysokim obcasie, a potem zsunąć żółtą minispódniczkę ze spandeksu i białe majtki. Patrzył, jak prężą się i zaokrąglają mięśnie ramion Boba, jak napinają się jego młode pośladki, poruszają się jego biodra. Słyszał plaskanie jej ciężkich piersi o jego płaską klatkę piersiową, patrzył, jak szybki oddech wysusza ślinę w kącikach ich ust, słyszał, jak on krzyczy, słyszał, jak ona mu mówi: „On potrafi to robić... tylko z butelkami Dom Pérignon!”. Patrzył, jak on unosi jej biodra z dywanu i ponownie orze ciepłą, wilgotną, drżącą ziemię. Patrzył na wejścia i wyjścia, widząc unoszące się piersi tych dwojga, i jak ich usta układają się pod kątem, tak żeby przykryć się nawzajem, jakby oboje byli podtopionymi pływakami i wzajemnie robili sobie sztuczne oddychanie, patrzył, jak jej ciało podryguje, a jego się kołysze, patrzył, jak on układa się na jej rozwidlających się nogach, patrzył, jak on z poczerwieniałą twarzą nieświadomie łyka powietrze, aż w końcu się napatrzył i mógł już chwiejnym krokiem przejść przez pokój i dotknąć ramienia Boba.

– Bob, Bob, Bob! – powiedział z oczami na wpół przymkniętymi z rozbawienia. Bob ujrzał różowawy czarny przyrząd, nabrzmiatego i skierowanego prostopadle penisa Jacka.

– O mój Boże! – krzyknęła ze śmiechem Anna. – O mój Boże!

Kiedy Bob zakładał płaszcz i buty, słyszał, jak ona

chichocze, piszczy i krzyczy. Chwiejnym krokiem wyszedł na deszcz, przeszedł przez trawnik i przez jałowy, odmieniony las. Czuł zapach dymu palonego drewna i mokrych liści, słyszał wiatr czesany przez tysiące wąskich pni drzew, wodę spływającą z gałęzi i stukającą o śliskie liście na ziemi. Było już prawie Święto Dziękczynienia. Półmrok, wilgotne zapachy i wilgotne dźwięki niczym nie różniły się od tych, które przyprawiły go o dreszcze, kiedy wychodził z domu po drewno na opał, i popędzały go, żeby szybko wracać do środka, gdzie było ciepło i mógł zapomnieć o lamentującym wietrze, opłakującym martwą przeszłość tej ziemi, snującym się po twardych dachach, zazdrosnym o toczące się pod nimi życie. Znalazłszy się tak głęboko w skarłowaciałym lesie, że ciemne cielsko domu Kernaghana niczym już się nie różniło od nocy na horyzoncie, opadł na kolana wśród liści i tak pozostał, aż deszcz przestał padać, głowa mu się oczyściła, niebo zastygło w migoczących kryształach w kształcie Oriona i Perseusza i usłyszał rozrusznik samochodu Anny.

*Kupiłaś jej mieszkanie?*

*Pomogłam jej z kredytem.*

*Och, Melanie.*

*Bob, to był doskonały moment, żeby je kupiła.*

*Ona cię podziwia. Próbuje cię prześcignąć. Przecież wiesz, że nie musisz dawać jej wszystkiego, czego chce. Możesz zamiast tego trochę jej poradzić.*

*Pieniądze są moje i mogę z nimi robić, co zechcę.*

*Mówię tylko, że gdybyś się zastanowiła, dlaczego Lou tak się na ciebie wściekł, łatwo byś się domyśliła. Tylko pomyśl, jak to wygląda w jego oczach. Dlaczego tego nie zrobisz? Tylko o tym pomyśl.*

*Uwierz we mnie. Jestem zdecydowana być wobec niego na dłuższą metę sprawiedliwa. Ale gdybyś słyszał, w jaki sposób ciągle mówi o pieniądzach... Z nim nie da się porozmawiać racjonalnie. Jest taki jak ty. A nawet gorszy. Mówiłam ci, zniszczył mi sofę. Kopnął kryształową wazę z Waterford wprost do kominka.*

*I świetnie.*

*Nie ma najmniejszego pojęcia, przez co przechodzę.*

*Rozumie, że Eileen ciągle od ciebie bierze i bierze, a on sam nic nie dostaje.*

*Bob, nie można ich porównywać.*

*On najwyraźniej uważa, że można.*

*Nie rozumiem tego. Odkąd to wszystko się zaczęło, jest okropny. Po prostu nie spodziewałam się tego po nim. Nosił w sobie urazę.*

*Powinnaś do niego zadzwonić i przeprosić.*

*No nie, proszę. Za co? Za co mam go przeproszać? To ja mam problemy! To ja znalazłam się w potrzasku!*

*Powinnaś do niego zadzwonić i przeprosić. To właśnie powinnaś zrobić, a jeśli tego nie potrafisz, to nie możesz się skarżyć, i nie możesz też się skarżyć, jeśli wezmę sprawy w swoje ręce.*

*Dobrze, proszę bardzo. Ty zawsze wiesz, co należy zrobić. Ty nigdy, przenigdy nie znalazłeś się w sytuacji, kiedy nie jesteś pewien, co zrobić. Dla ciebie wszystko zawsze jest bardzo proste. Wszystko jest proste i miłe. Chciałeś mnie, to się ze mną ożeniłeś. Wiesz sobie to swoje politycznie poprawne życie, a całą resztę pozostawiasz na mojej głowie, bo przecież po to się ze mną ożeniłeś.*

*Ożeniłem się z tobą, bo cię kochałem.*

*Wiem o tym, Bob. Wiem. Nie mów mi...*

*I nadal cię kocham.*

**NIE MÓW MI TEGO.**

*Długa chwila ciszy.*

*Rozdaj to – powiedział w końcu Bob.*

*Co rozdać?*

*Te pieniądze.*

*Tak zrobię. Dam... dużo. Dam... połowę! Ale najpierw muszę je mieć.*

*Rozdaj wszystko, a będziesz szczęśliwa. Odlóż trochę dla dzieci i trochę dla siebie. Odlóż milion, a resztę rozdaj. Będziesz szczęśliwa.*

*Nie mogę, Bob. Nie mogę.*

*Tymczasem w Peabody wiercą otwór w ziemi, ponosząc koszty pracy, urządzeń i energii mniej więcej na poziomie pięciu tysięcy dolarów dziennie. Anna zabiera próbki rdzenia, gdy tylko zostaną wydobyte na powierzchnię, i przechowuje je w chłodzonym budynku, żeby materiał się nie utleniał. Na budynku założyła*

własną kłódkę. Za żadne skarby nie odróżniłaby łupka od skalenia, ale próbki są wyłącznie jej własnością, żeby mogła je badać i wykorzystać, a ona myśli tylko o jednym: g ł ę b i e j, g ł ę b i e j, g ł ę b i e j. Nadal uważa, że tam w dole jest ropa albo przynajmniej metan. Ale coraz częściej zdarzają się opóźnienia i awarie, w miarę jak wiertło przegryza się przez poziom tysiąca pięciuset metrów. Otwierająca nowe zakłady konkurencja zaczyna uszczuplać wojenne zyski Sweeting-Aldren. Po osiągnięciu przez otwór głębokości położonej zdecydowanie poniżej poziomu wód gruntowych, aż za dużej na składowanie odpadów, zarząd uznaje, że nadszedł czas, by zaprzestać dalszego finansowania. Kernaghan zdaje sobie jednak sprawę, że Anna odejdzie z firmy, jeśli zbyt wcześnie zakończą wiercenie. Groźbami, podstępem i pochlebstwami nakłania Aldrena seniora do finansowania wierceń przynajmniej do końca 1970 roku.

Rita nie może tego pojąć. Taka atrakcyjna i dumna laska jak Anna z cierpiącym na impotencję kozłem? Nie ma wątpliwości, że Kernaghan musiał w jakiś sposób kupić sobie tę dziewczynę. Ale mijają miesiące, a Anna nie zostaje awansowana, nie wyprowadza się ze swojego obskurnego bunkra w Beverly, jeździ tym samym starym fordem. Podejrzenia mogą budzić pewne ciężkie klejnoty, ale Rita jest przekonana, że ta dziewczyna jest zbyt sprytna, żeby sprzedać się za jakies kolczyki czy



wisior z brylantem.

– Ona nie cierpi tego gościa – zdradzają Ricie pracujący z Anną naukowcy.

– Ale z nim sypia.

– Ma nad nią moc – mówią tajemniczo, co oznacza, że zupełnie nic nie wiedzą.

Rita sama wybiera się do Anny.

– Kocham go namiętnie – mówi Anna, śmiejąc się Ricie w twarz; Kernaghan opowiedział jej o Ricie wszystko. – A on za mną szaleje.

– To dlaczego za niego nie wyjdiesz?

– A co mi po małżeństwie? On chce mieć kobietę, która k i c h a na pieniądze.

Rozmowa z Anną podsyca żar zazdrości Rity, ciepły blask zmienia w biały, wyraźny płomień. Jej myśli kierują się w stronę wielkiej wieży wiertniczej zwanej Linia F2, którą zarząd kazał ogrodzić wysokim, nieprzejrzywym płotem i którą Anna codziennie odwiedza. Rita zaczyna węszyć, podsłuchiwać rozmowy telefoniczne, otwierać zakazane szuflady, szukać kluczy do niepilnowanych szaf na dokumenty. Im więcej się dowiaduje, tym łatwiej jej czytać między wierszami notatek, odczytywać mrugnięcia swoich szefów i odszyfrowywać uwagi, jakie wymieniają na korytarzach. Składa w całość szczegóły „badawczej inicjatywy” Anny.

Jest środek zimy, odwiert ma już pięć i pół tysiąca metrów głębokości, kiedy Rita przychodzi do biura Anny

z dwoma egzemplarzami dokumentu zawierającego poufne informacje. Podaje jej jeden z nich.

– Poznajesz to?

Anna, znużona:

– A jeśli tak, to co?

Rita podaje jej drugi dokument, identyczny jak ten pierwszy – oba to kopie przeznaczone dla pracowników szczebla kierowniczego i Anny Krasner, pracownika naukowego, które następnie powinny zostać przez nich zniszczone – tyle że widniejące na egzemplarzu otrzymanym przez Annę słowa „głęboki otwór eksploracyjny” na drugim są zastąpione słowami „głęboki otwór do składowania odpadów”.

Anna wzrusza ramionami.

– I co z tego?

– No cóż, moja droga, wygląda na to, że twój ukochany chłopczyk nie wywiercił twojego otworu, bo cię kocha. Wywiercił go, żeby w niego pompować odpady. Wydaje mi się, że strasznie tanio cię kupił. Nie sądzisz? Kupił cię za cudze pieniądze. Twoje marzenie to dla niego tylko kanał ściekowy.

Anna ponownie wzrusza ramionami. Ale tydzień później nie pojawia się w pracy, a dozorca odkrywa, że jej biurko jest opróżnione. Krasner po prostu znika gdzieś w szerokim świecie, o którego istnieniu Boston czasami zapomina. A Kernaghan może tylko się domyślać, dlaczego od niego odeszła. Ma pewne podejrzenia wobec

Rity, ale kiedy do niej przychodzi, ona, choć daleka od tego, żeby czuć się pomszczona, jest ostrożna i nie triumfuje.

Przedsiębiorstwo bezzwłocznie demontuje wieżę wiertniczą i instaluje stację pomp. W ślad za ustanowieniem Dnia Ziemi, Kongres i Nixon zaczynają zmierzać do powołania ciała zarządzającego ochroną środowiska i wprowadzenia ustaw o czystym powietrzu i czystej wodzie. Kernaghan sugeruje, żeby program pompowania zachować w tajemnicy, ponieważ (a) wiercono bez pozwolenia, (b) zważywszy na panującą aktualnie histerię na punkcie ekologii, społeczeństwo może się zaniepokoić, kiedy się dowie, że do wnętrza Ziemi pompowane są wysoce toksyczne odczynniki chemiczne, niezależnie od tego, jak bardzo bezpieczny byłby to w rzeczywistości proces. Kończąca się na pracownikach zatrudnionych przy samym procesie pompowania hierarchia służbowa zostaje starannie porozrywana, tak że tylko ścisła dykcja zna prawdę i wszyscy jej członkowie, z wyjątkiem jednego, pozostawili sobie furtki, by w razie czego móc się wszystkiego wyprzeć. Kierowników i pracowników zajmujących się strumieniami odpadów informuje się, że płyny pompowane w F2 przechowuje się czasowo w podziemnym zbiorniku albo że są nieszkodliwe.

W przeddzień siedemdziesiątych drugich urodzin Kernaghana, w dniu jego przejścia na emeryturę, kiedy

firmowy program przyszłego zagospodarowania odpadów jest gotowy do wdrożenia, u jego drzwi staje Rita. Śledziła, jak spisek się rozwijał, dokumentując każdy jego etap. Jest sekretarką jednego z zaangażowanych w to wszystko szefów – może nawet samego Aldrena seniora. Przyszła do Kernaghana, by go szantażować.

– Daj spokój – przerwał Louis. – Nie szantażuje się człowieka, żeby się z nim pobrać. Nie chciałbyś wyjść za gościa, który cię nienawidzi.

– A ktoś wspominał o małżeństwie? Rita stara się go zaszantażować, kropka. Chce od niego tych wszystkich pieniędzy, których nigdy jej nie zapłacił za okazane mu przez nią względy. Pokazuje mu listę posiadanych dokumentów i stwierdza: „Daj mi tyle a tyle, bo jak nie, to traficie do więzienia”. Pamiętaj, że mówimy o kobiecie, która później oszukała bank. A kiedy Kernaghan widzi, że Rita mówi to zupełnie poważnie, wybucha płaczem, autentycznym, bo jest tak zmęczony, bo stracił Annę, a do tego się boi. Mówi: „Rito, proszę, jestem już starym człowiekiem, najlepsze chwile życia spędziłem z tobą, zostanemy przyjaciółmi”.

– Ale ona jest podejrzliwa.

– Oczywiście, że jest podejrzliwa. Trudno jednak widzieć wyraźnie, kiedy całkowicie kontrolujesz sytuację. Pada przed nią na kolana i prosi, żeby za niego wyszła. Śmieje się, płacze, jest obłąkany. Znajduje się absolutnie

w jej mocy, a ona jest kobietą. Nie potrafi zdobyć się na to, żeby wbić mu nóż w plecy.

– Zaczekaj, nie możesz twierdzić, że najważniejsze było dla niego to, jak kobieta wygląda i ile ma lat, a potem mówić: „No tak, zrobił jednak wyjątek dla brzydkiej, starej Rity”. Skoro chodziło jej o pieniądze, a nie o małżeństwo, dlaczego jej nie przekupił?

– Bo on równie mocno kocha pieniądze! Rozważa problem i postanawia się z nią ożenić. Jeśli się z nią ożeni, zmusi ją do milczenia i nic go to nie będzie kosztować. Zatrzyma pieniądze i dalej będzie mógł ganiać za spółniczkami. A do tego to małżeństwo na dłuższy czas zagwarantuje mu jej milczenie. I dlatego to odpowiednia decyzja. Biorą ślub i on natychmiast zaczyna zamieniać cały swój portfel inwestycyjny na akcje Sweeting-Aldren, chcąc dopilnować, żeby Rita została już z tym na amen. Kiedy umrze, testament uzależni wysokość zasiłku, który będzie otrzymywać Rita z funduszu powierniczego, od dywidendy firmy: gdyby zaatakowała Sweeting-Aldren, natychmiast uderzyłoby ją to po kieszeni. Prawdopodobnie Kernaghan dopilnowuje, żeby dowiedział się o tym przynajmniej Aldren. I wtedy Rita jest już uziemiona na amen. W pewnym sensie dziedziczy całą jego fortunę – z pewnością postarała się o gwarantującą jej to przedślubną umowę – ale on nie pozwala jej przejąć nad nią kontroli. I stąd te skądinąd wariackie warunki, że p o w i e r n i c y m u s z ą

pozostawić aktywa zainwestowane w Sweeting-Aldren. To nie dlatego, że jest tak szalenie oddany firmie. Na to Kernaghan jest zbyt mądry. Chodzi o to, żeby zemścić się na Ricie.

– A mama musi za to zapłacić.

– Zazwyczaj płacą kobiety, tak czy inaczej.

Kernaghan zmarł w 1982 roku na atak serca we śnie. Przeżył osiemdziesiąt lat w dobrym zdrowiu, przez sześćdziesiąt lat palił papierosy i umarł bez bólu czy strachu. Kiedy już odszedł, a Rita odkryła, jaki podły numer wykreślił jej z testamentem, zniewoliła jego ducha. Musiał dla niej stukać w stoły, wysyłać optymistycznie brzmiące wieści na temat innego świata, literując za pomocą sunącej po stole odwróconej szklaneczki, i, co akurat było najtrudniejsze, zamieszkiwać ciała zwierząt. W jednym tygodniu potrafiła patrzeć w oczy retrievera sąsiadów i mówić do niego, jakby był jej głupiutkim mężem; w następnym Jack mógł być kręcącą się za kuchennym oknem sójką błękitną. „Znowu wyprawia te swoje stare figle” – mawiała, zadowolona z siebie. W każdym razie jej haitańska służąca wierzyła, że Rita została zrzucona ze stołka barowego, bo duch Jacka nie mógł już dłużej znieść maltretowania.

Kobieta obdarzona mniejszą wyobraźnią niż Rita, kobieta, która nie potrzebowałaby gigantycznej piramidy na dachu czy autentycznej egipskiej mumii w piwnicy, żyłaby zupełnie komfortowo z dywidendy z akcji

Sweeting-Aldren. Przemysł chemiczny odczuł pewien spadek koniunktury w latach siedemdziesiątych i na początku lat osiemdziesiątych, firmy Sweeting-Aldren dotyczyło to jednak w mniejszym stopniu niż innych. Nie tylko nie musiała wydawać dziesiątków milionów na zwalczanie zanieczyszczeń i przerób odpadów, ale była też w stanie podzielić się częścią tych oszczędności ze swoimi klientami, dzięki czemu stale sprzedawała taniej niż konkurencja na wschodnim wybrzeżu. Pompa przy F2 pracowała bez żadnych zakłóceń i starsze pokolenie kierownictwa zupełnie o niej zapomniało, a młodsze nigdy się nie dowiedziało. Przypominało to gospodarke narodową, która na powrót rozhulała się w połowie lat osiemdziesiątych. Kraj pożyczył trzy biliony dolarów na zakup broni i sfinansowanie gigantycznego skoku w stylu życia bogatych. Argumentowano, że gdy gospodarka się rozwinie, wpływy z podatków wzrosną i dług się spłaci. Ale dług publiczny wzrastał z roku na rok.

W 1987 roku magazyn „Nature” opublikował pierwsze ostrzeżenie. Pod Peabody, na własnym podwórku Sweeting-Aldren, zaczyna trząść się ziemia. To nie przypadek. Od początku była to tylko kwestia czasu. Pan X, członek kierownictwa formalnie odpowiedzialny za gospodarke odpadami, ten sam, któremu nie pozostawiono możliwości wyparcia się wszystkiego, kiedy sprawa była ustalana w 1972 roku, jak przez mgłę

przypomina sobie ideę indukowanej aktywności sejsmicznej. Drgania trwają. Strapiony Pan X udaje się do swojego szefa, Aldrena juniora, i stwierdza, że trzeba przerwać pompowanie.

Aldren junior, chłodny jak stal, mówi:

– Jakie pompowanie?

– Sandy, chodzi o pompowanie na F2. O nasz główny strumień odpadów.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odpowiada Aldren junior. – Powszechnie wiadomo, że ta firma spala i utylizuje wszystkie odpady.

– Żarty na bok, Sandy, trzy kilometry stąd wywołujemy serię pieprzonych trzęsień ziemi.

W najlepszym z możliwych momentów ich biuro zaczyna drzeć i słyszą odległy huk, jakby z artyleryjskiego poligonu.

– Ufałem ci, X – mówi Aldren junior. – Byłeś gościem światowej klasy, takim na szóstkę. A teraz sugerujesz, że nasze koszty usuwania odpadów trzykrotnie wzrosną? Nie sądzę, żebym pozostał prezesem, jeśli dojdzie do czegoś takiego. A jestem osobiście zainteresowany tym, żeby nim pozostać. To stanowisko wiele dla mnie znaczy, pod-względem-poczucia-własnej-wartości.

– Sugeruję, że musimy się liczyć z małym nagromadzeniem odpadów. Taki mały, przejściowy niby-problem. Żebyśmy zawczasu mogli poczynić krótkoterminową inwestycję w lepszą spalarnię



i recykling. Albo to, albo należy rozważyć jakąś poważną konstrukcję w rodzaju zbiornika magazynowego.

Aldren junior bardzo powoli kręci głową.

– To, co słyszę – mówi – to kwoty rzędu dziesiątków milionów. Słyszę tu o rujnujących, długoterminowych inwestycjach kapitałowych. I to teraz, kiedy niemal czuję na karku oddech Hiszpanów. Czuję ten cholerny czosnek, X! Wiesz, co oni robią z odpadami? Sikają nimi prosto do oceanu w Kadyksie. Ich tankowce wypełniają tym swoje wnętrzości, płyną na środek Atlantyku i srają tym wprost do morza. A to, co najgorsze, pakują w plastikowe beczki i wysyłają do Gabonu i pieprzonego Kamerunu. I z tym muszę rywalizować. Już tylko rywalizować. Zaciekle walczyć, żeby w ogóle rywalizować. Słyszysz, co mówię? Być może czeka mnie wylot, a ciebie zasiłek dla bezrobotnych i wysokie grzywny, a także potencjalna odsiadka w Allenwood.

Pan X słyszy to wszystko. Przerywa pompowanie. Korzystając z niewielkiego budżetu, jakim dysponuje do przerobu odpadów, stawia zestaw ogromnych, lichych zbiorników na należącym do firmy terenie w pobliżu Lynnfield i tam składowe najniebezpieczniejsze ścieki. Pozostałej części odpadów pozwala powoli przesiąkać do morza i powietrza, licząc na to, że dzięki dobrym układom, jakie firma ma z Agencją Ochrony Środowiska, nie zostanie przyłapany na tym procederze. Przez kilka lat, jak naród starający się przynajmniej w pewnym

stopniu zachowywać się odpowiedzialnie, nie wznawia pompowania; i przez kilka lat ilość zmagazynowanych ścieków wciąż rośnie, podobnie jak dług publiczny. Aż w końcu dochodzi do naturalnego wzbudzenia aktywności sejsmicznej w pobliżu Ipswich i roztropność pana X przegrywa z jego obawami: poleca wznović pompowanie. Jeszcze tylko pół dekady bez katastrof sejsmicznych i będzie mógł przejść na pełną emeryturę, lata spędzać w Nantucket, zimy w Boca Raton, rankiem grać w golfa i dokładnie o piątej pić pierwszy manhattan. Jeszcze tylko pięć latek! Teraz już nie będzie odwrotu. Zaciśnie kciuki, zamknie oczy i będzie się modlił: „Boże, niech to spadnie na barki kogoś innego”.

W białym świetle poranka, albo raczej wczesnego popołudnia, Bob odłożył pustą butelkę po whisky do oznaczonego napisem „czyste szkło” pudła na segregowane odpady, między „miękki plastik” i „aluminium”, i wlał sok pomarańczowy do miseczki z płatkami Cheerios. Za oknem pszczoły zapylają fioletowe osty. Koty chłodziły się w piwnicy. Otworzyły się drzwi na piętrze i po chwili pojawił się Louis, gniewnie marszcząc brwi przed światłem. Na twarzy miał czerwone ślady od poduszki – zwodnicze hieroglify snu, które, jak każdego ranka, nic nie oznaczały, tyle że za każdym razem w inny sposób.

– Dzwoniłeś do niej?

Bob nie odpowiedział. Zgarnął łyżką płatki

z opuszczoną głową, podczas gdy Louis przeszukiwał lodówkę, napił się pozbawionej gazu wody sodowej o smaku wiśniowym i stanął ze skrzyżowanymi ramionami, jak rodzic, któremu wyczerpała się cierpliwość.

– Chcesz, żebym to ja do niej zadzwonił?

– Mogę skończyć śniadanie?

Louis stał jeszcze przez chwilę, wciąż ze skrzyżowanymi ramionami. Wyszedł z pokoju w nieznośnej ciszy.

Bob odsunął od siebie miseczkę z płatkami. Korzystając z uprzejmości pracownicy informacji, zaczął obdzwaniać wszystkie osoby o nazwisku Krasner w Albany. Przy czwartej próbie usłyszał głęboki damski głos z rosyjskim akcentem; nawet nie pytając, rozpoznał głos matki Anny.

– Nie. Nie – powiedziała. – Nie ma jej tu. Jest za granicą.

– Czy mogę prosić o jej numer telefonu?

– Proszę powiedzieć, c z e g o pan chce?

Bob przedstawił jej okrojona wersję prawdy.

– Ona n i c nie wie o Sweeting-Aldren – oświadczyła madame Krasner. – N i c. Nie dam panu jej numeru.

– A może pani przekazać jej mój numer?

– Kim pan jest? Proszę mi powiedzieć, kim pan jest.

C z e g o pan chce, proszę powiedzieć.

– Byłem jej dobrym znajomym.

– Hm, ona ma wielu dobrych znajomych. Mieszka w Londynie. Ma wspaniałego męża. Trójkę dzieci. C z e g o pan chce, czego ona nie ma? Nie. Nie. Nie dam panu jej numeru. Niech pan pyta gdzie indziej.

– Czy może pani przekazać jej mój numer?

– Mieszka w Londynie. Jej numeru nie ma w książce telefonicznej. Bardzo mi przykro.

Bob tarł się za włosy. Po chwili madame Krasner podała mu numer Anny.

– Bardzo drogie połączenie – powiedziała. – Nie tak, jak dzwonię tutaj. Bardzo drogie. Rozumie pan, ona ma p i e n i ą d z e. Och, ona ma, ma pieniądze. Co pan może dać, czego ona nie ma?

W Londynie było popołudnie. Przez okna jadalni Bob widział Louisa stojącego pod sosnami, jasne słońce kładło mu za szklami okularów cienie na oczach. W dziurkach mikrofonu telefonicznej słuchawki widać było szminkę Melanie. Wybrał numer i po trzech sygnałach telefon odebrała sama Anna. Przedstawił się, a ona odparła:

– Kto taki?

– Bob Holland.

– Ach, tak. Jak się masz, Bob?

– Anno, posłuchaj, próbuję się dowiedzieć, czy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku firma Sweeting-Aldren wierciła bardzo głęboki otwór. Pamiętasz może coś takiego?

Długo nic nie przerywało ciszy szumiącej po drugiej

stronie linii i zaczął już myśleć, że nikogo tam nie ma. Gdzieś w tle tego szumu skrzeczały całe serie upiornych sygnałów. Na jednym czy na drugim kontynencie raz, dwa razy zadzwonił telefon. Po chwili usłyszał wybuch śmiechu, męskiego czy kobiecego, towarzyską wrzawę, gdzieś blisko Anny.

– Przepraszam, Bob – odezwała się. – Czego chciałeś się dowiedzieć?

Powtórzył pytanie. Ponownie cisza i ponownie wybuch śmiechu.

– Ja... ja naprawdę nie wiem, Bob. Ja... nie mogę odpowiedzieć na to pytanie – stwierdziła Anna.

– Co to znaczy, że nie możesz na nie odpowiedzieć? Sądzisz, że mógł tam być otwór?

– Bob, mamy gości. Bardzo cię przepraszam.

– Czytałem twój artykuł – powiedział. – Wiesz, że był tam odwiert. Pompowali w niego odpady i wywoływali trzęsienia ziemi. Musisz mi powiedzieć, co wiesz. Nie powołałam się na ciebie, ale musisz mi powiedzieć.

– Bob, naprawdę muszę się rozłączyć.

– Tylko powiedz: tak czy nie. Był odwiert?

– Przykro mi.

– Dlaczego nie chcesz mi odpowiedzieć? Wolisz rozmawiać z prasą? Albo z policją?

Szum w telefonie ustał; mówił do głuchego telefonu. Ponownie wybrał numer.

– Anno...

– Bob, jestem zajęta i nie chcę z tobą rozmawiać. – Jej głos był ostry, opanowany, gniewny. – Lepiej do mnie nie dzwoń.

– Tak czy nie? Proszę.

– Przykro mi, Bob. Muszę iść.

– Anno...

– Żegnaj, Bob.

# **IV**

## **Na plusie**

## 14.

W nagrodę za uzyskanie dyplomu MBA i w ramach pocieszenia, że musiała rozpocząć pracę w Bank of Boston, Eileen pojechała z Peterem na wakacje na Lazurowym Wybrzeżu. Na lotnisku w Nicei wynajęli peugeota, a potem byli zachwyceni w Monako, lekceważeni w Cannes, pijani w Saint-Tropez i bezboleśnie pozbawiani gotówki w mniejszych miejscowościach po drodze. Przynajmniej raz dziennie spotykali niedawnych kolegów z klasy Eileen. Wspinali się na wzgórze po kocich łbach, mijając sklepiki z suszoną lawendą, z furkoczącymi i trzepoczącymi na mistralu prowansalskimi chustami, i docierali do otoczonych kawiarenkami rzymskich ruin, gdzie z roziskrzonych w słońcu aluminiowych krzesełek podnosił się chór dźwięcznych żeńskich głosów: „Eileen! Eileen!”. Peter tylko zaciskał zęby i mruczał pod nosem: „Jezu Chryste”, i przewracał oczami skrytymi za ray-banami, bo uważał, że Amerykanie we Francji powinni być wyłącznie niemymi kameleonami, Eileen natomiast natychmiast wkraczała w cień plastikowego parasola Cinzano lub Pernod, pod którym siedzący z zaciśniętymi ustami chłopcy – dokładnie tak jak Peter – spoglądali zza swoich ray-banów na odległe cyprysy i lazurową zatokę, dziewczyny z przejęciem wymieniały informacje na temat tego, kogo z ich klasy już zdążyły zobaczyć



(ostatecznie Eileen spotkała lub usłyszała o wszystkich trzydziestu pięciu kolegach i koleżankach, tego roku Lazurowe Wybrzeże było bowiem bardzo popularną nagrodą dla studentów, którzy uzyskali MBA na Harvardzie), a tymczasem Peter, przeszedłszy na drugi kraniec placu, opalał się na marmurowym bloku ociosanym przez rzymskich niewolników.

Peter rzeczywiście wyglądał bardzo europejsko, a Eileen wiedziała, że dobrze mówi po francusku. Kiedy siadali w kawiarence i podchodził do nich kelner, Peter podnosił wzrok, ale choć jego wargi lekko się poruszały, nie wydobywał się spomiędzy nich żaden dźwięk, a kelner, nie będąc jasnowidzem, odwracał się w stronę Eileen, która mówiła: „Uncaffay pour moi, ay oon Pernod pour lum”, po czym, kiedy kelner już odszedł, zwracała się do Petera piskliwym ze złości szeptem: „Sam musisz mu powiedzieć, czego chcesz!”. Na te słowa jego twarz zastygała w uśmiechu tak zawziętym, kpiącym i przerażonym, że ostatecznie robiło jej się go żal. Całowała go w ucho, mierzwiła mu włosy, głaskała udo i mówiła, że go kocha. Zapadała cisza, na co jej twarz pochmurniała.

– Kochasz mnie?

Szczerzył zęby w jeszcze zacieklejszym uśmiechu, nachylał się przez stół i chociaż niekoniecznie tego chciała, całował ją z języczkiem, nadal nie odzywając się ani słowem, odkąd usiedli przy stoliku.

Po południu chodzili na plażę. Tam zawsze pojawiała się pytanie: powinna czy nie powinna? Była wyspą pochodzącej z przedmieść Chicago skromności na morzu eurociał – normandzkie sutki, ocienione zwisającym belgijskim tłuszczem belgijskie genitalia, drobne i drżące holenderskie piersi, nieobrzezane paryskie penisy, którym się przyglądała z ukradkową i bezwonną fascynacją. Peter wsparł się na łokciach, przyjmując pozycję półleżącą, i ponad spodenkami do surfowania i opalonymi palcami u nóg patrzył na szmaragdowe fale, kiedy ona próbowała podjąć decyzję.

– Zrobię to – powiedziała w końcu.

Peter ziewnął.

– Mówiłaś tak wczoraj.

– Tak, ale dzisiaj to zrobię.

Wpatrywał się w fale.

Sięgnąwszy obiema rękami za plecy, chwyciła za pępek stroju kąpielowego. Siedziała tak przez pięć sekund.

– Powinam to zrobić?

– Zastanów się dobrze – odparł. – To ważna decyzja.

Wyduła wargi.

– Nie zrobię tego.

Patrzył w fale. Sypnęła w niego piaskiem. Otrzeptał się delikatnymi, lekkimi ruchami palców, jakby jego skóra była płytą, którą bał się porysować. Kiedy ponownie spojrzął na Eileen, siedziała wyprostowana na ręczniku,

z podbródkiem zwróconym w stronę słońca, a obok niej na piasku leżała góra jej stroju. Prawie się do siebie nie odzywali, dopóki nie wrócili do hotelu, ale tam już zapamiętałe obmacywał i ścisnął jej ciało. Lizał jej piersi i gramolił się na nią, dygocząc z pożądania jak pies, a ona uśmiechała się do sufitu, niezdolna wyobrazić sobie większej satysfakcji.

Następnego popołudnia oznajmiła:

– Nie zamierzam tego robić.

Biały, oślepiający blask chromowanych części samochodu, łyżeczek w kawiarni i ray-banów pewnej osoby już od śniadania wwierał się w jej głowę. Hotelowe łóżko było rozgrzane i przepelnione wydychanymi oparami alkoholowymi; a do tego była prawie pewna, że nabawiła się infekcji dróg moczowych.

– Jak chcesz – odparł Peter, wpatrując się w fale.

Obgryzała paznokiec i mrugała posępnie. Podobnie jak matka, niezależnie od stopnia zmęczenia posiadała bezgraniczne zasoby energii do niepodejmowania decyzji.

– A myślisz, że powinnam?

W Ameryce Peter był specjalistą od zakupów, namiętnie na nie chodził, dużo lepiej niż Eileen wiedział, jak może się zachować połączenie poliestru z bawełną w stosunku 70/30, i z większą cierpliwością maszerował od sklepu do sklepu, dopóki nie pojawiła się idealna koszula czy buty. Ale w Europie zakupy uważał jedynie za

najgorszy z wielu sposobów demaskowania się. Gdy Eileen wchodziła do sklepu, czekał całą minutę, zanim podążył za nią, a potem przyklekał obok drzwi, gdzie zawiązywał i poprawiał sznurówki, jakby wszedł tu tylko dlatego, że mu się rozsypały. Przerzucał strony francuskojęzycznych wydań przewodników (uważał, że dzięki temu wygląda na Francuza). Kiedy Eileen zadawała mu wprost pytania, patrzył zza ray-banów obojętnym wzrokiem, jakby jej nie poznawał. Wyglądał przez otwarte drzwi sklepu, jakby każdy Francuz, który tylko wszedł przez takie drzwi, natychmiast myślał o wyjściu (ale sklepy często były pełne Francuzów oglądających tandetne pamiątki i doszukujących się ich związków z historycznymi bitwami czy antropologią Prowansji, a do tego bardzo rozrzutnych).

– W porządku – mruzczał pod nosem, ze wzrokiem wbitym w drzwi, komentując pomysł na prezent.

– Nawet na to nie spojrzales!

– Ufam twojemu gustowi – mówił, nie poruszając ustami, ze wzrokiem wbitym w drzwi.

Eileen miała prawdziwy problem z prezentem dla Louisa. Kiedy na początku miesiąca podejmowała brata i jego dziewczynę musakę, nie wspomniała o tym, że wraz z Peterem wybierają się do Francji. Notorycznie unikała informowania Louisa o swoich planach i dokonywanych zakupach nieruchomości; zawsze miała nadzieję, że on nigdy o tym nie usłyszy, niemniej

oczywiście wiedziała, że wszystkiego się dowie. Dowie się, że kiedy on szukał pracy i pocił się w Somerville z dziewczyną, którą Eileen osobiście uważała za zdecydowanie dla niego za starą, jego siostra ucztowała przy fantastycznej pięciodaniowej kolacji na południu Francji. Dlatego też czuła się w obowiązku przywieźć mu z wakacji coś ładnego. A jednocześnie już teraz sobie wyobrażała, że cokolwiek kupi, brat i tak wprawi ją w zakłopotanie, bo w końcu przecież mieszkał we Francji.

– Koniak? – zaproponował Peter.

– To musi być coś z Prowansji.

– Wino – stwierdził Peter.

– Muszę się nad tym zastanowić. Muszę pomyśleć.

Ale dni mijały w coraz szybszym tempie, z południa robiła się dziewiąta, z dziewiątej południe, a jej się to nie udawało. W końcu, w drodze na lotnisko w Nicei, wpadła do domu towarowego i kupiła Louisowi wielki nóż.

W ich mieszkaniu w dzielnicy Back Bay czekała na nią na automatycznej sekretarce wiadomość od brata z informacją, żeby zadzwoniła do niego na stary numer. Niemiała osoba w jego starym mieszkaniu podała jej nowy numer, a kiedy go wykręciła, okazało się, że telefon należy do koleżanki Louisa, Beryl Slidowsky, u której jak powiedział, od kilku nocy sypiał na sofie.

– Co się stało z Renée? – zapytała Eileen, bardziej

niewinnie niż złośliwie, chociaż tak naprawdę nie odczuła żalu, słysząc, że nie mieszka już z tą dziewczyną.

– Pracuję nad tym problemem – odrzekł Louis.

– Aha. Próbujecie zejść się z powrotem?

– To ja próbuję ją odzyskać.

– Aha, w takim razie... powodzenia.

Louis powiedział, że u Beryl czuje się jak piąte koło u wozu. Zastanawiał się, czy nie mógłby wpaść na kilka dni do nich, do Back Bay. Tak czy owak, powiedział, nie potrwa to długo.

– Hm – odparła Eileen – chyba tak. Ale jeśli ty i Peter się nie dogadacie, nie będzie to raczej zbyt miłe.

– Zaufaj mi – stwierdził Louis.

Przyjechał do nich wieczorem tego dnia, kiedy po raz pierwszy poszła do pracy w banku. Czekaając na Petera, który jeszcze nie wrócił z pracy do domu, wypła już pół butelki Pouilly-Fumé. Wpuściwszy Louisa do mieszkania, natychmiast się cofnęła i ruszyła w tył na uginających się nogach, jakby podłoga nagle zaczęła opadać. Nie mogła uwierzyć, jak bardzo jej brat się zmienił przez trzy tygodnie. Jak zawsze ubrany był w czarne dżinsy i białą koszulę, ale wyglądał na wyższego, starszego i szerszego w ramionach. Włosy ściął tak krótko, że na głowie zostało mu tylko coś ciemnego i aksamitnego, a do tego z niewiadomego powodu był bez okularów. Policzki miał wymizerowane i ciemne od tygodniowego zarostu, a oczy, pod nieobecność soczewek, zapadnięte

i błyszczące, podkrążone szarymi atłasowymi półkolami zmęczenia.

– Tę opaleniznę złapałam we Francji – odezwała się Eileen nieco zbyt podniesionym głosem. Była to pierwsza rzecz, jaka przyszła jej do głowy.

– Tak, słyszałem, że tam byliście – odpowiedział Louis, nie wykazując żadnego zainteresowania tym tematem.

– Co się stało z twoimi okularami?

– Ktoś na nie nadepnął.

– Jadłeś kolację?

– Jeśli ci to nie przeszkadza – powiedział – wolałbym teraz zająć się swoimi sprawami. Mogę wyjść później.

Była już jedenasta, a on wciąż nie opuścił pokoju. Eileen zostawiła w łóżku oglądającego wiadomości Petera i zastukała do drzwi drugiej sypialni. Louis, bez koszuli, siedział nisko pochylony nad biurkiem i pisał coś w notesie. U góry strony odczytała słowa „Droga Renée”. Nawet nie próbował ich ukryć.

– Przywiozłam ci coś z Francji – odezwała się. Zmęczenie po długiej podróży samolotem, wypite wino i przerażenie towarzyszące przekoleniom pierwszego dnia w pracy spowodowało, że oczy miała podpuchnięte, a jej skóra była czerwonawa. Podała Louisowi pudełko z nożem.

Zmarszczył brwi.

– Bardzo ładny. To na mnie?

– To do kuchni. Musisz zapłacić mi centa. To taki przesąd. Musisz mi za to zapłacić albo przyniesie ci pecha.

Posłusznie i niespiesznie wyjął monetę z kieszeni i wyciągnął rękę w jej stronę. Ale ona odwróciła się ku rozkładanej sofie. Patrzyła na mały nylonowy worek marynarski Louisa, którego rozmiar pokazywał, co jej brat posiadał i co miało dla niego jakieś znaczenie.

– Naprawdę jesteś załamany z jej powodu, co?

– Tak – odrzekł Louis.

– Powiesz mi, co się stało?

– Chyba nie.

– Chciałbyś, żebym coś zrobiła? Mogę spróbować z nią porozmawiać, jeśli chcesz.

– Nie ma takiej potrzeby.

Skinęła głową, choć wyglądało to raczej tak, jakby jej ciężka głowa po prostu opadła. Ze wzrokiem wbitym w podłogę powiedziała cichym, drżącym głosem:

– Sam wiesz, jesteś przeuroczy, Louis. Wiele dziewczyn uważa, że jesteś niesamowicie uroczy. A do tego jesteś mądry i niezależny, silny, interesujący i możesz zrobić, co tylko przyjdzie ci do głowy. Mnóstwo dziewczyn chciałoby się z tobą umówić. Wyjedziesz znowu do Europy i nabierzesz pewności siebie. Czeka cię dobre życie. Wiesz o tym? – Rzuciła mu oskarżycielskie spojrzenie. – Kiedyś było mi cię żal. Ale to się zmieniło. Wiem, że jesteś załamany z jej powodu, ale wcale nie jest



mi przykro. Po prostu myśl, że będzie dobrze. No wiesz, chyba mam nadzieję, że ją odzyskasz, ale jeśli ci się nie uda, to nie będzie koniec świata.

Louis siedział i patrzył na nią z potulnym smutkiem szczeniaka, który wie, że coś zniszczył, choć wcale nie chciał. Eileen położyła rękę na gałce u drzwi, nie przekręcając jej, tylko trzymając, jakby to była dłoń matki.

– Sama nie wiem, dlaczego czuję się przy tobie taka podła.

– Nie staram się robić niczego takiego – oświadczył Louis.

– Przez ciebie czuję się paskudnie – upierała się. – Przez ciebie mam wyrzuty sumienia. Zawsze tak było, przez całe życie, całe moje życie. – Zaczęła płakać. – A już tego nie chcę. Nie chcę, żebyś tu został. Chcę, żebyś znalazł sobie jakieś inne miejsce. Teraz codziennie muszę chodzić do pracy. Muszę dzień w dzień chodzić do tego okropnego, głupiego banku, bez urlopu przez dziesięć miesięcy, a jeśli chcę awansować, muszę pracować po nocach i w soboty. I po prostu nie chcę czuć się przez ciebie tak paskudnie. Możesz tu zostać, jak długo trzeba, ale chciałam, żebyś o tym wiedział.

– Zaraz się wyniosę – odpowiedział spokojnym głosem.

– Nie. Masz tu zostać. Będę czuła się winna, jeśli odejdziesz. Ale nie chcę, żebyś tu był. Sama nie wiem,

czego chcę. – Tupnęła nogą. – Dlaczego nagle stałam się taka nieszczęśliwa? Dlaczego mi to robisz?

– Pójdę.

Odwróciła się na pięcie i nachyliwszy nad nim fioletową twarz, krzyknęła:

– Zostaniesz tu, zostaniesz tu i n i g d z i e nie pójdziesz! Nie m o ż e s z iść. Nie masz d o k ą d pójść. Zostaniesz tu, bo jesteś moim bratem i n i e c h c ę, ż e b y ś o d c h o d z i ł. Jeśli pójdziesz, n i g d y ci tego nie wybaczę.

Drzwi zatrzęsnęły się z hukiem i Louis został w pokoju sam, ściskając w dłoni centa, którego jej nie dał.

Unikali się przez trzy dni. Wychodziła z samego rana, kiedy Louis jeszcze spał, a on wracał o ósmej lub dziewiątej wieczorem, po dniu spędzonym na szukaniu pracy, jak jej się wydawało, i udawał się prosto do swojego pokoju. W czwartek po południu znowu poczuła się atrakcyjna i ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Wróciła do domu z pełną jedzenia nową francuską siatką na zakupy i zdumiała się na widok Louisa w salonie. Czy to możliwe, że nie spędzał dni na szukaniu pracy, tylko przed telewizorem? Znowu miał okulary na nosie i z opuszczoną głową i złożonymi rękami siedział na sofie przed milczącym sprzętem wideo.

– Mam nadzieję, że nie jadłeś obiadu – powiedziała.

Zupełnie nie było po nim widać, czy ją usłyszał. Wpatrywał się w telewizor w ciemnopielatej obudowie

i pocierał jeden kciuk o drugi.

– Coś się stało? – zapytała, powstrzymując przyływ irytacji.

Otworzył usta, ale wydobyła się z nich tylko cisza.

– W każdym razie zrobię dobry obiad – oświadczyła. – Mam więc nadzieję, że będziesz chciał go zjeść.

Gdy tylko weszła do kuchni, usłyszała, że drzwi frontowe otwierają się i zamykają. Włączyła telewizor w kuchni i włożyła do piekarnika kurczaka z firmy Perdue (we Francji się nauczyła, że do sałatek można dodawać ciepłe mięso – coś takiego jak *poulet, canard*), ale zaraz potem na kilka minut zupełnie zapomniała, gdzie jest i co robi, zdumiona wiadomościami na Kanale 4.

*...została tragicznie postrzelona w rezultacie, jak określa to policja, najgorszego jak dotąd wybuchu agresji ze strony ruchu na rzecz ochrony życia poczętego. Penny Spanghorn relacjonuje na żywo z miejsca tej nadzwyczaj tragicznej strzelaniny, Penny?*

*Jerry, dziś po południu Renée Seitchek pojechała do Centrum Medycznego New Cambridge w Cambridge, gdzie tak zwany Kościół Działań w Chrystusie przeprowadzał najnowszą z całej serii akcji nielegalnego blokowania wstępu do klinik. Policja aresztowała dwanaście demonstrujących osób za podejmowanie prób nękania Seitchek. Mniej więcej o siedemnastej Seitchek wyszła z kliniki i rozmawiała z reporterami w, jak to określono, bardzo emocjonalny sposób. Oświadczyła, że dokonała... że usunęła ciężę. Straszne jest to, że*

*być może zapłaciła za to życiem. Mniej więcej o siedemnastej trzydzieści wróciła do domu przy Pleasant Avenue w Somerville, gdzie powitał ją grad kul wystrzelonych z pistoletu przez niezidentyfikowanego napastnika siedzącego w zaparkowanym po drugiej stronie ulicy samochodzie. Tuż przed osiemnastą do Kanału 4 zadzwonił ktoś z ekstremistycznego ugrupowania i nie przedstawiając się, przyznał się do tego tragicznego ataku, mówiąc, cytując: „Oko za oko, ząb za ząb”. Policja w Somerville twierdzi, że mniej więcej o tej samej porze odebrała podobny telefon.*

Poruszona do żywego Eileen wpatrywała się w Penny Spanghorn. Płakała nad rukolą i czerwoną cykorią w suszarce do sałaty – nie tylko nad Renée i Louisem, ale też nad sobą – i płakała, kiedy Peter wrócił do domu z pracy. Powiedziała mu, że Renée znajduje się w stanie krytycznym, ma poważne uszkodzenia klatki piersiowej i jamy brzusznej.

- Cholera – powiedział pobladły Peter. – To okropne.
- To podłe. Wszystko jest takie podłe.
- To naprawdę okropne.

*Kościół Działań w Chrystusie – oświadczył Philip Stites – potępia nikczemny i tchórzliwy atak na Renée Seitchek, do którego doszło dzisiejszego popołudnia. Członkowie naszego Kościoła są przeciwni wszelkim formom przemocy, niezależnie, czy to przemoc wobec nienarodzonego dziecka, czy przemoc wobec obywatela naszego stanu. Renée Seitchek to kobieta obdarzona sumieniem i boskie stworzenie. Płaczymy nad jej*

*ranami i składamy wyrazy współczucia jej rodzinie oraz przyjaciółom i wraz z nimi przekazujemy wyrazy miłości i łączymy się z nimi w modlitwie.*

Było już po północy, kiedy Eileen i Peter, którzy w swojej klimatyzowanej sypialni oglądali, choć nie słuchali, prowadzonego przez Arsenia Halla talk show, usłyszeli, że Louis wchodzi do domu. Eileen wyszła się z nim zobaczyć. Miała na sobie swoją ulubioną koszulę nocną, bluzę college'u Bennington z cienkiej bawełnianej dzianiny, w rozmiarze XL.

Louis siedział na podłodze w swoim pokoju i przykładał złożoną chusteczkę higieniczną do pokrywających obie jego stopy krwawiących, popękanych pęcherzy. Przepocona koszula była pokrwawiona i kleiła mu się do piersi. Obok brata leżały czarne oksfordy, zakurzone i wyraźnie już znoszone. Widać było, że skarpetek raczej nie nosił.

– Jesteś ranny? – zapytała Eileen.

– Zastrzelili Renée – odpowiedział cieniem, wyschniętym głosem.

– Wiem. Wiem. Cały czas płaczę.

– Zastrzelili Renée.

– Ale ona żyje, Louisie. Powiedzieli, że nic jej nie będzie – rzuciła, chociaż akurat to nie było dokładnie prawdą. Kanał 4 poinformował jedynie, że jeszcze nie umarła.

Louis skubał obtarte do żywego mięsa rany na

stopach, palcami odrywając poszarpaną skórę. Obserwująca to Eileen poczuła się, jakby właśnie upadła i znikąd nie mogła oczekiwać pomocy. Mimo że cierpieli o wiele mocniej niż ona, miała wrażenie, że Louis i Renée zjednoczyli się, żeby ograbić ją z dziedzictwa. Poczuła eksplozję zazdrości i złości i w jej świetle zobaczyła, że w tym świecie istnieje jakaś absolutna norma dobra, jakiś ideał, do którego osiągnięcia było jej nieskończenie daleko. Louis nadal wciskał paznokcie kciuków w czerwone jak cukierki rany, jedynie po to, żeby poczuć ból, jaki mu to zadawało. Wiedziała, że powinna z nim zostać i go pocieszać, ale nie mogła znieść tego, co robił ze swoimi stopami, więc zostawiła go i położyła się obok Petera, dając się pochłonać poczuciu winy i ciemnościom.

Zszedł po schodach i wybiegł na Marlborough Street. Bliźniacze szeregi ciągnących się na zachód ceglanych domów jednorodzinnych tworzyły obramowanie żółtego słońca, którego plazma skondensowała się w kroplach na mokrych po burzy zielonych krzewach, w parujących paciorkach na maskach samochodów, w lśniących, dymiących taflach na asfalcie. Ustawiony w oknie piwnicy duży radiomagnetofon emitował brzęki i dysonanse Sonic Youth. Biegając, widział czerwone wysokie trampki i czarne wrotki miejskich studentów, białe, przypominające królicze stopy tenisówki kobiet dojeżdżających do pracy, szpilki i mokasyny z paskiem

na górze pośredników handlu nieruchomościami, psie łapy, buty ludzi bez adresu, bez sznurówek i tylko z połówką podeszwy. Słyszał brzęk kluczyków i zatraskiwanie się drzwi samochodów. Jakiś mężczyzna (to z pewnością był mężczyzna, bo kobiety prawie nigdy tego nie robiły) zagwizdał.

Pobiegł Mass Avenue, a potem nad rzeką, którą przed chwilą mogła przetoczyć się powódź, splukując wszystkie zagłówki do wynajęcia i nasiąknięte wodą śmieci z McDonalda do ścieku bostońskiego portu, pozostawiając za sobą ziemistą pikantność słodkiej wody. Przepchnął się przez ospałe tłumy wypuszczone przez metro na Central Square, przebiegł obok zastępów volvo i subaru, które lada moment miały zacząć rozwozić hodowane w warunkach naturalnych kurczaki i małe cukinie z Bread & Circus przy Prospect Street, a potem w górę przez gęsto zaludnione okolice Inman Square, gdzie portugalscy imigranci i otyli rodzimi mieszkańcy wschodniej części Cambridge mieszały się z doktorantami komparatystyki literackiej z Harvardu równie opornie, jak olej z oliwek firmy Pastene z wodą mineralną Poland Spring, gdzie tłumiki ciekły albo szurały po jezdni, w każdej kałuży widniały podejrzane czarniawe osady, a młodzieniec z blond brodą i chustką w lawendowym kolorze pod szyją kroczył środkiem chodnika, głośno śpiewając kawałek Grateful Dead *Sugar magnolia*.

Kiedy przeciął Union Square, słońce zdążyło się już schować za chmury, pozostawiając wilgotny, cuchnący spalinami samochodów i zepsutymi owocami półmrok. Wyciągając szyję, pokuśtykał po Walnut Street; z trudem pokonywał połączenia płyt chodnikowych, serce pracowało mu płytko, nadaremnie, jakby w tym upale krew zrobiła się zbyt rzadka, żeby dało się ją pompować. Blisko szczytu wzgórza zaczął mijać samochody, które zwalniały, żeby precyzyjnie się obok zaparkowanych tuż przy rogu Pleasant Avenue furgonetek Kanału 4 i Kanału 7 albo żeby kierowcy mogli się na nie pogapić. Jeden radiowóz blokował wjazd na ulicę. Drugi, już mniej wyraźnie oznakowany sedan komendanta policji w Somerville stał tuż obok obciążonego krzewem kapryfolium ogrodzenia z drucianej siatki przed domem numer 7 i taśmy odgradzającej miejsce zbrodni. Po drugiej stronie ulicy policjant robił zdjęcia rynsztoka, w którym, jak tłumaczył jeden z gapiów drugiemu, znaleziono jakieś łuski. Oficer śledczy spisywał na przypiętym do podkładki formularzu ochoczo składane zeznania dwóch chłopców, jednego wielkości szklanki, a drugiego kanistra, w których Louis rozpoznał męską reprezentację grupki przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przesiadującej na ganku naprzeciw domu numer 7.

– Jeden-siedem-sześć DVN, zielone na białym – mówił większy z chłopców. – Zapisałem to, widzi pan,



jeden-siedem-sześć DVN. Widzi pan? Tutaj. Jeden-siedem-sześć DVN.

Za policyjną taśmą zebrała się cała Pleasant Avenue. Były tam endo- i ektomorficzne nastolatki, robiące z gumy balony wielkości i koloru niemowlaków, milczący robotnicy z opalenizną po whisky i ustami zaciśniętymi w wyrazie rezygnacji. Stały tam wykształcone matki trzymające na rękach Aleksów i Jessiki, ponadrozmiarowe głowy rodziny, których nieprzychylnie nastawienie do świata znalazło swoje potwierdzenie w tych strzałach, para bliźniaków, mormońskich albinosów z teczkami, i kwartet żylastych Afrykanów w lśniących szortach i kolanówkach, najmniejszy z nich z futbolówką. Gdy tylko Louis zdążył nieco złapać oddech i uspokoił drżenie nóg, przepchnął się do taśmy. Przez otwartą furtkę domu numer 7 zobaczył krew na wysychającym betonowym chodniku, rozmytą i rozmazaną przez deszcz, jak czerwona farba wodna. Dostrzegł krew ciemniejącą na krawędziach trójkątnych kałuż, zbierających się w depresjach narożników kwadratowych płyt chodnikowych. Ujrzał jej nikiłą i pocętkowaną wstążkę na podstopnicy najniższego betonowego schodka. Aż krzyknął, krótko i ostro, z bólu i niedowierzania. Policjant, który rozmawiał z poważną Penny Spanghorn i jej towarzyszem z kamerą zamiast głowy, wykonywał rękami dramatyczne gesty, mierząc z palca jak z pistoletu.

– Gdzie ją zabrali? – zapytał Louis.

– Do szpitala w Somerville – odpowiedziało mu kilka osób naraz.

W zmierzających na wschód samochodach na Highland Avenue włączano reflektory, dobrane w pary czyste białe punkty zdawały się wyłaniać wprost z krwi rozlanej na niebie nad odległym Davis Square. Wznoszący się nad ciemnymi bocznymi uliczkami i markotnie unoszącymi gałęzie ciemnymi drzewami oraz nad latarniami ulicznymi, wciąż jeszcze pozostającymi w różowości początkowych etapów zapłonu, szpital sterczał ze zbocza centralnego wzniesienia Somerville jak tankowiec o zmroku; oświetlone okna i tuzin jeżących się anten na jego przypominającej mostek wieży sygnalizowały życie i czujność na ciemnym, głębokim oceanie. Na parkingu przy oddziale pomocy doraźnej mruczał układ hydrauliczny chowającej antenę satelitarną furgonetki Kanału 5.

Mały szpitalny hol umeblowany był prostokątami z pianki obitej elektrycznym błękitem. Na jednym z nich siedział zgarbiony Howard Chun. Kolana żeglarskich spodni miał poplamione krwią, która była też rozsmarowana na jego udach, gdzie, jak rzeźnik, wytarł ręce.

– Gdzie ona jest? – zapytał Louis.

Howard przechylił głowę w stronę wnętrza szpitala.

– Operacja – powiedział. Wstał i zaczął krążyć po poczekalni, odrywając listek z kwiatka w doniczce, opierając się o okienny parapet i robiąc przy nim pompki na stojąco, zatrzymując się, żeby wcisnąć zakrwawione kolana w piankę różnych prostokątów, i opowiadając Louisowi, co widział. Nie mówił jak człowiek, który kochał, lubił albo znał Renée czy nawet w ogóle o niej myślał. Był jak nastolatek, który dotychczas przemoc widział tylko w hollywoodzkich filmach i teraz chciał opisać tę straszną rzecz, jaką świat zrobił na jego oczach, żeby przekazać Louisowi własne emocje, żeby poruszyć albo dręczyć bądź zranić osobę, której tam nie było i która, co było widać, naprawdę ją kochała i która może sobie wyobrazić opuszczone przez niego szczegóły.

Leżała na boku przed gankiem domu numer 7. Nogi miała podkurczone, nadgarstki skrzyżowane na piersiach, a krew sączyła się przez dzinsy nad jednym kolanem, zalewała przedramię, które przyciskała do brzucha. Dzieciaki z drugiej strony ulicy już zadzwoniły na 911 i stały tuż za Howardem, udzielając mu sprzecznych i pokrętnych rad. Renée wydawała z siebie samotne, wysokie, autentyczne jęki, jak bardzo chore dziecko. Jej twarz przybrała kolor zimnego tłuszczu z bekonu pocącego się w wilgotnym pomieszczeniu. Powiedziała: „Howard” i „Wezwij kogoś”, i „Boli, boli”. Potem przestała mówić, jej oddech rzeźił głośno w tchawicy, przyjechali ratownicy medyczni i odsunęli

Howarda, szerokie męskie plecy w białych koszulach przytłoczyły swym ogromem mały pakunek zanikającego kobiecego życia, kiedy starali się nią zająć. Podali jej przez nos tlen i podłączyli ją do przenośnego monitora. Ustnie wymieniali dane, ciśnienie krwi osiemdziesiąt na pięćdziesiąt, puls sto dwadzieścia, oddech trzydzieści sześć. Pomarszczona kałuża krwi rozplątywała się po betonie, jakby gotując się w kroplach deszczu. Padały pytania. Czy może oddychać? Czy ma czucie w nogach? Gdzie boli? Mrugała i krzywiła się, kiedy krople deszczu spadały jej na oczy. Nieśmiałym głosem, jakby pozwoliła sobie przeszkodzić im tylko dlatego, że to mogło być ważne, zapytała, czy umrze. Biała koszula powiedziała: „Wszystko będzie dobrze”. On zapytał: „Masz roztwór Ringera?”. Kiedy Howard podawał policji nazwiska i adresy, w ambulansie podłączano Renée do obu rąk kroplówki. Jej T-shirt, stanik i jedna nogawka zostały rozcięte, a gruba gaza pod prawą piersią wchłaniała krew. Howard usiadł z kolanami prawie przy twarzy i trzymał rękę na jej wychłodzonym, mokrym czole, kiedy włączyła się syrena i z nadzieją zwiększyła wysokość i poziom dźwięku. Przezroczyste plastikowe rurki kiwały się, poruszane nierównościami na Highland Avenue. Biała koszula powiedziała: „Renée, świetnie się trzymasz”. Ale szczękały jej zęby i nie odpowiedziała.

– Wiesz, co robią? – zapytał Howard. Odbił się od niebieskiego prostokąta i tylko patrzył, jak Louis

zareaguje. – Biorą rurkę z ostrym końcem. Wbijają ją między żebra. Jest świadoma, a oni wbijają to, ot tak. A potem zaczynają ssanie. Słyszałem ją, kiedy to robili. Była tam policja, słyszeliśmy to.

Ponownie obserwował reakcję Louisa. Jego twarz nie była już czerwona od biegu, ale jeszcze nigdy nie był tak spocony. Sapał i przerażonym wzrokiem śledził Howarda, jakby ten zadawał mu fizyczne tortury. Odezwał się:

– Nienawidzisz jej?

– Dokonują jej operację – powiedział Howard.

– Pytałem, czy jej nienawidzisz?

Howard zmarszczył twarz.

– A jak myślisz?

Louis nie mógł na niego patrzeć, nie mógł słuchać jego kolejnego krótkiego, chrapliwego zdania.

– Szkoda, żeś się w ogóle urodził – powiedział.

– Zaczęli o szóstej trzydzieści – stwierdził Howard.

Louis włożył palce za szkła okularów i potarł oczy. Jakieś odrażające pole pchnęło go w stronę otwieranych automatycznie drzwi, ale kiedy mijał Howarda, odwrócił się na pięcie i obiema pięściami walnął go w żebra, zamierzając w ten sposób przewrócić Chuna na plecy. Ale Howard okazał się niezwykle bezwładny; zachwiał się i złapał równowagę w tym samym momencie, kiedy Louis rzucił się na niego, by zupełnie nieoczekiwanie otrzymać kąśliwe uderzenie najpierw w lewy, a zaraz

potem w prawy policzek.

– Oj! – stęknął, kręcąc się na oślep, już bez okularów, które poleciały gdzieś daleko. Howard miał nad nim przewagę wzrostu. Mógł odpychać Louisa, trzymając go za głowę, obojczyk i ramiona, odsuwał go za każdym razem, kiedy ten się na niego rzucał, cofając się i zataczając koła wokół skupiska niebieskich prostokątów.

– Przestań się ze mną bić! – krzyknął Chun niczym przewrażliwiona panienska. – Przestań się ze mną bić!

Louis chwycił go za koszulę i kilka razy uderzył mocno w brzuch. Howard otwartymi rękami walił Louisa w policzki, ale tu Louisowi przydała się jego wyjątkowa odporność na ból, wytrzymywał bowiem coraz bardziej siarczyste policzki, aż wreszcie udało mu się przewrócić Howarda na meble, a potem powalić go na plecy. Stękając z wysiłku, przygwoździł kolanami ramiona Chuna do podłogi, po czym zaczął okładać pięściami jego policzki, nos, uszy i oczy, ale ponieważ nie zwracał dostatecznej uwagi na przygwożdżone ramiona, już po chwili jedno z nich się uwolniło i poczuł uderzenie w bok głowy, aż zadzwoniło mu w uszach, a zaraz po tym z przerażeniem poczuł, że traci oddech, kiedy ktoś krzyknął: „Co tu się, do cholery, dzieje?“, i chwyciwszy go za gardło, ściągnął z Howarda. Następnie nieznajomy podniósł Louisa na nogi, tak że ten ledwo dotykał podłogi czubkami palców, i zagroził, że podniesie go jeszcze

wyżej; w końcu Louis opadł bezwładnie.

– Co, do cholery, wyrabiacie!? Są tu chorzy ludzie, ranni. Popatrz, co zrobiłeś temu gościowi. Powinieneś się za to wstydzić do końca życia.

Nos Howarda był jak karafka, dobrze wychowany, kiedy właściciel leżał na plecach, ale gdy tylko Chun usiadł, natychmiast zaczynał wylewać z siebie potoki krwi na wykładzinę.

– Dalej będziesz się pieklił? Czy wyjdiesz?

– Już w porządku – wysapał wciąż bezwładny Louis.

– Ech – powiedział jego poskromiciel, puszczając go i klękając przy Howardzie. Machnięciem ręki rozwinął chusteczkę i przyłożył ją do krwawiącego nosa. – Ściśnij go, ściśnij.

Louis rozprostował oprawki okularów, zupełnie nowych, na które wydał prawie wszystkie pieniądze otrzymane od ojca przy wyjeździe z Evanston. Zakładając je, jeszcze raz spojrział, żeby się upewnić, że duszącym go mężczyzną był Philip Stites. Krople krwi Howarda spadły na spodnie khaki pastora. Stites podniósł wzrok na Louisa z wyrzutem, po czym, jakby miał opóźniony refleks, wyraz jego twarzy złagodniał, kiedy zmrużywszy oczy ukryte za okularami w szylkretowych oprawkach, próbował sobie przypomnieć, skąd zna tego chłopaka.

– *Wiadomości z komentarzem* – powiedział Louis.

– Aha. Antychryst. Znalazłeś pracę?

– Nie.

– Przykro mi to słyszeć – odparł gładko Stites, tracąc nim zainteresowanie. Wstał i przyglądał przypominające wąsy kukurydzy włosy. – Rozumiem, że żaden z was nie przyszedł tu przypadkiem, żeby się dowiedzieć, jak się czuje Renée Seitchek?

Ani Louis, ani Howard nie odpowiedzieli. Howard opierał się o mebel i uciskał nos, jakby coś tu śmierdziało. Podniósł na Louisa zwężone, czerwone oczy z zażyłością dzieloną przez kochanków oraz ludzi, którzy mocują się na podłodze.

– A co cię to obchodzi? – odezwał się Louis do Stitesa.

– Rozumiem, że to potwierdzenie.

– Rozum sobie, co chcesz – odpowiedział Louis. – Co cię to obchodzi?

– Tak. To chyba uzasadnione pytanie. Mogę ci powiedzieć, że widziałem Renée kilka dni temu, widziałem ją też dzisiaj i uważam, że wydarzyło się coś strasznego. I chcę się za nią modlić. I chcę się dowiedzieć, czy żyje.

– Zapytaj w rejestracji.

– No tak. – Stites wreszcie w pełni zareagował na obecność Louisa, jak byk, który poczuł słabeusza. Zbliżył się do niego, pochylając głowę tak samo agresywnie, w takim samym wielkim skupieniu i prawdopodobnie również krótkowzrocznie, jak robił to Louis, kiedy czuł, że ma nad kimś moralną przewagę. – Pewnie jesteś tym jej chłopakiem.



– Możesz sobie gadać – odrzekł Louis. – Ale nie muszę cię słuchać.

– Pewnie jesteś tym chłopakiem, o którym opowiadała mi w poniedziałek, a całemu światu dzisiaj.

Louis nieco zbladł, ale się nie poddawał.

– Dzisiaj – powiedział. – To znaczy... kiedy wy wzywaliście ją od morderców.

– W poniedziałek – Stites podniósł głos – kiedy mi powiedziała, że jest pewien mężczyzna, który skrzywdził ją tak bardzo, że nie chce dalej żyć. I dzisiaj, kiedy powiedziała, że jest pewien mężczyzna, którego kochała i chciała za niego wyjść, i mieć z nim dzieci. A ja nie widziałem przy niej żadnego mężczyzny. Zakładam, że to ty jesteś tym tak zwanym mężczyzną, prawda?

Louis spojrzał na zmętniałe od światła, oskarżycielskie szylkretowe okulary pastora.

– Nie jesteś w stanie wzbudzić we mnie większego poczucia winy niż ta, którą już czuję.

– Twoje poczucie winy to twoja sprawa, panie Antychryście. Ja tylko mówię, dlaczego tu przyszedłem.

Tak zwany mężczyzna, którego Renée kochała i z którym chciała mieć dzieci, odwrócił się od Stitesa. Zdając sobie sprawę, że robi to, bo chce się zrehabilitować w oczach pastora, kucnął przy Howardzie.

– Przepraszam – powiedział.

Howard jeszcze raz rzucił mu zażyłe czerwone

spojrzenie i nic nie powiedział.

Stites zniknął w głębi korytarza. Louis znalazł go na sofie w małej poczekalni oddziału intensywnej opieki medycznej, w której pod sufitem wisiał telewizor.

– Co o mnie powiedziała? – zapytał od drzwi.

Stites nie odrywał wzroku od telewizora.

– Już powiedziałem, co mówiła.

– Gdzie ją widziałeś?

– W Chelsea.

– Chciała, żeby twoi ludzie przestali ją nękać.

– Po to przyszła, na pewno. Ale nie dlatego została.

– Została?

Stites uśmiechnął się do telewizora.

– Co cię to obchodzi?

Louis spuścił wzrok. Nie pierwszy raz czuł się zagubiony w miłości do Renée.

*W ostatnich ośmiu meczach Jody ma skuteczność odbić na poziomie zero przecinek trzysta pięćdziesiąt pięć – odezwał się telewizor. – W ostatnich dziewięciu spotkaniach wynosiła cztery.*

– Została, porozmawialiśmy – powiedział Stites. – Potem sobie poszła. Gdzie byłeś?

– Zostawiłem ją. Skrzywdziłem.

– A teraz została postrzelona i doszedłeś do wniosku, że jest ci z tym źle.

– To nieprawda.

– Jak masz na imię?

– Louis.

– Louisie – Stites rozłożył ręce na oparciu sofy i położył stopy na małym stoliczku – nie jestem twoim rywalem. Powiem ci szczerze, dużo o niej myślałem. Ale nie była zainteresowana mną jako człowiekiem. Była ci absolutnie wierna. Nie wiem, co by było, gdybyś nie istniał. Ale rzeczywiście istniejesz, więc sam rozumiesz.

– Gdybym nie istniał, musiałbyś jej wytłumaczyć, dlaczego jeden z twoich ludzi strzelił jej w plecy, bo usunęła ciążę.

– To nie była osoba z ruchu na rzecz ochrony życia poczętego – zdecydowanie stwierdził Stites, zwracając się do ekranu telewizyjnego, na którym pałkarz Red Sox próbował zagrać skrót.

– Oko za oko?

– Ja w to nie wierzę – stwierdził Stites. – Po prostu nie wierzę. Nie postępujemy tak, nawet najgorsi z nas. Szczerze mówiąc, szybciej uwierzyłbym, że to ty.

– Dziękuję bardzo.

– Jest tylko jedno pytanie: kto jeszcze mógłby zrobić coś takiego? Masz jakiś pomysł?

Louis nie odpowiedział. Na ekranie telewizora sedan volvo zderzał się ze ścianą z bloczków żuźlowych, a plastikowe małżeństwo oraz ich łyse plastikowe dzieci, wcale nie martwe, nawet niezadrapane, rozsiadali się wygodnie w fotelach.

– Jaka ona jest? – zapytał go Stites. – Tak na co dzień?

– Nie wiem. Neurotyczna, egocentryczna, niepewna. Trochę złośliwa. Nie ma specjalnego poczucia humoru. – Zmarszczył brwi. – Jest dobrym naukowcem. Dobrze gotuje. Niczego nie robi, jeśli się nad tym nie zastanowi. Jest bardzo seksowna, w pewnym sensie.

– Dobrze gotuje, tak? A co gotuje?

– Warzywa. Makarony. Ryby. Nie je kręgowców wyższych.

Na Saharze dwóch umierających z pragnienia młodych mężczyzn zostało uratowanych przez ciężarówkę Budweisera z pięknymi dziewczynami w kostiumach kąpielowych, w obcisłych obciętych spodniach i górach bez pleców. Wszyscy pili firmowy produkt. Piersi dziewczyn były jędrne i krągłe, a ich brzuchy płaskie, twarde, talie wąskie w jednoczęściowych strojach kąpielowych z silkry. Kończyny pociły im się jak zimne puszki z upajającym piwem. Mężczyźni zalewali rowki między kobiecymi piersiami wodą z węża strażackiego, białą mgiełką z węża dawali klapsy w pupy. Reklama z rozneglizowanymi dziewczynami, napój, brak zahamowań. Dziesięć metrów dalej, na stole w sali operacyjnej numer 1, urolog, niejaki doktor Ishimura, zaszywał ciało Renée w miejscu, gdzie była prawa nerka, a chirurg, niejaki doktor Das, drenował krew.

## 15.

Rano obudziła go automatyczna sekretarka przy łóżku. Wzmocniony głos matki krzyczał na Eileen w sprawie jakiejś polisy towarzystwa State Farm: I POTRZEBNY MI JEST TEŻ TWÓJ NUMER DO PRACY, ŻEBY...

– Cześć, mamoo... – odezwał się przez skrzek sprzężenia zwrotnego, który wywołał, włączając urządzenie.

– Louis? Gdzie jesteś?

Zakaszła.

– A jak myślisz?

– O mój Boże, tak, co za głupie pytanie. Jak... jak się masz?

– Dobrze. Oprócz tego, że wczoraj wieczorem moja dziewczyna została postrzelona w plecy i o mało nie umarła.

Nastąpiła cisza. Słyszał ptaki ćwierkające przed południem na Argilla Road.

– Twoja dziewczyna – powiedziała Melanie.

– Pewnie widziałaś to w wiadomościach. Nazywa się Renée Seitchek. Pamiętasz, spotkałaś ją kiedyś?

– Twoja dziewczyna. Rozumiem.

– Usunęła ciążę i ktoś do niej strzelał. A wiesz, kto był ojcem?

– Louisie, ja...

– To byłem ja.

– Cóż, Louisie, to... to bardzo interesujące. To, że mi o tym mówisz. Chociaż w gazecie wyczytałam, że nie miała pewności co do...

– Tylko tak powiedziała, żeby wziąć całą odpowiedzialność na siebie.

– Sądzę, że tak może być, Louisie, chociaż powinieneś...

– Powiedziała tak, ponieważ jest osobą pryncypialną, która bierze odpowiedzialność za swoje czyny.

– Tak, pryncypialność Renée jest mi dobrze znana.

Usiadł. Opuścił zabandażowane nogi na podłogę.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Rozmawiałaś z nią?

– Prawdę mówiąc – odparła Melanie – widziałam ją w przedostatni weekend, a potem jeszcze raz w zeszłym tygodniu. Ale to teraz nieistotne.

– Widziałaś się z nią?

– Ważne, żeby wyzdrowiała. O tym masz myśleć.

– Widziałaś się z nią?

– Tak, ale to teraz n i e i s t o t n e.

– Moja dziewczyna jest w szpitalu, o mało nie umarła, a ty nie chcesz mi powiedzieć, co się dzieje?

– Louisie, udzieliła mi pewnej rady.

– Rady, tak? Powiedziała ci, żebyś sprzedała akcje.

W odpowiedzi usłyszał tylko śpiew ptaków. Słyszał tak wyraźnie, jakby siedziały na ramieniu matki.

– Powiedziała ci, żebyś sprzedała akcje – powtórzył

Louis. – Zgadza się?

– Tak, widzę, że ojciec dokładnie przedstawił ci mój niezwykle prywatny dylemat. I jest dokładnie tak, jak powiedziałaś: powiedziała mi, żebym sprzedała akcje.

Louis pokuśtykał do biurka i usiadł.

– D a ł a ci tę radę? A może ją sprzedała?

– Możesz sam ją o to zapytać. Ja nic ci nie powiem.

– Wczoraj miała czterogodzinną operację. Jest... jak by to powiedzieć... w okropnym stanie. A ty chcesz, żebym ją wypytywał?

– Co za różnica dla ciebie? Powiem tylko, że n i e p r z y p o m i n a m s o b i e, jak dokładnie wyglądała umowa między nami.

– Czyli sprzedała ci tę radę.

Nie usłyszał odpowiedzi.

– Powiedziała ci, że się znamy?

– Powiedziała, że między wami nic nie ma.

– Cóż, w zasadzie tak jest.

– Powiedziała też, że między wami nic nie było.

– Cóż, w takim razie kłamała.

– Tak, a ja chyba o tym wiedziałam. Chyba przez cały czas o tym wiedziałam.

Louis się rozłączył i chwycił za głowę, która nagle zaczęła go boleć. Łazienka wciąż jeszcze była zaparowana i pachniała ziołami po prysznicu Eileen i Petera. Obok francuskiego kremu do skóry, który należał do Petera (*poor lum*), oraz rozmaitych kredek do

makijażu, szczoteczek i podkładów, których ku zaskoczeniu Louisa używała Eileen, zobaczył pokrwawioną myjkę, puste opakowanie po jałowych bandażach, kosz na śmieci pełen poplamionych krwią i środkiem dezynfekującym chusteczek higienicznych – dowody na kwadrans, który spędził tu przed położeniem się spać. W oknie ujrzał słońce. Wyobraził sobie szpital w Somerville w dziennym świetle, w świetle świątecznego dnia – Święta Dziękczynienia, Dnia Niepodległości – który wypadł w dzień roboczy, kiedy odłącza się zasilanie od normalnych czynności, a puste białe godziny ciągną się aż do obowiązkowego wieczornego indyka, nocnych ogni sztucznych albo, w tym przypadku, popołudniowych odwiedzin w szpitalu. Powiedziano mu, że prawdopodobnie będzie mógł przez chwilę zobaczyć Renée. Uniósł deskę sedesową, jak wszystkie poziome płaszczyzny w łazience pokrytą pudrem dla niemowląt, którego Eileen od przynajmniej dwunastu lat używała w letnie poranki, i właśnie zaczął sikać, kiedy ponownie zadzwonił telefon. Louis wrócił do swojego pokoju.

*Cześć, mówi Lauren Bowles...*

Sięgnął po słuchawkę, ale palce zacisnęły mu się w pięść. Miał wrażenie, że doznaje tego, co czuje jakiś przedmiot, krzesło, w którym napinają się włókna drewnianych członków, a ramiona i nogi mebla paraliżuje geometria zrównoważonych przeciwnych sił.



Oglądanie własnych palców, rozkładających się jednak i podnoszących słuchawkę, było jak oglądanie krzesła poruszonego trzęsieniem ziemi.

– Halo? – odezwała się Lauren. – Halo...? Halo? Jest tam ktoś?

– To ja, Lauren.

– O Boże, Louisie, słyszę cię, jakbyś był bardzo daleko. Jesteś sam? Możemy porozmawiać?

Teraz to jego wargi stały się nieruchomym przedmiotem.

– Jesteś tam? – zapytała Lauren. – Zamierzałam odczekać z telefonem do ciebie, jak mówiłeś, ale oglądałam program *Good Morning America* i zobaczyłam ją. To takie przykre, Louisie, naprawdę bardzo przykre, bo właśnie myślałam o tym, że chciałam, żeby ona nie istniała. Ale mówili, że żyje. To prawda?

– Tak.

– Wiesz, że nazwali ją bohaterką? No nie, dziewczyna Louisa jest tak niesamowicie dobra, że pokazują jej zdjęcie w telewizji i mówią, że jest bohaterką. Jakby była jedną z najlepszych osób w kraju czy coś takiego. A ja jestem taka dobra, że tu siedzę i życzę jej śmierci, do chwili, kiedy rzeczywiście ją zobaczyłam.

– Tak, Lauren – odparł szorstko. – Nie powinnaś słuchać tego, co mówią. Usunęła ciążę, żeby się zemścić. Mężczyzn potrzebuje tylko do seksu. Nie ma tak wielkiego serca jak ty.

Lauren była urażona.

– Nie wierzę ci – powiedziała. Po raz pierwszy w życiu spróbował ją skrzywdzić. Chciał, żeby go znienawidziła i o nim zapomniała. Ale wcale nie było przyjemnie być nienawidzonym, przynajmniej nie przez Lauren, której życzliwość zawsze stanowiła dla niego tajemnicę i powodowała, że świat zdawał się miejscem budzącym nadzieję. Będzie mu przykro żyć bez tej życzliwości. Zapytał ją, gdzie jest.

– W domu. To znaczy z Emmettem. Ale nie pozwoliłam mu się pocałować.

– Pewnie jest zachwycony, że do niego wróciłaś.

– Zgadza się, bardzo fajnie sobie rozmawiamy.

Stał na obolałych, pulsujących stopach. Wydłużająca się cisza na linii zaczynała trącić tym szczególnym, zwarzonym posmakiem stawek prowadzonych za dnia rozmów zamiejscowych.

– To już koniec, prawda, Louisie?

– Tak – stwierdził.

– Wróciłeś do niej?

– Nie.

– Ale chciałeś?

– Tak.

– Och, kurwa – powiedziała smutno Lauren. – Nie uwierzysz, jak jej zazdroścę. Uznałbyś mnie za potwora, gdybyś wiedział, jak bardzo jej zazdroścę. Ale jak Boga kocham, Louisie, mam nadzieję, że z tego

wyjdzie. Wierzysz mi?

– Tak.

Zastanowiła się nad tym.

– Dobrze – powiedziała. – Do zobaczenia. To znaczy... już cię nie zobaczę. Chyba... chyba pozwolę Emmettowi, żeby mnie pocałował.

– To dobrze.

– Jesteś zazdrosny?

– Nie.

– Ani troszkę?

– Nie.

– Louisie. – W tym słowie czuło się zaniepokojenie. – Po prostu powiedz „tak”. Powiedz „tak”, a ja się rozłączę i to będzie koniec. Proszę, powiedz „tak”.

– Nie jestem o niego zazdrosny, Lauren.

– Dlaczego? Powiedz mi, dlaczego? – Mówiła jak obrażone dziecko. – Czy nie jestem piękna? Czy nie zrobiłabym dla ciebie wszystkiego? Czy cię nie kocham? – Między chwilą, kiedy szklanka zostaje nieodwracalnie strącona z półki, a momentem, gdy uderza w podłogę, trwa pełna napięcia i bardzo ograniczona cisza. – Mam nadzieję, że umrze! – powiedziała Lauren. – Mam, kurwa, nadzieję, że umrze w tej minucie.

Louis wiedział, że gdyby byli razem w tym samym pokoju, poszedłby za nią i z nią zamieszkał; wiedział to równie dobrze jak to, jak się nazywa. Ale rozmawiali przez telefon, urządzenie wyposażone w tę małą

plastikową gilotynę do obcinania głów z rozmów. Ręka opatrzości pokierowała go z powrotem z Chicago do Bostonu, najpierw sprowadzając go do Chicago, gdzie ojciec mu powiedział: „Pozwól, że ujawnię ci tę gorzką część prawdy o kobietach: z wiekiem wcale nie ładnieją i z wiekiem wcale nie robią się rozsądniejsze, a starzeją się bardzo szybko”.

– Tylko popatrz, co przez ciebie wygaduję – podjęła Lauren.

– Rozłącz się.

– Dobra. Tak zrobię.

– Ja się rozłączam – oświadczył.

Kiedy odsuwał słuchawkę od ucha, usłyszał, jak mówi:

– P r a g n ę ł a m c i ę!

Usiadł na łóżku i patrzył na nieruchome krzesła oraz nieruchome ściany tak długo, aż światło w oknie nie stało się popołudniowym światłem, a on doszedł do wniosku, że jest już dostatecznie późno, żeby spróbować widzieć się z Renée. Wolałby jednak zobaczyć się z Lauren. Ubierając się, poluzował sznurówki, żeby móc wsunąć stopy w buty. Tupnął jedną nogą, a potem drugą, umieszczając nogi w ich bólu. Zmusił się do przeżucia i połknięcia dwóch bananów.

W szpitalu w Somerville w rejestracji dyżurowała jakaś nowa kobieta. Miała długą szyję i malutką głowę.

– Nie mamy na liście nazwiska Seitchek – powiedziała.

– Co to znaczy, że nie macie na liście nazwiska Seitchek?

– To ta biedna dziewczyna z Harvardu? Zaraz, spróbuję coś znaleźć. – Ponownie przerzucała ogromny obrotowy notatnik. – Nie, obawiam się, że jej tu nie ma.

– Chce mi pani powiedzieć, że umarła?

– Zaraz... – Kobieta poprosiła o informację przez telefon. Przekazała ją Louisowi: – Jest w szpitalu Brigham & Women's. Właśnie ją tam przenieśli.

Szpital Brigham & Women's położony był w okolicy mieszkania Eileen, za parkiem Fenway, na terenie całego miasteczka chorych i dochodzących do zdrowia, gdzie ceglane i betonowe budynki szpitalne rosły jak na drożdżach, raz po raz wypuszczając pod różnymi kątami skrzydła, odżywiając się nieustannie rosnącym inwentarzem niezdrowych ludzi. Nie było tam darmowego parkingu. Louis wjechał windą na górę, przeszedł niekończącym się centralnym korytarzem, przeciął hol, zjechał windą. Powiedział pielęgniarce przy ośmiokątnym pulpicie recepcji oddziału intensywnej opieki medycznej, że chciałby się zobaczyć z Renée Seitchek. Pielęgniarka poinformowała go, że Renée przechodzi operację.

– Jesteś członkiem rodziny, Louisie?

– Jestem jej chłopakiem.

Pielęgniarka opuściła wzrok na stos teczek z czerwonymi zakładkami i zaczęła je nerwowo

przekładać.

– Obawiam się, że prawo do odwiedzin mają tylko członkowie najbliższej rodziny.

– A gdybym powiedział, że jestem jej mężem?

– Ale nie jesteś, Louisie. Pani Seitchek jest w pokoju pielęgniarek za rogiem, jeśli chcesz z nią porozmawiać.

W pokoju pielęgniarek nie było nikogo z wyjątkiem drobnej kobiety ubranej w granatowe spodnie z zaprasowanymi zaszewkami i w różową bluzkę. Nalewała sobie właśnie do styropianowego kubka kawę. Włosy miała krótkie, z trwałą i zrobionymi pasemkami. Na opalonych dłoniach i nadgarstkach nosiła ciężką, prostą złotą biżuterię. W stojącym przed nią telewizorze migiała jakaś opera mydlana.

– Pani Seitchek?

Kiedy kobieta się odwróciła, zobaczył charakterystyczny dla Renée wyraz lekkiego zaskoczenia. Patrzył na Renée starszą o dwadzieścia pięć lat, na Renée, która pozwoliła słońcu przysmażyć sobie skórę na kolor skórki białego chleba, która wyrwała sobie brwi i nałożyła srebrzystoróżową szminkę, która nie przespała ostatniej nocy i która urodziła się bardzo piękna. W pierwszym odruchu chciał się w niej zakochać.

– Louis Holland – odezwał się.

Pani Seitchek popatrzyła na niego niepewnie.

– Tak?

– Chłopak Renée.

– Aha – odparła. Widział, że przygląda się jego łysinie, białej koszuli, czarnym spodniom. Jej wargi wykrzywiły się w jednym z typowych dla Renée ponurych uśmiechów. – Rozumiem. – Na powrót odwróciła się do wózka z kawą i sięgnąwszy po różową saszetkę, posłodziła napój. – Jesteś z Harvardu, Louisie?

– Nie. Pochodzę z Chicago. Ale chciałem się dowiedzieć, jak się czuje i kiedy mógłbym ją zobaczyć.

– Znowu ma operację, tym razem nogi. Kula trafiła w kość. – Ramiona pani Seitchek opadły i kobieta wsparła dłonie na wózku z kawą. – Na jakiś czas podłączą ją do respiratora i będą jej podawać silne środki uspokajające. Możesz się ze mną skontaktować za jakiś tydzień czy dziesięć dni, kiedy stanie na nogi i będziemy wiedzieć, kogo będzie miała ochotę zobaczyć. Może wtedy będzie chciała się z tobą spotkać.

– Czy mógłbym spojrzeć na nią wcześniej?

– Tylko bliska rodzina, Louisie. Przykro mi.

– Jestem jej chłopakiem.

– Tak.

– I chciałbym zobaczyć ją jak najszybciej.

Pani Seitchek pokręciła głową, wciąż odwrócona do niego plecami.

– Louisie, nie wiem, czy cokolwiek słyszałeś o naszych stosunkach z Renée. Z pewnością ja nie wiem nic o tobie, nawet nie znałam twojego imienia. Pozwól, że ci wyjaśnię, że Renée mi się nie zwierza. Bardzo ją

kochamy, ale z jakichś powodów zdecydowała się być z nami na dystans. Nie wiem, może ty potrafisz mi to wytłumaczyć? – Odwróciła się do niego. – Ilu chłopaków ma Renée?

– Tylko mnie – odrzekł Louis. – Z wyjątkiem...

– Z wyjątkiem.

– Pobiłem się z nim.

I znowu dostrzegł ślad gorzkiego uśmiechu Renée.

– A ten młody Chińczyk? Howard. Nie jest jej chłopakiem?

– Raczej nie.

– Raczej nie. Rozumiem. A ten młodzieniec, który był tu tuż przed tobą? Terry.

– Zdecydowanie nie.

– Zdecydowanie nie. W porządku. Co prawda, sprawiał nieco inne wrażenie, ale skoro tak mówisz...

Louis próbował sobie przypomnieć, czy jest ktoś, kto wiedział na pewno, że on i Renée mieszkają ze sobą, albo znaleźć jakiś bezsprzeczny dowód ich związku. Przyszło mu do głowy, żeby powiedzieć: „Pani syn Michael sprzedaje domy, a Danny jest na stażu z radiologii”. Ale od razu słyszał oczywistą odpowiedź: „Jeśli to ty jesteś jej ukochanym, gdzie byłś wczoraj po południu?”.

Pani Seitchek wrzuciła do kosza mieszadło do kawy.

– Sam chyba rozumiesz, prawda? Moja córka padła ofiarą zbrodni i nie mamy pojęcia, kto jest za to



odpowiedzialny. Dopóki tu nie przyjechaliśmy, nic nie wiedzieliśmy o jej prywatnym życiu. I muszę powiedzieć, że wciąż niewiele się wyjaśniło. W takiej sytuacji wydaje mi się, że najlepiej będzie poczekać.

– Ale gdy będzie pani z nią rozmawiać... gdyby mogła pani jej przynajmniej wspomnieć, że Louis jest... no, wie pani... jest tutaj?

– Zobaczymy.

– W czym problem?

– Powiedziałam, że zobaczymy. Nie chciałabym jej denerwować, gdyby...

– Jestem jej chłopakiem, pani Seitchek. Umrę z żalu, jeśli ona umrze. Ja...

– Ja też, Louisie. I podobnie jej ojciec, a także jej bracia. Wszyscy ją kochamy i wszyscy chcemy, żeby żyła.

– Proszę jej więc to powiedzieć.

– Zastanowię się.

– Proszę mi wybaczyć głupotę, ale...

– Proszę, idź już sobie. – Oczy pani Seitchek zaszyły łzami. – Idź, proszę.

Louis chciał objąć ją ramieniem. Chciał ją pocałować i zdjąć z niej ubranie, żeby była jego Renée, chciał zanurzyć w nią twarz. Nagle, sam bliski łez, wybiegł z pokoju.

Na zewnątrz, kiedy mijał ośmiokątne biurko, zobaczył mężczyznę przypominającego mu osobę widzianą na rodzinnym zdjęciu, które kiedyś pokazała

mu Renée. Miał jasnoczerwoną skórę, rzadkie, zaczesane prosto do tyłu białe włosy i nosił niesamowicie przerażające okulary – grube, trójogniskowe, z ogromnymi soczewkami w wytrzymałych plastikowych oprawkach. Czytał coś napisanego drobnym drukiem na buteleczce z lekarstwem w płynie.

– Przepraszam, doktor Seitchek?

Oczy mężczyzny błysnęły za środkową częścią trójogniskowych okularów i spojrzały przenikliwie na Louisa.

– Tak.

– Jestem przyjacielem pańskiej córki. Chciałbym zapytać, czy mógłby pan przekazać jej wiadomość, za jakieś kilka... dni. Czy mógłby pan jej powiedzieć, że Louis ją kocha?

Doktor Seitchek powrócił wzrokiem do buteleczki. W przeszłości był dziekanem wydziału medycyny na Uniwersytecie Northwestern i chociaż Renée mówiła o nim niechętnie, podobnie jak o wszystkich członkach swej rodziny, Louis nabrał przekonania, że ten człowiek jest ważną postacią w świecie amerykańskiej kardiologii. Mówił cichym, powściągliwym, profesjonalnym głosem.

– Rozmawiałeś z moją żoną?

– Tak.

– Wyjaśniła ci nasze wątpliwości?

– Trochę.

Ponownie przeszył go wzrok powiększonych oczu.

– Renée usunęła wczoraj ciążę. Wiedziałaś o tym?  
– Tak. Prawdę mówiąc, hm, to ja byłem tą drugą osobą.

– Masz na imię Louis.

– Louis Holland. Tak.

– Przekażę jej wiadomość.

– Będę bardzo wdzięczny. – Dotknął ramienia doktora Seitcheka, który nie zwrócił na to większej uwagi, niż gdyby ręka Louisa była tylko siadającą tam muchą. – Czy mógłbym jeszcze o coś zapytać? Kto, jej zdaniem, mógł to zrobić? Pytano ją o to?

Doktor Seitchek po raz kolejny uniósł wzrok znad buteleczki z lekarstwem.

– Nie sądzę, żeby to wiedziała.

– Tak powiedziała? Że nie wie?

– Nic nie powiedziała.

– Może mówić?

– Dziś rano była świadoma i sprawna umysłowo. Ale chyba nic nie pamięta z wczorajszego popołudnia. Poza tym nie sądzę, żeby w ogóle coś widziała.

– Ale co powiedziała?

Doktor Seitchek przyglądał się Louisowi, jakby na jego twarzy widniał jakiś tekst napisany drobnym drukiem.

– Czy jest coś, co twoim zdaniem powinna powiedzieć?

– Nie wiem.

– Coś, co chciałbyś mi powiedzieć?

– Nie.

– Dam ci numer do oficera śledczego. Chyba wiesz, że ufundowaliśmy nagrodę?

Pleasant Avenue była opustoszała w słońcu późnego piątkowego poranka. Louis starał się nie patrzeć na krew na ganku, ale wchodząc do domu, nie mógł jej nie zauważyć kątem oka. Zza kawałka odklejonej tapety na klatce schodowej wyjął zapasowy klucz Renée.

W jej mieszkaniu panował idealny porządek i ogromny upał. Otworzył okno w kuchni, wpuszczając do pachnącej kawą, nieruchomej zatechłości świeżą północną bryzę i białawy szum działalności handlowej na Highland Avenue. Poszedł do sypialni Renée i zauważył jej ogołoczone biurko, na którym ostatnio widział stos artykułów na temat indukowanej sejsmiczności i trzęsień ziemi w Peabody. Ponownie poczuł tę atmosferę ostateczności, pełnej kontroli, zaplanowanego odejścia, którą zauważył przy pierwszej wizycie w tym miejscu. Musiał świadomie się zmusić, żeby postarać się przebić przez zastawione przez nią pola sił, przeszukać jej biurko i regały z książkami. Zajrzał do każdej teczki, do każdej koperty. Sprawdził jej szafy i toaletkę, grzebiąc w skarpetkach i swetrach. Nigdzie nie znalazł niczego, co byłoby choć w niewielkim stopniu związane ze Sweeting-Aldren, trzęsieniami ziemi w Nowej Anglii czy z otworami zasilającymi.

Usiadł na łóżku i zastanowił się, czy mogła to wszystko wywalić. Wyrzuciła swoje taśmy i płyty, wystawiła na korytarz jego taśmy, telewizor oraz ubrania, pozbyła się potencjalnego dziecka – może to samo zrobiła też z ich teorią.

Otworzył szufladę w szpotawym stoliku nocnym z klonu. Ostatnim zaznaczonym kwadratem w jej kalendarzu był czwartek, gdzie zapisała „CMNC 15:00” i mniej wyraźnie, ołówkiem w rogu, numer 48. W kwadracie poprzedniego czwartku ołówkiem wypisane było 41, w poprzedzający wtorek również ołówkiem liczba 39 i – tym razem tuszem – słowa „35 Federal, Salem, 18:00”, w poprzedni piątek ołówkiem 35 i adres przy Washington Street, a dzień wcześniej ołówkiem litera H. Wcześniej, aż do maja, biel dwudziestu siedmiu dni zakłócała jedynie wpisywana ołówkiem litera L. Następnie sześć pól z rzędu zapisana ołówkiem litera X i kolejne L. Wcześniej sześć zupełnie białych dni, aż do ostatniej soboty kwietnia, gdzie tuszem napisała: „Impreza 20:30” i ołówkiem samotne L.

W sumie litera L występowała osiemnaście razy. Nigdy nie zauważył, żeby robiła te notatki. Nie byłby w stanie odgadnąć, ile razy się kochali; teraz już nie musiał.

Adres w Salem rozpoznał jako adres Henry’ego Rudmana, ale adres przy Washington Street nic mu nie mówił. Zapisał go na leżącym przy lampce do czytania

bloczku z Sheratona w Baltimore. Odłożył kalendarz z powrotem do szuflady i wygładził prześcieradło w miejscu, w którym siedział.

Była już prawie czwarta, kiedy Howard Chun przyszedł do pracy w laboratorium Hoffmanna, paradując z podbitymi oczami i z rakieta do squash. Louis czekał w korytarzu przy jego gabinecie. Zapytał, czy Renée wspominała mu, że trzęsienia ziemi w Peabody mogłyby być spowodowane przez Sweeting-Aldren.

Howard otworzył kluczem biuro i wszedł do środka.

– Za głęboko – stwierdził. – Otwory zasilające są płytkie.

– Znalazła jakieś artykuły, z których wynikało, że w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku wierce tam naprawdę głęboki otwór.

– Za duże koszty pompowania. Potrzeba za dużego ciśnienia.

– W każdym razie taką miała teorię. Interesowało ją to w zeszłym miesiącu i chciałbym się dowiedzieć, czy zajmowała się tym też w zeszłym tygodniu. Być może strzelał do niej właśnie ktoś związany z tą firmą.

– Poinformujesz o tym policję?

– Nie chcę, dopóki nie dowiem się, że się tym zajmowała.

Howard otworzył jej biurko i szafy na dokumenty, ku swemu zaskoczeniu Louis niczego jednak nie znalazł.

Przeszedł przez korytarz do pomieszczeń komputerowych, gdzie Howard zdążył już zalogować się z kilku terminali.

– Mogę zajrzeć na jej konta komputerowe?

– Ona nigdy nic nie mówi – stwierdził Howard.

– Wiem, ale pracowała nad tym.

Howard zalogował się z jeszcze jednego terminala, tym razem używając nazwy i hasła Renée.

– Widział ją ty już?

– Nie.

– Ona ciebie kocha.

– Naprawdę?

Howard skinął głową.

– Miłość, miłość, miłość, miłość – powtarzał bezmyślnie, uruchamiając program narzędziowy XFILES.

– To pliki tekstowe, które zmieniała albo utworzyła od ostatniej kopii zapasowej, czwartego czerwca. Dostatecznie daleko w tył?

Było tam tylko sześć plików – trzy krótkie listy do innych naukowców i trzy z jej artykułami na temat Tonga. Louis przewinął tekst każdego z nich.

– Jesteś pewien, że to wszystko?

– Wszystko, co tu jest.

– Czy to możliwe, by ktoś inny dostał się do jej kont?

– Tak, to prosta sprawa. Ma głupie hasło operatora. Po prostu „OP”. Naprawdę głupie.

– Przepraszam, że cię uderzyłem. Byłem zazdrosny.

– Miłość, miłość, miłość – odrzekł Howard.

Wieczorny chłód wkradał się do holu budynku, który znalazł pod adresem przy Washington Street. Na liście mieszczących się tam instytucji znajdowała się Agencja Ochrony Środowiska Stanów Zjednoczonych, ale nocny strażnik powiedział mu, żeby wrócił w poniedziałek, bo wszyscy poszli do domu.

– Muszę się z nią zobaczyć – powiedział Louis do słuchawki.

– Może w poniedziałek – odpowiedziała pani Seitchek ze swojego pokoju hotelowego.

– Muszę się z nią zobaczyć. Kiedy pójdzie pani do niej rano, proszę zapytać, czy jej zdaniem mógł to... zrobić ktoś ze Sweeting-Aldren.

– Sweet... i co?

– Sweeting-Aldren. Przedsiębiorstwo chemiczne.

– Louisie, wydaje mi się, że powinieneś porozmawiać o tym z policją, a nie ze mną.

– Proszę jej powiedzieć, że moim zdaniem to mógł być ktoś ze Sweeting-Aldren. Powie jej pani? Sama zdecyduje, czy powiadamiać policję. Decyzja nie należy do mnie.

– Coś tu się dzieje, a ja chyba mam prawo wiedzieć, co to takiego.

– Dam pani mój numer telefonu i proszę jej przekazać, co powiedziałem.



Całą sobotę spędził w bibliotece Wydziału Nauk o Ziemi na piętrze nad uniwersyteckim Muzeum Peabody, żeby odszukać i skopiować garść artykułów, od których Renée zaczęła sześć tygodni wcześniej. Wszystkie tam były, z jedną różnicą – wszystkie były prawdziwe. Ponownie przeczytał artykuł A. F. Krasner, starając się wyczuć w nim żeńskiego ssaka, który go stworzył, ale zarówno styl, jak i krój czcionki były stare i wyschnięte.

Automatyczna sekretarka na Marlborough Street powiedziała: „Louisie, mówi Liz Seitchek. Możemy spotkać się jutro o dziesiątej rano na chirurgicznym OIOM-ie”.

Penny Spanghorn z Kanału 4 poinformowała, że stan Renée Seitchek jest poważny, ale stabilny, a pacjentka przebywa w szpitalu Brigham & Women's. Oświadczenia z wyrazami współczucia i oburzenia nadeszły od Narodowej Organizacji Kobiet, organizacji Planned Parenthood, od burmistrza Bostonu i rektora Harvardu. W poszukiwaniu napastnika zaangażowana była policja z całego obszaru metropolitalnego. Prowadzony przez niego samochód został skradziony w czwartek rano z wypożyczalni Hertz na lotnisku Logan. Nie było żadnych innych istotnych tropów.

Tymczasem zajmująca pierwsze miejsce drużyna Red Sox zaczynała serię siedmiu meczów u siebie, na Fenway Park.

Eileen wyszła z głównej sypialni i spojrzała żałośnie na Louisa. Wielkie łóżko za jej plecami przykrywały publikacje encyklopedyczne oraz leżący na wznak Peter. Louis odstawił sok pomarańczowy i ją objął. Ucisnęła go tak mocno, że aż go zabolalo. Potem wręczyła mu plastikową kartę i powiedziała, żeby poszedł wypożyczyć dwa filmy.

– Proszę głęboko oddychać – powiedziała pielęgniarka.

Renée oddychała. Jej wymizerowana twarz była mocno naznaczona i pomarszczona bólem, który wywoływało istnienie w ogólności, a oddychanie w szczególności. Włosy miała potargane i pełne łupieżu, uszy odsłonięte. Była podłączona do kroplówek, ale oddychała samodzielnie.

– Trochę głębiej?

Zdobyła się na ten wysiłek.

– Proszę zakaszleć.

Zakaszlała.

– Może się pani teraz położyć. – Pielęgniarka zerknęła na zwisający z łóżka woreczek z moczem i zostawiła ją samą z Louistem. Natychmiast rzucił się na kolana i przycisnął wolną rękę Renée, tę rękę bez rurki, do oczu. Ona jednak od razu przeszła do rzeczy, mówiąc głosem słabym i dokładnym:

– Mama mówiła, że twoim zdaniem to oni mi to zrobili.

Puścił jej dłoń i przysunął sobie krzeselko.

– Jak się czujesz?

– Wszystko mnie boli. – Zmarszczyła brwi, jakby nie spodobało jej się, że zmienił temat. – Dlaczego sądzisz, że to oni?

– Bo w twoim mieszkaniu nie znalazłem żadnych naszych dokumentów.

– Byłeś w moim mieszkaniu?

– Aha, tak.

Wciąż smutno marszczyła brwi.

– To jest w dużej kopercie – powiedziała. – W szarej kopercie. W dużej szufladzie mojego biurka.

– Nie ma tego. Tam tego nie ma.

Przez moment skupiła się na oddychaniu. Na stojaku obok jej poduszek leżał stos grubych paczek z nieotwartymi kopertami.

– Była tam – powiedziała. – Pamiętam, że tam była.

– Wiedzieli, że się tym interesowałaś?

– To było takie głupie z mojej strony... Nawet mnie to już nie obchodziło.

– Powiedziałaś o tym jeszcze komuś?

– Nie. Ale komputer w pracy... Tam jest list i artykuł.

– Nie wydaje mi się. Sprawdziliśmy to z Howardem.

Teraz uśmiechnęła się z bólem, ukazując wszystkie zęby.

– O rany.

– Będziesz musiała poinformować policję.

- O rany, co im powiem?
- Miałaś kopie tego artykułu?

Skinęła głową.

– Na małej taśmie. Pięciodłowej taśmie, w szufladzie, w klimatyzowanym pomieszczeniu. Takie szare biurko.

– Jest jakoś oznaczona?

– To taśma, której używałam. Napisałam na niej „Nie kasować”. Niech Howard ci to wydrukuje. Możesz wysłać to do prasy. Do Larry’ego Axelroda.

Nastąpiła cisza. Jej płytki oddech ledwo poruszał okrywającym ją prześcieradłem.

– Bardzo za tobą tęsknię – oświadczył Louis. – Naprawdę cię kocham.

Patrzyła w sufit; nadal na niego nie spojrzała. Dotknął jej włosów i kiedy poczuł je, a także ciepło skóry na jej głowie, nie mógł się powstrzymać, żeby nie nachylić się nad Renée i nie pocałować jej w usta. Miała nabrzmiałe i nieruchome wargi. Wydzielały silny zapach lekarstw, niepasującą do Renée woń, ostrą i przesłodzoną jednocześnie, podobną do formaldehydu – zapach nagle realnej możliwości, że może mu po prostu nigdy nie wybaczyć.

Biały matador wtoczył się na parking laboratorium Hoffmanna o pierwszej po południu i wyrzucił Howarda z fotela kierowcy. Miał mokre włosy i był wyraźnie podenerwowany. Właśnie spał, kiedy tuż po południu

zadzwoił do niego Louis.

– Jej artykuł jest na taśmie – powiedział Louis. – Musisz mi pomóc go wydrukować.

Sapiąc gniewnie, Chun wpuścił go do budynku.

– Co za taśma?

– Jest na niej napisane „Nie kasować”.

Howard wszedł do pomieszczenia komputerowego i ze stołu z terminalami wziął jakąś taśmę.

– Ta?

Na nalepce ręką Renée napisane było „Nie kasować”. Posapując, Howard założył taśmę na napęd w lodowatym przybytku jednostki centralnej i przesłał polecenia z terminala. Zaczął jeszcze mocniej sapać.

– To nie ta – powiedział. – Ta jest Terry’ego.

Przeszukali oba pomieszczenia w poszukiwaniu innej pięciocalowej taśmy z napisem „Nie kasować”. Przyszedł Terry Snall i zapytał, czego szukają.

– „Nie kasować”? – Przez jego twarz przemknął wyraz trwogi, ale natychmiast się opanował. – Och, tak. Właśnie z niej skorzystałem.

– Renée coś tam miała – powiedział Louis.

– No to już nie ma – odparł Terry z lekkim śmiechem.

– Chcesz powiedzieć, że skasowałeś nagranie?

– Nie zamierzam czuć się z tego powodu winny.

– Skasowałeś taśmę?

– Nie zamierzam czuć się z tego powodu winny – powtórzył Terry. – Nie była zabezpieczona przed zapisem

ani podpisana i chociaż wiem, że teraz wszyscy żalują Renée, i to, co się stało, jest straszne, ale faktem jest, że jeśli dalej chce usuwać pliki innych ludzi, nie informując ich o tym, to nie może się skarżyć, że wykorzystałem jej niepodpisaną taśmę.

– Wymazałeś jej taśmę? A potem poszedłeś do szpitala i udawałeś, że jesteś jej chłopakiem?

– Nie oczekuj, że będę czuł się winny – odparł Terry. – Bo nie zamierzam.

Na tym etapie weekendu wielkie łoża Eileen i Petera przybrało wygląd barki mieszkalnej. Poza bankowymi tekstami i notesami Eileen pokrywały je magazyny „Esquire” i „GQ” Petera, pilot telewizora, walkman i porzrzucone taśmy, pomięte części garderoby, herbatniki Pepperidge Farm, wielka butelka dietetycznej coli i litrowe opakowanie jogurtu z pływającymi w nim pałeczkami marchewek. Louis nie przyjął zaproszenia Eileen do wejścia na pokład; relacjonował im wydarzenia, siedział przy drzwiach, obok klatki Milтона Friedmana.

Początkowo tylko Eileen chłonęła jego słowa w nabożnym skupieniu, Peter natomiast wciąż większość uwagi poświęcał prezentowanym na ekranie najciekawszym fragmentom turnieju w Wimbledonie. Ale niebawem wzrok Eileen zaczął mętnieć od zdezorientowania i nadmiaru informacji, wzmoгло się zaś zainteresowanie Petera. Ściszył dźwięk relacji z rozgrywek tenisowych i ostrym i niecierpliwym głosem

zaczął zadawać Louisowi pytania. Potem zupełnie wyłączył telewizor i wbił wzrok w zasłony na oknach. Krew odpłynęła mu z twarzy.

– O co chodzi? – zapytała Eileen.

Peter zwrócił się do Louisa.

– Cztery miliony litrów. Kiedy przyszlście tamtego wieczoru, a ona zaczęła mnie o to wypytywać, już wiedzieliście o odwiercie?

– Tak, to prawda.

– Dlaczego mi nie powiedzieliście?

– Hm, właściwie to był mój pomysł. Chyba nie chcieliśmy, żeby twój tata coś zwierzył.

– Mój t a t a? – Peter zanurzył dłonie we włosach. – Och, świetnie. To naprawdę, kurwa, świetnie.

– Wówczas wydawało się to rozsądne – stwierdził Louis.

– Nie mogę w to uwierzyć. Wystarczyło tylko mi o tym powiedzieć i nie wydarzyłoby się nic z tych rzeczy. Pamiętasz – Peter zwrócił się do Eileen – jak w styczniu zadzwoniła do mnie Rita i tam pojechałem? – Odwrócił się do Louisa. – Jakiś rok jej wtedy nie widziałem.

– Miała problemy z alkoholem – powiedziała Eileen.

– W każdym razie chciała się ze mną spotkać. Powiedziała, że się boi. Pojechałem więc i od razu zobaczyłem rozbite szyby w dwóch oknach od frontu. A ona pokazała mi dziurę po pocisku w suficie.

Eileen wpatrywała się w niego.

– C o?

Peter skinął głową, unikając jej spojrzenia.

– Oczywiście nie trzeba dodawać, że była już nieźle wstawiona. Musiała trzymać się mebli, żeby zachować równowagę. Ale chciała mi powiedzieć, że jeśli coś się jej „przydarzy”, to mam powiedzieć policji, że to wina firmy. Wstawiła mi gadkę, jaka to jest nieszczęśliwa z powodu tej swojej renty, jak to brakuje jej pieniędzy, jak próbowała przekonać firmę do lepszego układu. Chodziło o szantaż. Bo tak się składa, że ona wie, co ci goście robią z tymi swoimi wstrętnymi toksycznymi odpadami. Mówi mi: „Oni tego nie spalają, Peter. Twierdzą, że tak robią, ale to nieprawda. To cztery miliony litrów rocznie, a oni tego nie spalają”. Pytam ją więc, co z tym w takim razie robią, ale nie chce mi tego zdradzić. Mówi: „Jeśli ci powiem, a on się dowie, to mnie zabije”. Dokładnie tak. Dokładnie. Zapytałem ją, kim jest ten „on”. A ona na to, że chodzi o mojego ojca.

Usta Eileen ułożyły się w nieme „co?”.

– Mój własny tata. Mówi mi, że to mój własny pierdolony tata roztrzaskał jej okna w salonie kulami z pistoletu. A ja nawet nie wiem, czy mam jej wierzyć. To znaczy, jestem gotów uwierzyć w prawie wszystko na temat mojego starego. Ale kiedy ostatnio miałem z nią kontakt, byliśmy zaprzysięgłymi wrogami, bo nie chciałem dla niej dłużej pracować. Powiedziałem więc: „No wiesz, może i mój tata to faszystowska świnka, ale



nie jest głupcem. Nie w mówisz mi, że to właśnie on strzelał”. Ale ona twierdzi: „Thérèse widziała samochód. Jego samochód”. No to ja wtedy, bo tak naprawdę w to nie wierzę, mówię jej, żeby zadzwoniła na policję. A ona na to: „On mnie zabije, jeśli pójde na policję”. Dokładnie tak. I mówi, że nie chce umierać, bo stary Jack jej powiedział, że w następnym życiu odrodzi się jako kaktus. A ona nie chce być kaktusem, więc nie chce umierać. Zaczęła płakać, ledwo stała, więc co miałem zrobić? Wyniosłem się stamtąd. Sami wiecie, jak to jest: odłożyć na bok i zapomnieć.

Na unieruchomionym przez flautę łóżku zapadła cisza. Peter, z szeroko otwartymi ustami, pokręcił głową. Twarz Eileen bardzo pociemniała.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś – odezwała się złowieszczym szeptem. – Powiedziałeś, że chciała, żebyś pomógł jej przy nowej książce.

– Tak, wiem. Ale co miałem zrobić? Przede wszystkim jej nie wierzyłem. A po drugie, powiedziała, że on ją zabije, jeśli komuś o tym powie. Bałem się. Rozumiesz?

– Powiedziałeś Renée – cicho upierała się Eileen, wpatrując się w narzutę.

– Bo Rita już nie żyła. Ta cała sprawa była już nieistotna. A do tego nadal nie wiedziałem, czy powinienem jej wierzyć. Miała wrogów w Ipswich, w związku z tą piramidą. Wydawało mi się, że zmyśliła tę całą sprawę z moim tatą.

– A jednak nie zmyśliła – stwierdził Louis.

– Zgadza się. Ale to nie ona, tylko Renée dostała kulkę. I powiem wam, że ten, kto pociągnął za spust, to nie był jakiś pierwszy lepszy koleś, lecz mój pierdolony tata.

– Proszę, przestań przeklinać – odezwała się Eileen.

Peter przerzucił nogi przez nadburcie łóżka i zaczął zakładać swoje najki.

– Nie wiem jak wy – powiedział – ale ja tam jadę. I to natychmiast.

– Może powinniśmy pozwolić policji...

– Nie mogę tego przegapić – stwierdził Peter. – Pół życia na to czekałem.

Eileen uśmiechnęła się nerwowo do Louisa.

– Chyba też pojedziemy.

– Tak sądzę.

Kiedy Peter szykował się w łazience, wlała wodę do buteleczki Milтона Friedmana. Myszokoczek wspinał się po prętach klatki, jego lędźwie i barki drżały, kiedy próbował wytknąć na wolność swój przypominający penis łebek.

– Tak się przeraziłam – powiedziała do Louisa. – Peter nie jest w zbyt dobrych stosunkach z ojcem.

– Wygląda na to, że dużo w tym jego winy.

– Będiesz na niego uważał?

– Oczywiście. To twój chłopak.

Uparła się na jazdę samochodem Louisa, bo nie

chciała, żeby prowadził poirytowany Peter. Louis nie pamiętał, kiedy ostatnio gdzieś wiózł Eileen. Być może jeszcze nigdy tego nie robił. Kiedy mknęli na autostradzie Northeast, na której w niedzielny wieczór panował niewielki ruch, Peter mamrotał coś pod nosem i przeklinał na tylnym siedzeniu, rodzeństwo Hollandów natomiast milczało. Eileen wyglądała, jakby się postarzała po tygodniu pracy w rzeczywistym świecie; była jakby twardsza, poważniejsza i większa, chociaż w rzeczywistości nawet nieco schudła. Jej spoczywające na podolku dłonie prawie zupełnie straciły delikatność – stały się rękoma, których przeznaczeniem było kurczowe ściskanie materaca podczas seksu, podawanie łyżeczką jedzenia do ust dziecka, podpisywanie kontraktów i przeprowadzanie kontroli wiarygodności kredytobiorcy.

Wyjeżdżając do Lynnfield z drogi numer 128, zostawili za sobą dzienne światło i znaleźli się wśród podmiejskiego zmierzchu rzucających cień drzew, nieruchomych i jarzących się na niebiesko trawników i pól oraz powietrza, którego nie przeszywał żaden dźwięk gwałtowniejszy od szmeru opon przejeżdżających aut. Na przedmieściach przyroda dawała o sobie znać w sposób niewyraźalnie łagodny. Układała się i szeptała jak ciepła fala między morzem o czarnym dnie a wyschniętym lądem, między przerażonym, żalobnym lasem a miastem, w którym

miejsce natury zajęła inna natura. Trawniki chętnie wydzielają zapach trawy i ziemi, obnażone wyciągały się wygodnie pod niebem, któremu można było zaufać. Każdy dom był jak matka, cichy, odsunięty od dróg, z oświetlonymi oknami, jako przedmiot zawsze gotów witać i ochraniać, ale jako podmiot zawsze świadomy prawdy, że dzieci przestają być dziećmi i odchodzą, a zagroda, która tak wita i ochrania, będzie cierpieć z powodu ich nieobecności, będzie tak cierpieć cały czas, bo jest przedmiotem.

Eileen pokierowała Louisa na ulicę, przy której stało tylko sześć domów, a największy z nich należał do Stoorhuysów. Peter wprowadził ich przez frontowe drzwi. Salon Stoorhuysów był długim, sprawiającym bardzo oficjalne wrażenie pomieszczeniem z niskim sufitem, którego naturalne oblicze maskowały ciężkie kwieciste zasłony i piętnaście czy dwadzieścia kiepskich olejnych obrazów w bogato zdobionych, pozłacanych ramach. Wszystkie malowidła przedstawiały europejskie miasta: mokre od deszczu kocie łby, hotele z zamkniętymi okiennicami i chropawe pałace w kolorze staromodnych ubrań, w tych wszystkich rdzawych czerwieniach, w tych wszystkich żółtawych umbrach, w tych wszystkich bielach spływających i tworzących skorupę jak guano – Europa bez ludzi.

W kuchni Stoorhuysów prym dzierżyły kwieciste wzory. Małe bukieciki pachnących kwiatów jak pleśń

pokrywały obicia krzesel i tapety, pikowane pokrowce na robocie kuchennym i mikserze, kamionkowe talerze i misy, emaliowane pokrywki elementów kuchni i gliniane garnki z mąką, cukrem i kawą. Jedna z sióstr Petera, szczupła, nieśmiała, brzydka blondynka ubrana w letnim uczelnianym stylu, prażyła kukurydzę w mikrofalówce. W przyległym pokoju dziennym państwo Stoorhuysowie siedzieli w blasku i wrzasku serialu kryminalnego *Napisala: morderstwo*.

Eileen przedstawiła Louisa nieśmiałej Sarze, a potem matce Petera, która wstała na powitanie gości. Była wysoką, łagodną kobietą o bezwstydnie zniszczonej twarzy i za długich włosach. Louis szybko uścisnął jej dłoń i natychmiast podążył za Peterem do pokoju dziennego. Kiedy Peter wyłączył telewizor i odwrócił się do ojca, również Louis dotknął przycisku zasilania i odwrócił się w podobny sposób, ustawiając się obok Petera jak jego sekundant.

Pan Stoorhuys siedział rozwalony na skórzanej sofie. Miał na sobie koszulę w stylu Ferdinanda Marcosa, z łączonymi pod krawatem wielkimi kołnierzykami.

– Może byś tak to z powrotem włączył, Pete?

– Peter, my oglądamy – powiedziała pani Stoorhuys od drzwi.

– Tata ma nam chyba coś do powiedzenia – odrzekł Peter. – Prawda, tato?

Stoorhuys podniósł wzrok z rezerwą, próbując

doszukać się związku między swoim synem a Louisem.

– O ile mi wiadomo, nie – powiedział.

– Nie masz nic do powiedzenia na temat Renée Seitchek?

– Och, ta biedna dziewczyna – odezwała się pani Stoorhuys.

– To dziewczyna Louisa – powiedziała Eileen. Usiadła w fotelu bujanym i niewidzącym wzrokiem przewracała strony podniesionej z niskiego stolika książki pod tytułem *Kolorowa wyspa St. Kitts*.

– To twoja dziewczyna? – Pani Stoorhuys była poruszona. – To straszne!

– Tak, to straszne – odrzekł Peter, podczas gdy Louis bezskutecznie próbował przygwoździć Stoorhuysa wzrokiem. – Nieprawdaż, tato? Ktoś strzela jej w plecy, a potem zwała winę na kogoś innego. Co za cholerna szkoda, że nie umarła, prawda? Wtedy nikt by się nie dowiedział, że jej dokumenty zniknęły.

Odgłosy trzaskającej w kuchni kukurydzy brzmiały jak stłumiona strzelanina. Siedząc na sofie, Stoorhuys otworzył numer „Architectural Design” i głaskał bujny lok na czole, starając się go odpowiednio ułożyć.

– Chyba czegoś nie rozumiem, Pete.

– Jej dokumenty – ciągnął Peter. – Dokumenty wskazujące, kto był odpowiedzialny za trzęsienia ziemi. Powiedziała o tym policji, tato. Lada moment przyjadą do Peabody.

– Peter, o czym ty mówisz? – zapytała matka.

– To był tylko wypadek, tak, tato? Chciałeś ją tylko nastraszyć? Wystrzelić kilka razy nad jej głową. Ale nagle... O, do diabła. Ona tu stoi. Wystarczy, wystarczy... po prostu ją zabić, tak? Dlaczego po prostu jej nie zabić?

Peter trząsał się tak bardzo, że łokciem uderzał w łokieć Louisa. Stoorhuys przewrócił stronę czasopisma i z zaciśniętymi zębami udawał, że czyta.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Och, tak? Uważaj na niego, mamó. Musi gdzieś zadzwonić. Tylko patrz. Mogę cię zapewnić, że zaraz będzie dzwonił. Albo będzie musiał na moment wyjść. Odczeka, aż nie będziesz patrzeć, albo wstanie w nocy. Pojedzie do Peabody albo ucieknie w popłochu.

Stoorhuys kręcił głową, jakby w głębokim smutku, i nie odzywał się. Twarz miał jednak pokrytą potem, a ręce mu drżały.

– Davidzie – odezwała się pani Stoorhuys. – O czym on mówi?

– Nie wiem – odparł. – Ciągle to samo. On jest dobry. A ja jestem zły. On jest bystry, a ja głupi.

– Masz absolutną rację – stwierdził Peter. – A może to ja pompuję toksyczne odpady w głąb ziemi? I wywołuję trzęsienia ziemi?

– To kłamstwo.

– Kłamstwo? Jego dziewczyna jest w szpitalu... – Peter skinął głową w stronę Louisa, który wciąż nieustępliwie

wpatrywał się w Stoorhuysa – i nie uważała, że to kłamstwo. A wszystko, czym dysponowała, co stanowiło dowód, że to prawda, zostało skradzione tego samego dnia, kiedy do niej strzelano. A ty mówisz, że to kłamstwo?

Stoorhuys przerzucił w tył strony magazynu, przyglądając się zdjęciom.

– Nic o tym nie wiem.

– Tylko na niego patrz, mamó. Zobaczysz, że będzie dzwonił. Musi zadzwonić.

Pani Stoorhuys go nie słuchała. Masowała obojczyk, sprawiając wrażenie, jakby stojący u jej stóp beniaminek lada moment miał doprowadzić ją do łez.

– Jeśli ktoś nas szkaluje – odezwał się Stoorhuys – będę musiał poinformować o tym firmę. Ale to nie...

– Jasne, firma, firma. Tylko to się liczy, nieprawdaż, tato? Kogo obchodzi mama? Ona jest tylko człowiekiem. A firma...

– Ta firma opłaciła twoją edukację! – Stoorhuys zerwał się z sofy i ruszył na syna. – Ta firma wyprostowała ci zęby! I od dwudziestu lat cię karmi i ubiera!

– Wyprostowała mi zęb y? Boże, czy tobie się wydaje, że mieszkamy w C h a r l e s t o w n? Wydaje ci się, że zarabiasz trzydzieści tysięcy rocznie?

Równie szybko, jak się podniecił, Stoorhuys ponownie się uspokoił. Westchnął i z niewiadomego



powodu zdecydował się zwrócić do Louisa:

– Widzisz, z czym spotykam się w domu? – powiedział. – Widzisz, jak mi dziękują?

Louis przybrał wyraz absolutnej powagi i nic nie odpowiedział. Patrzył, jak starszy mężczyzna sięga po leżącą na oparciu sofy lekką bawełnianą marynarkę w prążki, maca po kieszeni w poszukiwaniu kluczyków i wkłada kościste ramiona w rękawy.

– Janet, muszę na chwilę zajrzeć do biura. Jestem pewien, że istnieje proste wyjaśnienie tej sprawy.

Chociaż pani Stoorhuys skinęła głową, minęła dłuższa chwila, zanim podniosła wzrok z beniamina; spojrzała wówczas na męża, jakby nie słyszała jego słów.

– Davidzie – powiedziała. – Nigdy nie wtrącałam się do twojej pracy. Nigdy cię... nie naciskałam. Nigdy nie zadawałam pytań, które... mogłabym zadawać. Ale teraz musisz mi powiedzieć: naprawdę nie masz nic wspólnego z tym, co... stało się z tą dziewczyną? Tylko tyle chcę wiedzieć. Po prostu musisz mi to powiedzieć.

Kruchość jej opanowania i drżenie jej głosu wprowadziły w zakłopotanie nawet Louisa. Pan Stoorhuys zacisnął dłonie w kulaki i rozglądał się po pokoju w poszukiwaniu jakiegoś nieożywionego przedmiotu, na którym mógłby się wyładować. Jego wzrok padł na Petera. Gorzko się uśmiechnął.

– Widzisz, coś narobił, Pete? Teraz jesteś zadowolony? Teraz, gdy ona jest po twojej stronie?

– Zadałam ci pytanie – powiedziała pani Stoorhuys. – I chcę, żebyś na nie odpowiedział. Nigdy nie zadawałam ci pytań, ale uważam, że mam prawo cię o to zapytać.

– Och, ależ oczywiście, nieprawdaż? – odrzekł Stoorhuys, płonąc z wściekłości. – Tylko że może troszkę się spóźniłaś. Może spóźniłaś się o jakieś dwadzieścia lat. – Ponownie odwrócił się w stronę Louisa. – Dwadzieścia lat temu dostałem podwyżkę, która z dnia na dzień niemal podwoiła nasze dochody. A kiedy jej o tym powiedziałem, wiesz, o co mnie zapytała?

– M a m p r a w o z a p y t a ć c i e t e r a z – powtórzyła.

– Wiesz, o co mnie zapytała? – Zbliżył się do Louisa, z lekkim uśmiechem, powoli przygotowując puentę. – Zapytała, czy możemy kupić dom, w którym dzieci będą miały własne pokoje. I to wszystko. Do tego ograniczyło się jej zainteresowanie.

– A dlaczego niby miałam cię wypytywać? Sam mogłeś mi powiedzieć!

Stoorhuys nie zwracał na nią uwagi, nadal mówiąc wyłącznie do Louisa:

– Zrezygnowałbym z tej pracy, gdyby wówczas zadała mi choć jedno pytanie na ten temat. Byłem gotów zrezygnować. Jedno pytanie załatwiłoby sprawę. Ale sam widzisz, ja się nie liczyłem. Nawet wtedy się nie liczyłem. Byle tylko dzieci miały własne...

– Peter, czy byłam dobrą matką? Czy byłam dla ciebie

dobrą matką?

– Dwadzieścia lat – powiedział Stoorhuys. – Dwadzieścia lat, a ona postanawia t e r a z zadać mi pytanie. Mogła zapytać mnie tydzień temu, miesiąc temu czy rok temu. Ale przez dwadzieścia lat, dzień po dniu...! Ona nie ma żadnego prawa stawiać mi teraz żadnych pytań. A Peter nie ma prawa obwiniać mnie o to wszystko. Nie jest bezstronny. Musisz zrozumieć, jak to z nią jest. Słyszę, jak rozmawia z nim przez telefon. Słyszę, jak wypytuje go o pracę, jak mu radzi i mówi mu, co ma zrobić. Ale n i g d y ani słowa, n i g d y jednego słowa o m o j e j pracy. Mojej pracy, dzięki której to wszystko ma.

– Lepiej było nie...

Odwrócił się na pięcie i krzyknął jej w twarz:

– Ani słowa! – Uniosła dłonie i zatrzymała je dwa centymetry od uszu. – Ani słowa! Dokonałaś wyboru, wybrałaś dzieci i teraz uważasz, że masz prawo stawiać mi pytania? I mnie obwiniać? Kto twoim zdaniem skorzystał na tych dwudziestu latach? Myślisz, że ja? Myślisz, że niczego nie poświęciłem? Janet, i Peter, ty też mnie posłuchaj, Janet, nawet nie wiesz, jakim dobrym byłem mężem. I nigdy się tego nie dowiesz.

Louis widział teraz wyraźnie, że gdyby ten mężczyzna miał w ręce pistolet, byłby w stanie ją zabić. Wszyscy to widzieli. Pani Stoorhuys ukryła twarz w dłoniach. Kiedy Peter podszedł, żeby ją pocieszyć,

wywinęła się z jego uścisku i wybiegła z pokoju.

Peter pobiął za nią.

– Mamo...

Usłyszeli, jak kobieta potyka się na schodach i jak Peter krzyczy:

– Mamo!

Louis i Eileen patrzyli na Stoorhuysa, który wyjmował z kieszeni kluczyki do samochodu.

– Czyli strzelił pan do niej? – odezwał się Louis mimochodem.

Zaskoczony Stoorhuys podniósł na niego wzrok. Sprawiał wrażenie, jakby aż do tej chwili nie zauważył twarzy Louisa.

– Nawet cię nie znam – powiedział, wychodząc z pokoju.

Zapadła cisza. Eileen zakotłosała się na fotelu i przewróciła stronę *Kolorowej wyspy St. Kitts*.

– O rany – odezwał się Louis.

– Czyż to nie okropne?

– Wszyscy, łącznie ze mną, którzy mieli cokolwiek wspólnego z tą firmą, są jak przeklęci.

– Zaopiekuję się tobą. Będiesz moim maleństwem.

– Tak, jasne. Pierwsze słyszę.

Peter wrócił do kuchni, paląc papierosa. Nalał do szklaneczki whisky na dwa palce i uniósł w ręce półtoralitrową butelkę, tak żeby Eileen i Louis widzieli ją z pokoju dziennego.

– Tak, proszę – odpowiedzieli.

Siedzieli, popijali i pocili się na tarasie przy basenie, nad którym w powietrzu wisiały spaliny z porsche'a ojca Petera. Dmuchawa centralnego systemu klimatyzacji w domu Stoorhuysów przerwała pracę, a Eileen zdjęła buty i zanurzyła stopy w basenie.

– Co się teraz stanie? – zapytała.

Louis wsłuchiwał się w cykanie świerszczy i piski nietoperza.

– Dochodzenie – powiedział. – Wielki smród w prasie. Może jakieś sprawy sądowe. Jeśli będziemy mieli szczęście, w końcu o tym zapomnimy.

Peter odezwał się z trampoliny, na której siedział.

– W zasadzie się przyznał, że pociągnął za spust. I jak mam się z tym pogodzić? Czy miałem zadzwonić po policję? Związać go?

W sypialniach na piętrze jedno po drugim gasły światła. Ponownie włączyła się klimatyzacja. Wylączyła się, włączyła, a Louis się zastanawiał, czy sam po prostu nie umrze, gdy następnym razem ustanie jej biały szum. Eileen, w staniku i majtkach, powoli pokonywała kolejne długości basenu, płynąc na plecach. Peter przypominał zwłoki rozciągnięte na trampolinie. Louis skoncentrował się na dźwiękach klimatyzacji, próbując przewidzieć, kiedy przestanie działać, starając się z otwartymi oczami powitać tę małą śmierć. Zamiast tego usłyszał jednak w końcu odgłosy fałszywego poranka. Obudziły się nie

jeden czy dwa ptaki, były ich setki, a do tego zaczął skowytac pies sąsiadów.

Zataczając się, wstał z krzesła. Nie wiedział, co ma poczuć.

– No to nadchodzi – powiedział.

Eileen opuściła stopy na dno basenu, przy płytkim jego końcu. Wytrząsnęła wodę z ucha.

– Co?

Zaczęło się tak stopniowo, jakby delikatnie kołysały go ogromne niewidoczne ramiona; nie był w stanie powiedzieć, gdzie znajdowała się granica, kiedy w miejsce bezruchu pojawiło się wzbieranie głębsze i coraz bardziej wzbierające uczucie. Ogarnęło ich i przez jedną chwilę naprawdę było to jak szczytowanie – miał wrażenie, że nie może być nic cudowniejszego.

I nagle wydarzyło się coś niesamowicie poważnego, coś, co mógł porównać jedynie z kraksą, którą widział na Lake Forest Road, gdy był jeszcze w liceum, podczas jednego z wypadów na zakupy po części radiowe, gdy monotonne popołudniowe tam i z powrotem podmiejskiego ruchu ulicznego wyskoczyło z torów normalności i nawet kilkaset metrów dalej poczuł w kościach siłę uderzenia, wypełniający niebo jak błyskawica hałas nagłej śmierci, pisk hamulców, pisk opon, łoskot kolejnych zderzeń, naprawdę poważnych, nie jakichś stłuczek, a wszyscy w zasięgu wzroku rzucili się do biegu, przerażeni, we wszystkich kierunkach;

właśnie z taką samą mocą uderzenia, z tym samym okropnym poczuciem, że świat wyskakuje ze swoich torów, w tym samym nabrzmiałym i ogłuszającym proteście odkształcanego sztywnego materiału ziemia zadrżała i wybuchła, okna eksplodowały, a doniczki uleciały w powietrze.

Peter wpadł do wody, dziwacznie rozciągnięty, jak rzucony kot. Louis nawet nie poczuł wiatru, który smagał drzewa. Upadł i natychmiast sponiewierały go dwa meble tarasowe, które stanęły mu na palcach rąk metalowymi nóżkami i wbiły metalowe łokcie w żebra. Słyszał, jak sam wrzeszczy: „Och, daj spokój, TY DURNIU, TY DURNIU”, i słyszał Eileen krzyczącą daleko w dole, jak ofiara katastrofy morskiej wśród ogłuszającego huku fal u podstawy klifu. Podwórze za domem zdawało się tonąć w lipidowej warstwie humusu i gliny lodowcowej, wierzchołki drzew wokół kłaniały się sobie na zwijającej się skórce gleby. W powietrzu zaroilo się od ptaków, które krążyły jak oszalałe, rozsiewając chaos. Światła zgasły, a gwiazdy się rozmyły. Ziemia uderzyła Louisa jak sunąca w dół po zrytej koleinami drodze twarda platforma ciężarówki bez hamulców. Był przerażony, ale przede wszystkim wściekły na ziemię, na jej złośliwość. Chciał, żeby wreszcie przestała, a kiedy rzeczywiście w końcu tak się stało, podniósł się i kopnął ją z gniewu.

Eileen i Peter stali w płytkim krańcu basenu, z szeroko otwartymi ustami, żeby szybciej chłonać

powietrze. Patrzyli na niego, jakby ledwo go poznawali. Jeszcze raz kopnął w ziemię, spojrzął na ciemny dom, na odmienione podwórze i wymamrotał:

– Ależ bajzel.



## 16.

Pani Stoorhuys rozdawała w kuchni maski gazowe. Ubrana była w nieprzemakalne buty i płaszcz przeciwdeszczowy.

Kuchnia wyglądała tak, jakby została splądrowana przez włamywacza poszukującego ukrytych sreber. Sarah świeciła drżącym promieniem latarki na pudło ze sprzętem ratunkowym, a druga, nieco młodsza córka omiatała promieniem swojej latarki sterty potłuczonych naczyń z kwiatowym wzorem, zięjące szafki i wyplute przez lodówkę połyskujące wymiociny – rozbijającą się na rafie ostro zakończonego szkła brudną falę ketchupu, koktajlowych wisienek i musu jabłkowego. Niewiele kolorów oparło się białemu światłu latarki.

- Peter, pomóż siostrze założyć maski.
- Poszedł wyłączyć gaz – przypomniała jej Sarah.
- Nie potrzeba nam pomocy – dodała jej siostra.
- Hm, czy to naprawdę niezbędne? – zapytał Louis.

Pani Stoorhuys wręczyła mu maskę.

– Tu jest napisane, że należy używać masek, jeśli trzęsienie jest na tyle duże, że większość przedmiotów zostało wyrzuconych z kuchennych szafek. – Czytała napisaną na maszynie listę poleceń umieszczoną w pudle. – Jeśli są jakieś wątpliwości, należy założyć maski. Tutaj masz latarkę. Wszystkiego jest po osiem sztuk.

Maska była z lśniącego czarnego plastiku, z ciężkim nosem, który powodował, że opadała jak żywa. Siostry Petera już założyły maski i wyglądały jak straszliwi bramkarze hokejowi czy też służebnice Szatana. Takie głowy rysował Goya pod koniec życia.

– Dobra, z której strony wieje wiatr? – zapytała pani Stoorhuys.

– Nie ma żadnego wiatru – odrzekł Louis.

– Aha, hm. – Sprawdziła tabelę w instrukcji. – Pora nocna... lato... cisza... Tak, tutaj. Udać się na północ do Haverhill lub jeszcze dalej.

Peter wszedł do kuchni z wielkim kluczem nastawnym w dłoni i kulejąc, lawirował między uszkodzonymi urządzeniami i meblami. Zwichnął staw biodrowy. Poza nim nikt nie skarżył się na nic poza zadrapaniami i siniakami.

– Peter, to twoja maska gazowa – powiedziała matka.

– Maska gazowa?

– Maska gazowa – potwierdził Louis.

– Twój ojciec zostawił instrukcję w pudle z ekwipunkiem na wypadek trzęsienia ziemi.

Peter spojrzał na Louisa i obaj znacząco skinęli głowami.

– Dobra, gdzieś tutaj powinien być pistolet...

– Mamo, wiedziałaś, że w tym pudle są maski gazowe?

– Ależ tak.

– I nie zastanowiło cię, co się dzieje w Peabody? No wiesz, że coś takiego jest nam potrzebne? Czy to cię nie zmartwiło?

– Powiedział, że to na wypadek, gdyby wydarzyło się najgorsze, do czego najprawdopodobniej nigdy nie dojdzie. Sam wiesz, jaki bywał przewrażliwiony na punkcie bezpieczeństwa.

– Na pewno niczego takiego nie założę – stwierdził Peter.

– Pomyśl, że to teraz modne – rzucił Louis.

– Nie mogę znaleźć pistoletu – powiedziała pani Stoorhuys, grzebiąc w pudle.

Peter i Louis ponownie spojrzeli na siebie i skinęli głowami.

– Jak myślisz, gdzie on może być?

– Lepiej nie pytać, mamó.

– Podejrzewam, że na dnie rzeki – stwierdził Louis.

Przez wykrzywione drzwi niepewnym krokiem weszła Eileen, ubrana w dżinsy i śniegowce, które znalazł jej Peter, żeby miała co na siebie włożyć. Ciężko oddychała.

– Coś się pali – powiedziała. – Czuję dym.

– Załóż to – odezwał się Louis. – Niczego nie będziesz czuła. Albo taki przyjemny, plastikowy zapach.

Oczy jej się rozszerzyły.

– Fuj! Po co?

– Polecenie firmy. Zakładaj.

Wzięła maskę w dwa palce i uniosła jak jakąś skażoną rybę czy odrażający przyrząd.

– Z tyłu jest zatrzask – poinformował ją Louis.

– Myślałam o mamie – odezwała się. – Myślę, że powinniśmy do niej pojechać.

– Nie, jedziemy do Haverhill – oświadczyła pani Stoorhuys, zanurzając twarz w czarnym plastiku.

– Pojedziemy przez Ipswich – zaproponował Peter.

– Nie chcę nikomu psuć nastroju – wtrącił Louis – ale czy w tamtym kierunku nie ma przypadkiem jakiejś elektrowni jądrowej?

– Och, w Seabrook – odezwała się Eileen, a mina jej zrzędała.

– Jedźmy do Ipswich i posłuchajmy, co powiedzą w radiu – powiedział Peter.

Pani Stoorhuys przydzieliła swojemu wojsku kolejne elementy ekwipunku: kaski, kanistry z wodą, krakersy, puszki z mielonką, radio tranzystorowe, wytrzymałą apteczkę pierwszej pomocy. Na dnie kartonu leżały dwa wielkie samoprzylepne afisze z napisem SZABROWNIKOM WSTĘP WZBRONIONY! i czaszką ze skrzyżowanymi piszczelami. Louis dostał polecenie umieścić jeden z nich na drzwiach frontowych.

Mimo rozbitego szkła, pozrzuconych obrazów i ogólnego bałaganu frontowa część domu zachowała klimat dobrobytu. Być może była to kwestia puszystych dywanów. Ale Europa była zrujnowana, pałace

niebezpiecznie poprzecyłane, puste ulice rzucone brutalnie na poduszki sofy.

Obok Louisa przetoczyła się ogromna ciężarówka. Został obsypany żwirem i usłyszał tak wyraźne i tak mechaniczne krzyki i wrzaski, że brzmiały, jakby dobywały się z puszek. Zatoczył się, uderzony sporym kawałkiem tynku, który trafił go prosto w kask, ale podłoga już odzyskała panowanie nad sobą i pomyślał, że to miło ze strony Davida Stoorhuysa, że wyposażył go w kask.

Godzinę wcześniej Stoorhuys w pośpiechu zostawił otwarte drzwi do garażu, który zapadł się na stojące w nim kombi, wgniatając samochodowi dach, ale rozbijając tylko tylną szybę. Peter był w stanie wycofać autem z garażu, podczas gdy wszyscy pozostali trzymali wysoko w górze jedno ze skrzydeł ciężkiej bramy. Komunikację między nimi utrudniał plastik masek.

Na pierwszy rzut oka ulica Stoorhuysów wyglądała jak każda podmiejska ulica w środku ciemnej bezksiężycowej nocy: drzewa, krzewy, trawniki i jezdnia, wciąż stojące budynki, wszystko na swoim miejscu. Dopiero po chwili można było zauważyć subtelniejsze zmiany, lekkie wychylenie do przodu pozornie znieruchomiałego domu w nagłym odruchu mdłości, na wpół zapadnięty do wnętrza zarys oszklonego ganku, który już chciał się zawalić, ale nie dał rady, odkształcony aluminiowy siding, migotanie szkła w mulczu

i trzmielinie pod oknami. Garaż z trójdzielną bramą, w milczeniu wypuszczający po podjeździe lustro wody na ulicę. Migotania gazu błotnego w pokojach, w których niewidoczne rodziny korzystały z latarek. Jakby ziemia nadal była zdrowa, tylko wszystkie domy nagle zmarły na jakąś chorobę wewnętrzną.

Tymczasem woń samochodowych spalin, będąca w Ameryce zapachem życia, stanowiła gwarancję, że nie wydarzyło się nic poważnego. Czwórka Stoorhuysów cierpliwie siedziała w kombi w kaskach i pozbawionych wyrazu maskach, kiedy Eileen przytuliła Louisa i prosiła, żeby na siebie uważał. Nie musiał jej mówić, że wraca do szpitala w Bostonie; domyśliła się, że tak zrobi.

Kiedy już odjechali, włączył radio w samochodzie. W tym zakresie częstotliwości, w którym nadawała stacja WRKO, w eterze panowała cisza, więc szukał po skali, aż znalazł jakiś sygnał, dosyć słaby.

*...jego pierwsze trzy próby na pozycji pałkarza i miał szansę wyrównać, a nawet pobić rekord ligi wynoszący cztery uderzenia home run w jednym meczu, ale zamiast tego skończył na liście kontuzjowanych, z nadwerężonym prawym kolanem, którego się nabawił, nurkując za piłką w piątej rundzie. Czy był rozczarowany? „Jasne, wiecie, chciałbym mieć dwa uderzenia więcej do księgi rekordów, kto by nie chciał. Ale najważniejsza jest drużyna, w ostatnich kilku miesiącach nie graliśmy zbyt dobrze. Chcę po prostu wyjść na boisko i codziennie dawać z siebie wszystko dla drużyny”.*

*A w National League drużyna Cubs poradziła sobie ponownie, siedem do pięciu, z drużyną Reds w dziesięciu rundach, Atlanta z trudem wygrała trzy do dwóch z Pittsburghiem, Houston na czysto wygrało z Cards osiem do zera, Dodgersi pokonali cztery do dwóch Phillies, Mets Giants sześć do jednego, a w San Diego drużyny Pods i Expos toczą ząarty pojedynek, właśnie kończą o s i e m n a s t ą rundę, jest remis po trzynastu. Słuchacie wiadomości WGN, jest dwadzieścia pięć po jedenastej. Faceci, czy jesteście w tym wieku, że boicie się chesać, bo więcej włosów zostaje na grzebieniu niż na waszej głowie?*

WGN była z Chicago. Chicago, miejsce, gdzie ład był stabilny. Louis uruchomił silnik i ostrożnie wyjechał samochodem na pustą ulicę, bez przerwy kręcąc głową, żeby zrekompensować w ten sposób ograniczone pole widzenia.

*Zacniemy relację na żywo z trzęsienia ziemi, gdy tylko nawiążemy kontakt z jednym z naszych oddziałów. Wstrząsy były odczuwalne wzdłuż całego obszaru północnowschodniego, dotychczas nie mamy informacji o zniszczeniach czy uszkodzonych. Epicentrum najprawdopodobniej znajdowało się w pobliżu Bostonu i spora część Massachusetts jest aktualnie pozbawiona elektryczności czy połączeń telefonicznych. Jesteśmy jednak w kontakcie z naszym oddziałem w Bostonie i już za kilka minut połączymy się z nim. Ale najpierw wiadomość od Hondy z Schaumburga.*

Radio ożyło programami emitowanymi przez jakieś odległe stacje. Buffalo, St. Louis, Miami, Lincoln.

Pojawiały się jak gwiazdy, kiedy światła miasta gasną i nagle wszechświat może nadużywać swojej pozycji. W Quebecu mówiono o *le tremblement de terre*, które najwidoczniej wszyscy tam odczuli. W Hartford popękały tynki, na Manhattanie zapaliły się tablice rozdzielcze na stacji, z Worcester dochodziły niepotwierdzone informacje o poszkodowanych. Nadająca z niepełną mocą bostońska stacja WEEI informowała, że zniszczenia w centrum miasta były względnie niewielkie. W dzielnicy South Boston szalał pożar, a obecny tam reporter powiedział, że jest przynajmniej tuzin rannych, w Dorchester i Roxbury natomiast oraz dalej na południe położonych rejonach wciąż działa elektryczność i telefony. Na przedmieściach na północ od Bostonu dominowała złowieszcza cisza. Nastoletnia radioamatorka w Salem powiedziała, że w jej okolicy zawaliło się kilka ceglanych budynków, a ciśnienie wody jest bardzo niskie. Widziała łunę czegoś, co mogło być poważnym pożarem na północnym zachodzie, w Peabody lub Danvers. Ale wszystkie domy na jej ulicy stały i żaden nie wyglądał na poważnie uszkodzony. Krajowe Centrum Informacji o Trzęsieniach Ziemi oszacowało wstępnie wielkość trzęsienia na sześć stopni w skali Richtera, z epicentrum na wschodzie powiatu Essex. Pilot prywatnego odrzutowca zauważył duży pożar na zachodnim brzegu rzeki Danvers, a także mniejsze płomienie w centrum Beverly. Pojawiły się też



niepotwierdzone doniesienia z Portsmouth w stanie New Hampshire, że awaryjne wyłączenie elektrowni jądrowej w Seabrook odbywa się bez zakłóceń, co zdaniem prowadzącego program w WEEI nie mogło być prawdą, ponieważ elektrownia w Seabrook od połowy maja była zamknięta ze względu na modernizację systemu zabezpieczeń...

Wyłączył radio. Łąki i lasy po obu stronach były ciemne, bardzo ciemne. W lusterkach pojawiła się i powiększała migocząca światłami karetka pogotowia; kiedy go mijala, spod jej kół trysnął grad zapiaszczonej wody. Musiał zamknąć szyby i przez chwilę, w nagłej ciszy, nie mógł sobie przypomnieć, jaka jest pora roku ani godzina. Czy to wczesnojesienny wieczór? Karetka mijala go na zimnej, mokrej od deszczu drodze? Miał wrażenie, że jest jesień i niewiele mogło go przekonać, że jest inaczej. Gdyby tylko ta droga nie była taka ciemna albo nie taka prosta, albo gdyby trochę lepiej widział...

Firma Sweeting-Aldren wyprodukowała pigment Trójkąt Ostrzegawczy, widoczny w blokujących wjazd na drogę numer 128 pachołkach ostrzegawczych i w kurtkach patrolujących ulicę policjantów stojących na estakadzie, w której jedno z przęseł chyba straciło oparcie. W wilgotnym powietrzu pulsowały karmelowe światła ciężarówki służby utrzymania autostrad.

– Co za bajzel – stwierdził Louis, skręcając w ciemną ulicę biegnącą równoległe do autostrady. Twarz zaczęła

go swędzić od maski.

Jechał tą ulicą mniej więcej przez kilometr, mijając czarne zagłębienia, które brał za trawniki przed domami, kiedy jego reflektory wychwyciły błysk czegoś dziwnego w podszyciu po lewej – obnażony biały miąższ drzew ze świeżo odłamanymi kończynami i przypominający samochód kształt w nieprzypominającej samochod pozycji. Zwolnił i zawrócił, ustawiając pod kątem długie światła, żeby oświetlić całą scenę.

Rzeczywiście, był to samochód. Koła miał skierowane w niebo, a kabinę spłaszczoną i zagrzebaną w błocie, krzakach i opadłych z drzewa śmieciach u podnóża podjazdu drogi numer 128. Połamane karłowate klony i wydarta ziemia znaczyły trajektorię auta, kiedy spadało z autostrady. Nie wyłączając silnika, Louis przedarł się przez zarośla i gałęzie do rozbitego wozu. Tylko te fragmenty samochodu, które były oświetlone reflektorami, pognieciony metal i powykęciana karoseria, przypominały coś znajomego; u jego stóp panował wymowny, ciemny bezład, a pośrodku tego wszystkiego dostrzegł niewyraźną postać mężczyzny. Ciało było nietknięte, ale do połowy wypadło przez otwartą szybę po stronie kierowcy, rękami do przodu, rękami wygiętymi pod naporem wypadających za nimi ramion, ramion wygiętych, gdy oparły się na nich głowa i tors. Kąty, pod jakimi wygięte było ciało, odpowiadały kątom przyjmowanym przez ciało tancerza, kiedy dotyka

wiotkimi, zwiniętymi rękami twarzy, zbliża łokcie do piersi i zgina głowę, chcąc wzbudzić czułość, żalność lub uległość. Mężczyzna miał gruby kark, ubrany był w tanią różową koszulę i kiedy jeszcze żył, prawdopodobnie nigdy nie wyrażał ciałem takiej ekspresji, a jego postawa nigdy tak wiele nie mówiła o niczym innym, jak teraz mówiła o śmierci – bo nie było wątpliwości, że jest martwy.

Na autostradzie powyżej nie było żadnego ruchu. Potykając się, Louis obszedł samochód, z lekka użalając się nad sobą, i sprawdził, czy na pewno nie było w nim pasażerów. Nie widząc mężczyzny, poczuł, że nachodzą go wątpliwości, czy ten człowiek na pewno nie żyje. Wrócił do niego, przykląkł i dotknął jego szyi. Skóra była chłodna. Pchnął lekko głowę, która obróciła się do przodu. Odsunął ręce nieznanego. Usłyszał głosy, męskie i kobiece, dochodzące z łąk po drugiej stronie drogi, więc pobiegł, żeby powiedzieć im to, co miał do powiedzenia, czyli że mężczyzna nie żyje.

Siostry Petera skarżyły się na maski gazowe. Mówiły, że głupio się czują, mając je na głowach. Podkreślały, że nikt więcej, żaden policjant ani przechodzień, których mijali w Lynnfield Center i Middleton, nie nosił maski.

– Nie zdejmujcie ich – powiedział Peter, prowadząc samochód. – Wasze wątrobry będą wam za to wdzięczne.

Eileen oparła zmęczoną, ociężałą głowę o szybę obok tylnego siedzenia i pozwalała oczom otwierać się

i zamykać na mijane ciemne, rozmyte obrazy zamożnego przedmieścia. Mogłaby zasnąć, gdyby Peter co chwilę nie hamował przed rzeczywistymi czy też potencjalnymi niebezpieczeństwami: zerwanymi liniami wysokiego napięcia, zalanymi obniżeniami na drodze i zakrętami, które na pierwszy rzut oka wyglądały jak progi tektoniczne. Poddawała się kołysaniu ciała, a jej twarz w masce bezwolnie wciskała się w szkło, kiedy samochód podskakiwał i się przechylał. Zawsze odczuwała przyjemność, kiedy jechała i jechała, bez zatrzymywania się, a szczególną przyjemność sprawiało jej to teraz, gdy kołysała się bardzo długo i bardzo delikatnie, bo robił to samochód, a nie ziemia. Patrzyła na ukazujące się na zmianę lasy, osiedla i pola. Na południowym horyzoncie unosił się pióropusz oparów, wzbijał się z miejsca oddalonego o wiele kilometrów. Ujrzała go, a potem długo nie widziała, dopóki nie otworzył się kolejny widok na południe, a wówczas znowu go zobaczyła, pięść szarego gazu uderzającą w czarny brzuch nieba, jej kłębiące się kłykcie jarzyły się na pomarańczowo. Rozwijała się jak normalna chmura na normalnym niebie, wyglądając na nieruchomą, kiedy Eileen się w nią wpatrywała, ale natychmiast się zmieniając, gdy tylko odwracała wzrok. Początkowo był to przechylony w lewo nabrzmiały wykrzyknik, potem widok przesłoniło jej więcej drzew, a po chwili dym wygiął się i obwisł w znak zapytania. Zamykały jej się oczy, jazda kołysała ją do snu.

Wśród dźwięków rozbrzmiewających w samochodzie rozpoznawała słowa wypowiedane przez Petera, jego rodzinę i radiowego spikera, ale nawet najmniejsza próba zrozumienia ich była ponad jej siły. Pióropusz nie zmieniał rozmiaru, rosnąc, w miarę jak droga unosiła ją daleko od niego. Eileen nic nie powiedziała. Prawie już spała i bała się, że jeśli pozostali zobaczą ten pióropusz, przestanie być tylko czymś w jej głowie, a stanie się rzeczywisty.

Rodzina zgromadziła się wokół pikapa, słuchając radia w świetle stojącej na masce lampy kampingowej. Były tam dwie młode pary, jedna starsza para i małe dziecko. Starsza kobieta zauważyła zbliżającego się w masce gazowej Louisa i wlepiła w niego wzrok. Powiedział, że po drugiej stronie szosy leży martwy mężczyzna.

Teraz wpatrywali się już w niego wszyscy.

– Czy... coś się stało?

– Och, tak – odpowiedział. – Chyba można mieć pewne obawy w związku z zakładami chemicznymi w Peabody.

Wiedział, że powinien im powiedzieć wszystko, co wiedział, nie miał jednak pewności, czy to nie pomyłka. Rodzina zasypała go pytaniami, wykrzykując je po dwa czy trzy naraz. Próbował z powrotem skierować rozmowę na martwego mężczyznę po drugiej stronie ulicy, ale zanim się zorientował, został sam na

podjeździe, a ludzie rozbiegli się we wszystkich kierunkach, niektórzy poznikali w domach, inni spieszyli powiadomić sąsiadów.

*W radiu powiedziano: Dotychczas potwierdzono śmierć przynajmniej osiemnastu osób, większość w powiecie Essex. Ta liczba z pewnością wzrośnie i z dużą dozą prawdopodobieństwa można też podejrzewać, że dziesiątki, jeśli nie setki osób doznały obrażeń w wyniku tej najstraszniejszej wywołanej siłami natury tragedii, jaka kiedykolwiek uderzyła w rejon Bostonu.*

– Podwieźć cię? – zapytała Louisa starsza kobieta. Wraz z mężem chowali na pakę pikapa torby z jedzeniem i butelki wody ze sklepu Star Market.

– Nie... – Louis odruchowo machnął ręką. – Ale dziękuję.

– Chyba można ruszać, co?

– Tak, chociaż... – Skinął głową w stronę ulicy.

– Nie myśl o nim.

Powlókł się podjazdem, precyzyjnie się przez chwasty oraz sumaki jadowite i stanął w ciszy przy wywróconym do góry kołami samochodzie, patrząc na bezimienną ofiarę, z którą został. Plotka o potencjalnym wycieku sączyła się w górę i w dół ulicy. Uruchamiano kolejne silniki, a ziemia znowu drżała.

Eileen się przebudziła, gdy samochód zatrzymał się na zwirowym podjeździe przed domem jej matki. Zdjęła maskę i poszła za utykającym Peterem w stronę frontowych drzwi. Światło alarmowe w salonie,

zainstalowane, żeby wystraszyć włamywaczy, padało na niewiarygodne spustoszenie – porzestawiane meble, podziurawione ściany. Czerń nieba stała się woskowata, jakby noc zmęczyła się swoją rolą i zmieniała zdanie. Peter zapukał do drzwi. Eileen usłyszała gdzieś na dworze dźwięki radia i obesła dom z boku.

Matka siedziała na drewnianym fotelu w połowie szerokiego trawnika, który obniżał się od wschodniego skrzydła domu. Na trawie obok niej stało srebrne wiaderko na lód i duży radiomagnetofon, z którego płynęły wiadomości. Piła szampana ze żłobkowanego kieliszka.

– Jak się czujesz? – zapytała Eileen.

– Eileen. – Melanie zakołysała bezwładnie głową. – Jesteś cała. Wiedziałam, że będziesz cała. Wszystko w porządku.

*...w tym momencie szaleje w sposób niekontrolowany w ich obiektach w Peabody. Nie mamy jeszcze oficjalnego stanowiska, ale mieszkańcy, którzy jeszcze nie opuścili okolicznych domów, powinni rozważyć pozostanie na miejscu ze szczególnie zamkniętymi oknami i wyłączonymi urządzeniami klimatyzacyjnymi.*

– Jak się czujesz? – powtórzyła Eileen.

Melanie opróżniła kieliszek i uniosła go.

– Triumfuję! – powiedziała. – Triumfuję!

*...uszkodzenia konstrukcji, a główne arterie są zablokowane przez samochody. Z tego, co widzę, strażacy chyba nawet nie*

*próbują wejść na teren instalacji. W powietrzu unosi się...  
dławiący... ostry... dym i z pewnością komendant obawia się  
o bezpieczeństwo swoich ludzi.*

– Jak ona się czuje? – odezwał się Peter, również bez maski.

Eileen przewróciła oczami i się odwróciła.

– Triumfuje.

– Dzień dobry, pani Holland.

– Witaj, Peter. – Melanie wlała ostatnie krople szampana do kieliszka i włożyła butelkę do wiaderka dnem do góry. – Co z twoją rodziną? Wszystko w porządku?

Wspinając się z powrotem na wzgórze, Eileen usłyszała długi atak czkawki. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek tęskniła za Louisem, ale stało się tak właśnie teraz.

– Eileen, kochanie, w lodówce jest jeszcze szampan, możesz poczęstować rodzinę Petera. Peter, przynieś jakieś krzesła. Eileen, są tam też przekąski. Znajdziesz je.

Pani Stoorhuys nadal miała na sobie maskę. Zatrzymała się przy Eileen na śliskiej od rosy trawie.

– Jak ona się czuje?

– Och, świetnie – odparła Eileen.

– Taka piękna kobieta. Taki piękny dom. – Janet na paluszkach zbiegła w dół zbocza i dotknęła Melanie w ramię. – Melanie?

Melanie spojrzała na nią i wrzasnęła. Radio krzyczało



o pożarze w Peabody. Eileen położyła się na trawie i zasnęła.

Ileż czasu potrzeba, żeby dostać się z Filadelfii do Pittsburgha, kiedy człowiek jest na plusie. Ileż czasu zajmuje nawet dotarcie z Lynnfield do parku Fens w Bostonie, kiedy autostrady są zamknięte i nie ma zasilania. Louis obliczył, że wraz ze swoją hondą civic przemieszczali się mniej więcej z prędkością cwałującego konia, kiedy powoli zmierzali na południe przez Wakefield, Stoneham, Melrose. Zatrzymywał się, żeby spojrzeć na mapę, zatrzymywał się przy uszkodzonych mostach, kiedy musiał korzystać z objazdu. Zatrzymał się i pomógł jakiemuś Kambodżaninowi wyciągnąć pordzewiałego amc gremlina z rowu na drogę do Peabody, gdzie była jego żona z dziećmi. Na pożegnanie dał mężczyźnie swoją maskę gazową.

Ulice ze swoimi krawężnikami, chodnikami i studzienkami kanalizacyjnymi nie były zakotwiczone w gruncie. Dziesięciu strażaków z Melrose, odwróconych plecami do wznoszących się triumfalnie z ziemi czarnych belek, opuszczało miejsce ugaszonego pożaru lekkim krokiem ludzi wychodzących z kościoła. Budynek biblioteki nie potrafił utrzymać w sobie cegieł, a bliskość silnego wstrząsu, promieniująca i wciąż trwająca przypadkowość tego wszystkiego, co się działo, zmieniała nieruchomość gruzowiska z tej jakiejś elementarnej właściwości w rodzaj bólu, w jakąś

immanencję.

Osiemnasty wiek straszyl z niezgłębionych bocznych uliczek, tak ukrytych w ciemnościach, że Louis niemal się spodziewał, że usłyszy tętent końskich kopyt biegnących po błocie. Widział, jak czarne musiały być noce w śródmieściu dwieście lat temu, zanim pojawiło się oświetlenie gazowe i na długo zanim bezsenność aktualnej epoki rozciągnęła wzdłuż krawędzi swoich miast smugi bezsennych halucynacji i przekształciła to, co na zewnątrz, w to, co wewnątrz. Jak same budynki musiały odpoczywać, niewidzące i wyglądające na umarłe niczym śpiący w nich ludzie. Jak przerażające i piękne musiały być wówczas noce. Jaką stwarzały możliwość prawdziwego spoczynku i prawdziwej samotności.

Ale tamta epoka była już tylko echem, zamierającym, gdy chciało się podejść zbyt blisko, a kiedy teraz mijał ludzi – nie w biurowcach czy w centrach handlowych, ale na ulicach mieszkalnych dzielnic – byli przyklejeni do samochodów z włączonymi światłami, radiami i silnikami, i nie mogliby zaprzeczyć, że przez całą noc prawdziwe wydawały mu się tylko te widoki, powtarzające się niezliczoną ilość razy podczas jego podróży na południe. Nieruchome reflektory rzucały promienie rzeczywistości przez rzekomy fakt trzęsienia ziemi i oświetlały skrawki rzeczywistego listowia i rzeczywistych domów, które trwały obojętnie

w ciemności. A radio, chociaż swojego odbiornika raczej nie włączał, było głosem jego własnej epoki, jedynym głosem nocy, który rozumiał. Mające w ciemnościach powybijane okna i dyndające kable, ambulanse i poranione twarze nic nie znaczyły. Nic nie znaczyły, bo mógł na nie patrzeć i jakoś nie odczuwać żadnej mściwości, absolutnie żadnej. Nie czuł tego nawet przy autostradzie w Lynnfield, kiedy stał przy pierwszym martwym człowieku, którego zobaczył na własne oczy – nawet wówczas w jego sercu nie było miejsca na gniew. Nie potrafił znaleźć powiązania między tym, co zabite przez trzęsienie ziemi leżało u jego stóp, a żadnym działaniem zawartym w układzie dobra i zła, nie potrafił pomyśleć: firma jest za to odpowiedzialna i musi za to zapłacić. Jak jednak można wierzyć w odpowiedzialność, jeśli jest ona ograniczona? Jak to możliwe, że trzęsienie ziemi, wywołane przecież chciwością i wiarołomstwem rzeczywistych pojedynczych ludzi, stało się jedynie działaniem siły wyższej, wraz z całą napuszoną nieludzką bezmyślnością siły wyższej? Na wspomnienie zgniecionych ramion i kołyszącej się jak w kołysce głowy martwego człowieka nie był nawet w stanie odczuwać przerażenia. Teraz to ciało przypominało widzianą niegdyś przez niego w Chicago kradzież portfela czy obszarpanego mężczyznę, którego kiedyś zobaczył w krzakach w parku Hermanna w Houston, z opuszczonymi spodniami i walącego konia – było tak

nierzeczywiste, jak wszystko inne w tym trzęsieniu ziemi, tak nierzeczywiste, jak pokazywany w telewizji reportaż wojenny czy materiał filmowy z zamachu. Tylko że nierzeczywistość też nie była najlepszym słowem na określenie tego, co czuł, stojąc w ostatnim dziesięcioleciu dwudziestego wieku w krzakach sumaku, pośród skutków katastrofy, i zastanawiając się, dlaczego żyje i z czego stworzony był ten świat, który otaczał śmierć. Bo tym słowem była tajemnica.

Podążał aleją w Everett lub w Medford (nie miał pewności, gdzie dokładnie jest), kiedy włączyły się światła i można było zauważyć, że miasto i położone blisko centrum dzielnice wcale nie są takie zdewastowane. Sporo domów padło na kolana czy straciło ściany, ale nawet najbardziej dotknięte zniszczeniami ulice wyglądały lepiej niż przeciętny kwartał w getcie. Na boisku do baseballu irlandzka młodzież kręciła się i popijała piwo na dachu ławki rezerwowych. Dzieci bawiły się w przywróconym świetle, tak jak dzieci pustyni bawią się w ulewie. Nieco się odprężył i natychmiast źle się poczuł, z wyczerpania i z okropnego żalu, jaki zawsze odczuwał po nieprzespanej nocy.

Kiedy dotarł do Back Bay, niebo zrobiło się żółte i różowe. Nierzeczywistość nadal trzymała się kurczowo różnych elementów, z których emanowało zniszczenie: wypaczonego chodnika, mokrej szczeliny biegnącej pod

kątem przez Marlborough Street, luźnych cegieł, betonowych kwiatonów i kawałków kamieniarki, leżących na trawie lub jezdni w szpiczastym, nieszczerym bezruchu, jakby w nadziei, że zostaną uznane za fragmenty rzymskiej świątyni albo głazy u stóp klifu, za rzeczy od stuleci spoczywające w bezruchu. Ale dom Eileen i Petera stał dokładnie tak samo jak wówczas, gdy Louis z niego wychodził.

Przed oddziałem pomocy doraźnej w szpitalu Brigham & Women's siedziało nieruchomo kilku maruderów, w większości starych, którzy starali się być tylko obiektami, dopóki lekarz na powrót nie przemieni ich w ludzi z własnymi świadectwami i historiami. Porozbijane butelki i odpadłe kafle zamieciono w schludne sterty, a pielęgniarki poruszały się energicznie i bez śladu paniki. Znajoma siostra skierowała Louisa do łóżka, w którym, jak szybko zobaczył, spokojnie spała Renée.

## 17.

Przez cały poniedziałek i wtorek trzęsienie ziemi przetrzymywało miasto jako zakładnika. Ogromne nagłówki, maszerujące równym krokiem jak faszystowskie wojska, zmiatały wszystko z powierzchni pierwszych stron, a po południu ludziom, którzy chcieli oglądać opery mydlane, serwowano zamiast tego relacje specjalne. Pierwsza liga baseballu odwołała dwa wieczorne mecze na wypadek, gdyby kibice wpadli na pomysł, żeby uciec od wiadomości w świat piłek i uderzeń. Nawet wiceprezydent zmuszony był skrócić wizytę w kilku stolicach Ameryki Środkowej i polecieć do Bostonu.

Nie jest miło być zakładnikiem, i to nie tylko dlatego, że tak się mówi. W dekadentycznym społeczeństwie ludzie, sami z siebie bądź przyciągani przez kulturę komercji, mogą zacząć powoli skłaniać się ku przemocy. Może człowiek ma głęboko wrodzoną świadomość, że żadna cywilizacja nie trwa wiecznie, że nawet najbardziej pokojowy dobrobyt pewnego dnia się skończy, a może taka jest po prostu ludzka natura. Wojna może zacząć jawić się jako zasłużony pokaz sztucznych ogni, a seryjny zabójca (dopóki jest w jakimś odległym mieście) jako człowiek, któremu warto kibicować. Dekadentyczne społeczeństwo uczy ludzi cieszyć się reklamami pełnymi przemocy wobec kobiet, każdą sugestią zrywania pasków

stanika i chwywania kobiet za piersi, gwałcenia kobiet, wiązania sznurem kobiecych kończyn, przekłuwania kobiecych brzuchów, słuchania kobiecych krzyków. Ale kiedy jakaś rzeczywista kobieta zostaje uprowadzona i zgwałcona i okazuje się, że nie tylko nie jest z tego zadowolona, ale wręcz wściekła albo zraniona do końca życia, nagle stają się zakładnikami jej doświadczenia. Duszą się od ograniczeń, bo te wszystkie erotyczne obrazy i aluzje od dawna stanowiły mosty spinające brzegi pustki ich dni.

I teraz ta katastrofa, po której sobie obiecywałeś, że poczujesz, co to znaczy żyć w wyjątkowych czasach, prawdziwych czasach, o jakich czytałeś w książkach historycznych, czasach cierpień, śmierci i bohaterstwa, czasach, które zapamiętasz równie łatwo, jak zapomnisz wszystkie te lata, w których zrobiłeś niewiele, bo nadaremnie goniłeś za seksem i romansami, wydając na to pieniądze; teraz, kiedy nadeszła katastrofa o historycznych rozmiarach, zdajesz sobie sprawę, że to też nie to, czego pragnąłeś. Nie pragnąłeś ani tych niekończących się telewizyjnych truizmów i obojętnego marszczenia brwi przez dziennikarzy, ani tych wypacykowanych, koszmarnych twarzy gospodarzy programów, wpatrujących się w ciebie godzina po godzinie. Ani tego materiału filmowego przedstawiającego wciąż kilka tych samych zakrwawionych ciał na noszach. Ani tego obrzydliwego

wzrostu liczby artykułów gazetowych z identycznymi wywiadami z ocalałymi, którzy mówią, że to było przerażające, i identycznymi oświadczeniami naukowców, którzy twierdzą, że zjawisko jest wciąż niedostatecznie poznane. Ani tych zdjęć budynków, zniszczonych, ale nie unicestwionych. Ani tych samych powtarzanych w kółko obrazów dymiących ruin w Peabody, oświetlonych normalnym słońcem poranka, bo słońce wciąż wschodziło, bo świat się nie zmienił, bo twoje życie się nie zmieniło. Wolałbyś uczciwszą bezsensowność mistrzostw w baseballu, rozrywkę zapewnianą przez wydarzenie, przed którym całymi miesiącami można rozpalać oczekiwania i całymi tygodniami robić szum medialny, łącząc pustkę lata i jesieni, żeby na końcu wytworzyć bardzo poręczny zestaw liczb, którymi media nie mogą znęcać się nad tobą dłużej niż przez godzinę. Bo teraz widzisz, że trzęsienie ziemi to nie jest ani historia, ani rozrywka. To po prostu wyjątkowo okropny bałagan. I chociaż również trzęsienie ziemi można zredukować do wyników – tysiąc trzystu rannych, siedemdziesięciu jeden martwych, magnituda 6,1 – to prawi panowie twego zniewolenia uważali za słuszne, żeby je powtarzać, dopóki nie dostaniesz obłędu i nie zaczniesz krzyczeć, choć nie usłyszą tego za swoimi mikrofonami i komputerowymi monitorami.

Na zdjęciu, które w poniedziałkowy wieczór obiegło



pierwsze strony gazet na całym świecie, znajdowały się ruiny obiektów Sweeting-Aldren w Peabody. Dwadzieścia trzy ofiary śmiertelne i sto dziesięć rannych wśród pracowników tego przedsiębiorstwa, którzy znaleźli się w rejonie wybuchu dwóch linii produkcyjnych oraz pożaru, który w związku z tym zaczął szaleć. Trzęsienie ziemi unieruchomiło systemy przeciwpożarowe, a kule palącego się etylenu i smugi płonącego benzenu wznieciły ogień w zbiornikach magazynowych. Najprawdopodobniej to wybuch azotanu amonu zrównał z ziemią linie produkcyjne, które w przeciwnym razie by się nie spaliły. Z białych chmur padał deszcz kwasu azotowego, kwasu solnego i odczynników organicznych, węglowodory i fluorowce łączyły się w środowisku tak wysokotemperaturowym i o tak niskim pH, jak na powierzchni Wenus, ale wyraźnie bardziej toksycznym. Stygnący i niesiony wiatrem pióropusz oparów opadał na dzielnice mieszkalne i pozostawiał białawe, oleiste osady na wszystkim, czego dotknął.

W poniedziałkowe popołudnie ubrani w kombinezony z metalizowanej folii poliestrowej pracownicy Agencji Ochrony Środowiska mierzyli na położonych na południe od instalacji ulicach poziom stężenia dioksyn, wyrażany liczbą części na sto tysięcy. Pod drzewami ziemię zasłaly ciała ptaków niczym pokryte pleśnią owoce. Koty, wiewiórki i króliki leżały

martwe na trawnikach lub w konwulsjach wymiotowały pod żywoplotami. Pogoda była piękna, temperatura około dwudziestu pięciu stopni, niska wilgotność. Oddziały Gwardii Narodowej w ekwipunku do stosowania gazu łzawiącego systematycznie przemieszczały się na północ, dokonując ewakuacji krnąbrnych właścicieli domów, przy użyciu siły, jeśli było to konieczne, barykadując ulice beczkami z Trójkątem Ostrzegawczym i otaczając najbardziej skażony obszar, określony jako Strefa I, cienką pomarańczową plastikową siatką ogrodzeniową, która najwyraźniej była magazynowana właśnie w tym celu.

We wtorek wieczorem Strefa I została całkowicie odizolowana. Składała się z czternastu kilometrów kwadratowych zwirowni, nędznych ulic mieszkalnych, zasypanych śmieciami mokradeł i jakichś starych fabryk stanowiących własność od dawna ograniczających działalność firm. Już teraz kilku mieszkańców Peabody, którzy przebywali w domach, gdy pióropusz dymu opadał, było w szpitalu, skarżąc się na zawroty głowy bądź skrajne zmęczenie. Pozostawione przez nich domy, do których obecnie dotrzeć mogły tylko patrole Gwardii Narodowej lub ekipy reporterów, prezentowały się jak wyrzucone sofy: uszkodzone nogi, osłabione stawy, miejscami rozdarta skóra, ukazująca wewnętrzny chaos sprężyn i pokruszonej wyściółki. Podobnie wyglądały zniszczenia po trzęsieniu ziemi w położonej na północ,

dużo większej Strefie II, ale tu skażenie było miejscowe i na tyle niesprecyzowane, że Gwardia pozwalała za dnia dorosłym mieszkańcom na powrót do domów, żeby mogli je zabezpieczyć i zabrać rzeczy osobiste.

Przez całą dobę zbierano wiadomości w Peabody. Ekipy telewizyjne ścierały się z Gwardią, a reporterzy występowali przed kamerami w maskach przeciwgazowych. Niektórzy byli pod tak wielkim wrażeniem tego, co zobaczyli, tak nieoczekiwanie przytłoczeni tymi wiadomościami, że porzucali swoje obłudne, poważne pozy i mówili jak inteligentne ludzkie istoty, jakimi, twoim zdaniem, zawsze powinni być. Pytali gwardzistów, czy zastrzelono jakichś szabrowników. Pracowników Agencji Ochrony Środowiska wy pytali o bezpieczeństwo ludzi mieszkających tuż za granicą tych stref. Wszystkim zadawali pytanie o ich w r a ż e n i a. Ale najważniejszym pytaniem, nie tylko dla prasy, ale też dla Agencji Ochrony Środowiska, dla trzydziestu tysięcy zszokowanych i oburzonych mieszkańców Strefy I i II, obywateli Bostonu, a także wszystkich Amerykanów, było: co ma do powiedzenia zarząd Sweeting-Aldren? I w poniedziałkowe popołudnie, kiedy tego pytania już nie dało się uniknąć, prasa odkryła, że nie ma dosłownie nikogo, kto mógłby udzielić na nie odpowiedzi. Siedzibę główną spółki Sweeting-Aldren, położoną, tak się złożyło, zaraz na zachód od Strefy II, pochłonął ogień, który, jak

powiedzieli walczący z nim zaraz po trzęsieniu ziemi strażacy, najwyraźniej został wzniecony celowo. Automatyczny system gaszenia pożaru w budynku został wyłączony ręcznie, a w pobliżu szczątków archiwum na parterze strażacy znaleźli ślady „płynu zapalającego”. Żon dyrektora naczelnego firmy i jego czterech wiceprezesów albo nie można było odnaleźć, albo mówiły reporterom, że nie widziały mężów od późnego niedzielnego wieczoru, na krótko przed trzęsieniem ziemi.

W poniedziałek o piątej po południu, w samą porę na wywiad na żywo w lokalnych wiadomościach, reporterzy Kanału 4 odnaleźli rzeczownika firmy, Ridgely'ego Holbine'a, w porcie w Marblehead. Miał na sobie kąpielówki i wyblakły T-shirt z napisem DRUŻYNA HARVARDU i właśnie sprawdzał, czy jego jacht nie doznał szwanku podczas trzęsienia ziemi.

PENNY SPANGHORN: Jak zareaguje firma na tę okropną tragedię?

HOLBINE: Penny, niestety w tym momencie nie mogę przedstawić oficjalnego stanowiska.

SPANGHORN: Czy możemy się dowiedzieć, co było przyczyną tej okropnej tragedii?

HOLBINE: Nie mam w tej sprawie żadnych informacji. Mogę tylko prywatnie dywagować, że ważnym czynnikiem było tu trzęsienie ziemi.

SPANGHORN: Czy jesteś w kontakcie z zarządem przedsiębiorstwa?

HOLBINE: Nie, Penny, nie mam kontaktu z członkami zarządu.

SPANGHORN: Czy firma jest gotowa wziąć odpowiedzialność za okropne skażenie w Peabody? Czy podejmiecie się odegrać główną rolę w porządkowaniu i sprzątanii?

HOLBINE: Nie mogę przedstawić oficjalnego stanowiska firmy.

SPANGHORN: A jakie jest twoje prywatne zdanie na temat tej okropnej tragedii?

HOLBINE: Jest mi bardzo przykro ze względu na pracowników, którzy zginęli czy zostali ranni. Współczuję ich rodzinom.

SPANGHORN: Czy czujesz się jakoś osobiście odpowiedzialny za tę okropną tragedię?

HOLBINE: To siła wyższa. Nie da się nad tym zapanować. Ale wszyscy ubolewamy nad ofiarami śmiertelnymi.

SPANGHORN: A co z mniej więcej trzydziestoma tysiącami osób, które w wyniku tej tragedii dzisiejszej nocy są pozbawione dachu nad głową?

HOLBINE: Jak już powiedziałem, nie jestem upoważniony, żeby wypowiadać się w imieniu firmy, ale jest to bezsprzecznie godne ubolewania.

SPANGHORN: Co chcesz przekazać tym ludziom?

HOLBINE: Jak by to powiedzieć: nie powinni spożywać żadnego jedzenia ze swoich domów. Powinni dokładnie myć się pod prysznicem i starać się znaleźć jakieś inne miejsce, w którym mogliby się zatrzymać. Pić butelkowaną wodę. Dużo odpoczywać. Sam tak właśnie robię.

We wtorek rano pojawiła się wiadomość, że dyrektor naczelny Sweeting-Aldren, Sandy Aldren, spędził cały poniedziałek w Nowym Jorku na upłynnianiu zbywalnych walorów firmy i przelewaniu wszystkich dolarów, którymi firma dysponowała w gotówce, na

konta bankowe za granicą. Następnie, w poniedziałek wieczorem, zniknęła. Początkowo sądzono, że te zagraniczne konta mieszczą się w Szwajcarii, ale z zapisów okazało się, że cała gotówka – mniej więcej trzydzieści milionów dolarów – rzeczywiście popłynęła do banku w Basseterre na St. Kitts.

We wtorek po południu Alan Porges, prywatny adwokat Aldrena w Bostonie, wystąpił z oświadczeniem, w którym przyznał, że ustanowiono „rezerwę gotówkową” w celu pokrycia „odpraw zagwarantowanych w kontraktach” dla pięciu „wyższych rangą urzędników” przedsiębiorstwa. Te odprawy wynosiły w sumie nieco ponad trzydzieści milionów dolarów, a Porges powiedział, że z tego, co wie, w poniedziałek rano cała piątka tych urzędników złożyła oficjalną rezygnację, w związku z czym natychmiast uzyskali prawo do podjęcia odpraw. Nie chciał snuć przypuszczeń, gdzie aktualnie przebywają.

Sieci telewizyjne zdążyły zaledwie pięć czy sześć razy retransmitować fragmenty wywiadu z Porgesem, kiedy wybuchła nowa bomba. Seismolog Larry Axelrod zaprosił reporterów do MIT i oświadczył, że widział dowody potwierdzające odpowiedzialność firmy Sweeting-Aldren za niemal całą aktywność sejsmiczną w ostatnich trzech miesiącach, łącznie z głównym wstrząsem w niedzielny wieczór. Powiedział, że te dowody zostały dostarczone przez Renée Seitchek z Harvardu, „wybitną uczoną”,

która wciąż przebywa w szpitalu, dochodząc do zdrowia po tym, jak została postrzelona. Reporterka z „Globe’a” zapytała, czy to możliwe, że zamach na Seitchek nie był dziełem ekstremistów ruchu na rzecz życia poczętego, tylko agentów Sweeting-Aldren, z czym Axelrod się zgodził.

Policja w Somerville i w Bostonie potwierdziła, że ze względu na nowy motyw w śledztwie rzeczywiście poszerzyła zakres dochodzenia w sprawie ataku na Seitchek, ale dodano też, że trzęsienie ziemi zupełnie zdezorganizowało wszystkie tego typu działania. Stwierdzono, że całkowity rozpad struktur zarządzających firmą Sweeting-Aldren oraz utrata akt firmy w wyniku pożaru „może stanowić poważny problem”.

Jeszcze większe przeszkody napotykali pracownicy federalnej i stanowej agencji środowiskowej starający się potwierdzić istnienie otworu zasilającego na terenie firmy w Peabody. W środę rano dogasły ostatnie płomienie i pozostało tam ponad trzysta hektarów wypalonych i skażonych ruin – niezbadany przemysłowy południowy Bronx, wypełniony mrocznymi, pniącymi się stawami, chwiejnymi konstrukcjami linii produkcyjnych oraz zbiornikami ciśnieniowymi i rurociągami, które mogły zawierać nie tylko wybuchowe i łatwopalne gazy, ale też jedne z najbardziej toksycznych i/lub rakotwórczych, i/lub teratogennych

substancji znanych człowiekowi. W wywiadzie dla ABC News kierownik Susan Carver uznała, że dla amerykańskiej Agencji Ochrony Środowiska najważniejsze jest zabezpieczenie przed rozprzestrzenieniem się zanieczyszczeń do wód gruntowych i pobliskich ujść rzek.

– Wyraźnie widać – powiedziała Carver – że niesamowita rentowność tej firmy została osiągnięta przez zastosowanie cienkich jak brzytwa marginesów bezpieczeństwa i metodyczne oszukiwanie agencji odpowiedzialnych za nadzór. Obawiam się, że istnieje bardzo realne ryzyko przekształcenia się tej osobistej i gospodarczej katastrofy w prawdziwą klęskę ekologiczną, więc obecnie bardziej martwię się o ochronę bezpieczeństwa publicznego niż szukanie odpowiedzialnych. Poszukiwania w tym miejscu pojedynczej głowicy odwiertu, zakładając, że ten odwiert w ogóle istnieje, będą jak poszukiwania igły w stogu siana, w którym pełno grzechotników.

Prasa i opinia publiczna w zasadzie uwierzyła w teorię Axelrod-Seitchek w całej rozciągłości. Sejsmolodzy zareagowali natomiast z typową dla siebie ostrożnością. Chcieli sprawdzić dane. Potrzebowali czasu na zbudowanie modeli i wyciągnięcie wniosków. Powiedzieli, że bogata i seryjna aktywność sejsmiczna w kwietniu i maju być może rzeczywiście została wywołana przez działalność Sweeting-Aldren, ale główny



wstrząs sobotniej nocy to zupełnie inna sprawa.

Wywołało go, jak wykazano, pęknięcie skał wzdłuż głębokiego uskoku biegnącego na północny wschód od Peabody do punktu w sąsiedztwie kwietniowych epicentrów w Ipswich. Howard Chun z Harvardu dokonał dekonwolucji niektórych krótkoterminowych cyfrowych sejsmogramów i udowodnił, raczej ponad wszelką wątpliwość, że pęknięcie rozeszło się od północnego do południowego krańca uskoku – innymi słowy, że to wydarzenie „zaczęło się” w pobliżu Ipswich. Oznaczało to, że otwór zasilający firmy Sweeting-Aldren nie mógł „spowodować” trzęsienia ziemi, a co najwyżej zdestabilizować uskoki czy też doprowadzić do ogólnej niestabilności i powstania ścieżki najmniejszego oporu. Kwestia propagacji pęknięcia wciąż jednak nie została dobrze poznana.

Było natomiast pewne, że odkąd w 1886 roku zostało zdruzgotane Charleston w Karolinie Południowej, we wschodniej części Stanów Zjednoczonych nie zdarzyło się większe trzęsienie ziemi. Skażenie w Peabody i skandal korporacyjnej przewiny spotkały się naturalnie z największym zainteresowaniem prasy – wygląda na to, że każda wielka katastrofa, która zdarza się w Stanach, ma jeden szczególnie ponury scenariusz – ale w miarę jak sytuacja się stabilizowała, uwaga mediów przeniosła się na poważne rany odniesione przez pozostałą część północnych przedmieść Bostonu i samo miasto.

Ratownicy przeszukujący gruzы domu dziecka w Salem wygrzebali osiem małych ciał. W Hub na atak serca zmarło przynajmniej dziesięć osób; Kanał 78 porozmawiał z sąsiadami mieszkańca zachodniej części Somerville, niejakiego Johna Mullinsa, który, słaniając się na nogach, wyszedł z domu i z szeroko rozłożonymi ramionami padł martwy na ulicy „jak zastrzelony”. Wypływający z pralni chemicznej perchloroetylen spowodował, że sześć osób trafiło do szpitala. Bibliotekarze we wszystkich miejscowościach od Gloucester do Cambridge brodzili po pas w trzęsawiskach porzucanych z półek książek. Załamał się system operacyjny głównego komputera w banku Shawmut i elektryczny pożar usunął setki taśm magnetycznych z informacjami o kontaktach; bank został zamknięty na tydzień, a klienci, zorientowawszy się, że ich karty bankomatowe nie działają również w innych bankach, musieli się targować, żebrać i pożyczać, żeby zdobyć jedzenie i butelkowaną wodę. Wiele osób skarżyło się na objawy przewlekłej choroby morskiej. Po niedzielnej nocy odczuto tylko trzy drobne wstrząsy wtórne, ale każdy z nich powodował, że setki ludzi porzucały swoje zajęcia i spazmatycznie szlochały. Wszędzie panował zamęt – w domach, zakładach, na autostradach, w sądach. W piątkowy ranek federalni koordynatorzy akcji humanitarnej oszacowali, że całkowite koszty zniszczeń wywołanych trzęsieniem

ziemi, łącznie z uszkodzeniami mienia i przerwami w działalności gospodarczej, ale nie uwzględniając skażenia w Strefach I i II, wyniosą od czterech do pięciu miliardów dolarów. Autorzy artykułów określili tę liczbę jako oszałamiającą – tyle mniej więcej kosztowała Amerykanów obsługa długu publicznego przez długi weekend obejmujący poniedziałek, w którym obchodzono Dzień Pamięci Poległych na Polu Chwały.

Najprawdopodobniej najgłośniejszą ofiarą trzęsienia ziemi był należący do Philipa Stitesa Kościół Działań w Chrystusie. Podobnie jak to miało miejsce przy tworzeniu nekrologów dla żywych, lokalne serwisy informacyjne przygotowały się na zniszczenie kościoła, tworząc zawczasu triumfalne artykuły i przygotowując ekipy reporterów. Gdy tylko fale sejsmiczne przetoczyły się przez Chelsea, cztery niezależne furgonetki z operatorami ręcznych kamer wideo pomknęły przez zaciemnione, spękane ulice i w minutowych odstępach dotarły do kościoła. Poziom spustoszeń był zadowalający, choć nie skrajny. Silny wstrząs rozciął kamienicę w połowie, całkowicie zrównując z ziemią parter po jednej stronie przezrocza, redukując samo przezrocze do płataniny prętów zbrojeniowych zamykających w klatkach betonowe bloki i przekształcając drzwi i okna w okropne równoległoboki. Z tylnej części budynku dym wznosił się wściekle, niecierpliwie, a Philip Stites wyglądał, jakby na jego głowie rozbito jajko z krwawym

zółtkiem. Biegał po ulicy, krzycząc: „Pomóżcie nam. Odlóżcie kamery. Pomóżcie nam”, ponieważ członkowie ekip telewizyjnych rzeczywiście byli jedynymi ludźmi, którzy mogli tam pomóc, i miało upłynąć jeszcze dwadzieścia minut, zanim pojawił się ktoś inny.

Pod koniec tygodnia Stites utrzymywał, że w tę mroczną, wilgotną noc wydarzył się prawdziwy cud: wszyscy pracownicy telewizji, wszyscy bez wyjątku, odłożyli kamery, magnetofony i podążyli za nim do zniszczonego budynku. Kopniakami otworzyli zablokowane drzwi, uwalniając tabuny wrzeszczących, zakrwawionych kobiet. Dzielnie walczyli ze spadającym tynkiem i chmurami czarnego dymu, żeby odciągnąć wiernych z połamanymi kończynami od ognia. Chwyтали mężczyzn i kobiety wyskakujących przez okna i opróżnili swoje furgonetki ze sprzętu, żeby zawieźć ich do szpitala. Uratowali, jak powiedział Stites, przynajmniej dwadzieścia ludzkich istnień. Ale fakt, że pastor nazwał bohaterstwo ludzi mediów cudem, świadczył o jakimś nowym i nietypowym dla niego rozgoryczeniu. Nie dostrzegał na przykład cudu w tym, że nikt w kościele nie zginął. Nie powiedział, że Bóg ochronił swoich wiernych przed wywołanym przez siebie trzęsieniem ziemi. Nie znajdował żadnej radości w miłosierdziu Boga, bo kiedy dym opadł i wstało słońce, zobaczył, że on sam już nie ma kościoła.

Postawił namiot na dziedzińcu kamienicy i obiecał

zorganizować inne namioty dla trzystu wiernych, ale poza niewielką garstką ludzi wszyscy odrzucili jego propozycję. Większość po prostu wyjechała z Bostonu, udając się do swoich domów w Missouri, Kansas, Georgii. Pozostali po cichu zbiegli do konkurencyjnej grupy antyaborcyjnej o nazwie Kochamy życie, której firmowe „akcje” polegały na nękanii klinik odtwarzanymi z mocą stu decybeli nagraniami zawodzących niemowlaków. Jeden z tych zbiegów spojrział prosto w oko obiektywu kamery wiadomości Kanału 4 i powiedział: „Przestałem wierzyć, że pana Stitesa prowadzi ręka Boskiej Opatrzności, zwłaszcza po tej przerażającej nocy. Dziękuję Bogu, że wyszedłem z tego cały i zdrowy. A nie wszystkim to się udało, wicie państwo, moja droga przyjaciółka leży w szpitalu, sparaliżowana, ze złamanym kręgosłupem. Uważam, że pan Stites to wielki nauczyciel i przywódca moralny, który zagubił się wskutek przesadnej pychy, a my nigdy nie powinniśmy znaleźć się w tym budynku.

Inna uciekinierka, pani Jack Wittleder, była bardziej konkretna: „Wielebny Stites dał się skusić grzesznej kobiecie. A my wszyscy za to zapłaciliśmy”. Reporter Kanału 4 zapytał: „Kobiecie? Jakiej kobiecie??”, pani Wittleder odmówiła jednak dalszych wyjaśnień.

Z kolei sam Stites mówił w Kanale 4: „W co naprawdę wierzę w głębi serca? Wierzę, że Bóg zburzył nasz budynek w określonym celu. Wierzę, że była to próba

wiary, a my po prostu jej nie podołaliśmy. Myślałem, miałem głęboką nadzieję, że nasz kościół jest silniejszy od wszystkich innych budowli, a naszą wiarą nie będzie w stanie wstrząsnąć żadne trzęsienie ziemi. I wciąż w głębi serca mam tę wiarę, ale nie mam kościoła, więc czuję się głęboko upokorzony i rozczarowany”.

Wkrótce Stites został pierwszym pozwanym w sprawie sądowej założonej z powodu trzęsienia ziemi. Rodzina członkini Kościoła, tej ze złamanym kręgosłupem, oskarżyła go o oszustwo i umyślne zaniedbanie, gdy pastor przekonywał ją do pozostania w grożącym zawaleniem budynku, i domagała się odszkodowania zawiązką w wysokości dziesięciu milionów dolarów. Adwokat Stitesa poinformował prasę, że dobra doczesne jego klienta ograniczają się do jednego namiotu z demobilu, jednego śpiwora, Pisma Świętego, jednej walizki ubrań, samochodu i jednej stacji radiowej w złej kondycji finansowej. Nie powstrzymało to czterech innych rannych członków Kościoła przed złożeniem 11 lipca kolejnych pozwów.

To był prawdziwy sezon procesów sądowych. Uspokajały one zszargane nerwy miliona ocalałych i dawały nadzieję pozbawionym majątku. Ułatwiały powrót do normalności, kiedy sieci telewizyjne i gazety zwalniały swoich zakładników, były wodą na młyn następnych relacji. Na powrót wciskały okropne przerażenie i pustkę w ludzką podświadomość, gdzie

było ich miejsce. Pod koniec lipca stan Massachusetts pozwano już w jedenastu różnych procesach; oskarżano władze o tak wymyślne delikty, jak brak odpowiednich planów ewakuacji na wypadek rozproszenia toksycznych chemikaliów, opieszałość w zapewnianiu schronienia rodzinom ze Strefy I i II oraz umyślne wprowadzanie w błąd w zakresie oceny lokalnego ryzyka sejsmicznego. Z kolei stan podał do sądu rząd federalny i budowniczych różnych uszkodzonych autostrad i budynków publicznych. Podobnie jak prawie wszyscy w Bostonie, skarżył firmę Sweeting-Aldren. Na dzień 1 sierpnia całkowita kwota roszczeń wobec firmy przekroczyła dziesięć miliardów dolarów i stale rosła. Na pokrycie tych roszczeń firma miała niewielką ilość nieskażonych środków obrotowych, długoterminowy kredyt w wysokości pięćdziesięciu milionów dolarów i marne perspektywy na sprzedaż czegokolwiek w przyszłości. Za oczywiste uznano, że koszty sprzątania poniesie ostatecznie rząd federalny.

Renée Seitchek wyszła ze szpitala Brigham & Women's 27 lipca. Dziesięcioszekundowa migawka w wieczornych wiadomościach pokazała, jak wyjeżdża ze szpitala na wózku w kierunku wgniezionej hondy civic, ale w tym okresie prasa straciła już entuzjazm dla jej historii, ponieważ Renée nie chciała udzielać wywiadów. Dochodzenie w sprawie jej postrzelenia utknęło w miejscu („prawdopodobnie beznadziejna sprawa”, jak

prywatnie przyznali śledczy), władze wciąż miały jednak nadzieję, że uda się doprowadzić zarząd Sweeting-Aldren przed sąd, żeby jego członkowie odpowiedzieli na różne inne zarzuty. FBI udało się odszukać pięciu ludzi – Aldrena, Tabscotta, Stoorhuysa, radcę prawnego firmy i jej dyrektora finansowego – na malutkiej wysepce na południe od St. Kitts, gdzie spółka od dawna utrzymywała trzy domki na plaży, by podejmować tam partnerów biznesowych i na wakacje dla kierownictwa. Dwudziestotrzyletnia żona Aldrena, Kim, oraz dwudziestosześcioletnia dziewczyna Tabscotta, Sondra, dołączyły do nich kilka dni po trzęsieniu ziemi, rodzina radcy prawnego firmy odwiedziła ich w Święto Niepodległości, 4 lipca, a podpływającym do brzegu paparazzim udało się zrobić zdjęcie pikniku na plaży, w każdym szczególe przypominającego reklamę piwa („Globe” umieścił jedno z tych zdjęć na pierwszej stronie, obok fotografii ludzi w kombinezonach z metalizowanej folii poliestrowej, którzy wrzucali do spalarni różne ptaki i ssaki). Niestety, rząd St. Kitts i Nevis nie wyraził najmniejszych chęci oddania kierownictwa firmy w ręce sprawiedliwości, a administracja w Waszyngtonie, być może ze względu na długoletnie finansowe wsparcie Aldrena i Tabscotta dla Partii Republikańskiej, stwierdziła, że Stany Zjednoczone niewiele mogą w tej sprawie zrobić.

Z kolei wielkie koncerny chemiczne, jak Dow,



Monsanto i Du Pont, ochoczo skorzystały ze sposobności, żeby potępić występki innej korporacji. Natychmiast rozszerzyły własną produkcję tkanin, pigmentów i pestycydów, stanowiących podstawę oferty Sweeting-Aldren – produktów, na które w Ameryce zapotrzebowanie wciąż rosło – i były pierwsze w demonizowaniu zarządu Sweeting-Aldren. Du Pont nazwał tragedię w Peabody działaniem „stada diabłów” (zarząd Du Pont składał się z ludzi rodzinnych, nie diabłów; z radością witali rozsądne przepisy Agencji Ochrony Środowiska). Monsanto uroczyście przysiągł, że nigdy nie stosował otworów zasilających i nigdy tego nie zrobi. Dow z dumą chwalił się przezornością, z jaką umieścił swoją siedzibę w jednym z najbardziej geologicznie stabilnych miejsc na świecie. W sierpniu zarówno sprzedaż, jak i ceny akcji wszystkich trzech firm poszły w górę.

W powszechnej wyobraźni firma Sweeting-Aldren dołączyła do Saddama Husseina, Manuela Noriegi i kartelu z Medellín. Byli to goście w kapeluszach czarnych jak krzyczące o ich nikczemności nagłówki tabloidów, ludzie, którzy z dobrego świata robili świat zły. Stany Zjednoczone ponosiły odpowiedzialność za ich ukaranie, a jeśli nie udało się ich ukarać, to choćby za posprzątanie po nich; jeśli zaś sprzątanie okazałoby się zbyt kosztowne, można twierdzić, że Stany Zjednoczone ponosiły odpowiedzialność za to, że w ogóle pozwoliły im

stać się łotrami. W każdym razie sam naród amerykański na pewno nie czuł się za to odpowiedzialny.

W miarę upływających tygodni goście spoza miasta zaczęli zapuszczać się na północ od Bostonu, chcąc zobaczyć ogrodzenie wokół Strefy I. Widzieli je niezliczoną ilość razy w telewizji, a jednak wciąż ich zdumiewało, że do Peabody można dojechać samochodem w pół godziny, że ten teren stanowił część ziemi w takim samym stopniu jak ich rodzinne miasta, że pogoda i światło się nie zmieniały, gdy zbliżali się do ogrodzenia. Robili zdjęcia, które, gdy już wywołano je w Los Angeles czy Kansas City, ukazywały scenerię tak nierzeczywistą, że znowu nie mogli uwierzyć w jej istnienie.

Tymczasem mieszkańcy Bostonu musieli myśleć o ważniejszych sprawach. Niskooprocentowane kredyty federalne ponownie dostarczyły bodźca lokalnej gospodarce. Ramy okienne śródmiejskich budynków na powrót wypełniły zielonkawe szyby. Park Fenway przeszedł kontrolę bezpieczeństwa. A Red Sox nadal byli na pierwszym miejscu.

Na Harvard Square zapanowała pora roku, kiedy to słońce już nie padało pod kątem niezbędnym, żeby przed południem zajrzeć do najwęższych ulic, a nocny chłód i jego zapach nieuchronnie zbliżającej się zimy utrzymywał się w obsikanych alejach i stojących przy restauracji Au Bon Pain betonowych stołach

z szachownicami. Do pracy wzdłuż rzeki i na Yard powrócił Wielki Śmieciuch, odrzucając opadłe liście na ścieżki. Na powrót otwierano zniszczone budynki, demontowano rusztowania. W kanadyjskim powietrzu nienagannie dobrani studenci ciągnęli za sobą woń szamponu i dezodorantów. Byli kształconymi młodymi i bogatymi istotami seksualnymi. Byli jak nieskazitelne samochody gromadzące się przy wyjeździe ze Square, z zamkniętymi już teraz szybami, bo lato się skończyło, a ich doskonale działające systemy kontroli emisji usuwały pachnące ładnie spaliny. Wręcz niepojęte, że w Strefie I, zaledwie dwadzieścia kilka kilometrów dalej, nawet w tym momencie brygady spychaczy niszczyły parterowe zabudowania, w których lampy i krzesła leżały dokładnie tam, gdzie 24 czerwca rzucił je silny wstrząs.

Louis przyszedł na Square coś załatwić. Chociaż nie przepadał za tym miejscem, często tu ostatnio bywał, sprawnie załatwiał, co miał załatwić, i wracał do domu, nie czując się inkryminowany, tylko anonimowy. Tego jednak ranka, kiedy przechodził przez ulicę obok księgarni Wordsworth, srebrny mercedes sedan zahamował gwałtownie na brukowanej powierzchni wysepki i z okna po stronie pasażera skinęła na niego znajomo wyglądająca osoba. Alec Bressler.

– Alec. Jak leci?

Skinął głową na swój pozytywny sposób.

– Nie narzekam.

Po stronie kierowcy Louis widział kobiece nogi w pończochach i czółenkach. Alec ssał nikotynową pastylkę i sprawiał wrażenie szczególnie rozbawionego. Miał nowe okulary i bardzo elegancką marynarkę.

– A co u ciebie? – zapytał. – Znalazłeś dobrą pracę?

– Nie. Nie... Nie.

Alec zmarszczył brwi.

– Nie masz żadnej pracy?

– Jak by to powiedzieć...? Przez ostatnie kilka miesięcy opiekowałem się moją dziewczyną. Pewnie o niej słyszałeś. Nazywa się Renée Seitchek.

W tym momencie osoba kierująca samochodem nachyliła się nad kolanami Aleca i Louis zobaczył jej twarz. Była to atrakcyjna kobieta po pięćdziesiątce, z wydatnym nosem, przypominającymi druty szarymi włosami i czarnymi brwiami.

– Znasz Renée Seitchek?

W ostatnich tygodniach Louis wielokrotnie słyszał te słowa.

– Tak, znam.

Kobieta wzięła go za rękę.

– Jestem Joyce Edelstein. Bardzo interesuję się Renée, na odległość. Możesz mi powiedzieć, jak się ma?

– Ona... ma się dobrze.

– Posłuchaj, może wpadłbyś do mojego biura na kawę? Jeśli masz chwilkę. To na tej ulicy. Wpadniesz?

Louis spojrzał niepewnie na Aleca, który tylko uniósł

brwi i ssął swoją rozrywkową pastylkę.

– No, chodź – powiedziała Joyce, odblokowując drzwi z tyłu.

Louis usłuchał. Przestał używać swego roztargnienia, żeby mydlić ludziom oczy – rzeczywiście stał się roztargniony. Kiedy szedł, patrzył w ziemię przed sobą. Cały czas czuł się zmęczony i często brakowało mu tchu. Nosił ubrania należące do Petera Stoorhuysa, czerwoną bluzę i szare dżinsy, które zakładał w każdy ranek i w których, obiektywnie rzecz biorąc, źle wyglądał. Gdy tylko widział, a nawet tylko myślał o swoim dawnym biało-czarnym zestawie, z całych sił zaciskał oczy.

Biuro, do którego go wprowadzono, zajmowało trzecie piętro obłożonego sidingiem budynku przy Brattle Street, który sto lat wcześniej prawdopodobnie był prywatną rezydencją. Na mosiężnej tabliczce napisano: „Fundacja Joyce Edelstein”. Recepcjonistka i zarazem sekretarka powiedziała:

– Dzień dobry, pani Edelstein.

Joyce zostawiła gości w prywatnym gabinecie, udekorowanym stosownie do wiszącego na ścianie wielkiego pejzażu z sadzawką Moneta. Alec rozgościł się na białej skórzanej sofie. Nie miał już tak szarej skóry, jak to zapamiętał Louis; nawet jego włosy wyglądały na gęstsze. Najwyraźniej rzucił palenie.

– Joyce to fil-an-tropka – powiedział tak, że zabrzmiało to, jakby była osobliwością przyrodniczą.

– Aha.

– Renée jest dla mnie kimś w rodzaju bohaterki – powiedziała Joyce rzeczowo, powracając z tacą, na której niosła kawę, śmietankę i cukier. – Zajmuję się finansowaniem wielu organizacji i jeśli miałabym określić, co je łączy, to byłyby to prawdopodobnie prawa reprodukcyjne i środowisko. Dla mnie obie te sprawy mają tego lata związek z trzęsieniem ziemi i z tym, co przydarzyło się Renée. Napisałam do niej nawet list. Nie wiem, czy go dostała... W zasadzie nie oczekiwałam odpowiedzi.

Louis powstrzymał się przed powiedzeniem: „Pisało do niej wielu ludzi”.

– Jak ona się ma? – zapytała Joyce.

– W porządku. Ma infekcję kości w nodze, nabawiła się jej, kiedy już wyszła ze szpitala. Nadal jest trochę chora.

– Ile to już trwa?

– Trzy miesiące.

– To naprawdę musi być trudne. A ty... Ty jesteś...?

– Mieszkam z nią.

– W...

– W Somerville.

– Wybacz, proszę, czujesz się niedobrze? Jeśli trudno ci o tym mówić...

– Nie. Właśnie oddałem krew, to wszystko.

– Oddałeś krew? Dobry Boże, dlaczego o tym nie

powiedziałeś? Usiądź tu, proszę.

Louis zajął wskazany mu fotel i pochylił głowę nad filiżanką kawy. Joyce wpatrywała się w niego ze współczuciem i troską. Spoglądała też na zegarek. Alec siorbał i przyglądał się im ze stojącej nieco dalej sofy.

– Czy tylko... czy tylko ty się nią opiekujesz? – zapytała Joyce.

– No, tak.

– Louisie, to może być wycieńczające. To może cię wymęczyć w sposób, jakiego nawet sobie nie wyobrażasz. Wybacz, że zapytam, ale czy Renée jest... w pełni objęta ubezpieczeniem? Bo tak myślę, że jeśli naprawdę potrzebuje pielęgniarki, może to by ci...

– To nic takiego – odrzekł Louis. – Tylko zakupy, trochę gotowania i jeżdżenie samochodem.

– Tak, ale pod względem psychologicznym...

Podniósł się i przeszedł przez pokój.

– Wszystko w porządku. Dam sobie radę. To znaczy... Dam sobie radę. Dziękuję za troskę. Ale to nic takiego.

– Jestem pewna, że dasz sobie radę – powiedziała Joyce łagodnie. – Chcę tylko...

– Joyce czuje potrzebę pomagania ludziom – wtrącił się Alec. – Taki ma charakter.

Joyce zignorowała te słowa lekkim wzruszeniem ramion.

– Chcę tylko, żebyś wiedział, że gdybyś naprawdę potrzebował pomocy, są na świecie ludzie, którzy chętnie

ci jej udziela. Jeśli mam jakiś cel w życiu, to jest nim uświadamianie ludziom, że nie muszą cierpieć w samotności. Na każdą osobę w potrzebie przypada osoba, która chce nieść pomoc.

Louis zamknął oczy i pomyślał: Proszę, przestań mówić.

Joyce spojrzała bezradnie na Aleca. Nietrudno było dostrzec, że jest spostrzegawcza. Niewątpliwie naprawdę bolał ją widok cierpiącego Louisa, a także wiedza, że na ulicach Cambridge i Bostonu pełno jest takich ludzi jak on – że wystarczy zarzucić sieć w przypadkowym miejscu i wyciągnie się cierpienie. I do tego ta świadomość, że ona sama nie cierpi.

– Posłuchaj – powiedziała – mam nadzieję, że przekażesz Renée, że w tym mieście jest mnóstwo ludzi, których ona obchodzi, którzy ją wspierają i chcą jej pomóc. A w każdym razie, że ja tutaj jestem i jeśli czegoś potrzebuje...

Louis zamknął oczy i pomyślał: Cierpienie jest konieczne.

– Wiem, że nie powinnam się wtrącać, ale gdybyś tak o tym pomyślał, może zdecydowałbyś się przez jakiś czas nie oddawać krwi, zwłaszcza jeśli robisz to często. Musisz mieć siły, żeby zajmować się jedną rzeczą naraz.

Cierpienie jest konieczne. Cierpienie jest konieczne.

– Dziękuję za kawę – odezwał się Louis.

Joyce westchnęła i pokręciła głową.



– Proszę bardzo.

Alec wyszedł za nim z gabinetu i zatrzymał go u szczytu schodów.

– Jedna rzecz. Zaczekaj chwilę, jedna rzecz. W zeszłym tygodniu rozmawiałem z Libby. Z Libby Quinn. Chce twój numer telefonu.

– Po co jej mój numer?

– Jeśli szukasz pracy, zadzwoń do niej.

– Skąd ta zmiana zdania?

– Stites wyjeżdża. Gdzieś na Środkowy Zachód. Słyszałeś o tym?

– A ty jej powiedziałaś, żeby do mnie zadzwoniła.

– No dobra, powiedziałem. Ale ona nie ma twojego numeru. Potrzebuje technika. Powiedziałem jej: minimalna stawka i gość kocha radio.

– Minimalna stawka. Wielkie dzięki.

– Możesz się jakoś umówić. Pomyszl o tym, co?

– Teraz nie mogę.

– Ale ty kochasz radio. To akurat wiem.

– Kiedyś tak było.

– W takim razie zadzwoń do mnie, gdy będziesz chciał popracować. Musisz do mnie zadzwonić. I musisz dać mi swój numer.

Louis sięgnął po podane mu przez Aleca pióro.

– Przepraszam, że nie byłem miłszy dla twojej przyjaciółki.

– Jest do tego przyzwyczajona. Jedź do domu.

– Przepróś ją w moim imieniu.

– Tak, może. To nie ma znaczenia.

Alec przekreślił europejską poprzeczką łądygę napisanej przez Louisa siódemki. Potem bez słowa wrócił do gabinetu Joyce.

Tylko wtedy, gdy przebywał sam na sam z Renée przy Pleasant Avenue, Louis czuł, że nie grozi mu cierpienie, że lubi samego siebie. Dopóki był w jej mieszkaniu, wiedział, co robi, bo wszystko wyływało logicznie z założenia, że ją kocha. Był jej kucharzem, jej pocieszycielem, jej służącą. Jeszcze trzy miesiące temu nie brałby pod uwagę, że mógłby opiekować się chorą osobą, użalającą się nad powolnym procesem powrotu do zdrowia, że odpowiednie słowa mogą przychodzić mu do głowy tak automatycznie, jak kiedyś akt seksualny. Prawdopodobnie wyśmiałby kogoś, kto by powiedział, że miłość może nauczyć go wielu szczególnych umiejętności, z których biorą się cierpliwość i łaska, a zwłaszcza kogoś, kto stwierdziłby, że miłość to złoty pierścień porywający cię w górę z mocą porównywalną do potęgi sił natury, jeśli go złapiesz. Ale właśnie to teraz czuł i pozostawało tylko pytanie, dlaczego kiedy był sam albo kiedy wychodził z mieszkania, jego życie z Renée nadal napawało go takim smutkiem.

Przez wszystkie dni i tygodnie po trzęsieniu ziemi każdego popołudnia chodził do szpitala, dotrzymując milczącej umowy, zgodnie z którą miał nie pojawiać się

tam mniej więcej do piętnastej, a pani Seitchek robiła to samo po tej godzinie. I nie chodziło o to, że między matką a chłopakiem Renée istniała jakaś szczególna wrogość – Louis nadal był konsekwentnie uprzejmy wobec pani Seitchek, ona z kolei uznawała go za wybranka Renée, nawet do tego stopnia, że dzieliła się z nim swoim zdaniem na temat tego „niesamowicie niedojrzałego” Howarda Chuna i „niewiarygodnie niebezpiecznych” rzeczy, jakie robiła jej córka. Problem polegał po prostu na tym, że pewnego razu odwiedzili Renée o tej samej porze, a ona wyglądała wówczas na niesamowicie nieszczęśliwą i nie chciała rozmawiać z żadnym z nich, przynajmniej dopóki do sali nie wszedł jej ojciec. Dopiero wtedy zaczęła odpowiadać na pytania i uprzejmości wszystkich bez wyjątku z taką pokorą, jakiej Louis jeszcze nigdy wcześniej u niej nie widział. Zastanawiał się, czy jest na świecie ktoś, kto nie bałby się doktora Seitcheka i jego trójogniskowych okularów.

Przez cały dzień, niezależnie od tego, ile osób ją odwiedziło, Renée zdawała się nigdy nie zapominać, że w nocy jest sama. Powiedziała Louisowi, że gdy tylko się budzi, czy to w dzień, czy w nocy, ma wrażenie, jakby ocknęła się w pozbawionym okien OIOM-ie, gdzie zawsze panowała noc. Otwierała oczy i chociaż widziała jego twarz, nadal wydawało jej się, że jeszcze chwilę wcześniej była gdzie indziej.

Pozwalała mu czytać otrzymaną pocztę, kiedy

drzemała. Na stoliku u wezłowania jej łóżka leżało w paczkach jakieś dwa tysiące sześćset kopert. W środku były czek, gotówka, w sumie na kwotę dziewiętnastu tysięcy dolarów, oraz krótkie i długie listy.

Droga Renée,

wraz z mężem modlimy się o Twój szybki powrót do zdrowia. Kochamy Cię całym sercem. Prosimy, żebyś wykorzystwała załączony czek, na co tylko będziesz chciała.

Z poważaniem  
Sandy i Roy Hurwitz

Droga Renée,

pamiętasz mnie? Słyszałam, że jesteś w szpitalu, i przypomniałam sobie naszą miłą rozmowę. Mam nadzieję, że czujesz się już lepiej. W trzęsieniu ziemi straciłam dwoje przyjaciół i wszystko, co posiadałam. Teraz mieszkam u córki i nie mogę wrócić do domu. Chyba miałaś rację co do tej firmy. Mam nadzieję, że mnie odwiedzisz, jak już poczujesz się lepiej.

„Z poważaniem”  
Jurene Caddulo

Renée!

Chociaż mnie nie znasz, zrobiłaś na mnie niezatarte wrażenie. Nie sądzę, żeby ludzie w telewizji zrozumieli Twoje słowa, podobnie jak moi rodzice, ale myślę, że ja je rozumiałam. Nikt mnie nie rozumie, bo nienawidzę być dziewczyną, ale nie chcę być chłopakiem. Mam siedemnaście lat i nigdy nie spotkałam chłopaka, którego bym mogła szanować za jego rozum. Pokłóciłam się z rodzicami na twój temat. Myślę, że oni Cię podziwiali, ale kiedy im powiedziałam, że i ja Cię podziwiam, zmienili zdanie. Za dwa miesiące wynoszę się z tego domu i idę do college'u. Stale mam mętlik w głowie i nie znam nikogo takiego jak ja. Ale myślę, że jeśli będę

dzielna, mogę być taka jak ty. Jeszcze nigdy nie napisałam takiego listu. Pewnie myślisz, że to bardzo głupie. Ale kiedy nie mogę zasnąć, wyobrażam sobie, że ktoś do mnie strzelał za to, jaka jestem. Pewnie nigdy się nie spotkamy, ale chcę powiedzieć, że Cię Kocham i życzę Ci wszystkiego najlepszego. SZYBKIEGO POWROTU DO ZDROWIA.

Z poważaniem  
Alexandra Adams

Louis był zazdrosny o wszystkich ludzi, którzy do niej napisali, ludzi, którzy nic jej nie byli winni i w związku z tym ich zainteresowanie nią było poza wszelkimi podejrzeniami. Był zazdrosny o wszystkich, z powodu których musiał wychodzić z sali, kiedy ją odwiedzali: o Howarda Chuna, różnych profesorów i kolegów z uczelni, nawet o Terry'ego Snalla (choć Terry przyszedł tylko raz i po jego wyjściu Renée była rozgniewana i wściekała się, kiedy Louis próbował „żartować” z powszechnej uwagi, jaką na siebie ściągała). Szczególną zazdrość budził w nim Peter Stoorhuys. Kiedy już początkowa fala odwiedzających i zalew współczucia nieco ustąpiły, Peter był jedyną osobą, poza Louisem i panią Seitchek, która nadal prawie codziennie przychodziła do szpitala. Najbardziej irytujące w wizytach Petera było to, że Louis nie mógł w nich znaleźć żadnego ukrytego motywu; Peter po prostu lubił i podziwiał Renée, było mu przykro, że jest ranna, i żałował, że to jego ojciec jest za to odpowiedzialny. Nie zauważał zazdrości Louisa, po prostu coś takiego nie

mieściło mu się w głowie. Przynosił Renée wycinki z gazet i czasopism, przynosił taśmy do walkmana, przyprowadził swoją matkę. Czasami przychodził też z Eileen, chociaż ona wciąż absurdalnie wstydziała się przy Renée. Louis z zaciśniętymi zębami chodził po korytarzach, jeździł windami, czytał magazyny „Glamour” i „Good Housekeeping”, a kiedy wracał do sali 833, zastawał Renée i Petera nadal zatopionych w prowadzonej po cichu rozmowie. Renée rzadko bywała bardziej odprężona czy też pewna siebie niż po wizytach Petera.

W oczach Petera Louis przestał już być młodszym bratem Eileen i stał się chłopakiem Renée Seitchek – jej partnerem podczas ataku na Sweeting-Aldren i człowiekiem, który pomógł zdemaskować Davida Stoorhuysa jako oszusta, za którego Peter od dawna go uważał. Peter dał Louisowi ubrania, między innymi takie, które nadal lubił, i sam doszedł do przełomowego spostrzeżenia, że Louis nigdy nie będzie zajmował się sprzedażą przestrzeni reklamowej ani niczego innego. Eileen przyrządzała dla całej ich trójki kolacje, kiedy Louis wracał ze szpitala. Jeśli wyglądał na nieszczęśliwego, co zdarzało się często, pytała, co się stało i bardzo starała się poprawić mu nastrój.

Problem polegał na tym, że zupełnie się pogubił. Bo skoro teraz Eileen była fajna, a Peter już nie traktował go protekcjonalnie, nie miał wyboru, musiał być z nimi

szczerzy. Ale ze szczerością wiązał się jakiś rodzaj wiary – wiary, jaką Eileen i Peter pokładali w życiu w Ameryce i w odpowiednim poukładaniu własnych losów, albo takiej, jaką Renée pokładała w sile kobiet. Louis nadal uważał, że ten kraj jest do dupy, i miał pewne wątpliwości, czy naprawdę tak fajnie być mężczyzną. Jeśli kiedyś wiedział, jak wierzyć w coś innego, dawno już o tym zapomniał.

Był zazdrosny o ludzi, którzy kierowali się czystymi intencjami i sprawiali Renée przyjemności – przyjemności, którymi dzieliła się z nim, ponieważ zawsze był przy niej, przyjemności, które były drobne i wyraźne i które dużo łatwiej było docenić niż cokolwiek, co robił mężczyzna patrzący tylko na nią, kiedy spała, pomagający jej chodzić po korytarzu tam i z powrotem czy też mówiący jej, że jest mu przykro. Był też zazdrosny o ludzi o nieczystych intencjach, których ona traktowała pobłażliwie, z uśmiechem, a to dlatego, że wesołość była mniej bolesna niż gniew. Ta ostatnia kategoria nie obejmowała dziennikarzy (których po prostu nie chciała widzieć), ale stosowała się do wysłanników z Hollywood, którzy chcieli jej historię odkupić, zekranizować i zaprezentować w godzinach największej oglądalności, działaczy ruchu na rzecz praw kobiet do przerywania ciąży, ciekawych, czy mogłaby przez telefon przemówić na wiecu, oraz, tuż przed wypisaniem jej ze szpitala Brigham & Women's, jej własnej matki, która pewnego

popołudnia spotkała o trzeciej Louisa przy drzwiach sali numer 833 i poprosiła go, żeby pomógł jej przekonać Renée do powrotu do Newport Beach, gdzie mogłaby w pełni wrócić do zdrowia. Ojciec Renée już wyjechał, a matka podkreślała, że gdy Renée wyjdzie ze szpitala, wciąż będzie potrzebować opieki w domu. Ale kłopot w tym, jak powiedziała Louisowi pani Seitchek, że jej córka tylko się uśmiechała i kręciła głową na myśl o powrocie do Kalifornii. Miała dziewiętnaście tysięcy dolarów i upierała się, że zatrudni pielęgniarkę. A to wydawało się takie zimne, takie nieodpowiednie, takie...

Louis powiedział:

– Nie mogę pani w tym pomóc.

Zostawił ją na korytarzu i wszedł do sali numer 833.

Renée spytała:

– Wiesz, dlaczego chce, żebym z nią pojechała?

– Chce się tobą zaopiekować.

– Tak, to prawda – przyznała. – Ale w rzeczywistości ma nadzieję, że jeśli tam zostanę, to polubię grę w golfa. I żółtozielone spódniczki. I spotkam jednego z tych młodych lekarzy, o których nie potrafi przestać mówić, i za niego wyjdę.

– Nie wierzę.

– Nie znasz jej.

Odczekał chwilę.

– Ale nie zamierzasz zatrudnić pielęgniarki, prawda?



- Zobaczysz.
- Przecież mogę się tym zajmować.
- A ja nie chcę, żebyś to robił.
- Proszę, pozwól mi.
- Nie chcę, żebyś to robił.
- Musisz mi pozwolić.

Zamknęła oczy.

- Wiem, że muszę.

Ponad wszystko był jednak zazdrosny o jej zniedołężnienie. Było jak dziecko, częściowo też jego, choć mieszkało tylko w niej. Każdego dnia większość uwagi poświęcała na wsłuchiwanie się w nie i uczenie się jego tajemnic. Gdy tylko Louisowi się wydawało, że je rozumie – kiedy myślał, że skoro Renée się śmieje, to już nie czuje bólu, albo że wciąż go potrzebuje, żeby podał jej coś ze stolika – ona się odwracała i wyprowadzała go z błędu. On tylko się domyślał – ona miała pewność. Zakładał, że być może Renée wciąż go kocha, ale nawet jeśli tak było, nie miała dla niego czasu. Jej zdystansowanie, nikłość jej uczuć przypominały mu o snach, w których była wobec niego oziębła, w których brakowało miłości, w których był inny mężczyzna, a ona nic mu o nieznanym nie mówiła.

Ale to dziecko było też jego. Ten ból w jej ciele, ból z rozerwanych kulek mięśni pleców, przebitej przepony, roztrzaskanych żeber i kości udowej oraz z chirurgicznych nacięć, potrafił rozchodzić się po jego

ciele i utrudniać mu oddychanie. Przypominał sobie czasy, kiedy mogła się swobodnie poruszać i była wręcz nie do złamania, kiedy mógł na niej leżeć na twardej podłodze, a ona potrafiła się śmiać, kiedy mogli pić piwo Rolling Rock i słuchać Stonesów, kiedy mogli być dla siebie nawzajem niedobrzy, a to nie miało znaczenia, kiedy mógł nienawidzić świata i to też nie miało znaczenia. Doskwierało mu poczucie odpowiedzialności. Żałował, że już nie pracuje w WSNE, że już nie jeździ drogą numer 2 w błękitnym wiosennym półmroku poranka, że już minął ten czas, kiedy siedział w swoim samochodzie z Renée, zanim ją pocałował. Żałował, że nie pozwolił jej przekazać teczki na temat Sweeting-Aldren Larry'emu Axelrodowi i Agencji Ochrony Środowiska. Żałował, że nie koncentrował uwagi na wszystkich dziewięciu rundach meczu Red Sox, który oglądali z miejsc Henry'ego Rudmana, że nie pamiętał, kto i w jaki sposób wygrał, że nie dysponował wiedzą tak czystą, niezmienną i nieistotną, jak tabela z wynikami meczu. Nie potrafił zrozumieć, jak mógł dopuścić do tego, żeby drobna część jego życia – jego zachłanność? jego krzywda? jego oburzenie? – uczyniła go odpowiedzialnym za ból i nieutulony żal, które spadły na niego, na nią i na większą część Bostonu. Ale wiedział, że jest za to odpowiedzialny.

Kiedy wrócił na Pleasant Avenue, przed domem stał zaparkowany lincoln town car z indywidualną tablicą

rejestracyjną PROLIFE 7. Louis wszedł do budynku i powoli wspinał się po schodach, wciąż czując lekkie zawroty głowy po wizycie w Czerwonym Krzyżu.

Philip Stites stał pośrodku pokoju Renée, obok fotela na kółkach, który odtoczył od biurka i który najprawdopodobniej jeszcze przed chwilą zajmował. Renée siedziała w swoim fotelu, w grubym swetrze, spodniach od dresu i okularach – teraz potrzebowała ich już na stałe. Dzisiejszego ranka ważyła czterdzieści cztery i pół kilograma, pół kilo więcej niż w ostatni piątek, ale wciąż o trzy i pół kilo mniej od swojej czerwcowej wagi. Gorączkowa sztywność twarzy tłumiała jej mimikę. Kiedy spojrzała na Louisa, udało mu się zauważyć tylko błysk słonecznego światła w jej soczewkach. Pospieszył do drugiego dużego pokoju, tego, w którym sypiał, i położył na podłodze kupione książki.

– Louisie? – odezwała się Renée.

Wrócił do przedpokoju.

– No?

– Philip właśnie wychodzi.

– Och, no to trzymaj się.

Zagadkowo uśmiechnięty Stites pomachał mu ręką. Renée uważnie wpatrywała się w Louisa.

– Nie miałam pojęcia, że się znacie – powiedziała.

– Pewnie mi to umknęło.

– Spotkaliśmy się w bardzo nieszczęśliwych okolicznościach – stwierdził Stites. – Obecne są dużo

szczęśliwsze.

Renée nie odrywała pełnego wyrzutu wzroku od Louisa, nawet gdy Stites wziął ją za rękę i życzył jej wszystkiego dobrego. Louis otworzył drzwi przed pastorem.

– To co, Philipie – odezwał się – dziękuję za wizytę. To na pewno wiele dla niej znaczyło.

Stites ruszył w dół schodów, od niechcienia kiwając na Louisa, żeby za nim poszedł, jakby nie miał wątpliwości, że chłopak to zrobi, i zatrzymał się na piętrze, gdzie mieszkały psy. Louis spojrzął na Renée, która wciąż patrzyła z tą samą miną, i zszedł po schodach.

– Dlaczego czuję wrogość? – Stites rzucił pytanie w promień jasnych drobinek kurzu.

– Słyszałem, że wyjeżdżasz – odrzekł Louis.

– Jutro rano. Byłeś kiedyś w Omaha, w Nebrasce? Chyba jedyne, co łączy je z Bostonem, to wielkie przestrzenie.

– Uważasz, że narobiłeś tu już dość szkód.

Stites nie zareagował na tę zaczepkę. Odwinął listek bezcukrowej gumy i z gracją włożył go do ust.

– Wrogość, wrogość – powtórzył. – Przyszedłem przeprosić Renée za wszelki ból, jaki jej kiedykolwiek zadałem. I coś ci powiem, Louisie, naprawdę się ucieszyłem, słysząc, co dla niej robisz.

– Cieszę się, że dzięki mnie się ucieszyłeś, Philipie.

– Dobra, mów, co sobie tylko chcesz. Już nigdy mnie

nie spotkasz. Ale doskonale wiesz, że to, co robisz, to naprawdę coś bardzo dobrego.

– Jasne – odrzekł Louis. – Jestem supergościu. Widzisz tu plaster? Oddałem krew. To moja pokuta, co? Bo zgrzeszyłem, co? – Wpatrywał się w Stitesa, drżąc na całym ciele. – Naśmiewałem się z Jezusa, nie byłem wierny mojej dziewczynie i pozwoliłem jej zabić nasze dziecko, ale teraz już wszystko poukładałem sobie w głowie. Opiekuję się nią i staram się żyć, jak przystało na chrześcijanina. Pobierzemy się i będziemy mieli dzieci, i wszyscy będziemy śpiewać hymny w telewizji. Tyle że ja jestem a ż t a k dobrym chrześcijaninem, że jeśli tylko ktoś spróbuje powiedzieć, że robię coś dobrego, natychmiast temu zaprzeczam, bo gdybym tego nie zrobił, to byłbym pyszny, a pycha to grzech, co? Wiara zaś to coś wewnątrz ciebie. Czyli nie tylko ze mnie supergościu, ale jestem też człowiekiem głębokim i prawdziwym, co?

Stites żuł gumę, jego szczęka poruszała się łagodnie i powoli.

– Cokolwiek powiesz, nie zmieni to mojej miłości do Boga.

– Dobra, proszę bardzo. Nie krępuj się.

– Mam nadzieję, że znajdziesz szczęście.

– Tak, ty też. Miłej zabawy w Omaha.

Stites popatrzył na Louisa z zadowoleniem osoby, której opowiedziano dowcip, a ona rozumie jego

podtekst. Roześmiał się, ukazując mały zwitek gumy do żucia. Nie był to śmiech wymuszony czy okrutny, lecz śmiech osoby, która oczekiwała, że się zachwyci, i tak się stało. Popatrzył na Louisa znacząco, po raz ostatni, i zbiegł po schodach. Przez brudne okno na piętrze Louis widział, jak pastor umyka przed wyciągającym się ku niemu kapryfolium i wsiada do samochodu. Czuł wewnątrz wielką, ale dziwnie bezbolesną pustkę, jak wówczas, gdy dawał się nabrać na bluff w pokerze.

Wróciwszy na górę, próbował zachowywać się swobodnie.

– Zrobić ci obiad?

Renée siedziała w fotelu i patrzyła na niego. Fotel zajmował miejsce w cieniu między rozlanymi na deskach podłogowych plamami słonecznego światła. Jej milczenie było przejmująco złowieszcze.

– Zrobić ci obiad? – powtórzył.

– Jakoś bardzo łatwo mnie odzyskałeś, prawda?

Rozważał, jakie konsekwencje przyniesie zignorowanie tych słów. Oparł się o ościeżnicę.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że żyję sobie sama i nienawidzę cię za to, jak bardzo mnie skrzywdziłeś, i nagle, zanim zdążyłam się zorientować, budzę się, a ty znowu ze mną mieszkasz i zachowujemy się, jakby nigdy nic się nie wydarzyło.

– Obudziłaś się dawno temu.

– Nie, nie obudziłam się dawno temu. Słuchaj, co do ciebie mówię. Mówię, że właśnie się obudziłam.

– Rozumiem. Właśnie się obudziłaś.

– Co zatem zamierzasz z tym zrobić?

– Z...?

– Z tym, że ze mną mieszkasz i zachowujemy się, jakby nic nigdy się nie wydarzyło.

– No cóż, właśnie miałem zrobić obiad.

– Powiedziałam, że bardzo łatwo mnie odzyskałeś.

– A co miałem zrobić? Trzymać się od ciebie z daleka, kiedy byłaś w szpitalu? Ile razy ci powtarzałem, że cię przepraszam? A ty mówiłaś, żebym tego nie mówił...

– Czułam się beznadziejnie.

– Ale wszystko, co mogę zrobić, to pokazać ci, jak bardzo mi przykro i jak bardzo cię kocham.

Wzdrygnęła się, jakby słowo kocham było wypuszczoną w jej stronę strzałą.

– Chcę powiedzieć, że nigdy nie miałam szansy zastanowić się nad tym, czego chcę. Wszystko po prostu się wydarzyło. A ja wcale nie mam co do tego pewności.

– Nie jesteś pewna, czy chcesz, żebym tu mieszkał?

– To tylko część tego wszystkiego.

– Nie jesteś pewna, czy w ogóle chcesz mnie widywać?

– To inna część. To znaczy, na pewno chcę cię widywać. Ale to wszystko jest ze sobą powiązane, nie mam czasu na to, żeby pomyśleć. A ja chcę wiedzieć,

jakoś się tego dowiedzieć. Nie chcę, żebyśmy byli razem tylko dlatego, bo tak się złożyło, że jesteśmy razem. Chcę zacząć wszystko od początku.

– Zaczynając od mojej wyprowadzki.

– Nie wiem, nie wiem.

– Chcesz, żebym się wyprowadził. Starasz się powiedzieć mi to w miły sposób.

Zamknęła oczy i zagryzła wargi. Nie znał tej kobiety z niedowagą, z rozgorączkowaną twarzą, ze zbyt długimi włosami i okularami w drucianych oprawkach. Dokonano sprawnej podmiany i nie było żadnego oszustwa – ta kobieta była właśnie taka, jaka wydawała się być, a nie stworzonym ze wspomnień i oczekiwań duchem, którego widział przy śniadaniu. Otworzyła oczy i popatrzyła prosto przed siebie.

– Tak, chcę, żebyś się wyprowadził.

Wziął nieotwartą kopertę ze stolika w przedpokoju i przyniósł ją do jej pokoju.

– Czy to w tym problem?

Nawet na nią nie spojrzała.

– Zaufaj mi trochę.

– Odpowiedz na pytanie.

– Tak, to prawda. To część problemu. Denerwuje mnie, że przysłała do ciebie list na ten adres. Denerwuje mnie, że dowiedziałam się o tym, bo ciebie nie było i ktoś inny przyniósł pocztę. Bo z tego, co wiem, codziennie dostajesz takie listy...



– Nie dostaję.

– A ja po prostu o tym nie wiem. To część problemu. Ale to nie jest...

– Myślisz, że ona przysłała mi listy, a ja ci o tym nie mówię. Myślisz, że mam kogoś na boku...

– Zamknij się. Wcale tego nie powiedziałam. Mówię, że z jej strony to absolutnie niestosowne, żeby wysłać ci te listy, i to ty powinienesz jej to uzmysłwić, bo najwyraźniej ona sama nie widzi w tym nic nieodpowiedniego.

Zaimki osobowe – o n a, j e j – wymawiane były z nienawiścią, jakiej nigdy wcześniej u niej nie słyszał. Lauren nie czuła do Renée takiej nienawiści.

– Poinformuję ją o tym – powiedział.

Pokręciła głową.

– Nie mogę z tobą mieszkać.

– Powiedziałem ci, że już nawet o niej nie myślę. Powiedziałem, że chcę tylko dostać szansę, żebym mógł ci to jakoś wynagrodzić. Wiem, że zachowałem się jak kutas. Ale nawet się z nią nie przespałem i teraz w ogóle o niej nie myślę.

– I to było głupie z twojej strony. Bo dla mnie nie ma najmniejszej różnicy, czy z nią spałeś, czy nie. To żadna różnica.

– Cóż, ja bym to zrobił, ale nie chciała.

Renée spojrzała w sufit z odrazą i niedowierzaniem.

– To chore. To takie chore. Przychodzi do twojego

mieszkania, ale się z tobą nie prześpi. A dlaczego? Mogę to sobie wyobrazić. Bo jest lepsza ode mnie, bo naprawdę cię kocha i nie będzie się z tobą pieprzyć przed ślubem. Naprawdę miło mi to słyszeć.

– Było mi jej żal – bardzo cicho powiedział Louis. Odłożył list od Lauren na biurko.

– Proszę bardzo, oto ktoś, kogo może ci być żal. Ja użalam się nad sobą, jak tylko się da, ale nie dam rady zrobić wszystkiego. Jeśli potrzebujesz kogoś, nad kim mógłbyś się użalać, oto osoba, która codziennie ma gorączkę, którą wciąż bolą plecy, która ma piersi całe we wstrętnych bliznach, która nie widzi dobrze i musi żyć i być brzydka, w każdej chwili każdego dnia mając tego świadomość.

Zmarszczył brwi.

– Nigdy się nad tobą nie użalałem. Cierpiałem z tobą, ale cię podziwiam i kocham. I jesteś taka piękna.

Nawet nie próbowała powstrzymać łez.

– Nie mogę z tobą mieszkać. Nie mogę z tobą żyć i nie mogę się ciebie pozbyć.

– Łatwo się mnie pozbyć.

– W takim razie zrób to. Po prostu idź. Bo teraz widzisz, jaka jestem naprawdę. Taka jestem w środku. Jestem zazdrosną, niepewną, małą, brzydką jędzą. I taka już będę, a ty możesz dalej ze mną żyć, bo czujesz się winny, i możesz patrzeć, jak zmieniam twoje życie w piekło, albo możesz odejść i od razu zamieszkać z nią,

bo ja na pewno nie pragnę żyć z tobą, jeśli mamy się tak kłócić, albo też możesz być dla mnie miły...

– Miły dla ciebie?

– Milszy niż dotychczas. Miły dla mnie od zaraz. Możesz mi mówić, że nie myślisz o niej przez cały czas. Mówić, że może nie jestem taka młoda jak ona i może jestem pokiereszowanym brzydactwem, ale wciąż jestem n i e z ł a. Musisz mi to mówić p r z e z c a ł y c z a s. Musisz mi mówić, że nie piszesz do niej i do niej nie dzwonisz, i że mnie cenisz. Musisz zebrać to wszystko, co powiedziałaś, i powtarzać sto razy częściej. Bo ja staram się nabrać energii, staram się na powrót stać się c z ł o w i e k i e m, ale nie mogę tego zrobić dostatecznie szybko.

Przez chwilę Louis patrzył, jak Renée drży i płacze w fotelu. Następnie się nachylił, włożył jej ręce pod pachy i postawił ją na nogi. Była bardzo lekka. Pośrodku każdej soczewki jej okularów widniała pojedyncza smuga łzy. Ucałował jej bezwładne usta już bez tej dyskrecji i świadomej uprzejmości ich pocałunków w łóżku, na powitanie i na pożegnanie. Całował ją, bo był jej głodny.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Robisz to tylko dlatego, że... oj. Oj!

Ścisnął ją mocno, jedną ręką trzymając bezpośrednio na zamkniętej ranie wlotowej na jej plecach, drugą na jej pośladku pod spodniami z dresu i majtkami, mocno

wsuwając udo w jej krocze. Chwyła jego ucho ustami i powiedziała:

– Nie ściskaj.

Drżała, gdy rozbierał ją na łóżku. Przykryła się kocem, kiedy wstał, żeby samemu zdjąć ubranie.

– Nie waż się więcej zakładać tej bluzy – powiedziała.

Uklął przy niej i odsunął koc. Przyłożył policzek do jej białego brzucha, a nasadę dłoni w zagłębienie miednicy. Chciał wypełnić to zagłębienie nasieniem. Szybko uciekające ciepło nasienia będzie ją łaskotać, spowoduje, że brzuch będzie się trząść jak wzgórze w konwulsjach katastrofy. Wiedział o tym, bo widział to na własne oczy, w maju.

Usiadła i próbowała go przyciągnąć na siebie.

– Muszę na ciebie patrzeć – powiedział.

– Tylko się pospiesz, jeśli możesz.

Jej cipka wydała mu się niesamowicie piękna. Jej gotowość, subtelność, jej grządka ciemnych włosów. Nieskrywane przez tkanę tłuszczową pojedyncze mięśnie jej ramion i nóg były widoczne w ich skromnej, jakby żłobkowanej wspaniałości. Szrama za otrzewną była wielkim okręgiem zabliznionej rany, ciągnącym się od punktu poniżej jej mostka, przechodzącym pod żebrami na środek pleców. Cokolwiek by się działo, jego fiut zadrżał i stwardniał, kiedy Louis odwracał Renée i podążał za nieregularnym szlakiem blizny, za fioletowymi i czerwonymi runami, przez miejsca,

w których skóra się pomarszczyła, i przez te, wyglądające na delikatniejsze, gdzie się rozciągnęła. Nie mógł pozbyć się myśli o lotniczych zdjęciach uskoku San Andreas, widzianych w jednej z jej książek, gdzie długi garb przecina gładką skórę kalifornijskiej pustyni, gdzie wąskie wyłobienie w środku złoża było przecięte przypominającym szew szrafowaniem. Cieszył się, że żyje i że jest w tym łóżku. Z jego głowy zniknęło pytanie, czy to, na co patrzył, to Renée Seitchek. Przedmiot jego miłości przeniósł się z wyobraźni Louisa w jej ciało, porywając jego wyobraźnię, nieuniknione połączenie jej nóg ucieleśniało teraz jakąś niezbędną zbieżność uczuć w nim samym, ciepło jej skóry było identyczne z ciepłem, jakie czuły jego oczy, kiedy opadały na nie powieki. Lizał jej chłodną bliznę po torakotomii. Ucałował postrzępioną gwiazdę rany wyjściowej pod prawą piersią. Kula przeszła przez to miejsce, niosąc kawałeczki jej kości i tkanki płucnej, ale teraz oddychanie nie sprawiało jej bólu. Bawiła się jego fiutem, raz otwierając, raz zamykając przeciwstawne palce i kciuk, wyciągając nitki z wydzielanej przez niego czystej galaretki. Przechyliła się i na chwilę wzięła go do ust.

Wycisnął kroplę żelu z nonoksynolem na środek krążka macicznego, posmarował krawędź, złożył go na pół i wsunął w pochwę, a krążek rozwinął się na miejscu. Ta procedura osobiwie przypominała przygotowanie ptaka do pieczenia.

Wyglądała na przerażoną, kiedy się na niej układał. Starał się nie dopuszczać do siebie myśli, że to „ważne”, żeby się teraz kochali, ale niestety rzeczywiście zdawało się to w pewnym sensie ważne. Oczy miała szeroko otwarte i szybko mrugała, jakby to Śmierć, a nie Louis, przygniatała jej klatkę piersiową i wsuwała twarde kawałek swojego ciała w jej wąską szczelinę albo, ogólniej rzecz ujmując, atakowała cytadelę, za której murami przez te miesiące, kiedy była bardziej samotna niż obecnie, chowała siebie, swoją duszę. Przełożył lewą nogę wyżej nad jej biodro, żeby nie napierać na udo, w którym rozwinęło się zapalenie kości i szpiku. Pozycja była niewygodna, a ona leżała tak bezwładnie, ograniczając do tego własną inicjatywę, że miał wrażenie, jakby chwycił się śliskiej skały, na której nie było zbyt wiele punktów oparcia.

- Powiedz, kiedy będzie bolało.
- W wielu miejscach trochę mnie boli.
- Chciałem powiedzieć: kiedy będzie bolało za bardzo.

Z zamkniętymi oczami wciskała go do swego wnętrza tak głęboko, jak tylko mógł wejść. Oddychała ciężko, w ten niepokonany sposób, który powoduje, że mężczyzna czuje się jak król, a jego wytrysk przepaja go wielką słodyczą. Leżał obok niej i masował dłonią przedni kraniec jej warg sromowych, aż osiągnęła orgazm. Wziął fiuta w rękę i złożył nasienie w zagłębieniu miednicy, na

punkcie którego miał taką obsesję. Lekko zadrżała i długo rozcierała zagłębienie, zanim sperma przestała ją łaskotać. Wymieniali bezsensowne i sentymentalne uwagi na temat oddechu i aktualnego stanu genitaliów, a także na temat miłości. Powtórzyli główny akt, wyteżając się i pocąc, aż zrobiła się niespokojna i powiedziała mu, że bardzo źle się czuje. Natychmiast wstał i przykrył ją kocem.

– Zrobię ci obiad.

Pokręciła głową. Wyglądała marnie, miała odrętwiałą twarz.

– Może chociaż tosta, herbatę?

– Na pewno nie wyjdę dziś wieczorem. Będziesz musiał do niej zadzwonić.

– Możesz spać całe popołudnie. Zobaczymy, jak się będziesz czuła.

– Jestem już zmęczona byciem zmęczoną.

– Przegryź coś. Zdrzemnij się.

Kiedy drzwi były już zamknięte i wiedział, że zasnęła, usiadł przy kuchennym stole i otworzył kopertę od Lauren. List był napisany jej piękną, niezgrabną ręką.

20 września

Kochany Louisie,

muszę do Ciebie dzisiaj napisać, po prostu muszę. Myślę o tym, jak wszystko wyglądałoby inaczej, gdybym napisała do Ciebie zeszłej jesieni. Muszę napisać do Ciebie dla samej siebie, nie dla Ciebie, więc mam nadzieję, że to Ci tak bardzo nie przeszkadza. Nie musisz odpisywać.

Po pierwsze, ważna wiadomość – jestem w ciąży! To coś dobrego, mam już mały bębenek. Ludzie pytają, na kiedy mam termin, i gdy mówię, że na kwiecień, nie mogą w to uwierzyć. Myślą, że im powiem, że na grudzień. Dużo czasu spędzam na spacerach na świeżym powietrzu. Nawet nie wiem, czybyś mnie rozpoznał, tak się zmieniłam. Czuję się, jakbym odnalazła prawdziwą SIEBIE. Już teraz kocham jak wariatka to moje dziecko i ciągle do niego mówię. Tak, to ta ważna wiadomość.

Louisie, czasami tęsknię za tobą tak bardzo, że aż płaczę. Tęsknię za tym, jaki byłeś zabawny i troskliwy. Ale teraz już wiem, że Bóg nie chciał, żebyśmy byli razem. Bóg chciał, żebym była z Emmettem. Jestem tak wdzięczna, że mam swoje życie, dobrego męża i (WKRÓTCE) dzidziusia i że mogę to wszystko kochać. Nadal cię kocham (tak, powiedziałam to!), ale inaczej. Wiesz, czego bym czasami chciała? Chciałabym spotkać się z Renée sam na sam. Chcę pocałować ją w policzek, bo ma Ciebie, a ty jesteś słodki. Czy już wróciła do zdrowia? Mam nadzieję, że tak. Naprawdę jej tego życzę, z całego serca.

Cóż, takie to wiadomości z Teksasu. Nie mówię MaryAnn o mojej ciąży, dopóki nie będę pewna, że wszystko w porządku. Zaprzyjaźniłam się z mamą Emmetta. Zaprosiła mnie do swojej grupy kościelnej. Ludzie tam byli niezwykle dziwni, ale z nimi też się zaprzyjaźniłam. No i dobrze.

Louisie, zawsze będziesz moim przyjacielem, nawet jeśli nigdy już się nie spotkamy. „Umarł król, niech żyje król”. Tak mówią w Anglii, gdy umiera ich król. Rozumiesz?

Twoja przyjaciółka  
Lauren

Zostawił list na stole, tak żeby Renée mogła go



przeczytać, jeśli będzie chciała. Czuł się dziwnie zbrukany czy skompromitowany i zastanawiał się, czy przez cały czas nie mylił się co do Lauren. Przynajmniej w tym momencie nie wypadła zbyt dobrze w porównaniu z kobietą, z którą właśnie spółkował.

Po zjedzeniu obiadu stanął przed problemem, co zrobić z popołudniem. Rano chodził na zakupy, zajmował się samochodem, sprzątał, a jeszcze kilka dni temu woził Renée do kliniki na codzienne zastrzyki antybiotyków, wieczorem wspólnie jedli i szli do kina albo oglądali telewizję. Ale popołudniami napotykał tę samą beznadziejność, która mu dokuczała, odkąd stracił pracę w stacji WSNE. Kiedy Renée spała, potrafił jedynie czytać książki. Pochłaniał powieści Thomasa Hardy'ego, jedną po drugiej, choć niespecjalnie mu się podobały, ale nie skończył, póki nie przeczytał nawet *Judy nieznanego*. Następnie zajął się Henrym Jamesem; ze względu na własną cierpliwość i uczucie, że wisi nad nim jakiś wyrok, stał się idealnym czytelnikiem tego pisarza. Szczególnie spodobali mu się *Bostończycy*, ponieważ Boston Jamesa z lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku okazał się zamieszkanym przez te same wieczne feministki, z którymi Louis maszerował w lipcu w wielkim wiecu na rzecz praw kobiet do przerywania ciąży, tymi samymi świrami i marzycielkami, które finansowały Ritę Kernaghan i przyszły na jej nabożeństwo żałobne, tymi samymi szczwanymi

dziennikarzami, którzy wciąż próbowali wcisnąć się przez telefon do mieszkania Renée. Zaczynał wybaczać chłodowi tego północnego miasta. Myślał o płynącej w jego własnych żyłach krwi klasy wyższej. Widząc, jak pociesza go literatura i historia, a także jak bardzo się zmienił w ciągu jednego roku, zastanawiał się, kim ostatecznie ma się stać. Ale tuż pod skórą tych jego popołudni wciąż kryła się beznadzieja czy smutek.

Obudził Renée o wpół do szóstej. Temperaturę miała na tyle niską, żeby pomyśleć o wyjściu z domu, więc o szóstej byli w drodze do Ipswich. W krzywiźnie szyb samochodów na autostradzie międzystanowej numer 93 odbijały się uchwycone w drzewach złote kolory aktualnej pory roku i dnia. Przez kilka nieprzyciemnionych samochodowych szyb można było dojrzeć samotnie wracających z pracy ludzi, agresywnie pochylonych nad kierownicami albo rozmawiających o swoim życiu przez telefon.

– Ona chce mnie pocałować w policzek – odezwała się Renée.

– Och, przeczytałaś to.

– To jakiś południowy gatunek, którego nie rozumiem.

– Jest miła. I bardzo zagubiona.

– Ciągniesz ten temat na własne ryzyko. Chyba wiesz, że wołałabym, żebyś stwierdził, że jest skończoną idiotką. I ona, i jej mały bębenek.

– I co mam powiedzieć? Czuję się zakłopotany.

Było już ciemno, kiedy dojechali do Ipswich. Rama piramidy wciąż kuciała na domu przy Argilla Road, odznaczając się na tle pobielącego od księżyca nieba, ale usunięto już większość aluminiowego sidingu. Leżał poskręcany w stertach przy podjeździe. Wysuwne drabiny przyciskały dwa brezenty przykrywające narzędzia i stopy drewna przy frontowych drzwiach.

Szczupła, wytworna, pochodząca z wyższych klas kobieta będąca matką Louisa wprowadziła ich do salonu, po czym przy barze naląła im napoje. Znowu wydano mnóstwo pieniędzy na remont domu, chcąc pokazać, że bogactwo jest silniejsze od trzęsienia ziemi. Granatowa sukienka Melanie, z granatowymi guzikami i wywatowanymi ramionami, opinała jej biodra, uda i kolana. Melanie jeden raz odwiedziła Renée w szpitalu i od tego czasu jej nie widziała. Teraz też się nią specjalnie nie przejmowała. To Louis miał zadbać, żeby rozsiadła się wygodnie na sofie.

– Zanim umysły nam się zamglą – odezwała się Melanie – musimy omówić pewną sprawę. – Zdjęła z kominka kopertę. – To dla ciebie, Renée. Myślę, że się zgodzisz, że wszystko jest w porządku?

Renée w milczeniu pokazała Louisowi zawartość koperty. Był tam czek imienny wystawiony na jej nazwisko na sumę sześciuset tysięcy i <sup>xx</sup>/100 dolarów oraz pokwitowanie na taką samą kwotę wystawione na

Melanie Holland.

– Jak widzisz, datowany jest na trzydziestego – powiedziała Melanie. – Jak pamiętasz, ustaliłyśmy właśnie taki termin. Louisie, jesteś świadkiem, że otrzymała czek.

– Tak, mammo.

– Renée, gdybyś mogła podpisać się na pokwitowaniu. – Melanie podała jej pióro, na które Renée patrzyła w osłupieniu. – Czy może coś się nie zgadza?

Renée w milczeniu wzięła pióro i podpisała się na pokwitowaniu. Melanie złożyła je na pół, wsunęła w kieszonkę na piersiach sukienki i ciężko westchnęła.

– Dobrze. Załatwiliśmy to. Teraz możemy się trochę odprężyć. Jak się masz, Renée?

Renée uniosła brodę. Trzymała czek na kolanach, jakby była to jej chusteczka.

– Nieźle – odpowiedziała.

– To wspaniale. Jesteś podobna do siebie dużo bardziej niż wtedy, kiedy widziałam cię po raz ostatni. Mam nadzieję, że Louis o ciebie dba?

Renée się odwróciła i spojrzała na niego, jakby dopiero wspomnienie jego imienia sprawiło, że przypomniała sobie o jego obecności. Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

– Louisie, chciałam omówić jeszcze jedną sprawę. To już o s t a t n i a sprawa na dzisiaj, obiecuję. – Melanie roześmiała się lekko, nieszczercze. – Chyba wiesz, że nie

udało mi się sprzedać domu. Zdaję sobie sprawę, że to nie tylko kwestia mojego osobistego pecha, że stąd aż do New Jersey nie można znaleźć kupca na dom w cenie z zeszłego roku. Jestem gotowa pogodzić się z kryzysem na rynku na północnym wschodzie i ze stratami, jakie to dla mnie oznacza. Niestety, w ostatni wtorek mieliśmy tu kolejny mały wstrząs. Chyba nie ma nic dziwnego w fakcie, że byłam tym zaskoczona. Z pewnością nie tylko ja myślałam, że mamy to już za sobą. Ale nie, doszło do kolejnego wstrząsu. Dobra. Być może będą następne. Dobra. Tymczasem jednak...

– Cieszę się, że podchodzisz już do tego spokojniej, mamo.

– Tymczasem, Louisie, zastanawiałam się, czy ty i... Renée oczywiście też, jeśli zechce, nie byłibyście zainteresowani zamieszkaniem tutaj. Bez opłat, a dom jest bardzo wygodny. Renée, zdaję sobie sprawę, że jeśli miałybyś tu mieszkać i dalej pracować na Harvardzie, to trzeba by trochę dojeżdżać. Ale wydaje mi się, że korzyści są oczywiste. Mogłabym też płacić wam za opiekę nad posiadłością, zwłaszcza jeśli zgodzilibyście się pokazywać dom potencjalnym nabywcom. Bo wiecie, nie mogę się pozbyć myśli, że wyprowadzka z Somerville mogłaby podnieść was na duchu. A do tego, oczywiście, dodatkowe przychody i oszczędności na czynszu, Louisie, dopóki nie pracujesz i nie wiesz, co będziesz robić...

Louis rozejrzał się po pokoju. Wbrew sobie spodziewał się poczuć obecność duchów – ducha o imieniu Rita, ducha o imieniu Jack, duchów Anny Krasner i swojego ojca. Oni wszyscy nawiedzali ten pokój, kiedy Louis był bardzo daleko stąd, zwłaszcza gdy był w Evanston. Ale kiedy teraz patrzył beznamiętnie na ponownie otynkowane ściany i nijakie meble, widział, że niezależnie od tego, jak długo by czekał, i tak zobaczy tylko pustą teraźniejszość.

– Nie musicie od razu podejmować decyzji – powiedziała Melanie.

– Co? – Popatrzył na nią, jakby to ona była duchem.

– Hm, nie wydaje mi się. Ale dziękuję.

– W każdym razie, przemyślcie to. – Przeprosiła ich i poszła do kuchni.

W nienawiedzonym pokoju zapadła cisza.

– Jestem zaskoczony – odezwał się Louis. – Myślałem, że będzie inna.

Renée szarpała za końcówki czeku, tak że papier trzeszczał.

– A ja nie. – W popielniczce na małym stoliku leżały zapalniczki z hotelu Four Seasons. Zapaliła jedną z nich i trzymała przed oczami, dopóki płomień nie zaczął lizać jej palców. Zdmuchnęła zapalniczkę i zapaliła kolejną. Trzymając ją nad popielniczką, wsunęła róg czeku w płomień dokładnie wtedy, gdy Melanie wróciła z kuchni. Widząc, co robi Renée, już miała instynktownie

się rzucić, żeby ją powstrzymać, ale pohamowała się w mgnieniu oka. Skrzyżowała ręce na piersiach i z beznamyślnym rozbawieniem patrzyła na czek, który się zapalił i zwinął w zwichrowany czarny popiół.

– Cóż – odezwała się, unosząc brwi. – Wydaje mi się, że to jasny komunikat.

– Zapomnijmy o tym.

– Tak. Co mamy na kolację? – zapytał Louis.

W ostatnim dniu sezonu zasadniczego drużyna Red Sox zapewniła sobie zwycięstwo w swojej konferencji, a ortopeda Renée orzekł, że jej stan jest już na tyle dobry, że może robić, co tylko chce. 1 października miała zacząć pracę w Nowym Jorku na Uniwersytecie Columbia w charakterze pracownika naukowego przebywającego na stypendium badawczym i Louis nakłaniał ją, żeby tam pojechała, pod warunkiem, że pomyśli o zabraniu go ze sobą, ale kiedy w połowie sierpnia trzeba było podjąć ostateczną decyzję, wciąż była do tego stopnia niesprawna, że zamiast tego zapytała na Harvardzie, czy będzie mogła zostać na uczelni jeszcze przez rok. Na Harvardzie przez cały czas żywiono nadzieję, że uda się ją zatrzymać, i przedstawiono jej propozycję umowy na czas nieokreślony na stanowisku adiunkta. Uczucia Renée do Bostonu bynajmniej się nie zmieniły. Ale przez to, że została tu postrzelona, przeżyła trzęsienia ziemi i spędziła miesiąc w jednym z tutejszych szpitali, poczuła się jakoś zobowiązana wobec tego miejsca, zyskała

poczucie przynależności, którego tak brakowało jej przez sześć lat normalnego życia w Bostonie. Nie chciała opuszczać tego miasta o kulach. Zdawała też sobie sprawę, że jest w stanie równie mocno znienawidzić każde inne miejsce, do którego pojedzie.

Byli zatem nadal w Somerville, kiedy Red Sox zostali rozbici w play-offach American League. Po pierwszym meczu Renée nie mogła już patrzeć na tę masakrę, Louis nie tracił natomiast nadziei do ostatniej rundy.

Dla wszystkich w Bostonie życie rozpoczęło się następnego ranka. Renée zaczęła znowu spędzać długie godziny w laboratorium, a Louis, znudzony i spłukany, podjął pracę w punkcie ksero na Harvard Square. Co wieczór wychodził z pracy z oczami wysuszonymi od gorąca kserografu. Marzył tylko o tym, żeby coś zmienić. Doceniał milczenie Renée na temat tego, co robił ze swoim życiem. Był szczęśliwy, mieszkając z nią, szczęśliwy, widząc, jak wraca do sił i jak cieszy ją muzyka algierska, kenijska i amerykańska, którą jej odtwarzał, szczęśliwy, lepiej poznając jej pracę i wychodząc z nią i z Peterem, Eileen, Beryl Slidowsky i różnymi zagubionymi duszami, z którymi pracował przy reprografii. Był tak szczęśliwy, że im mniej lubił pracę, tym ważniejsze wydawało mu się jej zachowanie. W ten właśnie sposób trzymał się kurczowo odłamka smutku, jaki w nim tkwił, kiedy już stracił przekonanie, że ma rację. Na razie ten smutek był jedyną posiadaną przez



niego rzeczą, która wskazywała mu, że w świecie może istnieć coś więcej niż tylko żarłoczność, głupota i niesprawiedliwość, z każdym dniem powiększające swoją hegemonię. Chociaż bardzo kochał Renée, wiedział, że jest śmiertelna, że nie może budować życia tylko na niej, że nie można nawet liczyć na to, że będzie dla niej dobry, jeśli nie będzie miał jakiejś innej ostoji. Nie miał pojęcia, jaką postać miałyby przyjąć, kiedy będzie miał więcej niż te dwadzieścia cztery lata, które właśnie skończył, nie wiedział, czy inni ludzie też potrzebują takiej ostoji; podejrzewał, że Renée już swoją znalazła, akceptując swoją kobiecość. Miał tylko świadomość, że jeśli chodzi o niego, to musiał chodzić do pracy, a tam sprawnie i z opanowaniem obsługiwać nawet tych aroganckich profesorów i artystów o osobowościach analnych, psychotycznych pamflecistów, patrzeć im w oczy i dziękować jako wiernym klientom, wypisywać datę i nazwisko klienta na rachunku za czterdzieści pięć centów i kochać świat w jego materialności za każdym z tych tysięcy razy, kiedy codziennie naciskał przycisk „Start” na urządzeniu Xerox 1075. Widział, że jako rzecz materialna był spokrewniony ze skałami. Fale oceanu, deszcz powodujący erozję gór i piasek tworzący skały następnej ery – to wszystko go przeżyje, a on w ukochaniu natury kochał jedynie swój gatunek, patriotycznie preferując raczej istnienie niż nieistnienie. Czuł, że zawsze może przynajmniej znaleźć ostoję na

skałach świata. Jednak była to słaba pociecha. Miał nadzieję, że jego smutek może go doprowadzić do czegoś większego. Kiedy więc zauważył, że zamiast zrażać do siebie współpracowników, zaprzyjaźnił się z nimi i stał powiernikiem prawie wszystkich, a także że Renée zmieniała się w osobę, która czasami płacze ze szczęścia, szybko zajrzał do swego wnętrza i znalazłszy jądro swego smutku, chwycił się go kurczowo.

Eileen i Peter pobrali się cztery dni po Bożym Narodzeniu. Na krótko przed tym Louis się dowiedział, że rodzice nie mieszkają już razem. Wyszło to na jaw pewnego wieczoru, kiedy Eileen zadzwoniła do Melanie o wpół do dwunastej i zamiast z mamą zaczęła rozmowę z jakimś obcym mężczyzną. Melanie wynajęła dom przy Argilla Road, a dla siebie znalazła mieszkanie w Back Bay, niezbyt niekosztowne, z widokiem na Public Garden. Lakonicznie wytłumaczyła Eileen, że ów mężczyzna to jej dawny kolega z liceum, i więcej się nad tym nie rozwodziła. Eileen wywęszyła później, jak nazywał się ów człowiek (Albert Anderson), czym się zajmował (radioterapią onkologiczną) i jaki był jego stan cywilny (okazał się wdowcem).

Melanie się nie sprzeciwiała, kiedy Eileen i Peter postanowili zorganizować święta Bożego Narodzenia w swoim mieszkaniu przy Marlborough Street. Bob przyleciał z Evanston i zatrzymał się w ich wolnym pokoju, Melanie, Louis i Renée przyjechali natomiast

rano w dzień Bożego Narodzenia, Melanie z wartymi tysiące dolarów odzieżowymi prezentami dla wszystkich. Ona i Bob musieli dojść do jakiegoś porozumienia, które umożliwiało im uprzejme zachowywanie się wobec siebie w towarzystwie.

Jakiegokolwiek zawarli porozumienie, zostało zerwane trzy dni później na ślubie. Louis był właśnie z Eileen w zakrystii, kiedy siostra zauważyła Melanie.

– O b i e c a ł a mi – odezwała się Eileen, a krew odpłynęła jej z twarzy. – O b i e c a ł a mi, że tego nie założę.

Strój, który jej ubliżył, składał się z zielonej aksamitnej sukni koktajlowej bez pleców, uszytej w taki sposób, żeby mężczyznom opadały szczęki, pary zielonych czółenek ze skóry jaszczurki i naszyjnika z platyny i szmaragdów, zaprojektowanego wyłącznie do noszenia w bankowych skarbcach. Melanie uśmiechnęła się ślicznie do Eileen i lekko wzruszyła ramionami. Eileen zalała się łzami, a dwie druhny musiały przykładać jej do oczu chusteczki higieniczne, żeby uratować makijaż. Całe wesele słyszało awanturę, jaką jej rodzice urządzili w szatni, a przynajmniej usłyszało żeńską stronę konfliktu:

– Nie zrobię tego! Nie zrobię!

– A kto twoim zdaniem płaci za to wesele?

– Prawdę mówiąc, Bob, nie obchodzi mnie, co sobie myślisz.

Louis mógł udzielić Eileen tylko oklepanej rady:

– Pierdol ją. To twoje wesele.

Eileen chyba to zrozumiała; w każdym razie przestała płakać na dostatecznie długo, żeby wymienić z Peterem słowa przysięgi małżeńskiej. Jej najlepsza koleżanka z college'u i cztery siostry Petera ubrane były w żółtozielone taftowe suknie druhen, a sam Louis, w smokingu i z lekka oszołomiony, sprawnie i z opanowaniem służył Peterowi za drużbę. Renée siedziała z gośćmi po kądzieli i wciąż cieszyła się wielkim zainteresowaniem Boba Hollanda. Chcąc się przygotować do weselnego przyjęcia, które odbywało się w sali balowej hotelu Copley Plaza, Renée i Louis poszli wcześniej na lekcje tańca. Melanie oczarowywała wszystkich obecnych, przyćmiewała młodsze kobiety i tańczyła dłużej i więcej niż ktokolwiek inny, niewiele osób natomiast w ogóle zauważyło ojca panny młodej, który w jednym ze swoich garniturów z lat pięćdziesiątych siedział na końcu sali, walił whisky i prawił filozoficzne mądrości Louisowi i Renée. Poinformował ich, że jeszcze raz zadzwonił do Anny Krasner i powiedział jej, że jest obecnie jedyną osobą na świecie, która może potwierdzić, że firma Sweeting-Aldren wywierciła głęboki otwór zasilający. Zakomunikował jej, że wszystkie akta firmy i wszystkie zebrane przez Renée niezbite dowody zostały zniszczone. Podkreślił, że skutkiem czerwcowego

trzęsienia ziemi było siedemdziesiąt jeden śmiertelnych ofiar. Anna zaś odpowiedziała: „Już ci mówiłam, żebyś więcej do mnie nie dzwonił”.

Dalej popijał whisky i oświadczył, że wciąż ma nadzieję, że żona w końcu do niego wróci.

W uroczystościach zaślubin nie uczestniczył oczywiście ojciec Petera. Rząd St. Kitts i Nevis nadal opierał się amerykańskiemu naciskom i nie zgadzał się na ekstradycję pięciu dyrektorów Sweeting-Aldren, więc wyglądało na to, że nigdy nie staną przed sądem, chyba że będą na tyle nierozsądni, żeby z własnej inicjatywy ponownie przyjechać do kraju. Stoorhuys dowiedział się o zaręczynach syna – być może z „New York Timesa”, w którym pojawiło się ogłoszenie, choć bardziej prawdopodobne, że od żony. W Wigilię listonosz przyniósł Peterowi i Eileen kopertę ze znaczkiem z Karaibów i odręcznym napisem na skrzydełku: „Otworzyć na Waszym weselu i odczytać na głos”. Peter wyrzucił kopertę do kosza.

Wiosną miały miejsce jeszcze dwa śluby. Pierwszy – Howarda Chuna i Sally Go – odbył się w Nowym Jorku, ale grupa z Pleasant Avenue nie została zaproszona. Renée usłyszała o tym wydarzeniu później, w sali komputerowej, od drugiego drużby Howarda, Terry’ego Snalla. Terry powiedział, że odbył się tradycyjny chiński bankiet na ponad dwieście osób. Stwierdził, że dla niego było to bardzo ciekawe doświadczenie kulturowe.

Drugi ślub, pod koniec kwietnia, w zasadzie sprowadził się do popołudniowego przyjęcia w hotelu Charles, jako że Alec Bressler i Joyce Edelstein związali się tydzień wcześniej w budynku urzędu powiatu Middlesex. Na przyjęciu pojawiła się spora grupa ludzi należących do liberalnej elity Bostonu, a do tego kilku dawnych didżejów Aleca (którzy byli odpowiedzialni za prawie całe spożycie alkoholu) oraz Louis i Renée. Joyce Edelstein dwukrotnie odrywała się od składających jej życzenia przedstawicieli tej samej co ona klasy, żeby objąć Renée i powiedzieć, jak bardzo jej zależało na tym spotkaniu i że chciałaby z nią dłużej porozmawiać; nigdy jednak jakoś do tej rozmowy nie doszło.

Alec miał natomiast dla Louisa wiadomość.

– Nowa stacja – powiedział, odciągając go od Renée. – To prezent ślubny od panny młodej. FM dziewięćdziesiąt dwa i dwa. Ona się zgadza, że nie ma u mnie polityki, a ja zgadzam się osiągnąć zyski po czwartym kwartale. Mamy ustną umowę. Zysk oznacza, że za dnia daję muzykę. Nie znam się na muzyce, w moich uszach wszystko brzmi tak samo. Ale potem mam noc na dobrą ramówkę. To co, gotowy do pracy?

– Ja?

– Na początek program muzyczny i praca przy wiadomościach albo wewnętrznych reklamach. Twój wybór. Tylko za dnia, chyba nieźle, co?

– I minimalna stawka, bez dodatkowych świadczeń.

– No tak, ale tylko do czwartego kwartału. Potem zobaczymy.

– To bardzo miłe z twojej strony...

– Nie miłe. To mój własny interes.

– Ale muszę o tym pomyśleć.

Alec skinął głową.

– To myśl szybko. Wchodzę na antenę pierwszego czerwca.

Zespół taneczny zaczynał trzecią turę, kiedy Louis i Renée opuszczali hotel. Dzień był tak piękny, że poszli na Square w swoich wyjściowych strojach. Słońce już zachodziło, ale jego ciepło nadal wisiało w drzewach Cambridge wraz z resztkami latawców i aluminiowanych balonów, rozpaczliwie powykrzywianymi plastikowymi reklamówkami ze sklepów spożywczych, powiązanymi za sznurówki trampkami, porwanymi bluzami i serpentynami taśm magnetycznych oraz własnymi liśćmi. Na terenach wiejskich na południe i na północ od Bostonu lasy nadal były szare, ale na dalszych przedmieściach rozkwitała żółtość, która rozwijała się w bladą zieleń, w miarę jak przyroda uczyła się ufać ciepłu cywilizacji, cokolwiek miało z tego wyniknąć, aż ostatecznie na bliższych przedmieściach i w samym mieście pojawiało się już całe listowie i zapanowało prawie lato.

– Powiedz, dlaczego w ogóle musisz się nad tym zastanawiać? – odezwała się Renée.

- Bo po prostu muszę.
  - Nie uważasz, że już dość długo robisz odbitki? Myślisz, że Alec jest dla ciebie za miły?
  - Przecież dla ciebie oznacza to przynajmniej jeszcze rok ze Snallem i Chunem.
  - Dopóki nie jest to wieczność, nie przeszkadza mi to.
  - I tak muszę o tym pomyśleć.
  - Dlaczego nie masz być szczęśliwy? Dlaczego nie możesz sobie na to pozwolić?
  - Dlaczego uważasz, że nie jestem?
  - Jak możemy żyć, jeśli nie będziesz szczęśliwy? Jak możemy myśleć... sama nie wiem... o dziecku czy...
  - O dziecku?
  - Tak, na przykład.
- Zatrzymał się i wbił wzrok w Renée. Stali na chodniku na moście Dane Street.
- Bierzesz pod uwagę dziecko ze mną?
  - Może – odrzekła.
  - Ty i ja. Robimy to, zachodzisz w ciążę i mamy dziecko.
  - Nigdy o tym nie pomyślałeś? Potrafię wyobrazić sobie coś takiego, jeśli oboje jesteśmy szczęśliwi.
  - Tak... No, no!
  - Nie chciałbyś mieć ze mną dziecka? Nigdy nie myślisz, że już teraz mogliśmy mieć dziecko? Ile by miało miesięcy? I do kogo byłoby podobne? Nie jest ci nigdy przykro, chociaż troszeczkę?



Odszedł od niej, minął środek mostu i zszedł na drugą stronę. Sięgnął do tego znanego mu miejsca wewnątrz samego siebie, ale to, co tam znalazł, nie wydawało się już smutkiem. Zastanawiał się, czy tak naprawdę od początku był to smutek.

– Och, co się stało? Co się stało?

– Nic się nie stało. Przysięgam. Po prostu muszę teraz iść. Chodź ze mną, chodź. Musimy iść dalej.

KONIEC